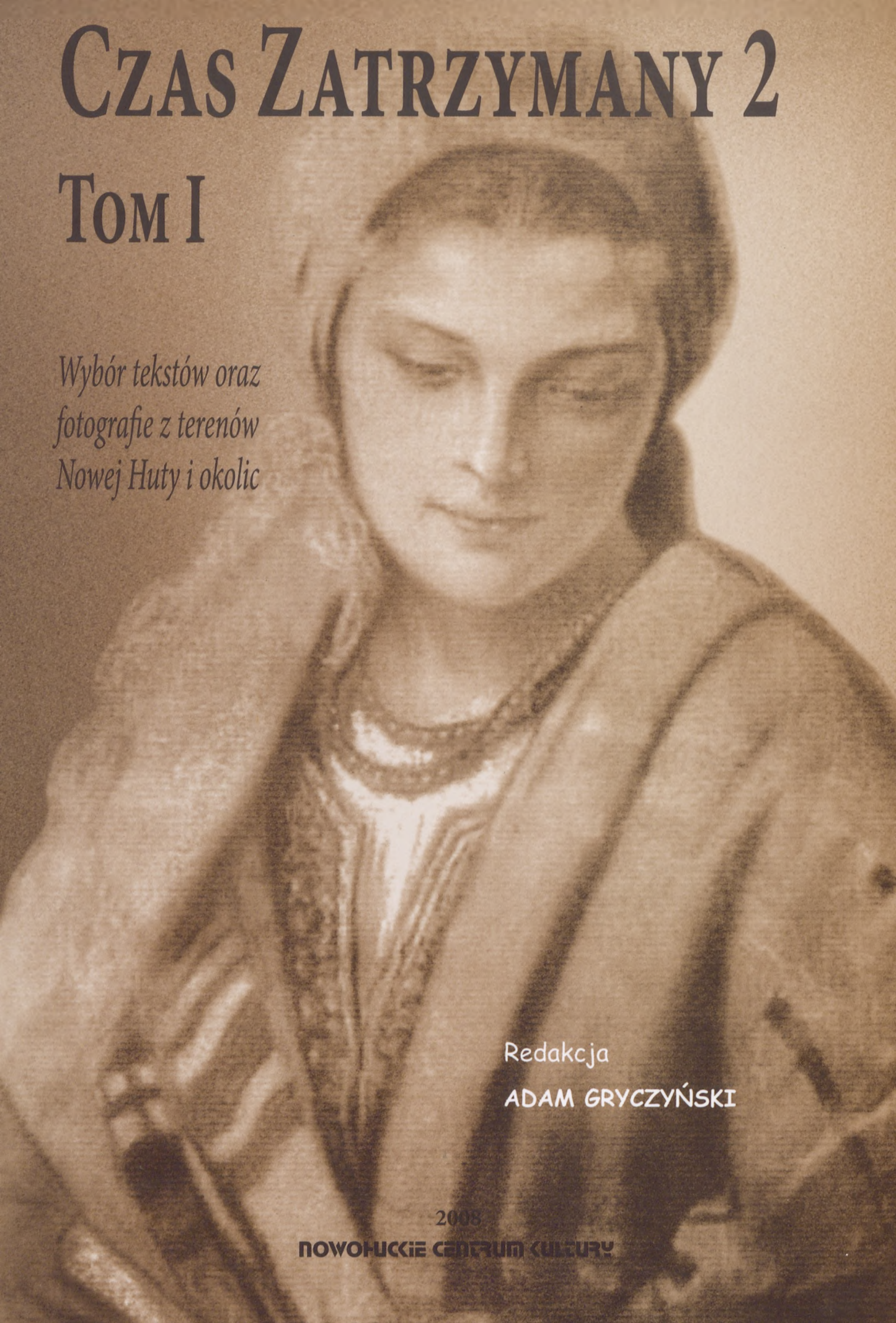
Czas Zatrzymany 2

Tom I

Wybór tekstów oraz fotografie z terenów Nowej Huty i okolic



Redakcja

ADAM GRYCZYŃSKI

2008

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

Czas Zatrzymany 2

Tom I

Wybór tekstów oraz fotografie z terenów Nowej Huty i okolic

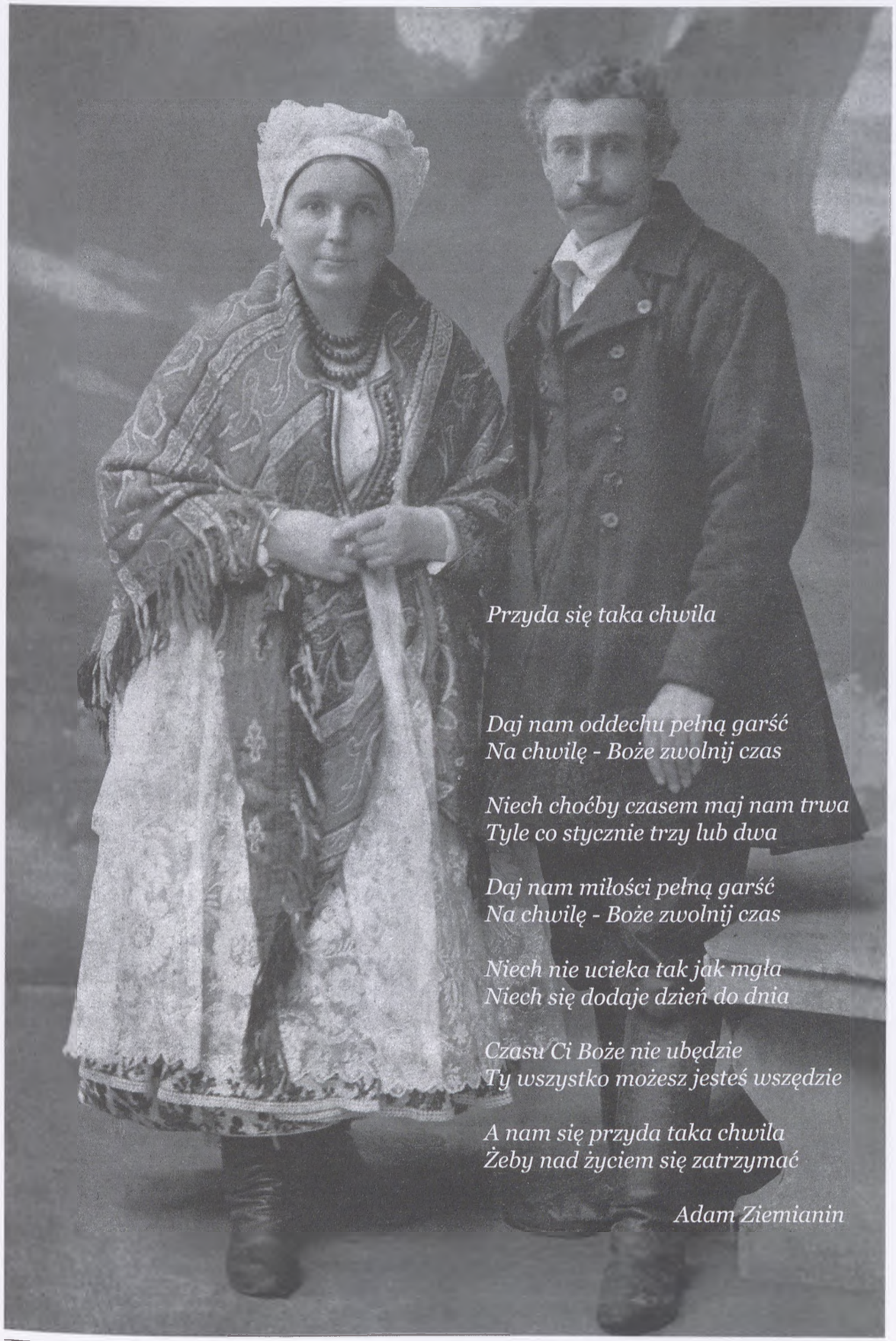
Redakcja

ADAM GRYCZYŃSKI

2008

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

ISBN 978-83-88832-56-7



Przyda się taka chwila

Daj nam oddechu pełną garść
Na chwilę - Boże zwolnij czas

Niech choćby czasem maj nam trwa
Tyle co stycznie trzy lub dwa

Daj nam miłości pełną garść
Na chwilę - Boże zwolnij czas

Niech nie ucieka tak jak mgła
Niech się dodaje dzień do dnia

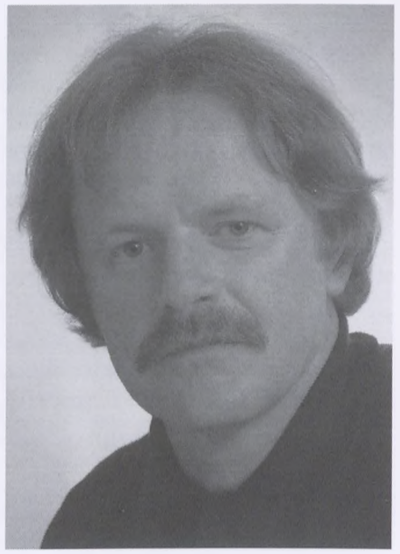
Czasu Ci Boże nie ubędzie
Ty wszystko możesz jesteś wszędzie

A nam się przyda taka chwila
Żeby nad życiem się zatrzymać

Adam Ziemianin

Na poprzedniej stronie: *Antoni Nowak (1860-1922) z Sulechowa z żoną, ok. 1900 r. Nazwisko żony nie jest znane, ale wiadomo, że pochodziła z Czyżyn, małżonkowie byli bezdzietni, dość zamożni, ufundowali kapliczkę, są pochowani na cmentarzu w Raciborowicach*

Słowo wstępne



W książce „Czas zatrzymany 2" znalazły się teksty i fotografie w większości opublikowane po raz pierwszy. Są one plonem akcji gromadzenia zdjęć, opisów, opracowań, wywiadów terenowych i wspomnień jakie napłynęły w odpowiedzi na apel skierowany w styczniu 2006 r. do dawnych i obecnych mieszkańców Nowej Huty. Projekt ten staraniem wielu osób i instytucji jest kontynuowany i wnosi wkład źródłowy w proces poznawania historii terenów wchłoniętych przez to miasto. Spotkania z udziałem jego uczestników, artykuły prasowe, audycje radiowe i telewizyjne, a zwłaszcza promocja pierwszego z tej serii wydawnictwa w Urzędzie Miasta Krakowa, po przyznaniu jej w marcu 2007 r. zaszczytnego tytułu „Krakowskiej Książki Miesiąca" wzbudziły spore zainteresowanie motywując do dalszej pracy nad obecną edycją publikacji. Wystawy i pokazy zdjęć na terenie kraju (Warszawa, Kielce, Końskie, Kraków), łącznie z wielką plenerową ekspozycją pn. „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa" na Placu Centralnym w Nowej Hucie w ramach cyklu imprez z okazji 750-lecia lokacji Krakowa, były próbą odzyskiwania pamięci zbiorowej, godności i należnego miejsca w historii społeczności skazanej w okresie PRL-u na przemilczenie. Stereotypy za pomocą których indoktrynowano przez całe dziesięciolecia zostały poddane weryfikacji i konfrontacji z wersją wydarzeń opowiedzianych i zapisanych przez ludzi, których życiorysy splotły się z tą ziemią.

Potomkowie rodzin

pochodzących z Mogiły, Bieńczyc, Czyżyn, Łęgu, Krzesławic, Grębałowa, Luboczy, Pleszowa, Ruszczy, Branic i Kościelnik podjęli inicjatywę wskrzeszenia własnej dumy, historii, barw lokalnej przeszłości i dlatego demonstrują solidarność, a zarazem ofiarność w rekonstruowaniu wizerunku świata swoich przodków. Dzięki zachowanym fotografiom i relacjom osób pamiętających jeszcze okres przedwojenny, okupację i lata 50. łatwiej można dostrzec fałsz i obłudę różnorodnych działań propagandowych jakim poprzedni reżim polityczny poddał Nową Hutę i wszystko, co przed nią tu istniało. Dzięki wystawom i publikacjom w tutejszy proces dziejowy wpisani zostali ludzie zarówno znani: księża, wójtowie, działacze społeczni, sołtysi, bogaci kmiecie czy nauczyciele, jak i anonimowi, których utrwalony na zdjęciu wizerunek podczas Pierwszej Komunii Świętej, procesji lub odpustu pozostał jedynym zachowanym po nich wspomnieniem. Tylko nielicznym spośród osób ukazanych na zdjęciach dane było dożyć chwili obecnej, gdyż taka jest nieubłagana kolej rzeczy. Na fali powracającego zainteresowania egzystencją tamtych pokoleń, rodzi się dość smutna refleksja o grzechu zaniechania, i żal, że w minionych dziesięcioleciach nie poświęcono im wystarczającej uwagi. Ale upływ lat wcale nie oznacza, że ich życie okaleczone wojnami i przeorane kolejnymi eksperymentami społecznymi przestało nas interesować, i że jest zbyt późno na gromadzenie po nich pamiątek. Ukazując indywidualne losy wpisane w dzieje narodu poznajemy inny – głębszy – wymiar radości, sukcesów, porażek, tragedii. Syntezując wydarzenia z przeszłości widzimy znacznie więcej, co wpływa na zbiorową świadomość i wiedzę historyczną. Niech zatem doświadczenia pokoleń i wyciągnięte wnioski będą dla nas lekcją rozwagi i zadumy.

Historia to wrota do przyszłości

a współczesność jest konsekwencją dziejów, zarówno tych dalszych, jak i tych zapisanych w naszej pamięci. Dlatego warto zwrócić się ku tym dzielnym, a dziś nielicznym już ludziom, którzy w obronie ojcowizn, godności i wolności stawiali czoła przeciwności losu. Wielu z nich, będąc przykładem niesłychanej ofiarności zapłaciło za podjęcie nierównej walki wysoką cenę. Jeszcze inni przyjmując konformistyczną postawę wobec tych przemian i akceptując je, włączali się w ówczesny nurt życia, utrwalanie socjalistycznych zdobyczy i narzucanego porządku, który zresztą umiejętnie wykorzystywał zapał młodych – zwłaszcza przyjezdnych – którzy odreagowując gehennę przeżyć wojennych i biedę zaznaną jeszcze w czasach sanacji mieli teraz możliwość budowy ustabilizowanego życia. Ich korzyści i dążenia do realizacji naturalnych ludzkich potrzeb: szczęścia, miłości, bezpieczeństwa i akceptacji realizowały się właśnie tutaj – w Nowej Hucie. Jednak dla większości pierwotnych mieszkańców zniszczone poczucie ciągłości, osłabione więzi rodzinne, migracje, rozproszenie, gwałtowny napływ obcych dopełniały tylko czarę goryczy, a proponowane za wywłaszczenia zadośćuczynienie ze strony

państwa było zwykłym szyderstwem. Honor miejscowych gospodarzy nie pozwalał im podjąć groszowych odszkodowań przekazywanych z reguły w depozyt. Trudno się temu dziwić, bowiem za 3 morgowe pole można było wtedy kupić zaledwie garnitur. Wielu z nich tracąc życiowy dorobek zupełnie się załamało; były przypadki samobójstw, nagłych chorób, rozpaczy, rozpicia i nędzy. Byli jednak i tacy, którzy znaleźli w sobie dość siły, aby w doświadczeniu płynącym z nieugiętej wiary i rozumu, pracy i miłości, dać podstawy egzystencji następnym pokoleniom. Łącząc tradycję wyniesioną z rodzinnego domu z nowoczesnością jaką oferował ówczesny system, wtapiali się w nowe środowisko, podejmowali naukę, znajdowali pracę i mieszkania. Nie było to łatwe, gdyż komunistyczne władze awansem cywilizacyjnym przesłaniały w rzeczywistości daleko głębsze powody swoich kroków, obliczonych także na wzięcie odwetu wobec niepokornych. Dramatyczne dla miejscowej ludności zmiany były praktycznie kontynuacją okupacyjnej gehenny; od represji hitlerowskich nastąpiło płynne przejście do prześladowań okresu komunizmu. Zburzenie systemu dotychczas wyznawanych wartości i dynamika wydarzeń prowadziły do konfliktów ze światem zewnętrznym i problemów wewnętrznych. Ich przezwyciężenie wymagało postaw heroicznych, czego nie można było oczekiwać od wszystkich. Za wstrząsające zmagania z rzeczywistością trzeba było niekiedy zapłacić życiem, jeszcze częściej przesiedleniem lub emigracją.

Wielowymiarowe konsekwencje

odkrywania minionego świata i ludzi zamieszkujących tu przed nami, odczuwamy nieustannie. One mocno uświadamiają, jak wielkie są niezbadane obszary dziedzictwa kulturowego tego regionu, ile jest jeszcze do zrobienia oraz jak wiele z tego wszystkiego bezmyślnie (a może rozmyślnie?) i bezpowrotnie utracono. Złożyło się na to wiele różnych przyczyn, których wyjaśnianie pozostawmy czynnikom posiadającym w tym zakresie lepsze przygotowanie i kompetencje. Ale przecież każdy z nas może spróbować swych sił w podjęciu wysiłku dotarcia do źródeł wiedzy o tamtej rzeczywistości, którą trzeba odkrywać, choćby ze względu na przemijające pokolenie i posiadaną przez nie bezpośrednią wiedzę o bogactwie odcieni życia społecznego jakie posiadały wioski wchłonięte przez Nową Hutę. Nie chodzi tu bynajmniej o idealizację tamtego świata, który zresztą już dawno przestał istnieć, ani o epatowanie jego „martyrologią" (co jest niekiedy stawiane przez reprezentantów pewnej opcji jako zarzut współczesnym badaczom), ale o ukazanie – poprzez uchwycenie obiektywem aparatu i piórem – jego charakterystycznych fragmentów po to, aby wiedzieć skąd przychodzimy, jakie są nasze korzenie i abyśmy poznawali i chronili własną tożsamość. Zbyt wiele bowiem uczyniono aby ją zdyskredytować, zamazać, zdeformować lub zawłaszczyć, a w efekcie – zniszczyć. Stosowanie tych metod obliczone było przede wszystkim na młode pokolenie, które nie mając odpowiedniej wiedzy ani skali porównawczej nie mogło się zorientować w dokonanej manipulacji użytej w celu zmiany znaczenia ideowego istotnych elementów naszej kultury narodowej. Przypominanie tych faktów nie ma na celu rozdrapywania ran, a jedynie okazanie, że nie padliśmy ofiarą powszechnej amnezji. Nowa Huta to miejsce, gdzie na stosunkowo niewielkim terenie – w sposób symboliczny, a zarazem bardzo realny – odbija się wyraźnie, niczym w zwierciadle historia naszego powojennego kraju. To tutaj rozegrały się latem 1949 r. sceny niszczenia dojrzewających zbóż i innych płodów rolnych, gdzie przybysze „z czterech stron świata" wraz z narzuconą, obcą ideologią zdominowali jej pierwotnych mieszkańców tworząc od podstaw samodzielne miasto. Zbudowano tu domy mieszkalne i rozmaite instytucje; sklepy, szkoły, przedszkola, żłobki, a przede wszystkim ogromny kombinat przemysłowy – „Hutę im.Lenina".

Nadejście „nowego"

unicestwiło dawne sady, pola uprawne i chaty. Spowodowało zagładę ojcowizn, które choć biedne i skromne były przecież czyimś dziedzictwem, żywo odzwierciedlającym ciągłość i harmonijne trwanie pokoleń. Na tym miejscu, pośród jego ocalałych resztek i zachowanych do dziś reliktów wyrosło zupełnie nowe, socjalistyczne miasto. Tysiące przybyszów osiedliło się, założyło rodziny, zapuściło na dobre korzenie i po latach adaptacji do nowych warunków wydało następne pokolenia. To były wydarzenia, które z perspektywy kilkudziesięciu lat można odczytywać bez wielkich emocji, pomimo, że do dziś żyją jeszcze radykałowie, którzy chętnie wysłaliby Nową Hutę jej fundatorom cegła po cegle...

Teren pod wielką budowę w pobliżu sanktuarium narodowego – Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa wybrano nieprzypadkowo. Napisano na ten temat już sporo, historia zawsze jednak pozostaje zagadką i fantomem. Widzimy bowiem jej skutki, zaś przyczyny i mechanizmy często pozostają przez lata w ukryciu. Zdobytą wiedzę może jednak wzbogacić intuicja i przekaz słowny. Może ją także rozszerzyć fotografia dokumentalna, która przybliża to, co wynika bezpośrednio z innych źródeł. Dotychczas nie poświęcano jej zbyt dużej uwagi, może zatem warto w ten sposób odkrywać rzeczywistość z której wyrastamy?

Mówienie i pisanie o Ojczyźnie

w czasie przeszłym i z dużej litery drażni dziś wielu obywateli Polski. Ich alergia na przebrzmiały patos i gołosłowność jest w pewnym sensie uzasadniona. Zbyt wielu bowiem posługiwało się cynicznym kłamstwem (i robi to nadal), hasłami bez pokrycia, co spowodowało niską ocenę własnego narodu i jego przeszłości – zwłaszcza u ludzi młodych. Trudno zresztą się temu dziwić, skoro w wielu dziedzinach, np. w polityce między deklaracjami a czynami występuje przepaść, i to żałosne zjawisko nie pozostaje niestety bez echa. Nieustanne odwoływanie się do przeszłości może powodować niechęć i zmęczenie, jednak obecna sytuacja świata „na rozdrożu" obliguje nas do tego, aby podejmować zagadnienia dotyczące polskiej tożsamości i powrotu do korzeni. Takim obszarem jest pamięć i tradycja narodowa. Jest rzeczą istotną, czy będą one obecne i wystarczająco żywotne w naszym życiu prywatnym i publicznym, czy będą twórczo kształtować osobowość Polaków, lub też pozostaną tylko pusto brzmiącym frazesem skazanym na wyjałowienie z głębszych treści, traktowane z pogardą jak zaściankowy uraz, od którego powinni się w imię Postępu uwolnić ludzie nowocześni. Pomoc w jej rozumieniu i poszukiwanie odniesień do rzeczywistości jest bardzo ważnym i trudnym zadaniem. Kiedy w 1979 r. papież Jan Paweł II żegnał się z nami po pierwszej historycznej pielgrzymce do naszej Ojczyzny, wołał na Błoniach krakowskich: „Zanim stąd odejdę... popatrzę jeszcze stąd na Kraków, na ten Kraków, w którym każdy kamień i każda cegła jest mi droga – i popatrzę stąd na Polskę... I dlatego – zanim stąd odejdę, proszę was, abyście całe to duchowe dziedzictwo, któremu na imię „Polska" raz jeszcze przyjęli z wiarą, nadzieją i miłością – taką, jaką zaszczepia w nas Chrystus na chrzcie świętym. Abyście nigdy nie zwątpili i nie znużyli się i nie zniechęcili. Abyście nie podcinali sami tych korzeni, z których wyrastamy. Proszę was: Abyście mieli ufność nawet wbrew każdej słabości, abyście szukali zawsze duchowej mocy u Tego, u którego tyle pokoleń ojców naszych i matek ją znajdowało. Abyście od Niego nigdy nie odstąpili. Abyście nigdy nie utracili tej wolności ducha, do której On „wyzwala" człowieka. Abyście nigdy nie wzgardzili tą Miłością, która jest „największa", która się wyraziła przez krzyż, a bez której życie ludzkie nie ma ani korzenia ani sensu." Jak ważne to przesłanie nie trzeba nikogo przekonywać, kto tylko czuje owo „duchowe dziedzictwo, któremu na imię Polska".

Ludzie, o których jest ta książka,

kilkadziesiąt lat temu dali głębokie świadectwo swej wiary, niezłomności i przywiązania do tradycji ojczystej. Lecz byli przez to niewygodni dla systemu. Starano się im odebrać Boga, przetrącić moralny kręgosłup i solidarność grupową. Odbierano majątki, „kułaków" więziono, niszczono plony, burzono domostwa, pozbawiano pracy, a mniej zaradnych lekceważono wyśmiewając ich „zacofanie". Władza „ludowa" i siły Postępu posiadając jedyny przepis na dobrobyt, określały co jest dla człowieka dobre, a co złe. Bezwzględna przemoc i kłamstwa propagandy prześcigały się wzajemnie w dążeniu – cudzym kosztem – do kolejnej utopii społecznej. „Ludność wsi tracąc ziemię, traciła zarazem podstawy swojego bytu. Powszechnie panujący stan przygnębienia nie sprzyjał kontynuowaniu tradycji i zwyczajów, które wraz z utratą ziemi straciły również swój sens. Władza robiła wszystko aby zniszczyć ich społeczną pozycję." – napisała w zamieszczonym w tej książce wywiadzie dr Barbara Salwińska-Ciećkiewicz z Czyżyn, naoczny świadek tamtych wydarzeń. Nadszedł czas, aby współczesnym uzmysłowić historię tragedii i krzywdy o której totalnie wtedy milczano, a przynajmniej zaakcentować, że rachunek sumienia i zadośćuczynienie muszą nastąpić, bo dość było zakłamywania przeszłości i knebli kładzionych na ludzkich ustach! Tymczasem były buldożery i demolowanie wszystkiego co wcześniej istniało. Był szok i przerażenie. Prześladowania trwały przez wiele lat. Gniazda rodzinne przestawały istnieć, a te, które pozostały w tzw. „strefie ochronnej" wokół nowohuckiego kombinatu dogorywały powoli, a wraz z nimi ludzie i zwierzęta. Na ziemi pamiętającej „dymarki" sprzed stuleci wytapiano teraz miliony ton stali, kominy dymiły wzbijając wysoko ponad miastem gęstą zasłonę, a gigantyczne hałdy odpadów przemysłowych i śmieci pokrywały coraz to nowe powierzchnie. Jedne z najpiękniejszych tutejszych uroczysk zasypano; naturalne wodopoje o krystalicznej wodzie i kwitnące łąki przestały istnieć, a stare drzewa wycięto. Smutne pozostałości tamtych wydarzeń można jeszcze do dziś spotkać na obrzeżach miasta. Tamtych ludzi już raczej nie. Pochodzący sprzed wielu lat obraz świata, który wyłania się z zebranych fotografii obieramy teraz za punkt wyjścia naszych dociekań. Nie wystygłe jeszcze wspomnienia wciąż zaprzątają nasz umysł i serce. Szczególnie zaś tych, co pochowali tu swoich krewnych. Prochy ich przodków upominają się o swą pamięć. Historia, która wraz z nadejściem socjalizmu nagle wyparowała, teraz powoli się skrapla. Czas zatrzymany w tysiącach małych cząsteczek – fotografii i wspomnień – odbija tamten zapomniany i odległy świat, gdzie „kraj lat dziecinnych" i słodycz życia przeplatały się z cierpieniem, bólem przemijania i śmiercią. Za pomocą naszej wyobraźni stare, zniszczone zdjęcia pozwalają

odtwarzać zerwane wcześniej więzy rodzinne i przeszłość. Dzięki nim możliwe staje się pokonanie niepamięci, odżywają wspomnienia. Nostalgia splata się z radością, a łzy ze śmiechem. Można lepiej zrozumieć, że to co jest dla nas cenne, co porusza sumienie, może stać się bliskie także innym ludziom. To wszystko ma głęboki sens w konfrontacji z nieubłaganym czasem. To wreszcie rodzaj kontaktu ze światem minionym, i z ludźmi, których już nie ma, a których kochaliśmy i kochamy. Nie pozwólmy, aby pamięć o nich zaginęła.

Przeżycia,
które towarzyszyły czytelnikom, widzom i uczestnikom akcji „Czas zatrzymany", a szczególnie dzieciom i młodzieży odkrywającym nieznane wcześniej dziedzictwo Nowej Huty, uświadomiły potrzebę jej kontynuowania dla celów poznawczych, dokumentacyjnych, emocjonalnych, dla odzwierciedlenia tego wszystkiego, co gra w „słowiańskiej duszy". Spragnieni wiedzy i ciekawi życia naszych przodków byli także liczni widzowie nie tylko z Nowej Huty, ale nawet z innych rejonów Polski i z zagranicy: Anglii, Francji, Hiszpanii, Niemiec, Austrii, Włoch, USA, Australii... Świadczy o tym wiele wpisów do księgi pamiątkowej, listów, a nade wszystko bezpośrednich kontaktów latem 2007 r. w czasie trwania wystawy na Placu Centralnym i wyrażanych przez nich opinii, a to z kolei może wskazywać na pewne uniwersalne przesłanie i wartości, jakie tam dostrzeżono. Okazało się, że tematyka związana z przeszłością tych ziem wzbudziła żywy rezonans nie tylko w lokalnej społeczności – co jest zrozumiałe – ale znalazła także oddźwięk w dialogu międzykulturowym. Wraz z bagażem historycznych realiów jesteśmy jego małą częścią, a biorąc w nim udział poszerzamy własne horyzonty intelektualne, uczymy się i nawiązujemy nowe znajomości. To jest „sprzężenie zwrotne" pomiędzy otwarciem na innych ludzi i świat, a lokalną społecznością, i jej własnymi sprawami. Aby lepiej zrozumieć innych, trzeba jednak rozumieć samego siebie. Jak zauważył Arystoteles: „Aby być czyimś przyjacielem, trzeba najpierw umieć być przyjacielem samego siebie". Dlatego musimy pojąć najpierw własną sytuację i historię, tym bardziej, że należymy do pokolenia Polaków pamiętających jeszcze tych, którzy oddali swe życie za Ojczyznę. Trzeba myśleć, mówić i działać w prawdzie, bo tylko wówczas zacznie się wytwarzać atmosfera, w której znalezienie słusznych rozwiązań dla dobra ogółu stanie się możliwe na przekór złu rodzącemu klimat ryzyka nowych tragedii. Wspomnijmy tu słowa Jana Pawła II wypowiedziane w 1991 roku w Olsztynie, a jakże wciąż aktualne: „Przez wiele lat doświadczaliśmy w wymiarze społecznym, że publicznie nie mówiono prawdy – i nie dopuszczano do jej mówienia. Istnieje przeto wielka potrzeba odkłamania naszego życia w różnych zakresach. Trzeba przywrócić niezastąpione niczym miejsce cnocie prawdomówności. Trzeba, by ona kształtowała życie rodzin, środowisk, społeczeństwa, środków przekazu, kultury, polityki i ekonomii." To, czy tak się stanie, czy przeciwnie – będziemy ulegać indoktrynacji i zakłamaniu – zależy od nas. Wyciągajmy więc wnioski z tego co było, nie tracąc z pola widzenia aktualnych i obiektywnych przesłanek. Nie przejmujmy się tymi którzy mówią : „Przeszłość należy do przeszłości" i „Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr" – bo oni prawdopodobnie nie uświadamiają sobie (lub nie chcą) nieszczęścia, jakie niesie w sobie tragedia zaniku pamięci, szczególnie w wymiarze społecznym. Zgłębiajmy rzetelną wiedzę, bądźmy otwarci na świat i jego problemy. Zachowujmy wobec dynamiki wydarzeń odpowiedni dystans, a zarazem reagujmy na nie, poszerzając nieustannie własne perspektywy tak, aby nie być wyizolowanym z wszechstronnego uczestnictwa w życiu społeczności, zwłaszcza w obszarze tzw. wyższej kultury. Trzeba dążyć do porozumienia między ludźmi bez względu na metrykę, narodowość czy kolor skóry, ale starać się jednocześnie lepiej zrozumieć, skąd sami wyrastamy i kim jesteśmy. Nie wstydzić się swojego pochodzenia, wiary i tradycji. Warto także mieć własne przekonania wynikające z osobistych doświadczeń, aby podjąć wysiłek uzgodnienia swojego poglądu i oceny z rzeczywistością po to, by znaleźć w niej właściwe miejsce dla siebie. Wypada sobie wreszcie uświadomić, że z bezrozumnego sentymentalizmu nic dobrego dla narodu nie wynika, i dlatego tym bardziej należy chronić i wspierać wszystko to, co jest oryginalne i cenne dla naszego dziedzictwa. „Nigdy Polacy – pisał Tadeusz Kościuszko w r. 1814 do historyka angielskiego Jamesa Mackintosha – nie poddadzą się z własnej woli jarzmu cudzoziemców, albowiem ich charakter zbyt się różni od charakteru ich sąsiadów". Dodajmy, że w kwietniu 1794 r. odbył się przemarsz wojsk Tadeusza Kościuszki z Krakowa do Racławic, którego pierwszy etap prowadził przez Mogiłę, Pleszów, Wadów i Luborzycę do Kocmyrzowa, skąd chłopi wstępowali w jego szeregi, i gdzie kult naczelnika powstania w chłopskiej sukmanie utrzymuje się do dziś.

Żyjemy w świecie pełnym owoców chaosu,
który stając się „globalną wioską", ukazuje pesymistyczną diagnozę rzeczywistości kulturowej w odniesieniu do kwestii ojczystych, a skutkuje tym, że w sferze poznawczej, w szeroko lansowanych wzorcach i postawach male-

je stopniowo ranga spraw własnych i bliskich, za to zyskują na znaczeniu sprawy dalekie i obce. Przypomnijmy w tym miejscu, że papież Pius XI w encyklice „Caritate Christi Compulsi" z 1932 r. poświęconej kultowi Serca Jezusowego oraz sprawom społecznym powiedział: „uporządkowana miłość chrześcijańska nie tylko nie potępia przywiązania do narodu, przeciwnie – zasadami swymi uświęca je i ożywia". Czy słowa te mają większe znaczenie dla ludzi, których domem jest cały świat, a nie ojczyste gniazdo? Czy zastanawiają się nad tym przesłaniem ci, którzy dziś walczą tylko o to jak przeżyć? Warto zapoznać się z tą encykliką, ponieważ znajdziemy tam wiele wykładni dotyczących aktualnych problemów, które ostatnio znacznie się nasiliły. Wcześniej papież ten, jako Achille Ratti w kwietniu 1918 r. został mianowany przez papieża Benedykta XV wizytatorem apostolskim w Polsce, i bywał wraz z księciem abp. Adamem Sapiechą w Mogile i okolicznych wsiach. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości został nuncjuszem apostolskim. Podczas bitwy warszawskiej w 1920 r. pozostał w Warszawie jako jeden z dwóch (obok przedstawiciela Turcji) przedstawicieli dyplomatycznych obcego państwa. A oto co powiedział Prymas Polski, Prymas Tysiąclecia, Stefan Kardynał Wyszyński 12 maja 1974 r.: „Musimy po Bogu dochować wierności przede wszystkim naszej Ojczyźnie i narodowej kulturze polskiej. Będziemy kochali wszystkich ludzi na świecie, ale w porządku miłości. Po Bogu więc, po Jezusie Chrystusie i Matce Najświętszej, po całym ładzie Bożym, nasza miłość należy się przede wszystkim naszej Ojczyźnie, mowie, dziejom i kulturze, z której wyrastamy na polskiej ziemi. I chociażby obwieszczono na transparentach najrozmaitsze wezwania do miłowania wszystkich ludów i narodów, nie będziemy temu przeciwni, ale będziemy żądali, abyśmy mogli żyć przede wszystkim duchem, dziejami, kulturą i mową naszej polskiej ziemi, wypracowanej przez wieki życiem naszych praojców. Stąd istnieje obowiązek obrony kultury rodzimej".

Można postawić pytanie,
czy szacunek i troska o pomyślność Ojczyzny są nam jeszcze potrzebne, skoro w zmienionych warunkach nie odczuwamy już takich zagrożeń jak wówczas, gdy wypowiedziano te słowa? Nie mamy również takich doświadczeń, jakie mieli wywłaszczani chłopi z Mogiły, Bieńczyc, Pleszowa i innych podkrakowskich wsi w latach 50. ubiegłego stulecia. Tradycyjny patriotyzm stanowił dla ówczesnej doktryny systemu pewien rodzaj zagrożenia, ponieważ Boga nie uznawano, a zamiast o narodzie i ojczyźnie mówiło się raczej o społeczeństwie i kraju. Wolno było propagować folklor, jednak ten autentyczny w latach 60. zamierał z powodu słabnącego zainteresowania wśród młodzieży. Dla dawnych mieszkańców był on jednak widocznym symbolem narodowej tradycji, chłopskiej dumy i odrębności. Strój ludowy przekazywano w rodzinach z pokolenia na pokolenie, o ile nie złożono w nim zmarłych do grobu. Obecny, niechętny stosunek niektórych gremiów do pojęcia patriotyzmu wyraża przed nim obawy, ale on wynika z wewnętrznej, indywidualnej potrzeby człowieka i należy do uniwersalnych wartości takich jak miłość, sprawiedliwość, szacunek czy lojalność. Wydaje się, że przemiany w obecnej sytuacji Polski wynikające z integracji europejskiej mocno relatywizują te pojęcia. Wobec nowych szans, a zarazem wyzwań z nimi związanych potrzebne jest budowanie patriotyzmu aktywnego, odpowiedzialnego, i bardziej rozumnego niż emocjonalnego, czerpiącego z dobrych wzorców przeszłości, ale i uważnie spoglądającego w przyszłość. Pozostaje mieć nadzieję, że dając dowody właściwie pojętej świadomości polskości pomożemy obronić własną tożsamość. Jest ona bowiem związana z określonym miejscem, czasem, kulturą i tradycją. To czy zechcemy i zdołamy ją zachować, czy polskość będzie ulegała stopniowej erozji i rozmyciu – pozostaje sprawą otwartą. W powszechnym odczuciu i wymiarze społecznym jest to także kwestia wyboru pomiędzy stosunkiem do Ojczyzny jako fundamentu i punktu odniesienia, a zupełnie innym stylem życia, poglądami i systemem wartości. Obecnie nie można się domagać, aby podporządkowano się jednolitej formule, ponieważ ludzie chcą podmiotowości, chcą sami decydować o sposobach własnej identyfikacji. Ale dla pierwotnych mieszkańców z terenów obecnej Nowej Huty takimi punktami oparcia przed kilkudziesięciu laty była wiara katolicka, kościół, ludzie cieszący się dużym autorytetem, a także najbliższe środowisko: rodzina, szkoła i wieś gdzie przebiegało niemal całe ich życie. Wzajemne relacje i związki dotyczyły stosunkowo niewielkiego kręgu rodziny i najbliższych sąsiadów. Horyzonty wspólnoty jednak poszerzały się w miarę podejmowania nauki, pracy oraz rozwijania zainteresowań. Wiele osób działało w katolickich organizacjach młodzieżowych, klubach sportowych, a starsi uczestniczyli w ruchu ludowym. Społeczność ta miłowała Boga i Ziemię Ojczystą. Była nastawiona patriotycznie, o czym świadczą nie tylko dowody powszechnego udziału w obchodach świąt państwowych, kościelnych i ludowych, uroczystościach rocznicowych, manifestacjach, ale szczególnie jej postawa w czasie najwyższej próby – II Wojny Światowej. Pracowali bardzo ciężko – od świtu do wieczora – bo byli od pokoleń przywiązani do roli, którą kochali i uprawiali z ogromnym poświęceniem, potrafili także dostrzec piękno tkwiące w prastarych obyczajach i obrzędach, a niektórzy pisać dla potomnych wartościowe wspomnienia.

Tu, w Nowej Hucie,
często cytowane są słowa Jana Pawła II odnoszące się do krzyża, pracy i godności ludzkiej, wypowiedziane przez Niego podczas homilii 7 czerwca 1979 roku na dziedzińcu przed klasztorem OO. Cystersów w Mogile, ale patrząc na ukazane w tej książce życie chłopów z dawnych wsi, zwróćmy także uwagę na homilię wygłoszoną w czasie Mszy św. kanonizacyjnej bł. Jana z Dukli 10 czerwca 1997 r. w Krośnie, kiedy papież oddał hołd pracy rolnika:

„Pragnę oddać hołd miłości rolnika do ziemi, bo ta miłość zawsze stanowiła mocny filar, na którym opierała się narodowa tożsamość. W chwilach wielkich zagrożeń, w momentach najbardziej dramatycznych w dziejach narodu ta miłość i przywiązanie do ziemi okazywały się niezmiernie ważne w zmaganiu o przetrwanie. Dzisiaj, w czasach wielkich przemian, nie wolno o tym zapominać. Oddaję dzisiaj hołd spracowanym rękom polskiego rolnika. Tym rękom, które z trudnej, ciężkiej ziemi wydobywały chleb dla kraju, a w chwilach zagrożenia były gotowe tej ziemi strzec i bronić. Pozostańcie wierni tradycjom waszych praojców. Oni, podnosząc wzrok znad ziemi, ogarniali nim horyzont, gdzie niebo łączy się z ziemią, i do nieba zanosili modlitwę o urodzaj, o ziarno dla siewcy i ziarno dla chleba. Oni w imię Boże rozpoczynali każdy dzień i każdą swoją pracę i z Bogiem swoje rolnicze dzieło kończyli. Pozostańcie wierni tej prastarej tradycji! Ona wyraża najgłębszą prawdę o sensie i owocności waszej pracy. Tak bardzo jesteście podobni do ewangelicznego siewcy. Szanujcie każde ziarno zboża kryjące w sobie cudowną moc życia. Uszanujcie również ziarno słowa Bożego. Niech z ust polskiego rolnika nie znika to piękne pozdrowienie „Szczęść Boże!" i „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Pozdrawiajcie się tymi słowami, przekazując w ten sposób najlepsze życzenia. W nich zawarta jest nasza chrześcijańska godność. Nie dopuśćcie, aby ją wam odebrano – bo próbuje się to robić! Świat pełen jest zagrożeń. Docierają one poprzez środki przekazu także do polskiej wsi. Twórzcie kulturę wsi, w której obok nowych wymiarów, jakie niosą czasy, pozostanie – jak u dobrego gospodarza – miejsce na rzeczy dawne, uświęcone tradycją, potwierdzone przez prawdę wieków".

W dalszej części tej homilii Ojciec Święty dziękował za trud budowania świątyń: „Często z waszego rolniczego mozołu umieliście wydobyć ów wdowi grosz, by Chrystus w tym zakątku Polski miał swoje miejsce. Bóg wam zapłać za te piękne kościoły – owoc pracy rąk waszych i owoc waszej wiary. Jakżeż głębokiej wiary!".

Czy oglądając dziś zdjęcia z 1936 roku, zrobione podczas uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego przez ówczesnego ks. arcybiskupa Adama Sapiehę pod nowo zbudowany kościół p.w. Judy Tadeusza w Czyżynach, uświadamiamy sobie jak wielki, zbiorowy wysiłek podjęła wtedy tamta wiejska społeczność, obarczona prócz trudów zwykłego, codziennego życia konsekwencjami ogólnoświatowego wielkiego kryzysu? Ile trzeba było wtedy zebrać „wdowiego grosza", ile włożyć ofiarnej pracy, by powstało to dzieło?

Gotowość do poświęcenia,
patriotyzm i obywatelska postawa należą jednak do kategorii, które ewoluują w czasie wraz z różnymi okolicznościami, i choć już Cyprian Kamil Norwid pisał, że nie trzeba im się kłaniać „...a Prawdom kazać, by za drzwiami stały" – jakże często zapominamy o tym. Proces rozwoju własnej osobowości i osiągania dojrzałości duchowej, umysłowej i moralnej niesie zmiany wywierające wpływ na odczuwanie i rozumienie tych pojęć, a ponadto media i polityka przenosząc dotychczasowe punkty odniesienia w zupełnie inne miejsca wskazują na to, że wokół dzieje się coś niepokojącego. Powszechny relatywizm etyczny negując normy i wartości absolutne pogłębia wątpliwości i chaos moralny dzisiejszego świata. Nakłada się na to – w wielu sferach życia publicznego – manipulacja, co stawia nas w obliczu sytuacji, w których trudno dokonać wyboru. Nie zwalnia to jednak z podejmowania odważnej odpowiedzialności za sprawy publiczne i troski o dobro Rzeczypospolitej zwłaszcza dlatego, że pełno jest wobec niej obojętności, pogardy i zdrady. Trzeba pamiętać, że Polska miała piękną, ale i tragiczną historię. Niemal całkowita – realizowana według z góry określonych planów – zagłada przedwojennej inteligencji, do dziś nie rozpoznane w swym bezmiarze ludobójstwo ze strony Niemców i Sowietów, Golgota Wschodu, działalność wrogów wewnętrznych, a na mocy ustaleń jałtańskich utrata terytoriów (zwłaszcza Kresów Wschodnich), skradzione i zniszczone w czasie wojny dobra kultury, przegrane Powstanie Warszawskie, zburzona stolica, zaś w okresie PRL-u konsekwencje wprowadzania nowego systemu; z katowniami, więzieniami i obozami dla niepokornych – wywarły kolosalne przeobrażenia kraju we wszystkich dziedzinach życia państwowego i prywatnego.

Istnieje jednak księga niezliczonych kart zapisanych krwią Bohaterów – Patriotów walczących o wolność i pomyślność Ojczyzny, których doczesne szczątki skrywają mogiły, często bezimienne, rozsiane po całym kraju i poza jego granicami. Ludobójstwo odcisnęło swoje tragiczne piętno także w tutejszym regionie; w forcie w Krzesławicach i Grębałowie. To, co zostało w naszym narodzie tak głęboko okaleczone, na zawsze już pozostanie jego traumą i blizną, wywierając głębokie zmiany w świadomości społecznej, kładąc się mocnym cieniem

na rzeczywistości. Lecz byli i są tacy, którzy swoim życiem, postawą, obyczajami, przekorą, buntem rozsadzają ramy wszelkich stereotypów i schematów, u których nawet po upływie wielu dziesięcioleci widać, że w ludzkich ambicjach wciąż trwają jakieś n i e z n i s z c z a l n e idee podejmowane z determinacją przez następne pokolenia, a „pewne prawdy w życiu człowieka nigdy nie przemijają" (Jan Paweł II).

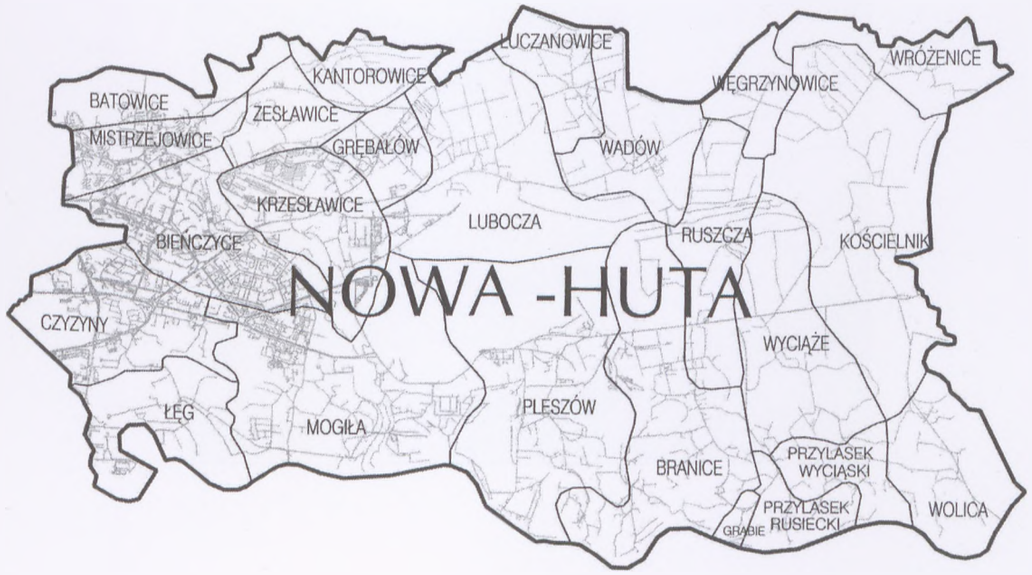
Czasy się jednak zmieniają,
a walka i odrzucenie Postępu i nowoczesności – innych jakościowo od tych sprzed półwiecza i osadzonych w odmiennych realiach ustrojowych i geopolitycznych – są nieracjonalne. Trzeba bowiem patrzeć w przyszłość, mieć własne cele, marzenia i umieć sensownie korzystać z różnorodnych dobrodziejstw dla własnego dobra. Realizując plany życiowe i spełniając się zawodowo dajemy także zabezpieczenie swojej rodzinie. W oparciu o rozmaite elementy dorobku cywilizacyjnego można osiągnąć większe możliwości na tak wielu płaszczyznach, że ich wymienianie byłoby wygłaszaniem truizmów. Te dylematy każdy człowiek, któremu nieobojętny jest własny los i rozwój samoświadomości powinien wnikliwie rozważyć samemu. Być może zamieszczone tu archiwalne zdjęcia, opisy i wspomnienia okażą się w tym pomocne, bo przez takie magiczne „szkiełko powiększające" można lepiej dostrzec zatarte już nieco, lecz ważne ślady przeszłości.

Zapytajmy, kim byli nasi przodkowie,
jak żyli, w jakim duchu wychowali potomstwo? Pooddychajmy nieco innym światem, w którym mimo siermiężnych warunków wszystko miało jednak pewien swój ład i porządek. Niech stare pamiątki „przeniosą naszą duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych"... Są w nich bowiem treści wzniosłe i piękne, ale też bolesne chwile zapisane na postrzępionych, pożółkłych kartkach papieru i wyblakłych zdjęciach. Można je także odkryć w naszych sercach, duszy i umyśle. Razem wzięte potrafią mocno przemówić. Podchodząc ku nim z rozumnym uczuciem i wyobraźnią odnajdziemy w nich nie tylko opowieść o przeszłości, lecz realne odbicie w codzienności, odszukamy dawne obrazy i relacje, które kształtują percepcję teraźniejszości. Łącząc w sposób świadomy istniejące dokumenty epoki o historii i kulturze tutejszego regionu i społeczności uzyskamy frapujące, wielowarstwowe medium, pozwalające lepiej poznać, zrozumieć i ocenić naszą rzeczywistość.

24 listopada 2008 r. *Adam Gryczyński*

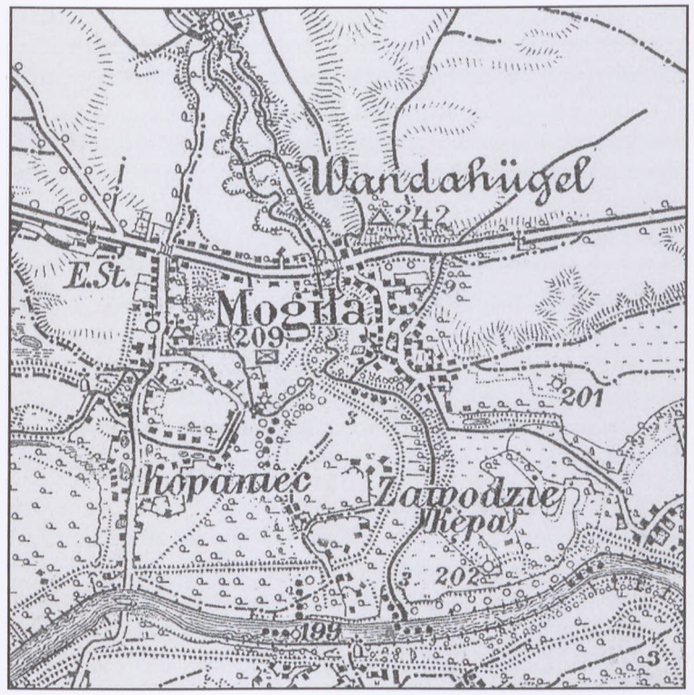


Mapa z czasów austriackich (ok. 1900 r.) przedstawiająca tereny na wschód od Krakowa



Mapa granic Krakowa z naniesionymi z austriackich map katastralnych granicami podkrakowskich wsi

Mogiła


Wandahügel
△242
E.St.
Mogila
209
201
Kopaniec
Zawodzie
Mogila
202
195

W Mogile pod Krakowem...

Pisana historia Mogiły zaczyna się w 1222 roku. O Mogile wspomina w akcie fundacyjnym klasztoru Cystersów biskup krakowski Iwo Odrowąż. W tym pergaminowym dokumencie występuje też łacińska nazwa Mogiły – „Tumba". Cystersi dodali przymiotnik „Clara" (Jasna) i nazwali swój klasztor Clara Tumba, czyli Jasna Mogiła. Było to już dwunaste opactwo cysterskie w Polsce. Cystersi przybyli na ziemię krakowską z opactwa w Lubiążu na Dolnym Śląsku. Pierwszą ich siedzibą tutaj przez kilka lat były Kacice koło Słomnik. Jednak ta miejscowość im nie odpowiadała, dlatego za zgodą fundatorów w roku 1226 przenieśli się do Mogiły, która była dla nich dogodniejsza, bo miała w swym obrębie Wisłę i małą rzekę Dłubnię, a w niedalekich Zesławicach i Bieńczycach znajdowała się dobra glina na cegłę do budowy klasztoru i kościoła. Dzięki tym korzystniejszym warunkom zakonnicy mogli łatwiej spełnić wymogi reguły zakonnej, która zawierała zalecenie: „Klasztor tak ma być zbudowany, żeby na miejscu miał wodę, młyny, ogród, piekarnię i rozmaite rzemiosła. Obowiązki zaś na zewnątrz klasztoru winny być tak zorganizowane, by zakonnicy mieli czas na służbę Bożą i pracę w skryptorium."

Jakie cele przyświecały fundatorom mogilskiego klasztoru? Badacze dziejów wskazują na następujące motywy natury religijnej i gospodarczej. Zapewne fundatorzy pragnęli ugruntować wiarę chrześcijańską tam, gdzie tradycja pogańska tkwiła jeszcze silnie w duszy ludu i gdzie zostały jeszcze żywe pamiątki pogaństwa, m.in. kopiec Wandy oraz wzgórza i inne miejsca obrzędowe. Fundatorom chodziło też zapewne o stworzenie obok Tyńca równie silnego ośrodka kultury monastycznej po wschodniej stronie Krakowa. Ale istotną rolę odegrały także bez wątpienia cele gospodarcze. Mieli je na względzie zarówno fundatorzy, jak i władcy tych ziem. Cystersi posiadali doskonałych fachowców w różnych dziedzinach gospodarki, stąd też władcy chętnie nadawali im tereny rokujące nadzieje ekonomicznego rozwoju, dzięki czemu znacznie wzrastała też pozycja społeczna fundatorów. W przypadku Mogiły chodziło o stworzenie zaplecza gospodarczego dla Krakowa. Tutejsze żyzne ziemie potrzebowały dobrych gospodarzy.

Zakonnicy cysterscy, zgodnie z ich dewizą służenia Bogu i ludziom, położyli w tym zakątku Polski wielkie zasługi w podnoszeniu kultury agrarnej, rozwoju różnych rzemiosł, w dziedzinie szkolnictwa i nauki, na polu ochrony zdrowia, wreszcie w dziedzinie architektury i sztuki. Umieli zawsze dobrze gospodarzyć. Inicjowali i angażowali się w realizację na tych terenach takich przedsięwzięć, jak przeprowadzanie melioracji, karczowanie lasów, budowanie dróg i mostów, kopanie koryt rzecznych (skierowali koryto Dłubni w mury klasztorne), zakładanie młynów, piekarni, browarów, foluszy (służących do zagęszczania tkanin), warsztatów tkackich i szewskich, a także kuźnic do wytapiania z rudy darniowej żelaza i wyrabiania metalowych przedmiotów. W dokumentach z 1389 i 1391 roku wymieniony jest brat Michał, z zawodu „fornarius", czyli kuźnik – wytapiacz. Ten cysterski mnich doczekał się dziś w Nowej Hucie ulicy swego imienia, awansując do miana hutnika. Na gruntach należących do Cystersów w Mogile – przy ujściu rzeki Dłubni do Wisły – krakowscy przedsiębiorcy Jan Turzo i Jan Tesznar założyli w 1469 roku hutę (topnię) miedzi. Ten wielki na ówczesne czasy zakład przemysłowy działał do 1529 roku. Na tychże polach cysterskich nad Dłubnią w 1500 roku inni dwaj bogaci mieszczanie krakowscy – Bernard Jeckel i Fryderyk Szyling – zbudowali papiernię, która istniała do ok. 1660 roku. W Mogile od końca XVIII w. działała przy klasztorze szkoła ludowa, w której uczyli aż do początków XX wieku tutejsi zakonnicy. Swój trud poświęcali w dużej mierze dla najbiedniejszych warstw społecznych, sami niewiele potrzebując.

***

Ludzie żyjący nad brzegiem morza tak przywykają do szumu fal, że przestają go słyszeć. Podobnie chyba i my, parafianie mogilscy – choć może nie wszyscy – utraciliśmy wrażliwość na zewnętrzne i wewnętrzne piękno naszych średniowiecznych świątyń, sławnego klasztoru i w ogóle na historię tego zakątka polskiej ziemi. A przecież wszystko, co nas tutaj otacza: architektura i sztuka sakralna, bogate dziedzictwo przeszłości i żywe tradycje, a nawet malowniczość wrześniowych odpustów mogilskich – aż proszą się pod pędzel, o sfilmowanie, zwiedzenie i bliższe poznanie. Sto lat temu krakowski historyk sztuki i malarz, Władysław Łuszczkiewicz, rozmyślając o przeszłości XV-wiecznego kościółka Św. Bartłomieja w Mogile, pisał: „Z tym cmentarzykiem dokoła, z tym drewnianym jego ogrodzeniem, przez czas sczerniałym, z tą drewnianą dzwonnicą, przez którą wejdziesz na cmentarz od drogi, w otoczeniu starych lip, pozostał typowym przedstawicielem starego polskiego farnego kościółka wiejskiego..." (Wł. Łuszczkiewicz, „Wieś Mogiła przy Krakowie", Kraków 1899).

Urzekają oko architektoniczne detale klasztornego kościoła (od 1970 r. bazyliki), wybudowanego w XIII wieku, a później wielokrotnie przebudowywanego. Powstała architektura piękna przez swą prostotę według miary zakonnej reguły Cystersów. Ale ta prostota i surowość klasztorna urzeka, sprawia, iż patrzymy na nią w skupie-

niu i z podziwem. Cudnie kute w kamieniu różnorodne ornamenty: nasady żeber w prezbiterium, rzeźbione głowice (kapitele) romańskie w transepcie i w kaplicach, kamienne zworniki i medaliony. Przyciąga uwagę posiadający silną architektoniczną ekspresję romański portal z XIII wieku, wprowadzający z kościoła na krużganki klasztorne. Zachowały się częściowo w kościele i w klasztorze XVI – wieczne piękne polichromie brata Stanisława Samostrzelnika – cystersa, pierwszego narodowego malarza wielkich talentów (zmarł w 1541 r.). Wykonał polichromię prezbiterium, transeptu (Ukrzyżowanie), kaplic bliźnich, krużganków i biblioteki. Renesansowa polichromia Samostrzelnika w prezbiterium ukazuje scenę Zwiastowania oraz medaliony z prorokami. Może dobrze będzie w tym miejscu wyjaśnić lub przypomnieć, że transept – to nawa poprzeczna przecinająca nawę główną, a prezbiterium – to część kościoła, gdzie się znajduje wielki ołtarz. Wśród zabytków kościoła skłaniają do zadumy renesansowe nagrobki postaci historycznych – pomniki i epitafia.

Jednak prawdziwym skarbem mogilskiego kościoła jest prastary Cudowny Krzyż, którego historyczne początki giną w pomroce dziejów. Tradycja głosi, że był w Mogile od początku istnienia klasztoru. Od stuleci też stałym, nierozdzielnym składnikiem życia Mogilskiego Sanktuarium są pielgrzymi przybywający do kaplicy Krzyża Świętego – pojedynczo, z rodzinami bądź w pielgrzymiej grupie. Zatopieni w modlitwie przed Wizerunkiem Ukrzyżowanego Zbawiciela, obchodzący pokutniczo na kolanach ołtarz łaskami słynącego Chrystusa na Krzyżu, zostawiający tutaj swoje bóle, utrapienia i cierpienia.

Mogiła – to także jesienny odpust w Uroczystość Podwyższenia Krzyża Świętego i w jej oktawie. Tłumy odpustowych pielgrzymów ze wszystkich stron Polski, „takie jak przeszłego roku, jak przed laty, przed wieki" – można i obecnie powtórzyć za kronikarzem krakowskiego „Czasu", notującym w 1856 roku swe wrażenia z pobytu w Mogile z okazji odpustu. A reporter krakowskich „Nowości Ilustrowanych" prawie sto lat temu, pod datą 30 września 1905 roku, pisał: „Wielką popularnością wśród Krakowian cieszy się doroczny odpust u OO. Cystersów w Mogile we wrześniu. Toteż zazwyczaj przez cały tydzień, o ile sprzyja pogoda przysłowiowo pięknej jesieni polskiej z babskim latkiem – ciągną od Krakowa w stronę kopca Wandy, po gładkiej szosie mogilskiej, wśród tumanów kurzu, szeregi rozmaitego zaprzęgu furmanek, gęsto naładowanych gośćmi odpustowymi (...) W ogóle, jeżeli chodzi o malowniczość, to tradycyjne odpusty w ziemi krakowskiej niewiele z niej jeszcze zatraciły po dziś dzień (...) Zawsze, jak dawniej, proszą się jeszcze pod pędzel, zwłaszcza dopóki nie zaginą bajecznie kolorowe stroje włościańskie spod Krakowa." Kronikarze tamtych czasów odnotowują też niezawodną obecność na mogilskich odpustach „dziadów licznych, z których niemal każdy mógłby stanowić pyszny model dla malarzy, bądź fantastycznością swojej postaci, bądź też niezwykle charakterystycznym typem twarzy". Te cytaty z ubiegłowiecznej prasy zaczerpnąłem z monografii krakowskiego historyka Józefa Dużyka pt. „Nowa Huta – od średniowiecza do XIX wieku", wydanej w Krakowie w 1957 r. nakładem Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa.

Stanisław Misiak

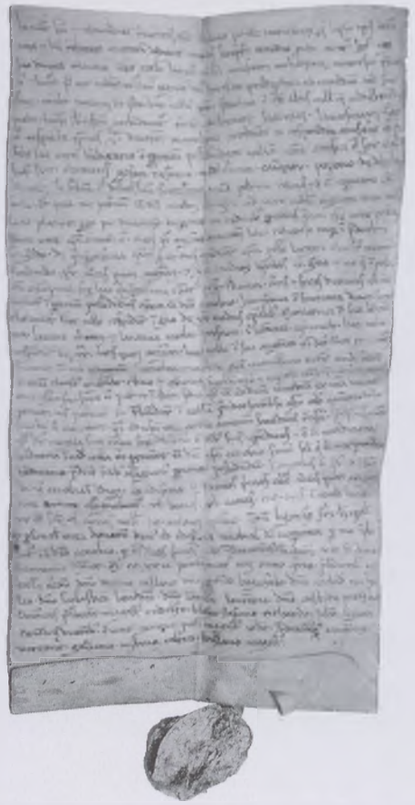
Artykuł ukazał się pierwotnie w „Mogilskim Krzyżu", w lutym 2001 r.

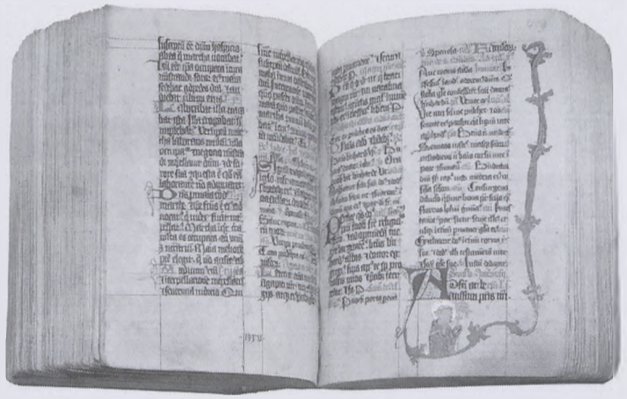


Procesja w czasie uroczystości Bożego Ciała przy kościele p.w. Św. Bartłomieja w Mogile, pocz. XX w.



Ulica Klasztorna w Mogile, w głębi kościół p.w. Św. Bartłomieja, lata 30, fot. Jan Kotyza





Brewiarz cysterski z 1412 r., fot. Adam Gryczyński

Dokument fundacyjny klasztoru OO. Cystersów w Mogile z 1222 r.



Kościół OO. Cystersów w Mogile, od strony ulicy Klasztornej, lata 20-30 XX w.



Klasztor i kościół OO. Cystersów na starej pocztówce



Kościół OO. Cystersów od strony ogrodu, lata 20-30. XX w.

Charitas sine modo

Charitas sine modo – Miłość Bez Granic – napis na złoconej tablicy umieszczonej nad głową Chrystusa w ołtarzu Pana Jezusa w Mogile.

Święty Bernard z Clairvaux – cysters, wielki czciciel Ukrzyżowanego Zbawiciela, powiedział: przyczyną miłowania Boga, jest sam Bóg; miarą tej miłości jest miłość bez „miary". Kto miłuje bez miary? Oczywiście tylko sam Bóg. Krzyż nas o tym przekonał całkowicie!"

Skąd łaskami słynący Chrystus na Krzyżu w Mogile? Proste i oczywiste wyjaśnienie podał O. Opat Bogumił Salwiński (†1991): „Podobało się Panu Jezusowi wybrać kościół w Mogile na jedno z tych miejsc uprzywilejowanych, gdzie ludzie przychodzą, modlą się, proszą i są wysłuchiwani, gdzie dziękują za otrzymane łaski. Tak jest od wielu wieków, aż po dzień dzisiejszy".

Historycznie rzecz wyjaśniając, jego pochodzenie ginie w mrokach dziejów. Jak głosi tradycja, łaskami słynący Chrystus na Krzyżu był w Mogile od początku istnienia klasztoru. Legenda głosi, że Wisłą płynęły trzy krzyże. Wszystkie szczęśliwie dopłynęły do Krakowa. Jeden znajduje się w kościele Mariackim, drugi w kościele Świętego Krzyża, a trzeci w Mogile.

Najstarsze wiadomości dotyczące historii łaskami słynącego Wizerunku Ukrzyżowanego Zbawiciela zawiera dzieło pod tytułem „Diarium Historicum" wydane w Bazylei w 1572 roku. Księgę tę przywiózł z Włoch opat mogilski i biskup Kazimierski – Marcin Białobrzeski (†1586), sam dopisując wiele not z życia państwowego i klasztoru. Oprócz Diariusza archiwum opactwa zawiera wiele innych źródłowych dokumentów odnoszących się do czci Krzyża w Mogile.

Z zapisów wyczytać można wiele cudownych działań dokonanych w świątyni przez Ukrzyżowanego:

W 1241 roku podczas pierwszego napadu, opactwo bardzo ucierpiało. Tatarzy rabując kościół, pragnęli także zagrabić wota znajdujące się przed Wizerunkiem. Zostali jednak tak przerażeni obliczem Chrystusa, że uciekli z Mogiły, poniechawszy dalszego rabunku. Następny najazd w 1259 roku przyniósł klasztorowi wielkie szkody. Najeźdźcy wymordowali zakonników. Wtedy też, jak głosi notatka, ponownie objawia się moc Ukrzyżowanego. Gdy Tatarzy wyciągnęli ręce po wota, zostali straceni z drabiny a gdy ponownie usiłowali do nich się dostać spadli tak gwałtownie, że kilku z nich poniosło śmierć na miejscu. Inni to widząc, uciekli w przerażeniu.

W 1447 wielki pożar zniszczył wnętrze świątyni w Mogile. Z ognia ocalał tylko krzyż. Wydarzenie to poruszyło cały Kraków i okolice. Sam biskup krakowski kardynał Zbigniew Olesiński przybył do Mogiły i fakt ocalenia Krzyża z płomieni stwierdził naocznie oraz udokumentował własnym podpisem.

Przykre chwile najazdu przeżył klasztor w XVI wieku, gdy arcyksiążę austriacki Maksymilian Habsburg, brat cesarza Rudolfa II, ruszył z wojskiem na Kraków i w 1587 roku stanął w Mogile. Arcyksiążę – niedoszły król Polski, zamieszkał w bibliotece klasztornej, skąd wysyłał poselstwa i wydawał rozkazy. Jego żołnierze kwaterowali w budynkach opactwa. Jeden z nich, którego kronikarz klasztorny nazywa heretykiem, odważył się nałożyć hełm żołnierski na głowę Ukrzyżowanego. Opowiadanie głosi, że Ukrzyżowany głową poruszył i hełm z wielkim hukiem spadł na posadzkę kościoła. Przestraszeni tym faktem żołnierze, uciekli ze świątyni. Odczytano to jako proroctwo mówiące, że na głowie Maksymiliana nie spocznie korona polska. I tak się stało. Szturm arcyksięcia na Kraków został odparty, a on sam po klęsce na polach Byczyny został wzięty do niewoli przez kanclerza Jana Zamoyskiego. Chociaż niejeden trudny okres w swojej historii przyszło przeżyć klasztorowi, to opieka łaskami słynącego Pana Jezusa na krzyżu sprawiła, że opactwo istnieje i działa bez przerwy, aż do dziś. Przetrwało ono inwazje nieprzyjaciół, którzy z różnych stron tutaj przybywali, grabili, plądrowali paląc za sobą budynki klasztorne. Wiele razy stawał w płomieniach kościół i klasztor, ale podnosił się ze zgliszcz, bo jego mieszkańcy mieli zawsze nadzieję w Krzyżu Chrystusa. Gdy patrzymy na przedziwne dzieje tego opactwa, musimy uznać niezwykłą opiekę Ukrzyżowanego Zbawcy od wieków tutaj otaczanego serdeczną czcią.

Cudowna moc krzyża sprawiała, że do Sanktuarium spieszyli polscy królowie, rycerze i inni dostojnicy państwowi. Odchodzili stąd przemienieni, umocnieni, gotowi do ofiarnej miłości: Książe Bolesław Wstydliwy wraz ze swą małżonką bł. Kingą i całym dworem wziął udział w uroczystościach konsekracyjnych kościoła mogilskiego. O wizycie Kazimierza Wielkiego odnotowano w księdze klasztornej, iż skruszony modlił się przed Panem Jezusem, a legenda podaje, że usłyszał nawet słowa upomnienia płynące od Cudownego Krzyża. Przed Ukrzyżowanym modliła się królowa Jadwiga, Zygmunt Stary, jego syn Zygmunt August, królowa Bona i Anna Jagiellonka – małżonka Stefana Batorego. Sam król Stefan Batory jadąc na koronację do Krakowa, spędził w Mogile trzy dni. Wielką czcią otaczał Mogilski Krzyż Zygmunt III Waza, który parokrotnie przybywał do Sanktuarium. Dwa razy

w Mogile był Król Jan Kazimierz. Gdy powracał do kraju ze Śląska gościł w klasztorze dwa tygodnie.

Do Pana Jezusa w Mogile podążali księża biskupi krakowscy, począwszy od fundatora opactwa Iwona Odrowąża. Za nimi podążają również biskupi z Poznania, Płocka, Chełmna Lwowa, Kamieńca, Przemyśla i innych diecezji.

Przeglądając księgę pamiątkową opactwa zakresu międzywojennego i czasów nam współczesnych, znajdujemy w niej nazwiska księży biskupów ze wszystkich diecezji polskich. Nie mogło w murach opactwa zabraknąć osoby Prymasa Tysiąclecia, ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego (†1981). Prywatnie bywał tu kilka razy. Oficjalnie m.in. 6 września 1964r na uroczystościach 700-lecia konsekracji kościoła Cystersów i 14 maja 1972r na jubileuszu 750-lecia istnienia i działalności klasztoru. W kaplicy Ukrzyżowanego często spotkać można było wytrwałego pątnika Karola Wojtyłę. Jako biskup krakowski wielokrotnie wygłaszał tu kazania i celebrował nabożeństwa, a 9 czerwca 1979 r. już jako papież Jan Paweł II modlił się przed Ukrzyżowanym.

Chrystus przez wizerunek Ukrzyżowanego od wieków okazywał swoją moc i darzył łaskami. Potwierdzają to kroniki klasztorne, liczne wota, fundacje oraz kilka tomów ksiąg gdzie zapisano prośby i podziękowania do Ukrzyżowanego. Zapiski klasztorne zawierają rejestr wotów, które były składane przed Cudownym Wizerunkiem. Najpierw biskupa krakowskiego Jana Prandoty z roku 1253, potem wójta Fulkona z 1258 roku, obywatela miasta Fabiana z 1302 roku i tak dalej aż do naszych czasów. Przypomnijmy niektóre:

W bitwie pod Cecora w 1620 r., gdzie w walce z Turkami zginął kwiat wojska polskiego, brał udział rycerz polski Stefan Skarbek Żółtowski, podstarości rabsztyński. Otoczony przez Turków z ufnością polecił się Jezusowi. Został wysłuchany. Ujrzał przed sobą jaśniejący w obłokach krzyż z wizerunkiem Zbawiciela i usłyszał słowa: „Szukaj mnie w Polsce". Cudownie uratowany długo jeździł po Polsce szukając wizerunku Chrystusa. Kiedy po latach przybył od Mogiły, poznał Ukrzyżowanego z obłoku. Pozostał w Mogile, aż do śmierci. Pozostawił po sobie piękną żelazną kratę, która przyozdabia kaplicę; był również fundatorem ołtarza Ukrzyżowanego.

Z nowszych wotów powszechne zainteresowanie budzą dwa samoloty wiszące pod ramionami Pana Jezusa. Jeden z nich-dwupłatowiec, ofiarował w 1934 roku lotnik Wojska Polskiego, kapitan mgr Władysław Polesiński za szczęśliwe ocalenie z katastrofy samolotowej. Miała ona miejsce na łąkach leżących wzdłuż Wisły, między Pleszowem a Kujawami, w odległości 5 km. od Mogiły. Obecnie tereny te znajdują się w obrębie nowohuckiego kombinatu. Władysław Polesiński wraz ze swoim kolegą – pilotem-obserwatorem, lecieli późnym wieczorem ze Lwowa do Krakowa na wysokości 1500 m. Widząc z daleka oświetlone lotnisko w Krakowie-Rakowicach, obniżyli wysokość lotu do 200 m, żeby szybciej wylądować. W tym czasie motor uległ uszkodzeniu i samolot zaczął gwałtownie spadać w dół, uderzając o ziemię. Piloci próbowali jak najszybciej wyskoczyć z kabiny, ale uniemożliwiały im to potrzaskane części samolotu. Ich sytuacja stawała się z minuty na minutę coraz gorsza. W końcu z serca kapitana Polesińskiego wyrwało się błagalne i pełne wiary wołanie: „Chryste, ratuj!" I w tej samej chwili usłyszał, jak sam wyznał wyraźne słowa: „Zdejm spadochron, usuń sztabę – uciekaj". Natychmiast wykonał tajemniczy rozkaz. Usunął zaporę i razem z kolegą wydostali się z rozbitej maszyny. Zaraz po tym nastąpił wybuch zbiornika z benzyną. Pokaleczonych i poparzonych pilotów odwieźli gospodarze z Kujaw do Krakowa. Na miejscu katastrofy zbiegli się ludzie i patrząc na szczątki rozbitego samolotu, uznali szczególną opiekę Bożą nad pilotami. Na tym miejscu postawiono dziękczynny krzyż jako wotum za szczęśliwe uratowanie życia lotników. Na uroczystości poświęcenia wotywnego krzyża kapitan Polesiński przemówił z niezwykłą siłą przekonania: „Gdy wszystkie ludzkie środki zawodzą, zostaje jedyna siła Boża, na której człowiek nigdy się nie zawiedzie, gdy z wiarą o pomoc i ratunek prosi". Drewniany krzyż zwany przez okoliczną ludność „Krzyżem lotnika" z biegiem lat uległ zniszczeniu. Staraniem proboszcza z Pleszowa, księdza prałata Jana Hyca, w miejsce starego krzyża postawiono nowy, wykonany z cementu. Umieszczona na nim tabliczka przypomina wydarzenie, które tutaj się dokonało.

Drugi samolot umieszczony pod prawym ramieniem Chrystusa na skrzydłach ma następujący napis: „Składam podziękowanie P. Bogu za cudowne ocalenie mi życia w dniu 28.VII. 1940 r. Z.S. Kraków". Był to pilot polski działający na emigracji. W czasie akcji bojowej w 1940 roku nad terytorium niemieckim nastąpiła awaria samolotu. Mimo groźnej sytuacji szczęśliwie ocalał. Rodzina w Krakowie stale polecała go Mogilskiemu Jezusowi. Jako wyraz wdzięczności za ocalenie życia, zaraz po wojnie złożono wotum w postaci małego samolotu. Za szczęśliwy powrót z obozu w Oświęcimiu i Dachau dziękczynne wotum – symbol Trójcy Świętej, ofiarowali ojcowie mogilskiego klasztoru: o. Robert Kuchar (†1960), przeor, i o. Wincenty Ślęzak (†1993). Wierni z parafii Trybsz na Spiszu, ofiarowali w 1960 r. wotum przedstawiające orła, na którego piersiach widnieje podobizna Matki Bożej Ostrobramskiej. Pod prawą ręką Pana Jezus wisi krzyż Ojca Opata Augustyna Ciesielskiego (†1968), ofiarowany jako wotum przywrócenia zdrowia w poważnej chorobie serca. Krzyż jako wotum dziękczynne ofiarował również o. Bogumił Salwiński (†1991) w piętnastą rocznicę swojego przełożeństwa w Mogile.

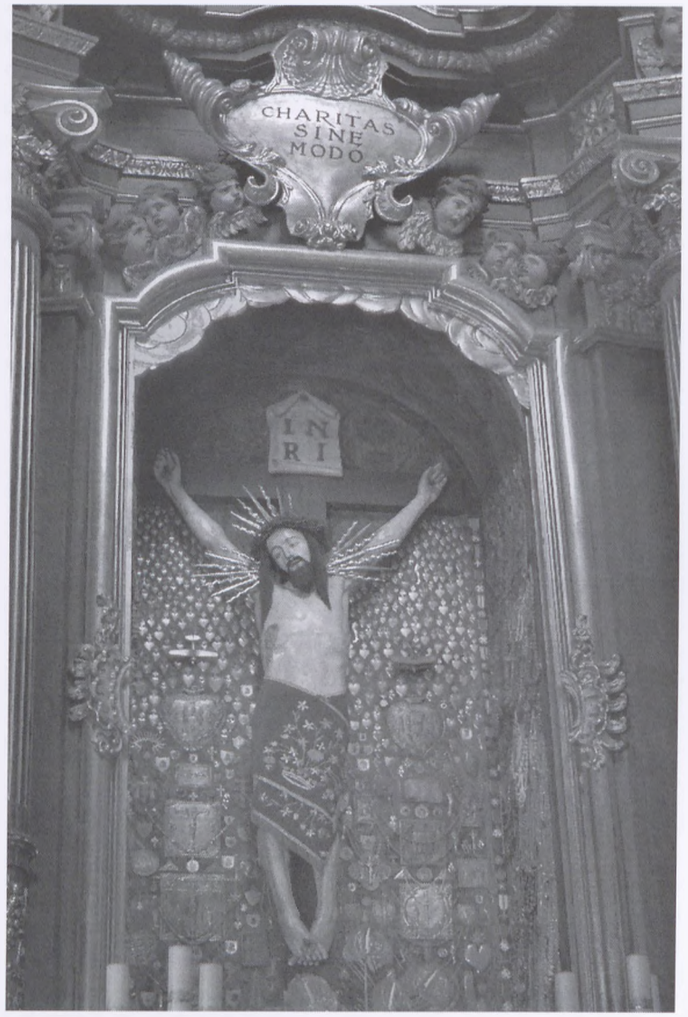
Ryngraf z Matką Bożą Częstochowską złożyła matka za uzdrowienie syna z choroby Heinego-Mediny. Siostra Teofila ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Maryi Panny (w 1984 r.) za wszystkie łaski otrzymane w życiu ofiarowała wotum – srebrny pamiątkowy zegarek, który otrzymała od rodziców przed wstąpieniem do klasztoru. Siostra Teofila była ósmym dzieckiem w rodzinie. Poprzednie rodzeństwo umierało po urodzeniu. Ją mama ofiarowała Matce Bożej w Tarnopolu.

Tak było w minionych wiekach i tak jest dziś. Tę prawdę wyraża następująco jeden z pielgrzymów:

„O Chryste Zbawicielu! Co przez setne lata słyniesz cudami w mogilskim klasztorze. Chciej niech Twe łaski aż do końca świata Nam sercach świecą jak zaranne zorze. Wszak Tyś praojców przez życie powadził. I nas nie opuść spod Swojej opieki, Abyś niebieskim królestwem nagrodził, Tych, co Cię wielbią teraz i na wieki. Kto w swej prostocie Jezusa miłuje, ten jest szczęśliwy – czego ni żałuje. Bo wszechmoc Jego każdego pocieszy, Gdy tylko szczerze z żalem doń pospieszy. On jest lekarstwem na ludzkie cierpienia i w Nim jedynie smutnym ukojenie. Jam tego doznał i skreślam otwarcie, aby uwiecznić na tej czystej karcie".

o. Korneliusz Jackiewicz X. Cist.

*) Na podstawie „Miłość Bez Miary" o. Korneliusz Jackiewicz – Polskie Towarzystwo Teologiczne, Kraków 1986 r.



Łaskami słynący Krzyż Pana Jezusa, umieszczony w późnobarokowym ołtarzu, dopełnia napis – CHARITAS SINE MODO (Miłość bez granic), fot. Adam Gryczyński

Mogilskie odpusty

Odpust jest to darowanie kary doczesnej, należnej za grzechy już odpuszczone w sakramencie pokuty. Odpust może być cząstkowy lub zupełny. Można go ofiarować tylko za samego siebie lub za zmarłych. Aby uzyskać odpust zupełny w czasie uroczystości Podwyższenia Krzyża Świętego w Mogile należy nawiedzić bazylikę, w stanie łaski uświęcającej przyjąć Komunię św. (jeśli jest taka potrzeba – przystąpić wcześniej do spowiedzi św.), odmówić Ojcze nasz, Wierzę w Boga i pomodlić się w intencjach papieskich (odmawiając np. Zdrowaś Maryjo, Pod Twoją obronę czy inną modlitwę). Wymagane jest także wykluczenie przywiązania do jakiegokolwiek grzechu ciężkiego, a nawet lekkiego.

Warunki uzyskania odpustów przez wiernych zmieniały się w ciągu wieków. Pielgrzymi jednak niezmiennie podążają do różnych sanktuariów na całym świecie, aby u Boga bogatego w miłosierdzie otrzymać tę wielką łaskę odpuszczenia kar, które codziennie ściągamy na siebie przez swoje mniejsze lub większe przewinienia.

Zbliża się kolejny odpust mogilski, kiedy w czasie oktawy odpustowej już od 13 września wieczorem aż do 21 września będziemy się gromadzić u stóp cudownego wizerunku Chrystusa Ukrzyżowanego, by uczestnicząc w Mszach św., nabożeństwach i podczas osobistej modlitwy rozważać, bolesną mękę naszego Zbawiciela, uwielbiać Go i dziękować za wszelkie dobro w naszym życiu. By żałować za swe grzechy i przewinienia oraz prosić o łaski dla siebie i bliskich. Idąc przykładem tylu wieków pielgrzymowania do mogilskiego sanktuarium włączmy się także i my wraz ze swoją rodziną, krewnymi, sąsiadami i znajomymi w ten pochód do mogilskiego Krzyża. A każdy, kto przybędzie na to szczególne miejsce, niech nie odejdzie bez nadziei i pocieszenia. Jak nasi przodkowie z bojaźnią, ale i z ufnością spoglądajmy na łaskawe oblicze Chrystusa i otwierajmy przed Nim swe serca.

O pielgrzymowaniu do łaskami słynącej figury Chrystusa Ukrzyżowanego dowiadujemy się już z bardzo starych przekazów klasztornych i nie tylko. Ludzie przybywali pieszo lub powozem, polnymi ścieżkami albo asfaltem, w pojedynkę albo całą rodziną. Modlitwa, uczczenie relikwii Krzyża św., przejście na kolanach wokół ołtarza, pełne uczestnictwo we Mszy św., odprawienie Drogi Krzyżowej to wyraz naszej miłości do ukrzyżowanego Zbawiciela. Z praktykami pobożnymi wiązały się od dawna także te mniej zbożne elementy, choć niekoniecznie od razu złe. Oto, co 150 lat temu najbardziej zainteresowało dziennikarza czasopisma „Czas" podczas mogilskiego odpustu:

Jakby na zamknięcie letniej pory przedsiębrano przez ciąg trzeciego tygodnia wędrówkę pobożną do Mogiły. Poza rogatką mogilską stawa przez czas odpustu mogilskiego kilkanaście wozów chłopskich, niby to zagraniczne omnibusy, gotowe do przyjęcia podróżnych. Lubownicy przechadzki odbywają tę wędrówkę pieszo łąkami i polami z dala od kurzawy gościńca i po ścieżkach sobie tylko znanych, stawają mało później od jezdnych przed kościołem. Pod murami dziedzińca klasztornego, na dziedzińcu i w ogrodzie pełno kramów i straganów z owocami, piernikami i zabawkami dziecinnymi, namioty pod którymi rozgrzewające i chłodzące napoje, szereg dziadów i kalek, rozłożone na trawniku familijne i przyjacielskie gromadki, wszystko takie jak na każdym odpuście, takie jak przeszłego roku, jak przed laty, przed wieki; tylko że nawożony grunt ogrodowy i nadsypywany nieraz zapewne podwórzec podniósł się i zdaje się jakoby kościół w ziemię lgnął i o kilka stopni schodowych się zniżył. („Czas" – 1856 r.)

Dalej w artykule autor interesuje się zniszczeniami muru budynku kościoła i kopcem Wandy. Można zauważyć, że pielgrzymi mogilscy mieli swoje polne dróżki na skróty, którymi zdążali do kościoła prawie w tym samym tempie, co przyjeżdżający na wozie. Inna wzmianka o mogilskim odpuście znajduje się we wrześniowym numerze gazety pt. „Siew", wydanym w 1940 r., czyli w czasie wojennym. Tu m.in. czytamy:

Już też nie mnichy i bracia, ale tłumy osób świeckich obojga płci ściągnięte w dzień odpustu z daleka i z bliska, wypełniają wnętrze kościoła w dzień i w nocy chwaląc Boga śpiewem i modlitwą. Celem tych pątników to nie tylko sam kościół Cystersów, ale kapliczka cudownego wizerunku, do którego raz w roku dążą we wrześniu (14 września) pielgrzymki pobożnych, dokąd udają się również w utrapieniach rodziny Krakowskiego, składając kosztowne wota w innych porach roku. W kaplicy tej w drewnianym czarnym ołtarzu znajduje się posąg ukrzyżowanego Pana Jezusa wielkości naturalnej. [„Siew", 1940 r.]

W artykule „kapliczka" to oczywiście kaplica cudownego wizerunku Pana Jezusa. Można też zauważyć pewien szczegół – jeszcze w 1940 r. ołtarz, w którym znajduje się łaskami słynąca figura Ukrzyżowanego, był koloru czarnego – teraz jest to ciemna zieleń. Ale chciałbym tu przypomnieć odpust w 1978 r., ale nie ze względu na jakieś atrakcje. Wtedy to po raz ostatni usłyszeliśmy słowa w tym sanktuarium z ust kardynała Karola Wojtyły, nim został papieżem. Wspominał m.in. osobę papieża Jana Pawła I i nakreślił program naszej wspólnoty i jedności z Nim. Tak mówił:

Jan Paweł I – jest to twarz dobra, serdeczna, ludzka, łatwo się uśmiechająca, bliska. Takim Go znałem od lat i takim Go widziałem w tym dniu, 26 sierpnia, kiedy Pan Go wybrał. Dzisiaj tutaj przybywamy do Sanktuarium Krzyża Chrystusowego w Mogile, ażeby modlić się za nowego papieża, ażeby wyrazić naszą jedność z Nim i żeby tę jedność zamienić w naszą serdeczną, gorącą modlitwę w Jego intencjach. I my pragniemy w dniu dzisiejszym powiedzieć Mu niejako, jak tę naszą wspólnotę i solidarność z Nim rozumiemy i jak pragniemy ją urzeczywistniać. Dlatego jeżeli dzisiaj coś na pierwszym miejscu pragnę wymienić, to właśnie to, ażebyśmy kierowali się miłością nade wszystko. I to jest pierwszy punkt naszego programu jedności z Janem Pawłem I. Kierując się miłością, która da nam także głębokie rozeznanie prawdy i sprawiedliwości, będziemy mogli podejmować w dalszym ciągu posłannictwo głoszenia Ewangelii, wprowadzania w życie Ewangelii, bo ona musi w życie wejść. Prosimy, żeby ten proces jakiegoś poszanowania wymagań społeczeństwa katolickiego w dziedzinie budowy kościołów w nowych dzielnicach, w nowych osiedlach, nie był hamowany. Również, gdy chodzi o całe życie publiczne, instytucje, które są własnością Narodu całego, nie mogą być używane tylko na pożytek jednego światopoglądu, jednej orientacji politycznej. Chcemy być zespoleni z Ojcem Świętym Janem Pawłem I w tej tajemnicy Krzyża, która mówi sama za siebie. (fragmenty homilii wygłoszonej 17.09.1978 r. w Mogile)

Czyż nakreślony program jedności z Janem Pawłem I (miłość dająca siłę sprawiedliwości, szukanie dróg dla Ewangelii w naszym życiu i szukanie warunków ewangelizacji), nakreślony przez kardynała Wojtyłę nie stał się później programem jedności z Nim samym, jako Janem Pawłem II? I wydaje się, że jest on wciąż aktualny podczas pontyfikatu Benedykta XVI. Dlatego u stóp Chrystusa Ukrzyżowanego dziękując za posługę Jana Pawła II i prosząc o Jego rychłą beatyfikację, prośmy również o siły dla Benedykta XVI, by nasza modlitwa i nasze przykładne chrześcijańskie życie było dla Niego umocnieniem w kierowaniu całym Kościołem.

brat Krzysztof

Źródło: Mogilski Krzyż, nr 8 (76), rok VII, s. 12-13.



Widok na Mogiłę od strony kopca Wandy, w głębi widoczne klasztorne stawy rybne i opactwo OO. Cystersów, lata 30-40. XX w.



Na karuzeli od lewej: stoją Władysław Walerian i Eugeniusz Hajto, siedzą Elżbieta Krawczykówna i Zofia Ciepielówna



Przy kramie odpustowym stoją: Ela Krawczykówna, Zofia Ciepielówna i Władysław Walerian z Krzesławic



Rodzeństwo Broszkiewiczów z Kocmyrzowa. Odpust w Mogile, 1949 r.



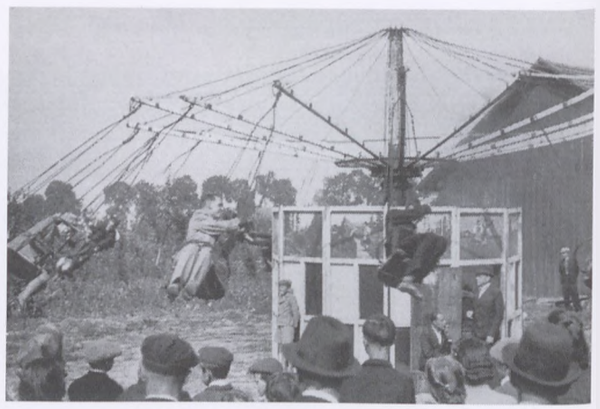
Odpust w Mogile, lata 30., przy stole z przodu siedzą: Franciszka z d. Śliwińska i Władysław Hajto z Czyżyn, za nimi Piotr i Aniela Skibowie z Mogiły, z tyłu Marianna i Jan Szklarczykowie z Czyżyn



Młodzież z Bieńczyc na odpuście w Mogile, lata okupacji, od lewej: Zofia Ciepielówna (córka Jana, wójta Gminy Mogiła), Józef Turbasa, Elżbieta Krawczykówna (córka Stanisława, właściciela sklepu mięsnego i rzeźnika z Bieńczyc), Józef Osiadły



Odpust w Mogile, lata 40. XX w., przy karuzeli stoi Irena Staszyszyn z d. Kliszczyńska





Przy kramie odpustowym w środku stoi Józef Turbasa, obok niego Zofia Ciepielówna i Ela Krawczykówna

Spotkanie Norwida z Mogiłą

W 1842 r. przez ponad trzy tygodnie, tj. od 20 maja do połowy czerwca, przebywał w Krakowie Cyprian Norwid. Warto tu dodać, że inni wielcy poeci tego czasu – Adam Mickiewicz i Juliusz Słowacki – nigdy za swojego życia nie byli w Krakowie. Zwiedzenie dawnej stolicy królewskiej oraz poznanie ludzi kultury i nauki w tym mieście stanowiło ostatni etap paromiesięcznej wędrówki po kraju przed wyjazdem młodego poety i malarza na studia zagraniczne. Jak wiadomo, Norwid nigdy już nie powrócił do Polski. W ciągu tych prawie czterech tygodni poznał nie tylko podwawelski gród, ale także jego bliższe okolice. Oglądał starożytne kopce: Wandy w Mogile i Krakusa w Podgórzu na Krzemionkach. Te owiane legendą kurhany zostawiły w jego duszy głębokie i trwałe wrażenie i były zapewne pierwszą podnietą do stworzenia kilka lat później dwu dramatów: „Wanda" i „Krakus", uznane za misteria narodowe. O głębokim przeżyciu spotkania z tymi zagadkowymi pamiątkami pradawnych dziejów Polski świadczy niezwykła i zdumiewająca dedykacja, w jaką poeta zaopatrzył swój utwór o legendarnej królowej: *Mogile Wandy pod Krakowem w dowód głębokiego poważania poświęca autor.* Ten znamienny fakt potraktowania legendowego kopca-mogiły jak żywego, osobowego odbiorcę dedykacji, zwrócenie się bezpośrednio do tej mogiły – prof. Kazimierz Wyka ocenił jako będące absolutnie bez precedensu w literaturze polskiej.

Oba wspomniane misteria dają obraz Polski idącej z mroków gasnącej ery pogańskiej ku światłu nowej wiary chrześcijańskiej. Jak stwierdza wybitna znawczyni twórczości Norwida, prof. Zofia Szmydtowa, religijny charakter misteriów to wynik żywej wiary poety. U Norwida znajdujemy wyrażaną stale sympatię do milczącej modlitwy, cichego heroizmu i ofiary motywowanej miłością Stwórcy. Najściślejsze połączenie patriotyzmu z religijnością ma swe źródło w przeświadczeniu poety, iż proces dziejowy dokonuje się pod opieką Boga. Norwidowi ogromnie zależało na przekazaniu potomnym jego własnej wizji narodowych pradziejów. Dowodzi tego fakt ponownego napisania (w 1851 r.) obydwu misteriów, gdy teksty pierwotne, ukończone w 1848 r., zaginęły u wydawcy w Paryżu. Przedhistoryczne, legendowe pradzieje narodu traktował nie jako bajeczne, ale jako *prawdziwe* w tym sensie, że odsłaniają one narodowego ducha i odzwierciedlają istotne przeobrażenia i zmagania, jakie Naród przeszedł w długim procesie swego istnienia. Legendowych podań ustnych i kronikarskich nie należy lekceważyć, zawierają one bowiem ziarna prawdy historycznej i podają te prawdy w formie symbolicznej; są składnikami dziedzictwa narodowego.

W dramacie Norwida panowanie Wandy zostało cofnięte w głąb dziejów, aż do zarania chrześcijaństwa. Jej śmierć pozostaje w ścisłym związku czasowym, a także przyczynowym, z śmiercią Chrystusa. Wizja przebitej dłoni Chrystusa jest dla Wandy wezwaniem do ofiary. Jej ofiara z własnego życia ocali Naród przed najazdem germańskiego wodza Rytygera, którego oświadczyny odrzuciła. Cała akcja utworu mieści się w ramach czasowych Wielkiego Tygodnia, choć autor wprost tego nie mówi. Przez cały utwór przewija się motyw tajemniczego cierpienia Wandy, które znamionuje jej duchowe dojrzewanie do czynu ofiarnego. Na pewnym etapie tego dojrzewania bohaterka widzi oczami duszy, jakby w wieszczym śnie, dziejący się w tymże czasie dramat Męki Pańskiej. Ale także już wcześniej przeczuwa i dzieli bezwiednie ból i żałość świadków drogi krzyżowej Zbawiciela.

Cały lud lechicki pragnie uzdrowienia i szczęścia swej umiłowanej władczyni i domaga się ujawnienia przyczyn owej dziwnej choroby. W ostatnim, szóstym akcie misterium reprezentanci wszystkich stanów i zawodów gromadzą się nad brzegiem Wisły z darami i składają je w kopiec, bo – jak ujawnia Starzec –rzeczone jest, że to uleczy. A inna osoba dramatu, Przedni Starzec, wychodząc z namiotu królowej oznajmia: Sen się stal dziwny do prawielmożnej pani. Następuje kulminacyjny punkt dramatu: z namiotu wychodzi Wanda i zwraca się do swego ludu w zagadkowych słowach, które wskazują, iż doznała ona duchowego widzenia Golgoty:

Dobrzy ludzie! Widziałam cień ogromny Boga,
Przechodzący po polach, jak szeroka droga,
A to był tylko ręki jednej cień, ta ręka
Jakby przebitą była, bo słońce padało
Przez wnętrze dłoni nawskroś, jak przez wypaść sęka.
Ja stałam i patrzyłam w to rozdarte ciało,
Jak ptak z ciemności w jasną pogląda szczelinę,
I dano mi jest widzieć to...że dla was zginę.*

Wanda bierze zapaloną gromnicę i wchodzi na stos utworzony z darów jej ludu, podpala go i ginie w płomieniach, po czym w *Wisłę przelało się ciało* jej nie zniszczone przez ogień. Wanda umiera wtedy, gdy na Golgocie dokonało się życie Zbawcy świata. Ze swego życia złożyła ofiarę nadrzędną wobec ofiary z darów ludu.

Wódz germańskich najeźdźców, zaborczy i gwałtowny Rytyger, który pałając żądzą zemsty przybył ze swoim

wojskiem nad Wisłę, gdy się przekonał, że Wanda już nie żyje, postanowił wyruszyć na podbój w inne strony świata – na pogański Rzym. Jak Chrystus przez swą ofiarę zbawił świat, tak dobrowolna ofiara niewinnej Wandy ocaliła Naród przed zbrojnym najazdem hord germańskich. Śmierć-ofiarę Wandy uczynił Norwid nie dziękczynieniem za zwycięstwo (jak w podaniach), ale źródłem zwycięstwa. W Norwidowskim misterium królowa Wanda jest apostołką rodzącego się chrześcijaństwa, prekursorką dogłębnego, radykalnego ruchu, który wywołał na świecie Chrystus. W swym duchowym wizerunku zbliża się ona do typu pierwszych chrześcijan męczenników. Choć poganka, ma jednak wyraźne rysy chrześcijańskie, graniczące wręcz ze świętością: niewinność, szlachetność, dobroć. Po zacytowanych wyżej słowach Wandy o jej tajemniczym widzeniu: *I dano mi jest widzieć to**... Norwid umieścił gwiazdkę odsyłającą do jego autorskiego przypisu, w którym z kolei odsyła czytelnika do motta całego utworu na stronie potytułowej, które brzmi:

Tak Kościół trzyma, że gdy Pan umierał,
Na PÓŁNOC, głowę skłoniwszy, pozierał,
Na Oliwnej
Górze dziwnej
Kończąc mękę, skłaniał rękę
Ku PÓŁNOCNYM LUDZIOM...

Konający Chrystus ostatnie spojrzenie i błogosławieństwo kieruje *ku północnym ludziom* – to znaczy na Polskę i Naród polski. Norwid pod tym mottem zanotował: STARA PIEŚŃ *(Przepisana z książki w klasztorze na Górze Świętokrzyskiej, w puszczy)*. Norwid był w klasztorze Benedyktynów na Górze Świętokrzyskiej latem 1841 r. i przepisał tę pieśń nie wiedząc najwidoczniej, kto jest jej autorem. W rzeczywistości ów tekst to nieco zmieniony urywek poematu Wespazjana Kochowskiego (1633-1700) p.t. *Góra Łysa, depozytem drzewa Krzyża św. w sendomirskim kraju sławna.*

Łatwo zauważyć, że Kochowski pisząc: *Na Oliwnej Górze dziwnej kończąc mękę...* – pomylił się, bo przecież Chrystus na Górze Oliwnej rozpoczynał mękę; kończył ją na Golgocie. Norwid tej pomyłki nie poprawił w *Wandzie*, ale dziesięć lat później (w 1861 r.) w odczycie o Słowackim zacytował znowu tę zwrotkę już w poprawionej postaci: *Gdy w oliwnym gaju dziwnym wszczęwszy mękę...* Ponadto trzeba dodać, że ukazany w tym wierszu obraz ukrzyżowanego Chrystusa, który *skłaniał rękę* – to tzw. licentia poetica, czyli poetyckie odstępstwo od prawdy realnej, bo ręką przybitą do krzyża nie można uczynić takiego gestu.

Biorąc tę pieśń za motto *Wandy* poeta uczynił zeń drogowskaz całej akcji dramatu, klucz do zrozumienia ideowego przesłania tego misterium narodowego. Jak zauważa wspomniana Zofia Szmydtowa, Norwid z tradycji kościelnej *(Tak Kościół trzyma)* wyprowadził i ustalił chwilę dziejową, w której na Polskę spłynęło spojrzenie Zbawcy świata. Kazimierz Wyka dodaje myśl, że poecie chodziło o wskazanie, iż chrześcijaństwo jako wielka siła moralna działało o wiele wcześniej, zanim jeszcze do krajów pogańskich dotarli jego pierwsi apostołowie. Autor Wandy ukazał Polskę jako Naród, który w pogańskim świecie starożytnym pierwszy dojrzał do przyjęcia wezwania Boga-człowieka i od chwili śmierci Chrystusa rozpoczął dla siebie i dla świata nową Erę. I to był główny zamysł ideowy i naczelne przesłanie obu wspomnianych dramatów, będących owocem spotkania Cypriana Kamila Norwida z ziemią krakowską – nosicielką fascynującej historii i legendy.

Wolno sądzić, iż zwiedzając Kopiec Wandy, poeta odwiedził też mogilskie Sanktuarium Krzyża Świętego. Jeśli rzeczywiście tak było, to być może właśnie przed Wizerunkiem Ukrzyżowanego Zbawiciela dokonało się w duszy poety rewelacyjne zespolenie legendowego podania o Wandzie z pieśnią znalezioną rok wcześniej w klasztorze na Górze Świętokrzyskiej. I może w Kaplicy Cudownego Krzyża w Mogile odsłoniło się przed młodym Norwidem nowe widzenie przedświtu chrześcijaństwa w Polsce. Zaiste, pociągająca hipoteza!

Charyzmatyczna królowa Wanda, widząc oczami duszy zbawczą ofiarę Chrystusa na Krzyżu, wpisuje się do historii prastarego Cudownego Krzyża w Mogile. Tym samym Norwidowskie misterium o Wandzie należy do skarbca duchowego Mogiły – miejsca niezwykłego, gdzie legenda splata się nierozdzielnie z historią. Czy jest gdzieś w Polsce i w świecie drugie tak uprzywilejowane pod tym względem miejsce?

Stanisław Misiak

Przy opracowaniu powyższego tekstu korzystałem z prac:
Z. Szmydtowa „O misteriach Cypriana Norwida", Warszawa 1932
K. Wyka, „Norwid w Krakowie", Kraków 1967
J. Maślanka, „Literatura a dzieje bajeczne", Warszawa 1984

Artykuł ukazał się pierwotnie w „Mogilskim Krzyżu", w marcu 2001 r.



Kopiec Wandy w Mogile, lata 20-30 XX w.



Malowidło z klasztoru OO. Cystersów w Mogile, przedstawiające wydobycie ciała królewny Wandy z Wisły, reprodukcja starej pocztówki

MOJA OJCZYZNA

Kto mi powiada, że moja ojczyzna:
Pola, zieloność, okopy,
Chaty i kwiaty, i sioła – niech wyzna,
Że – to jej stopy.
Dziecka – nikt z ramion matki nie odbiera;
Pacholę – do kolan jej sięga;
Syn – piersi dorósł i ramię podpiera:
To – praw mych księga.

Ojczyzna moja nie stąd stawa czołem;
Ja ciałem zza Eufratu,
A duchem sponad Chaosu się wziąłem:
Czynsz płacę światu.
Naród mię żaden nie zbawił ni stworzył;
Wieczność pamiętam przed wiekiem;
Klucz Dawidowy usta mi otworzył,
Rzym nazwał człekiem.

Ojczyzny mojej stopy okrwawione
Włosami otrzeć na piasku
Padam: lecz znam jej i twarz, i koronę
Słońca słońc blasku.
Dziadowie moi nie znali też innej;
Ja nóg jej ręką tykałem;
Sandału rzemień nieraz na nich gminny
Ucałowałem.

Niechże nie uczą mię, gdzie ma ojczyzna,
Bo pola, sioła, okopy
I krew, i ciało, i ta jego blizna
To ślad – lub – stopy.

Wiersz pt. „Moja ojczyzna" został napisany przez C. K. Norwida w Paryżu w 1861 roku na dwa lata przed kolejnym polskim zrywem narodowowyzwoleńczym – powstaniem styczniowym. Poeta podejmuje się w nim zdefiniowania, czym dla niego jest ojczyzna. Jest to definicja z punktu widzenia borykającego się z losem, schorowanego tułacza, który po pobytach w Stanach Zjednoczonych, Anglii, zawitał do Francji, dzieląc los A. Mickiewicza i J. Słowackiego. Wielcy poeci doby romantyzmu nie uczestniczyli czynnie w walkach o niepodległość. Przemawiali do społeczeństwa, posługując się poezją, podtrzymywali na duchu, pokazywali drogi do wolności, a także wzorce godne naśladowania. Stawali się w ten sposób duchowymi przywódcami narodu.

C. K. Norwid w wierszu pt. „Moja ojczyzna" prezentuje postawę wobec ojczyzny pełną szacunku i uniżoności. A. Mickiewicz w Inwokacji „Pana Tadeusza", wspominając z oddali swój kraj, opisywał krajobraz w sposób wyidealizowany, baśniowy. C. K. Norwid tak szczęśliwy obraz zakłóca słowem „okopy". Wyraża swój szacunek nie tylko wobec piękna ojczyzny, ale skłania się do jej stóp z szacunku wobec cierpienia. Myśląc o niej, wyobraża ją sobie jak matkę, która zasługuje na godne traktowanie w zamian za trud włożony w należyte wychowanie dziecka. Czuje się obywatelem świata akceptowanym nawet przez Rzym. Mimo to ojczyzna jest dla niego największą wartością, więc ma poczucie winy, że to nie jej się odpłaca: „Czynsz płacę światu". Dlatego pragnie udowodnić swoje oddanie oraz posłuszeństwo wobec kraju urodzenia, pisząc:

Ojczyzny mojej stopy okrwawione
Włosami otrzeć na piasku
Padam

W tych słowach uosobioną ojczyznę przedstawia jako cierpiącego Chrystusa. Przywołuje znaną chrześcijanom historię. To Maria Magdalena włosami ocierała skrwawione stopy Jezusowi zdjętemu z krzyża. Poza tym poeta wyraźnie udowadnia, że Polska istnieje naprawdę, mimo że nie ma jej na mapie, wymieniając w jednym rzędzie wiele znaczące słowa:

...pola, sioła, okopy
I krew, i ciało, i ta jego blizna...

W ten lapidarny sposób odwołuje się jednocześnie do symboliki mszy świętej, podczas której następuje przeistoczenie wina w krew, a chleba w ciało Jezusa. Postępując za rozumowaniem poety, współcześni jemu Polacy mogli mieć nadzieję, że ich marzenia o wolności staną się rzeczywistością. Blizna jest widocznym dowodem ofiary przebłagalnej, ekspiacyjnej, jaką złożył Jezus, umierając za grzechy ludzi. Być może tym słowem poeta podpowiada rodakom, w których wcześniej rozbudził nadzieję, że bez ofiary i... poświęcenia z ich strony, ojczyzna nie odzyska wolności.

C. K. Norwid, przybliżając znaczenie słowa ojczyzna, odwołuje się do najbardziej podstawowych, uniwersalnych zasad moralnych obowiązujących w społeczeństwie oraz do symboli chrześcijańskich. Uświadamia wszystkim wartość ojczyzny, porównuje ją do matki, której syn odwdzięcza się na starość: „Syn – piersi dorósł i ramię podpiera" oraz do Chrystusa, któremu należy składać hołd. Wierszem „Moja ojczyzna" poeta podejmuje dyskusję na temat sposobu odzyskania niepodległości. Uważa, że elementami walki o wolność są przestrzeganie zasad moralnych, rozwój duchowy, praca organiczna nad słabym, ospałym społeczeństwem. Wśród najważniejszych, konkretnych działań zwraca uwagę na rozwiązanie kwestii chłopskiej. Słowami wiersza:

Ja nóg jej ręką tykałem;
Sandału rzemień nieraz na nich gminny
Ucałowałem."
podkreśla rolę prostych ludzi.

Tak więc droga do wolności tkwi według C. K. Norwida w jedności społeczeństwa silnego duchem.

Dnia 24 września 2001 roku urna z ziemią ze zbiorowej mogiły w Montmorency koło Paryża, w której został pochowany Cyprian Kamil Norwid, została umieszczona w Krypcie Wieszczów Narodowych w Katedrze na Wawelu obok nagrobków Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego. Uroczystość zorganizowano w 180 rocznicę urodzin poety. W dniu 1 lipca urnę poświęcił w swej kaplicy papież Jan Paweł II. W Katedrze na Wawelu aktor Tadeusz Marek odczytał esej papieża o twórczości wieszcza. Esej ten stanowi prawdziwe wyznanie wiary Karola Wojtyły w potęgę poezji C. K. Norwida. Jan Paweł II nazywa go jednym z największych poetów i myślicieli, jakich wydała chrześcijańska Europa i porównuje jego twórczość do drogowskazu ukazującego sens ofiary, cierpienia, umiłowania ojczyzny, wiary oraz umiłowania człowieka.

W swoich utworach C. K. Norwid mówił Polakom, że nie będą dobrymi patriotami, jeśli wpierw nie zapracują na swoje człowieczeństwo. Poeta twierdził, że „o obliczu ojczyzny decydują nie polityka czy ekonomia, lecz świat wartości, które wyznaje człowiek i społeczeństwo". Odwoływał się do postaw wiary. W ten sposób przyznawał swoim wywodom rangę argumentów rozstrzygających, a więc niepodlegających dyskusji i sprzeciwowi. Sięgał po prawdy zasadnicze, niemalże oczywiste, lecz przez społeczeństwo odrzucane na dalszy plan, a nawet ignorowane.

MOJA PIOSNKA II

Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba
Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
Dla darów Nieba....
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...

Do kraju tego, gdzie pierwsze ukłony
Są, jak odwieczne Chrystusa wyznanie,
„Bądź pochwalony!"
Tęskno mi, Panie...

Tęskno mi jeszcze i do rzeczy innej,
Której już nie wiem, gdzie leży mieszkanie,
Równie niewinnej...
Tęskno mi, Panie...

Do bez-tęsknoty i do bez-myślenia,
Do tych, co mają tak za tak – nie za nie,
Bez światło-cienia...
Tęskno mi, Panie...

Tęskno mi owdzie, gdzie któż o mnie stoi?
I tak być musi, choć się tak nie stanie
Przyjaźni mojej...
Tęskno mi, Panie...

Zamieszczony wiersz „Moja piosnka II" C. K. Norwida to liryk nostalgiczny, napisany pod wpływem pobytu poety za oceanem. W podobnej sytuacji pisał A. Mickiewicz „Pana Tadeusza". W tego typu utworach obraz ojczyzny jest specyficzny, często wyidealizowany, gdyż podmiot wydobywa z pamięci tylko to, co dobre, szlachetne, uczciwe i wzniosłe. Widząc ojczyznę z oddalenia, wyobraża sobie powrót do niej jako do kraju prawdy i szczerości. Wiersz zawiera obrazy poetyckie o symbolicznym znaczeniu. Obraz przedstawiający podnoszenie z ziemi okruszyny jest przypomnieniem staropolskiego szacunku dla chleba jako największego dobra. Taki szacunek dla chleba przetrwał w kulturze polskiej do naszych dni. Obraz bocianiego gniazda na gruszy wskazuje na cechę narodową, jaką jest poszanowanie przyrody. Trzeci obraz – witanie i pozdrawianie się ludzi – oddaje klimat życzliwości i szacunku.

mgr Dorota Prążyńska

Cyprian Kamil Norwid – Cytaty

„Przeszłość – jest to dziś, tylko cokolwiek dalej."

„Nie tylko przyszłość wieczną jest – nie tylko!...
I przeszłość, owszem, wieczności jest dobą:
Co stało się już, nie odstanie chwilką...
Wróci ideą, nie powróci sobą."

„Ojczyzna to wielki zbiorowy obowiązek."

„Bo Ojczyzna, ziomkowie, jest to moralne zjednoczenie, bez którego partyi nawet nie ma, bez którego partye są jak bandy lub koczowiska polemiczne, których ogniem niezgoda, a rzeczywistością dym wyrazów"

„Naród, który się oburza, ma prawo do nadziei, ale biada temu, który gnije w milczeniu"

„Jestem z narodu, w którym od blisko stu lat każda książka wychodzi za późno, a każdy czyn za wcześnie."

„Gorzki to chleb jest Polskość..."

„Nie tylko stanowcze wypadki, ale i ciągłość idei zbawia społeczeństwo ze swej normalności wytrącone."

„Apostolstwo nie jest dyplomacją i kuglarstwem, i kabalistyką, ale proroctwem szczerym."

„Ojczyzna jest to miejsce, w którym najmilej spocząć i umrzeć."

„Błogosławieni pokój czyniący na ziemi,
Albowiem ci synami zwani są Bożemi,
Podrzutek zaś w dziedzictwo królestwa nie bierze
Ani mu bram ojcowscy pokażą żołnierze."

„Gdy płyną łzy, chustką je ocierają;
Gdy krew płynie, z gąbkami pospieszają:
Ale gdy duch wycieka pod uciskiem,
Nie nadbiegną pierwej z ręką szczerą,
Aż Bóg to otrze sam, piorunów błyskiem:
– Wtenczas dopiero!..."

„Bo nie jest światło, by pod korcem stało,
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych;
Bo piękno na to jest, by zachwycało
Do pracy; praca – by się zmartwychwstało."

„Dziś nie szuka nikt piękna... żaden poeta – Żaden sztukmistrz – amator – żadna kobieta – Dziś szuka się tego, co jest powabne, I tego – co jest uderzające!"

„Chcesz znać, o ile ważna twoja praca? Zważ, jak z niej prędko myśl do Boga wraca!"

„Spytam się tedy wiecznego człowieka,
Spytam się dziejów o spowiedź piękności;
Wiecznego człeka, bo ten nie zazdrości,
Wiecznego człeka, bo bez żądzy czeka,
Spytam się tego bez namiętności;
Cóż wiesz o pięknem? ...
Kształtem jest Miłości."

Nie ofiary brak narodowi, który już nie ma co ofiarować – ale brak Miłosierdzia. A miłosierdzie rozwinąć się nie może wśród tak niemiłosiernych dogmatów wiary narodowej.

(Z listu C.K. Norwida do J.B. Zaleskiego – 1852 r.)

...Historia zaś pisze rachunek swój żelazną ręką i nie pyta się wcale o sentymenta, ale pyta o sumę rachunku.

(Z listu C.K. Norwida do Ł. Rautenstrauchowej – 1863 r.)

„Z karafki napić się można, uścisnąwszy ją za szyjkę i przechyliwszy ku ustom, ale kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło."

„Nie trzeba kłaniać się Okolicznościom, a Prawdom kazać, by za drzwiami stały."

Oryginalność jest to sumienność w obliczu źródeł."

„Głosem narodu jest harmonia czysta, mieczem – jedność i zgoda, celem – prawda."

„Kto mówi prawdę, ten niepokój wszczyna."

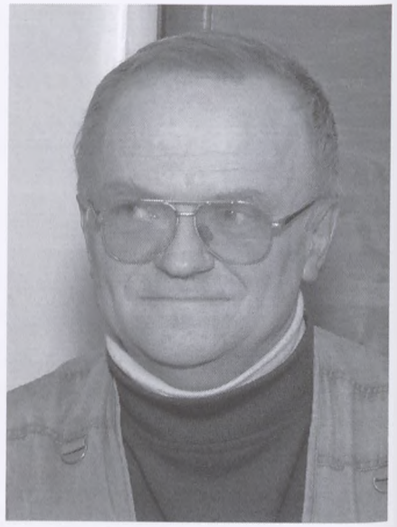
„Czy ten ptak kala gniazdo, co je kala,
Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?"

SIŁA ICH

Fraszka

Ogromne wojska, bitne generały,
Policje – tajne, widne i dwu-płciowe –
Przeciwko komuż tak się pojednały?
– Przeciwko kilku myślom... co nienowe!

Ulica Bardosa



„Wy uczeni, którzy wszędzie cierpicie dla cnoty,
Nie zawsze wam tak źle będzie, nie traćcie ochoty.
Służyć swej ojczyźnie miło choćby i o głodzie,
Byleby światło w ludziach było, a sława w narodzie"

Bardos – KRAKOWIACY i GÓRALE – rok 1794 Warszawa – Mogiła

Spacerując po najstarszej części wsi Mogiła lub po prostu wędrując „palcem po mapie" Krakowa lub naszej dzielnicy – możemy znaleźć się na ulicy Bardosa. Kim był Bardos oraz dlaczego ulica jego imienia jest w tym miejscu? Nie ma hasła „Bardos" w sześciotomowej Encyklopedii PWN. Aby rozwikłać naszą zagadkę, należy cofnąć się w czasie do połowy wieku XVIII. Polska nieuchronnie chyliła się ku upadkowi, a Kraków był wówczas tylko prowincjonalnym miastem. Natomiast „o milę od Krakowa" stała od wieków wieś Mogiła. Wieś niezwykła i słynna na okolicę – bo któraż z okolicznych miejscowości ma klasztor z Cudownym Wizerunkiem, kościółek parafialny, cztery młyny, karczmy, a na dodatek tajemniczy Kopiec Wandy z legendą?

Wieś przylegała od południa do Wisły, którą spławiane było wówczas drewno, natomiast przez wieś przebiegał od wieków prastary szlak z Krakowa w stronę Wiślicy, Sandomierza i Lublina.

W roku 1772 spadło na Polskę pierwsze z wielkich nieszczęść (I Rozbiór Polski), po którym Wisła stała się rzeką graniczną! Inaczej mówiąc to, co znajdowało się za Wisłą należało wówczas do Austrii, a Mogiła pozostała jeszcze przez pewien czas w obrębie państwa polskiego.

Wszystkie te gwałtowne zmiany, a także wydarzenia widział na własne oczy młody Wojciech Bogusławski. Pochodził z ziemiańskiej rodziny z okolic wsi Glinno w ziemi kaliskiej. Był synem Leopolda Bogusławskiego (herbu Świnka) oraz Anny Teresy z Linowskich herbu Pomian). W roku 1768 umiera mu matka a ojciec wysyła go do „szkół". W roku 1770 został w końcu wysłany do Krakowa dla pobierania nauk i w tym samym roku został zapisany jako student do Akademii Krakowskiej, a dodatkowo do 1772 roku pobierał jeszcze nauki w Liceum Nowodworskim. Przebywał także na dworze krakowskiego biskupa K. Sołtyka, gdzie miał nabierać ogłady, ale równocześnie występował w przedstawieniach teatrzyku dworskiego. Pobyt w Krakowie nie był tylko związany z pobieraniem nauk. Trzeba pamiętać, że w niedalekich i znanych Kościelnikach mieszkała babcia młodego studenta. Zofia Linowska była wówczas właścicielką pałacu w Kościelnikach a gdy w 1773 r. sprzedała posiadłość Wodzickim, dziwnym zbiegiem okoliczności zakończyła się także edukacja Wojciecha w Krakowie. Później (w 1775 r.) Wojciech został wojskowym, ale już w lutym 1778 r. porzucił mundur, aby poświęcić się aktorstwu i scenie teatralnej. Jest rzeczą niewątpliwą, że Bogusławski bardzo dobrze znał Mogiłę, topografię jej terenu i historię, a także wielokrotnie musiał tu bywać. W Mogile bywał głównie jako „ubogi student z Krakowa", a okolice wielokrotnie oglądał choćby z podróży mogilskim gościńcem do i z Kościelnik. Można sobie wyobrazić jak wyglądała wówczas Mogiła. Istnieje ręcznie malowana mapa wsi wykonana przez geometrę Bętkowskiego w roku 1833 a więc mniej więcej 60 lat po tym jak bywał tu Bogusławski. Widzimy na niej zabudowania a także karczmę i obok niej młyn. Podróż mogilskim gościńcem w kierunku miasta wiązała się z przebyciem wąwozu u stóp Kopca Wandy. Po minięciu wąwozu oczom podróżnych ukazywały się zabudowania a także przecinająca gościniec dróżka od wsi w kierunku kopca. To przy tym skrzyżowaniu stała karczma. Nieco dalej gościniec przecinała młynówka, a także był sam młyn. Kilkadziesiąt kroków dalej po lewej stronie gościńca rozpościerał się widok starego zakola Wisły. Nasza królowa rzek zakreślała łuk w kształcie litery omega. Wisła po minięciu Lasku Mogilskiego skręcała gwałtownie w kierunku północnym, aby 200–300 m. przed miejscem, gdzie są dzisiaj boiska treningowe KS „Hutnik", wykonać zwrot na południe. Przysiółek jaki znamy dzisiaj z nazwy Kępa – nosił wówczas nazwę Zawodzie i nie należał do Mogiły. Co więcej, Zawodzie w czasach Bogusławskiego należało już do Austrii, a wierni należeli do parafii bieżanowskiej. Panorama zakola Wisły w Mogile wiązała się w tamtych czasach z oglądaniem bezpośredniej granicy państwowej a pływający Wisłą flisacy lub górale byli przybyszami zza kordonu, czyli z obcego państwa. Po tej samej stronie gościńca, co zakole Wisły, można zobaczyć na starych mapach stawy a za nimi klasztor mogilski. Co jakiś czas wybucha w lokalnych mediach dyskusja na temat domniemanego miejsca akcji „Krakowiaków i Górali". Do naszych czasów dotrwały resztki

dawnego młyna pani Chwastkowej przy klasztorze a także dawnego młyna Lelitów, a w starej Mogile budynek młyna w dolnej części ulicy Bardosa – zwany potocznie „gwoździarnią". Dwieście lat temu centrum wsi Mogiła znajdowało się pod Kopcem Wandy. Jeszcze dzisiaj uważny obserwator może zobaczyć przy ulicy Bardosa resztki dawnego placu zgromadzeń. W latach mojego dzieciństwa stała jeszcze w tym miejscu remiza strażacka. Natomiast klasztor i dwa młyny obok niego były w tamtych czasach na skraju wsi, bo tuż na południe dochodziła granica rozlewisk nieuregulowanej Wisły i zabudowania się kończyły. Z całym szacunkiem dla ruin młyna zwanego „Polskim" który stoi przy klasztornych murach, jestem skłonny sądzić, że miejsce akcji śpiewogry było w młynie i w sąsiedniej karczmie przy mogilskim gościńcu. Te miejsca dziś już nie istnieją. Także małym nieporozumieniem jest ustawienie pomnika ku czci Bogusławskiego w parku przy ulicy Sieroszewskiego. W czasach Bogusławskiego nie było w tym miejscu żadnego parku, nie było dworku a na północ od kościółka parafialnego w kierunku gościńca widzimy na mapie z 1833 tylko pola uprawne i ogrody.

Mogiła musiała wywrzeć na Bogusławskim spore wrażenie, bo właśnie tutaj umieścił akcję dzieła swojego życia, czyli „Krakowiaków i Górali". Ale za nim do tego doszło, Wojciech Bogusławski piastował funkcje dyrektora sceny polskiej (maj 1783). W roku 1784 wyjechał z królem do Nieświeża – organizował występy teatralne podczas sejmu w Grodnie. W czasach rządów Targowicy popadł w konflikt z władzami. Po upadku Konstytucji Majowej, a także po drugim rozbiorze Polski (1793 r.) wszedł w konspiracyjne ogniwa przygotowujące powstanie kościuszkowskie. Prapremiera warszawska w Teatrze Narodowym „Cudu mniemanego czyli Krakowiaków i Górali" odbyła się w dniu 1 marca 1794 roku. Była tą iskierką, która rozniecіła powstanie kościuszkowskie. Historia opowiedziana w „Cudzie mniemanym" jest z pozoru błaha. BARDOS – student z Krakowa, przy pomocy maszyny elektrycznej – „cudu mniemanego" pomaga Krakowiakom bronić się przed Góralami. Ale tak naprawdę sztuka Bogusławskiego – to teatr aluzyjny. Utwór bezbłędnie trafiał w nastroje widowni przygnębionej obaleniem Konstytucji Trzeciego Maja i II Rozbiorem Polski. W przedstawieniu premierowym w roli Bardosa wystąpił sam Bogusławski. Na widowni obecny był król Stanisław August Poniatowski, a także jeden z targowiczan – Ożarowski. Jak pisze kronikarz: „obok Ożarowskiego siedzieli carscy oficerowie i wszyscy zanosili się śmiechem oglądając perypetie Bardosa". Prawdziwy sens przedstawienia dotarł do nich dopiero po trzech dniach i wtedy na polecenie ambasadora carskiego zdjęto sztukę z afisza. Powróciła znowu na deski w czasie powstania kościuszkowskiego. Po jego upadku i po III Rozbiorze Polski była grana tylko po znacznym ocenzurowaniu. Tekst sztuki był za życia Bogusławskiego zmieniany w razie potrzeby i konieczności chwili, a zależał głównie od tego, kto zasiadał na widowni. Bogusławski zmarł w Warszawie w roku 1829, a rola Bardosa była jego ulubiona rolą aż do śmierci. „Cud mniemany" został wydany po raz pierwszy w Berlinie w 1841 roku.

Dzisiejsza ulica Bardosa – to fragment starej wiejskiej ulicy, biegnącej kiedyś od dawnego starorzecza Wisły w kierunku Kopca Wandy, a dalej do Krzesławic. Wędrując dzisiaj ulicą Bardosa od Kopca Wandy w kierunku południowym, musimy w pewnym miejscu przejść przez tory tramwajowe. To w tym miejscu – obok przystanku n/ż – stała jeszcze 40 lat temu karczma, a obok niej młyn. Jest to prawdopodobne miejsce akcji „Krakowiaków i Górali". W latach mojego dzieciństwa w budynku dawnej karczmy mieścił się sklep przemysłowy zwany przez tubylców „żelaznym". Można było w nim kupić kosy, podkowy, ale także artykuły szkolne. Obok budynku starej karczmy była jeszcze wtedy studnia z żurawiem a parę kroków dalej budynek młyna. Były to wczesne lata 60-te XX w. a młyn nadal był czynny. Należał co prawda już do GS, ale jego ostatnia właścicielka mieszkała nadal w części mieszkalnej a w samym młynie pracował śp. Jan Początek z Branic, który był młynarzem w tym młynie jeszcze przed II wojną. To właśnie Jan Początek jest na fotografii jaką mogliśmy zobaczyć w „Czasie Zatrzymanym". W grupie osób przedstawiających rodzinę i znajomych Pani Klękowej – Jan Początek stoi pierwszy z lewej. Znałem osobiście Jana Początka, bo był on dobrym znajomym mojego dziadka, Wincentego. A mój dziadek był stolarzem i jeszcze przed II wojną świadczył różne usługi na rzecz mogilskich młynów.

Na końcu południowym ulicy Bardosa spotkamy jeszcze budynek dawnego młyna w stanie ruiny i miejsce po dawnej osiedlowej świetlicy zwanej przez dziesięciolecia „ochronką". Młyn, karczma, wąwozy i fort przy kopcu zostały bezpowrotnie zniwelowane pod koniec lat 60-tych XX wieku. To co pozostało z „ochronki" , tak zasłużonej dla wielu tutejszych mieszkańców, a także bezpośrednie otoczenie Kopca Wandy sprawiają dzisiaj przygnębiające wrażenie i nie mają nic wspólnego z wyglądem tych miejsc sprzed 200 lat a nawet sprzed lat czterdziestu. W chwili gdy piszę te słowa nad starą Mogiłą znowu gromadzą się czarne chmury. Postanowieniem władz ma tędy przebiegać trasa szybkiego ruchu i będzie się to wiązało z wyburzeniem kilkunastu domów i tym samym, to co pozostało jeszcze z charakteru starej wiejskiej zabudowy zniknie bezpowrotnie.

Waldemar Cyganik



Józefa i Apolonia Klęczanki przed młynem Klęków w Mogile, 1940 r.



W głębi po prawej dawna karczma, potem sklep żelazny w Mogile, 1940 r.



Przed młynem Klęków stoją od lewej: Jan Początek – młynarz z Branic, ?, Józefa Klęczanka, Elżbieta Klękowa, ?, Anna Kubicowa z Korzonkiewiczów i Apolonia Klęczanka, 1940 r.



Mogiła w zimie, na górnym zdjęciu Apolonia Klęczanka, 1940 r., na dolnym po prawej stronie dawna karczma w Mogile, 1940 r.



Mogilski „Pan Tadeusz"

Myślę, że nie ma w Polsce wsi, która na równi z Mogiłą może się szczycić nobilitującą obecnością w tak licznych dziełach naukowych i literackich, czy w monografiach historycznych. Wszyscy w Polsce wiedzą, gdzie rozgrywa się akcja „Krakowiaków i Górali". Wielu z rodaków słyszało o napisanym przez Cypriana Norwida misterium narodowym „Wanda" z jego wzruszającą dedykacją: „Mogile Wandy pod Krakowem w dowód głębokiego poważania poświęca autor". Ale mało kto wie o istnieniu sławiącego Mogiłę poematu autorstwa Napoleona Ekielskiego, zatytułowanego „Okolica Mogiły".

Kim był autor? Polski Słownik Biograficzny (tom VI, Kraków 1946) informuje, że Napoleon Ekielski urodził się w 1810 roku w Krakowie, jako syn Adama (adwokata) i Jadwigi z Lekszyckich. Od młodości zdradzał talent do poezji i rysunków. Wychowany w patriotycznej atmosferze rodzinnego domu, wziął udział wraz z bratem Aleksandrem w powstaniu krakowskim przeciw Austriakom w 1846 r., co zmusiło obu do emigracji. Z Francji powrócił do Krakowa w 1848 r. i włączył się aktywnie do ruchu wolnościowego, zwanego w historii Wiosną Ludów, wspierając go już nie szablą lecz piórem, jako współredaktor pism „Jutrzenka" i „Szkoła Ludu". W następnych latach poświęcił się pracy pisarskiej, artystycznej i dobroczynnej. Od 1873 r. do końca życia zajmował skromną posadę urzędnika w biurach PAU.

Najbardziej znanym jego utworem był właśnie poemat „Okolica Mogiły", wydany przezeń w 1864 r. własnym nakładem pod kryptonimem N.E. Utwór ten zadedykował „Ludziom dobrej woli". Choć może nie jest literackim arcydziełem, czytałem go z sentymentem. Zawiera przeplatające się opisy wiejskiego życia w przekroju pór roku, dnia i okresów ludzkiego życia. Ukazuje barwną panoramę wsi, stanowiącej organiczną całość jak gniazdo mrówek. Poznajemy nadwiślański krajobraz z widniejącym w tle Wawelem i Tatrami. Znajdujemy też malownicze opisy chłopskich zagród, pracy na roli, a nawet zachowań zwierząt domowych i dzikich.

Autor dokonuje wnikliwej charakterystyki usposobienia tutejszego ludu, jego religijności i strojów. To lud mocno zakorzeniony w polskości, w kilkuwiekowej tradycji i wierze chrześcijańskiej.

Nad wszystkie ziemie kocha kraj rodzinny (...),
Odpust, wesele – to jego uciecha,
Światem wieś jego i domowa strzecha,
Tu się urodził, tu by rad umierać...

Skłonny do zadumy, radosny przy tańcach i śpiewie, ale nie ulegający niefrasobliwej wesołości. W mogilskich domach rodziny gospodarzy rozpoczynają dzień pracy znakiem krzyża, modlitwą, śpiewem Godzinek ku czci Matki Boskiej. Swemu życiu pragną nadać Boży sens, czując się na tej ziemi tytko przechodniami. Wewnętrzny związek łączący znojny trud orki z naturą ziemi-żywicielki skłonił autora do nadania pracy oracza znaczenia symbolu każdej pracy. Czytając na kartach poematu wdzięczny opis śniadannej godziny w polu, dającej wytchnienie utrudzonemu oraczowi i zwolnionym z pługa wotom, pomyślałem sobie, iż mógł on stanowić inspirację dla Józefa Chełmońskiego do namalowania pięknego obrazu Bociany (w 1900 r.). Co się tyczy strojów, warto wyjaśnić, że ani w Mogile, ani w jej okolicach włościanie nie nosili czerwonych czapek z pawim piórkiem (w jakich występuje w naszej parafii asysta procesyjna), lecz kapelusze o pięknym kształcie – u góry znacznie węższe, z aksamitną przepaską czarną, gałonowaną – suto przystrojone szychem i wieńcami sztucznych kwiatów.

Nie mogło oczywiście braknąć opisu klasztoru, parafialnego kościółka św. Bartłomieja, przyklasztornej świątyni z prastarym Cudownym Krzyżem, wrześniowego odpustu, a także przenikniętego ładem życia mogilskich mnichów:

Wstawszy ze słońcem, jak powietrzni ptacy,
Po wspólnych modłach rozszedłszy się z chóru,
Każdy brat swego ima się nadzoru,
Każdy właściwej oddaje się pracy (...)
Bo jak się w rządnej republice godzi,
Ponad wszystkiemi rej ksiądz Przeor wodzi.

W ten opisowo-dygresyjny poemat wplecione zostały legendowe pradzieje tych stron (podania o Krakusie i Wandzie), jak też wydarzenia historyczne: nawała tatarska w XII wieku i wjazd Stefana Batorego z Mogiły do Krakowa na koronację w R. Pańskim 1576. Wątki historyczne zwieńcza refleksja wyrażająca przeświadczenie,

iż proces dziejowy dokonuje się pod opieką Boga. Widomym tego znakiem jest również to, że choć ziemia ta doświadczyła klęsk i wojen tyle, klasztor jak stał, tak stoi w Mogile.

Wiele jest w prezentowanym utworze mądrych uwag o życiu i ludzkiej miłości, jak choćby następująca, zabarwiona humorem:

Ha! cóż bo robić! gdy dziewczyna gładka
To człowiek ciągnie, jak motyl do kwiatka;
I choć się jeden sparzy i boleje,
Drugi te same przechodzi koleje:
Bo człek uczciwy zawsze kochać musi
Póki go święta ziemia nie przydusi.

Ale znajdujemy też nacechowane moralizatorstwem i dydaktyzmem refleksje o człowieczej egzystencji dokonującej się w horyzoncie dobra i zła, w perspektywie ocalenia lub zguby. Miłość Ojczyzny i przywiązanie do swego Narodu podyktowały autorowi poematu o Mogile tchnące szlachetnym patriotyzmem słowa:

Szczęśliwy stokroć i błogosławiony.
Ten kraj, te miasta, te wioski, te strony,
Gdzie się najdłużej dochował z prostotą,
Stary obyczaj – z starożytną cnotą!
Gdzie w niskich dworkach, czy w ubogiej chacie,
Zobaczysz jeszcze te skromne postacie,
Co się snadź z Bogiem jeszcze nie skłóciły,
I z niebios czerpią do dobrego siły (...)
Śmiało tam bocian ściele gniazdo swoje
Bo wie, że gdyby i burza nastała
Coby mu gniazdo z kołem zgruchotała,
To mu za jedno stawią takich dwoje.

Ta fascynująca arcypolskim i religijnym charakterem refleksja Ekielskiego współbrzmi dobrze ze strofą nostalgicznego, chwytającego za serce wiersza Cypriana Norwida „Moja piosnka":

Do kraju tego, gdzie winą jest dużą
Popsować gniazdo na gruszy bocianie,
Bo wszystkim służą...
Tęskno mi, Panie...

Napoleon Ekielski zmarł w Krakowie w 1891 r. Pochowany został na cmentarzu Rakowickim. Dobrze zasłużył się swym talentem Mogile – prawdziwy jej miłośnik.

***

Mogiła, pozostając przez długie stulecia w zasięgu kulturalnego i ekonomicznego oddziaływania Krakowa, a także kształtowana przez bliski jej i prężny ośrodek kultury duchowej i materialnej, jakim był sławny klasztor zakonu Cystersów – zawdzięczała tym czynnikom swoją niepowtarzalną aurę lokalną, swoisty klimat kulturowy i specyficzny etos, ujawniający się w jakości i stylu życia jej mieszkańców.

W ostatnim półwieczu na skutek ekspansji miasta i przemysłu Mogiła, jak zresztą inne wsie podkrakowskie, nieubłaganie zatraca swój dawny charakter. Ale jeszcze dziś tutaj kogut gdzieś zapieje, głodne bydło porykuje w gospodarskim obejściu, a na jej drogach – strzeżonych przez wiekowe kapliczki, figury i krzyże – czasem chłopską furmankę obaczysz.

Stanisław Misiak

Artykuł ukazał się pierwotnie w „Mogilskim Krzyżu", we wrześniu 2003 r.

O mogilskich młynach (na przykładzie młyna podklasztornego)

W piątej scenie aktu pierwszego opery narodowej Wojciecha Bogusławskiego „Cud mniemany czyli Krakowiacy i Górale" młynarz Bartłomiej z Mogiły tak mówi do weselników, przywołując biblijny opis stworzenia człowieka:

„Pan Bóg (...) samemu źle być człowiekowi sądził,
Więc nie męża, nie brata ani tes drugiego
Jadama utwozył mu do zycia wspólnego,
Ale mu zonę z jego uformował ziobra,
Bo to zła rzec jednemu zyć,a dwojgu dobra."

Ta święta prawda sprawiła, że przed czterdziestoma laty, czyli w 1968 roku, osiadłem w Mogile, która wówczas już od kilkunastu lat była zaanektowana przez Nową Hutę i tym samym znalazła się w granicach administracyjnych Krakowa. Tę sławną, a jeszcze w niedalekiej przeszłości podkrakowską wieś można było wtedy – i ciągle jeszcze można, acz w coraz mniejszym zakresie – określić zaczerpniętą z Epigramatów rzymskiego poety Marcjalisa nazwą wieś w mieście (łac. rus in urbe). Dzięki małżeństwu z rodowitą mogilanką jej dom rodzinny, położony nie opodal ośmiowiekowego opactwa Ojców Cystersów, stał się też moim domem.

Trafnie i poetycko napisał w jednym ze swych tekstów Czesław Miłosz, że roślina ludzka wyrwana z jednego gruntu usiłuje zapuścić korzenie tam, gdzie ją los rzuci, gdzie przyszło jej żyć. Dopowiem od siebie , iż bywa często tak, że to wrastanie korzeniami rodzi zainteresowanie śladami przeszłości i dziedzictwem tego konkretnego zakątka ziemi. Dobrze jest, jeśli to zainteresowanie owocuje pragnieniem ocalenia tego dziedzictwa oraz troską o zachowanie i ukazanie pamiątek kultury, dokumentów dokonań gospodarczych, świadectw obyczajów, aspiracji i ideałów przeszłych pokoleń. Chciałbym, aby tej sprawie mógł – w skromnej mierze i cząstkowo – przysłużyć się ten mający postać szkicu tekst. To jest nasza historia na wyciągnięcie ręki, odczytana z rodzinnego archiwum ale wpleciona w dzieje ojczyste. Raduje serce fakt, że na wielką skalę i atrakcyjnie urzeczywistnia ten szczytny cel książka „Czas zatrzymany".

***

W naszym domu zachowały się stare fotografie i dokumenty dotyczące młyna wodnego, zwanego podklasztornym z racji jego położenia, prowadzonego od połowy XIX wieku przez antenatów mojej żony Barbary – córki Zofii i Juliana Dyniów, wnuczki Salomei i Karola Żabińskich, siostrzenicy Apolonii Chwastowej (życie tych osób było trwale związane z tym młynem). Dziś na próżno szukalibyśmy tego młyna w Mogile. Nie remontowany i od 1955 r. nie użytkowany – popadł w ruinę i jego nadziemna budowla drewniana została rozebrana w 1970 roku. Pozostały fundamenty, betonowe koryto wodne, podziemna maszynownia ze szczątkami urządzeń młyńskich. Większość zdemontowanych urządzeń nabyli okoliczni młynarze.

Zasadne jest mniemanie, że również ten najstarszy młyn mogilski – wraz z innymi tutejszymi młynami – był źródłem inspiracji dla autora komedioopery „Krakowiacy i Górale". Bogusławski poznał te zakątki ziemi krakowskiej w młodości, podczas kilkuletniego pobytu w Krakowie. Podkrakowskie wsie i tutejszy lud mocno go urzekły. O decydującym wpływie tej fascynacji na powstanie 20 lat później wspomnianej opery tak napisał u schyłku życia w „Dziejach Teatru Narodowego":

„(...) lube mojej młodości wspomnienia, drogie chwile, które na tej ziemi przeżyłem, nauki, które w niej brałem, związki krwi, które mnie tam łączyły, wszystko to przed moimi stanęło oczyma. Wezwałem całej mojej pamięci, całej mojej zdolności do odmalowania ich zwyczajów, uczuć, mowy i zabaw..."

Wiele dociekliwych osób pyta o to, w którym z czterech ówcześnie istniejących młynów mogilskich – a tym samym w której części Mogiły – Bogusławski umiejscowił akcję tego dramatu muzycznego. Niestety, ani didaskalia, czyli odautorskie wskazówki scenograficzne (znane zresztą w dwu wersjach), ani projekt dekoracji teatralnej A. Smuglewicza i rysunek F. A. Lohrmanna z 1794 r., przedstawiający scenę z aktu trzeciego – nie pozwalają na sformułowanie jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Pewne elementy scenicznej panoramy, podane w didaskaliach, odpowiadają topografii obszaru, gdzie obecnie przecinają się ulica Tadeusza Ptaszyckiego i rzeka Dłubnia. W tej części Mogiły też istniał młyn – poprzednik tego, który w XX wieku użytkowała rodzina Klęków. Niemniej jednak inne elementy topografii występującej w sztuce – jak las, Wisła, kopiec Wandy widoczny w perspektywie kościoła – trudno połączyć ze wspomnianym rejonem Mogiły.

Bogusławski dokonał w tym utworze przetworzenia, czy też celowej deformacji topografii Mogiły, by lepiej wyeksponować to wszystko, co jest charakterystyczne dla naturalnego pejzażu tej sławnej wsi podkrakowskiej.

W związku z tym raczej należy postawić tezę, iż młyn w tej sztuce Bogusławskiego stanowi literacką agregację wszystkich mogilskich młynów, jest ich typologicznym reprezentantem. To samo można powiedzieć o karczmie (były dwie). Dlatego uważam, że nie ma sensu spieranie się o to, które konkretnie z tych istniejących podówczas obiektów i które miejsca na mapie topograficznej Mogiły zostały uwiecznione w tym najważniejszym dziele ojca polskiego teatru. Taka jest moja opinia w tej sprawie.

Cystersi mogilscy przez kilka stuleci byli właścicielami młynów napędzanych wodą rzeki Dłubni, a ściślej mówiąc – jej dwoma odgałęzieniami, zwanymi młynówkami. W XVIII wieku istniały w Mogile cztery młyny i w tej liczbie przetrwały do połowy XX wieku. Podam bardzo uproszczony opis ich usytuowania. Nad prawym odgałęzieniem, płynącym po zachodniej stronie Dłubni i skierowanym w mury klasztorne, pracowały dwa młyny: jeden stał w bezpośrednim sąsiedztwie klasztoru od strony południowej, drugi – na styku obecnych ulic Żaglowej i Stare Wiślisko. Nad lewym odgałęzieniem, biegnącym po wschodniej stronie Dłubni, znajdowały się również dwa młyny: jeden położony był w pobliżu dzisiejszego skrzyżowania ulic Tadeusza Ptaszyckiego z Igołomską, drugi – przy ujściu Dłubni do Wisły. Obie odnogi Dłubni zostały zasypane w związku z budową Nowej Huty (ale już wcześniej były suche), a działalność młynów w tej nowej sytuacji społeczno-ekonomicznej stopniowo zamierała. Młyn podklasztorny zakończył pracę około 1955 roku.

Oczywiście, w swej długiej historii młyny były niejeden raz gruntownie przebudowywane bądź budowane na nowo, nie zawsze na tym samym miejscu, zwłaszcza po pożarach. Tak było m. in. w roku 1708, kiedy wielki pożar ogarnął klasztorne zabudowania, w tym także przyklasztorny młyn. Kroniki opactwa podają, że 28 września owego roku późnym wieczorem masztalerze zaprószyli ogień w klasztornych stajniach. Pożar doszczętnie zniszczył stajnie, wozownię, piekarnię, młyn, dom gości, część budynku klasztornego oraz dach i sklepienie kościoła. O tym właśnie pożarze wspomina też na wstępie niżej przytoczony (reprodukowany w pierwszym tomie albumu „Czas zatrzymany" i transkrybowany w tym tomie) dokument z 7 listopada 1728 roku, dotyczący dzierżawy młyna podklasztornego.

Prowadzenie młynów konwent mogilski powierzał rodzinom młynarzy. Znajomość rzemiosła młynarskiego przeważnie była przekazywana z pokolenia na pokolenie. W „papierach młyńskich", jakie przetrwały w naszym domu, są również takie, co potwierdzają to w odniesieniu do pradziadka i dziadka mojej żony Barbary, tj. Michała i Karola Żabińskich. Oto w zaświadczeniu z dnia 27 czerwca 1888 roku, adresowanym do Cechu Młynarzy Powiatu Krakowskiego, Urząd Gminy Mogiła napisał:

„Niniejszem poświadcza się, że p. Karol Żabiński, liczący lat 32, przynależny do gminy Mogiła, trudni się młynarstwem; ten bowiem pracował przy ojcu swym ś. p. Michale Żabińskim w młynie Giebułtowskim od dziecka jako praktykant – następnie w Mogile pracuje samoistnie przez lat sześć w młynie Julii I voto Pędrackiej II voto Żabińskiej jako zięć tejże, bez żadnej cudzej pomocy wyrabiając porządne mąki jakie można na młynie polskim uskutecznić, z czego okazuje, iż jest uzdolnionym młynarzem. Pan Karol Żabiński jest człowiekiem ze wszech miar porządnym, przeto zasługuje na udzielenie mu Karty przemysłowej na młynarstwo." Podpisał wójt J. Gołębiowski.

Cech Młynarzy na prośbę Karola Żabińskiego i na podstawie zaświadczenia gminy wystąpił do Świetnego c.k. Starostwa o wydanie karty przemysłowej. Wniosek podpisał Starszy Cechu Józef Raźny.

Do końca XVII wieku dzierżawa (arenda) młynów i gruntów wchodzących w skład młyńskiego gospodarstwa wiązała się ze ścisłym uzależnieniem od klasztoru na właściwych tamtej epoce warunkach pańszczyźnianych. W pierwszej połowie XVIII wieku konwent zakonny nadał młynarzom i ich sukcesorom status emfiteutów, czyli dzierżawców uprzywilejowanych. Taka dziedziczna, długookresowa (ale nie wieczysta) dzierżawa dawała młynarzom prawo do czerpania zysków i wznoszenia budowli, ale jednocześnie nakładała na nich obowiązek świadczenia na rzecz klasztoru określonych w kontrakcie emfiteutycznym darmowych usług młynarskich i robót fizycznych oraz płacenia corocznego czynszu i dostarczania corocznie podanych w kontrakcie ilości i rodzajów zwierząt tucznych. Klasztor obligował się do zapewnienia materiałów i ludzi do naprawy urządzeń młyńskich.

Kolejne pokolenia młynarzy pieczołowicie przechowywały dokumentację dotyczącą użytkowanych młynów, dzięki czemu w naszym skromnym archiwum rodzinnym przetrwał do dziś taki akt dzierżawny z 7 listopada 1728 roku, a więc sprzed 280 lat (czasy panowania Augusta Mocnego). Tym spisanym na pergaminie aktem konwent cysterski w Mogile przyznał Stanisławowi Krzepczyńskiemu i jego żonie Reginie, a także wskazanym imiennie ich synom, taki właśnie status „emfiteutycznych posiadaczy" młyna podklasztornego. Rodzina Krzepczyńskich użytkowała ten młyn w latach circa 1720-1750. Okresy użytkowania tegoż młyna przez kolejnych dzierżawców, a później właścicieli, podaję w niniejszym szkicu w przybliżeniu, na ile umożliwiają to zachowane dokumenty własne. Następny taki przywilej dzierżawny względem podklasztornego młyna konwent wystawił

20 grudnia 1763 r. dla rodziny Krzysztofa i Katarzyny Klembalskich, użytkujących ten młyn w latach 1750-1790. Przywilej sygnował O. Andrzej Elertowski – przeor i rektor wraz z całym konwentem.

W czasie, kiedy Wojciech Bogusławski napisał i wystawił w Warszawie „Krakowiaków i Górali" (tj. w 1794 roku, w przededniu powstania Kościuszki) młynarzem podklasztornym był Jakub Nalepski, „emfiteutycznym prawem uprzywilejowany posiadacz" tegoż młyna – jak definiują jego status dokumenty z tamtych lat. Rodzina Nalepskich prowadziła młyn w latach 1790-1825. Wspomniany Jakub Nalepski prawo do młyna nabył na mocy cesji, którą jego poprzednik „uczciwy Krzysztof Klembalski ręką własną podpisał, a nad to W. X. Paweł Gorzyński Konwentu Mogilskiego Przeor y Rektor z wybiciem Pieczęci Konwentualney approbował i własnoręcznie podpisał dnia 17 lipca 1790, która do Ksiąg Grodzkich Krakowskich w sobotę po Święcie S. Łucyi, to iest dnia 17 Miesiąca Grudnia roku 1791 do oblaty podana." (Oblata w dawnym prawie polskim oznaczała wpis aktu prawnego do ksiąg sądowych.)

Cytuję tutaj celowo te stare dokumenty majątkowe, by rozjaśnić wątpliwość wysuniętą przez Zbigniewa Raszewskiego, historyka teatru i autora dwutomowej monografii „Bogusławski", gdzie tak pisze o bohaterach opery „Krakowiacy i Górale": „Młynarz, ojciec dziewczyny, do której zaleca się Góral, zachowuje się tak, jakby gospodarował na swoim. A wiemy, że młynarz w Mogile był tylko dzierżawcą. Młyn i grunt dzierżawił od cystersów, którzy byli wówczas właścicielami całej wsi."

Otóż badanie historii mogilskich młynów prowadzi do wniosku, iż cystersi w swoich dobrach przyznali młynarzom znaczny stopień usamodzielnienia gospodarczego. A to oznacza, że twórca tej opery wiejskiej nie odbiegł w tym względzie od rzeczywistości, aczkolwiek realia z dziedziny ekonomiczno-prawnej są w tym utworze nader ubogie, ustępując miejsca bogactwu folkloru – ludowego obyczaju, mowy, stroju, a także aluzjom politycznym. Te składniki nadają operze Bogusławskiego cechę „narodowości".

Użytkowanie młynów mogilskich na prawie emfiteuzy trwało do czasu przeprowadzenia na obszarze Rzeczpospolitej Krakowskiej reformy rolnej czynszowej, co nastąpiło w latach 1816-1846. Reforma czynszowa objęła włościan dóbr skarbowych (zwanych też rządowymi lub narodowymi) oraz dóbr duchownych (czyli kościelnych). Mogiła należała do tej drugiej kategorii i dlatego w dokumentach urzędowych używano w tamtych czasach nazwy „wieś duchowna Mogiła". Cały ten proces zmiany ustroju gospodarczego wsi nadzorowała Komisja Włościańska. Reforma była korzystna dla chłopów, tak samo dla młynarzy, albowiem znosiła obowiązki pańszczyźniane, zastępując je czynszem. Nic więc dziwnego, że jedni i drudzy wnosili do władz petycje o jej przeprowadzenie. Korzystając w tym miejscu z informacji Krzysztofa Rosołka, autora licznych tekstów nt. historii gospodarczej Mogiły, warto wyjaśnić, że zgodnie z ówczesnym ustrojem gospodarczym także w należącej do cystersów Mogile grunty dzieliły się na rustykalne, czyli wiejskie (łac. rusticus – wiejski) i dominikalne, czyli dworskie (łac. dominicus – pański). Oba rodzaje gruntów były własnością klasztoru i stanowiły łącznie tzw. dominium. W Mogile odpowiednikiem dworu był majątek klasztorny. Grunty rustykalne użytkowali chłopi jako posiadacze zależni od klasztoru (posiadanie podległe), natomiast grunty dominikalne pozostawały pod bezpośrednim zwierzchnictwem i administracją klasztoru. Za użytkowanie gruntów rustykalnych włościanie byli zobowiązani do odpracowywania pańszczyzny na gruntach dominikalnych.

Oczynszowanie włościan w Mogile przeprowadzono do 1833 roku. W latach 1829-1838 również młyny mogilskie – z wyjątkiem jednego przy trakcie sandomierskim (w przyszłości użytkowanego przez rodzinę Klęków) – zostały poddane przymusowemu oczynszowaniu przez wspomnianą Komisję Włościańską. Młynarze-emfiteuci, mający dotąd ograniczone czasowo prawo użytkowania młynów i gruntów, otrzymali je w wieczystą dzierżawę (erbpacht) w zamian za ustalony w kontrakcie wiecznodzierżawnym czynsz roczny płatny w kwartalnych ratach.

W naszym domu zachował się taki kontrakt wiecznej dzierżawy młyna podklasztornego z gruntami, sporządzony w 1838 roku na rzecz Julianny z Klembalskich Targowskiej, użytkującej ten młyn od 1825 roku. Dokument rozpoczyna się formułą datacyjną:

„Działo się w Biórze Kommissyi Włościańskiej w Krakowie w Domu pod liczbą 106 przy Ulicy Grodzkiej Dnia Dziewiątego Miesiąca Grudnia 1838 roku. Kommissya Włościańska od Najjaśniejszych Trzech Dworów w moc Traktatu Dodatkowego w Wiedniu dnia 21 kwietnia i 3 maja 1815 roku, Art. 11, do ustanowienia prawa własności i powinności Włościan Dóbr Skarbowych i Duchownych Okręgu Wolnego Kraju Miasta Krakowa wyznaczona i w Imieniu Tychże Najjaśniejszych Monarchów działająca..." To bardzo długi dokument ustalający szczegółowo warunki użytkowania młyna i gruntów. M. in. zobowiązywał erbpachterkę Juliannę Targowską „czynsz wiecznodzierżawny złotych polskich 86 groszy 10 i 1/4 opłacać wiecznymi czasy Dominio miejscowemu w monecie srebrnej kwartalnie ratami z góry." (Dominium miejscowe – to w Mogile klasztor jako dziedzic

tej wsi.) Zachowała się u nas także książka pokwitowań czynszu wypłacanego klasztorowi za lata 1838-1855.

Julianna z Klembalskich Targowska wraz z mężem Józefem, a po jego śmierci samodzielnie, użytkowała młyn podklasztorny w latach 1825-1845. Już jako wdowa przekazała w 1844 r. aktem darowizny połowę młyńskiego majątku swojej siostrzenicy Salomei z Bogdzińskich (vel z Bogdów) Pędrackiej, a drugą połowę sprzedała tejże siostrzenicy. Salomea i jej mąż Tomasz Pędracki mieszkali – jak podają pozostałe po nich dokumenty majątkowe – „w Mieście Salinarnym Wieliczce w Cyrkule Bocheńskim położonym w domu pod numerem sześćdziesiąt dwa". W Wieliczce mieszkali także rodzice Salomei – Marianna z Klembalskich i Józef Bogdzińscy (vel Bogdowie). Józef był piekarzem.

Po nabyciu młyna podklasztornego (wówczas jeszcze na prawie wieczystej dzierżawy) Salomea i Tomasz Pędraccy przenieśli się na stałe do Mogiły, by tutaj wspólnie prowadzić ten młyn. W Wieliczce pozostał ich syn Franciszek Ksawery, kawaler, właściciel dwóch tamtejszych realności pod numerem 36.

Pędraccy w 1852 roku gruntownie przebudowali stary młyn. Zachowała się urzędowa decyzja z 6 lipca 1852 r., wydana przez Radę Administracyjną W. Księstwa Krakowskiego/Wydział Spraw Wewnętrznych/Sekcję IV, określająca szczegółowo techniczne warunki przebudowy. Po jej zakończeniu młyn posiadał cztery koła nasiębierne, a spad wody na koła wynosił 4,5 metra. Po kilku latach Pędraccy uzyskali zupełne prawo własności młyna po całkowitym spłaceniu czynszu z dniem 30 kwietnia 1856 roku. Prawdopodobnie w tym okresie tytuły własności otrzymali także dzierżawcy innych młynów w Mogile, z wyjątkiem jednego nie objętego reformą czynszową.

Salomea Pędracka zmarła 25 października 1866 roku. W 1875 roku Tomasz Pędracki poślubił Julię z Ciepielów – samotną matkę małej Salomei. W 1870 r. wybudował nowy drewniany dom mieszkalny przylegający do młyna. Zmarł 19 stycznia 1881 roku. Tak więc okres prowadzenia młyna podklasztornego przez familię Pędrackich przypada na lata 1845-1881. Wśród pamiątek po Tomaszu Pędrackim – dalekim powinowatym rodziny mojej żony – jedna jest szczególna. a mianowicie wydane w 1860 r. w Wiedniu nakładem Księgarni oo. Mechitarzystów „Żywoty świętych Starego i Nowego Testamentu przez Księdza Piotra Skargę Societatis Jesu zebrane, uczynione i w język polski przełożone (...) do których przydane są niektóre duchowne obroki i nauki przeciwko kacerstwom dzisiejszym". To tylko fragment długiego tytułu. Ta pokaźnych rozmiarów księga z wytłoczonym na skórzanej oprawie nazwiskiem Tomasza Pędrackiego, nosi ślady częstego czytania, zgodnie zresztą z zawartym w słowie wstępnym arcybiskupa lwowskiego Franciszka Ksawerego Wierzchleyskiego zaleceniem, aby to dzieło w każdym domu katolickim miano i codziennie czytano.

Julia Pędracka jako wdowa po Tomaszu zawarła małżeństwo z wdowcem Michałem Żabińskim – młynarzem z Giebułtowa – prawdopodobnie w 1882 roku, mając 48 lat. Po kilku latach po raz drugi owdowiała. Zmarła w 1901 roku. Formalnie była właścicielką młyna w latach 1881-1901, ale praktycznie młyn prowadziła do 1884 r., bo w tym roku Karol Żabiński – syn Michała z pierwszego małżeństwa, i Salomea z Ciepielów – córka Julii pobrali się i przejęli prowadzenie młyna. W tym miejscu krótko wyjaśnię, że wydarzeniem, które zdecydowało o tym, że podklasztorny młyn wodny w Mogile przeszedł w posiadanie naszej rodziny (pradziadków żony), było właśnie małżeństwo Julii Pendrackiej z Michałem Żabińskim. Karol i Salomea Żabińscy to dziadkowie mojej żony. Karol zmarł w 1911 roku, a Salomea w 1932. Mieli trzy córki: Marię – po mężu Morycowa, Apolonię – po mężu Chwastkowa i Zofię – pierwszego ślubu Wojciechowska, drugiego ślubu Dyniowa. Moja nieżyjąca już Teściowa Zofia Dyniowa wspominając swego ojca Karola podkreślała, że odznaczał się wielką pobożnością. Pamiętała z dzieciństwa na przykład to, że jeśli tata w samo południe pracował w młynie, to na dźwięk kościelnego dzwonu klękał tam, gdzie stał, i w skupieniu się modlił.

Salomea Żabińska, babka mojej żony, wybudowała dla swej córki Zofii w 1919 r. (wojna przerwała wtedy budowę) nowy murowany dom, który miał też wydzieloną część dla prowadzenia sklepu. W tym domu mieszkamy. A mamy go dzięki niegdysiejszym dochodom z młyna. Do czasu budowy Nowej Huty dom wyróżniał się na tle zabudowy ulicy Klasztornej swoim stylem architektonicznym. Niestety, przebudowa ulicy Klasztornej w latach 50. podsunęła rodzicom żony niedobre pomysły na przeróbki budowlane pozbawiające dom jego architektonicznych walorów, w następstwie czego przybrał nieciekawy pudełkowy wygląd, tracąc attykę, wieżyczki, ganek, drugie drzwi frontowe i okienka pod gzymsem. Ale dobrze, że nie padł ofiarą ekspansji Nowej Huty.

Aby dopełnić chronologizację użytkowników młyna podklasztornego, odnotuję jeszcze to, że Salomea Żabińska była jego właścicielką w latach 1901-1932 (do 1911 wraz z mężem Karolem), ale de facto prowadziła go w okresie 1884-1912. Od 1912 roku w rzeczywistości młyn ten prowadzili Apolonia i Józef Chwastkowie, którzy właśnie w owym roku się pobrali. Józef pochodził z Krowodrzy. Około 1920 r. wybudowali przy młynie nową izbicę betonową w miejsce zbutwiałej drewnianej, a w 1947 r. przerobili system napędu wodnego na elektryczny. Roboty elektryczne wykonała firma Tadeusza Laudańskiego.

Jedna z sióstr Józefa Chwastka, Florentyna, wyszła za mąż za austriackiego oficera (na zdjęciach podpisany imieniem Tomas); druga siostra, Anta, wzięła ślub z inżynierem c.k. Marynarki Franciszkiem Sirovym. Dzięki temu Apolonia i Józef mogli odbyć w 1912 r. kilkutygodniową podróż poślubną do Włoch i Chorwacji, a w naszym rodzinnym albumie pozostały z tego podróżowania eleganckie atelierowe fotografie, wykonane m. in. w Trydencie i w Puli. Apolonia z Żabińskich Chwastkowa – ciotka mojej żony – zmarła w 1980 r. przeżywszy 91 lat. Józef Chwastek zmarł w 1955 r. w wieku 68 lat. Prowadzili młyn w okresie 1912-1955, a jego właścicielami byli od 1932 do 1970.

***

Stare dokumenty dotyczące młyna podklasztornego mówią też o długotrwałych zatargach i sporach pomiędzy młynarzami z Mogiły i Krzesławic. Pojawiały się zwłaszcza w drugiej połowie XIX wieku. W dokumentach z tego okresu jako właściciele młynów podklasztornych w Mogile (tzw. górnego, czyli opisanego w niniejszym tekście, i dolnego) występują: Herman Fritsch, Wacław Swoboda, Julia Żabińska, Ignacy Lelito, Joachim Rittermann i Alexander Weinreb. Jako właściciele młynów w Krzesławicach i Bieńczycach figurują: Jan Kanty Kirchmayer, Zenobia Kirchmayer, Wincenty Kirchmayer, Teofil Vogelstrauch i S. D. Wasserberg.

Młynarze mogilscy zarzucali krzesławickim łamanie zasady sprawiedliwego rozdziału wody roboczej i osłabianie jej siły napędowej. Były też inne przyczyny konfliktów, wynikające z uchylania się od obowiązku ponoszenia kosztów naprawy i utrzymania jazów i śluz rozdziałowych, tudzież ze szkód, spowodowanych wylewami Dłubni na skutek samowolnego spiętrzania wody. Odbywały się urzędowe „dochodzenia komisyonalne" na miejscu oraz rozprawy administracyjne w c.k. Starostwie w Krakowie. Czasem dochodziło do ugody między stronami sporów.

Konflikty dawały znać o sobie także we wcześniejszym okresie. Wspomniany już wyżej mogilski młynarz Jakub Nalepski – wspierany przez klasztor – w suplice skierowanej w 1812 r. (data niewyraźna) do „Wysokiej Królewsko Książęcej Departamentu Krakowskiego Prefektury" jako przyczynę konfliktu z Krzesławicami, ciągnącego się od 1793 roku, podał to, iż powodowana chciwością tamtejsza „klika, a osobliwie Młynarz Woyciech Jastrzębski niespokojny i zuchwały, z dobranemi Wóytem y poddanemi Krzesławskiemi, maiący po swoiey stronie Pana Sadowskiego na ten czas Ekonoma Krzesławic, śmiał święte Prawo nadwerężyć", to znaczy tamował faszyną przeplataną przez dębowe pale, ponad potrzeby swego 3-kołowego młyna, bieg wody płynącej na mogilskie młyny i stawy rybne, odcinając półtorej części wody miast jedną, jak to ustalały dwie nadal obowiązujące ugody prawne, których odpisy przedłożył, a mianowicie:

Ugoda z 1367 roku, zawarta „między Mikołajem Opatem Mogilskim a Gierardem Proboszczem Kościoła S. Floryana na Przedmieściu Miasta Krakowa będącego", dziedzicem wsi Bieńczyc, którą to ugodę „Najjaśniejszy Kazimierz Król Polski w Obecności dwóch Kasztelanów, dwóch Wojewodów Krakowskich y Sandomierskich, Kanclerza Koronnego y Wicekanclerza w dzień Błogosławionej Cecylij approbował". Ugoda stanowiła, że „taż Rzeka Dłubnia cała Konwentowi Mogilskiemu od dawnych czasów to iest od Fundacyi zawsze należała, y na Potomne Czasy należeć powinna bez wszelkiego zatamowania".

Ugoda z 1402 roku między wspomnianym opatem mogilskim Mikołajem i Michałem Proboszczem Miechowskim, wsi Krzesławic dziedzicem, mocą której klasztor mogilski jedynie „część jedną wody na Młyn Krzesławicki ustąpił, a dwie części wody z tejże rzeki Dłubni sobie zostawił".

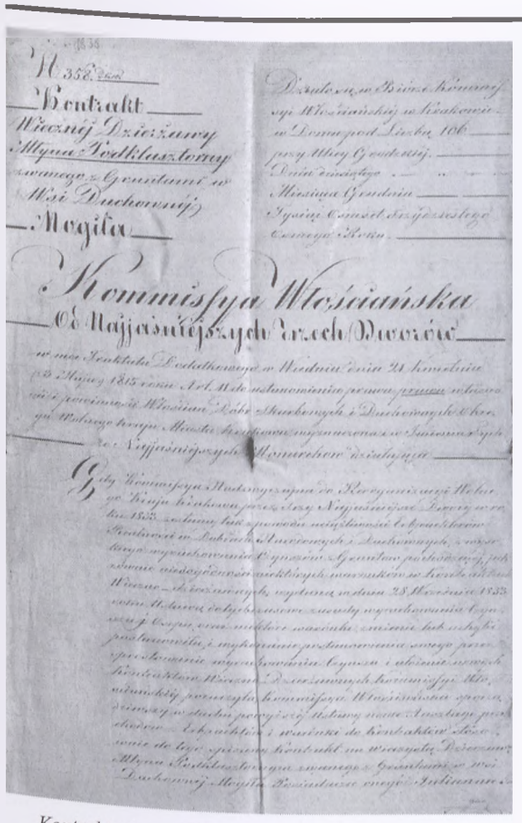
I taki stan prawny od 1402 do 1793 „w spokojney zostawał posessyi i nienaruszoney od Krzesławic".

Chcąc pozyskać sobie przychylność władz, autor supliki napisał w zakończeniu: „Opieka Najłaskawszych Rządów Xięstwa Warszawskiego nad tym naymocniey czuwa, aby Prawa, Przywileje, Ugody wieczyste, Wyroki Sądownicze naruszonemi y zgwałconemi nigdy niebyły." (Wszystkie cytaty z zachowaniem oryginalnej pisowni.)

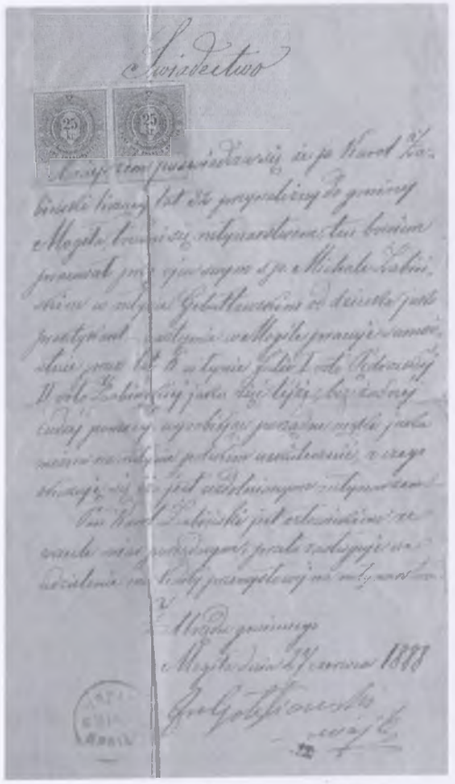
Naruszenie tych zasad podziału wody roboczej powodowało poważne perturbacje w działalności młyna podklasztornego. Nie tylko „czas niemielenia bez Zysku i Wygody Publicznej", ale także dotkliwe kary dla młynarza Nalepskiego („suplikant młynarz Woyskową Exekucyą przyciśniony być może"), jeśliby zgodnie z kontraktem zawartym z Magazynami Wojskowymi „41 centnarów zboża na ieden tydzień nie zmełł".

Dziś zapewne mało kto z mieszkańców Nowej Huty i jej okolic, przechodząc obok niepozornej rzeczki Dłubni, zdaje sobie sprawę z wielkiego znaczenia gospodarczego tej rzeki w minionych wiekach. Stare dokumenty dowodzą, iż Dłubnia wpisała się bardzo istotnie w historię gospodarczą tej części ziemi krakowskiej – Mogiły, Krzesławic, Bieńczyc, a dalej Raciborowic, Kończyc i kilku innych. Napędzała młyny, zasilała wodą stawy rybne, dawała dochody z łowienia bobrów, a także stanowiła niewyczerpany zasób czystej wody dla różnych potrzeb gospodarczych.

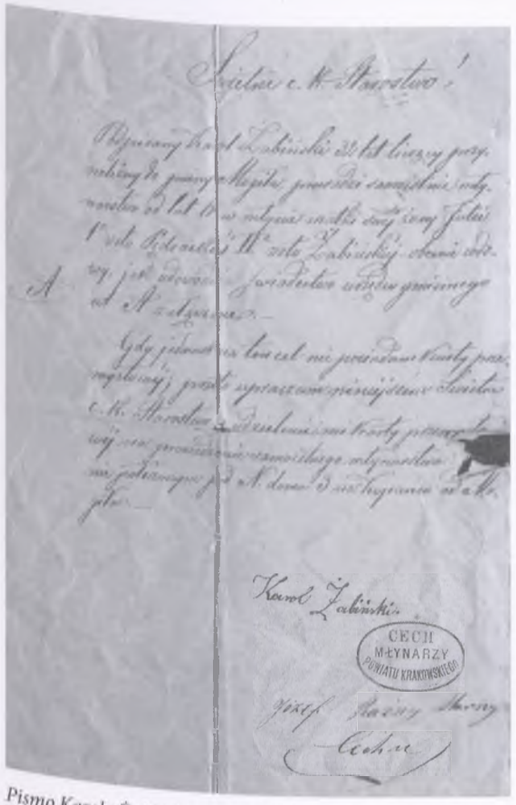
Mogiła, marzec 2008 ***Stanisław Misiak***



Kontrakt wiecznej dzierżawy młyna podklasztornego z 10 grudnia 1838 r.



Świadectwo Urzędu Gminnego w Mogile, wystawione dn. 27.06.1888 r. Karolowi Żabińskiemu



Pismo Karola Żabińskiego do C.K. Starostwa w sprawie otrzymania przez niego karty przemysłowej



Rodzina Żabińskich, od lewej: córki Apolonia i Zofia, żona Salomea (1866-1932), służąca, Karol (1857-1911) i córka Maria



Dom Zofii i Juliana Dyniów przy ul. Klasztornej w Mogile, nie opodal skrzyżowania z ul. Żaglową. Przed wojną i w latach okupacji niemieckiej mieścił się w części tego domu sklep, po wojnie – zakład szewski. Zdjęcie wykonano w maju 1956 r.

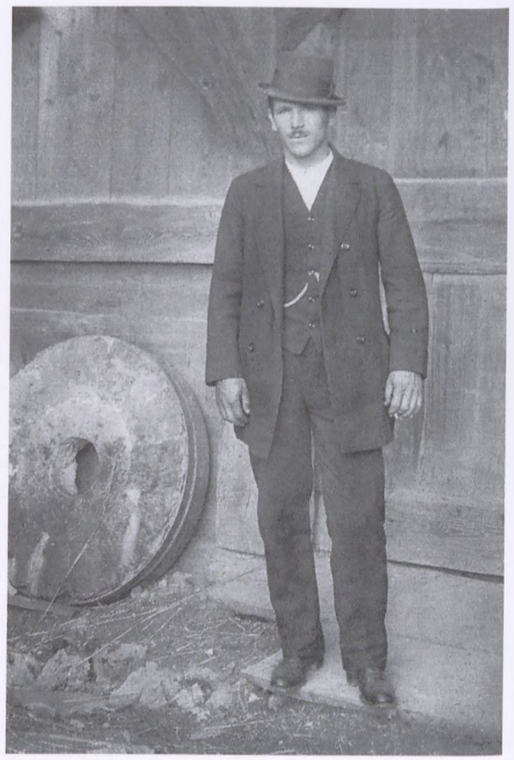


Wygląd ul. Klasztornej w Mogile w latach okupacji. Na zdjęciu z lewej Zofia z Żabińskich Wojciechowska z sąsiadami



Salomea Żabińska, do 1932 r. formalna właścicielka młyna





Apolonia z Żabińskich Chwastkowa (1889-1980) i jej mąż Józef Chwastek (1887-1955) przed prowadzonym przez nich młynem wodnym podklasztornym w Mogile, ok. 1917 r.

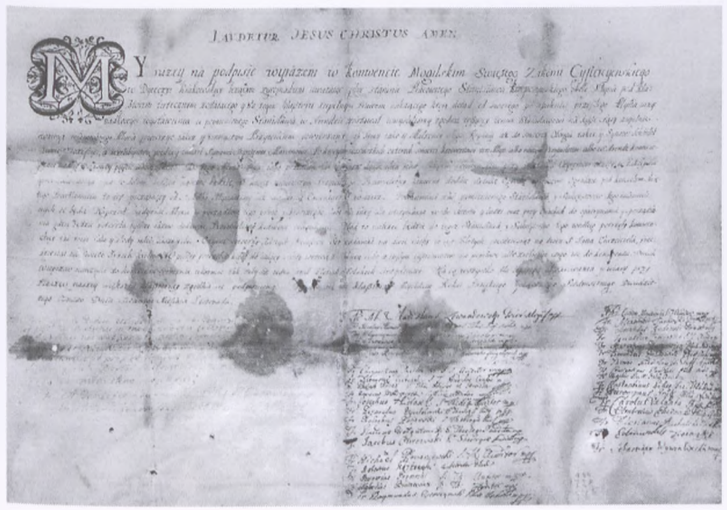
Laudetur Iesus Christus Amen

My niżey na podpisie wyrażeni w konwencie Mogilskim Swiętego Zakonu Cystercyenskiego w Dyecezyi krakowskiey leżącym zgromadzeni uważaiąc pilne staranie Pracowitego Stanisława Krzepczynskiego około Młyna pod klasztorem tutecznym zostaiącego y do tegoż klasztoru zupełnym Prawem należącego który dotąd od swoiego po spaleniu przeszłego Młyna przypadkowym wystawienia u pomienionego Stanisława w Arendzie zostawał umyśliliśmy zgodnie wszyscy temuż Stanisławowi na dalsze czasy zupełnie wzwyż mianowanego Młyna powierzyć, iakoż y ninieyszym Przywileiem powierzamy tak temu iako y Małżonce Iego Reginie aż do śmierci Oboyga, także y Synowi Ich młodszemu Iózefowi, a ieżeliby ten prędzey umarł Synowi Starszemu Marcinowi. Po ktorych wszystkich czterech śmierci konwentowi ten Młyn albo nowym Przywileiem albo w Arendę komu inszemu według woli swey puścić wolno będzie. Do tego Młyna Rola iako przedtym tak y przez dalsze lata nad Stawem konwenckim przy drodze ku Czyrzynom idącey w takiey długości iako dotąd była w dolinie leżąca należeć będzie, do którey ninieyszym Przywileiem Przewielebny konwent dodaie sztukę Ogrodu w swoim Ogrodzie pod kościołem Swiętego Bartłomieia to iest począwszy od stodołki Młynarskiey aż do końca Cmentarza w szerz. Powinności zaś pomienionego Stanisława y Sukcessorów tego mianowanych te będą: Naprzód budynku Młyna y porządków iego pilnie przestrzegać lubo na iazy dla utrzymania wody chrostu y ludzi oraz przy Opackich do opatrywania y sporządzania gdzie będzie potrzeba tychże iazów dadawać Przewielebny konwent obliguje się. Nad to należeć będzie do tegoż Stanisława y Sukcessorów tego według potrzeby konwenckiey tak zboże iako y słody mleć, kasze robić. Czynsz coroczny Złotych Polskich Sto oddawać na dwie rathy to iest Złotych pięćdziesiąt na dzień S. Iana Chrzciciela, pięćdziesiąt na Swięto Trzech królów. W pilney potrzebie kiedy do iakiey roboty wezwą z siekierą lubo z inszym instrumentem na poprawę albo zrobienie czego iść do konwentu. Dwuch Wieprzów należycie do konwentu corocznie ukarmić tak żeby się ieden stał Złotych Polskich Trzydzieści. Na co wszystko dla lepszego obwarowania y wiary przy pieczęci naszey większey klasztorney zgodnie się podpisuiemy. Działo się w klasztorze Mogilskim Roku Pańskiego Tysięcznego Siedmsetnego Dwudziestego Osmego Dnia Siódmego Miesiąca Listopada.

Pod tekstem tego Przywileju figuruje 37 podpisów z czytelnym zapisem imion, nazwisk i funkcji podpisanych zakonników. Jako pierwszy podpis złożył ówczesny przeor mogilski – Wladislaus Lewandowski. Zwraca uwagę to, iż większość z tych 37 nazwisk ma końcówkę „-ski", m.in. Zbijewski, Konarzewski, Czapski.

Po lewej stronie podpisów znajduje się 9 linijek tekstu klauzuli w języku łacińskim, rozpoczynającej się od słów: „Hoc Privilegium Datum...", zatwierdzającej postanowienia Przywileju. To uprawomocnienie nastąpiło w 1729 roku. Pośród zatwierdzających figuruje m.in. Fr. A. Benedictus Gurowski Abbas (tj. opat). Ten tekst łaciński jest, niestety, w dużej części nieczytelny lub słabo czytelny z powodu żółtych plam na pergaminie.

Stanisław Misiak


LAUDETUR JESUS CHRISTUS AMEN.

My niżey na podpisie wyrażeni w konwencie Mogilskim Swiętego Zakonu Cystercyenskiego

Nagrobki młynarzy podklasztornych

Przy głównej alei cmentarza parafialnego w Mogile, w pobliżu jego bramy, stoją cztery sąsiadujące ze sobą nagrobne pomniki. Niejednokrotnie mogłam zauważyć, że te stare nagrobki wzbudzają zainteresowanie u osób odwiedzających cmentarz. Wielu przechodniów z zaciekawieniem im się przygląda, próbując też odczytać napisy na tablicach. Nic dziwnego, bo niewątpliwie są one w swoim rodzaju zabytkami sztuki sepulkralnej i już od ponad stu lat wyraziście wpisują się w pejzaż mogilskiego cmentarza. Niestety, w ostatnich dziesięcioleciach coraz mocniej znać na nich skutki niszczącego działania upływu czasu. Obecny stan wskazuje na to, iż zagraża im niechybna ruina. Inskrypcje nagrobkowe, z wyjątkiem jednej, są prawie nieczytelne, a bryły pomników – mocno nadwerężone. Oczywiście nie tylko tzw. ząb czasu rujnuje kamienne pomniki, ale chyba w większym stopniu agresywne działanie obecnych w powietrzu zanieczyszczeń gazowych i pyłowych przez pół wieku istnienia huty.

Kto i komu postawił te nagrobne pomniki? Pragnę tutaj podać krótkie informacje w tym względzie jako osoba najbliżej z żyjących skoligacona ze zmarłymi złożonymi w tych grobach. Otóż są to groby ludzi, których życie było ściśle związane z podklasztornym młynem wodnym w Mogile (z wyjątkiem Franciszka Ksawerego Pendrackiego). Informacje podam odnosząc je do usytuowania pomników na zamieszczonym obok zdjęciu.

1. Pomnik pierwszy od lewej: To grób Karola Żabińskiego, syna Michała i Magdaleny z Niemczykiewiczów. Pochodził z Giebułtowa, z rodziny młynarskiej. Zmarł 9 IV 1911 r. przeżywszy lat 54. To mój dziadek ze strony matki. Wraz z żoną, a moją babką Salomeą (1865-1932) prowadzili młyn podklasztorny w Mogile. Oczywiście dziadków nie mogę pamiętać, bo urodziłam się po drugiej wojnie światowej. Pomnik wystawiła żona Salomea

2. Pomnik drugi od lewej: To miejsce wiecznego spoczynku Julii 1° voto Pendrackiej, 2° voto Żabińskiej, córki Franciszka i Agaty Ciepielów. Zmarła 25 IV 1901 r. w wieku 67 lat. To moja prababka. Pierwszy jej mąż Tomasz Pendracki i drugi mąż Michał Żabiński prowadzili młyn podklasztorny w Mogile. Pomnik położyli córka Salomea i zięć Karol Żabiński. Karol był synem Michała z pierwszego małżeństwa.

3. Pomnik trzeci od lewej: W tym grobie został pochowany Tomasz Pendracki. W niektórych dokumentach, a także na tablicy nagrobnej, jego nazwisko jest zapisane jako Pędracki, ale sam podpisywał się pod dokumentami jako Pendracki. Pochodził z Wieliczki. Wspólnie z pierwszą żoną Salomeą z Bogdzińskich (vel z Bogdów), zmarłą w 1866 roku, a później z drugą żoną Julią z Ciepielów, poślubioną w 1875 roku, prowadził młyn podklasztorny od 1844 r. do końca swego życia. Zmarł 19 I 1881 roku. Tomasz Pendracki był pierwszym mężem mojej prababki Julii (o której mowa w p. 2.). Pomnik wystawiła żona Julia, a wykonała firma F. Hochstim.

4. Pomnik pierwszy od prawej. W tej mogile zostały pochowane dwie osoby:

1) Salomea z Bogdzińskich (vel z Bogdów) Pendracka, córka Józefa i Marianny, urodzona w 1810 r. w Wieliczce, pierwsza żona Tomasza Pendrackiego. Zmarła w Mogile 25 X 1866 roku.

2) Franciszek Ksawery Pendracki, syn Tomasza i Salomei. Zmarł 29 V 1862 r. w Wieliczce, gdzie mieszkał. Napis na pomniku informuje, że „zmarł przedwcześnie", ale data urodzenia jest nieczytelna. Z niektórych dokumentów można wnioskować, że zmarł w wieku ok. 25-30 lat i bezpotomnie.

Pomnik ten wystawił Tomasz Pendracki. Długa inskrypcja nagrobkowa liczy 22 linijki i ponad sto wyrazów, z których prawie połowa jest nieczytelna. Te fragmenty inskrypcji, które przy odpowiednim oświetleniu dało się odczytać, skrupulatnie spisaliśmy. Tutaj odnotuję tylko to, że napis rozpoczyna się inicjałami trzech łacińskich wyrazów: D.O.M., czyli – Deo Optimo Maximo, tzn. Bogu Najlepszemu, Najwyższemu (dosł. Największemu). Kończy się zaś słowami: „...kładzie ten pomnik żonie i synowi. Przechodnia i Czytelnika prosi o nabożną modlitwę i westchnienie do Boga". Tomasz Pendracki nie tylko wzniósł poświęcony pamięci najbliższych pomnik nagrobny, ale także ofiarował w 1868 r. pieniądze na „fundację wieczystą przy kościele parafialnym mogilskim", czyli msze św. odprawiane w intencji zmarłych w ustalonych z góry dziesięciu terminach w ciągu roku oraz wypominki co niedzielę i w święta. Na pamiątkę tej fundacji ks. Leopold Siemiński, proboszcz tej parafii w latach 1878-1895, ofiarował Tomaszowi Pendrackiemu w 1880 r. obraz Najśw. Serca Jezusa z podanym na jego odwrocie wykazem odprawionych mszy wraz z treścią intencji mszalnych oraz dedykacją: „Szanownemu Fundatorowi na wieczną pamiątkę...". Obraz ten, jak informuje napis pod nim, był złożony na relikwiach Błogosławionej (obecnie świętej) Małgorzaty Marii Alacoque w Paray-le-Monial. To jedna z pamiątek po Tomaszu Pędrackim. Ksiądz Leopold Siemiński zmarł w 1895 roku. Jego nagrobek znajduje się naprzeciw opisanych pomników, po drugiej stronie alejki.

Za pomnikami widać kamienną płytę nagrobną na mogiłach Tomasza Pendrackiego i Julii Pendrackiej. Płyta zapadła się już w ziemię i zapewne uległa zniszczeniu. Nie są mi znane daty postawienia tych pomników, ale życiorysy ich fundatorów wskazują na to, że stawiano je w pierwszym dziesięcioleciu po śmierci wymienionych osób.

Miejsca pochówku tych osób pozostają w dyspozycji Proboszcza naszej parafii. Przyjmując to jako rzecz oczywistą z uwagi na wiek tych mogił, pragnę zarazem dodać, że względy uczuciowe złączone z pamięcią o przodkach i rodzinną historią sprawiają, iż z wdzięcznością odbieram to, że Ksiądz Proboszcz nie przekazał tych miejsc na groby innych osób. Dalsze trwanie fizyczne opisanych pomników jest zagrożone postępującą rujnacją, przeto warto i należy zapewnić im trwanie na kartach tej książki.

Barbara Misiak, z d. Dyniówna







Cmentarz parafialny w Mogile, 2008 r.

Szlak Twierdzy Kraków – Historia Fortów Mogilskich

W drugiej połowie XIX wieku cały Kraków przypadł Austrii. Także Mogiła i jej mieszkańcy stali się poddanymi cesarza Austro-Węgier. Zaborcy natychmiast po uzyskaniu obszaru dawnego Wolnego Miasta Krakowa zaczęli realizować wizję budowy Twierdzy Kraków. Całe to zamierzenie było realizowane od roku 1850, aż do momentu wybuchu I wojny światowej. Austriackie fortyfikacje powstały także na Wawelu, u podnóża Kopca Kościuszki, ale także w Mogile. Forty i obiekty wojskowe zostały zgrupowane w trzech pierścieniach i w siedmiu grupach warownych. Dla potrzeb budowy fortów powstały nowe cegielnie wokół Krakowa, takie jak: Zesławice, Płaszów i wiele innych, a przy budowli kilkudziesięciu obiektów wojskowych zatrudniano okoliczną ludność za godziwą zapłatą. To był pierwszy pozytywny aspekt wojennych przygotowań Austro-Węgier. Kraków został zamieniony w jedną z największych twierdz ówczesnej Europy. Dwa mogilskie forty weszły w skład grupy VI i miały za zadanie ochraniać wschodnie granice Krakowa. Już w 1860 r. powstał fort ziemny wokół Kopca Wandy, ale już w 1872 roku został on przebudowany na fort ceglano-ziemny i otrzymał numer 49 ½ WANDA. Parę lat później zbudowano drugi fort oznaczony 49 ½ a MOGIŁA. Powstał on w roku 1896 i był to fort obrony bliskiej. Posiadał niewielkie pomieszczenia koszarowe a obok, od strony południowej była bateria artylerii. Była to broń jaką Austriacy mieli doskonale rozwiniętą, jak na owe czasy. Fort obok kopca był przeznaczony jako miejsce dla kolejnej baterii artyleryjskiej a w czasach pokoju był wykorzystywany jako strzelnica wojskowa. W roku 1890 obywatel dawnego Królestwa Kongresowego, niejaki Konrad Kozerski, zafundował i umieścił na wierzchołku kopca znany nam obelisk królowej Wandy wg projektu Jana Matejki. Jakoś trudno nam sobie wyobrazić austriacki obiekt wojskowy, jakim był w owym czasie kopiec, i górujący nad nim pomnik Wandy z białym orłem. Tak czy owak w przededniu I wojny pomnik zdjęto z wierzchołka a w jego miejscu umieszczono punkt obserwacyjny, wykonany z betonu. Zadaniem obydwu mogilskich fortów była obrona mogilskiego gościńca czyli wówczas drogi wiodącej wprost do granicy z Rosją. Mieszkańcy Mogiły mieli zatem zaledwie parę kilometrów do granicy zaboru rosyjskiego – tereny Igołomii i Cła, to było pogranicze austriacko-rosyjskie. Wybuch I wojny i bardzo szybka akcja wojsk rosyjskich na ziemiach Galicji leżących na południe od Wisły spowodowały bezpośrednie zagrożenie Krakowa już we wrześniu 1914 roku . Mieszkańcy Mogiły , Pleszowa i okolic zostali zaciągnięci w szeregi armii austriackiej, ale z reguły przyszło im walczyć za cesarza z dala od domu. Mój dziadek, Wincenty, już w 1913 roku trafił do koszar w Alpach a później przeszedł szlak bojowy aż do Charkowa. Z jego trzech braci , którzy także wyruszyli na I wojnę – Mikołaj zginął jeszcze w 1914r .Najmłodszy z braci – Franciszek, kończył I wojnę w Legionach Piłsudskiego.

Pierwsza Bitwa o Kraków – listopad 1914

We wrześniu 1914 roku wojska rosyjskie utworzyły front od Nowego Brzeska poprzez Słomniki i Skałę, ale potężna armia rosyjska czuła wyraźny respekt przed twierdzą i jej załogą a zwłaszcza bardzo nowoczesnymi działami Austriaków. Rosjanie posuwali się wolno w stronę Krakowa, badali teren. Załoga fortu Mogiła miała toczyć potyczki w okolicach Pleszowa z patrolami rosyjskimi. Niepewność atakujących twierdzę wykorzystał jej dowódca i w połowie listopada 1914 r. nagle wyprowadzono z twierdzy 18 batalionów i 114 dział. To spowodowało osłabienie natarcia i dało możliwość przegrupowania wojsk austriackich.

Druga Bitwa o Kraków – grudzień 1914

Tym razem Rosjanie zaatakowali z kilku kierunków równocześnie. Jeden z korpusów armii rosyjskiej znalazł się w okolicach Bieżanowa. Pod obstrzałem rosyjskim znalazł się Fort nr 51 Rajsko, bo atakujący zapragnęli zdobyć Kraków posuwając się wzdłuż tzw. gościńca lwowskiego.

W krytycznym momencie tej bitwy wojska rosyjskie były już w odległości ok. 10 km. od rynku krakowskiego w okolicach wzgórza Kaim. Forty mogilskie nie brały bezpośredniego udziału w tej bitwie, ale działa dwóch mogilskich fortów były skierowane na południe, w rejon Bieżanowa. Nowoczesna jak na owe czasy artyleria twierdzy prowadziła ostrzał pozycji rosyjskich. Nawet działa z fortu 2 Kościuszko ostrzeliwały odległe o wiele kilometrów pozycje nacierających wojsk. Wspomagały ten ostrzał także działa baterii z fortów Wanda i Mogiła a także z baterii polowej umieszczonej na błoniach w Mogile-Kopańcu i z pociągu pancernego kursującego w kierunku Mogiły. W połowie grudnia 1914 r. kończył się już zapas amunicji dla dział twierdzy, ale w tym samym momencie nastąpił przełom. Wojska rosyjskie zostały odrzucone od Krakowa i front nie powrócił już do końca tej wojny w pobliże naszego miasta. Można zastanawiać się nad tym, jaki los spotkałby Kraków, Wawel

i inne pamiątki narodowe gdyby wynik tych bitew był inny. Należy zadumać się także nad tym, że dwie bitwy o Kraków stoczyli między sobą zaborcy Polski. Austria wybudowała dla obrony Krakowa wielką twierdzę za własne pieniądze i tym samym na początku I wojny światowej obroniła miasto przed drugim zaborcą – Rosją. Po wojnie zniknęła monarchia austro-węgierska a także carska Rosja. Odrodziła się Polska. Tragedią naszego narodu było to, że po obu stronach frontu walczyli przeciwko sobie Polacy z różnych zaborów. Na mogilskim cmentarzu znajduje się na ich pamiątkę grób Nieznanego Żołnierza, noszący numer 390.W dwóch grobach leży 71 żołnierzy armii austriackiej, ale aż 48 z nich zginęło na skutek wybuchów w składzie amunicji należącym do Twierdzy Kraków.

Dalsze losy fortów

Po zakończeniu I wojny mogilskie forty istniały nadal. Około 1927 roku powrócił na wierzchołek kopca znany nam pomnik Królowej Wandy. Nadal istniały szańce ziemne wokół kopca i wał baterii artyleryjskiej. W końcu lat 30-tych XX wieku Kopiec Wandy i fort wokół niego odwiedził Prezydent Mościcki w drodze do Pleszowa, gdzie miał zwiedzać wystawę rolniczą. Dzieci szkolne z mogilskiej szkoły podstawowej miały wygłaszać wówczas okolicznościowe wiersze. Mógł to być rok 1928 a może 1929 (mój tato nie pamięta dokładnie daty). W okresie międzywojennym obydwa mogilskie forty były wykorzystywane przez wojsko. Ten przy kopcu jako strzelnica a Fort Mogiła służył wojsku jako mały obiekt magazynowo – koszarowy.

W przededniu wybuchu II wojny światowej oraz w związku z powtarzającymi się lotami szpiegowskimi niemieckiego lotnictwa nad Krakowem – powstała w Mogile inicjatywa zorganizowania na kopcu stanowiska obserwacyjnego. Baza noclegowa tej grupki mieściła się w nieistniejącym już domu Jana Rusinka przy kopcu. Całodobowe dyżury obserwacyjne trwały od 6 sierpnia 1939 roku. W skład grupy wchodzili: Stanisław Mars, Stanisław Kardas, Władysław Jędras, Tadeusz Rak, Kazimierz Styczeń, Stanisław Tyrka, Józef Salwiński oraz Antoni Cyganik – mój tato. Wojskowy telefon polowy stanowił środek łączności pomiędzy kopcem a domem Jana Rusinka. Uzbrojeniem grupy był tylko jeden karabin, jaki posiadał oddelegowany do grupy żołnierz w stopniu podoficera. W dniu 1 września 1939 roku pełniący na kopcu służbę byli świadkami nalotu niemieckiego lotnictwa na Monopol w Czyżynach oraz na lotnisko Rakowice. Po odwołaniu żołnierza na front grupa uległa samorozwiązaniu a większość jej członków udała się na tzw. „ucieczkę" przed nadciągającymi wojskami niemieckimi. W czasie okupacji niemieckiej w forcie Mogiła był posterunek wojskowy. To z tego miejsca wyruszał na obchód Mogiły patrol niemiecki.

Po wybudowaniu kombinatu istniały nadal obydwa forty. Krytyczny moment dla fortu Wanda nastąpił w połowie lat 60-tych XX wieku. Rozrastająca się huta potrzebowała nowych terenów. Najpierw wokół kopca przeprowadzono badania archeologiczne a następnie zasypano szańce fortu i usunięto wał baterii. Zasypano też starą studnię, która miała stanowić przejście do skarpy w kierunku drugiego fortu. Sam kopiec przetrwał tamtą zawieruchę. ale były i wtedy głosy o tym, aby przesunąć lub przesypać go w inne miejsce. Byłem wtedy uczniem podstawowej szkoły w Mogile i pamiętam, że w akcję ratowania Kopca Wandy był zaangażowany ówczesny kierownik szkoły, pan Wincenty Choma oraz dyrektor oddziału Muzeum Archeologicznego – pan Stanisław Buratyński (o ile dobrze pamiętam nazwisko). Jako koniec dziejów FORTU WANDA należy przyjąć koniec lat 60-tych XX wieku.

FORT MOGIŁA był jeszcze jakiś czas wykorzystywany przez wojsko ale od momentu przebudowy dróg (koniec lat 60-tych XX w.), jego teren należy do kombinatu. W miejscu gdzie była bateria artylerii jest teraz przepompownia gazu. Sam fort przetrwał w dobrym stanie do naszych czasów, ale jest obudowany garażami. Można przejść obok i zupełnie go nie zauważyć. Fort mogilski nadal czeka na zrealizowanie głośnego projektu przebudowy i oddania go społeczeństwu.

Szlak Twierdzy Kraków zaczyna się w Mogile, przy przystanku MPK (Fort Mogiła)

Waldemar Cyganik



Kopiec Wandy, pocz. XX w.



Widok z kopca Wandy, 1949 r., własność Muzeum Historycznego Miasta Krakowa – Oddział Dzieje Nowej Huty



Spotkanie archeologów na kopcu Wandy, od lewej: prof. Rudolf Jamka, dr Renee Ledwos, dr Stanisław Buratyński, dr Kazimierz Radwański, lata 50. XX w., fot. Roman Zając



Apolonia i Ziuta Klęczanki przed stacją kolejową w Mogile, ok. 1940 r.

Stacja kolejowa Mogiła

Ten tytuł nie jest żartem „Prima aprilisowym" – lecz wspomnieniem miejsca, którego nie ma już w Mogile. Kto pamięta, że w przeszłości wieś i gmina Mogiła miała kolejowe połączenie z Krakowem? Także wskazanie dziś miejsca, w którym był budynek stacji kolejowej Mogiła, nie byłoby łatwe. A stosunkowo krótka historia kolejowego połączenia Mogiły i Krakowa miała swój początek u schyłku monarchii austro-węgierskiej.

W roku 1890 Sejm Krajowy dawnej Galicji podjął akcję budowy kolei, a w szczególności kolei lokalnych. Dla popierania budowy kolei Sejm utworzył „Krajowy Fundusz Kolejowy" przez zapewnienie dotacji z ogólnego funduszu krajowego na przeciąg 75 lat począwszy od r. 1894, pierwotnie w rocznej kwocie 600 000 koron austro-węgierskich a od roku 1908 w kwocie 900 000 koron. Linie gwarantowane przez kraj były budowane pod bezpośrednim nadzorem Wydziału Krajowego. W ten sposób wybudowano i oddano do ruchu publicznego różne koleje lokalne, które stanowiły własność prywatną Towarzystw akcyjnych dla każdej z nich ukonstytuowanych.

Linia Kraków – Kocmyrzów – długość 18,910 km. – otwarcie 11 grudnia 1899 r.

Prowadzenie eksploatacji na tych liniach objął Zarząd Kolei Państwowych na podstawie zwrotu własnych kosztów. Połączeń kolejowych w kierunku północnym było brak do czasów pierwszej wojny światowej. Można tu wliczyć co najwyżej lokalną linię kolejową stanowiącą własność prywatną , uruchomioną w 1899 r. z Krakowa do Kocmyrzowa, nad samą granicą rosyjską, oraz jej odnogę z Czyżyn do Mogiły uruchomioną 16 VI 1900 r.

Kiedy szukałem informacji i materiałów na ten temat postanowiłem zapytać o to osoby, które pamiętają czasy tego połączenia kolejowego. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że prawie nikt z pytanych nie potrafił prawidłowo przypomnieć sobie przebiegu linii kolejowej na zachód od Czyżyn, czy od młynów przy ulicy Mogilskiej. Jak wspominał jeden z najstarszych mieszkańców Mogiły śp. Jan Mars, pociąg z Krakowa do Mogiły, zwany przez mieszkańców „mogiłką", przyjeżdżał dwa razy dziennie: o godzinie 7:30 rano i 15:00. Korzystała z niego głównie młodzież ucząca się w Krakowie i studiująca, a także wożono tym pociągiem towary (zboże do młynów mogilskich, węgiel i inne). Nie było to zapewne tanie podróżowanie, skoro żyjący jeszcze świadkowie tamtych czasów pamiętają sam pociąg, ale przyznają, że najczęściej za środek transportu w kierunku Krakowa służyły im furmanki lub własne nogi.

Na początku I wojny – linia kolejowa Kraków – Czyżyny – Kocmyrzów, Czyżyny – Mogiła była wykorzystywana przez wojska austriackie. Dowożono zaopatrzenie do wschodniego pierścienia twierdzy a także kursował tędy pociąg pancerny, który prowadził ostrzał rosyjskich pozycji w okolicach Bieżanowa.

W latach międzywojennych linia kolejowa Kraków – Czyżyny – Mogiła czy Kraków – Czyżyny – Kocmyrzów miała spore znaczenie. Do Kocmyrzowa dojeżdżał bowiem pociąg z Kazimierzy Wielkiej (wąskotorówka) i można było kontynuować dalej podróż na ziemię proszowicką i kielecką. W latach II wojny światowej szlak połączeń kolejowych Mogiła – Kocmyrzów – Kazimierza Wielka był wykorzystywany przez wielu mogilskich „kurierów żywnościowych". Był to z reguły handel wymienny. Z Mogiły często wożono wówczas na ziemię kielecką mąkę. Nie były to jakieś wielkie ilości, lecz małe woreczki, które dało się ukryć pod płaszczem.

W latach budowy Nowej Huty linia kolejowa do Mogiły służyła także budowniczym nowego miasta. W związku z budową Nowej Huty i rozwojem komunikacji tramwajowej, w roku 1953 zamknięto to połączenie dla ruchu pasażerskiego, a w roku 1954 zamknięto całkowicie ruch towarowy, żeby w 1956 roku zlikwidować całkowicie stację kolejową Mogiła. Likwidację stacji Czyżyny i stacji Kocmyrzów przeprowadzono w innych latach.

Niestety ten pociąg już nigdy nie odjedzie, ale spróbujmy go ocalić w naszej pamięci. Stacja Mogiła była ulokowana w pobliżu cmentarza mogilskiego. Bocznica kolejowa kończyła się na wysokości cmentarza i ukośnej drogi z Mogiły do Bieńczyc, przy której stał przydrożny krzyż. Natomiast sama stacja Mogiła była nieco dalej w kierunku zachodnim. Tor w kierunku Krakowa był położony obok drogi Kraków – Nowe Brzesko i mniej więcej na wysokości dzisiejszego Placu Centralnego przecinał ówczesną granicę miasta Krakowa (1943 r.), aby obok dzisiejszego NCK i „miasteczka komunikacyjnego" dotrzeć do istniejącego już wtedy „Monopolu", czyli zakładów tytoniowych. Następnie tor kolejowy przecinał dzisiejszą al. Jana Pawła II, zwaną wtedy ulicą Mogilską, aby, na wysokości dzisiejszego os. Kolorowego, łukiem połączyć się z torem od strony Kocmyrzowa, a dalej już prawą stroną drogi w kierunku Krakowa przez stację Czyżyny, dalej przez nieistniejący fort na terenie parku lotników i obok młynów na ul. Mogilskiej. Tuż za wiaduktem tor skręcał w lewo i przez Grzegórzki, oraz okolice krakowskiej rzeźni docierał do znanej wszystkim linii kolejowej Kraków Główny – Kraków Płaszów.

Wyobraźmy sobie, że na krakowski dworzec wjeżdża buchający parą parowóz a za nim kilka wagonów... Stłumiony głos podaje komunikat: Uwaga, uwaga. Pociąg osobowy do Mogiły przez Czyżyny odjedzie z toru przy peronie...

Waldemar Cyganik

Ks. Wojciech Siedlecki, proboszcz parafii w Mogile w latach 1895-1935

„Do Najprzewielebniejszego Książęco-Biskupiego Konsystorza w Krakowie. Podpisany ma za-szczyt zawiadomić Najprzewielebniejszą władzę Diecezjalną, iż w dniu dzisiejszym o godzinie 7 rano zasnął w Panu po krótkiej lecz dolegliwej chorobie, opatrzony SS. Sakramentami śp. ks. Leopold Siemiński, poddziekani Bolechowicki i proboszcz parafii w Mogile w dniu 30 kwietnia 1895 r." – dokument podpisał ks. Romuald Szwarc, dziekan.

Po śmierci ks. Siemińskiego tymczasowym administratorem w Mogile został ks. Jan Pabijan, były administrator parafii w Głogoczowie.

Na stanowisko administratora w Mogile w 1895 r. ubiegało się 9 kandydatów, którzy do 25 lipca 1895 r. złożyli podania w tej sprawie: Jan Pabijan; Jan Skwarczyński, pleban w Grabiach od 1889 r.; Wojciech Konieczny, pleban z Graborzyc; Józef Dunajewski, dyrektor i katecheta Szkoły Żeńskiej w Staniątkach; Ludwik Choróbski, administrator parafii św. Szczepana na Piasku w Krakowie; Franciszek Świderski, katecheta Wyższej Szkoły Realnej w Krakowie; Józef Błonarowicz; Wawrzyniec Solak; poddziekani i pleban w Lubniu; Stanisław Heuman, proboszcz w Zembrzycach oraz Wojciech Siedlecki.

27 sierpnia 1895 r. sporządzono protokół z egzaminu, który złożyli kandydaci ubiegający się o probostwo w Mogile. Spośród kandydatów starających się o to probostwo wybrano ks. Wojciecha Siedleckiego.

Wojciech Siedlecki urodził się 29 listopada 1849 r. w Kawęczynie w Galicji. Ukończył gimnazjum w Krakowie. W latach 1870-74 studiował w seminarium w Tarnowie i tu w lipcu 1877 r. przyjął święcenia kapłańskie. W latach 1874-76 pracował jako wikary w Czerniawie, potem w 1876 w Niepołomicach; po 4 miesiącach przeniesiony został do Rajczy; katecheta przy Szkole Wydziałowej w Wieliczce w 1880 r.; katecheta w gimnazjum św. Jacka w Krakowie od maja 1880 r. do 31 stycznia 1881 r. Za pracę katechety w Wieliczce zyskał uznanie Dyrekcji Szkoły Wydziałowej w Wieliczce z okazji opuszczenia tejże szkoły.

W 1895 r. uzyskał nominację od biskupa na urząd cenzora ksiąg religijnych i mianowanie Komisarzem Biskupim SS. Urszulanek. Pełniąc jeszcze funkcję katechety w gimnazjum św. Jacka w latach 1880-81 był jednocześnie wikarym w parafii św. Krzyża w Krakowie, ale z powodu kolizji obowiązków zrezygnował z tej funkcji.

Siedlecki starając się o posadę proboszcza w Mogile napisał do biskupa uzasadnienie swoich starań w następujących słowach: „Podpisany katecheta gimnazjum św. Jacka ośmiela się prosić pokornie książęcą Biskupią Mość o nadanie mu opróżnionego beneficjum (czyli stanowiska plebana) Mogiły. Licząc 21. rok kapłaństwa (46 lat życia) a piętnasty rok pracy w tejże szkole pracując, czuje upadające zwolna siły do dalszej wytężającej piersi i gardło mozolnej choć wdzięcznej pracy i to wmieście (Krakowie), spodziewa się zaś podołać pracy na wsi przy duszpasterstwie o średniej ilość dusz mogąc mieć i wikariusza w tej parafii, a w każdym razie pomoc z Klasztoru (oo. Cystersów). Mając oczy już słabe pracą wyłącznie prawie książkową – w długim jeszcze szeregu lat w szkole, jest mu trudną, gdy do pracy urozmaiconej w konfesjonale, w katechizmach, u chorych, na ambonie itp. czuję jeszcze sił dosyć.

Wreszcie podpisany, największą część zawodu kapłańskiego spędziwszy na pracy w szkole, nie miał sposobności nawiązać ze świeckimi kolatorami znajomości, by do nich mógł się udać o otrzymanie jakiegoś probostwa, zwraca się podpisany z niniejszą prośbą do Waszej Książęco-Biskupiej Mości!"

W dniu 22 czerwca 1895 r. Siedlecki uzyskał też pozytywną opinię urzędu dekanalnego:

„w mowie będący kandydat jest skromny, charakteru łagodnego (...) w pracy duchownej nie zmordowany, katecheta wzorowy, kaznodzieja wyśmienity i gorliwy, można powiedzieć sacerdos secundum cor Dei (kapłan oddany sercem Bogu). Urząd dekanalny poczuwa się do obowiązku tegoż kandydata ks. Wojciecha Siedleckiego Najprzewielebniejszemu Książęco-Biskupiemu Konsystorzowi polecić".

12 października 1895 r. Namiestnictwo we Lwowie (władze świeckie) zaakceptowało jego wybór na probostwo i 19 X Siedlecki otrzymał probostwo w Mogile. W uroczystym przekazaniu tego urzędu wziął udział ks. Jan Puchała, pleban Pleszowa jako notariusz dekanalny.

Tekst przysięgi złożony przez Siedleckiego: „Ja Wojciech Siedlecki ustanowiony na beneficjum duszpasterskie w Mogile w Diecezji Krakowskiej uroczyście ślubuję i obiecuję Prawu Najwyższemu i Najczcigodniejszemu Panu posłuszeństwo i poszanowanie memu powołaniu i jego następcom w obowiązkach mojej parafii; ponadto przysięgam, że wspomnianą parafię nie nabyłem przez symonię, jej dóbr nie sprzeniewierzę, a jakiekolwiek

utracone dobra wedle możności i wiedzy będę się starał odzyskać. Przysięgi tej dotrzymam i moje obowiązki wiernie wypełniał. Tak mi Boże dopomóż i ta święta Boża Ewangelia".

(Symonia – kupczenie godnościami i sakramentami; od Szymona Maga, którego św. Piotr zganił za to, że chciał kupić od apostołów dar udzielania Ducha Świętego, (zob.: Dzieje Apostolskie 8, 9-24).

W czasie pracy duszpasterskiej Siedlecki współpracował z cystersami mogilskimi, którzy wspomagali go w pracy zakonnikami. W jednym z listów do przełożonych w Krakowie Siedlecki wspomina, że przeor cystersów w Mogile jest gotów do jego dyspozycji pozostawić trzech kapłanów-zakonników z Jugosławii do pracy w parafii, a to: o. Gabriela Stamka, który 6 lipca 1934 r. zgłosił się do Siedleckiego, jako dziekana i zdał u niego egzamin uprawniający tego zakonnika do pracy w parafii i który właśnie uczy się języka polskiego; o. Szymona Asie; o. Józefa Vraćko, cystersa, znającego bardzo dobrze język polski, który prowadził już szkołę w Czyżynach.

Siedleckiemu brakowało do pomocy księży świeckich, dlatego liczył szczególnie na pomoc tych trzech Jugosłowian z Konwentu mogilskiego i pisze dalej: „Mianowicie gdy obecnie trzech ojców cystersów jest w tutejszym klasztorze do dyspozycji a brak świeckich księży daje się w parafii odezwać tedy gotów jest ks. przeor ofiarować usługi księży klasztornych miejscowych do pracy parafialnej w Mogile. Ci klasztorni księża gotowi do pracy to są szczególnie ci co ostatnimi czasy z Jugosławii tu do Mogiły zjechali".

Dalej Siedlecki pisze o sprawach plebanii: „Co do mnie miałbym stąd to wielkie bene (korzyść), że i w razie rezygnacji z probostwa nie potrzebowałbym prosić się na inne mieszkanie ale na plebani mogilskiej mógłbym może i do śmierci pozostać a ksiądz wyznaczony administrator zająłby te dwa pokoiki odrębne, w których obecnie ks. wikary się mieści".

Z tego dokumentu napisanego 9 lipca 1934 r. wynika, że Siedlecki upadając na zdrowiu i czując zbliżającą się śmierć starał się przygotować warunki, aby mogilską parafię przejęli po jego śmierci cystersi mogilscy. Parafia mogilska wówczas podlegała biskupstwu w Krakowie, które mianowało na probostwo księży świeckich. Siedlecki musiał też w tym kierunku prowadzić z ówczesnym przeorem cystersów jakieś rozmowy. W dokumencie pisze, że planowało biskupstwo krakowskie po jego śmierci parafię powierzyć ks. Rutanowi, ale Siedlecki nie był zadowolony z tej kandydatury, gdyż według niego Rutan „choć dobry do pracy, to jest zbyt prętki", chodzi być może o to, że porywczy.

Siedlecki pisze, że Generał Zakonu Cystersów wizytował już Mogiłę i że ze strony cystersów wyszła inicjatywa przejęcia przez zakon mogilski parafii. Sprawą tą miał zająć się ostatecznie Generał Zakonu Cystersów, którego wizyty wówczas w 1934 r. oczekiwano.

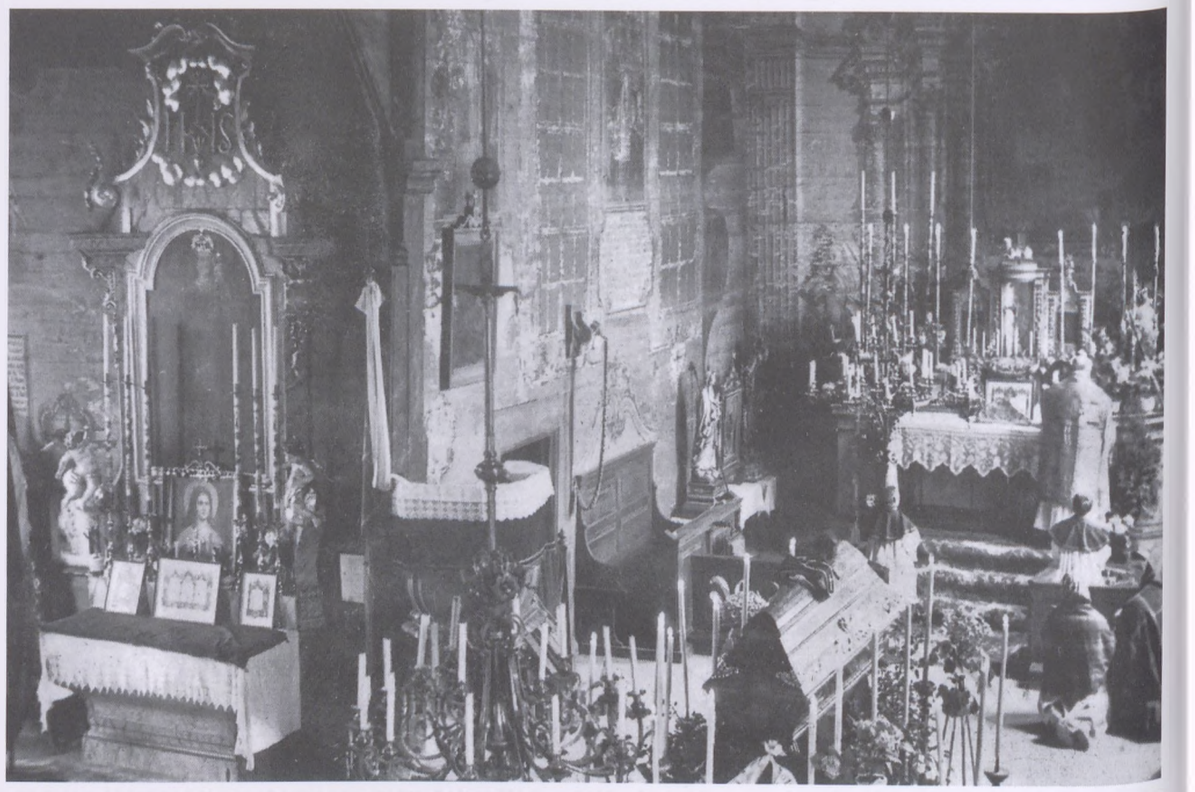
Podział parafii św. Bartłomieja – Czyżyny

Siedlecki pełnił służbę jako proboszcz Mogiły do swojej śmierci w 1935 r., ale tuż przed jego śmiercią mieszkańcy wsi Czyżyny, która należała wówczas do parafii św. Bartłomieja w Mogile, rozpoczęli starania o utworzenie w Czyżynach osobnej parafii i wybudowanie w Czyżynach kościoła parafialnego.

3 grudnia 1934 r. Czyżynianie napisali list do Kurii Książęco-Metropolitalnej w Krakowie, w którym uzasadniali konieczność budowy kościoła farnego u siebie, m.in.: „Z powodu dość znacznej odległości od kościoła w Mogile nie wszyscy mieszkańcy mogą brać udział w nabożeństwie, a zwłaszcza starcy i dzieci. Z przytoczonych powodów proszę usilnie władze kościelne o łaskawe rozpatrzenie niniejszej prośby i skierowanie całej akcji na właściwe tory".

Po śmierci Siedleckiego tymczasowym administratorem Mogiły został ks. Jan Rutan w dniu 26 kwietnia 1935 r.. Wówczas cystersi mogilscy podjęli starania o odzyskanie zarządu nad parafią mogilską i w dn. 26 czerwca 1935 r. skierowali do Kurii w Krakowie list: „Do Najprzewielebniejszej Książęco-Metropolitalnej Kurii w Krakowie. Konwent oo. Cystersów w Mogile zgłasza się jako kandydat do objęcia opróżnionej przez śmierć śp. ks. prałata Wojciecha Siedleckiego parafii w Mogile, o ile zgadza się to z zamiarami Najprzewielebniejszej Książęco-Metropolitalnej Kurii, tymczasem zaś Konwent oświadcza gotowość do tymczasowego administrowania w opróżnionej parafii z tego względu, że i tak w kościele klasztornym odprawiają się nabożeństwa i głosi się kazanie tak jak w parafii, ponieważ ludzi uczęszczających liczniej do kościoła klasztornego niż parafialnego nie można pozbawić Słowa Bożego. Konwent gotów też jest do pertraktacji w sprawie podziału parafii mogilskiej, jak i do udotowania przyszłej parafii w Czyżynach". Dokument podpisał przeor o. Robert Kuchar.

W post scriptum przeor Konwentu dodał, że posiada zaliczony egzamin proboszczowski, i że pracował już przez 15 lat w duszpasterstwie świeckim. Starania cystersów mogilskich o objęcie patronatu nad parafią w Mogile były konsekwencją rozmów z Siedleckim w 1934 r. i z ustaleń z Generałem Zakonu, jak też kontynuacją prac nad objęciem patronatu parafii realizowanych jeszcze w XIX wieku.



Wnętrze kościoła p.w. Św. Bartłomieja w Mogile, pochodzącego z 1466 roku i zaliczanego do najcenniejszych zabytków średniowiecznej architektury drewnianej w Polsce, 30.04.1935 r.



Uroczystości pogrzebowe księdza prałata Wojciecha Siedleckiego, dziekana dekanatu mogilskiego, 30.04.1935 r.









Uroczystości pogrzebowe księdza prałata Wojciecha Siedleckiego, dziekana dekanatu mogilskiego, 30.04.1935 r.



Ostatecznie administratorem parafii Mogiły został ks. Józef Zastawniak, który kontynuował prace nad budową nowej fary w Czyżynach. W liście do przełożonych duchownych w Krakowie pisał w dn. 3 lipca 1936: „Do Najprzewielebniejszej Kurii Książęco-Metropolitalnej w Krakowie. Niżej podpisany administrator parafii Mogiła, przewodniczący Komitetu Budowy Kościoła w Czyżynach, prosi o łaskawe udzielenie mi pozwolenia na odprawienie Mszy św. polowej w Czyżynach w jedną z najbliższych niedziel na miejscu, gdzie ma stanąć Kościół. Z okazji bowiem rozpoczęcia budowy kościoła dokonano by symbolicznego wykopu pod fundamenta, byłoby wygłoszone kazanie, oby ludność tamtejszą zachęcić do składek na kościół i podnieść wątpiących lub niewierzących w możliwość budowy na duchu. Wielu bowiem wstrzymuje się od datków, mówią, że dadzą ofiarę, jak będą widzieć, że się rzeczywiście kościół buduje. Dotychczas ludność miejscowa złożyła około 1000 złotych".

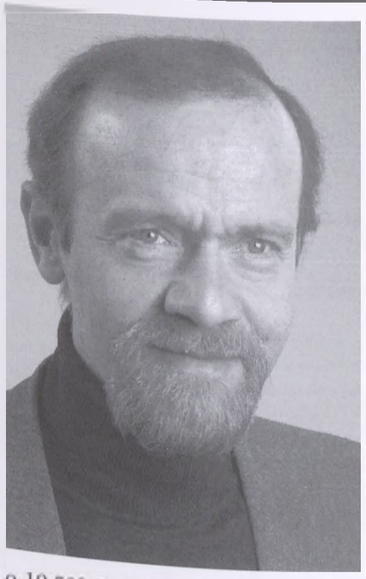
Dalej Zastawniak pisze, że pewien ofiarodawca przekazał dwa wagony cementu na budowę kościoła.

W piśmie z 6 X 1937 r. ks. Zastawniak prosi o pozwolenie na uroczystość 28 X jako święta patrona kościoła w Czyżynach im. Judy Tadeusza i wystawienie Najświętszego Sakramentu w monstrancji w czasie sumy i nieszporów i prosi na ten dzień o odpust.

Oprac.: Krzysztof Rosołek

Dokumenty z Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie





Gazeta na dziś i dla przyszłych pokoleń

Niewiele osób zdaje sobie sprawę z ogromnego znaczenia parafialnej gazety – zarówno dla nas, na co dzień uczestniczących w życiu parafialnej wspólnoty, jak i dla przyszłych pokoleń. Przekonałem się o tym, zbierając materiały na temat tego, co działo się w Mogile i okolicy w okresie dwudziestolecia pomiędzy I a II wojną światową? Gdyby ks. Wojciech Siedlecki, a od 1935 roku ks. Józef Zastawniak (przedwojenni proboszczowie mogilscy) wpadli na pomysł wydawania parafialnej gazety, dzisiaj mielibyśmy prawdziwą kopalnię wiedzy o tamtych czasach. A tak, pozostaje jedynie szperanie w pożółkłych rocznikach gazet wydawanych w Krakowie. Co prawda doniesienia z Mogiły nie pojawiają się w nich zbyt często, ale i tak można znaleźć tam wielce ciekawe informacje. Kto wie na przykład, że 14 września 1929 roku Dyrekcja Kolei Państwowych w krakowskim „Czasie" opublikowała komunikat, iż w związku z odpustem w Mogile, w niedzielę 15 września uruchomiony zostanie dodatkowy pociąg z Krakowa do Mogiły z odjazdem o 8.55 oraz z Mogiły do Krakowa z odjazdem z Mogiły o 19.50? Dyrekcja uruchomiła też dodatkowe pociągi z Czyżyn do Mogiły i z Mogiły do Czyżyn (młodszym czytelnikom można przypomnieć, że w Czyżynach była stacja kolejowa, na której można się było przesiąść na kursujący dość często pociąg z Kocmyrzowa do Krakowa). Komunikat ten pokazuje jak wielu pielgrzymów przybywało wówczas do Mogiły. Pisał o tym zresztą korespondent „Czasu" 18 września 1929 roku: „Od rana aż do późnego wieczora szosą mogilską przejeżdżały pojazdy samochodowe i konne, również pociągi odchodzące w kierunku Mogiły, były szczelnie zapełnione publicznością".

Najstarsi parafianie pamiętają być może wielki kryzys gospodarczy jaki w latach 1929-1935 ogarnął Europę. Kryzys dotknął również Polskę. A jaki z tym związek ma Mogiła? Otóż arcybiskup Adam Sapieha na początku lat 30-tych powołał Krakowski Arcybiskupi Komitet Ratunkowy, którego głównym zadaniem było wspieranie bezrobotnych i ubogich. Na przełomie jesieni i zimy w latach 1931-1933 Komitet ten podjął akcję pomocy osobom, które w wyniku kryzysu znalazły się w nędzy. Akcja polegała m. in. na zbieraniu zboża i ziemniaków w poszczególnych dekanatach archidiecezji. Płody rolne przekazywane były później potrzebującym. Ze sprawozdania z prac Komitetu Ratunkowego za okres od października 1931 do maja 1932 roku, które opublikowane zostało 26 czerwca 1932 r. w diecezjalnym tygodniku katolickim „Dzwon Niedzielny" wynika, że w dekanacie mogilskim zebrano 6 232 kg zboża dla bezrobotnych i ubogich. Okazało się też, że na 19 dekanatów archidiecezji właśnie tutaj zboża zebrano najwięcej. Zebrano również 29 820 kg ziemniaków, co dekanat mogilski – w zbiórce ziemniaków – stawiało na drugim miejscu po dekanacie suskim. Informacje te dowodzą że na terenach, na których wybudowano Nową Hutę mieszkali dobrzy ludzie. Ludzie ofiarni, którzy umieli podzielić się swoimi plonami z potrzebującymi pomocy.

Dwie ciekawe informacje z przeszłości Mogiły i mogilskiego dekanatu. A ilu ciekawych rzeczy dowiedzielibyśmy się gdyby w tamtych, przedwojennych czasach, ukazywała się gazeta parafialna?

Jan Franczyk



Mogiła, fot. Adam Gryczyński, 22 grudnia 2007 r.

Leon Silberbach



urodził się 21 maja 1927 r. w Krakowie w żydowskiej rodzinie, która mieszkała przy ul. Pasterskiej 16. Miał jeszcze dwójkę rodzeństwa: siostrę i brata. Kiedy wybuchła wojna jego rodzice nie chcieli zamieszkać w getcie i szukali schronienia u znajomych mieszkających poza miastem, m.in. w Mogile. Z 5-osobowej rodziny wojnę przeżył tylko on i ojciec. W 1948 r. Leon wyemigrował do USA i zmienił imię oraz nazwisko na Leo Bach. Tutaj się ożenił i miał dwoje dzieci. Zmarł w 2007 r.

Wspomnienia te zostały spisane dopiero 50 lat po wojnie na emigracji, więc mogą zawierać pewne nieścisłości. Całość liczy ponad 300 stron i jest napisana w j. angielskim, dlatego, ze względu na tematykę albumu, wybrano tylko niektóre fragmenty (odnoszące się do Mogiły).

Wspomnienia Leo Bacha (Leo Bach's memoir)

(...)Ojciec nie chciał mieszkać w getcie i dlatego postanowił szybko rozwiązać ten problem. Jeden z jego starych znajomych, Żyd, mieszkał od wielu lat w małej wiosce 10 km na wschód od Krakowa. Była to Mogiła a znajomy nazywał się Rosenwald. Pan Rosenwald był tutaj dobrze znany i szanowany nie tylko przez mieszkańców, ale także tutejszą policję. Pomógł ojcu uzyskać zgodę od komendanta miejscowej policji na osiedlenie się oraz znaleźć jakiś pokój, w którym moglibyśmy zamieszkać. Natychmiast rozpoczęliśmy przygotowania do wyprowadzki, mając nadzieję, że nastąpi to wkrótce. Nasi rodzice podjęli ostateczna decyzję co zabrać ze sobą, co sprzedać, a co zostawić w domu licząc na to, że wkrótce będziemy mogli do niego wrócić. Ojciec sprzedał konia i wóz. (...)

17 marca ojciec wynajął woźnicę z dorożką, która zawiozła nas do Mogiły. Celowo wyjechaliśmy późnym popołudniem o zmierzchu, w celu zminimalizowania ryzyka nakrycia przez Gestapo lub polską policję. Policja mogła nas aresztować, ponieważ jechaliśmy nie tam, gdzie naziści chcieli, żebyśmy się udali. (...)

Podróż na miejsce zajęła nam jakieś 1,5 godz. i już zupełnie się ściemniło, gdy dotarliśmy do celu. (...)

Mogiła była słabo rozwiniętą cywilizacyjnie wioską położoną przy głównej drodze na wschód od Krakowa. Gościniec ten był zwykłą drogą gruntową, wzdłuż której ciągnęły się głębokie na jakieś 0,5 metra rowy odprowadzające deszczówkę. Druga taka ubita droga biegła przez wioskę. Wzdłuż niej usytuowane były chaty chłopów kryte strzechą. Nie było elektryczności ani bieżącej wody, a podłogę zastępowała jedynie utwardzona glina. Źródłem światła były jedynie lampy naftowe i karbidowe. Wodę czerpano ze studni. Toaletę stanowiły zwykłe drewniane latryny zwykle mieszczące się obok stajni, gdzie chłopi trzymali konia i krowę. Mieszkańcy byli ubogimi chłopami mającymi zaledwie kilka akrów ziemi, ale byli się w stanie z tego utrzymać. W Mogile mieszkały 2 zamożniejsze rodziny chłopskie. Ich domy wyróżniały się spośród innych, ponieważ były kryte dachówką i miały drewniane podłogi. Bogaci chłopi posiadali więcej ziemi oraz z reguły więcej niż dwie krowy i konie. Już po krótkim pobycie zauważyłem, że chłopi byli wierni zwyczajom, których nie widziałem w mieście. Wcześnie rano otwierali stajnie i wypuszczali krowy na drogę tak, aby przyłączyły się do pozostałych. Nastoletni chłopiec i dziewczyna doglądali, czy całe stado zmierza prosto na pastwisko. Późnym popołudniem stado wracało i każda krowa sama wiedziała, do której obory ma wejść, bez niczyjej pomocy. Spostrzegłem również, że kiedy we wsi umarł kawaler to młoda panna niosła trumnę na cmentarz, a kiedy zmarła panna to tę rolę pełnił młody kawaler. Wielu chłopów było zagorzałymi katolikami. W niedzielę rano zakładali swoje najlepsze stroje i z Biblią w ręce maszerowali do kościoła. Byli prostymi, pracowitymi ludźmi żyjącymi blisko ziemi i przyrody. Były 2 albo 3 osoby we wsi, które miały etykietkę złodziei lub bandytów i reszta mieszkańców nimi pogardzała. Wielu starszych chłopów było zupełnie niepiśmiennych. Młodsi mieli zwykle ukończonych 7 klas szkoły podstawowej i posiadali jedynie umiejętność czytania i pisania. Z przyjemnością zauważyłem, że wielu chłopów nie przejawiało oznak antysemityzmu, w przeciwieństwie do ludzi z miasta. Ilekroć przechodziłem przez wioskę bez gwiazdy Dawida, nikt nigdy mnie niepokoił z tego powodu. Polska policja musiała jednak przestrzegać nazistowskiego prawa, dlatego unikałem konfrontacji z nią. Był jeden lekarz we wsi zatrudniany przez gminę, który obsługiwał kilka okolicznych wsi. Jako polski aryjczyk podlegający nazistowskiemu prawu, miał zakaz udzielania porady lekarskiej Żydom. Ponieważ we wsi nie było żadnego żydowskiego lekarza, musieliśmy chodzić do niego, ale nigdy nie odmówił nam pomocy.

W czasie naszego pobytu było około 20 rodzin żydowskich mieszkających we wsi. Z tych 20, 5 mieszkało tam od wielu lat we własnych domach. Pozostali to byli przyjezdni. Tak jak my.

Rodzina Rosenwaldów i Filkensteinów mieszkała tu od dawna i była najbardziej wpływowa oraz szanowana. Rosenwaldowie mieli dom z cegły położony na niewielkim wzgórzu. W jednej części domu znajdował się sklep spożywczy prowadzony przez spółkę miejscowych chłopów, którym pan Rosenwald go wynajmował. Rodzina z 3 córkami w wieku 6, 8 i 10 lat mieszkała w pozostałej części budynku. Pan Rosenwald handlował bydłem i w ten sposób mój ojciec poznał go kilka lat wcześniej. Pan Rosenwald był wielce szanowany przez mieszkańców i miejscową policję, ponieważ dawał kilku osobom zatrudnienie, a policja otrzymywała od niego miłe upominki na święta Bożego Narodzenia. Jeżeli jakiś Żyd miał problemy z miejscową policją, pan Rosenwald zawsze skutecznie interweniował.

Filkensteinowie tworzyli dużą rodzinę i wyznawali tradycję chasydzką. Mężczyźni zawsze nosili czarny strój. Był pradziadek, dziadkowie, córki z mężami i dziećmi oraz dwóch dorosłych synów, kawalerów. Stanowili zamożną rodzinę. Od wielu lat w Mogile mieli młyn, gdzie zatrudniali kilku miejscowych. Rodzina Filkensteinów miała dwupiętrowy dom z cegły położony po drugiej stronie drogi niedaleko od młyna. Był to jedyny dom z elektrycznością, ponieważ we młynie znajdował się generator prądu, do którego budynek był podłączony. W tamtym okresie naziści nie pozwalali Żydom na prowadzenie dużej działalności gospodarczej i ten zakaz dotyczył również Filkensteinów. Dlatego aryjski administrator zarządzał ich młynem. Często go tam widywałem w biurze, ale nigdy nie zauważyłem we młynie żadnego z Filkensteinów.

Młyn zasilany był płynącą przez wioskę rzeczką. Miała ona swój początek jakieś 200 km na północny-wschód i była odnogą dużej rzeki. Płynęła z górnego poziomu na niższy aby potem połączyć się z Wisłą. W promieniu 10 km od Mogiły były 3 młyny napędzane dzięki tej rzeczce. Bardzo lubiłem obserwować, jak kręci się wielkie koło młyńskie, ponieważ woda z rzeczki spadała na nie z wysokości ok. 3 metrów. Zachwycała mnie taka ludzka pomysłowość, która zmuszała tak spokojnie płynącą rzekę do wykonania takiej pracy. Zastanawiało mnie, dlaczego mieszkańcy nie zbudowali tam elektrowni, która by dostarczała prąd do wsi.

Bardzo szybko przyzwyczailiśmy się do tych prymitywnych warunków panujących we wsi, a nawet szczerze mówiąc, mojej siostrze, mojemu bratu i mnie, dobrze się tutaj żyło. Dla nas, dzieci, były to jak wakacje na wsi. Inaczej odbierali to nasi rodzice. Matka musiała się trudzić przygotowując dla nas posiłek w takiej maleńkiej izbie, gdzie musieliśmy mieszkać w piątkę razem z naszym skromnym dobytkiem. Ojciec martwił się również o utrzymanie. Był współwłaścicielem piekarni w Krakowie, ale nie mógł tam bywać codziennie i musiał polegać na dobrej woli swoich wspólników. Jeździł tam co tydzień na dwa dni ryzykując życiem. Udając się do Krakowa, Żydzi musieli mieć specjalną przepustkę od niemieckich władz, którą ciężko było otrzymać. Ojciec jeździł tam bez żadnego zezwolenia i gwiazdy Dawida na ramieniu. (...)

Podczas naszej adaptacji do życia na wsi, zyskaliśmy paru przyjaciół wśród naszych rówieśników. Było również kilkoro dzieci żydowskich w naszym wieku, z którymi udało nam się zaprzyjaźnić. Istniała szkoła państwowa, ale dzieciom żydowskim nie wolno było do niej uczęszczać. Jedna z osiadłych na stałe w Mogile rodzin żydowskich, Fleischfarbowie, mieszkała we własnym domu jakieś 100 m od nas. W jednym z jego pomieszczeń odbywał się szabat oraz inne ceremonie. Większość żydowskich chłopców i mężczyzn gromadziła się tam odprawiając różne rytuały religijne. Starszy mężczyzna, pan Filkenstein, pełnił funkcję przewodniczącego zgromadzenia. Jednym z nowych żydowskich osadników w Mogile był shochet[2] o nazwisku Imerglick. Mieliśmy dużo szczęścia mając shocheta Imerglicka w Mogile. Był on chasydzkim Żydem dobrze znającym Talmud i Torę oraz przeprowadzającym różne ceremonie. Za żonę miał piękną Żydówkę z rodziny chasydzkiej oraz dwie śliczne córeczki w wieku 3 i 5 lat. Utrzymywał się z uboju drobiu dla Żydów, którzy spożywali koszerne jedzenie oraz nauczając żydowskie dzieci hebrajskiego. Ojciec zatrudnił go w celu przygotowania mojego młodszego brata na jego bar micwa[3], które planowaliśmy na grudzień.

Kilka dni po naszym przyjeździe do Mogiły obchodziliśmy święto Paschy. Z powodu restrykcji ze strony nazistów nie świętowaliśmy w taki sposób, w jaki to powinno się odbywać, ale zrobiliśmy to najlepiej jak mogliśmy. Pan Fleischfarb miał w domu duży piec i każdemu, kto chciał, upiekł macę[1].

Już po kilku dniach pobytu w Mogile, mój ojciec zauważył, że jest wystarczająco dużo rodzin żydowskich zainteresowanych kupnem koszernej wołowiny. Shochet był na miejscu, aby dokonać uboju. Pan Rosenwald mógł dostarczyć bydło, był tylko problem z miejscem, gdzie miałoby się to odbywać. Pewnego dnia ojciec rozmawiał na ten temat z naszym gospodarzem panem M. Ojciec opisał mu całą procedurę związaną z uzyskaniem koszernego mięsa, które było częścią naszej religii, ale z powodu nazistowskich prześladowań Żydów, musiała się odbywać w tajemnicy. Ojciec powiedział, że mu zapłaci, jeżeli tylko użyczy nam do tego celu swojej stodoły.

Pan M. zgodził się, ale zastrzegł, że nie może się o tym dowiedzieć jego żona, ponieważ bałaby się jakichkolwiek nielegalnych działań na ich własności i mogłaby się nie zgodzić. Ojciec odpowiedział, że będzie się to odbywało po północy, kiedy jego żona będzie głęboko spać. W ten sposób kilka razy wykorzystaliśmy jego stodołę do tego celu, ale którejś nocy żona pana M. dowiedziała się o tym i musieliśmy poszukać nowego miejsca.

Pewnego razu odprowadzałem shocheta Imerglicka do domu w wyjątkowo ciemną noc. Mieszkał zaledwie kilometr od nas i nigdy nic się nam nie przydarzyło. Kiedy już sam wracałem do domu, zauważyłem mężczyznę podążającego w przeciwnym kierunku. Oświetlał sobie drogę latarką. Kiedy dzieliło nas około 5 metrów, przypomniałem sobie skąd go znam. Spotkałem go kilka razy w sklepie spożywczym i zamieniliśmy ze sobą kilka słów. Był synem miejscowego chłopa, miał jakieś 22 lata, był silny i wysoki oraz lubił wypić. Kiedy mnie zauważył, podszedł i zaświecił mi latarką prosto w oczy. Wiedziałem, jak się nazywa i powiedziałem „Wyskoc, nie świeć mi po oczach". Zwróciłem się do niego po nazwisku, żeby wiedział, że wiem, kim jest. Ale nie przestał mi świecić i uderzył mnie w głowę lewą ręką. Miałem ciężki drewniany patyk w dłoni, długi na metr i gruby na 3 cm. Szybko zacząłem nim wymachiwać tak, że wytrąciłem mu latarkę z ręki. Wtedy on znowu uderzył mnie w głowę. Oślepiony latarką zupełnie nic nie widziałem. Znowu zacząłem wymachiwać kijem i musiałem go uderzyć w rękę albo twarz krzycząc równocześnie „Wyskoc przestań!". Próbował odebrać mi patyk, ale machałem nim zbyt szybko, więc bał się, żeby nie oberwać. Wszystko to działo się przed domem pewnego chłopa, od którego moja matka czasami kupowała jajka i kurczaki. Żona tego chłopa usłyszała moje krzyki, rozpoznała mój głos i wyszła krzycząc na Wyskoca „Czego od niego chcesz, zostaw go!". Kiedy Wyskoc usłyszał jej głos, zostawił mnie w spokoju, podniósł latarkę i odszedł. Była to pani Zamojska. Podszedłem do niej i podziękowałem za pomoc. Potem udałem się w dalszą drogę do domu. (...)

Wczesnym majem 1941 r. dwóch nazistowskich urzędników z departamentu pracy przyjechało na wieś i kazało wszystkim dorosłym Żydom zgłosić się do pracy. Zażądali, aby miejscowa żydowska rada, Judenrat, dokonała rejestracji odnotowując szczegółowo, gdzie każdy dorosły Żyd znalazł zatrudnienie. Jeden ze stałych żydowskich mieszkańców wsi pozwolił, aby jego dom wykorzystano na biuro Judenratu i tam każdej niedzieli rano zbierała się rada celem omawiania żydowskich problemów. Przewodniczącym rady był pan Gold. Nie był stałym mieszkańcem wioski, ale był dobrze znany, ponieważ handlował mąką i od lat prowadził interesy z miejscowymi chłopami i młynarzami. (...) Nie każdy dorosły Żyd zgłosił się do spisu. Wygląda na to, że z każdej rodziny zgłosiła się jedna osoba. Ja zgłosiłem się w imieniu mojej rodziny licząc na to, że to uchroni mojego ojca przed wysłaniem do pracy przez nazistów. Kilka dni później część z osób, która się zgłosiła, otrzymała zawiadomienia wzywające do stawienia się do pracy na niemieckim lotnisku wojskowym oddalonym jakieś 6 km od wioski.

Ja razem z 40 innymi Żydami z okolicznych wsi, zgłosiliśmy się do pracy na lotnisku. Przed inwazją nazistów na Polskę, było to małe polskie lotnisko wojskowe. Czasami widzieliśmy tam kilka starych dwupłatowców z czasów I wojny światowej stojących obok pasa startowego. Teraz należało ono do niemieckiej Luftwaffe i było przekształcane w duże lotnisko wojskowe, dlatego potrzebowano wielu robotników.(...) Zauważyłem, że Luftwaffe zajęło duży obszar dobrej ziemi rolniczej na ekspansję oraz wiele willi należących do zamożnych Polaków. Niemieckie firmy pozakładały biura w tych domach oraz dały zakwaterowanie niemieckim pracownikom. (...)

To był początek lipca 1941 r. Na wsi zagościło lato. W powietrzu cały czas unosił się zapach kwiatów, trawy, drzew owocowych i innych roślin. Bywały dni, że nie miałem nic do roboty, więc obserwowałem naszego gospodarza pana M., wykonującego różne prace przy gospodarstwie i czasem mu w tym pomagałem. Pan M. był silnym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Musiał mieć jakieś 2 metry wzrostu i około 34 lat. Kiedy mówił, widać było, że brakuje mu czterech przednich górnych zębów, ale to nie było nic niezwykłego na wsi, ponieważ leczenie było drogie, więc usuwanie bolących zębów było najczęściej stosowanym zabiegiem. Z tyłu domu znajdował się sad owocowy. Pan M. miał kilka gruszy, jabłoni i śliw. Była również rzeczka płynąca przez jego gospodarstwo. Rzeczka miała 2 metry szerokości i 1,5 głębokości. Posiadał kawałek ziemi po jej drugiej stronie, gdzie uprawiał pszenicę i ziemniaki. Żeby się dostać na ten skrawek pola, musiał jechać wozem 2 km poza wieś. Gdy jednak zależało mu na czasie, przerzucał drewnianą żerdź przez potok. To było bardzo pomysłowe. Obserwowałem jak wbija pal w środek rzeczki, odbija się od jej brzegu i nie puszczając żerdzi ląduje po drugiej stronie. Ten drewniany drąg miał 6 cm grubości i 3 m długości. Ja również próbowałem przedostać się w ten sposób na drugą stronę i raz nawet zdarzyło mi się wpaść w jej nurt. Pan M. był ubogim chłopem. Miał tylko jednego konia, jedną krowę i kilka akrów ziemi. Potrzebował pieniędzy, które otrzymywał od nas za wynajem jednej z izb. Był ciekawym typem człowieka, robił wrażenie życzliwego i nigdy nie robił antysemickich uwag. Jego żona była dużo od niego niższą, ale przy tym piękną i dorodną chłopką. Jego matka mieszkała z nimi. Miała około 60 lat, od 15 była wdową, a pan M. był jej jedynym dzieckiem. Każdego ranka w niedzielę ubierali się odświętnie i szli do wiejskiego kościoła z Biblią w ręku. Odkąd zacząłem mu pomagać przy gospodarstwie, zaczął mnie traktować jak dobrego przyjaciela. Zdarzało się czasami, że jego koń schodził z pastwiska na czyjeś pole kapusty. Z jakiegoś powodu wolał unikać konfrontacji

z rozwścieczonym właścicielem zagonu i posyłał tam mnie, abym zabrał konia z powrotem, co chętnie czyniłem.

Pewnego dnia siedziałem przed domem, kiedy pan M. podszedł i usiadł obok mnie. Zaczęliśmy tak sobie gadać o wszystkim i o niczym. Podzieliłem się z nim swoimi wątpliwościami w istnienie Boga. Pan M. nie zgodził się ze mną i opowiedział mi taką historię. Na początku 1940 r. został aresztowany we wsi przez polską policję i przekazany niemieckiej policji w Krakowie jako podejrzany o dokonanie rozboju. Był przesłuchiwany i torturowany, ale nigdy nie przyznał się do winy. Kiedy go wypuszczono i wrócił do domu, jego matka powiedziała mu, że modliła się w wiejskim kościółku przed figurą Maryi Panny i błagała o jego szczęśliwy powrót. Wierzył, że modlitwa jego matki została wysłuchana. Później został ponownie aresztowany za to samo przestępstwo. Znowu go przesłuchiwano i torturowano, ale wytrzymał. Zwolniono go i kiedy wrócił do domu jego matka powiedziała mu, że znowu modliła się przed figurą. Dla niego był to najlepszy dowód, że istnieje ktoś taki jak Bóg. Nie podzielałem jego opinii. Miałem zaledwie 14 lat, chociaż ci, którzy o tym nie wiedzieli dawali mi jakieś 17-18 lat. Moje pojęcie o świecie, ludzkości, wierze zostało zachwiane przez okrucieństwa nazistów dokonane na Żydach i dlatego miałem wątpliwości w istnienie Boga. Pan M. miał dużo szczęścia, że niemiecka policja wypuściła go do domu, ponieważ w tym czasie wielu Polaków i Żydów wysłano do obozu śmierci Auschwitz, gdzie długość życia wynosiła od 6 tygodni do 2 miesięcy. Zastanawiałem się, czy to naprawdę było działanie Opatrzności, czy po prostu miał szczęście, że Niemcy go wypuścili. Byłem zaskoczony słysząc, że oskarżono go o napad. Robił wrażenie bardzo łagodnego, pracowitego, spokojnego człowieka, który nigdy nie używał ostrych słów.

W końcu mój ojciec dowiedział się od mieszkającego tu od dawna Żyda, że pan M. miał parę ciemnych kart w swoim życiorysie. Przed wojną znany był jako rabuś, ale odkąd się ożenił, zupełnie się ustatkował. Jego teściowie byli uważani za porządnych i miłych. Mieli wiele akrów ziemi, 4 krowy i 2 konie. Jego teść lubił rozmawiać z moim ojcem, ponieważ oboje służyli w wojsku polskim w tym samym czasie, w 1919, i walczyli z bolszewikami na froncie wschodnim. Pewnego dnia powiedział mojemu ojcu, że ludzie we wsi robili mu uwagi, iż jego córka wyszła za zwykłego bandytę i to bardzo go rozgniewało. Ojciec mu odpowiedział, że my uważamy jego zięcia za porządnego człowieka, jego córka jest z nim szczęśliwa i to powinno być dla niego najważniejsze, a nie, co wygadują ludzie. (...)

Streszczenie dalszych losów Leo Bacha i jego rodziny.

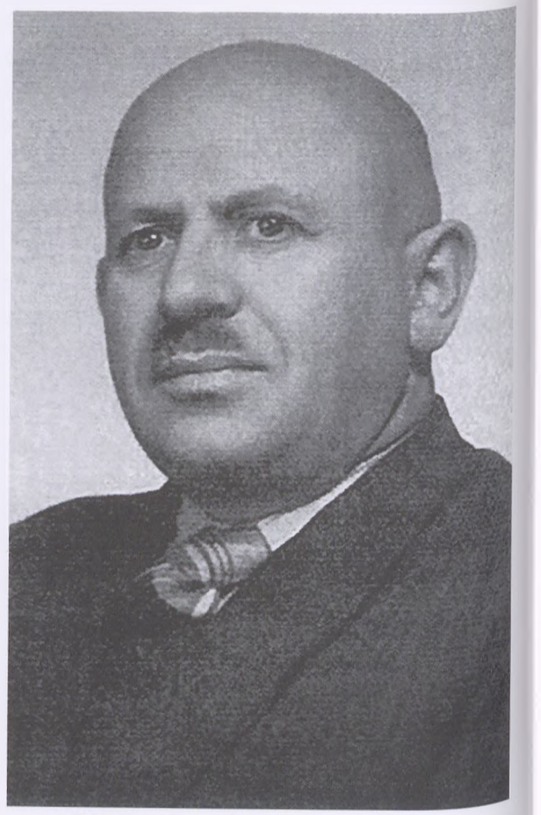
W sierpniu 1942 r. przyszły rozkazy, aby deportować Żydów, którzy nie byli zatrudnieni jako robotnicy przymusowi w ważnych gałęziach przemysłu do obozów zagłady. Raz zdarzyło się nawet, że jeden z oficjeli na lotnisku próbował uratować żydowskich pracowników i ich rodziny przed wysyłką do obozu. Pierwszego dnia wysłano wozy, ale było dość miejsca tylko dla robotników, więc kobiety i dzieci musiały zostać. Drugiego dnia wozy wróciły po pozostałych członków rodzin, ale nie można było rozróżnić rodzin robotników od innych Żydów, którzy też domagali się ratunku. Matka i siostra Leo uznały to za prymitywne, żeby walczyć o swoje miejsce na wozie, więc zostały i deportowano je, a potem zamordowano w Auschwitz. Brata stracono w obozie w Płaszowie. Sam Leo po pracy na lotnisku trafiał do różnych obozów śmierci i obozów pracy m.in. w Płaszowie, Starachowicach, Auschwitz-Birkenau, Buchenwaldzie. Po wyzwoleniu obozu w Dachau przez aliantów wraca do Polski. Kiedy jednak wzrastają nastroje antyżydowskie i dochodzi do pogromów, jego rodzina emigruje do Stanów Zjednoczonych. Najmłodszy brat ojca (ojciec miał 9 rodzeństwa), wujek Morris, przetrwał wojnę w Związku Radzieckim. Został zesłany na Syberię przez władze sowieckie i skierowany do pracy w fabryce. Tam się ożenił z piękną Żydówką również z Polski. Powrócił do Krakowa w kwietniu 1946 r. z żoną i 2-letnią córeczką. W 1949 r. wyemigrowali do Australii. Wujek Morris ma teraz 91 lat. Ojciec Leo – Jacob przebywał w obozie w Bauhoff, skąd udało mu się uciec dzięki niemieckiemu nadzorcy, który ostrzegł Żydów przed wywózką do obozu śmierci w Płaszowie i kazał im uciekać. Ukrywał się w różnych miejscach i tak dotrwał do końca wojny. W 1946 r. ożenił się powtórnie z żydowską wdową, która straciła męża i dwoje dzieci podczas Holokaustu. W 1950 r. wyjechali do Izraela, gdzie ojciec Leo zmarł w 1973 r.

1. maca – chleb przaśny, spożywany przez Żydów podczas święta Paschy
2. shochet – człowiek pobożny, dobrze znający prawo żydowskie, trudniący się m.in. rytualnym ubojem w celu pozyskania koszernego mięsa
3. bar micwa – w religii żydowskiej chłopiec zostaje mężczyzną w wieku 13 lat, tym samym staje się odpowiedzialny za wypełnianie praw i nakazów judaizmu jako, że w oczach Boga jest już dorosły; staje się „bar micwa"– synem przykazań, z tej okazji jest nabożeństwo a potem huczna zabawa

Tłumaczenie wspomnień Leo Bacha – Aleksandra Erbert



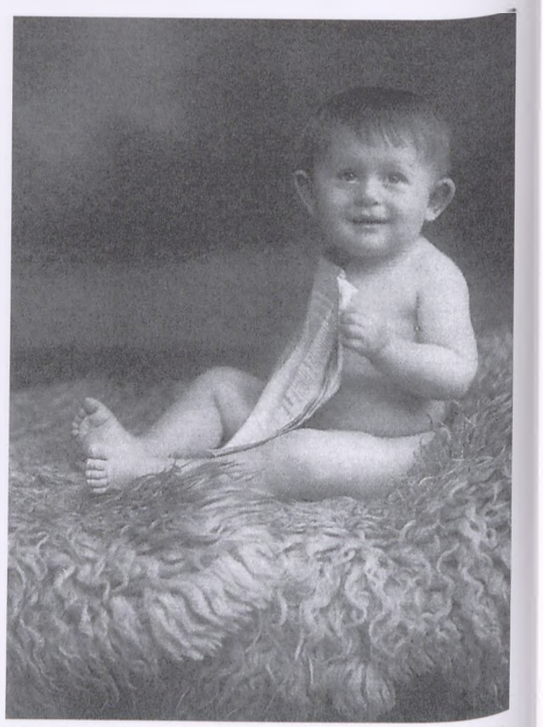
Pomnik, który mój ojciec postawił w 1947 r. na grobie wujka Dawida, na starym cmentarzu żydowskim w Krakowie. Na płycie ojciec umieścił imiona najbliższych członków rodziny, którzy zginęli podczas Holokaustu.



Mój ojciec Jacob. Zdjęcie zrobione ok. 1939 r.



Mój brat Karl. Zdjęcie zrobione ok. 1930 r., kiedy miał rok.

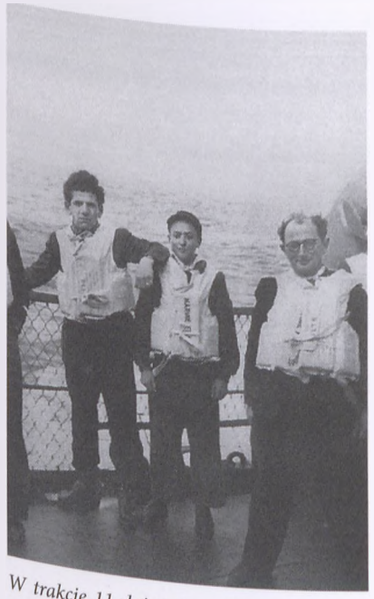


Moja siostra Hana. Zdjęcie zrobione ok. 1926 r., kiedy miała rok



Najmłodszy brat ojca, wujek Morris, służył w wojsku polskim podczas wybuchu II Wojny Światowej, 1 września 1939 r.

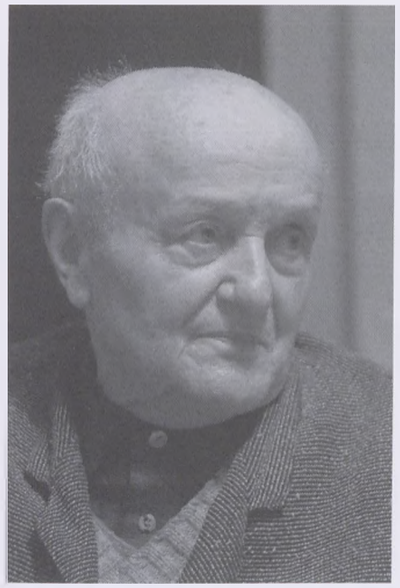




W trakcie 11 dniowej podróży do Ameryki na statku typu „Liberty", pierwszy po lewej Leo Bach, styczeń 1947 r.



Od lewej: wujek Morris, kuzyn Joseph Feiner, Irka Traub i Dolek Feiner. Z przodu żona wujka Morrisa, ciocia Fira ze swoją czteroletnią córką Anną, urodzoną na radzieckiej Syberii. Zdjęcie wykonano w 1948 r. w obozie, Niemcy Zachodnie



Moi sąsiedzi sprzed lat

Urodziłem się w Mogile pod Kopcem Wandy dość dawno temu, bo minęło już prawie 88 lat od tego momentu. Z lat mojego dzieciństwa i młodości pamiętam Mogiłę inną niż teraz i bardzo wielu ludzi, którzy już odeszli. Pamiętam też kilka rodzin żydowskich, które tutaj zamieszkiwały. To byli nasi sąsiedzi, dalsi lub bliżsi. Nie pamiętam, aby były jakieś problemy pomiędzy nami a osobami pochodzenia żydowskiego. I tak, patrząc z okna naszego rodzinnego domu widać było dom Jakuba Szrajbera i jego zięcia, Wilhelma Rosenwalda. Przy ich domu była rzeźnia i maleńki sklepik mięsny. Pan Jakub zajmował się handlem bydłem a jego zięć kupował i sprzedawał konie. Obok domu była też maleńka stodoła i stajenka. Wielu mieszkańców zaopatrywało się w mięso w sklepie u Jakuba Szrajbera i jak to bywało w tamtych czasach, najczęściej były to zakupy na kredyt tzn. „zeszyt", bo przecież mało kto miał gotówkę. Bywało tak, że odrabiało się pracą za te zakupy. A Jakub Szrajber nie tylko kupował i sprzedawał, ale także dawał czasem pracę sąsiadom a zwłaszcza wtedy, gdy trzeba było zajmować się końmi. A jak zbliżała się niedziela, widać było osoby zdążające do tego sklepiku. Zasięg działalności Jakuba Szrajbera obejmował także Pleszów, bo i tam dowoził mięso. Moi rodzice chyba dwukrotnie odkupywali krowy od Jakuba. Co prawda nie mieliśmy nigdy pola, tylko małą działkę obok domu, ale mleko było potrzebne, więc jakiś czas były też u nas krowy, a siano odkupywaliśmy od innych. Pamiętam, że mieliśmy wtedy sprytną kotkę, która najczęściej zaopatrywała się w prowiant u sąsiada Szrajbera i robiła to najczęściej wówczas, gdy w sklepiku była przerwa obiadowa. Kilka lat przed wybuchem II wojny – Jakub Szrajber wydał swoją córkę, Gustę za Wilhelma Rosenwalda i od tego momentu te dwie rodziny mieszkały razem i, o ile dobrze pamiętam, wkrótce po tym urodziły się córki: Adela, Zofia i Elza, Natalka. Szczególnie Zosia była bardzo ładną dziewczyną. Co się stało z nimi w czasie wojny nie wiem, ale jestem pewny, że niektórzy z nich przeżyli, bo około roku 1960 był w Mogile bodajże Józef Szrajber, brat Gusty i po prostu chciał sprzedać dom rodzinny najbliższym sąsiadom, no i w końcu go sprzedał. A kilka lat temu była w Mogile z krótką wizytą któraś z córek Gusty i Wilhelma. Ktoś z sąsiadów mówił mi później, że mieszka ona teraz w Izraelu. I takie jest moje wspomnienie o Szrajberach i Rosenwaldach, którzy mieszkali po sąsiedzku i o których wiem najwięcej. To byli dobrzy sąsiedzi i porządni ludzie i z ręką na sercu mogę to powiedzieć, bo przecież tyle lat mieszkaliśmy obok siebie.

Ale w Mogile mieszkali też inni Żydzi. Kilkaset metrów dalej w kierunku młyna zwanego „Gwoździarnia" (obecnie w stanie ruiny) mieszkała rodzina Fleischfarbów. U nich także był mały sklepik. Jak chodziłem do pracy we młynie w latach okupacji, to przechodziłem obok tego domku. W roku 1942 a może 1943 wydaje mi się jakby ta rodzina zniknęła z Mogiły i, z tego co wiem, nikt z nich po wojnie tutaj nie wrócił. Natomiast młyn, o którym wspomniałem, należał przed II wojną do rodziny Filkensteinów. Pamiętam ich, ale oni w Mogile bywali rzadko, bo do prowadzenia młyna mieli zarządców, jak na przykład pan Majorek. Znał Filkensteinów dobrze mój ojciec Wincenty, który trudnił się stolarką i często naprawiał w mogilskich młynach różne rzeczy, zsypy, pochylnie itp. Ja do II wojny we młynie bywałem rzadko, chyba, że pomagałem ojcu ale od 1942 byłem już tam zatrudniony. Młyn pracował całą parą na trzy zmiany a rządzili nim w czasie wojny Niemcy. Nie wiem, co się stało z Filkensteinami.

Jak sobie przypominam, to obok starej karczmy, której oczywiście już nie ma, przy gościńcu a obok drugiego w tej okolicy młyna należącego do pani Klękowej, był skład ze zbożem. Ta niewielka firma była prowadzona przez Żyda o nazwisku Gold. Skupowano tam zboże od chłopów, którzy wieźli je do młyna a akurat młyn nie kupił.

Wiem, że w Mogile mieszkało też wiele innych rodzin żydowskich, choćby koło szkoły. Ale chociaż pamiętam ich twarze, nie mogę przypomnieć sobie, jak się nazywali, bo upłynęło już tyle lat. Tak jak napisałem na początku, nie znam faktów, aby pomiędzy nami a żydowskimi dziećmi były jakieś zatargi. Chodziliśmy razem do szkoły i tylko jak była lekcja religii, to oni w niej nie uczestniczyli.

Antoni Cyganik – Mogiła 2008

Wspomnienia o rodzinie Rosenwaldów z Mogiły

Kilka miesięcy temu, mój tato pisząc wspomnienia o żydowskich rodzinach mieszkających w Mogile przed II Wojną Światową nawet nie przypuszczał, że informacje na temat rodziny Rosenwaldów już wkrótce można będzie uzupełnić o nowe, ważne fakty. Chociaż tak wiele lat już minęło i tylko nieliczni wymieniają ich nazwisko, to jednak spotkałem w Mogile jak i na sąsiednich Kujawach osoby, które Rosenwaldów jeszcze pamiętają. Na podstawie usłyszanych informacji można częściowo odtworzyć ich historię, i wyobrazić sobie gehennę, jaką przeżyli w czasie ostatniej wojny. W styczniu 1942 r. władze niemieckie wydały polecenie eksterminacji Żydów na terenach okupowanych, i w tym samym roku Gusta i Wilhelm Rosenwaldowie opuścili Mogiłę .Cały swój dobytek umieścili w kilku domach sąsiadów i znajomych. Rodzinny dom Gusty pozostawili pustym, a oni sami rozdzielili się. Gusta Rosenwald miała mieć ze sobą dwie córki i udała się z nimi gdzieś w okolice Warszawy, a Wilhelm znalazł się na sąsiednich Kujawach, gdzie ukrywał się u pewnej rodziny z Kujaw-Kępy. W ich domu ukrywała się także jedna z jego córek – Natalia. Wilhelm pokazywał się w tym czasie także w innym domu na Kujawach-Zalesiu . Mieszkała tam pani Maria – dawna sąsiadka Rosenwaldów z Mogiły, więc znali się bardzo dobrze, i na ten adres przychodziła korespondencja do Wilhelma od jego żony. Listy były czytane i niszczone. Wilhelm spędził w stodole na gospodarstwie pani Marii wiele nocy, i to tutaj miał powiedzieć: „Marysiu, ja modlę się także do Waszego Boga, o to żebym przeżył". Podobno w Tropiszowie była ukryta druga z córek Rosenwaldów, bo Wilhelm i tam czasami wędrował. Jesienią 1943 r. Wilhelm wyruszył z Kujaw w kierunku Warszawy na spotkanie z żoną. Czy zabrał ze sobą dwie córki czy też pozostały one nadal w ukryciu – nie wiemy. Natomiast Jakub Szrajber – ojciec Gusty – ukrywał się w innych miejscach. Sporadycznie pokazywał się w Mogile, jakby chciał choć z daleka spojrzeć na swój dom. A kiedy przeczuwał, że śmierć jest już blisko, z płaczem żegnał się ze swoją sąsiadką, Stefanią R. Według przekazywanej ustnie wiadomości Jakub Szrajber zginął gdzieś w okolicach Bochni. Nie wiadomo, co się działo z Rosenwaldami od momentu, kiedy Wilhelm opuścił Kujawy. Najstarsi mieszkańcy Kujaw powtarzali opowieść o pewnym Żydzie, który po zakończeniu wojny szedł na kolanach do kościoła w Mogile podziękować Bogu za ocalenie; czy był to właśnie Wilhelm Rosenwald – tego już prawdopodobnie nie ustalimy. Natomiast faktem jest, że cała rodzina Gusty i Wilhelma wraz z czterema córkami przeżyła mroczne lata okupacji. Kilka lat po wojnie rodzina Rosenwaldów znalazła się gdzieś na terenie Niemiec w oczekiwaniu na dalszą emigrację, i wówczas Wilhelm zmarł. Później zaczęły nadchodzić ze Stanów Zjednoczonych do Mogiły listy od Gusty Rosenwaldowej, które były pisane po polsku i adresowane do Stefanii R. Do dzisiaj zachowało się kilka tych listów z końca lat 60., oraz fotografie z odręcznym opisem Gusty na ich odwrocie. Gusta Rosenwaldowa wspominała o tym, w jaki sposób urządzili się w New Jersey, pisała także o swoich córkach i czterech zięciach Polakach, z których dwóch pochodziło z Krakowa a dwóch z Warszawy. Jak można przypuszczać miało to zapewne jakiś związek z miejscami, gdzie Rosenwaldowie ukrywali się w czasie wojny. Listy do pani Stefanii są bardzo osobiste, kiedyś było ich wiele ale pozostało zaledwie kilka. Świadczą o tym, że obie panie były bardzo ze sobą zaprzyjaźnione, bo przecież znały się długo, a ich dzieci bawiły się wspólnie. Jak opowiadała mi jedna z córek pani Stefanii, Rosenwaldowie byli bardzo religijni i gdy nadchodziła sobota, to Gusta prosiła swoją znajomą – Stefanię – aby rozpaliła jej w piecu. Wilhelm słynął w Mogile z dobrego serca; zawsze bardzo solidnie płacił mogilskim gospodarzom za wykonaną pracę. W niedzielne południe zwykł wystawiać przed sklepik mięso, i w obawie aby się nie zmarnowało, pozwalał je zabierać za darmo. Gusta Rosenwaldowa w swoich listach wspomina z wielką wdzięcznością tych, którzy pomagali się im ukrywać. W okolicy miały to być osoby z Kujaw, Wadowa oraz z Rakowic. Z lektury listów wynika jeszcze, że starała się w organizacjach nowojorskich zgłosić te osoby, aby otrzymały nagrodę, ale były z tym jakieś trudności, bo władza ludowa po nadejściu pism z USA starała się sprawy utrudniać, wymagając dokumentów, zaświadczeń itp. Gusta Rosenwaldowa doczekała się wielu wnuków i dożyła sędziwego wieku. Z jej listów przebija tęsknota i ogromna chęć odwiedzenia Mogiły, kiedy tylko pozwoli jej na to stan zdrowia. Do rodzinnej Mogiły jednak nie zdążyła już nigdy przyjechać. Zmarła w stanie New Jersey w połowie lat 80. XX w. Pani Stefania, która zmarła ponad 20 lat temu, także nie doczekała się odwiedzin swojej znajomej zza oceanu...

Waldemar Cyganik, Mogiła 2.11.2008 r.

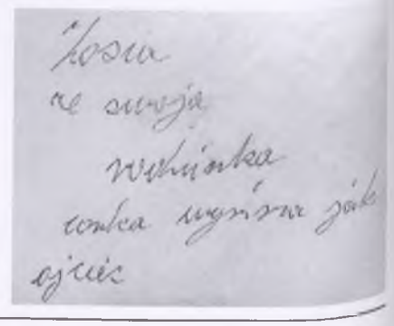
P.S. Dziękuję tym wszystkim, którzy zechcieli przypomnieć sobie dawne czasy i pomogli w ten sposób rozszerzyć informacje o rodzinie Rozenwaldów. Szczególnie dziękuję rodzinie pani Stefanii za to, że pozwolono mi zapoznać się z jej prywatną korespondencją, i że możemy pokazać fotografie rodzinne Gusty Rozenwaldowej.



Na odwrocie zamieszczonych zdjęć, pochodzących z lat 50. i 60., znajdują się własnoręczne opisy Gusty Rosenwald, żony Wilhelma.

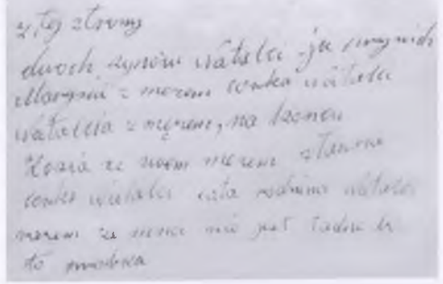




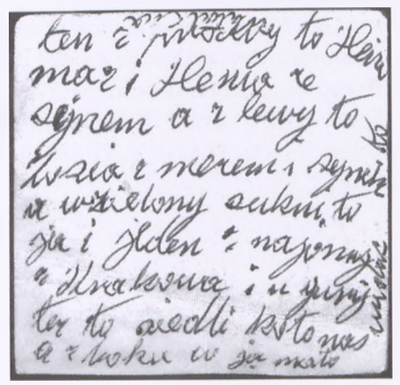




Na odwrocie zamieszczonych zdjęć, pochodzących z lat 60., znajdują się własnoręczne opisy Gusty Rosenwald, żony Wilhelma.









Wspomnienia Zofii Kopras

Swoją historię zacznę od roku 1864. Mój pradziad Władysław Kołodziejczyk był synem uchodźcy z Kongresówki, który po Powstaniu Styczniowym, mając 20 lat, wraz ze swoim ojcem przedostał się przez „zieloną granicę" do Galicji i osiadł w Mogile. Dla zmylenia carskich szpicli zostali wpisani do ksiąg parafialnych pod nazwiskiem Kołodziejczyk. W Mogile ojciec pradziadka dzierżawił młyn klasztorny, a także browar. Z tego powodu nazwany był „Piwowarem".

Około roku 1870 pradziadek Władysław ożenił się z młodziutka panną Zuzanną Marsówną z Czyżyn. Dochowali się ośmiorga dzieci: czterech synów i czterech córek. Syn Jan wyjechał „za chlebem" do Ameryki, pozostali synowie otrzymali solidne – jak na ówczesne czasy – wykształcenie – kolejno: sędziego (wyprowadził się do Skawiny), adwokata w Krakowie, inżyniera w wojskowych służbach saperskich w Warszawie. Córki powychodziły za mąż: Katarzyna za Ignacego Lelito pozostając w Mogile, Salomea za Franciszka Kosteckiego i wyjechała z Mogiły, Zuzanna za Słoninkę-Romańskiego zamieszkała w Krakowie, natomiast moja Babcia Helena za Jana Staszyszyna.

Dziadek mój Jan urodził się w Bolechowie koło Stryja. Do Mogiły „trafił" przypadkiem około roku 1890 i zamieszkał u pradziadka Władysława Kołodziejczyka pełniącego funkcję wójta. Jako mąż Heleny w latach ok. 1900 r. wraz z pradziadkiem nadzorował wykonanie wykopów w celu przesunięcia koryta Wisły. W tamtych latach koryto wiślane biegło wzdłuż obecnej ulicy Żaglowej tuż za klasztorem, za dworem klasztornym, a rozlewisko było tam, gdzie dzisiaj są łąki za Nowohuckim Centrum Kultury. Kiedy był zbyt duży przybór wody, podchodziła pod sam klasztor zagrażając jego podtopieniem.

W tych czasach pradziad Władysław był właścicielem ziemi, która szerokim pasem ciągnęła się od kościółka św. Bartłomieja do dzisiejszej al. Jana Pawła II (idącej w kierunku Pl. Centralnego).

Część ziemi – od kościoła aż do dzisiaj stojącej piekarni – zapisał córce Katarzynie, żonie Ignacego Lelito. Wybudowali oni do dziś stojącą willę. Kiedy jednak Ignacy Lelito wybudował młyn z domem (przy końcu dzisiejszej ulicy Żaglowej), sprzedali część willi wraz z parkiem przybyłej do Mogiły hrabinie Krasnodębskiej, która pochodziła z Francji, spędzając więcej czasu w Paryżu niż w Mogile. W części dobudowanej od strony ul. Klasztornej, w późniejszych latach zamieszkał syn Katarzyny i Ignacego – Franciszek Lelito wraz z żoną – też Katarzyną oraz dziećmi: Jerzym, Andrzejem (Maćkiem) oraz bliźniakami Zosią i Januszem. Przy willi prowadzone było ogrodnictwo. Część ziemi (wąski pas od ul. Klasztornej w głąb) pradziad odstąpił rodzinie Nowaków, którzy wybudowali dom z ogrodem i kawałkiem pola.

Kołodziejczykowie mieszkali wówczas w domu przy ulicy, gdzie obecnie zbudowano drukarnię. Dom ten jednak spłonął. Pradziadkowie po pożarze domu zamieszkali czasowo w budynku gospodarczym, który stał w głębi posesji (po II wojnie światowej mieszkała tam rodzina Gibków), budując nowy drewniany, otynkowany z gankiem (fotografia na str. 38 pierwszej części „Czasu zatrzymanego" z jadącym na rowerze wójtem Ciepielą). Po przeprowadzce ziemię od zabudowań p. Nowaków zapisał córce Zuzannie po mężu Słoninka – Romańskiej, którzy część działki odstąpili pod zabudowę domu z ogrodem p. Szkutnikowej i Skibowej.

Pozostałą część tej dużej działki pozostawił sobie oraz córce Helenie już Staszyszynowej. Wówczas to dziadek mój Jan Staszyszyn dobudował do szczytowej ściany domu pradziadków (ok. 1900 r.) duży dom murowany, w którym zamieszkali ze swymi dziećmi: Marią, Stanisławą, Zofią, Janem, Heleną, Józefem oraz Tadeuszem otwierając „przy trakcie kupieckim" sklep spożywczy wraz z restauracją zwaną dawniej „wyszynkiem". W części spożywczej można było kupić od węgla do żelazka, szkiełek do lamp naftowych, mąki, cukru, kawy, słodyczy, pieczywa własnego wypieku po piwo, wódkę, wina, likiery, koniaki, oranżadę od p. Klękowej itp.

Nowością w tamtych czasach był sposób serwowania zimnego piwa beczkowego. Beczki z piwem stały w piwnicy. Wbijano do nich tzw. „pipę" a piwo pod ciśnieniem rurkami płynęło do sklepu do specjalnych, zabudowanych w ścianie kranów. Lokal oświetlany był lampą gazową na wzór lamp wokół Sukiennic. Przed II Wojną Światową Babcia z Tatusiem wprowadzili oświetlenie elektryczne z „serii akumulatorów". Na strychu stał ogromny zbiornik (ok. 4.000 litrów wody) uzupełniany wodą tłoczoną ręczną pompą ze studni. Pompa znajdowała się w piwnicy. Bieżąca woda była w sklepie niezbędna do mycia szklanek, kieliszków, kufli itp. Do ogrzewania wody służył

mosiężny bojler z kranikami podgrzewany z paleniska. Sklep składał się z trzech pomieszczeń: części sklepowej, małej salki (6x6 m) oraz dużej sali tzw. bilardowej (8x12 m). Na bilardowym stole toczyły się bile z kości słoniowej (pozostała jedna, którą na pamiątkę posiadam do dziś). Po wojnie chleb i bułki przynoszone były z piekarni p. Motyki z Bieńczyc, wędliny i kiełbasy od p. Nawrockiego (także z Bieńczyc). Na czas odpustu w klasztorze (14-21 września) w ogrodzie ustawiano „krzyżakowe" stoły z desek oraz długie ławy, gdzie pątnicy spożywali posiłki. Na działce pradziadka (dziś drukarni) ustawiano karuzele, z którymi przez długie lata przyjeżdżał p. Bala.

Powracając do historii dzieci Jana i Heleny Staszyszyn to: Maria wyszła za mąż za Jana Nowaka. Mieli dwoje dzieci. Syn Tadeusz wyjechał do Katowic, gdzie pracował w Polskim Radio. Córka Joanna wyszła za mąż za Witolda Rowickiego, wówczas studenta Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, mieszkającego wówczas na stancji u wujka Franka Lelito. Wyjechali do Katowic, gdzie Witold – jako skrzypek – grał w orkiestrze symfonicznej pod dyrekcją Fitelberga. Z początkiem lat pięćdziesiątych przenieśli się do Warszawy. Z upływem lat Witold został dyrektorem i światowej sławy dyrygentem Filharmonii Narodowej w Warszawie.

Stanisława – wyszła za młynarza Rudolfa Schindlera, wyjechali z Mogiły do Krakowa, byli bezdzietni.

Zofia – wyszła za Władysława Kusiaka, zamieszkali w Krakowie, byli także bezdzietni.

Jan – ożenił się z panną Jadwigą Cieślicką, byli bezdzietni. Aresztowany w Kawiarni Plastyków 24 kwietnia 1942 r. (słynna łapanka inteligencji krakowskiej), został rozstrzelany w Oświęcimiu 27 maja 1942 r. Jego zdjęcie eksponowane jest na I piętrze bloku 11 w Auschwitz Birkenau.

Tadeusz był wszechstronnie uzdolniony. Malował, rzeźbił, robił witraże, potrafił też naprawiać zegarki. Ożenił się z Ireną Kliszczyńską. Wyjechali z Mogiły. Mieli dwoje dzieci. Syn Krzysztof został technikiem dentystycznym a Hanna, dziś Romańska-Tusiewicz, ukończyła psychologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jest także malarką, członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków.

Helena – wyszła za mąż za Szewioła. Mieli jednego syna, Witolda, który mając 19 lat został rozstrzelany w 1944 r. przez Niemców.

Józef – mój tatuś – ożenił się z Jadwigą Żuwałą, córką restauratora z ulicy Mogilskiej. W tym czasie mój dziadek, Jan Staszyszyn, już nie żył. Zmarł 28 września 1932 r. i został pochowany na cmentarzu w Mogile. Sklep i restaurację prowadzili moi Rodzice wraz z Babcią Heleną, a domem (gospodarstwem, służbą) zarządzała Ciocia Zosia. Ja i mój brat Adam urodziliśmy się w domu pradziadka (tym z gankiem). W domu tym mieszkała wówczas także p. Rudzka z 4 synami, ciocia Kostecka z mężem (synem Salomei) wraz z córką Krystyną oraz p. Walowa z rodziną.

Na cmentarzu mogilskim pochowani są prapradziadek, pradziad Władysław Kołodziejczyk (zm. w 1926 r.), prababcia Zuzanna (zm. w 1932 r.) oraz Ignacy i Katarzyna Lelito, dziadek Jan Staszyszyn (zm. w 1932 r.), babcia Helena (zm. w 1941 r.), ciocia Maria Nowakowa (zm. w 1943 r.) z mężem Janem (zm. w 1954 r.), wujek Tadeusz (zm. w 1952 r.) z żoną Ireną (zm. w 1994 r.).

Restauracja Staszyszynów, mimo rozstrzelania mojego tatusia w 1944 roku przez Niemców, przetrwała do roku 1949. Rozpoczęto wówczas budowę Nowej Huty jak też likwidację prywatnych właścicieli. Mamę zmuszono do likwidacji sklepu i restauracji. Otworzono państwowy „Bar Mogilski". W dużej sali („bilardowej") po ustawieniu ścianek działowych umieszczono biura „placówki energetycznej" oraz biuro rozliczeń kelnerów tzw. „Gastronomii Nowohuckiej". Budynek mieszkalny zburzono w roku 1954, budynki gospodarcze przetrwały do roku 1971. W miejscu, gdzie stał nasz dom, biegnie linia tramwajowa (w obu kierunkach) oraz al. Jana Pawła II w stronę Pleszowa. Na terenie ogrodu stoją obecnie 2 bloki os. Młodości. Obok miejsca, gdzie do niedawna stał kiosk „Ruchu", rósł orzech włoski (dziś pozostał tylko pień). Orzech ten sadziłam w 1942 roku razem z tatusiem i właśnie w tym miejscu zaczynał się nasz ogród. Naszą rodzinę – jak wiele innych – przeniesiono do bloków mieszkalnych.

Epizody z życia członków mojej rodziny i nie tylko.

Rok 1897. Mój pradziadek – Władysław Kołodziejczyk – jako wójt został wezwany przed Sąd Krajowy Karny. Rozprawa odbywała się 1 września. Ku swojemu zdumieniu dowiedział się, że dwa lata wcześniej, na weselu jednego z mieszkańców Mogiły, „obraźliwie wyraził się pod adresem Najmiłościwiej Panującego Franciszka Józefa", i na podstawie §65 ówczesnego prawa karnego posądzony jest o „obrazę majestatu" – co groziło śmiercią. Pradziadek nie przyznał się do winy, a ponieważ zeznania świadków były niejasne – został uniewinniony.

Lata 1898 – 1900. Moja prababcia jako córka „gospodarza gruntowego" i „przedsiębiorcy" jeździła (według opowiadań cioci) na Rynek Krakowski, aby sprzedawać mleko. Tam też, pod Sukiennicami, gdzie odbywała się sprzedaż, poznała młodziutką pannę Mikołajczykównę z Bronowic. W latach 1898-1900 obie panie zaprzyjaźniły się. W rezul-

tacie prababcia została zaproszona na wesele Rydla i Mikołajczykówny, które odbyło się 20 listopada 1900 r.

Lata 1909 – 1919. Jak już wspominałam, moja ciocia Stanisława wyszła za mąż za syna młynarzy ze Śląska, Rudolfa Schindlera. W roku 1909 wujek Rudolf i jego brat Wincenty skonstruowali model samolotu, który do dziś zdumiewa śmiałością konstrukcji. Według dostępnych źródeł samolot Schindlerów został zademonstrowany cesarzowi Franciszkowi Józefowi I w czasie pokazów austro-węgierskich dokonań lotniczych 18 sierpnia 1910 r. Przedstawione rozwiązanie otrzymało patent nr 53272 wpisany na nazwisko Wincentego Schindlera. Bracia Schindlerowie (ich imieniem została nazwana ulica na os. Kościuszkowskim w Nowej Hucie) nieodparcie przypominają swoimi dokonaniami słynnych braci Orville'a i Wilbura Wright.

Lata 1915-1920. Na początku XX w. Mogile mieszkało wielu studentów uczelni krakowskich. Jednym z takich studentów był, pochodzący ze Lwowa, p. Nowakowski. Mieszkał w latach 1915-20 w domu rodzinnym p. Marii Samiec z domu Wójcik. Dom ten stoi do dziś przy ul. Klasztornej, po prawej stronie, tuż przed „błoniami". Obecnie mieszka w nim p. Gwóźdź. Obrazy Nowakowskiego wystawiane są w muzeum we Lwowie. Na jednym z nich, datowanym „Mogiła – 4 luty 1917", malarz przedstawił trzy kobiety. Jedną z nich była jego narzeczona, a oprócz niej pozowały w strojach krakowskich dwie dziewczyny z Mogiły: p. Rudzka (z domu Makuła) i p. Wachowa, której nazwiska panieńskiego nie pamiętam. Kilka lat temu oglądałam ten obraz, wypożyczony przez Muzeum Lwowskie wraz z innymi obrazami malarzy lwowskich, studiujących kiedyś w Krakowie, był wystawiony w Muzeum Historycznym w Pałacu Krzysztofory w Rynku Głównym.

Lata 30. Ciocia Zosia, siostra tatusia, w budynku, w którym mieszkał p. Kawaler, prowadziła dla dziewcząt z Mogiły kursy gotowania, pieczenia, podawania do stołu, szycia i dekoracji. Mimo, że była bieda, dziewczyny powyrastały na wspaniałe gospodynie.

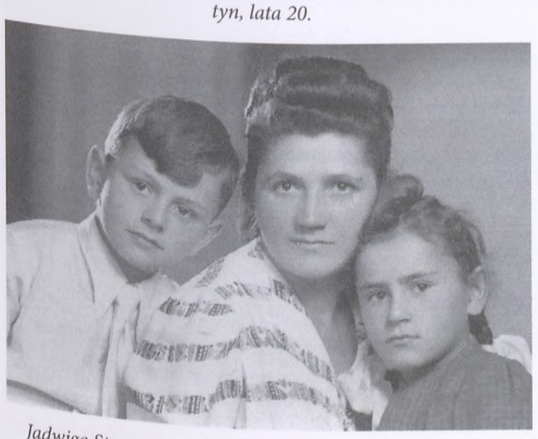
Lata 1937 – 1938. Wspomniany wcześniej brat mojego tatusia, uzdolniony artystycznie wujek Tadeusz, zaprojektował witraż do kościoła Św. Tadeusza Judy w Czyżynach, na zamówienie zaprzyjaźnionego z naszą rodziną księdza Józefa Zastawniaka, wówczas jeszcze proboszcza parafii pod wezwaniem św. Bartłomieja w Mogile. Witraż został wykonany u znanego krakowskiego witrażysty, p. Korneckiego, a umieszczonemu na nim wizerunkowi Matki Boskiej użyczyła twarzy żona witrażysty, p. Polaczek-Kornecka. Witraż przetrwał wojnę i do dziś, z sygnaturą mojego wujka, znajduje się w kaplicy po lewej stronie ołtarza. Według mojej wiedzy, ksiądz Zastawniak wybrał na patrona kościoła św. Tadeusza Judę, aby uczcić twórcę witraża, mojego wujka Tadeusza.

Lata 1939 – 1945. W czasie okupacji na terenie Mogiły działały różne organizacje: OMTUR, czyli Organizacja Młodzieżowa Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży (męskie i żeńskie) i Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici". W świetlicy przyklasztornej – do świetlicy wchodziło się od strony dzisiejszej ul. Żaglowej (zaraz za młynem p. Chwastków) – młodzież organizowała przedstawienia teatralne. Tradycyjnie, corocznie, wystawiano „Jasełka", w których pomagała np. p. Klękowa, chodzono po kolędzie, co wyglądało nieco inaczej niż teraz. Wszyscy byli przebrani, młodzież chodziła z turoniem, robiono szopki i było przy tym dużo zabawy. Ponadto wystawiano sztuki teatralne (w czym pomagała moja ciocia Zosia) m. in. „Damy i huzary". Stroje do tego przedstawienia wypożyczono z Teatru im. Słowackiego oraz z wypożyczalni p. Proksa z ul. Rakowickiej. W tym spektaklu brała udział także moja ciocia Marylka, która przebywała u nas czasowo po ucieczce z Bolechowa. Chciałabym jeszcze wspomnieć o trzech osobach z mojej rodziny związanych ze światem artystycznym: Jerzym Lelito – jednym z prawnuków mojego pradziadka (Studiował na Akademii Sztuk Pięknych, był jednym z uczniów Kossaka. W swojej twórczości przedstawiał przede wszystkim pejzaże z okolic Mogiły i konie. Budował także szopki krakowskie, uczestnicząc w konkursach zdobywał nagrody.) oraz Stanisławie Schindlerowej – mieszkając w Zakopanem była aktorką tamtejszego teatru. Zagrała między innymi tytułową rolę w „Moralności pani Dulskiej". Trzecia osoba – to mój brat Adam. Chociaż to czasy późniejsze, wspomnienia wymaga fakt, że kiedy w 1992 r. przeszedł szczęśliwie przeszczep serca, utworzył przy Klinice Jana Pawła II w Krakowie Stowarzyszenie wspomagające osoby po przeszczepach oraz osoby oczekujące na przeszczep, współpracował z prof. Dziadkowiakiem. Brat zmarł w 1995 r. mając zaledwie 60 lat, lecz Stowarzyszenie to działa do dziś.

Jak wyglądała okolica naszego domu w czasach mojego dzieciństwa? Muszę zacząć od jazu przy czynnym do dziś młynie w Krzesławicach. Jaz ten podnosił stan wody Dłubni do „napędzania" koła młyńskiego, jednocześnie wykorzystano ten fakt tworząc odnogę rzeki płynącą w kierunku dzisiejszej ul. Bulwarowej, następnie wzdłuż ul. Klasztornej. Jak widać na niektórych zdjęciach, w miejscu dzisiejszego skrzyżowania (ul. Bulwarowa, Klasztorna, Jana Pawła II – w kierunku Pl. Centralnego) – był most. Naprzeciw naszego domu był dom w którym mieszkał kołodziej p. Kawaler z rodziną, a w kierunku cmentarza dom do dziś stojący (z filarkami), w którym mieszkała p. Kędzierska (nauczycielka) wraz z rodziną. W domu tym była poczta. Następnie dom p. Piecuchów (wyburzony). Za rzeką po prawej stronie (dziś biegnie linia tramwajowa i droga w kierunku Pleszowa) stał piętrowy budynek muro-



Rudolf Schindler i Stanisława Staszyszyn w automobilu, Czorsztyn, lata 20.



Jadwiga Staszyszyn z dziećmi: Adamem i Zosią, lata okupacji



Zdjęcie ślubne Józefa Staszyszyna i Jadwigi z domu Żuwała, 1935 r.



Rodzina Staszyszynów w przydomowym ogrodzie, ok. 1939 r., od lewej: Zofia - siostra Józefa Staszyszyna, Adam – syn Józefa, Jadwiga – żona Józefa, Zofia – córka Józefa oraz Józef Staszyszyn

wany. W latach 20. ub. wieku była to szkoła podstawowa. Kiedy wybudowano nową szkołę im. „Królowej Wandy" w budynku tym mieścił się Urząd Gminny oraz posterunek policji. Dalej wzdłuż ul. Klasztornej było podwórko po dawnej szkole (obecnie TOS), stojący do dziś dom: p. Czowickich, Kaszników, Szelągów, Śliwińskich. Do domów tych wjeżdżało się przez mostki nad rzeczką. Przed murami klasztoru (obecnie jest tam parking) był kanał od tej rzeki zasilający w wodę stawy klasztorne (dziś są tam obiekty sportowe „Hutnika"). Rzeczka wpływała pod murem do ogrodów warzywnych klasztoru. Zakonnicy czerpali z niej wodę do podlewania grządek. Następnie płynęła pod głównym wejściem do klasztoru i znów wypływała za murem (reszta muru stoi do dziś ze sklepieniem – śladem przepływu rzeki), wypływała na posesję p. Chwastka, napędzając koło młyńskie, poczym płynąc pod podworcem części gospodarczej klasztoru wypływała za jego murami płynąc z tyłu domów stojących po lewej stronie dzisiejszej ul. Żaglowej. Zasilała koło młyńskie w młynie wujka Franciszka Lelity. Płynąc przez tzw. Kępę wpadała do Wisły. Na lewo od naszego domu i domu pradziadków (w kierunku os. Młodości) był dom murowany p. Feretów i domy rodzin Tesarzów, Pitrów, budynki rzeźni, droga do Willi Rogozińskich, a trochę dalej stacja kolejowa. Pociąg kursował obok monopolu tytoniowego, przez drogę (dziś Rondo Czyżyńskie), stację w Czyżynach, Wieczystą (obok młyna) nad rzeką Białuchą skręcając w lewo (przy murze zabudowań magazynów wojskowych) do Dąbia, do stacji Grzegórzki (nad Wisłą) wjeżdżając na wał trakcji Kraków-Podgórze i na stację Dworca Głównego w Krakowie. W latach 1949-1951 tym pociągiem dojeżdżałam z Mogiły do szkoły w Krakowie.

Zimą, kiedy rzeka zamarzała, była miejscem zabaw, jazdy na łyżwach i ślizgania się dzieci i nie tylko – dorosłych też. Często w zimowe wieczory po zamknięciu sklepu szliśmy z rodzicami oraz młodzieżą od sąsiadów – Rudzkimi, Cebulami, Kawalerami, Skibami, Nowakami i innymi – na „Ośne Doły" (dziś w tym miejscu jest sala widowiskowa NCK). Ta skarpa była wspaniałym miejscem do turlania się po śniegu, robienia tzw. „orłów". Latem zaś chłopcy na naszej łące (zwanej „Końskim Dołem"), która była za budynkiem kołodzieja Kawalera – grali w piłkę. Modną grą była tzw. „Zośka" czyli pompon wełny z kawałkiem ołowiu, który podbijało się „kapą" buta. Graliśmy też w tzw. „klasy" no i w „odganianego". W gorące dni biegaliśmy się kąpać do Wisły. Po Wiśle kursował statek z Krakowa do Puszczy Niepołomickiej. My też raz płynęliśmy: ja i brat Adam, Rodzice, państwo Sawiccy z córkami Marysią i Teresą, państwo Tejkowscy ze swoją piątką dzieci. W puszczy zbieraliśmy jagody.

Czas późniejszy: rok 1954 – ukończyłam Technikum. Podjęłam pracę w Dyrekcji Kombinatu, należałam do „Zespołu Pieśni i Tańca" Huty, gdzie tańczyłam. W 1957 r. wyszłam za mąż, wyjechałam jak wówczas mawiano „na dziki zachód" w okolice Jeleniej Góry. Urodziłam syna Tadeusza – Marka oraz córkę Małgorzatę. Mam dorosłe wnuczki. W 1982 r. powróciłam do Krakowa-Nowej Huty. Jako emerytka od ponad 10 lat za namową kuzynki Hani Romańskiej-Tusiewicz „bawię" się malując olejne obrazy. Miałam już 13 wystaw indywidualnych oraz ponad 20 zbiorowych. Namalowałam ponad 300 obrazów. Są one w posiadaniu rodziny i znajomych w różnych miastach Polski.

Na zakończenie chciałabym wspomnieć o zasłyszanych legendach dotyczących Mogiły. Jak wiadomo w Klasztorze jest wizerunek Cudownego Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Legenda głosi, że kiedy był najazd Tatarów na Kraków wpadli oni też do Mogiły, podpalili klasztor, a krzyż z Panem Jezusem wrzucili do pobliskiej Wisły. Utonął. Po odejściu Tatarów wypłynął, ale nie popłynął z wodą tylko „stał" w miejscu aż go zauważono, wyciągnięto i przyniesiono do kościoła, gdzie jest do dziś. Pod koniec XIX w. na południowo-zachodnim krańcu Mogiły było małe jeziorko – staw zwany „Odmęt", z którego miały się niekiedy odzywać dźwięki dzwonów kościelnych „wywołując panikę".

Sprostowanie

W pierwszej edycji książki „Czas zatrzymany", w zamieszczonych tam wspomnieniach z Mogiły pojawia się stwierdzenie, dotyczące mojej rodziny, że mój kuzyn Tolek Szewioł miał kolegów volksdeutchów. Tak nie było. Tolek nie mieszkał w Mogile, tylko przyjeżdżał czasem do nas. Podczas jednej z wizyt – w czasie zabawy – znalazł pod dachówką budynku gospodarczego pistolet. Lekkomyślnie pochwalił się znaleziskiem kolegom w szkole, zapowiadając, że chce iść z tym pistoletem do partyzantki. Jeden z nich zadeklarował, że chce zrobić to samo. Tolek mieszkał na ul. Kieleckiej, jego kolega gdzieś koło Sikornika – i tam umówili się na spotkanie. Kolega okazał się donosicielem. Tolek został schwytany przez Niemców. W czasie przesłuchania powiedział, gdzie znalazł pistolet. W rezultacie Niemcy aresztowali i rozstrzelali mojego tatusia, a potem także Tolka.

Spisała Zofia Kopras, z domu Staszyszyn

P.S. Tą drogą chciałabym podziękować Rodzinie a w szczególności Jerzemu Romańskiemu – synowi Zuzanny z d. Kołodziejczyk za pomoc przy ustalaniu danych o praprzodkach.



Fragment restauracji i sklepu, na zdjęciu powyżej stoi Jadwiga Staszyszyn, poniżej za ladą z lewej Jadwiga Staszyszyn z Zofią Romańską – córką dyrektora szkoły w Mogile, ok. 1942 r.





W drzwiach restauracji Staszyszynów stoi Helena Staszyszyn, nieco głębiej Jadwiga, żona Józefa Staszyszyna, z lewej strony brat Jadwigi – Tadeusz Żuwała, Mogiła, ok. 1938 r.



Zuzanna Kołodziejczyk i Józef Staszyszyn, lata 20. XX w.



Dom i restauracja Staszyszynów w Mogile (obecnie nie istnieją), na rowerze jedzie Jan Ciepiela – wójt Gminy Mogiła, lata okupacji



Tolek Szewioł, ok. 1939 r.



Józef Staszyszyn, ok. 1939 r.



Jan Staszyszyn, Oświęcim, 1942 r.

Wspomnienie o Ojcu

Ojciec mój, Tadeusz Staszyszyn urodził się 20.03.1910 r. w Mogile, jako siódme dziecko Jana i Heleny Staszyszynów .W młodości chętnie brał udział w życiu kulturalnym Mogiły: grywał w teatrze amatorskim, występował w jasełkach. Maturę zdał w 1929 r. u XX. Pijarów w Krakowie i rozpoczął studia na Wydziale Prawa U.J. Niestety musiał je przerwać z powodu choroby.

W roku 1937/38 studiował w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Krakowie. Zaprojektował wówczas na zamówienie księdza Zastawniaka witraż do nowego kościoła parafialnego w Czyżynach. Witraż ten znajduje się w bocznej nawie, w kaplicy Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

Miesiąc przed wybuchem II wojny światowej o. opat cystersów ze Szczyrzyca, Biros, udzielił mu ślubu z Ireną Kliszczyńską z Poznania. Zaślubiny odbyły się w małej rybackiej kaplicy w Czorsztynie.

1 września 1939 r. młoda para wyjechała do Zakopanego. Natychmiast włączyli się do działań obronnych – ojciec, jako oficer rezerwy, przekazał rozkaz wysadzenia mostu na Dunajcu pod Hubą, a matka, będąca siostrą PCK, ratowała rannych ze Spytkowic, opatrywała i przewozili ich swoim autem do szpitali w Rabce i w Nowym Targu.

W grudniu dotarł do Zakopanego, uciekając pieszo ze Lwowa, brat mojej mamy, Stefan. Jako prawnik był poszukiwany przez Gestapo. Rodzice wystarali się dla niego o fałszywe dokumenty i ukrywali przez całą okupację w Czorsztynie.

Ojciec w tym okresie podejmował się różnych zajęć: hodował pszczoły (miał 12 uli), łowił ryby, naprawiał rolnikom maszyny, pomagał przy żniwach, uczył się naprawiać zegarki. Po wojnie zdał egzamin zegarmistrzowski, dzięki czemu uzyskał prawo do otwarcia warsztatu. Zamieszkaliśmy u górali w Nowym Targu, a warsztat Ojca szybko zyskał renomę solidnego zakładu.

Były to szczęśliwe lata mojego dzieciństwa; tato był dobrym mężem i wspaniałym ojcem. Pamiętam wiele wspólnych zabaw, wycieczek, przygotowań do świąt (robił z nami ozdoby choinkowe, malował pisanki itp.), a nawet sam zrobił dla mnie lalkę z buzią z masy papierowej. Był bardzo towarzyski, szanowany i lubiany. Latem zapraszano go na kolonie, gdzie przebrany za górala grał na gitarze, śpiewał i opowiadał gwarą „Sabałowe gadki".

Niestety przeziębił się łowiąc ryby i odnowiła się zaleczona gruźlica.

Był 1952 r. Odmówiono mu przyjęcia do szpitala, bo w tych stalinowskich czasach jako „prywatna inicjatywa" był „wrogiem ludu" i nie miał prawa do opieki szpitalnej. Gdy matce udało się wreszcie uzyskać zgodę na umieszczenie męża w szpitalu, lekarze stwierdzili, że jest za późno.

Zmarł mając 42 lata. Po cichej mszy żałobnej w kościele św. Bartłomieja został pochowany tak, jak sobie życzył, obok grobu rodziców, na mogilskim cmentarzu. Zostawił żonę z dwójką dzieci w wieku szkolnym.

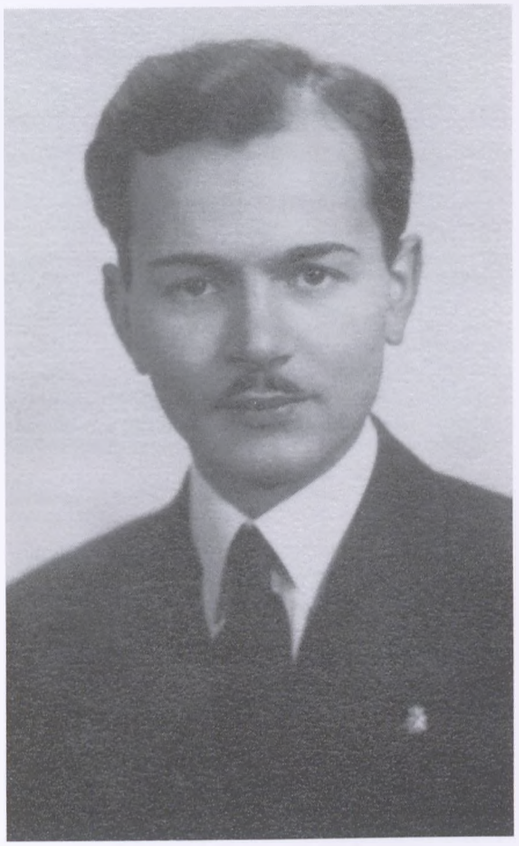
W 1958 r. przeprowadziliśmy się do Krakowa, zamieszkali w Mogile przy ul. Klasztornej, a później przy ul. Igołomskiej. Aby uczcić pamięć Ojca zorganizowałam, w 1997 r. w Nowohuckim Centrum Kultury, wystawę rodzinną. Uczestniczyło w niej pięciu malujących członków rodziny Staszyszynów: Maria Zimniak, Zofia Kopras, Adam Staszyszyn, Tadeusz Staszyszyn i ja, Hanna Romańska-Tusiewicz.

Do tej wystawy opracowałam drzewo genealogiczne rodu Staszyszynów, szukając swoich korzeni i odnawiając więzi rodzinne.

Hanna Romańska–Tusiewicz



Tadeusz Staszyszyn wraz z żoną Ireną z d. Kliszczyńską, w oknie pociągu, Mogiła, 30 maja 1942 r.



Tadeusz Staszyszyn, ok. 1937 r.



Dzieci ze szkoły w Mogile, w drugim rzędzie czwarty z lewej stoi Tadeusz Staszyszyn, lata 20. XX w.



Wspomnienia o Rodzinie Feretów

W latach 1930-1950 w Mogile jednymi z mieszkańców byli: dr praw Michał Feret. Jego żona Stanisława z Najdeckich – nauczycielka, polonistka oraz trójka ich dzieci: Jacek (ur.1939 r.), Jerzy (ur. 1945 r.) i Barbara (ur. 1947 r.). Michał Feret (ur. 3.08.1896 r.), wcześniej mieszkaniec Góry Ropczyckiej k. Sędziszowa Młp., mając ok. 18 lat został powołany do wojska. Walczył na frontach I Wojny Światowej. Został ranny. Wybuch niemieckiego granatu oderwał mu lewą rękę, odłamki przestrzeliły lewe płuco i uszkodziły lewe kolano co spowodowało usztywnienie nogi. Zwolniono Go z wojska orzekając pierwszą grupę inwalidztwa.

Jako inwalida wojenny zdał maturę (w roku 1920 w I Państwowym Gimnazjum Św. Anny w Krakowie) i rozpoczął studia na Wydziale Prawa UJ. Ukończył je w 1927 r. obroną pracy doktorskiej. Potem przez jakiś czas pracował na Uczelni. W 1935 r. w Mogile wybudował dom o pow. 350 m kw. w otoczeniu ogrodu o pow. ok. 1200 m. kw. Będąc inwalidą pierwszej grupy zrezygnował z praktyki adwokackiej, podjął zaś pracę społeczną. Był współzałożycielem Krakowskiego Oddziału Związku Inwalidów Wojennych, był także jego wieloletnim prezesem. Przed wybuchem II Wojny Światowej sprawował też urząd wice-prezydenta m. Krakowa, dbając m.in. o sprawy inwalidów wojennych. W czasie okupacji udzielał bezinteresownie porad prawnych a jako inwalida wojenny uzyskał koncesję na prowadzenie w Mogile hurtowni wyrobów tytoniowych. W naszym domu zebrała się liczna Rodzina, która w Mogile czuła się bardziej bezpiecznie, pomagała też w prowadzeniu hurtowni. Mieszkali u nas bracia Ojca: Franciszek, Tadeusz, Mieczysław, Jego siostry: Bronisława, Salomea i Elżbieta, siostra Żony Ojca – Genowefa i kuzynka Janina. Byli także wujostwo Klamutowie z dwoma synami. W okresie wysiedleń z Warszawy przez pewien czas mieszkała u nas jedna kobieta. Mówiono mi, że ok. roku 1941 Brat Taty – Franciszek po jednej z łapanek trafił do obozu pracy w Oświęcimiu. Po kilku miesiącach Ojciec znalazł ochotnika, który za pieniądze zgodził się zastąpić Franciszka w obozie. Franciszek wrócił, a losy i nazwisko tamtego człowieka nie były mi znane. Korzystając z nie rzucającego się w oczy lokalu hurtowni, odbywały się tam spotkania członków Batalionów Chłopskich, do których należeli Michał i Franciszek Feretowie. Tadeusz Fedorowicz (pseudonim okupacyjny „Ran") w wydanej w 1975 r. książce „Cena wolności" na str. 150. pisze: „Zacząłem więc pracować z mjr. „Parandowskim", razem opracowywaliśmy plany działań, przekazywałem rozkazy dowódcom w terenie, przeprowadzałem rozeznania w powiecie krakowskim i nawiązywaliśmy współpracę z innymi organizacjami. W Mogile skontaktowałem się z dr Michałem Feretem i jego bratem Franciszkiem, zaangażowanymi w konspiracyjne poczynania ludowców".

Antoni Roczmierowski w wydanej w 1974 r. książce „Krzyżackie widmo" na str. 84. pisze: „Następnego dnia przed południem wyjechałem wraz z mjr. „Gustawem" Marczyńskim i z „Ranem" do Mogiły koło Krakowa. Zatrzymaliśmy się u dr. Michała Fereta, który prowadził hurtownię tytoniu w Mogile. Był tam także obecny inż. Franciszek Feret, również zamieszkały w Mogile. Obaj bracia Feretowie brali czynny udział w działalności Batalionów Chłopskich. U dr Michała Fereta odbywały się tajne narady czołowych działaczy BCH z komendy powiatu krakowskiego i komendy gminy Mogiła, natomiast inż. rolnik Franciszek Feret był działaczem gospodarczo – zaopatrzeniowym BCH z zasięgiem pracy na cały powiat."

I dalej na str. 85: „Zameldowany z dniem 26 VIII 1942 roku u Kawalera, mistrza kołodziejskiego w Mogile nr. 64 (vis a vis restauracji Staszyszyna) rozpocząłem powierzoną mi działalność organizacyjną na tym terenie. Poza Kawalerem, który przystąpił do współpracy, pozyskałem Józefa Staszyszyna oraz mgr Józefa Walczaka. Były to na razie pierwsze stałe punkty kolporterskie prasy podziemnej poza hurtownią tytoniową dr Michała Fereta."

Na str. 145 Antoni Roczmierowski pisze: „Również i dr Michał Feret, brat inżyniera, zamieszkały w Mogile, nie mogąc brać czynnego udziału w akcjach organizacji podziemnej z powodu ciężkiego inwalidztwa, trudnił się kolportażem prasy (u siebie w sklepie tytoniowym), udzielał przez cały okres okupacji pomocy działaczom tajnych organizacji oraz zajmował się pracą społeczną. Jako delegat z ramienia PCK w Krakowie prowadził na terenie Mogiły i okolicznych wioskach zbiórki pieniężne oraz żywnościowe dla polskich jeńców wojennych

przebywających w niemieckich obozach. Dzięki tym zbiórkom pewnego razu dostarczył dla PCK 123 000 zł. na które otrzymał pisemne potwierdzenie odbioru. Po upadku Powstania Warszawskiego, kiedy to na terenie Mogiły znalazła się duża grupa wysiedleńców z Warszawy, dr Feret zorganizował Komitet Opiekuńczy, którego był przewodniczącym. Komitet ten dostarczał uchodźcom żywności do końca wojny."

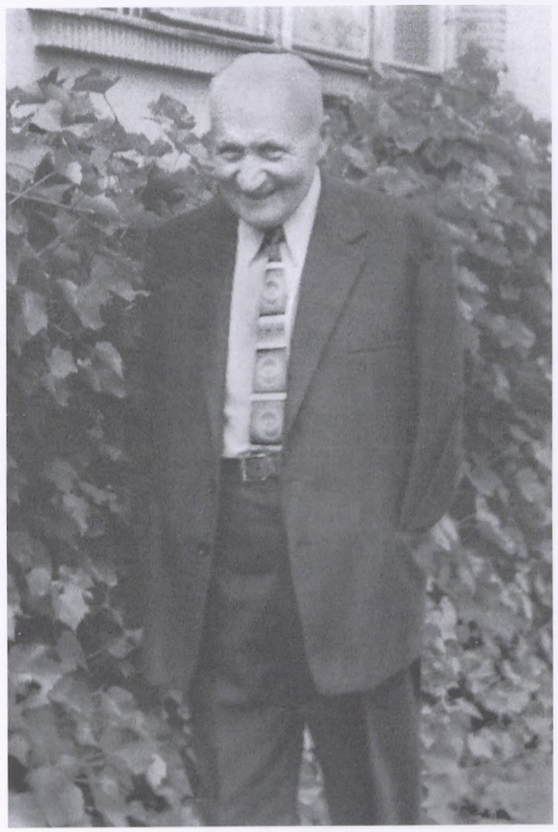
Z czasu wyzwolenia utkwił mi w pamięci incydent związany z mieszkającym u nas Wujkiem Stanisławem Klamutem, który przyjechał z Dębicy. W czasie ofensywy wojsk radzieckich Rodzina przebywała w piwnicy. W pewnym momencie Wujek wyszedł na parter, prawdopodobnie zapalił zapałkę. Rozległ się wystrzał. Dwie kule wystrzelone na podwórku raniły Wujka w kark i rękę. Były problemy z opatrunkiem, ale jakoś sobie poradzono. Po zakończeniu wojny Rodzina rozjechała się do swoich domów. Ojciec jakiś czas nadal działał w Związku Inwalidów Wojennych. Mama uczyła w Szkole Podstawowej w Mogile, gdzie latem 1949 roku rozpoczęto budowę Nowej Huty.

Nasz dom stojący w miejscu przez które wytyczono nową drogę – został zburzony. Możliwości odwołania się od decyzji o wyburzeniu domu nie było. Odszkodowanie, które Rodzice otrzymali za dom i ogród było bardzo niskie (najwięcej zapłacono za drzewa w ogrodzie) i wystarczyło zaledwie na zakup małej parceli w Krakowie. Rodzice postanowili wybudować nową siedzibę. Na okres budowy otrzymaliśmy do dyspozycji (Rodzice z trójką dzieci) dwa pokoje z kuchnią na Osiedlu C2 , dziś Os. Krakowiaków. Mieszkanie otrzymali także Wujkowie: Franciszek z Rodziną i Tadeusz. W związku z wywłaszczeniem, potrzebne materiały do budowy domu w Krakowie Rodzice mogli zakupić po cenach państwowych. Do nowego domu przeprowadziliśmy się w roku 1955. Zwolnione mieszkanie przekazaliśmy Władzom Dzielnicy Nowa Huta. Rodzice zmarli – Ojciec w 1965 roku, Mama w 1967 roku. Spoczywają na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Dzieci ukończyły studia wyższe, obecnie są emerytami.

Kraków, 10.VI.2008 r. ***Dr nauk med. Jacek Feret, syn Michała***



Michał Feret z rodziną: żoną Stanisławą i synem Jackiem, Mogiła, lata okupacji



Michał Feret, 1965 r.

Rodzina Rosołków

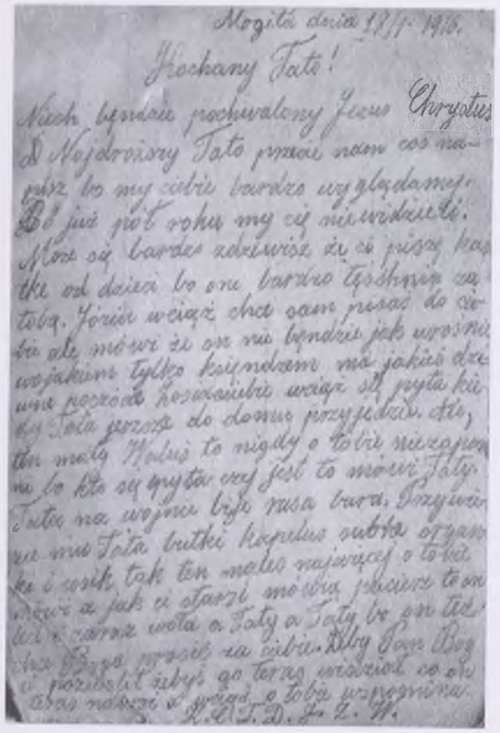


Rodzina Rosołków mieszka od wielu pokoleń w Mogile pod Krakowem. Mój prapradziad, Walenty Rosołek przybył tu w 1 poł. XIX wieku i pracował w klasztorze oo. Cystersów. Za dobrą pracę otrzymał dużo ziemi, a część dokupił – w sumie było to 40 morgów. Zbudował na niej dom i mieszkał wraz z żoną i dziećmi. Walenty ożenił się z Marianną z Ciepielów. Mieli pięcioro dzieci: Wincentego, Józefa, Jakuba, Jana i córkę (nie znam jej imienia), która wyszła za mąż za pana Zamojskiego z Bieńczyc i tam zamieszkała. Wincenty ożenił się z Marią Gaweł i pozostał na ojcowiźnie, miał dwóch synów: Jana i Jakuba. Józef, jako młody chłopak, wyjechał w 1908 roku do Ameryki i zamieszkał w Chicago, miał syna i córkę. Jakub ożenił się z Katarzyną Radoszek i mieli aż ośmioro dzieci: Wandę, Janinę, Zofię, Marię, Jakuba, Władysława, Stanisława, i Antoniego. Jan ożenił się z Anną Radoszek. Przodkowie moi brali udział w powstaniach w XIX w. oraz w I i II Wojnie Światowej. Mój dziadek, Jan Rosołek (1876-1956) – którego pamiętam z dzieciństwa – ożenił się w 1908 r. z Anną Radoszek (1886-1939) pochodzącą z Czyżyn. Po ślubie zamieszkali w rodzinnym domu w Mogile, a w 1911 r. kupili dom z ogrodem (przy tej samej ulicy) od pana Mikołajczyka, który wyjechał do Ameryki. Gdy wybuchła I wojna światowa dziadek został powołany do wojska austriackiego. Przemierzył wraz z nim Europę od Alp włoskich aż po Ural. Później przedostał się do oddziałów ułańskich i walczył o wolną Polskę. Podczas wojennej tułaczki wiele wycierpiał o głodzie i chłodzie. Opowiadał mi, że będąc w Alpach wygrzebywał wraz z kolegami spod śniegu korzonki, które stanowiły ich pokarm. Cudem udało mu się przeżyć wiele bitew i potyczek. Wspominał, że często modlił się do Cudownego Pana Jezusa Mogilskiego, dzięki czemu zawsze wychodził cało z wielu dramatycznych opresji. Zawsze bardzo tęsknił – z wzajemnością – za swoją żoną i dziećmi, czego wzruszającym dowodem są zachowane do dziś 82 czułe listy, które małżonkowie pisali do siebie. Dziadek przez całą wojnę nosił listy od żony w mundurze, a teraz stanowią one cenną pamiątkę i ciekawą lekturę dla jego potomków. Po pięcioletniej tułaczce wojennej dziadek wrócił w rodzinne strony, gdzie czekała na niego żona Anna wraz z trójką dzieci: Zofią, Józefem i Walentym (moim przyszłym ojcem).

Józef zmarł tragicznie mając zaledwie 16 lat, podczas zabawy z rówieśnikami. Zofia (1909 –1974) wyszła za mąż w 1932 r. za Franciszka Raźnego, który był komendantem policji i wyjechała z nim do Lwowa, a później do Kamieńca Podolskiego. Po śmierci męża w 1939 r. powróciła do Krakowa, a po wojnie wyszła za mąż za Stefana Muchę i zamieszkała w Bytomiu. Miała dwóch synów: Leszka i Mariana. Mój tato, Walenty (1913-1967) pozostał na gospodarce w domu rodzinnym w Mogile. Ożenił się w 1948 r. z Zofią Radoszek i mieli 2 córki: Danutę i Halinę. Był miłośnikiem historii i literatury, a także doskonałym mówcą. Należał do Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, śpiewał w chórze kościelnym i prowadził w Mogile Kasę Stefczyka. Ojciec wykazywał także zdolności w zakresie rysunku i malarstwa. Oprócz obrazów wykonywał także plakaty, afisze oraz dekoracje do sztuk teatralnych, jasełek i innych przedstawień wystawianych z udziałem młodzieży mogilskiej w klasztornej świetlicy. Swoje dzieła najczęściej rozdawał wśród znajomych, a niektóre udawało mu się sprzedać nawet w Krakowie. Ukończył Szkołę Handlową oraz kursy biurowości i korespondencji. Dalszą naukę przerwały lata okupacji niemieckiej, które spędził w Mogile prowadząc gospodarstwo rodzinne. Po wojnie udzielał się społecznie prowadząc bibliotekę, która zanim została przeniesiona do świetlicy osiedlowej, mieściła się w naszym domu. Tato znał doskonale każdą z tych książek i dlatego chętnie doradzał czytelnikom. Pomagał nawet dzieciom pisać wypracowania i streszczenia lektur szkolnych. Był wielokrotnie nagradzany za pracę społeczną. Często wspominał przeszłość, którą poznawał z książek i rodzinnych przekazów. Interesował się także aktualnymi pracami przy wykopaliskach archeologicznych powstałych podczas budowy kombinatu, nowych osiedli mieszkaniowych Nowej Huty i Szpitala im. Stefana Żeromskiego. Z przekazów zapamiętał, że na kamiennej ławie odpoczywał w pobliżu Tadeusz Kościuszko, a ranny generał Langiewicz, dyktator Powstania Styczniowego – pod młynem w Mogile. Po upadku tego powstania ludność odbudowywała swe gospodarstwa, a niektórzy znajdowali zatrudnienie w nowopowstałych tu zakładach przemysłowych: fabryce gwoździ, farbiarni i koronkarni. W okolicy kopca Wandy miejscowa młodzież ćwiczyła strzelectwo zorganizowana w Drużynach Bartoszowych, a potem w Towarzystwie „Sokoła" i „Strzeleckim". Ojciec opowiadał, że dwóch braci Schindlerów zbudowało w Mogile na pocz. XX w. pierwszy samolot o napędzie gumowym. Potem bracia zrobili w Wiedniu, za własne, zaoszczędzone pieniądze samolot o napędzie motorowym. Latali nim na oczach cesarza Franciszka Józefa I i jego dworu wzbudzając powszechny podziw. Potem jednak celowo uszkodzili swój samolot i powrócili do Mogiły. Tutaj wychowywał się także słynny na cały świat siłacz i zapaśnik – Zbyszek Cyganiewicz. Gdy w 1914 r. wybuchła wojna, Kraków i okolice – a wraz z nimi Mogiła – były już ufortyfikowane, a ludność udała się na tułaczkę (niektórzy nawet za granicę) lub ewakuowano. Po I Wojnie Światowej mieszkańcy Mogiły wzięli udział w odbudowie gospodarki, przemysłu, handlu i kultury. Większość z nich trudniła się jednak rolnictwem. W okresie międzywojennym Mogiła miała już Kasę Spółdzielczą, Kółko Rolnicze, Stronnictwo Ludowe, Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici", dwa plutony Straży Pożarnej, dwie orkiestry, pięć świetlic, bibliotekę i dwie sceny. Działały cztery kluby sportowe: Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży, „Mogilanka", K.S. „Wisła" i K.S. „Wanda". Były bieżnie i boiska do gry w piłkę nożną, koszykówkę i siatkówkę. Była też sala bilardowa i sala do gry w tenisa stołowego. Mogiła posiadała własną rzeźnię, jatki, masarnie, osiem sklepów, cztery młyny, dwie cegielnie, składnice jarzyn i owoców oraz zboża. Była tu Gmina, zaś swoje siedzibę miały: Rada Gminna, poczta i policja. Był także lekarz. Rozwój wsi gwałtownie przerwał jednak wybuch II wojny światowej. Niektóre budynki zamieniono na magazyny. Organizuje się wówczas ruch oporu, następują prześladowania i wywózki do obozów koncentracyjnych. Wielu Polaków ginie w Krzesławicach, Grebałowie i Łęgu. Giną też ludzie rozproszeni po okolicznych lasach. Mimo terroru, rozstrzeliwań, łapanek i wywozu do Niemiec opór miejscowej ludności nie słabnie. Tworzą się oddziały Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej. Podjęta zostaje współpraca z dywersantami i skoczkami radzieckimi, działa tajna radiostacja, skąd nadawane są meldunki do sztabu wojsk radzieckich. Gdy zbliżał się front i wyzwolenie, został złapany przez Niemców pod szkołą w Mogile członek Armii Ludowej pan Szewczyk (dobry masarz) i na oczach mieszkańców rozstrzelany. Niemcy przenieśli się na drugą stronę Wisły minując mosty w Krakowie i Niepołomicach. Podczas walk po stronie radzieckiej i niemieckiej padli zabici i ranni. Po wojnie rolnicy mogilscy usuwali z pól miny, bomby i granaty. Przystąpiono do usuwania zniszczeń wojennych i odbudowy. Gdy ludność nareszcie odetchnęła i ziemia wydała plon – latem 1949 r. w piękne łany cysterskiej pszenicy weszli pierwsi budowniczowie Nowej Huty. W Mogile udzielono im pomocy w zakwaterowaniu i wyżywieniu. Na budowy wstępują pierwsi cieśle i murarze z Mogiły. Wznoszą baraki, magazyny a potem bloki mieszkalne i hale fabryczne. Był z nimi stary, prawie stuletni cieśla – Florian Dąbrowski, który służył im radą i opowiadał starodawne dzieje. Naszym rolnikom żal było pięknej ziemi, ojcowizn i zmarnowanej pracy wielu pokoleń. Ale trzeba było z czegoś żyć, więc zaprzęgli swe konie i wozili materiały na budowę. Na gruntach uprawianych przez wieki rękami ich przodków powstały teraz nowe budynki, przy których wznoszeniu pracowali dawni rolnicy, a starsi ludzie na pozostałych poletkach uprawiali nadal warzywnictwo, sadownictwo, a także hodowali bydło, konie i drób. Po obu stronach szosy idącej w kierunku Krakowa wyburzono nową część wsi. Reszta została zelektryfikowana, a w każdym domu było radio, ludzie we wsi mieli 50 telewizorów i kilka telefonów. Korzystano z miejskiej komunikacji, a szczególnie z tramwaju. Były dwa sklepy spożywcze, miejska spółdzielnia zaopatrzenia i zbytu oraz wielki wojewódzki magazyn odzieżowy. Po starej Mogile pozostała już tylko legenda i wspomnienia. Pozostały też piękne stroje i zachowana pamięć o tradycji i obrzędach: puszczaniu wianków na Wiśle, sobótkach, śmigusach, pucherokach, dożynkach, śpiewach i tańcach ludowych, jasełkach, kolędnikach, szopkach i gwiazdach.

Halina Rosołek z Mogiły

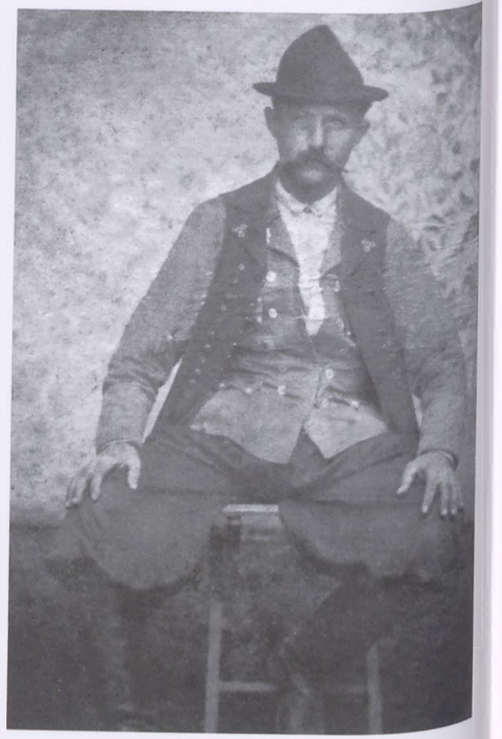
(na podstawie spisanej w 1963 r. opowieści ojca – Walentego Rosołka)



Mogiła dnia 18/3. 1915.

Kochany Tatę!

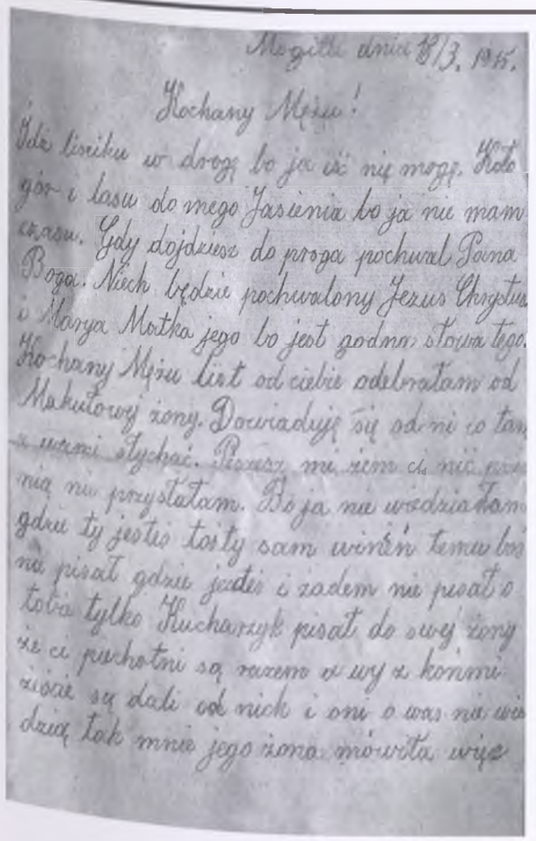
Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus
O Najdroższy Tato przed nam coś na-
pisz bo my ciebie bardzo wyglądamy.
Bo już prot roku my cię nie widziele.
Może się bardzo zdziwisz że ci piszy ko
tki od dziecka bo one bardzo tęsknią za
tobą. Józio wciąż chce sam pisać do ci
bie ale mówi że on nie będzie jak urośnie
wojakim tylko księdzem ma jakiś dzie
więć pozdrawia Roswadzie wciąż się pyta ki
dy Tata jeszcze do domu przyjedzie. Ale,
ten mały Mietuś to nigdy o tobie niezapom
ni bo kto się pyta czy jest to mówi Taty.
Tatuś na wojnie bije rusa bura. Przyniósł
nie nie Tata butki kapelusz subtka organ
ke i wiek tak ten mały najwięcej o tobie
mówi a jak ci starsi mówią płaczą to on
mówi a jak ci starsi mówią płaczą to on
też i zaraz woła a Taty a Taty bo on też
chce Boga prosić za ciebie. Niby Pan Bóg
ci pozwolił żebyś go teraz widział co ob
chodzi nasze a wtedy o tobą przypomina.
K. C. S. D. Jo Z. M.



Jan Rosołek (1876-1956), ok. 1915 r.



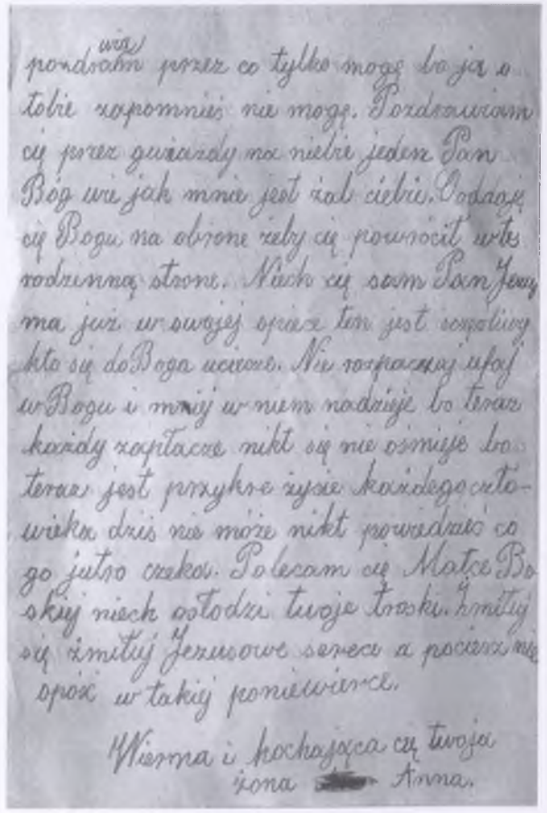
Anna Rosołek z d. Radoszek (1986-1939) z dziećmi ok. 1915 r.



Mogiła dnia 8/3. 1915.

Kochany Mężu!

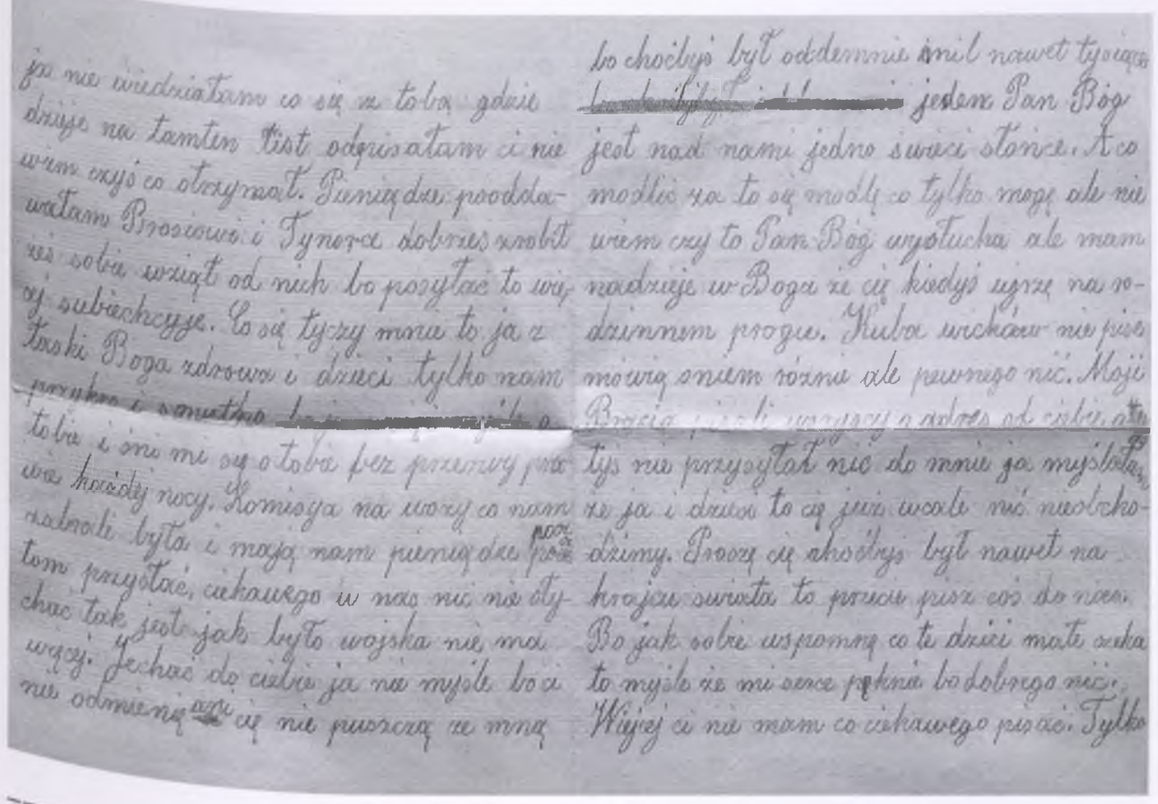
Idę liściku w drogę bo ja cię nie mogę. Koło
jór i lasu do mego Jasienia bo ja nie mam
czasu. Gdy dojdziesz do proga pochwal Pana
Boga. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus
i Marya Matka jego bo jest godna słowa tego.
Kochany Mężu list od ciebie odebrałam od
Makutowej żony. Dowiaduję się od nie co tam
u was słychać. Proszę mi nim cię nie gnie
wią nie przystałam. Bo ja na wsi dziś am
gdzie ty jesteś tośty sam wiedz temu bo
nie pisał gdzie jadę i żadem nie pisał o
tobie tylko Kucharzyk pisał do swej żony
że ci piechotni są razem w wy z komu
niście się dali od nich i oni o was nie wie
dzą tak mnie jego żona mówiła więc



wia
pozdrawiam przez co tylko mogę bo ja o
tobie zapomnieć nie mogę. Pozdrawiam
cię przez gwiazdy na niebie jeden Pan
Bóg wie jak mnie jest żal ciebie. Oddaję
cię Bogu na obronę żeby cię powrócił w
rodzinną stronę. Niech cię sam Pan Jezus
ma już w swojej opiece ten jest szczęśliwy
kto się do Boga uciecze. Nie rozpaczaj ufaj
w Bogu i miej w nim nadzieję bo teraz
każdy zapłacze nikt się nie ośmieje bo
teraz jest przykre życie każdego cało-
wieka dziś nie może nikt powiedzieć co
go jutro czeka. Polecam cię Matce Bo
skiej niech osłodzi twoje troski. Umiłuj
się Umiłuj Jezusowe serece a pocieszy nie
spoi w takiej poniewierce.

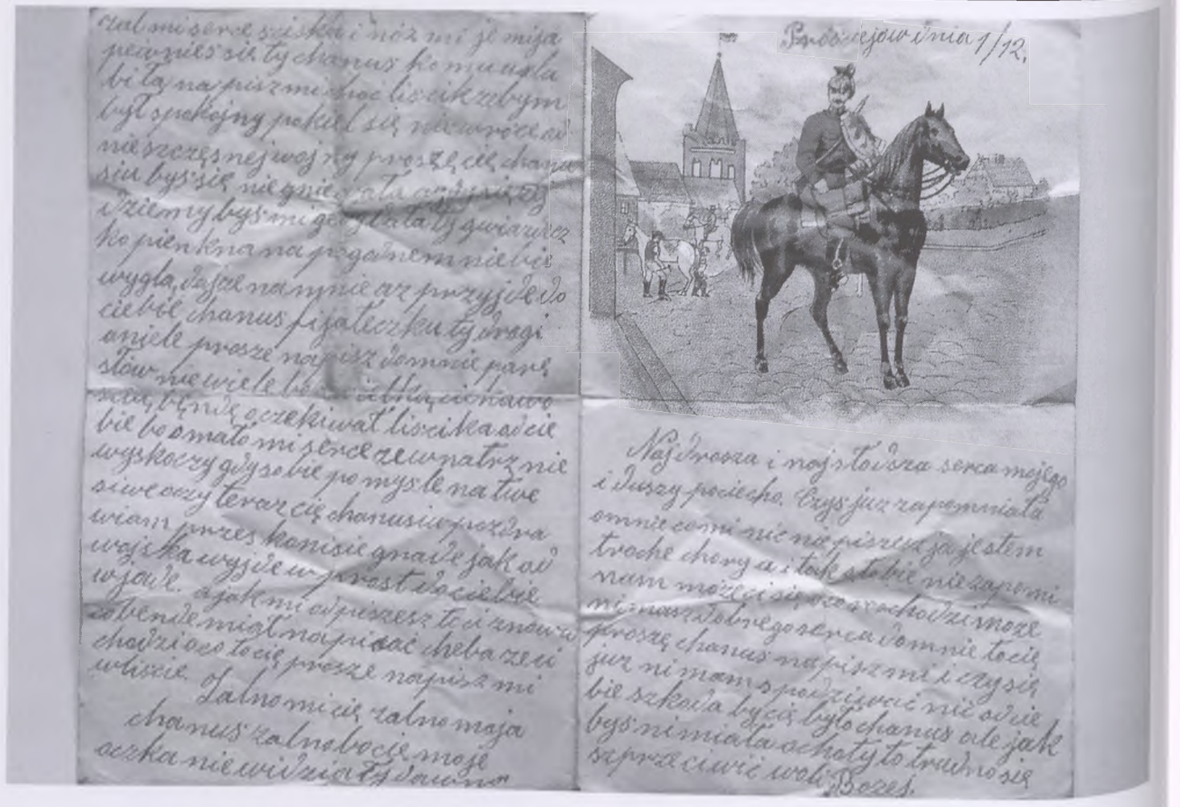
Wierna i kochająca cię twoja
żona [redacted] Anna.

List z 18 marca 1915 r. Anny Rosołek do męża

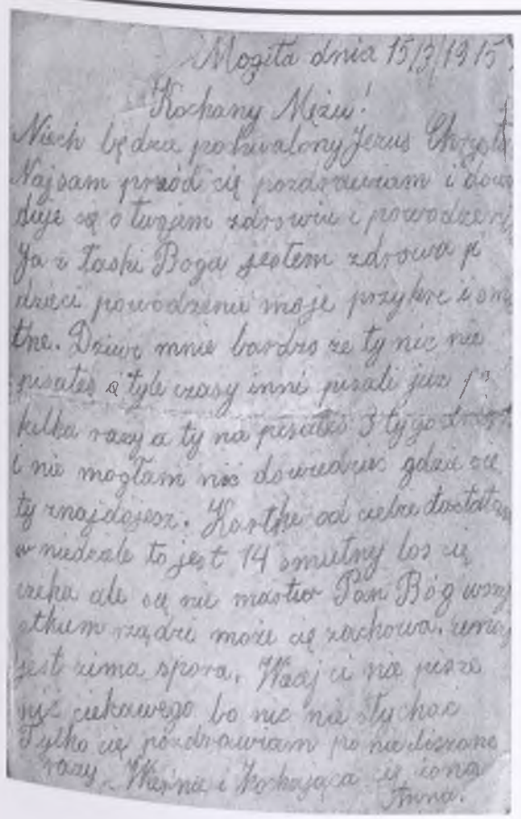


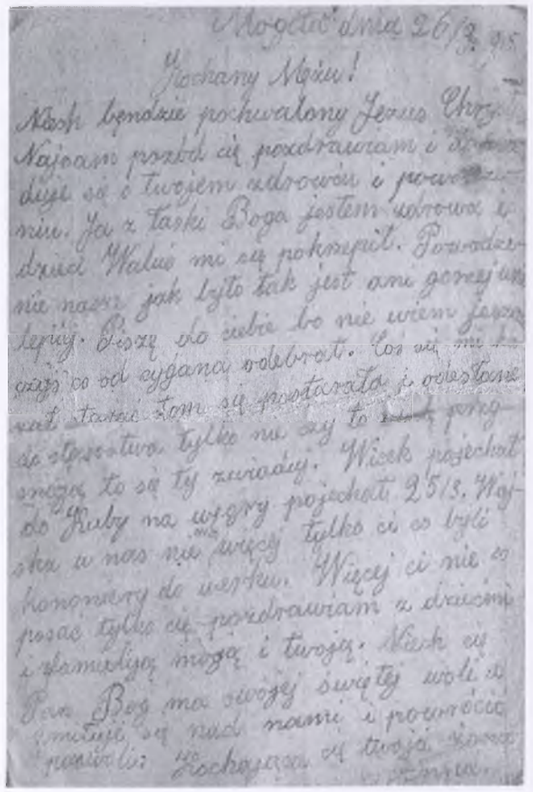
ja nie wiedziałam co się w tobą gdzie
dzieje na tamten list odpisałam ci nie
wiem czy go otrzymałeś. Pieniędzy posłałam
wałam Brosiowi i Tynorce dobrze zrobił
sobie wziął od nich bo przyjdzie to wię
cej zabiorczyje. Co się tyczy mnie to ja z
Łaski Boga zdrowa i dzieci tylko nam
[redacted]
tobie i one mi się o tobą bez przerwy mo
wią każdej nocy. Komisya na wsi co nam
radzili była i mają nam pieniądze po
tem przyślą, ciekawego u nas nic nie dzi
chać tak jest jak było wojska nie ma
więcej. Jechać do ciebie ja na myśle bo a
nie odmienią się nie puszczą ze mną

bo choćbyś był oddalonie dwanaście tysięcy
[redacted] jeden Pan Bóg
jest nad nami jedno świeci słońce. A co
modlić za to się modlę co tylko mogę ale nie
wiem czy to Pan Bóg wysłucha ale mam
nadzieję w Boga że cię kiedyś ujrzę na ro-
dzinnem progu. Żuba wiecznie nie pisz
mówią onem różne ale pewnego nic. Moje
[redacted]
tyś nie przysyłał nic do mnie ja myślałam
że ja i dzieci to cię już wcale nie obcho-
dzimy. Proszę cię choćbyś był nawet na
krańcu świata to przecie pisz coś do nas.
Bo jak sobie wspomnę co te dzieci mają cieka
to myślę że mi serce pęknie bo dobrego nic.
Więcej ci nie mam co ciekawego pisać. Tylko

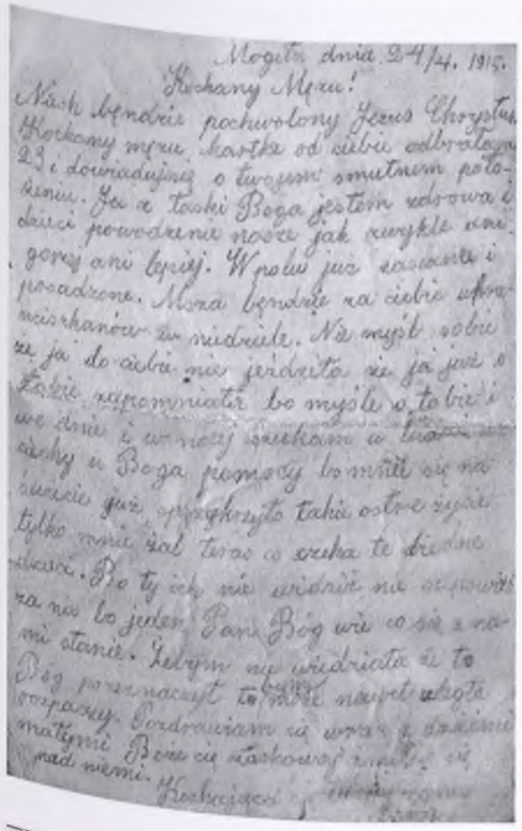


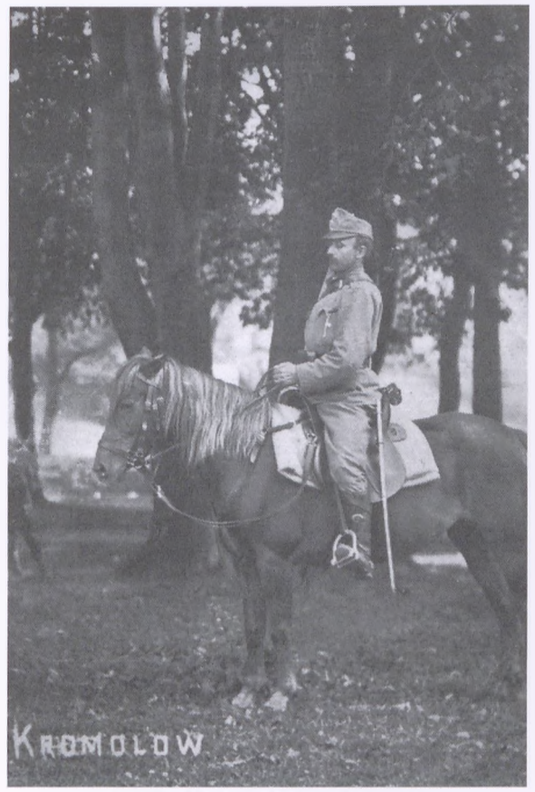
List Jana Rosołka do żony, ok. 1915 r





Listy z 1915 r. Anny Rosołek do męża





Jan Rosołek, lata I Wojny Światowej

Mieliśmy beztroskie dzieciństwo, chociaż się nie przelewało...

Urodziłam się w Mogile. Przed wojną była to duża wieś oddalona 8 km od Krakowa. Teraz jest tutaj Nowa Huta. Z dawnej wsi niewiele pozostało domów, ale dwa kościoły się uchowały i szkoła. Jeden z kościołów to klasztor cystersów, drugi mały kościółek był naszą parafią lat dziecinnych.

Mój dom rodzinny też jeszcze stoi, chociaż już się chyli ku upadkowi (ma chyba więcej jak 100 lat). Nie wolno go jednak rozebrać, bo należy do zabytków. W prawdzie już dawno zmienił właściciela, ale ja i moje siostry, gdy jedziemy odwiedzić brata i grób mamy naszej, to zawsze znajdziemy chwilę, żeby odwiedzić nasz domek, w którym nikt już obecnie nie mieszka. Mamy miłe wspomnienia z lat dziecinnych, gdy z całą rodziną mieszkaliśmy w nim.

Moja rodzina tzn. mama, tata, dwie siostry i brat. Najstarsza Hanka, potem Majka, Jasiek i Telka. Tak nas nazywali rodzice i koleżanki. Majka to ja. Nigdy nie lubiłam swojego imienia. Teraz mi wszystko jedno, już mnie to nie razi. Dzieciństwo moje w domu to były najszczęśliwsze beztroskie lata, dokąd żyła mama.

W domu się nie przelewało. Ojciec był rolnikiem. Mieliśmy 7 mórg ziemi i z tego się utrzymywaliśmy. Chleba nam nie brakowało, ale nie zawsze był posmarowany. Nieraz w szkole zazdrościłam koleżankom z biednych rodzin, które dostawały darmowe drugie śniadanie – pajdę świeżego chleba ze smalcem i skwarkami. Tak lubiłam świeży kupny chleb, a te skwarki nigdy mi tak nie pachniały jak wtedy. Nasza mama piekła chleb raz na dwa tygodnie; sześć dużych bochenków, każdy z nich miał od trzech do czterech kilo. W drugim tygodniu po upieczeniu był już tak czerstwy, że ledwo dało się go ukroić. Cieszyłam się, jak nam na przednówku, tzn. przed żniwami, zabrakło mąki na chleb i trzeba było go kupować w sklepie. Bardzo go lubiłam, bo zawsze był świeży. Naszego chleba nie zawsze nam starczyło do żniw, bo zaraz po żniwach rodzice chcąc coś kupić do domu czy coś z ubrania, musieli część zboża sprzedać lub ziemniaków, bo tylko z płodów rolnych były pieniądze (jednak nie zawsze ich wystarczało na wszystko).

Największą radość sprawiał nam odpust. Ściągały do nas wtedy piesze pielgrzymki z okolicznych wsi i Krakowa na tę uroczystość. Odpust trwał osiem dni i pielgrzymi nocowali w domach, które były bliżej klasztoru. U nas też byli. Pozjeżdżali kramarze ze swoimi akcesoriami na tę okazję, karuzelą i był nawet zwierzyniec z dzikimi zwierzętami. Kramy ciągnęły się wzdłuż całej ulicy po obu stronach. Dla nas to było wielkie wydarzenie. Tyle różnych zabawek, kołacze z serem, różańce z ciasta, różne świecidełka, no i te karuzele. Mogliśmy się chociaż napatrzeć do woli, bo na kupno nie było pieniędzy. Mama nam zawsze po jakimś drobiazgu kupiła, albo przewiozła na karuzeli, ale dla nas to i tak było za mało. Tyle różności na raz widzieliśmy raz na rok. Mogłam się na to wszystko gapić cały dzień, a tu trzeba było rano iść do szkoły, a po południu paść krowy. To było dla nas najgorsze. Biliśmy się z tego powodu.

Nazwa naszej wioski „Mogiła" pochodzi stąd, ze mamy tu usypany kopiec Wandy, która (jak głosi legenda) nie chcąc zdrady dla ojczyzny skoczyła do Wisły i ma tutaj swoją mogiłę.

Wisła jak płynęła tak płynie dalej koło naszej wsi, tylko prawdopodobnie przesunęła nieco dalej swoje koryto. Środkiem wioski płynęły jeszcze trzy rzeki, które swoje ujście miały w Wiśle. Jedna z nich nazywała się Dłubnia. Prawdopodobnie wydłubali ją cystersi, stąd ta nazwa.

Miejscowość, w której się urodziłam, to nie była wieś deskami zabita. Mieliśmy (jak wspomniałam) dwa kościoły, cztery młyny zbożowe, nową szkołę, pocztę, stację kolejową, cztery sklepy spożywcze, dwie jatki z mięsem i wędlinami, posterunek policji, no i cmentarz. Przy klasztorze była też sala teatralna i seminarium duchowne, w którym studenci uczyli się na księży. Oni właśnie urządzali i brali udział w przedstawieniach. Najbardziej utkwiły mi w pamięci jasełka. Na jasełka przyjeżdżali ludzie nawet z okolicznych wsi. Tak było przed wojną.

Nasz klasztor nie był biedny. Miał swój folwark, dużo ziemi ornej. Miał też nieduży lasek nad Wisłą i pięć stawów rybnych. Stawy te były koło naszego pola. Latem chodziliśmy się tam kąpać. Pilnował tych stawów „rybak", tak go nazywaliśmy, bo nie tyle stawów, ile ryb pilnował i często nas przepędzał (były to ryby hodowlane – karpie). Lubiliśmy tam chodzić latem wieczorem. Żabki kumkały w stawach. Wały odgradzały każdy staw, a na wałach w trawie rosło dużo kwiatków. Nasze pole od jednego stawu ogradzał tylko taki wał, więc rybak nie zdążył nas upilnować. Nim obszedł wszystkie stawy, myśmy zdążyli się popluskać i gdy nadchodził mieliśmy czas uciec na nasze pole. Miało ono swoisty urok. Z jednej strony pola płynęła rzeczka (ta, co koło naszego domu), z drugiej był głęboki rów, wał i staw, a z trzeciej strony wał i staw. Połowa wału należała do nas, a druga połowa do stawów. Na naszej połowie paśliśmy krowy. Trzeba je było trzymać na powrozie, żeby nie poszły „na pańskie".

Latem nad stawy chodzili też się kąpać klerycy z klasztoru, a zimą, gdy stawy zamarzły, jeździli na łyżwach. My i inne dzieciaki jak nie było nikogo, to ślizgaliśmy się na butach, bo łyżew nie było, albo przywiązywaliśmy

patyk do buta i to były nasze łyżwy. Latem chodziliśmy się też kąpać do Wisły (jak byliśmy starsi). Raz o mało się nie utopiłam. W czasie kąpieli wpadłam do jakiegoś dołka po sam nos. Z pomocą koleżanek ledwo się wygrzebałam. W naszej rzece, koło domu, też się raz topiłam. Nad Wisłę chodziliśmy przez lasek. Lubiłam tamtędy chodzić, chociaż można było drogą albo wałem. Wolałam jednak lasem. Miał on swój urok. Rosły w nim duże liściaste drzewa, było też dużo różnych krzewów. Między innymi były czeremchy. Gdy na wiosnę zakwitły, co to był za odurzający i upajający zapach. Do dzisiaj go czuję. Nigdy już później nie spotkałam tych krzewów. Pod drzewami rosły kaczeńce (mlecze?). Gdy wiosną zakwitły, było ich tak dużo, że prawie cała ziemia w lesie był a żółta, a ptaki tak pięknie śpiewały, że już nigdzie nie słyszałam tylu różnych treli. W lasku tym na jednym z drzew była też przymocowana kapliczka Matki Boskiej, a wokół tej kapliczki była niewielka polana i kilka ławek z desek. Przez cały miesiąc maj odbywały się tam majówki, tzn. starsze dzieci i młodzież gromadziły się wokół kapliczki i śpiewały na cały głos litanię i różne pieśni do Matki Boskiej, a echo rozchodziło się po całym lesie. Mama nam kazała na majówki chodzić do kościoła, a nie do lasu. Kilka razy jednak udało nam się urwać, zamiast do kościoła poszłyśmy do lasku, tzn. ja ze starszą siostrą i koleżankami.

W pamięci pozostały mi też łąki, które ciągnęły się ponad trzy km wzdłuż i wszerz Myśmy też tam mieli kawałek swojej łąki. Lubiłam chodzić przez te łąki do naszych ciotek. To były siostry mamy. Mieszkały w Czyżynach skąd również pochodziła nasza mama. Latem nad łąkami latały czajki. Lubiłam słuchać ich zawodzącego śpiewu. Było też dużo bocianów, które polowały na żaby, zwłaszcza koło stawu porośniętego szuwarami. Lubiłam też sianokosy. Gdy kosiarze kosili trawę to kosy brzęczały jak jakaś muzyka. Potem, gdy trawa wyschła, grabiliśmy siano i stawialiśmy w kopki. Kiedy siano było już dostatecznie suche, ojciec zwoził je drabiniastym wozem z zaprzężonymi końmi i wtedy mieliśmy wielką frajdę jechać na górze siana do stodoły.

Czyżyny to rodzinna miejscowość naszych rodziców. Często tam chodziliśmy do naszych ciotek i wujków, zwłaszcza latem przez łąki, które tak lubiłam. Często o nich myślę i nie wiem, czy coś jeszcze z nich zostało. Wiem, że na części z nich wybudowano szpital i kilka bloków mieszkalnych, w związku z budową Nowej Huty. Były to tereny podmokłe, więc może całych nie zabudowali. Mam nadzieję, że jeszcze tam latem kiedyś przyjadę o ile zdrowie dopisze. Teraz mam 82 lata, córkę i syna, czworo wnucząt i pięcioro prawnucząt.

Wracając do wspomnień z dzieciństwa, żyliśmy beztrosko. Cieszyliśmy się najmniejszym drobiazgiem na św. Mikołaja, a potem na Święta Bożego Narodzenia – choinką. Cały miesiąc przed Świętami robiliśmy z bibuły ozdoby choinkowe, długie łańcuchy z papieru kolorowego, różne anioły i aniołki. Mieszkanie było małe, to ojciec nam choinkę wieszał pod sufitem niedużą, ale radość mieliśmy wielką.

Mama piekła buchty (ciasta) z makiem i podpłomyki z cebulą i olejem, bardzo je lubiliśmy. Podpłomyki to były takie duże placki z ciasta drożdżowego pieczone w piecu chlebowym, w którym mieściło się sześć chlebów. Piec chlebowy wybudowany był w sieni. Był murowany z cegły. Rozpalało się w nim słomą i patykami ogień i jak cegły w piecu rozgrzały się do białości, to się wymiatało popiół z pieca miotłą ze słomy i wsadzało się chleby, a wcześniej podpłomyki z makiem i cukrem.

Jak już wyżej wspomniałam, mieliśmy beztroskie dzieciństwo, chociaż się nie przelewało i nie zawsze mieliśmy chleb posmarowany, ale byliśmy zdrowi i wszystko nas cieszyło, zwłaszcza latem. Biegaliśmy na bosaka przez całe lato, a zimą bawiliśmy się w sąsiednim młynie z dziećmi młynarzy. Młyn należał do Lelity. Oddzielało nas tylko ogrodzenie.

Zimą chodziliśmy też ślizgać się na stawy. Zimy były mroźne, nie takie jak teraz. Śnieg był po pas, tak że ojciec nas odwoził do szkoły dużymi saniami z zaprzężonym koniem. To dla nas była wielka frajda.

Wiosna była wcześnie. W marcu już biegaliśmy boso koło domu (do kościoła i szkoły oczywiście w butach). Mieliśmy też obowiązki w domu. Do nas należało pasienie krów, przez co zawsze się kłóciliśmy, kto ma dzisiaj paść. Zwłaszcza w niedzielę nie lubiliśmy tego zajęcia. Pomagałyśmy z siostrą w pracach polowych przy zbieraniu truskawek, a później przy wykopkach zbieraliśmy ziemniaki i buraki. Wiosną, gdy wszystko się zazieleniło, chodziliśmy do lasku zbierać trawę dla krów. Nosiło się ją w takich dużych koszach. Krowy tę trawę bardzo lubiły i dawały po niej dobre mleko. Gdy byliśmy jeszcze mali, opiekowała się nami taka obca „babcia", która nie miała żadnej rodziny i gdzie były małe dzieci, to się nimi zajmowała. Pole i łąkę mieliśmy w kilku różnych miejscach, oddalonych od domu dużych trzy kilometry. Jak rodzice szli do pracy w polu, to my zostawaliśmy pod opieką „babci Małgorzaty".

Tak było do roku 1937. W tym właśnie roku skończyłam szkołę podstawową, kiedy zmarła nam mama. Miała tylko 52 lata. Chorowała na nerki i astmę. Nie była leczona, bo rolnicy nie byli ubezpieczeni, a prywatnie nie było ich na to stać. W naszej wiosce był lekarz, ale leczył tylko prywatnie. Ze śmiercią mamy nasze życie beztroskie się skończyło. Najstarsza z nas miała 16 lat, ja miałam 13, brat – 12, a najmłodsza siostra – 10. I tak zostaliśmy wszyscy osieroceni.

Maria Kozula (z d. Radoszek)

P.S.

Ta historia ma jednak optymistyczne zakończenie, ponieważ cała czwórka rodzeństwa dożyła XXI wieku, a dwójka (moja babcia i jej siostra Teresa) żyje nadal. Wszystkie dzieci pozakładały rodziny i jakoś poukładały sobie życie chociaż były sierotami i znikąd nie miały wsparcia, zwłaszcza w czasie wojny. Los jednak czasami bywa sprawiedliwy. Ciężkie dzieciństwo los wynagrodził długowiecznością.

Aleksandra Erbert – wnuczka Marii Kozuli



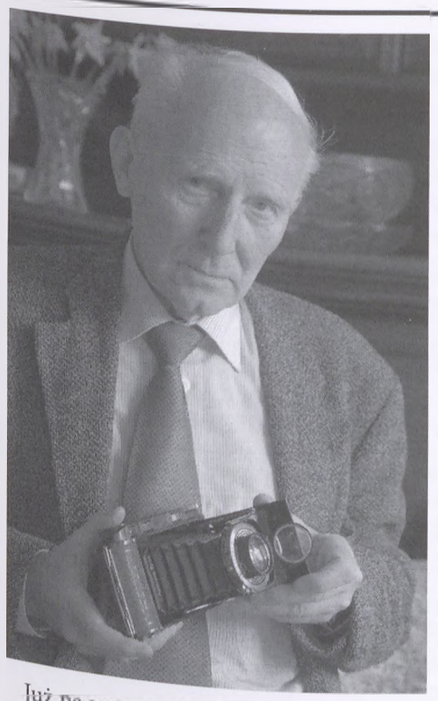
Od lewej: Maria Kozula (Radoszek), syn Bolesław, Anna i mąż Karol z Królina k/Lwowa



Maria Kozula z najmłodszym prawnukiem Szymusiem



Dom rodzinny Marii Kozuli w Mogile z 1876 r., przy obecnej ul. Stare Wiślisko 67



Wspomnienia Stefana Tejkowskiego

Wspomnienia, którym zachęcony do ich napisania mógłbym dać tytuł: „MOGIŁA MOJEGO DZIECIŃSTWA" lub „MOJE DZIECIŃSTWO W MOGILE" mają pewną specyfikę, bo dotyczą Mogiły w okresie wojny widzianej oczyma dorastającego i dojrzewającego dziecka. A więc z jednej strony wojna, która wprowadziła zasadnicze zmiany w strukturze społecznej i w codziennym życiu, z drugiej ogląd tej sytuacji oczyma dziecka w okresie 10-15 lat, oczyma bardziej spostrzegawczymi i umysłem bardziej wrażliwym, łatwiej utrwalającym spostrzeżenia i przeżycia. A poza tym jest to ogląd z zewnątrz, nie pochodzę bowiem z Mogiły, nie mam tu swoich korzeni.

Do Mogiły przyjechali moi rodzice Roman i Zofia Tejkowscy z pięciorgiem dzieci (Henryka, Stefan, Bernard, Barbara i Jerzy w wieku 13 lat – 1 rok) jako wysiedleni przez Niemców z Kruszwicy nad Gopłem. W Mogile i przed nami i po nas znalazło się kilka takich rodzin, w tym dwóch polskich policjantów: Cichy z Poznania z dwoma synami i Podsiadło z Dąbrowy Górniczej z dwiema córkami.

Już na wstępie chcę powiedzieć, że wszyscy nowo przybyli mieszkańcy spotkali się tu z gościnnością i życzliwością co łagodziło ich ciężki los. Przyjeżdżało się tylko z osobistym bagażem, bez żadnego dobytku, trzeba się było urządzać od nowa. Nie było trudności z wynajęciem pokoi czy mieszkań w chatach i domach mogilskich. Dość szybko wszyscy się zaadaptowali w nowych warunkach, z biegiem czasu powstały kręgi towarzyskie w różnych układach. Szczególnie łatwo poszło nam młodzieży, gdzie i w szkole i poza nią zyskaliśmy szybko kolegów i przyjaciół, powstały grupy koleżeńskie, towarzysko-zabawowe.

Po początkowym okresie tęsknoty za swoimi stronami i adaptacji, poczuliśmy się dosłownie jak u siebie w domu. Była ciągła fluktuacja mieszkańców, bo do tych przybyszów dojeżdżali krewni i znajomi, doraźnie lub na stałe, uciekinierzy i wysiedleńcy z Wielkopolski, Pomorza i Śląska. Jedni drugim udzielali pomocy i wsparcia w miarę swoich możliwości i było w tym ogromne piękno w tamtych czasach. Dotyczyło to zresztą całego Generalnego Gubernatorstwa, gdzie nie było miasta czy wsi nawet małej, w których nagle zjawili się „obcy" – znajdowali mieszkania, pracę i ogólną życzliwość.

W 1942 roku opuścili Mogiłę na zarządzenie władz niemieckich Żydzi (było kilka rodzin), przenieśli się w rejon Wieliczki, gdzie była koncentracja i stamtąd byli rozsyłani do miejsc zagłady, aby dokonać swego tragicznego losu. Po wojnie odnalazł się tylko jeden z rodziny Finkelsteinów, właścicieli młyna, który paradoksalnie ocalał na terenie Niemiec, dokąd pojechał zaraz na początku okupacji zgłaszając się jako Polak na roboty. Tak więc zmieniła się dotychczasowa struktura społeczna, a nowi mieszkańcy poznawali się nawzajem i z miejscowymi także od strony obyczajowej i językowej, bo były pewne różnice.

Dla nas było to zupełne novum, bo znaleźliśmy się w nieznanym sobie dotąd środowisku wiejskim z całą jego specyfiką, różnorodnością i pięknem. Jeśli do tego dodać specyficzne mogilskie wydarzenia jak: odpust i uroczystości kościelne, które postaram się opisać, to były to dla nas młodych, zjawiska fascynujące, pobudzające wyobraźnie, kształtujące charaktery i postawy, co skutkowało później powstaniem silnych, trwałych przyjaźni i postaw życiowych.

Do Mogiły przybyliśmy we wrześniu 1940 roku na kilka dni przed odpustem (wysiedlenie odbyło się 2 września 1940 roku). Był więc klasztor i odpust pierwszym fascynującym przeżyciem. Wkrótce zacząłem chodzić do szkoły. Kierownik szkoły, pan Franciszek Romański okazał wielkie zrozumienie dla naszej sytuacji i przyjął mnie do 4 klasy, mimo, że miałem ukończone przed wojną 2 klasy szkoły powszechnej, a w czasie wojny w trzecim roku nauczania uczęszczałem do niemieckiej szkoły, w której dla dzieci polskich był tylko język niemiecki i arytmetyka – czyli miałem rok stracony. Następny piękny gest, to zgoda na to, abym zakończył naukę w szkole po 6 klasie, abym mógł zacząć naukę w Krakowie na tajnych kompletach w 1 klasie gimnazjum. Prowadził mnie jednak nadal w dzienniku w 7 klasie, osłaniając mnie w ten sposób , bo istniał obowiązek ukończenia szkoły 7 – klasowej.

Pewne zaległości, jakie miałem w 4 klasie, uzupełniłem na prywatnych lekcjach u pani Poli Marcinkówny, która w szkole była katechetką. Siostra jej, Zofia, była nauczycielką w klasach starszych, a wychowawczynią w mojej 4 klasie była pani Maria Knapik, przyjeżdżająca w Czyżyn. Nauka w szkole była wtedy ograniczona do języka polskiego, matematyki i przyrody. Była jednak religia, której uczył ksiądz Józef Zastawniak i pani Pola. Lekarzem w Mogile, zatrudnionym przez Ubezpieczalnię, był dr Józef Gawłowski, który pełnił swoje funkcje do końca okupacji. Także u niego w domu mieszkały 3 osoby z poza Mogiły – siostra i dwóch braci małżonki doktora, z których najmłodszy Kazik, kolega szkolny i towarzysz zabaw, to później znany dyrygent Kazimierz Kord.

Kościołem parafialnym był drewniany, zabytkowy Kościół pod wezwaniem św. Bartłomieja, w którym proboszczem był ksiądz Józef Zastawniak. Rolę wikarych pełnili początkowo ojcowie cystersi, kolejno: o. Robert, o.Gerard Matuła, a w ostatnim roku został przysłany już stały wikary z duchowieństwa diecezjalnego, ksiądz Jan Hojdys, który był także artystą malarzem. Ksiądz Zastawniak na przemian z aktualnym wikarym odprawiali co drugą niedzielę nabożeństwa w Czyżynach. Sprawy te są znane już z opisów w pierwszym albumie „CZAS ZATRZYMANY".

Od siebie dodam tylko, że ksiądz Zastawniak był bardzo otwarty na kontakty z ludźmi, prowadził w pewnym zakresie życie towarzyskie, goszcząc w niektórych domach (także u moich rodziców) lub przyjmując gości u siebie. No i może jeszcze to, że głosił piękne kazania i śpiewał naprawdę pięknym szkolonym głosem, a prefacja śpiewana na szczególnie uroczystych mszach była prawdziwym arcydziełem. W miesiącach wakacyjnych pojawiał się w Mogile w domu rodzinnym kleryk Kazimierz Suder, syn organisty, student seminarium krakowskiego (dużo później dowiedziano się, że kolega seminaryjny Karola Wojtyły) i uczestniczył w różnych nabożeństwach. Przychodzili też w czasie wakacji dwaj klerycy z Czyżyn; Tyrka i Anatol Boczek, także uczestnicząc w różnych uroczystościach. Opiekowali się kółkiem ministrantów, któremu nadali formy organizacyjne mianując mnie jego prezesem. W klasztorze w chwili mojego przyjazdu do Mogiły było 8 księży. Byli to ojcowie Robert Kuhar – przeor, Teodor Starzyk, Celestyn Grzesiak (obaj już seniorzy nie pełniący żadnych funkcji), Augustyn Ciesielski, Gerard Matuła, Bernard Wąsowicz, Robert Cisek (Ciszek?) i Alfons Pławecki – podprzeor. Byli klerycy Eugeniusz Bednarski, Placyk Pestka, Teobald Wojciechowski, Franciszek Różana, Józef Kapusta, Alberyk Siwek, Benedykt Matejkiewicz i Wincenty Ślęzak. Później przybyło jeszcze paru. Byli także bracia zakonni, ubrani w brązowe habity, którzy pełnili funkcje rzemieślnicze i usługowe jak: furtian, ogrodnik (Stanisław) zakrystian (Paschalis), stolarz, krawiec (Leon Zogata), Wojciech, Krystian i Ludwik. Klasztor pełnił bardzo ważne funkcje w zakresie udzielania pomocy osobom przyjezdnym. Ukrywali się w nim ludzie zagrożeni z konspiracji, co o. Przeor przypłacił własną wolnością wraz z innymi osobami. Ale był też nurt pomocy jawnej, oficjalnej. Kuria biskupia przysyłała tam na pobyt kleryków z ziem przyłączonych do Rzeszy, którzy kształcili się nadal w Krakowie i byli nawet stopniowo w Krakowie wyświęcani na księży. Przewinęli się wtedy przez klasztor klerycy z Wielkopolski: Stanisław Radziejewski, Włodzimierz Borhardt, Wincenty Grotkiewicz i Kądziołka.

Sytuacja tych kleryków była szczególnie ciężka ze względu na to, że byli oddzieleni od swoich rodzin pozostałych w Rzeszy. Szybko znaleźli oni drogę do naszego domu, dowiedziawszy się, że pochodzimy także z Wielkopolski, byli otoczeni przyjaźnią gościną i pomocą i wszyscy po święceniach mieli urządzone przyjęcie prymicyjne. Klerycy cystersi Pestka i Wojciechowski pochodzący z okolic Inowrocławia w pobliżu Kruszwicy złożyli nam kruszwiczanom wizytę już w miesiąc po naszym przyjeździe – byliśmy dla nich jakby rodziną, gościliśmy, wspieraliśmy i także mieli urządzone prymicje. To jest właśnie przykład, jak ludzie wtedy się szukali, lgnęli do siebie i wzajemnie wspierali. Postawa ta wobec księży dotyczy także kilku innych rodzin.

Po przyjeździe do Mogiły zwiedzaliśmy wszystkie jej zakątki często bywając na Kopcu Wandy, który był przyjemnym miejscem spacerów. Wkrótce uświadomiliśmy sobie, że przydarzyło nam się dziwnym trafem coś zastanawiającego. Otóż z Kruszwicy uważanej za legendarną kolebkę Polski, gdzie żyliśmy legendą o Kołodzieju Piaście, przepędzono nas do Mogiły, gdzie była mogiła Wandy, legendarnej królewny, co nie chciała Niemca. A więc znów pradzieje polskiego państwa. A państwo to prawdziwe właśnie straciliśmy, co powodowało ogromny żal i sprzeciw. Tak myślała wtedy cała młodzież, rychło angażując się w różnoraką konspiracyjną działalność, co dotyczyło także moich starszych kolegów. To temat osobny wart opracowania. Jakąś rolę kierowniczą odgrywał w tym o. Teobald Wojciechowski oraz Włodzimierz Lelito, brat właściciela młyna Franciszka Lelity, ale na ten temat się tylko coś słyszało, no bo konspiracja, więc nie zabieram głosu.

Chciałbym tylko sprostować nieścisłości zawarte w jednej z relacji w pierwszym albumie i uzupełnić informacje. Były w Mogile 4 młyny. Dwa zostały szeroko opisane. To młyny pp. Klęków i Chwastków. Obydwa były napędzane wodą i każdy posiadał olbrzymie koło drewniane, na które z wysoka padał wielki strumień wody wprowadzając je w ruch, który za pomocą transmisji był przenoszony na maszyny młyńskie. Następne młyny

były też napędzane wodą ale miały już nowocześniejszy napęd za pomocą turbin wodnych. Dla napędu tych czterech młynów wykopano jeszcze w XIX wieku 2 koryta rzeczne z Krzesławic do Mogiły, do których skierowano część wody z rzeki Dłubni płynącej z północy przez Krzesławice i Mogiłę do Wisły – tworząc w ten sposób dwie rzeki młynówki. Zaczynało się to na jazie w Krzesławicach, który rozdzielał wodę do obu koryt. Jedna młynówka płynęła po zachodniej stronie Dłubni, wzdłuż drogi będącej obecnie ulicą Klasztorną w miejscu, gdzie teraz lewy chodnik idąc w kierunku klasztoru tak, że domy po tej stronie były za rzeką. Wpływała dalej na teren ogrodu klasztornego tuż za murem i płynęła wprost do młyna Chwastka. Stamtąd skręcała na drugi dziedziniec klasztorny i płynąc zabudowana pod nim i Pałacem opackim wypływała za Pałacem i znów wzdłuż drogi lewą stroną płynęła do młyna Lelity i stamtąd już kierowała się w stronę końcowego odcinka Dłubni. Druga młynówka płynęła po wschodniej stronie Dłubni, napędzając młyn Klęków przy drodze wylotowej z Mogiły do Pleszowa (nie ma już nawet tego miejsca, gdzie był młyn, po pracach niwelacyjnych związanych z budową linii tramwajowej) i stamtąd płynęła dalej na południe do młyna stojącego na terenie starej Mogiły nazywanego popularnie „gwoździarnią" bo była tam podobno przedtem fabryka gwoździ. Dalej płynęła już w kierunku Dłubni, gdzie w pobliżu Wisły do niej wpływała. Tak Dłubnia odzyskiwała wodę, którą toczyła dalej do Wisły.

Jak w wielu domach – o czym była już mowa – w domu przy młynie Franciszka Lelity znaleźli gościnę na czas wojny członkowie jego rodziny, a więc wspomniany już Włodzimierz Lelito i 3 siostry z mężami, którzy nie mieszkali tam stale zajmując się różnymi sprawami, w tym także konspiracyjnymi. Jeden z nich to Józef Siemek – działacz PPS a po wojnie znany działacz partyjny. Drugi (mąż Zofii) to major Witalis Marczyński, oficer Zbrojnego Pogotowia Narodu (podporządkowanego Armii Krajowej) – pseudonim „Gustaw", który stale przebywał w Warszawie i czasowo w Mogile odwiedzając żonę. Pewnego razu w 1943 roku pojechał do Warszawy i wszelki ślad po nim zaginął. Dopiero znacznie później wiadomo było, że został aresztowany i w śledztwie gestapo zamęczony na śmierć (wiadomość tę zaczerpnąłem z książki „Cena wolności" Tadeusza Fedorowicza, współtowarzysza walki Marczyńskiego, który to szczegółowo opisał). Młyn wodno-parowy zwany „gwoździarnią" był największy. 3-kondygnacyjny, przed wojną własność żydowska, zaraz na początku został przejęty pod zarząd niemiecki. Odbywały się w nim przemiały zboża, które chłopi przywozili jako obowiązkowe dostawy, ale młyn także pracował dla administracji niemieckiej i wojska. Administracyjno-techniczne kierowanie młynem należało do Polaków, którzy w miarę możliwości wspierali potrzebujących spośród polskiej ludności mąką i grysikiem, które były wtedy niedostępnym rarytasem. Pomoc dotyczyła przede wszystkim nauczycieli, urzędników, polskich policjantów, którzy w zakresie zarobków i zaopatrzenia dzielili los całego społeczeństwa. Korzystali z niej także Żydzi dopóki mieszkali w Mogile, szczególnie byli właściciele, z których jeden parokrotnie przybywał nawet z krakowskiego getta dość bezpiecznie, bo w asyście przekupionego uzbrojonego funkcjonariusza policji niemieckiej. Załatwiali tam, też oczywiście nielegalnie, swoje sprawy chłopi, którzy zmuszani do drakońskich kontyngentów, czyli odstawiania zboża i mięsa musieli w ten sposób „kombinować", aby samemu jakoś wyżyć. A było bardzo ciężko, żyło się tylko z przydziałów na zakup czarnego okropnego chleba, realizując je w piekarni w Bieńczycach.

Młodzież chodziła do szkoły, a po ukończeniu 7 klas na ogół nie miała nic do roboty poza pracą w gospodarstwie lub jakimś zatrudnieniem płatnym. Niektórzy starsi pracowali na przykład w Zakładach Tytoniowych, czyli jak popularnie mówiono w monopolu w Czyżynach. Nieliczni jeździli do Krakowa do szkół zawodowych – były takie dwie popularnie nazywane handlówką i przemysłówką. W szkole w Mogile funkcjonowała szkoła rolnicza. Jeszcze mniej liczni uczestniczyli w kompletach tajnego nauczania. W tych celach jeździło się pociągiem tak zwaną „mogiłką" z Mogiły lub „kocmyrzówką", do której trzeba było iść do Czyżyn. Była linia kolejowa Kraków – Kocmyrzów przez Czyżyny, Bieńczyce, Grębałów. W drugiej połowie okupacji jeździła tylko ze stacji Kraków – Grzegórzki Grzegórzki w pobliżu ulicy Starowiślnej przy Wiśle. Z Czyżyn biegła odnoga toru do Mogiły. Było to wielkie udogodnienie, pozwalające łatwo jeździć do Krakowa młodzieży uczącej się i pracującej, licznym kobietom jeżdżącym do Krakowa z mlekiem i nabiałem z charakterystycznymi białymi tobołami na plecach, innym wreszcie ludziom docierającym do pociągu z Pleszowa i z dalsza. Obydwa pociągi były zawsze pełne pasażerów.

Młodzież poza nauką czy pracą zajmowała się grami sportowymi, popularna była siatkówka i piłka nożna, jazda na rowerach, kąpiele w stawach rybnych lub w Wiśle, spacerami, zabawą i grą na instrumentach. W kręgu, w którym ja się znajdowałem były także spotkania towarzysko-zabawowe, znane potem jako tzw. prywatki.

Nie można pominąć w opisie szopki bożonarodzeniowej, z którą zetknąłem się tu z zachwytem. W święta chodzili chłopcy z szopkami w stylu krakowskim, oświetlonymi, które pokazywali z zewnątrz przez okno śpiewając kolędy. Ale była też szopka budowana przez Jurka Lelitę z młyna, co roku inna, nowa, wykonana artystycznie, bo był Jurek duszą artystyczną. Grał pięknie na akordeonie, malował obrazy, a po wojnie ukończył

w Krakowie Akademię Sztuk Pięknych i był artystą malarzem w Krakowie. W Mogile wojennej był naturalnym przywódcą grupy koleżeńskiej, w której i ja uczestniczyłem. Stworzył wtedy szopkę na wzór tradycyjnych szopek krakowskich z ruchomymi lalkami, których był animatorem i z zespołem jasełkowym. Chodził zespół po tzw. znaczniejszych domach, wcześniej umówiony i dawał przedstawienie jasełek opartych na tekstach z „Betlejem Polskiego" Lucjana Rydla. Część scen wykonywały pięknie wykonane lalki, część wykonywał zespół. Towarzyszyła temu muzyka wykonywana na akordeonie i skrzypcach. Szopka dawała dużo radości oglądającym ją, dawała nie tylko rozrywkę, której w tamtym czasie bardzo brakowało, ale kultywowała także tradycje żywe w społeczeństwie polskim, co miało duże znaczenie. Chcę więc utrwalić tu pamięć o tych dzielnych chłopcach przez ich wymienienie. Byli to: Jerzy Lelito, Kazimierz Cebula, Alojzy Tesarz, Bernard Cichy (poznaniak), Jan Radoszek, Władysław Rudzki – tyle aktualnie pamiętam. Z tej grupy czterech już odeszło. Wszystkie opisane zdarzenia wpisywały się żywo w wyobraźnię i pamięć, stanowiły dla mnie, młodego mieszczucha, zespół nowych doświadczeń płynących z innych niż dotąd warunków – warunków wiejskich. Były to często sprawy fascynujące dla młodego umysłu. Wszystko to składało się na codzienne bieżące życie w jego różnych barwach. Były też różne smutki i lęki związane z rozmaitymi sytuacjami, które się widziało, lub o których się słyszało. Ginęli ludzie. Różnobarwne życie toczyło się w atmosferze ustawicznego zagrożenia. A Mogiła była nieustannie gościnna. Przyjęła serdecznie dużą grupę ludności warszawskiej, która przybyła tu jesienią 1944 roku po Powstaniu Warszawskim. To jeszcze jeden obraz codziennego życia Mogiły. A życie religijne? Mimo stosowanego przez Niemców powszechnie terroru i działań eksterminacyjnych w stosunku do całego narodu polskiego, szczególnie przedstawicieli inteligencji i księży, którzy nie mieli żadnych szczególnych względów, życie religijne, w tym praktyki religijne, toczyły się we względnie swobodny sposób. Mowa o Generalnym Gubernatorstwie, gdzie na początku uregulowano pewne sprawy poprzez zniesienie pewnych świąt, zakaz śpiewania pieśni „Boże coś Polskę", ale także „Serdeczna Matko" śpiewanej na tę samą melodię, zakaz śpiewania w litanii do Matki Boskiej ostatniego wezwania „Królowo Korony Polskiej" i zakaz jakichś innych stosunkowo drobnych rzeczy. Nie odprawiało się pasterek, bo obowiązywała godzina policyjna, nie odbywały się procesje Bożego Ciała na ulicach, czy też jakieś szczególnie ważne nabożeństwa. Zapewne w różnych miejscowościach istniały jakieś specjalne przepisy regulujące te sprawy, wydawane przez miejscowe władze. Ale mowa o Mogile. Tu w obydwu Kościołach odbywały się codzienne i niedzielne msze święte i inne nabożeństwa według podziału ról. Dwa kościoły ściśle współpracowały ze sobą dzieląc między siebie obowiązki i dając w ten sposób mieszkańcom możliwość wyboru co do czasu i miejsca uczestniczenia w nabożeństwach. A potrzeby były duże, bo do kościołów mogilskich przychodzili wierni z Bieńczyc, Krzesławic, Łęgu i okolicznościowo także z Czyżyn, mimo że był tam kościół, ale niejako filialny, więc nie był czynny w pełnym zakresie. Pogrzeby z Czyżyn odbywały się na cmentarzu w Mogile. Podział czynności obu kościołów polegał na tym, że w kościele parafialnym odbywały się w niedzielę dwie msze święte tzw. ranna o godz. 8.00 i suma o 11.00, a popołudniu nieszpory lub w okresie postu Gorzkie Żale. W maju nabożeństwa majowe pełne ogromnego uroku, gdzie litanię śpiewano na cztery różne melodie zmieniane w jednym roku co dzień, w innym co tydzień. Kościół wypełniony całkowicie, ze szczególnym udziałem dzieci i młodzieży. W czerwcu odbywały się nabożeństwa czerwcowe. Poza tym do parafii z urzędu należały chrzty, śluby i pogrzeby. W kościele klasztornym w niedziele odprawiano trzy msze święte – ranną, czyli prymarię, wotywę (msza wotywna odprawiana w kaplicy Cudownego Pana Jezusa) o godz. 9.30 lub 10.00 i sumę o godz. 11.00. Suma w tamtych czasach była to msza święta bardziej uroczysta – główna msza niedzielna. Dziś ten podział już nie istnieje, a szkoda.

Ponadto w kościele klasztornym odbywały się według podziału nabożeństwa różańcowe w październiku i w Wielkim Poście w piątki Droga Krzyżowa. Wszystkie te nabożeństwa cieszyły się dużą frekwencją. W 1942 roku była Mogiła świadkiem dwóch ważnych i pięknych wydarzeń, jakich nie oglądała dawno, a w takim wymiarze być może nigdy. W niedzielę 28 czerwca 1942 roku odbyła się w kościele klasztornym uroczystość święceń kapłańskich. Święcenia kapłańskie przyjęło wtedy pięciu kleryków, dwóch ze Szczyrzyca i trzech z Mogiły. Z Mogiły byli to klerycy, którzy do nowicjatu wstąpili jeszcze przed wojną w 1936 roku – Eugeniusz Bednarski, Placyd Pestka i Teobald Wojciechowski. Oprócz nich kilku kleryków otrzymało niższe święcenia, pośród nich Stanisław Radziejewski z Krotoszyna, wojenny mieszkaniec klasztoru w Mogile, przygotowujący się tu i w Krakowie do stanu kapłańskiego. Święceń udzielał ksiądz biskup Stanisław Rospond, sufragan Kurii Krakowskiej w asyście licznego duchowieństwa miejscowego, przyjezdnego i przy udziale licznej rzeszy wiernych, wypełniających szczelnie duży kościół klasztorny. Kandydaci do święceń zostali procesjonalnie przyprowadzeni do kościoła z budynku dawnego opactwa, poprzedzani przez duchowieństwo i ministrantów. W tydzień później 5 lipca – następna piękna uroczystość – prymicje wyświęconych księży mogilskich. I znowu uroczyste wprowadzenie księży do kościoła, gdzie odprawili oni równocześnie trzy msze święte. Przy ołtarzu głównym celebrował uro-

czystą mszę świętą śpiewaną ojciec Placyd, ojcowie Eugeniusz i Teobald odprawiali jednocześnie msze św. ciche (był wtedy taki podział) przy ołtarzach bocznych, jeden przed Cudownym Wizerunkiem, drugi z prawej strony przed ołtarzem dziś już nieistniejącym, który znajdował się w prawym transepcie oparty o ścianę dzieląca kaplice bliźnie, wówczas zamknięte drewnianymi ścianami nieużywane dla celów kultu. W obydwu uroczystościach uczestniczyłem jako ministrant obserwując je z bliska. Obydwie były fotografowane przez pana Józefa Walę i brata Leona Zogatę, którzy fotografowali wtedy także inne uroczystości i zdarzenia. W jednej z cel klasztornych mieli urządzoną pracownię, gdzie sami wywoływali filmy zdjęcia i gdzie ja przy nich w wieku 12 lat nauczyłem się tej sztuki, bo sam już wówczas fotografowałem. Warto dodać, że brat Leon posiadał najnowocześniejszy wówczas aparat małoobrazkowy Leica, którym wykonał dosłownie setki zdjęć w różnych okolicznościach. Po zakończeniu wywoływania zdjęć z tych uroczystości na potrzeby różnych chętnych osób. dał mi dwa filmy leicowskie, już jemu nie potrzebne. W ten sposób mogłem po latach wywołać z nich zdjęcia a na nich różne sceny z obu uroczystości, a także piękne dziewczęta mogilskie w krakowskich strojach, które w uroczystościach uczestniczyły i potem do zdjęć pozowały. Filmy istnieją do dzisiaj, a zdjęcia warto by jeszcze komuś pokazać.

W rok później następna piękna i doniosła uroczystość. W niedzielę 20 czerwca 1943 roku nawiedził parafię w Mogile Arcybiskup Krakowski Książę Adam Stefan Sapieha. Taki nosił tytuł, przy czym warto może przypomnieć, że wtedy tytuł „książę" przysługiwał każdemu arcybiskupowi krakowskiemu w znaczeniu Książę Kościoła, ale arcybiskup Sapieha był arystokratą, księciem rodowym. Książę arcybiskup udzielił wtedy młodzieży z parafii mogilskiej sakramentu bierzmowania. Przyjąłem i ja wtedy ten sakrament, jednocześnie uczestnicząc w uroczystości jako ministrant. W uroczystości uczestniczył ksiądz Leon Katana z Ruszczy, który pełnił wtedy funkcję dziekana mogilskiego oraz księża i klerycy z klasztoru. Bierzmowanie odbyło się przy pięknej pogodzie na dziedzińcu przed kościołem parafialnym, przy licznym udziale wiernych. Także z tej uroczystości zachowało się u mnie kilka zdjęć.

Kolejna ważna uroczystość związana była z obchodem przez księdza Józefa Zastawniaka 25 lecia kapłaństwa. Rocznica przypadała na dzień 29 czerwca 1944 roku, w święto św. Piotra i Pawła. Był to jednak dzień powszedni, bo święto to wraz z kilkoma innymi było przez okupantów zniesione, więc uroczystość odbyła się w niedzielę albo poprzedzającą – 25 czerwca, albo następującą – 2 lipca, czego już nie pamiętam. Oprócz uroczystej mszy świętej było na dziedzińcu przed kościołem spotkanie z parafianami licznie zebranymi, których przedstawiciele złożyli księdzu życzenia i w darze wręczyli kielich i mszał. Jest to zobrazowane na jednym zdjęciu, które posiadam. Warto jeszcze przypomnieć może inne wydarzenie o innym charakterze, ale także związane z obrządkami religijnymi jakże różnymi od powszechnie znanych i kultywowanych. W kwietniu 1944 roku odbył się w Mogile pogrzeb mieszkańca Krakowa Mirosława Hrehorowicza, spowinowaconego przez małżeństwo z rodziną Marcinków i dlatego chowanego w ich grobowcu rodzinnym. Zmarły był wyznania grecko-katolickiego, więc mszę św. w tym obrządku odprawił w kościele parafialnym ksiądz grecko-katolicki z Krakowa, a potem kondukt pogrzebowy z kościoła na cmentarz prowadzili wspólnie tenże ksiądz i ksiądz Józef Zastawniak, śpiewając na przemian stosowne pieśni w języku łacińskim i chyba starocerkiewno-słowiańskim. Dla licznie zebranych uczestników było to coś nowego, w pewnym sensie poznawczego, mającego charakter ekumeniczny. Pogrzeby, chrzty i śluby odbywały się normalnie jak zawsze, tym ostatnim towarzyszyły uczty i obrzędy weselne z orkiestrą, śpiewami i wesołością. Ludzie próbowali żyć normalnie w tym nienormalnym czasie. Przybywało małżeństw, rodziły się dzieci. Powszechna była wiara w to, że Niemcy wojnę przegrają i odrodzi się Polska.

Nie sposób nie wyrazić przeświadczenia, że opisane tutaj wielkie zgromadzenia ludzi mające charakter religijny, z udziałem cieszących się autorytetem księży, a zwłaszcza biskupów, miały jednocześnie charakter patriotyczny, polski, mocno integrujący społeczeństwo pozbawione jawnego kierownictwa. Był to czas, kiedy istniał zakaz jakichkolwiek zgromadzeń, stąd tak wielka ich rola. Tę samą rolę odgrywały uroczystości odpustowe w Mogile, w których ze względu na czas trwania przez 8 dni i zasięg terytorialny, skąd przybywali ludzie, sięgający daleko poza Mogiłę i Kraków nawet, uczestniczyły tysiące ludzi. Przez cały tydzień ze szczególnym nasileniem w niedzielę w środku oktawy a czasem były to dwie niedziele 14 i 21 września wchodzące w oktawę, przybywały liczne kilkudziesięcioosobowe pielgrzymki ze śpiewem na ustach, ciągnąc dzisiejszą ulicą Klasztorną do Kościoła na nabożeństwa odbywające się jak i obecnie przez cały dzień. Razem z miejscową i z najbliższych miejscowości ludnością tworzyli gęsty tłum na ulicy i w pobliżu Kościoła, rozmodlony i rozśpiewany, a potem wracając rozbawiony i wesoły zatrzymujący się przy licznych po obu stronach drogi rozstawionych kramach, w których znajdowało się wszystko jak w piosence o kolorowych jarmarkach, pierzastych kogucikach i balonikach na druciku. Były stoiska, przy których można się było posilić, gry zręcznościowe, gry 3 w karty lub 3 kostki, oszukańcze, nielegalne przeganiane przez policjantów polskich z pobliskiego posterunku. Odpust to uroczystość kościelna ale zawsze i wszędzie towarzyszy jej ta część świecka, uliczna, także odpustem nazywana. W Mogile, ze względu na czas trwania i masy ludzkie w niej uczestniczące, przybierała charakter ludyczny, zabawowy, była czymś w rodza-

ju festynu ludowego. Czekano na odpust. Zabawowego charakteru przydawały jej 4 karuzele. Dwie to „koniki", jedną napędzał koń biegający wewnątrz jak w kieracie, drugą popychali chłopcy. Dwie były huśtawkowe, jedna też pchana, a druga motorowa napędzana głośnym i dymiącym silnikiem samochodowym.

Ta była główną atrakcją młodzieży starszej, która wyprawiała na niej różne harce wprowadzając siedzenia w dodatkowy ruch huśtawkowy. Towarzyszyły temu piski dziewcząt, śmiech i wesołość. Karuzela ta była czynna na co dzień do późnego wieczora, gdy było już ciemno. A przy każdej z nich 2-3 osobowy zespół grający, taka typowa kapela oparta na rytmie bębna i różnych instrumentach, jak harmonia trąbka, klarnet, czy skrzypce. Na jednej z karuzel grała piękne wiedeńskie walce katarynka wielkości małej szafy, którą napędzało się kręcąc oburącz duże koło z korbą. Może trochę przydługi ten opis, ale jak zrozumieć tę specyficzność ówczesnego mogilskiego odpustu w porównaniu z obecnym, gdzie niby jest tak samo, ale jakże inaczej. Odpust mogilski zarówno w kościelnej jak i świeckiej warstwie pełnił w ogromnym stopniu rolę integrującą społeczeństwo.

Czas wojny był to czas, w którym ludzie przemieszczali się często szukając dogodniejszych czy bezpieczniejszych warunków bytowania, bądź ukrywali się zagrożeni aresztowaniem. Był więc pewien ruch i pewne zmiany wśród mieszkańców różnych miejscowości. Dotyczyło to także Mogiły, która dla wielu stała się azylem – o czym wspomniałem wyżej. Jedni przybywali, drudzy odchodzili. Odejścia były różne. Były przeprowadzki do innych miejscowości, były uliczne łapanki w celu wywiezienia do Niemiec, do niewolniczej pracy, były aresztowania niosące w sobie możliwość śmierci w gestapowskim śledztwie czy publicznej egzekucji lub umieszczenie w obozie koncentracyjnym, gdzie także można było zginąć lub przeżyć, teoretycznie z możliwością powrotu. Były odejścia do oddziałów partyzanckich, popularnie mówiło się „do lasu". Tu także możliwość śmierci lub przeżycia i powrotu . Wiele niewiadomych w atmosferze ustawicznego zagrożenia. Były także odejścia z Mogiły. 1 lipca 1943 roku zostali w klasztorze aresztowani przeor o. Robert Kuhar, kleryk Wincenty Ślęzak i brat Wojciech. Ten ostatni schorowany i słaby po przebytej niedawno operacji brzusznej zmarł wkrótce w Oświęcimiu. O. Robert Kuhar i Wincenty Ślęzak, po pobycie w obozach w Oświęcimiu i w Dachau, szczęśliwie wrócili do Mogiły akurat w czasie odpustu – 21 września 1945 roku. Po aresztowaniu o. przeora kilku księży, którzy czuli się zagrożeni, wyjechało z Mogiły. Wyjechał wtedy członek i kapelan AK o. Teobald Wojciechowski., który zamieszkał w Krakowie, gdzie nadal działał w konspiracji a oficjalnie pracował w jakiejś szkole. Wkrótce został aresztowany i po kilkumiesięcznym pobycie na Montelupich i ciężkim śledztwie został wysłany do obozu w Gross-Rosen. Przeżył, po oswobodzeniu pojechał do Włoch do armii gen. Andersa, z którą potem przeszedł do Anglii. Po rozwiązaniu w Anglii polskiego wojska wyjechał do USA, gdzie pracował w kilku polskich parafiach, ostatnio w Teksasie (informacja z osobistej korespondencji, jaką prowadziłem z o. Teobaldem po wojnie). Zmarł w połowie lat osiemdziesiątych ub. wieku. W lecie 1944 roku aresztowano w Mogile pana Józefa Staszyszyna. Niedługo potem 17 lipca 1944 roku został rozstrzelany w jednej z publicznych egzekucji. W dniu 6 października 1943 roku kleryk Franciszek Różana, członek AK, podczas pobytu w domu rodzinnym w okolicy Szczyrzyca został zastrzelony przez Niemców.

Jesienią 1944 roku wyjechali z Mogiły skierowani do oddziału partyzanckiego dwaj 22-letni członkowie AK Henryk Mars – członek znanej rodziny mogilskiej i Bolesław Wala, syn komendanta posterunku polskiej policji w Mogile. W dniu 23 listopada 1944 roku w Rajbrocie koło Bochni zginęli obaj wraz z kilkoma kolegami po krótkiej walce, kiedy Niemcy w nocy otoczyli dom, w którym grupa kwaterowała. Pochowano wszystkich w dole koło drogi. W Mogile nic o tym nie wiedziano i kiedy skończyła się wojna rodziny oczekiwały ich powrotu do domu. Kiedy powrót nie nastąpił, zaczęto poszukiwania, które po dłuższym czasie doprowadziły do ustalenia prawdy. W styczniu 1946 roku dokonano ekshumacji i ciała obu partyzantów przewieziono do Mogiły. W pogodnym mroźnym dniu 19 stycznia, który przypadał w sobotę, odbył się uroczysty pogrzeb. Trumny z ciałami zostały wystawione w domach mieszkalnych każdego nich, skąd dwa kondukty przeprowadziły ich do kościoła. Po mszy świętej ruszył kondukt z dwiema trumnami na cmentarz. Spoczęli we wspólnej mogile. Uczestniczyłem w pogrzebie przyjeżdżając z Krakowa, dokąd rodzina moja przeprowadziła się wkrótce po przepędzeniu Niemców i gdzie zacząłem naukę w 2 klasie I Gimnazjum i Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego. Pogrzeb ten był dla mnie ostatnim wydarzeniem związanym z Mogiłą okresu wojennego. Ale nie był moim ostatnim z Mogiłą kontaktem. Po wojnie rozwinęły się nowe kontakty z Mogiłą, w której się głęboko zakorzeniłem i sentymentalnie związałem. Wszak tu rosłem i kształtowałem się osobowościowo w najważniejszym dla rozwoju psychicznego wieku w przedziale 10-15 lat. Tu się ukształtowałem religijnie i patriotycznie, a wszystkie doświadczenia zapisały się głęboko, mocno i trwale w mojej pamięci. A czas wojny i te specyficzne warunki, jakie wówczas istniały sprawiał, że dojrzewało się szybciej i intensywniej. Wspomnienia wszystkiego, co przeżyłem w Mogile, a co oceniam jako przyjemne, wartościowe i ważne dopełniają obrazu. I rzecz dziwna – zapuściłem tu korzenie, bez których tu przyjechałem. I okazało się, że w tym sensie nigdy z Mogiły nie wyjechałem, a fizycznie bywam w niej nadal. Zacząłem do Mogiły wracać. Pierwszy raz w Wielką Sobotę 31 marca 1945 roku, kiedy to poszedłem pie-

szo z Krakowa do Mogiły (komunikacja kolejowa była jeszcze nie unormowana) do „swojego" kościoła, aby jako ministrant uczestniczyć w uroczystościach wielkosobotnich, które według dawnego obrządku odbywały się rano. Pamiętam podziw, a może tylko zdziwienie księdza Zastawnika, gdy mnie zobaczył – „jaki gorliwy ministrant". Potem przyjechałem na odpust we wrześniu 1945 roku i odtąd bywałem tu co roku na odpuście nie opuszczając dotąd ani jednego. Początkowo przyjeżdżałem sam, spotykając się przygodnie z kolegami i znajomymi. Przyjeżdżałem z Krakowa, z Gdańska, gdzie studiowałem i z innych miejscowości, gdzie później pracowałem. W 1968 roku zainicjowałem spotkania koleżeńskie na odpuście w Mogile, które odbywają się rokrocznie w odpustową niedzielę. Powstał pewien schemat tych spotkań. Zbiórka o godz. 10.00 na cmentarzu przy grobie Henryka Marsa i Bolesława Wali, gdzie modlitwa, kwiaty i znicze, stamtąd spacer na odpust i do klasztoru, a potem posiedzenie koleżeńskie w domu uczestników spotkania z terenu Mogiły czy szerzej Nowej Huty, bo były też Krzesławice i Grębałów. Spotkania początkowo kilkuosobowe dotyczące ścisłego kręgu koleżeńskiego lat wojny, w miarę upływu lat rozrastały się liczebnie o nowych uczestników, którzy nas „odkrywali" lub których my po latach odnajdywaliśmy. W szczególności dotyczy to rodziny Marsów, którzy zauważyli, że coś się dzieje koło „ich" grobu i się tym zainteresowali. W 1972 roku pojawili się senior Jan Mars i 4 siostry z współmałżonkami, dziećmi i wnukami. Ci ostatni powiedzieli potem, że bardzo lubili te spotkania, w czasie których z zainteresowaniem słuchali naszych opowiadań i wspomnień dla nich będących już tylko historią. Na dzień 24 listopada 1974 roku (niedziela) wyznaczyliśmy sobie spotkanie w Rajbrocie w miejscu śmierci naszych kolegów – Marsa i Wali. Pojechaliśmy tam dużą grupą wynajętym autokarem, uczestniczyliśmy we wcześniej zamówionej mszy św., ksiądz wygłosił okolicznościowe kazanie, przypominające zarazem miejscowej ludności wydarzenia sprzed 30 lat (23 listopada 1944 r.). Potem udaliśmy się długim spacerem w górę, gdzie obejrzeliśmy miejsce tragedii, dom stojący w miejscu spalonego przez Niemców po akcji. Rozmawialiśmy z członkami rodziny dawnych gospodarzy, którzy opowiedzieli nam o tym zdarzeniu. Panowało wielkie skupienie i powaga. Coroczne spotkania mogilskie odbywają się nadal, coraz mniej liczne, ale zawsze około 10 osobowe. Wiele osób już odeszło na zawsze, inne powyjeżdżały.

Ja bywałem i bywam w Mogile częściej – kilka razy w roku. Zapytany, co spowodowało tak wielkie moje przywiązanie do Mogiły, nie umiem odpowiedzieć ściśle. To cały splot przyczynowo-skutkowy. To ciąg pięknych i ważnych zdarzeń oraz przeżyć, to życie pod urokiem legendy Wandy i Piasta, pod wpływem Krzyża mogilskiego, to zaistniałe przyjaźnie lat młodzieńczych mocne i trwałe, na które można było i można teraz liczyć, co zostało sprawdzone w licznych sytuacjach, kiedy była potrzebna jakaś pomoc, jakaś forma życzliwości. To patriotyzm, który się wtedy w nas rozwinął. Cenimy sobie tę wartość naszej koleżeńskiej grupy. W ten sposób Mogiła stała się jakby drugą moją rodzinną miejscowością. Zlały się w jedno; 10 lat Kruszwicy i 5 lat Mogiły. Jestem stamtąd. Dlatego spotkania mogilskie będą trwały nadal. Dokąd?

Kwiecień 2008 r. ***Stefan Tejkowski***



Spotkanie przyjaciół i znajomych dnia 17.09.1995 r. na cmentarzu w Mogile przy grobie Henryka Marsa i Bolesława Wali poległych w czasie II Wojny Światowej w walce partyzanckiej z Niemcami w Rajbrocie. Pierwszy z lewej Stefan Tejkowski.



Rodziny Tejkowskich, Lelitów i in., Mogiła, lata okupacji, fot. Stefan Tejkowski







„Gwoździarnia", młyn wodno-parowy, Deutsche Muhle Mogila Ignaz Kunz, Mogiła, lata okupacji, fot. Stefan Tejkowski

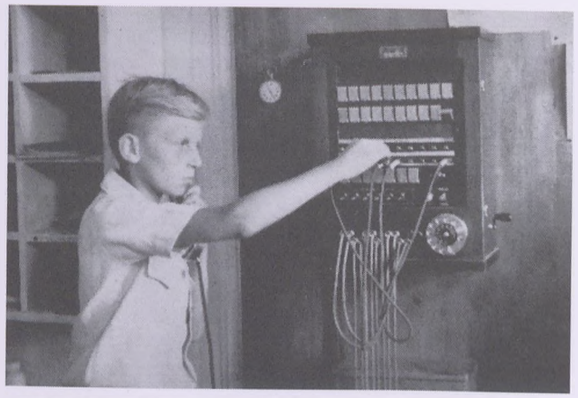






W głębi młyn, tzw. „Gwoździarnia", poniżej widok z jego okna, Mogiła, lata okupacji, fot. Stefan Tejkowski





Stefan Tejkowski przy centrali telefonicznej na poczcie w Mogile, lata okupacji





Stefan Tejkowski na poczcie w Mogile wraz z rodzicami: Zofią i Romanem, luty 1942 r.

Od lewej: O. Placyd Pestka, Bernard Cichy z Poznania, O. Teobald Wojciechowski, Stefan Tejkowski, Mogiła, lipiec 1941 r.



Przeprawa przez Wisłę w Mogile. Od lewej: O. Leon Zogata, pan Śmietana – przewoźnik, kleryk Franciszek Różana, Stefan Tejkowski, O. Teobald Wojciechowski, O. Placyd Pestka, 23 lipca 1941 r.



Kazimierz Cebula i Henryk Mars grają na zapleczu domu stojącego obok młyna Klęków, 1942 lub 43 rok, fot. Stefan Tejkowski



Dzieci w Mogile. Od lewej: Eugeniusz Śliwiński, Kazimiera, Władysław i Anna Szelągowie, czerwiec 1942 r., fot. brat Leon Zogata



Dziewczyny z Mogiły: Janina Rosołkówna i Florentyna Rażniakówna, czerwiec 1942 r.



Jerzy Lelito, syn Franciszka – młynarza, Mogiła, 4 czerwca 1944 r.



Bierzmowanie młodzieży w Mogile przez ks. arcybiskupa Adama Stefana Sapiehę, 20.06.1943 r., fot. brat Leon Zogata





Święcenia kapłańskie w Mogile z udziałem Ks. biskupa Stanisława Rosponda, opata zakonu OO. Cystersów Roberta Kuchara i ks. dziekana mogilskiego Leona Katany z Ruszczy, 28.06.1942 r., fot. brat Leon Zogata











Dzieci z VIII Klasowej Szkoły Powszechnej Publicznej im. Królewny Wandy w Mogile, lata okupacji, fot. Stefan Tejkowski



Gmina Mogiła w okresie II Wojny Światowej w latach 1939-45 w relacjach świadków

Wśród dokumentów dotyczących II Wojny Światowej, przechowywanych w zbiorach Archiwum Państwowego w Krakowie zachowały się ankiety opisujące politykę okupanta niemieckiego wobec ludności polskiej podczas II Wojny Światowej w latach 1939-45 wobec obywateli polskich. Ankiety opracowano odrębnie dla poszczególnych wiosek oraz zestawienia zbiorcze dla całych gmin powiatu krakowskiego. Ankiety przygotowane urzędowo według ustalonego wzoru zawierały zestaw pytań na temat form represji stosowanych przez okupanta i zniszczeń wojennych. W przyszłości miały stanowić podstawę do określenia szkód wojennych i odszkodowań. Na ogół wypełniali je mieszkańcy tych ankietowanych wiosek. Dla wsi Mogiła ankietę wypełnili: Władysław Kołodziejczyk, Walenty Rosołek i Franciszek Romański (lub Romaniuk), dyrektor szkoły w Mogile.

Artykuł został opracowany na podstawie ankiet sporządzonych dla wiosek w gminie Mogiła: Lubocza, Mogiła, Pleszów, Grębałów, Kantorowice, Krzesławice, Bieńczyce oraz Wolica i Kocmyrzów (gmina Ruszczą) i Batowice (gmina Węgrzce).

Ankiety są cennym źródłem szczegółowych informacji o przebiegu wojny w tak małych jednostkach administracyjnych jak wieś i gmina. Z uwagi na bardzo wysoki stopień spersonalizowania tych dokumentów i ustawę o ochronie danych osobowych nie publikuję imion i nazwisk osób, które ankiety obwiniają o współpracę z okupantem na szkodę narodu polskiego, ponieważ takie sprawy wymagają bardziej gruntownego zbadania.

Kampanię wojenną we wrześniu 1939 r. ankieterzy opisują krótko i nie podają wielu szczegółów, dlatego ponieważ działania wojenne na terenie gminy Mogiła były bardzo ograniczone, a wojska polskie nie stawiały w tym rejonie silnego oporu. W dniu 1 IX samoloty niemieckie zbombardowały most na rzece Wiśle w Mogile, teren między obecnymi łąkami nowohuckimi a zakładami tytoniowymi w Czyżynach oraz lotnisko w Czyżynach. Lotnicy niemieccy ostrzelali z karabinów maszynowych ludzi pracujących na łąkach. Do wsi Krzesławice i Batowice niemieckie oddziały wkroczyły w dniu 6 IX, natomiast podczas odwrotu wojska polskie wysadziły most na rzece Dłubni w Batowicach.

W czasie okupacji Niemcy zastosowali wobec miejscowej ludności surowe represje gospodarcze, fizyczne i psychiczne oraz represje przeciwko kulturze polskiej. Zmuszano ludzi do prac przy budowie fortyfikacji i umocnień, a za spóźnienia zamykano na kilka dni aresztu w bunkrze bez jedzenia. Każda gromada miała obowiązek wystawić po 10 zakładników na 10 dni na wypadek ataków partyzanckich lub innych działań ludności cywilnej na szkodę okupanta. Ankieter wyjaśnia, że ci zakładnicy mieli nocą pilnować wioski przed takimi czynami i odpowiadali za spokój. Po 10 dniach wioska musiała wystawić kolejną grupę zakładników.

W czasie okupacji w Mogile aresztowano 9 osób i wywieziono ich do obozu w Płaszowie. Wszystkich mieszkańców wiosek obowiązywały zasady zachowania się wobec Niemców: ustępowanie im miejsca na drodze i kłanianie się. Na linii kolejowej Kraków-Kocmyrzów kursował pociąg z osobnym wagonem tylko dla Niemców. W Bieńczycach rozstrzelano 3 ludzi za domniemany napad na funkcjonariusza policji granatowej. Powszechnie stosowano represje psychiczne mające na celu zastraszenie ludności polskiej. Grożono wywózką do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu za nie wypełnianie zarządzeń władz niemieckich.

Z wiosek wojsko niemieckie pobierało ogromne kontyngenty produktów rolnych, bydła, koni, trzody chlewnej i drobiu. Szkoły podstawowe na ogół nie funkcjonowały, ponieważ zostały zamienione na kwatery dla wojska lub magazyny, a nauczycieli zatrudniano zimą przy pracach podatkowych. Rozwiązywano i zamykano organizacje kulturalne i biblioteki.

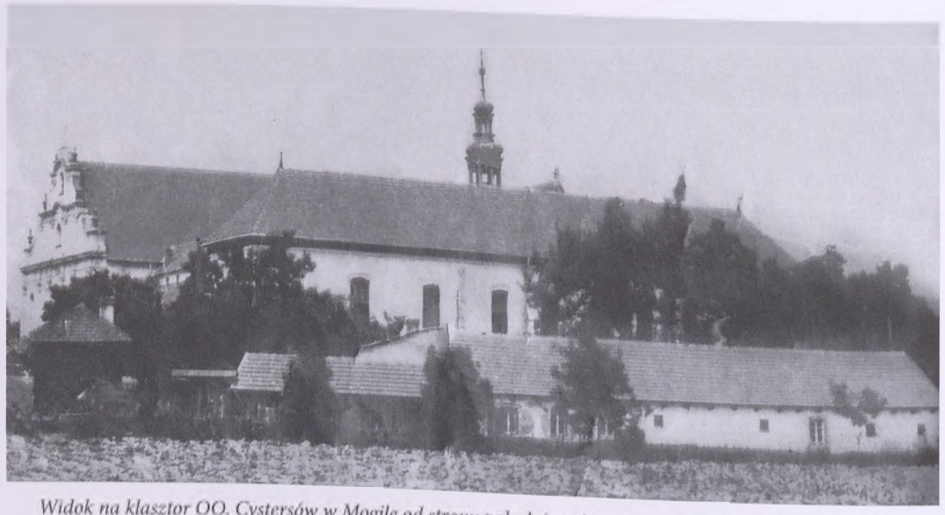
14 lutego 1944 r. Niemcy rozstrzelali na terenie Grębałowa 80 więźniów, których przywieźli 3 samochodami z Krakowa. Po wykonaniu egzekucji ciała rozstrzelanych zabrano.

W 1944 r. kiedy wojska sowieckie zbliżały się do powiatu krakowskiego, Niemcy przyspieszyli przygotowania obronne. Czynili to ze szkodą dla gospodarki rolnej i leśnej wiosek podkrakowskich. Wycinano drzewa owocowe w sadach, oraz niszczono pola uprawne, aby przygotować teren do budowy umocnień, rowów strzeleckich i artyleryjskich oraz budowę bunkrów. W Pleszowie Niemcy już w VII 1944 przystąpili do tych prac zmuszając do tego miejscową ludność. Na cmentarzu mogilskim wycięto ok. 130 drzew; w Bieńczycach zniszczono 25% obszaru sadów owocowych i przeznaczono na rowy strzeleckie oraz artyleryjskie. W Mogile wycięto 2 ha młodego lasu dębowego i jesionowego i zajęto kilkanaście morgów gruntu pod budowę bunkrów. Niemcy rozbudowali lotnisko w Czyżynach zalewając betonem spory obszar gruntu. Od 1944 r. przez tereny krakowskich

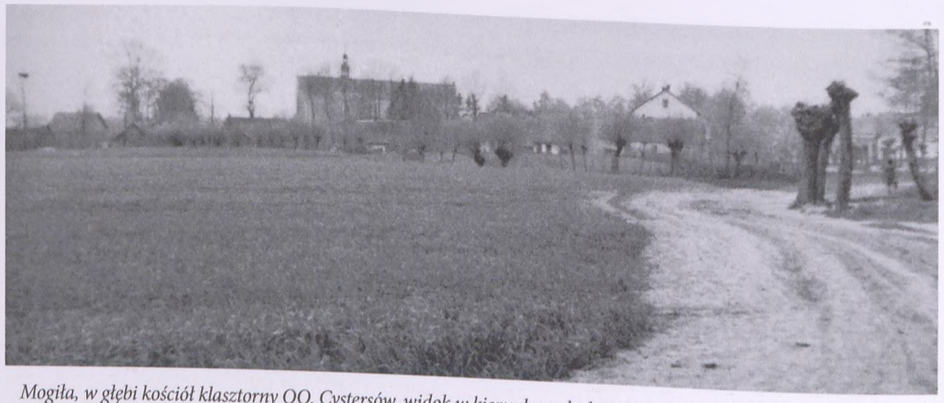
wiosek przemieszczały się liczne oddziały niemieckie, które wycofywały się przed nacierającą Armią Czerwoną. W dniu 20 III 1944 r. w Krzesławicach kwaterował oddział niemiecki – 3 podoficerów niemieckich i 15 Ukraińców, a 11 IV 1944 r. kwaterowała kompania techniczna kpt. Schmidta z Wiednia. Niemcy zajmowali na kwatery prawie wszystkie budynki we wsi. 16 i 17 I 1945 r. przez Krzesławice przeszły ostatnie niemieckie jednostki wojskowe. Rano w dniu 18 stycznia 1945 r. mieszkańców Krzesławic obudził ogień artylerii niemieckiej i piechoty w sile 60 żołnierzy uzbrojonych w granatniki. Po krótkim starciu Niemcy wycofali się w kierunku Mogiły pozostawiając na polu walki 26 poległych i dużo amunicji. W wyniku tego starcia zniszczeniu uległo kilka pobliskich domów. W Batowicach o godz. 6 rano miał miejsce nalot sowieckich samolotów, które uszkodziły tor kolejowy. Na ogół na terenie gminy Mogiła nie doszło do zaciętych, wyniszczających gospodarczo walk wojsk niemieckich i sowieckich. Niemcy z tego terenu wycofywali się w popłochu w kierunku Krakowa. Natomiast w Bibicach i Węgrzcach Niemcy postawili silny opór. Walki tu trwały 48 godzin i poległo w czasie ich trwania kilkudziesięciu Niemców i ok. 300 Rosjan oraz 42 miejscowych cywili. Zniszczeniu uległo ok. 40 budynków w Bibicach, Węgrzcach i w przysiółku Czekaj.

Po 17 stycznia 1945 r. walki toczyły się jeszcze w Trojanowicach, Zielonkach i Bosutowie. W Zastowie, Raciborowicach, Batowicach i Dziekanowicach miało miejsce głównie ostrzeliwanie artyleryjskie.

Oprac. Krzysztof Rosołek



Widok na klasztor OO. Cystersów w Mogile od strony południowej, na pierwszym planie fragment młyna i zabudowań folwarcznych, tzw. czworaków, lata 30. XX w.



Mogiła, w głębi kościół klasztorny OO. Cystersów, widok w kierunku południowym, fot. Jan Kotyza, lata 30-40. XX w.

Wspomnienia Antoniego Rosołka

Mogiła w czasach dzieciństwa: Dawniej to była raczej typowa wioska, zabudowania były liche, przeważnie z drzewa, strzechą kryte albo dachówką, tą płaszowską, bo za Wisłą była cegielnia. Niezłe wyroby, dachówka do dnia dzisiejszego jest mocna i trzyma się. To były wyroby wykonywane w prosty sposób ale uczciwie. Była szkoła i cztery młyny, 30% mąki dla Krakowa pochodziło właśnie z Mogiły. Zdecydowanie był to teren rolniczy, ziemie były bardzo dobre. Owoce, warzywa przeznaczano dla Krakowa, bo tutaj ludzie wszystkiego nie zjedli i sprzedawali na rynku w Krakowie. Tu dochodził też pociąg, tam jak jest ulica Klasztorna, była końcówka połączenia z Krakowem. Pociąg chodził dwa razy dziennie, nie trzeba było częściej, bo ludzie nie przemieszczali się tak jak teraz. Względnie podróżowało się swoimi pojazdami konnymi, samochodów nie było, ktoś tam może miał, ale to nieliczni. Szkoła była, urząd gminny. Potem, jak zaczęto Hutę budować, była walka czy to miejsce jest właściwe pod taką budowę. I do dzisiaj sporo ludzi nie wzięło odszkodowania, bo po prostu płacili grosze. Moi rodzice nie wzięli, zmienią się czasy, może wezmę – zobaczymy. Ci co wzięli, to rower mogli za to kupić. Tu w tej wsi całe życie rozgrywało się wokół kościołów, bo tu cystersi już prawie osiem wieków są. Oni tu kulturę robili rolną i doszkalali ludzi i sami podnosili poziom wiedzy mieszkańców. Poza tym te tereny wokół: szpital, osiedle Lesisko i stadion Hutnika należały do klasztoru. Z tego co pamiętam, tu rzeka płynęła obok ulicy Klasztornej i potem zakręcała. To była odnoga rzeki, dwa młyny, które były po drodze były tą wodą napędzane, to była odnoga Dłubni z Krzeslawic, później została odcięta i zasypana. Teraz chodniki pobudowane są.

Czasy budowy Nowej Huty: Jak Hutę zaczęto budować, to też się rozbudowywała, bo tutaj piasek na budowę odstawiano barkami, później samochodami wozili. Piasek, żwir, cegła, stal zbrojeniowa były wożone. Tutaj koparki rozładowywały i przeładowywały materiały na samochody. Sporo domów znikło, bo bloki powstawały. Był opór. Później wprowadzono junaków, tzw. „Służba Polsce". Oni tu rozrabiali, zresztą takie widowiska muzyczne, jakieś zabawy w lasku Mogilskim były. Była muszla koncertowa ale została spalona. Na tych błoniach jednostki junaków stały, których obowiązkowo zaciągano do budowy Nowej Huty. Sporo ludzi z terenów wschodnich przesiedlono – z Kresów, oni stanowili większość załogi. Kontakty z nowoprzybyłymi do Nowej Huty, czasy jej powstawania: No, walka była, bo ta młodzież – „Służba Polsce" niszczyła ogrody, nad nimi nikt nie panował, mieli niby wychowawców, ale oni sami byli tacy, że można było mieć do nich zastrzeżenia. Nowa Huta miała zmienić oblicze Krakowa. Była taka opinia, że Kraków będzie leżał koło Nowej Huty. Miało to być pierwsze miasto socjalistyczne w Polsce. Jak to było to widać później. Tutaj ludzie się buntowali, w sąsiednich miejscowościach także nie byli zadowoleni. Niektórym domy zburzono, ziemie zabrali. Ja później byłem w wojsku. Była książeczka Tejchmy, byłego ministra, który był tutaj w partyjnych władzach dzielnicy, później był ministrem kultury. I on wydał książeczkę o tym, że tu całe te tereny to bagna. Zrobił fotografie tych jeziorek, które jeszcze dzisiaj są. A ja akurat byłem w wojsku i wykładowca mówił, że te tereny to zaniedbane, podmokłe. No, propaganda, i ja później za to oberwałem. Takie stawy, miejsca podmokłe to w każdej miejscowości się znajdą. Kierownik do spraw politycznych zwrócił uwagę szefowi, żeby mnie uświadamiać. Ja to przyjąłem z rezerwą, szef mówi: „Ja to bym cię zamknął", a ja na to: „Szefie.." tzn. „Obywatelu.." (bo dawniej to tylko tak się mówiło), więc mówię: „Ja pochodzę z tamtych terenów i ta książeczka jest tylko książeczką, a życie co innego mówi, bo ja z tamtych terenów pochodzę". A ten kierownik to był życiowy człowiek, to zrozumiał. Tylko raport jakiś musiał napisać, że zaczął się mną opiekować i uświadamiać mnie. (Kontakty z ludźmi ze wschodu) Bardzo dużo z nich pracowało, korzystali, na bazarach się kupowało, więc pozytywnie się odnosili. Ale też spora grupa weszła w szeregi partii, dawnej PZPR i oni tu robili złą propagandę o mieszkańcach. To my tu czytali, bo gazety zostały wydawane, ale tak to było, że gazety mówiły jedno, a życie szło swoim biegiem i mieszkańcy wiedzieli, czuli jak to się przedstawia.

Szkoła: Jak zacząłem chodzić do szkoły średniej, ona była tam, gdzie teraz szkoła dla niepełnosprawnych. Później nas przeniesiono na osiedle Stalowe, a jeszcze później do Krakowa, bo nauczyciele z Krakowa dojeżdżali w latach 1950-51 – i chwała Bogu! Potem Rynek Główny 17, technikum handlowe. Te czasy pamiętam bo profesorowie byli przedwojenni. Wykładali co musieli, ale zawsze coś tam prawdy przekazywali. Co najważniejsze, poziom ich był wysoki. Do dnia dzisiejszego bardzo dobrze wspominam. Za papierosy, jak dyrektor znalazł, to wyrzucał. Dyscyplina była.

Czasy po powstaniu Nowej Huty: Tu organizowano pikniki na wolnym powietrzu. Dużo młodzieży przybyło z różnych stron. Moralność była licha. W hotelach robotniczych „cuda-wianki" się działy, nieraz zabawy były do rana. Potem z tych dziewczyn i chłopaków to małżeństwa porobili. Ale uraz został. To wychowanie odbiło się na dalszych pokoleniach, dlatego teraz narzekamy. Młodzież przejęła od rodziców braki wychowawcze. Jako mło-

dzież my „latali" na zabawy, śmiali my się, bo robotników ściągali z budowy, w gumiakach tańczyli, piwko dawali za darmo, bo fundusze były na to przeznaczone. Ja pamiętam jeszcze, jak do szkoły średniej chodziłem, był „sojusz robotniczo-chłopski". Pościągali nas do kina „Stal", dzisiaj ono przy szkole jest jako sala gimnastyczna.

Kościół, wiara, walka o krzyż: Ostoją tego wszystkiego był Kościół. Miał największy wpływ na wychowanie i moralność. Później w Hucie była walka o krzyż, bo miało być bez Boga, ale jednak się to nie udało. A walka o krzyż to była słynna. To nie tylko młodzież. Starsi ludzie, którzy Hutę budowali, to jednak zachowali religijność z domu i były kobiety, które umiały walczyć, one pierwsze przegoniły tych, którzy przyszli krzyż wyrywać. Później milicja przyjechała i krzyż zabrano. To były dwu, trzydniowe walki. Potem chodzono po blokach i sprawdzano, kto miał na plecach ślady od pał, to zabierano na kolegium. Nikogo nie pytano, a przecież ktoś mógł oberwać niewinnie, bo akurat przechodził, a milicja nie patrzyła, kogo bije. Rozwścieczeni byli, podobno dostawali jakieś środki pobudzające, nie panowali nad sobą i lali ludzi. Były wypadki śmiertelne, tego nie podają, ale ludzie w szpitalach potem marli. I jak ktoś po walkach się zgłosił do szpitala, to lekarz miał obowiązek to zgłosić i po wyleczeniu brali do ukarania, na kolegium – to były zespoły złożone z partyjnych ludzi, co najmniej trzy osoby. Oni decydowali, czy ktoś był winny i albo dostawał karę pieniężną albo roboty publiczne, tzw. „obozy pracy". Angażowali się w to ludzie z wsi? Pewnie. Nawet jak ktoś należał do partii, to do kościoła chodził. Pamiętam, był taki inżynier, który studia skończył i chciał się zapisać do partii i pytali się go czy do kościoła chodzi, a on odpowiedział, że jakby miał czas to nawet codziennie by chodził. I nie chcieli go przyjąć za to, że tak bezczelnie to mówił. Jeden sekretarz i inni, jeździli do Kocmyrzowa i okolicznych wsi, bo w Hucie ich wszyscy znali.

Arka: Pamiętam, ja na te uroczystości też chodziłem, czasami się oberwało. Modliliśmy się na placu, bo nie wszyscy mieścili się w środku, a ZOMO tylko czekało. Modlitwa była modlitwą, a później młodzież, która zawsze jest rewolucyjna, zaczynała rozdawać ulotki, to ZOMO zaraz ruszało do ataku, rozpędzało ludzi. Później za kościołem mieli swoją lokalizację. Kraków był spokojny, dojeżdżał tu na msze. Walka o kościoły tu była okropna. A ile ludzi ucierpiało niewinnie. Były przypadki, że fałszywie wskazywano ludzi. Sprowadzano milicję z innych miast, bo nie dano by rady.

Odpust, pielgrzymki: Odpusty tutaj były słynne. Bardzo dużo pielgrzymek było za ocalenie Krakowa w czasie wojny, nieraz nawet kilometrowe. Parę tysięcy ludzi przychodziło tutaj do klasztoru i oni ufundowali później tę kapliczkę w Lasku Mogilskim. Najpierw była malutka kaplica, później murowaną my wybudowali. I te pielgrzymki przez ładnych parę lat, jeszcze jak Hutę zaczęli budować, to szły pieszo z Krakowa. Cały tydzień, nie tylko ten od 13 do 21 września, ale wcześniej już kramy się lokowały. To była atrakcja dla młodzieży, pchanie koników...Głównie dla młodzieży, ale też atrakcja była w kościołach, bo ludzie przyszli się modlić. Dziękowali, że przeżyli podczas wojny. Tutaj jest krzyż cudownego Pana Jezusa. Są wota od ludzi, którzy zostali uratowani. To były rzesze ogromne, nie można było przejść. Wszystko to Kraków napędzał, bo to byli ludzie wierzący.

Kontakty z Krakowem: Częste były nie tylko przez kontakty piłkarskie, ale dlatego, że Kraków urządzał różne festyny, np. „miodobranie" na Woli, nieraz przez tydzień na Skałce były uroczystości, to się jeździło. Pszczelarze urządzali pikniki, chwalono się umiejętnościami. Były też inne tygodniowe festyny: takie jarmarki, gdzie wszystko było do kupienia. Można też było jeździć za Kraków, tam były wyścigi konne. Też atrakcją były Bielany, ZOO. Więc trzeba było jeździć, bo w jednym dniu nie dało się zobaczyć wszystkiego. Jako młodzież na kopce się jeździło, Kościuszki, Piłsudskiego. Albo wykąpać się w Rudawie. Zimna woda była, popływało się, potem się suszyło na brzegach. Tutaj w Mogile już nie było gdzie się kąpać. Dawniej pływaliśmy w Wiśle.

Niebezpieczne miejsca – Wisła: Niebezpiecznie było później, jak już Huta powstała. A wcześniej woda była „kryształowa". Raz w tygodniu kanał puszczano z Krakowa, to wtedy się nie kąpaliśmy. A tak to rybki było widać w wodzie. Jak ktoś umiał pływać, to szybko na drugim brzegu się znalazł. Łódki? Były, tutaj jak Klasztorna się kończy. Przewoził jeden przewoźnik, i dalej koło Przewozu, za laskiem – drugi. Łódkami ludzi przewożono do pracy oraz na zabawę.

Zabawy – kontakty z okolicznymi wsiami: Nad rzeką były. Jak organizowano dożynki, to do wszystkich miejscowości wokół my zaglądali, także za Wisłę. Były też, raz, dwa razy w miesiącu zabawy w bursach przy szkołach. Władze zarobiły na tym. Bo było piwko i wódka na lewo sprzedawana, kiełbaska. Wszystko to, co teraz, tylko, że chyba smaczniejsze. I nikt nie patrzył, że to kawał drogi, nieraz szło się miedzami. Do Kościelnik dojeżdżało się autobusem, potem była zabawa do rana i powrót łąkami. No, i wracało się całym mokrym od rosy i szybciutko się trzeba było przebrać do pracy – dyscyplina była. Jak się ktoś spóźnił, to dostawał upomnienie: jedno, drugie, a za trzecie człowiek mógł wylecieć. Za pierwszych lat, 1954-55, dyscyplina była niesamowita. Jak w 1956 roku Październik był i Gomółka przyszedł, to można było zaglądnąć do swoich akt. Jeżeli komuś w aktach napisano, że „wrogo ustosunkowany do obecnej rzeczywistości", to już roboty nie mógł znaleźć, a w szczególności jako urzędnik. W pierwszych latach po wojnie nie było szkoły, była zajęta przez wojsko, więc uczyliśmy się w stodołach kościelnych. Raz, że uczyli, dwa, że ludzie na ich polach pracowali. Oni tutaj sprzedawali owoce, kwiaty, rozsady jarzyn. Myśmy nieraz z księżmi w piłkę grali w podworcu. Był tam taki ogrodnik, który nam dawał jabłka. Dużo księży pokończyło studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przy kościele było Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej. Chodziliśmy tam na religię, uczyli nas zadania rozwiązywać, czytać, łaciny. Były zajęcia sportowe: ping-pong, szachy, warcaby. Był jeden świetny ksiądz – Kula. Był wykładowcą, a później do Ameryki wyjechał. KSMM w Krakowie, na ulicy Kanoniczej, miało swoją siedzibę i później podstępnie podrzucono im ulotki, no bo oni chcieli po swojemu młodzież wychowywać. Pozamykali, oskarżyli o antykomunizm, wrogą propagandę Potem były kluby piłkarskie przy zakładach pracy, bo tu firm było sporo. Też każde osiedle miało klub: Mogiła, Bieńczyce i Wzgórza... Była liga robotnicza.

Karczma: Była i to niejedna. Jak się idzie Klasztorną do tramwaju, to po lewej stronie była przepiękna, Staszyszynów karczma. Pokoje były dla lepszych gości i tych skromniejszych. Dobre winko, herbatka, wszystko.

Klasztor: Tam, gdzie jest stadion „Hutnik", były klasztorne stawy. Nie wiem, czy księża ryby wyławiali, może przekazywali swoim kościołom. Zawsze można było przejść przez dziurę w płocie i koszami je łapać. Myśmy tam biegali kąpać się, mimo że nie wolno było.

Mogiła w czasie wojny: Tu w Mogile były drogi bite z kamienia. Ulicę Klasztorną zbudowali Niemcy, podobnie jak most. Pierwszy, sprzed I Wojny Światowej, był olbrzymi, od wału do wału, Niemcy zrobili krótszy. Potem się mówiło, że jak będzie trzeci most, to i trzecia wojna. Niemcy mieli siedzibę w klasztorze, konie tam hodowali. Za Niemców i okupacji nie było praktycznie Kościoła. Tam, gdzie kopiec Wandy, Niemcy mieli punkt kontrolny, wszędzie tam były porobione okopy. Brali ludzi i za darmo musieli je kopać. Były takie dwa olbrzymie cokoły zrobione, żeby zablokować drogę, gdy Ruscy będą szli. Jednak Niemcy się pomylili, bo Ruscy poszli od innej strony i wzięli ich z zaskoczenia. Pamiętam jaki był huk w 1944 roku, gdy Niemcy się wycofywali i wysadzili most, żeby ich Rosjanie nie gonili.

Stosunki z Niemcami: Niepokoili mieszkańców? Specjalnie to nie, bo oni tu mieli swoje stanowiska i też chcieli spokojnie żyć. Byli kapusie, sprzedawczyki, którzy Niemcom donosili na ludzi ze wsi, co się nieraz kończyło Oświęcimiem. Były różne bandy złodziejskie, które zastraszały mieszkańców, okradały biednych mieszkańców, bo nie mieli jak się bronić. Niemcy się z nimi rozprawiali. Mieli tzw. granatową policję, utworzoną z Polaków. I to oni chodzili po domach i decydowali, kto ma oddać np. świnię na front.

Stosunki z Rosjanami: Błąkali się po domach, brudni, nie goleni, karabiny na sznurkach mieli. Ja pamiętam, dawniej jak się sadziło w domu buraki i tytoń, to Niemcy wódkę dawali. Mówiło się „deputat". I ludzie donieśli, że u nas też jest. Więc przyszli pijani Rosjanie, mamę wciągnęli do piwnicy i powiedzieli, że jak znajdą tę wódkę, to ją zabiją. Nie wiem, co by było, jakby znaleźli, ona była trochę głębiej zakopana. Później mamie dali rozkaz ugotowania kur, jeszcze się nie ugotowały, a już wyciągali je z garnka. Na półce stał budzik – ważna rzecz. Chcieli go zabrać, choć mama błagała, więc ją przewrócili i poszli. Potem sąsiadka poradziła, żeby pójść do ich zwierzchnika. No i faktycznie, odebrano im i pobito. Nie mogliśmy później spać, bo się baliśmy, że wrócą. Na szczęście szybko się wynieśli od nas ze wsi. U nas został jeden Litwin, bo był ciężko ranny, dostał nakaz mieszkania w naszym domu. Mama robiła mu herbatę, a on jadł jakieś suchary, które ze sobą przyniósł. Był u nas jakiś tydzień, mama mówiła mu, że dał po wojnie o sobie znać, bo siostry moje już dorastały. No, ale nie wiadomo czy doszedł do Berlina, pewnie masy wchłonęły go, tam była rzeź niewiniątek.

Wesela: O, ludzie to się umieli bawić. Obowiązywała zasada: „Zastaw się, a postaw się". Było zawsze jedzenie, wódka. Wesele nieraz tydzień trwało. Pamiętam, że najstarszej siostry wesele tyle właśnie trwało, kawalerka chodziła z całej okolicy, mama tylko herbatę gotowała, kiełbasę, chleb podawała. My tu mamy piec chlebowy, siedem bochenków w nim się mieściło i jeden „wyskrobek". Wypieki z takiego pieca były wspaniałe. Rodzice dzieciom przekazywali wiedzę, jak to należy opalić itd. Chleb na cały tydzień się piekło i musiał być pod zamknięciem, bo znikł by od razu.

Muzycy: Byli miejscowi, uczyli się grać i później koncertowali po weselach. Zapraszali ich gospodarze, a później finansowała młodzież – wrzucało się pieniążek do kieszeni i mówiło, jaki kawałek mają zagrać. I tak wszyscy po kolei kawalerowie musieli zapłacić. Wesela w ogóle były nie tyle bogate, co bardzo towarzyskie, bo taka była tradycja. Mówiło się „Raz w życiu masz wesele, to musisz je dobrze zapamiętać". Zabierano młodych na Kraków, potem do zdjęcia, jak wracali to były wielkie powitania, orkiestra. Najważniejsza była harmonia, ale też skrzypce. Tu taki stary kawaler ubożuchny mieszkał, który grywał za darmo na skrzypcach. Podobno on miał

zrobioną średnią szkołę muzyczną, ale nie skończył, bo to różnie wtedy bywało, rodzice pomarli – nie miał kto płacić. W mowie był inteligentny. Nieraz jak chłopaki popili, to szli do niego i całą noc im grywał. On skromnie żył – samotnie, zapuścił się, tylko przynosiło mu się drzewo na opał. Tak zakończył żywot.

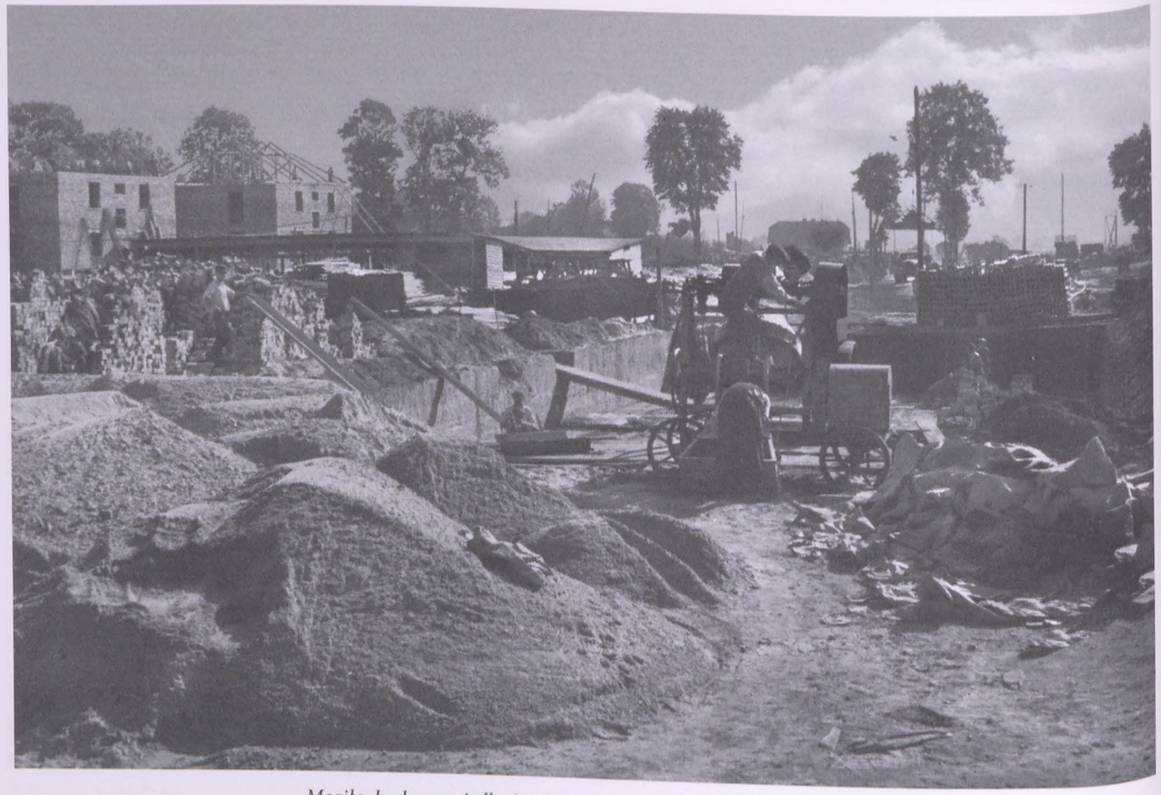
Miejsca, których już nie ma: Dawniej z lasu się żyło. Ścinało drzewa, chociaż księża zabraniali, były poziomki, jagody, czernice – ostrężyny, grzyby różnego gatunku. Teraz to zarośnięte wszystko, a dawniej trawa była króciutka, bo krówki wszędzie chodziły. Później jak Huta stanęła, mieszkańców przybyło, ciężko było cokolwiek znaleźć.

Cyganie: Były takie wędrowne obozy. Byli miejscowi, których później Huta wchłonęła do pracy.

Święta Bożego Narodzenia: Ach, to było coś wspaniałego! Ubierało się choinkę, czekoladkami, jabłuszkami... Wielką atrakcją dla młodzieży była pasterka. Wszyscy domownicy szli, ktoś jednak zawsze musiał zostać, pilnować chałupy. Potem były różne przyśpiewki, zabawy. Tu przy klasztorze był zespół, który przedstawiał jasełka. Na takie przedstawienia sprzedawane były bilety.

Zespoły kolędnicze: Chodzili z szopką i trzeba było wynieść datki z domu, a nieraz wpuszczali je do „ośpiewania" domu i to trwało do rana, później w takim domu zabawa była. Najpierw była szopka, a później szło się z gwiazdą na Trzech Króli. Tu byli specjaliści, co umieli zagadywać lalki. Nieraz w ciągu wieczora to z trzy szopki przychodziły. Wesoło było. Jeszcze były imieniny. Te zespoły sobie zapisywały, kto kiedy obchodzi i przychodzili pod dom grać. Potem jak przyszła komuna, to nie wolno było przedstawiać Żyda w szopce. W ogóle mówiło się, że kolędowanie, to wymuszanie. Inną okazją do zabawy w zimie, były „wyskubki". Tutaj wiele osób miało gęsi, więc w zimie z domu do domu to szło.

Notowała: Anna Bartys, wrzesień 2007 r.



Mogiła, budowa osiedla A-1 w Nowej Hucie, fot. Stanisław Senisson

Anonimowe wspomnienia z Mogiły (I)

Czasy II wojny światowej: Jak wojna wybuchła, to w 1939 r. były bombardowania, Ale tutaj nigdzie bomba nie spadła, bo Niemcy dobry wywiad mieli, tylko hangary lotnicze w Rakowicach-Czyżynach zniszczyli. A gdy wybuchła wojna Niemiec z Rosją w 1941 r., to samoloty stąd startowały, słychać było, że są takie ciężkie, załadowane bronią. Ruskie samoloty to myśmy nazywali kukuruźniki. Nie bombardowano nas, tylko w 1945 roku znowuż. Ale łapanki też były tutaj. W czasie okupacji, jak Niemcy cofali się przed Ruskimi, to tutaj mieli zaplecze frontowe. Pozajmowali domy, szkoła nieczynna była. Jak uciekli Niemcy, to Rosjanie mieszkali. Najpierw była czystka z Żydami – wysiedlali ich. Żydzi te tereny znali, więc gdzie mogli, to się zatrzymali. Ale nie na długo, bo zaraz ich zabierali do getta. Jak już Oświęcim uruchomili, to tam ludzi wywozili. No, wywozili też za złodziejstwo, za morderstwa. Były takie przypadki. Niemcy byli tacy, że dążyli do wykrycia zbrodniarzy i karali. Tutaj też był obóz, tam gdzie obecnie jest szpital im. Żeromskiego, jeszcze kawałek za parkiem, był teren ogrodzony drutem kolczastym, były wieżyczki. I tam Niemcy trzymali jeńców rosyjskich. Obóz ciągnął się prawie do centrum, tam gdzie dziś jest centrum E, prawie przy Placu Centralnym – tam mieli Niemcy magazyny, rozmaite rzeczy, talerze, stołki. Tam mieli materiały budowlane. Na część tego mówiło się Baulagier, i tam byli ci jeńcy rosyjscy, jak oni głodowali, jacy biedni. Ja pamiętam jednego, bo tam się krowy pasło na łące – siwiuteńki, młody żołnierz. Dzieci i matki trochę pożywienia dawały, rzucało się po cichu przez ogrodzenie chleb. Ja dostałam od tego jednego taki miedziany, niby złoty pierścionek. (w zadumie) Pamiętam jego twarz… W 1945 roku miałam 12 lat, no to mogłam mieć wtedy ponad 10. Później jak front się przesuwał, Niemcy przepędzali tyle krów i wołów, których ja nie znałam: to były ogromne zwierzęta z rogami. U nas wszyscy byli w pracy, bo pracowali w monopolu, tata w Dębicy (bo go wywieźli), mama pracowała we dworze, wszyscy brali te krowy, cielęta, woły, bo oni już nie mieli co z tym zrobić. Ja zabrałam takie cielątko, jak się ciepło zrobiło w 1945 roku, trzeba było je popaść, a tu wszędzie były okopy. Takie małe dzieci wysyłali i kopali te rowy wszędzie. A Ruscy przyszli i mieli gdzieś te okopy. Mój brat poszedł paść tę krowę, na szczęście nie ja, to jak krowa weszła do tego okopu, tak już więcej nie wyszła, była przemrożona. Brat z płaczem przyleciał do domu, że krowa nie chce stamtąd wyjść, i tata z sąsiadami sznurami ją wyciągnęli, no ale trzeba ją było zabić.

Czasy po wojnie: Zmieniło się. Kto tu ziemi nie miał, gospodarstwa, i tutaj nie znalazł roboty, to w ciągu paru miesięcy wyjeżdżał na Zachód – tak się mówiło. Dużo ludzi wyjechało. Potem zaczęła się budowa Nowej Huty i wracali z powrotem. Nie wszyscy. Niektórzy do dziś tam zostali. Moja siostra pojechała w maju 1945 roku, wyszła za mąż w 1947 r. we Wrocławiu, dziecko urodziła w 1948 r. Nową Hutę w 1949 roku zaczęto budować i ona zaczęła mówić do męża, że pojedzie do mamy, żeby jej dziecko pobawiła. Była ze 3 miesiące, szwagier przyjechał z pytaniem, dokąd ona zamierza siedzieć. A ona zaczęła jęczeć, że tu się buduje, że chciałaby już wrócić, przekabaciła go, przyjechali w 1950 roku i już zostali. Pierwsze mieszkanie mieli na os.Wandy.

Szkoła: Pierwsza była tutaj w Mogile, później przenieśli do 16-stki, później do 37-demki. Prawdę mówiąc, to i przed wojną byli tu ludzie wykształceni, co studia pokończyli. Po 1945 roku to już było dostępne kształcenie, jak kto chciał, to mógł się uczyć. Ja osobiście stracone miałam wszystkie lata. Raz się chodziło, raz nie. Ale po Powstaniu Warszawskim dużo warszawiaków tutaj wysiedlili. I u nas w sąsiedztwie zamieszkał pan profesor z Politechniki Warszawskiej, Zieńkowski, jedna jego siostra uczyła w gimnazjum, w 1939 roku była ranna, cała się trzęsła, trzecia też uczyła. To było rodzeństwo, wszyscy wolnego stanu. Oni się rewanżowali za kozie mleko, ser, jajka i chcieli nas uczyć. Siostrę, mnie i brata. I oni wszystko przez kilka miesięcy ze mną nadrobili. Ja im bardzo dużo zawdzięczam. Oni nauczyli mnie, że warto się uczyć. Człowiek, jak go już ktoś zachęci, to jest ciekawy wszystkiego. I jak zaczęłam chodzić do średniej szkoły, to miałam 12 lat, sama sobie szkołę znalazłam w Krakowie na Basztowej i nie miałam trudności, dobrze się uczyłam. To była prywatna szkoła i bałam się, że jakbym coś zawaliła, to by mi zniżkę zabrali, bo mama połowę tylko składki płaciła.

Komunikacja Mogiła – Kraków: Jak długo szło się do Krakowa? W dwie godziny – 10 km. A człowiek nie miał pieniędzy. Albo mógł sobie loda kupić, albo miał na tramwaj. Pociąg jechał z Mogiły czy Kocmyrzowa przez Dąbie, Grzegórzki i na wiadukt główny, tam za Halą Targową. Ale zaraz po wojnie to było zbombardowane, więc nie było wjazdu. I całą Starowiślną się szło pieszo od stacji w Grzegórzkach. Potem Małym Rynkiem, Sławkowską i do szkoły. A pieszo lub z Dąbia, to szliśmy koło policji, która dziś jest (na Wieczystej) i Mogilską, Lubicz i Basztową. W lecie wolałyśmy kupić loda. A ile razy żeśmy się uczepiły, jak ktoś jechał wozem drabiniastym, ile razy nas batem zdzielili. Pamiętam, że wtedy była w kinie, nie w operetce, Halka. To było kino Uciecha. Wtedy żeśmy tak wisiały i co się chłop przechylał, to nas batem chłostał. A raz jak zima była, to tam, w Czyżynach, gdzie jest teraz dworzec autobusowy, to tak strasznie nawiało. Zawsze w zimie, od centrum, przy

drogach dawali takie płoty, żeby z pól nie nawiało. A tutaj była taka zaspa, że nie było szans się przedostać. Nie wiem jak, myśmy się dostały do Krakowa. Ale mama kazała nie wracać, dopóki tego nie przekopią. Koleżanka miała kogoś na Wieczystej, a ja poszłam do chrzestnej matki na Strzelecką.

Wesela: Wesela to były huczne. Mama opowiadała, że brała ślub 13 sierpnia 1922 r. Mówiła, że tak strasznie się cieszyła, że za mąż wychodzi, że całą drogę do kościoła się śmiała. A ojciec pochodził z Krzesławic i cała rodzina jego przyjechała. Tu nie było drogi. Przyjeżdżało się wozami, bryczkami, końmi. Chłopskie fury, przystrojone czymś były. Przeważnie młode i starsze kobiety na ślub ubierały się po krakowsku, moja mama też, tylko spódnicę miała nie w kwiaty, a niebieską, cieniuteńką, biały fartuszek i koszulkę haftowaną. Tu mi taki pan mówił „Ja pamiętam twojej mamy wesele, tak te krzesławianki całą drogę śpiewały". Tutaj była polna ścieżka, koło rzeki, wzdłuż Bulwarowej. A jak chciano jechać, to pod kopcem była droga. A jak chodziliśmy na wesela do taty rodziny, to śluby były w Pleszowie.

W sadzie robiło się wesela, drzew było pełno owocowych, orkiestra, muzyka. Ale też zawsze bitka była na tych weselach, szarpali się. Jak ktoś był dobrze sytuowany, to może trwało ze dwa dni, w jednym wesele, w drugim poprawiny. A jak ktoś był biedny, to wie Pani, bardzo dużo było fornali, tu się żenili i z czego on to wesele miał zrobić, jak wynajmował mieszkanie, byle jakie, trochę w czworakach, trochę na wsi, w jednym pomieszczeniu. Nie było gdzie wesela zrobić. Piekło się nie takie wybredne rzeczy a „kołocze". Taki placek z serem na łopacie to był kołacz albo z powidłami zawijany. Drożdżowe ciasta. A wódkę nie wiem czy kupowali, czy robili sami. Mówili na nią okowita. Nazwy samogon nie słyszałam. A była też wytwórnia wódek na Mogilskiej, to były takie lepsze, wysokogatunkowe, słodkie przeważnie. O spirytusie nie słyszałam, jakieś nalewki robili z miodem, tak się też kurowali.

Muzycy: Na weselach: Akordeon i skrzypce. Ze wsi kapela taka była i oni chodzili po weselach. Grali, co umieli, ale też, co goście chcieli. Przeważnie tańczyli nie krakowiaki tylko polki, obertasy.

Odpust, pielgrzymki: O, odpust był bardzo ładny. Przyjeżdżali tu ludzie z różnych stron, np. od Bielska. Szły takie kobiety w tygodniu, musiały mieć jakąś intencję, i miały taki strój: długie szerokie spódnice ciemne, zapaski, bluzki z długim rękawem, ładne były. Ale to stare pokolenie odeszło, a młode pokolenie nie podtrzymuje tej tradycji. Chodziły pielgrzymki? Te kobiety szły indywidualnie. Ale przed wojną był most na Wiśle, w 1939 roku go zaminowali i wysadzili Polacy. Przed wojną chodziły tzw. „kompanie", śpiewali całą drogę nabożne pieśni, z gór szli. I myśmy ich zawsze nocowali. Mama znosiła czyściutką słomę, bo wtedy się spało nie na materacach tylko na wypchanych siennikach, dwa razy do roku się to zmieniało, dzieciom i dorosłym. To było zdrowe. A pielgrzymi spali na rozrzuconej na ziemi słomie. Jak byłam mała, to zawsze mama z tatą szli na pierwszą ranną mszę i dzieciom kupowali jakieś tam pukawki. Myśmy spali a oni już przyszli z kościoła. Przyjeżdżali ludzie z plackami ze Skały koło Ojcowa. To było dobre i wszyscy szli i mówili „A idziemy do tych skalniaków". To była tradycja. Były też takie łańcuszki, jakby różańce. No i koniecznie śledzie. A zabawy też były. Tutaj gdzie jest teraz Automobil, to aż dotąd sięgał odpust, gdzie sztuczna rzeka płynęła.

Miejsca, których już nie ma: Młynówka, a w Krzesławicach mówili na nią „Klasztórka", bo pod klasztor szła, ona była wybudowana, żeby poruszać młyn cystersów, młyn Chwastka (to był właśnie cystersów) i dalej był młyn Lelitów. I ta rzeka dalej dopływała do Dłubni na Kępie.

Żydzi: Żydzi tu blisko mieszkali, i zaraz ich wywieźli. Była taka Żydówka – Dobka. Mąż jej zajmował się masarstwem, a ona sprzedawała ser i chodziła po wsi, a myśmy się jej bali jako dzieci. Mieszkali w domu strzechą krytym, musieli go od kogoś kupić. Dużo ludzi, którzy ją znali, wspominają ją. I nie byli Żydzi z nikim skłóceni.

Cyganie: Dopiero jak się Nowa Huta zaczęła budować, to osiedli na osiedlu Willowym. Ale przyjeżdżali wcześniej taborem.

Karczma: Była jedna, potem zabrała ją komuna i Samopomoc otwarła tam sklep żelazny. Ja mało pamiętam. Ale na rogu była dość znana restauracja pana Staszyszyna, i jak jechali ludzie z Krakowa, to się tam zatrzymywali. Mama zawsze mówiła, że jak chłopstwo ma nie pić, skoro tyle jest karczm na odcinku od ronda Mogilskiego.

Miejsca, których już nie ma: Ja ten fort pamiętam, tam zawsze meliniarze i bezdomni siedzieli, więc się biegiem leciało tamtędy. Raz jak szłam do szkoły, to tam Cyganka rodziła. Ja byłam dziewczynką i nie wiedziałam, co jej się dzieje. Dopiero po latach to skojarzyłam. Był drugi fort, tam gdzie teraz muzeum lotnictwa, też austriacki, mówiło się „pod piętnastym", bo numer 15 miał. A jak się nie miało biletu kolejowego, to przy forcie pociąg wolno jechał i tam się wyskakiwało, a dalej szło piechotą.

Kontakty z okolicznymi wsiami: Z innych wsi, to miałam szkolne koleżanki. Spotykałam je w pociągu, bo jeździły „kocmyrzówką", za Austrii wybudowano tę kolej. Ogólnie, to były dobre relacje między wsiami, żenili

się. To zależy wszystko od ludzi. Nie było żadnych antagonizmów, że jeden jest stąd czy stamtąd. Mówiło się na przykład : „A z kim on się ożenił? – Ano, wiesz, z Galicjanką", bo tu Galicja była, a o kimś innym „A, on do kopinioków poszedł", bo tam był zabór rosyjski, i płaciło się kopiejkami, więc tak ich ludzie przezwali. Przekraczanie granic zaborów było ciężkie, szczególnie rosyjska granica była taka szczelna. I były „rogatki" – tak się mówiło na cło. To się nie mówiło „granica", a „rogatka". I to było też utrudnienie dla ludzi, przy handlu, gdy trzeba było coś przewieźć. Pewne rzeczy były zakazane a inne nie, trzeba było kombinować, żeby przekroczyć jakoś tą granicę. Przecież było sporo ludzi, którzy w ogóle nigdy w Krakowie nie byli. Mało to było analfabetów? Oni nie byli ciekawi niczego. Urodzili się w jednym miejscu i tam przeżyli. Wątpię, czy moja babcia gdzieś była. Mama to już co innego, zawsze mówiła „Uczcie się dzieci, bo inaczej, to pójdziecie do służby". My nie byliśmy tacy majętni, z tego, co mieliśmy, to nie wyżyło się, więc zawsze się chodziło innym pomagać, mama chodziła do chłopów coś robić.

Dwory: Chodziła prać do Woziewiczów, można powiedzieć, że ich dom to był dworek. Później za okupacji też mama chodziła i brała mnie do Krakowa. Umęczyła się tak, że szkoda mówić. Od świtu do nocy prała bez przerwy. Tata szedł nieraz, pomagał jej i wodę nosił. Jak wybuchła pierwsza wojna, mama miała 15 lat. Służyła we dworze u rządcyny, i ta pani uciekła ze dworu z dziećmi i ją też zabrała. Dostali się pod Ruskich. Babcia moja strasznie opłakiwała mamę, bo tylko jedną ją miała. I dopiero jak się wojna skończyła, to mama przyjechała z powrotem. To już miała wtedy 19 lat.

Czasy najdawniejsze: Jak wybuchła prochownia za czasów Austrii, tu jak krzyż do Bieńczyc, (tam gdzie szwedzki blok jest jeszcze krzyż). W polu zrobili magazyn, gdzie był wybuch, no i po tym wypadku powstały groby. Polaków tam nie było, bo to były armie Austro-Węgier, trochę Czechów, Jugosłowian. Pytałam się kiedyś księdza, czemu Austriacy nie remontują tego, mogliby to opisać, odnowić, ale widać im nie zależy. Dużo ludzi tu przychodziło z gór, np. od Limanowej. Skąd który przeor pochodził, stamtąd ściągał innych. Dużo ludzi. Jak coś uzbierali przez całe życie, to ulepili chałupki – jak się dało. Ja pamiętam, jak kiedyś, jak już autobusy jeździły, nie miałam biletu i tak szukam, szukam i ksiądz taki, Jugosłowianin przeor Kuchar, zapłacił za mnie. Jeszcze był drugi ksiądz w czasie okupacji, chodził do lasu, bo się nim opiekował, zawsze mi przynosił cukierki. Wiedział, jak w tamtych czasach było ciężko, głodno i kazał nam raz z koleżanką przyjść pod swoją celę i rzucił nam po takiej pajdzie chleba. Pani wie, jak wtedy wyglądał bochen, to on nam po takiej średnicy dał. Różni byli księża. Te wszystkie osiedla, które tutaj są, Lesisko, szpital Żeromskiego, to wszystko było księży, dawniej jak ludzie chcieli budować dom, mieć swoją ziemię, to musieli od księży wykupić. Obóz jeniecki też na ich terenach był.

Miejsca najważniejsze: Kościół przeważnie. Wszyscy chodzili, wierzyli ślepo, co ksiądz powiedział. Dzisiaj ludzie są już światli, to trochę inaczej podchodzą do religii. Ksiądz księdzem a Bóg Bogiem.

Miejsca spotkań: Są młodzieżowe ogniska i komitet kościelny. A wcześniej było Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Księża to aprobowali, organizowali jasełka, Mękę Pańską, szopki, były kółka teatralne.

Zespoły pieśniarskie, taneczne: Był chór. Moja mama chodziła, a ktoś z rodziny Dyniów go prowadził. Zespołów tanecznych nie było. Chyba, że jakiś fragment taneczny był w sztuce, to u księży uczyli.

Miejsca niebezpieczne: Wisła zawsze była takim miejscem. Co się tam odbywało? Wianki, ale w czasie wianków to się nikt nie topił. Nie było zimnych ogni, rzucało się wianki. Jakieś skrzypce zawsze były i młodzież się bawiła. Ale ogólnie topielców było tutaj dużo. Nie naszych, ale tak jakoś było, że kto sobie w Krakowie odbierał życie, to ciała tutaj wypływały. Ja widziałam dwóch. Jednego przed wojną, to był żołnierz, a drugi już po wojnie, jakiś młody człowiek, z drugiej strony Wisły się utopił. Dawniej rzeka często zamarzała, można było nieraz przejść po lodzie na drugi brzeg.

Kontakty z osadnikami: To zależy, ale myślę, że były zdecydowanie lepsze niż teraz. Bo to ludzie przyszli ze wsi, bogobojni byli, pracowici, nie zepsuci. Mama miała nawet parę koleżanek, co jak były święta, to przychodziły, i sobie jakieś ciasta upiekły. Szanowali się ludzie. A dzisiaj, jeden drugiego to by w łyżce wody utopił.

Notowała Anna Bartys, wrzesień 2007 r.

Anonimowe wspomnienia z Mogiły (II)

Rodzice, dom rodzinny: Moi rodzice mieszkali początkowo w Pleszowie, później ojciec kupił od Żyda karczmę, ona była tam, gdzie następny przystanek 15-stki, tam mieszkaliśmy z mamą, dopóki komuna nie kazała jej zamknąć. Wtedy mama otrzymała dom przy Klasztornej. No, czasy były inne, nie było telewizji. Ja się urodziłam w czasie wojny, w 1943 roku. Pamiętam, że jak miałam jakieś 6 lat, tata kupił radio, żeby dzieci nabrały trochę ogłady, to słuchało się, słuchowiska były piękne.

Szkoła: Była tu blisko, podstawowa, 7-klasowa. Teraz jest tam szkoła dla dzieci specjalnej troski, naprzeciwko stadionu „Hutnik". A tu w parku były zabawy piękne, widowiska organizowane w okresie letnim, programy rozrywkowe.

Dzieciństwo, młodość: Poszłam do liceum dla pracujących, bo musiałam w domu pomagać. Byłam jedyną osobą w domu, która mogła gotować, sprzątać. Uczyłam się takich wszystkich rzeczy. Bracia coś pomagali, tata też się starał. Tata otworzył taki zakład, pierwszy w Nowej Hucie, wytwórnię wód gazowanych. Był człowiekiem bardzo przedsiębiorczym, chociaż w tamtych czasach nie można było szeroko rozwijać skrzydeł, bo urząd finansowy przykręcał śrubę, jak ktoś za wysoko głowę podniósł.

Odpust: Odpusty dawniej były na poziomie. Ten klasztor jest bardzo znany, ma już 750 lat. Zawsze wieś była przepełniona ludźmi, wiernymi. Przyjeżdżało ich mnóstwo z pobliskich wsi i ze Śląska. Poza tym ci, którzy tu przyjechali do pracy w Nowej Hucie to byli ludzie wierzący, więc co niedzielę przychodzili. To był jedyny kościół na początku, co mszę pełen ludzi.

Wesela: A to zależy na co kogo było stać, jeżeli rodzina bogatsza, to ze trzy dni albo i dłużej trwało. Ciasta, swojskie pieczywo, wędliny – wszystko to był wyrób własny, nie tak jak dzisiaj, ze sklepu. Dużo osób się zapraszało? Raczej najbliższą rodzinę.

Muzycy: Były kapele. W Pleszowie był taki zespół, który umiał grać, tzw. „orkiestra weselna" – to się ich prosiło na wesela.

Zespoły kolędnicze: Oj, chodziły. Takie nawet z lalkami. Pamiętam jak byłam mała, przyszli kolędnicy z dużą szopką, oświetloną pięknie, a w środku były lalki mechaniczne, które się ruszały. Śpiewali i w szybę pukali, jak ktoś miał ochotę to wpuszczał do środka, częstował, albo podawał pieniądze i dziękował za kolędę. Mogiła to była wieś wesoła.

Miejsca najważniejsze: Szkoła, klasztor.

Miejsca ulubione: Kina. A wcześniej? No, nie bardzo. Co to taka wieś.

Miejsca spotkań: No, jedynie, jak jakieś przedstawienia, to w kościele organizowano. Jak była szopka bożonarodzeniowa, to nawet i klerycy występowali, a dzisiaj są już siwi.

Barwne postacie: Na przykład był wójt, miał znaczenie. Chodziło się do niego ze sprawami papierkowymi, czy to z podatkiem. Albo do gminy, taki budynek stał na rogu. Tam się załatwiało sprawy notarialne, prośby, wnioski. Później była Rada Narodowa na osiedlu Zgody, na początku Nowej Huty.

Żydzi: Ja nie pamiętam, nie miałam nigdy do czynienia z żadnym z Żydów, byłam pokoleniem późniejszym.

Cyganie: Dopiero jak się Huta budowała, to tutaj dostawali mieszkania. Z początku tak chodzili i coś się ich praca nie imała, później dostawali pracę porządną i jakoś było. Mieszkali na osiedlu Willowym, kilka rodzin pamiętam. Asymilowali się z mieszkańcami? Tak, nie było żadnych problemów, absolutnie nie, żadnych zatargów. Przychodzili nieraz po mleko, po coś, nieraz chcieli za darmo, albo za wróżenie. Zapraszało się ich, żeby zagrali? No raczej nie, bo nie szukano z nimi zbliżenia. Okazjonalnie się zapraszało. Oni zawsze grali na placu targowym, na ulicach, rogach domów, żeby zarobić.

Miejsca święte – kapliczki: Jeszcze do dzisiejszego dnia są w Mogile kapliczki, za kościołem jest jedna. W Hucie tam, gdzie pierwsze osiedla są, też gdzie niegdzie kapliczki pozostały. U nas w parku jest taka na drzewie, jakby domek z wizerunkiem Matki Boskiej, są sztuczne kwiaty i ktoś o to zawsze dba.

Miejsca niebezpieczne: Trudno powiedzieć, ale raczej nie ma. My tu blisko Huty mieszkamy. Był takie okres, że Lasek Mogilski był takim miejscem. Bał się człowiek iść, bo nie wiadomo, co go tam spotka. Zawsze musiało się iść w parę osób. Tam jest też kapliczka Matki Boskiej i w maju przez cały miesiąc odbywają się tam majówki. Wisła? No my tu mieszkamy po drugiej stronie wsi, tam się nigdy nie chodziło, bo po co. Jak ktoś chciał przyjść, to przychodził do nas właśnie. Tu mamy sklep, kino, stadion „Hutnik". Tam nie było tak jak teraz, że się biją kibice, w życiu! Ja, jako młoda dziewczyna chodziłam nieraz na spotkania piłkarskie. A teraz człowiek się boi, że dostanie czymś po głowie. „Hutnik" był wysoko, w pierwszej lidze grał, potem w drugiej, teraz to chyba w trzeciej…

Kluby, zespoły pieśniarskie, taneczne: To wszystko tworzyli później, na osiedlu Górali. Tam jest klub taneczny krakowiaków, czy coś takiego. Budowano Teatr Ludowy, by ludzi zachęcić do kultury. Chcieli, by nie tylko Kraków świecił zabytkami, ale żeby Huta też miała jakieś ośrodki kultury. Chodziło się nieraz ze szkoły, bo lektury szkolne były w teatrze wystawiane. W kinach ładne filmy, zagraniczne, później także polskie, potem się pojawiła telewizja i jakoś to życie się ciągnie pomału.

Kontakty z Krakowem: Nie było kontaktów z początku. Teraz dopiero od paru lat mówi się, że Nowa Huta jest córką Krakowa i chce się ją przybliżyć, ale to już jest nie to – Kraków to zawsze będzie Kraków, a Huta jest zbiorowiskiem ludzi z całego kraju. Z tym, że ci, co się urodzili już w Nowej Hucie nieraz starają się wykształceniem, postawą nadrobić przepaść. Idą na uczelnie, chcą pokończyć studia. Dużo ludzi wyjechało za granicę.

Kontakty z okolicznymi wsiami: Dobre, raczej przyjazne. W naszej wsi dużo ludzi jest z Pleszowa czy Bieńczyc. Normalne były wymienne małżeństwa. Czy wsie zaopatrywały się nawzajem w produkty? To zależy. Moi rodzice mieli ten wyrób wędlin, to tu przychodzili ludzie z końca, koło Wisły, bo było dobre mięso. Mama zmarła w 1952 roku. Pamiętam jak nam zabrali pole, ponad 60 arów, wielu innym też zabrano. Nie zapłacono nic. Wszędzie tu kopano rowy na kolektory, pamiętam jak mama wyszła przed dom i na kolanach błagała, żeby nie kopali przez nasze pole, bo przecież tam zboże rosło. Ale nic to nie dało.

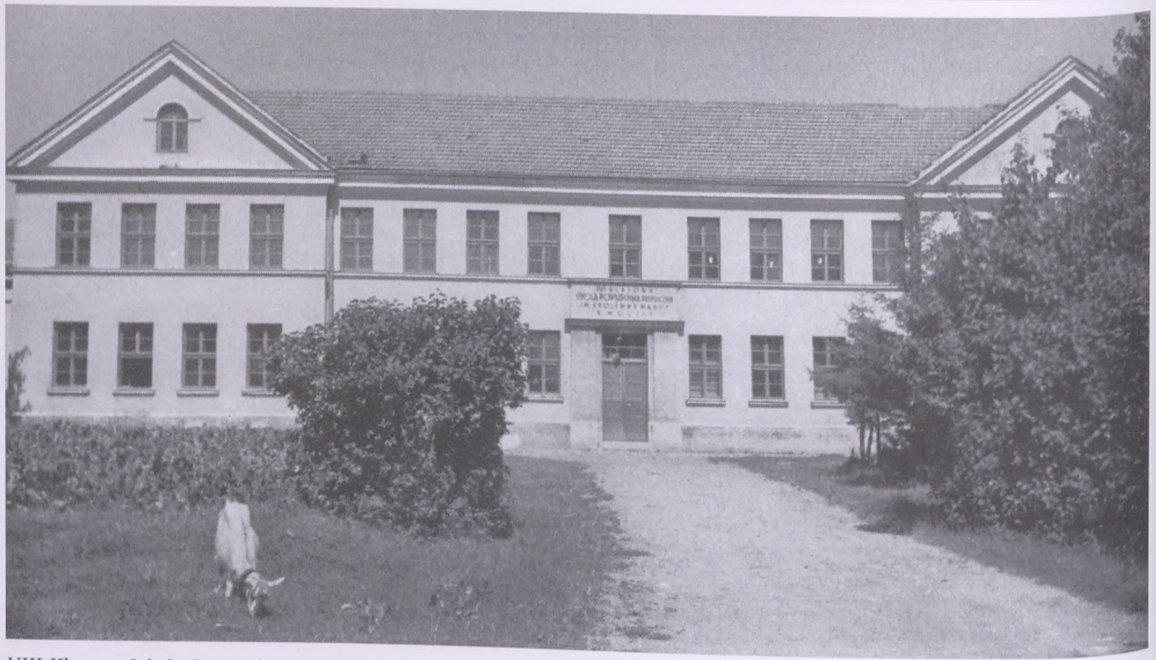
Reakcje na budowę Nowej Huty: Przed powstaniem Huty były to tereny typowo rolnicze. Moja mama na przykład jeździła z mlekiem do Krakowa. Była możliwość sprzedania domowych wyrobów. Ludzie tutaj byli bardzo pracowici i zaharowani. Każdy miał tu kawałek pola, konika lub pożyczał go, i żyło się z tego kawałka ziemi. Potem jak była Huta to najmowano się jako pracownicy fizyczni, zaczęły się otwierać różne oddziały w Hucie im. Lenina. Ludzie robili kursy, dostawali tam pracę i tak żyli. W każdym razie wszyscy zawsze chcieli tu pozostać, przy rodzinie, ziemi. Ja nie wyobrażam sobie gdzie indziej mieszkać. Chociaż z początku bardzo było trudno, bo kombinat dymił, zasiarczał powietrze, wydawało się, że nie wytrzymamy. Potem ochrona środowiska się tym zajęła, jakieś filtry zakładano. Teraz już jest bardzo dobrze. Ale na samym początku koksownia, która już jest chyba nieczynna, tak zanieczyszczała, że szyby trzeba było co tydzień myć, takie były czarne od sadzy. I nie było do kogo iść na skargę, narzekać nie wolno było.

Kontakty z Krakowem: Jechało się na Kleparz po to, żeby coś sprzedać, ziemniaki, buraki, co się tam samemu wyhodowało. Odwiedzało się znajomych? No, jeśli się tam kogoś miało, jakichś krewnych, ale z tej miejscowości to raczej nie było takich kontaktów.

Czasy po powstaniu Nowej Huty: Na początku to nic nie jeździło, robili linię tramwajową. Najpierw był tu pociąg z Czyżyn do Krakowa, do ulicy Mogilskiej. Najczęściej chodziło się na nogach do Krakowa, albo jechało furmankami. Nowa Huta?: Tu oczywiście, często się bywało. Korzystało się z tego, że kina były: Światowid, Sfinks, Świt, Teatr Ludowy.

Walki o krzyż: To był 1960 rok, ja tam coś pamiętam, ale nie za bardzo, bo to młody człowiek był. Raczej nie angażowano się, angażowali się ludzie mieszkający wokół Teatru Ludowego, bo to było blisko. Tam mieszkali ludzie ze wsi, mieli ten krzyż, którego pilnowali i mieli obiecane, że kościół powstanie, tam się odbywały nabożeństwa. Później zaczęły krążyć pogłoski, że władza nie chce kościoła w tym miejscu, więc rozpoczęła się walka o to właśnie miejsce, żeby tam kościół powstał. No i kościół jest.

Notowała Anna Bartys, wrzesień 2007 r.



VIII Klasowa Szkoła Powszechna Publiczna im. Królewny Wandy w Mogile, 1949 r. Własność: Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Oddział Dzieje Nowej Huty



Budynek Urzędu Gminy w Mogile, 1949 r. Własność: Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, Oddział Dzieje Nowej Huty

Z Krakowa do Mogiły, wzdłuż gościńca wojewódzkiego

Do czasu rozpoczęcia budowy Nowej Huty wieś Mogiła była spokojną, podkrakowską osadą, odwiedzaną licznie przez pielgrzymów podążających do Sanktuarium Podwyższenia Krzyża Świętego w klasztorze cysterskim. Przybywali tu także krakowianie urządzający sobie sielskie wycieczki w okolice kopca Wandy, z którego rozciągał się piękny widok na panoramę Krakowa.

Do Mogiły można było przypłynąć parostatkiem wypływającym z przystani pod Wawelem a w Mogile przybijającym do brzegu w miejscu dzisiejszego nowego mostu. Można było też dojechać pociągiem, który przyjeżdżał 2 razy dziennie. Trasa z Krakowa była następująca: pierwszy postój po wyjeździe z Krakowa był na stacji Grzegórzki koło dawnych Krakowskich Zakładów Mięsnych (dziś znajduje się tu Galeria Kazimierz). Potem tory biegły wzdłuż ulicy Grzegórzeckiej i skręcały w stronę Monopolu Spirytusowego wzdłuż ul. Fabrycznej – tu była kolejna stacja, Dąbie. Budynek stacji stoi do dziś przy ul. Fabrycznej 16, a ostatni urzędujący w niej naczelnik mieszkał tu do grudnia 2003 r. Następnie pociągi zatrzymywały się na przystanku Wieczysta – był to mały budynek stojący wtedy na wysokości wejścia do zabudowań młyna Wieczysta, od których dzielił go tor bocznicy kolejowej służącej do rozładunków towarów dla młyna. Dalej droga wojewódzka i tory kolejowe dużym łukiem okrążały fort Pszorna. Było to miejsce, gdzie pociąg zwalniał i gapowicze wyskakiwali uciekając przed konduktorem. Droga w tym miejscu była niebezpieczna. Często miały tu miejsce napady na rolników wracających w dni targowe z Krakowa. Mówiło się na to miejsce „pod krzyżem" bo tuż za fortem przy drodze stał krzyż drewniany. W czasie budowy linii tramwajowej z Krakowa do Nowej Huty, w 1950 r., fort rozebrano. Kolejna stacja, w Czyżynach, była miejscem, gdzie od głównej trasy biegnącej do Kocmyrzowa następował rozjazd w kierunku Mogiły.

Ten krótki odcinek torów biegł w kierunku Mogiły prawą stroną obok drogi zwanej wojewódzką (po 1951 r. Al. Planu 6-letniego, obecnie Al. Jana Pawła II). Na wysokości dzisiejszego Placu Centralnego były tzw. Ośne Doły (wśród wielu mieszkańców funkcjonuje też nazwa Ośle Doły). Było to głębokie obniżenie terenu spadające w kierunku łąk, którym spływała z pól woda w czasie wiosennych roztopów. Może z tego powodu były tu problemy z przejazdem i łamały się osie wozów. Za Ośnymi Dołami droga rozdzielała się – od drogi głównej odbijała na drugą stronę torów kolejowych boczna dróżka, która biegła równolegle po drugiej stronie torów a służyła do dojazdu do pól.

Stacja kolejowa w Mogile znajdowała się ok. 100 m przed cmentarzem, pomiędzy drogą wojewódzką a torami. Był to niewielki budynek, którego część zajmowało mieszkanie dyżurnego ruchu a część pomieszczenie kas biletowych. Poczekalnia dla pasażerów była na zewnątrz, osłonięta jedynie daszkiem. Przed stacją była krótka bocznica do placu wyładunkowego, gdzie dostarczano materiały budowlane do budowy nowego miasta. Przed zamykającą tor, żelazną zaporą, był jeszcze jeden boczny tor w kształcie pętli, umożliwiający nawracanie lokomotywy.

Tor kończył się przed krótką drogą odbijającą od drogi głównej. Po jej drugiej stronie stał budynek mieszczący szlachtuz czyli rzeźnię, prowadzoną przez braci Pitrów.

Stacja w Mogile była końcem podróży dla wielu młodych ludzi w 1950 r., poszukujących pracy. Początkowo, po wyjściu z pociągu udawali się do namiotów. Wkrótce jednak powstały hotele robotnicze, mieszczące się w nowo wybudowanych blokach na osiedlu A0 (dziś Na Skarpie).

W miejscu gdzie dzisiaj wytyczona jest ulica Klasztorna, jeszcze po wojnie płynęła odnoga Dłubni. Jej koryto było niezbyt szerokie i biegło pomiędzy drogą a zabudową po jej wschodniej stronie, blisko domów. Przy skrzyżowaniu drogi wojewódzkiej z ul. Klasztorną, po prawej stronie była restauracja Staszyszyna. Po przeciwnej stronie drogi, w domu pod numerem 3 mieszkali bracia Lelonek – masarze, prowadzący sklep ze swoimi wyrobami: mięsem, wędlinami (dzisiejsza młodzież już nie zna nazwy „masarnia"). W ścianie tego domu od strony ulicy, do dziś zachował się otwór okienny, obecnie zasłonięty okiennicą, przez który sprzedawano wyroby. Do sklepu przechodziło się kładką rzuconą przez Dłubnię naprzeciwko tego domu.

Odnoga Dłubni płynęła wzdłuż drogi, przez dziedziniec klasztorny i zasilała młyn stojący obok klasztoru. Dom młynarza Chwastka przy ul. Klasztornej 11a zachował się. Między nim a murem ogrodzeniowym klasztoru widać jeszcze ślady dawnego młyna. Następny młyn – Lelity, był przy ul. Żaglowej.

Do kościoła przechodziło się z ulicy przez mały mostek nad Dłubnią, znajdujący się na wprost wejścia do kościoła. Nieco dalej w kierunku Wisły, po drugiej stronie drogi niż klasztor, obecnie przy ul. Klasztornej pod numerem 22, znajdował się mały murowany dworek, stanowiący wraz z zabudowaniami gospodarczymi folwark klasztorny. Dziś bardzo zaniedbany, można powiedzieć zrujnowany przez użytkowników, zasłonięty jest od strony ulicy dziko rosnącymi krzewami bzu.

listopad 2004 r. ***Józef Hajto***



Stacja kolejowa w Mogile, pocz. XX w.



Parostatek „Światowid", przemianowany w czasie wojny na „Hans Frank", Mogiła, ok. 1943 r., fot. Stefan Tejkowski



Namioty brygad SP na polach Mogiły, 1949 r., fot. Stanisław Senisson/A.G.



Droga z Mogiły do Krakowa w pobliżu zakładów Monopolu Tytoniowego w Czyżynach, lata okupacji

Historia kapliczki św. Jana Nepomucena w Mogile

Ta niesłychana historia zasłyszana w dzieciństwie przez pana Stefana Żelichowskiego, miała miejsce w czasie wielkiej powodzi, prawdopodobnie w 1903 roku. Wisła porwała dom p. Mikołaja, mieszkańca Łęgu (nazwiska mój rozmówca nie pamięta, określił jedynie orientacyjną datę jego urodzenia na 1870 rok). Dom był konstrukcji węgłowej, przez co nie uległ zniszczeniu lecz płynął w całości z nurtem rzeki. Pan Mikołaj, ratując się przed zalaniem, wcześniej wspiął się na dach swego domu i tak dryfując na nim dopłynął do Mogiły. W pewnym momencie, przerażony beznadziejną sytuacją wezwał imię św. Jana Nepomucena, patrona powodzian. Krzyknął w rozpaczy: „Święty Janie, ratuj". Po chwili dom szczęśliwie osiadł przed okazałymi lipami.

Na pamiątkę cudownego uratowania, w miejscu gdzie zakończył „podróż" na dachu swego domu, p. Mikołaj ufundował kapliczkę św. Jana Nepomucena – stoi do dziś przy ul. Odmętowej. Drewnianą figurę świętego mógł dostać lub zakupić z jakiegoś kościoła, bo wygląda na starszą niż opisane wydarzenie. Na początku Jan Nepomucen stał na dębowym odciosku (dolna część pnia drzewa). Osłaniająca go kapliczka sporządzona była z czterech drewnianych słupów, na których wsparto prowizoryczny daszek. Za czasów probostwa ks. Zastawniaka, pan Tadeusz Stelmachowski wykonał kapliczkę betonową, która przetrwała do dziś. Kiedyś na płycie betonowej położonej przed kapliczką była data jej wybudowania ale fragment ten nie dotrwał do naszych czasów. Ubita płyta kończy się na fragmencie inskrypcji „RP ... +".

Po II wojnie kapliczką opiekowali się mieszkańcy z sąsiednich domów. Przez wiele lat dbali o nią państwo Stefańscy. Od 10 lat opiekują się nią państwo Zofia i Stefan Żelichowscy. Kilka lat temu wandale urwali część dłoni świętego Jana oraz wyrzucili do pobliskiej fosy krzyż. Po rekonstrukcji ubytków figurę pomalował (na swój koszt) farbami olejnymi Kazimierz Kołodziejczyk.

Niestety cztery okazałe lipy trzeba było stopniowo wycinać, gdyż usychając zagrażały bezpieczeństwu ludzi i kapliczki. Ostatnie dwie wycięto 2 lata temu. Pan Żelichowski posadził obok kapliczki 2 nowe lipy i tuje.

To wspaniale, że wokół nas są tacy właśnie ludzie, którzy bezinteresownie pielęgnują miejscowe tradycje i dbają o pamiątki z dawnych lat. Ważne jest, aby mieli komu przekazywać swoją wiedzę i aby znaleźli się kolejni opiekunowie kapliczek i innych starych obiektów. Wierzę, że tacy na pewno się znajdą.

Wspomnienia Stefana Żelichowskiego spisał Antoni Łapajerski, pierwotnie ukazały się na portalu www.nhmz.go.pl, grudzień 2004 r.



Kapliczka św. Jana Nepomucena w Mogile, lata okupacji, fot. Stefan Tejkowski



„Pamiętajcie o ogrodach
przecież stamtąd przyszliście
w żar epoki użyczą wam chłodu
tylko drzewa, tylko liście.
Pamiętajcie o ogrodach
czy tak trudno być poetą?
w żar epoki nie użyczą wam chłodu
żaden schron, żaden beton."

(J. Kofta)

„Tam, gdzie piaski i ugory"

Ile razy w minionych latach słyszałam w radiu tę piosenkę o Nowej Hucie, zgrzytałam zębami! Od najwcześniejszego dzieciństwa Mogiła, Bieńczyce, Pleszów czy inne okoliczne wsie kojarzyły mi się zawsze z pięknymi sadami, ogrodami pełnymi kwiatów, łanami złocistej pszenicy, brązem suszących się koło chałup liści tytoniu czy całymi hektarami dorodnych buraków cukrowych. Postanowiłam zamieścić w niniejszej wypowiedzi różne informacje, zasłyszane i przeczytane w gazetach, czasopismach i książkach. Wyłania się z nich następujący obraz tej podkrakowskiej ziemi.

Gdy w 1222 roku do Mogiły sprowadzono ze Śląska zakon Cystersów, założyli oni swój klasztor na płaskim, żyznym terenie. Blisko Wisły. Zakon ten od dawna słynął z umiejętności uprawy roli, zakładania sadów, ziołolecznictwa i prowadzenia hodowli bydła domowego. W Szwajcarii już w XII wieku zapoczątkowali uprawę winorośli i zakładali winnice, które możemy podziwiać nad jeziorem Genewskim do dzisiejszego dnia. Z chwilą zamieszkania na podkrakowskich ziemiach swoją wiedzą zaczęli dzielić się z okolicznymi gospodarzami, dostarczali im sadzonek roślin i nasiona, uczyli kultury rolnej. Wkrótce najskromniejsza nawet chałupa wiejska posiadała ogród i sad, a także krowę czy konia. Cystersi założyli także koło swojego klasztoru ogród, istniejący zresztą do dziś. Składał się on wówczas z bardzo charakterystycznych prostokątnych i kwadratowych kwater, obsadzonych drzewami. Dziś ten ogród ma tylko 4 hektary, ale ostało się tu wiele pięknych drzew. Rosną drzewa owocowe, są także dęby, lipy i topole. Na uwagę zasługują rzadkie, nietypowe drzewa jak katalpa czy metasekwoja chińska. Z suchych nasion tzw. prosa jerozolimskiego, zwanego także łzami Hioba, zakonnicy wyrabiają piękne różańce. Uprawia się tu również zioła, warzywa i kwiaty.

Z dzieciństwa pamiętam bardzo dobrze jak w ogrodzie moich Dziadków Dyniów, znajdującym się naprzeciw klasztoru, rosło wiele drzew owocowych. Pamiętam wśród nich drzewa morwowe i derenie. Kiedyś wielu gospodarzy miało morwy w swoich ogrodach. Prowadzono bowiem, wg. wskazówek O.O. Cystersów, hodowle jedwabnika. Nigdy nie zapomnę smaku słodkich owoców tego drzewa. A z owoców derenia moja Babcia robiła słynną na całą rodzinę nalewkę. Nie ma już tych drzew w byłym babcinym ogrodzie. Zostały wycięte w latach 50-tych.

Wspaniałe żyzne ziemie uprawne sprzyjały zakładaniu plantacji złocistego tytoniu. Rósł wspaniale i dawał niezły zarobek gospodarzom. W 1935 roku rozpoczęto w Czyżynach budowę Zakładu Uprawy i Fermentacji Tytoniu, który później kontraktował po wsiach znaczne ilości tej rośliny. Do dziś pracują w Czyżynach Zakłady Przemysłu Tytoniowego SA W wielu wsiach wokół Mogiły powstawały także gospodarstwa ogrodnicze. W Grębałowie zaistniała nawet firma kwiaciarska „FREEGE", która dostarczała do swoich sklepów w Krakowie kwiaty ozdobne i krzewy. Pamiętam jeden z takich sklepów-kwiaciarni „FREEGE", który mieścił się w jednym z narożników Sukiennic, naprzeciw Hawełki. W Czyżynach, przy stacji kolejowej, dyplomowany ogrodnik i przyjaciel moich Rodziców Jan Szklarczyk założył piękny, duży ogród z inspektami i szklarnią. Uprawiał dużo rzadkich warzyw np. endywię, cykorię czy skorzonerę. Odstawiał je do Krakowa, gdzie chętnie je kupowano na mieszczańskie stoły. Był więc jakby prekursorem warzyw, które dziś znów wróciły do łask. Z okolicznych sadów, które dawały bogate plony, zwożono na krakowski Kleparz czy Plac Szczepański (tu także był targ) wspaniałe gatunki jabłek (tych gatunków dziś się już nie spotyka), gruszki czy ogromne, fioletowe śliwy. Codziennie kolejka kocmyrzowska czy liczne furmanki zwoziły te owoce do Krakowa, gdzie już na nie czekano. Wspomniałam o hektarach buraków cukrowych. Udawały się wspaniale na tych ziemiach. Były dorodne i posiadały duży procent cukru. W czasie okupacji hitlerowskiej największym przysmakiem nas, dzieci, były pieczone w piecu buraki, które zjadaliśmy jeszcze ciepłe. Tak bardzo byliśmy spragnieni słodyczy. Buraki kontraktowała Cukrownia w Chybiu. W różnych materiałach przeczytałam, że już w II połowie XIX wieku na tych ziemiach uprawiano ziemniaki. W latach 30-tych doszła kapusta, rabarbar i truskawki. W wielu wsiach istniały kółka rolnicze, a w Mogile założono Szkołę Rolniczą, gdzie uczono nowoczesnej uprawy roli i hodowli bydła. Bardzo szybko co bogatsze dwory i gospodarstwa chłopskie wprowadziły maszyny rolnicze, ułatwiające pracę na polach. Na „tych piaskach i ugorach" pięknie bowiem rodziła pszenica i inne zboża. Aby je przerobić powstało w okolicy kilka młynów. W Mogile młyny mieli Klękowie, Lelitowie i Chwastkowie. Jeden pracował w Mistrzejowicach i po jednym w Grębałowie i Krzesławicach. Był wtedy zwyczaj, że chleb piekło się w domach, gdzie były piece chlebowe. Lubiłam uczestniczyć w takich czynnościach, gdy moja Babcia wyrabiała w dzieży chleb, następnie wkładała do przepaścistego pieca razem z moimi ulubionymi podpłomykami. Cóż to potem była za uczta, gdy można było zajadać wielkie pajdy tego bardzo smacznego chleba, posmarowanego domowym masłem. Smakowało też do niego zimne kwaśne mleko. Wokół wszystkich wsi rozciągały się piękne, bujne łąki. Ponieważ wiele z nich, leżących bliżej Wisły, było trochę podmokłe, w 1912 roku powstała Spółka Wodna, która zajęła się osuszaniem wielu z nich, zyskując nowe tereny pod uprawę i hodowlę bydła domowego. Szczególnie wiele krów i koni hodowano w Mogile i Pleszowie. Z uwagi na obfitość łąk, ogrodów i sadów w tym rejonie w wielu gospodarstwach zakładano pasieki. W ogrodzie moich Dziadków Dyniów także było kilka uli. Babcia bardzo kochała kwiaty i miała ich wokół uli bardzo dużo. A my kochaliśmy miód! Cystersi nauczyli chłopów także prowadzenia gospodarki rybnej. Sami założyli za klasztorem kilka stawów hodowlanych. Dziś na tym terenie jest tylko stadion KS Hutnik. Duże uprawy rolne prowadzono głównie na polach, będących własnością O.O. Cystersów (Mogiła, Zesławice, Kantorowice) ale były także indywidualne gospodarstwa chłopskie, liczące nawet po kilkanaście morgów. W czasie II wojny światowej umiejętności rolniczo-hodowlane tut. gospodarzy pomogły im przeżyć ciężkie lata okupacji i wyżywić rodziny.

I tak, w wielkim skrócie, wyglądało przez lata życie rolników mogilskich, pleszowskich, bieńczyckich i mieszkańców okolicznych wsi na opiewanych w piosence „ugorach i piaskach"! Nie możemy zapomnieć o ludziach, którzy karmili nas, krakowian, przez setki lat i o tym, że ich gospodarstwa były zapleczem owocowo-warzywnym dla dużego przecież miasta. Musimy pamiętać, że pomogli nam przeżyć lata okupacji, choć i im nie było lekko żyć w tamtym czasie.

„Pamiętajcie o ogrodach, przecież stamtąd przyszliście"!

Jadwiga Skiba



Apolonia Dyniowa z córkami: Marylą, Heleną i Anielą, synem Julianem oraz dziećmi Anieli – Jadwigą i Adamem w ogrodzie domu rodzinnego na tle klasztoru OO. Cystersów, Mogiła, 1943 r.

„Cios w gniazdo reakcji"

Mieszkając od 1968 roku w bliskim sąsiedztwie cysterskiego Opactwa w Mogile, bywałem w tym czasie dość regularnie świadkiem takich sytuacji, gdy w trakcie liturgicznych nabożeństw nagle przewalał się nad kościołem i klasztorem potężny, nieprzyjemny ryk: gooolll...! Stadion bowiem, jak wiadomo, znajduje się tuż za murem okalającym klasztor. Stąd też często ludzie idący do kościoła mijali się z tabunami kibiców i skorych do rozróbek pseudokibiców, bo zanim nastały wolne soboty, mecze piłki nożnej odbywały się zwykle w niedziele i święta. Ale i teraz w dniach takich meczów przez te sakralne miejsca przetaczają się rozdzierające powietrze wrzaski i gwizdy. Zdarzające się czasem bijatyki i wandalizm groziły nawet zamknięciem stadionu. To niedobre, nigdzie chyba nie spotykane sąsiedztwo dwóch tak radykalnie różnych obiektów – kultu religijnego i igrzysk sportowych – zawsze raziło tutejszą społeczność, ale też wielu do niego przywykło. Dziś zapewne mało kto z krakowian wie, jak doszło do tak skandalicznej i rażąco nielegalnej lokalizacji dużego stadionu w bezpośrednim sąsiedztwie zabytkowego, siedmiowiekowego kompleksu klasztorno-kościelnego i sławnego pielgrzymkowego Sanktuarium Krzyża św. w Mogile.

Otóż, w 1955 r. tutejsi aktywiści związani z ówczesnym klubem sportowym „Stal" Nowa Huta uznali, że dogodnym miejscem na stadion będą położone obok klasztoru tereny zwane Suchymi Stawami. Tym oksymoronem określano kilkuhektarowy obszar z obwałowaniami, gdzie urządzone były od wieków klasztorne stawy rybne. Dawne fotografie ukazują, jak w tafli wodnej tych rozległych stawów przeglądały się prastare mury kościoła i opatówki. Klasztorne gospodarstwo rybne przestało istnieć w 1945 roku, a w 1949, w związku z budową Nowej Huty, zasypano też odnogę rzeki Dłubni, która od sześciu stuleci zasilała wodą cysterskie stawy hodowlane i napędzała okoliczne młyny. Władze komunistyczne zredukowały własność mogilskiego klasztoru do skrawka ziemi opasanej murem ogrodzeniowym. Trzeba tu dodać, że na obszarze Nowej Huty władze te zagarnęły z własności kościelnej (parafii i zakonu cystersów) około 210 hektarów gruntów. Budowę stadionu rozpoczęto i prowadzono zupełnie dzikim sposobem, nadając jednocześnie tej samowoli budowlanej propagandowe miano młodzieżowego czynu lipcowego „Był to popisowy egzamin dojrzałości nowohuckiej młodzieży, zdany na piątkę z plusem" – oceniono później to rażące bezprawie. Gdy wiosną 1956 r. wznowiono roboty, kierownik budowy stadionu – inż. Alojzy Cyrulik – przystąpił do załatwiania formalności prawnych, tj. zezwolenia na budowę oraz dokumentacji projektowej. I wtedy zdarzyła się rzecz niesłychana jak na owe czasy. Otóż architekt miejski w Krakowie i konserwator zabytków – zapewne w wyniku protestów strony kościelnej – uznali tę zaawansowaną już budowę stadionu na Suchych Stawach za dziką i nielegalną. Teren ten zakwalifikowali jako zabytkowy. Stwierdzili nadto, że stadion i odbywające się nań imprezy oraz stroje sportowców kolidują z charakterem obiektów sakralnych i godnością miejsc kultu religijnego, a tym samym będą siać zgorszenie i niezadowolenie mieszkańców...

Na takie zgoła nieoczekiwane stanowisko urzędników miejskich niewątpliwie miały wpływ nie tylko protesty i prośby strony kościelnej, ale w większym chyba stopniu zaczątki „odwilży" politycznej, znanej pod nazwą polskiego Października '56. A być może również właściwy Krakowowi – uważanemu wtedy przez komunistów za „gniazdo reakcji" – zdrowy klimat społeczny. Warto w tym miejscu wspomnieć o swoistym fenomenie: w najtrudniejszych latach ery stalinowskiej nikt z grona krakowskich konserwatorów zabytków nie należał do partii! (zob. „Wiadomości Konserwatorskie Województwa Krakowskiego", t. I/94, s. 104). Niezadowoleni z tej decyzji inicjatorzy budowy stadionu podjęli natychmiast różne interwencje: u przewodniczącego Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa (dra Garlickiego), w miejscowej prasie i na naradach partyjnych. Wobec tego, iż okazały się nieskuteczne, towarzysze z Nowej Huty poskarżyli się władzom w Warszawie. Finał ich zabiegów tak opisuje wspomniany inż. Cyrulik: „Byłem u przewodniczącego GKKF Reczka, dla którego sprawa była prosta, nie wymagała dyskusji. W mojej obecności zatelefonował do przewodniczącego Komitetu Architektury i Urbanistyki i sprawa została z miejsca załatwiona. Po pół godzinie osobiście odebrałem pismo unieważniające decyzję konserwatora miejskiego Krakowa i równocześnie wyrażające zgodę na lokalizację stadionu na Suchych Stawach w Nowej Hucie" (por. „Pamiętniki inżynierów", wyd. Czytelnik, Warszawa 1966, s. 470). W ten sposób budowę kontynuowano już bez przeszkód administracyjnych.

W następnych dziesięcioleciach na obejmującym ponad 20 hektarów terenie sąsiadującym ze stadionem powstawały dalsze obiekty: hala sportowa z basenem, lodowisko, korty tenisowe, kilka boisk treningowych i towarzyszące im pawilony.

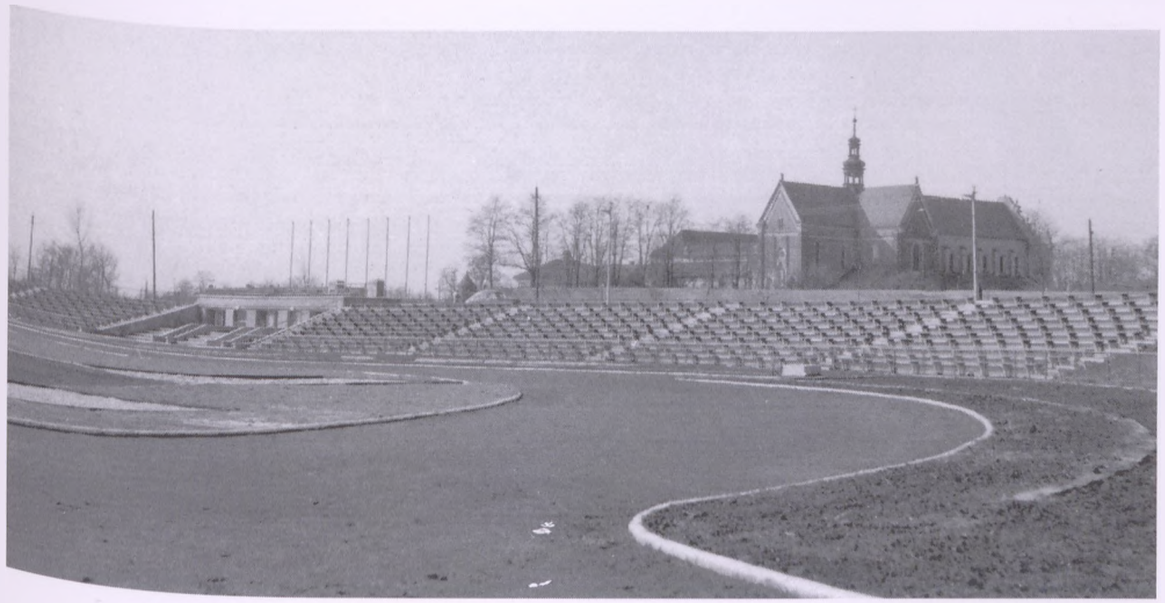
Myślę, że nie należy rezygnować z marzeń, by przy okazji dokonywanych przez miasto przekształceń własnościowych dotyczących tego giganta sportowego, przynajmniej stadion piłki nożnej, usytuowany najbliżej

zabytkowego kompleksu sakralnego, zmienił jakoś ewolucyjnie swoje funkcje, może np. na rehabilitacyjne, gimnastyczne, wystawowe, amfiteatralne itp., wyzbywając się dzięki temu niechlubnej roli poniekąd pomnika tępej złośliwości i bezprawia komunistycznego względem Kościoła.

Ideologiczne motywy lokalizacji Nowej Huty wyrażały krzyczące tytuły w gazetach z tamtych lat: „Nowa Huta – cios w gniazdo reakcji!", „Robotnicza pięść w strupieszały Kraków!". Budowa stadionu przy murze Mogilskiego Sanktuarium, na zagrabionych klasztorowi gruntach, wpisywała się w realizację tych celów władz komunistycznych.

Stanisław Misiak

Artykuł ukazał się pierwotnie w „Mogilskim Krzyżu", w maju 2000 r.



Stadion K.S. Hutnik na Suchych Stawach, w tle kościół i klasztor OO. Cystersów, Mogiła, lata 60. XX w.

Bieńczyce



Między staropolskim Krakowem a parafią w Raciborowiach

Kto dziś pamięta bogactwo wsi Bieńczyce, tak bardzo przydające splendoru parafii w Raciborowicach? Zamożność owej wsi, którą administrowały osoby związane z Uniwersytetem Krakowskim, a czasem jego profesorowie trzymali dzieci bieńczyckich kmieci do chrztu. Ta mądra wieś, z budzącym się samorządem, nie dająca dmuchać sobie w kaszę. Wieś zawieszona pomiędzy starą stolicą Polski i głębszą prowincją, dziś śpiąca pod fundamentami blokowisk. Czekająca jak legendarni kamienni rycerze na wyzwolenie z odmętów czasu.

Refleksja zwrócona ku przeszłości karze się zapytać: jak bardzo wieś, leżąc tak blisko pierwszej polskiej stolicy, była zależna od metropolii. Jak wyglądał kontakt pomiędzy prowincją i Krakowem, stanowiącym ośrodek handlu, kultury i polityki. Łatwej nam będzie odpowiedzieć na to pytanie poprzez przyjrzenie się ówczesnej parafii w Raciborowicach, do której przez wieki Bieńczyce należały.

Kraków staropolski był otoczony jurydykami i wsiami służebnymi, z których szły produkty spożywcze i towary na utrzymanie miasta. Za strefą podmiejską dalsze wsie również utrzymywały z Krakowem wielopłaszczyznowy kontakt. Parafia w Raciborowicach, której znakomita część to dzisiejsza dzielnica miasta Nowa Huta, leży nad Dłubnią, rzeką niewielką, lecz idealną, podobnie jak nieodległy Prądnik, do gospodarczego wykorzystania. W czasach nowożytnych obszar omawianej parafii tworzyło 11 wsi należących do różnych właścicieli, ale z przewagą instytucji kościelnych. Raciborowice, Dziekanowice, Batowice, Węgrzce i Mistrzejowice były wsiami prestymonialnymi krakowskiej kapituły katedralnej. Znaczy to, że zarządzali nimi i czerpali dochody członkowie kapituły, a więc kanonicy, scholastycy, kantorzy, biskupi i inni wysocy urzędnicy krakowskiego Kościoła. Duża i bogata wieś Bieńczyce stanowiła własność prepozytury św. Floriana na Kleparzu. Zastów należał do klucza dóbr biskupstwa krakowskiego w Wawrzeńczycach. Kantorowice, Zesławice i Wiktorowice były własnością cysterskiego opactwa w Mogile. Wsią Mistrzejowice zarządzali scholastycy Szkoły Katedralnej na Wawelu. Kończyce były w posiadaniu różnych szlachciców.

Przez obszar parafii przebiegało kilka istotnych dróg z miasta. Pierwsza szła przez Dziekanowice, Bosutów i Kończyce w kierunku Skalbmierza. W XV w. była główną trasą z Krakowa do Wielkopolski i Prus (zwana od XV w. „drogą słomnicką")[1]. Przez Węgrzce na północ szedł gościniec warszawski. Zastów przecinał idąc w kierunku Luborzycy tzw. gościniec krakowski[2]. W 1764 r. w Mistrzejowicach, ówcześnie pod zarządem ks. Hieronima Wielogłowskiego, sufragana przemyskiego i scholastyka krakowskiego, zlecono młynarzowi reparację dwóch mostów na trakcie do Krakowa, z których jeden woda całkowicie zerwała[3].

Podczas sejmików Województwa Krakowskiego była kilkakrotnie podnoszona sprawa kłopotów, jakie w Bieńczycach czyni rzeka Dłubnia. Idąca przez wieś droga z miasta w stronę Proszowic bywała niszczona. W 1618 r. zaznaczono, że trakt „często (...) zatopiony bywa i z zbytniej mokrawy bagniska orać się zwykły, które furmanom i ludziom stanu szlacheckiego i poddanym ich zboża rozmaite tamtędy prowadzące (...) wielkich szkód częstokroć nabawiają"[4].

Drogi nie były bezpieczne. W raciborowickich metrykach zmarłych powtarzają się wpisy o ludziach zmarłych w drodze, szczególnie tzw. ludzi luźnych oraz kupców. Śmiertelny wypadek przytrafił się w Batowicach młodziankowi Janowi Kwapisikowi z Luborzycy, idącemu nocą z Krakowa. Kwapisik został pochowany na cmentarzu w Raciborowicach[5]. W szpitalu przykościelnym i karczmach umierali znajdywani przez okolicznych chłopów ranni i chorzy. Napotykano również zwłoki podróżujących.

Drogi wpływały na kontakty między mieszkańcami i osobami podróżującymi, które przystawały w karczmach. Karczmy były w większości wsi, czasem i po dwie. Konsekwencją była wymiana towarowa, zarobek i nabycie nowych doświadczeń. Wsie raciborowickie, leżąc blisko miasta stołecznego, czerpały z tego tytułu profity. Niechże przykładem tego będą słowa pamiętnikarza i właściciela Batowic Kazimierza Girtlera, który w połowie XIX wieku nazywał Raciborowiczan „szlachtą chłopską"[6].

Większość parafialnych wsi miała swego właściciela w Krakowie, co wzmacniało powiązanie z miastem. Wśród nich byli kanonicy kapituły katedralnej jako zarządcy (posesorzy) wsi prestymonialnych i proboszczowie (np. kaznodzieja ks. Paweł z Zatora, kronikarz ks. Jan Długosz, sekretarz królewski ks. Jan Fox czy pochodzący z Rzymu kapelmistrz kapeli katedralnej ks. Hannibal Orgas). Dzięki takim personom kościół w Raciborowicach ubogacił się o wiele cennych przedmiotów, w tym pochodzących z Wawelu (np. duży krzyż gotycki z konającym Chrystusem z 1440 r. i barokowe konfesjonały).

Kościół w Raciborowicach to przykład nadwiślańskiego gotyku. Należy do budowli powstałych w kręgu mecenatu ks. Jana Długosza. Świątynia posiada oddzielną dzwonnicę na murowanej, gotyckiej części przyziemnej

z 1476 roku. Budowę kościoła rozpoczął ok. 1461 r. ks. Paweł z Zatora, a zakończył ks. Jan Długosz w 1476 r.[7]

W parafii działały religijne zgromadzenia. Bractwo ubogich założono za bpa Zbigniewa Oleśnickiego na podobieństwo Bractwa istniejącego przy bazylice mariackiej w Krakowie[8]. Bractwo to upadło w połowie XVII w, kiedy ks. Hannibal Orgas założył nowe bractwo różańcowe. W okresach zarazy dostojnicy Kościoła krakowskiego nierzadko szukali w Raciborowicach schronienia, gdyż miasto leżało w terenie bagiennym, co jakże sprzyjało wybuchowi zarazy.

Krakowianie pojawiali się na opisywanych wsiach regularnie. Uczestniczyli w ceremoniach religijnych, tak jak w 1605 r. mieszczka Anna Mykowiczowa, która była chrzestną dziecka Baltazara i Konstancji Witkowskich, dzierżawców Bieńczyc. Ojcem chrzestnym był prepozyt kościoła św. Floriana na Kleparzu o nazwisku Golen. Inną Krakowianką była wielokrotnie Antonina Izdebska: w 1786 r. chrzest u Andrzeja i Ewy Nawarów z Dziekanowic, rok później u Błażeja i Elżbiety Jasiak z Dziekanowic, a w 1791 r. wraz z Krakowianinem Stanisławem Majewskim trzyma dziecko Piotra i Barbary Przeźmińskich z Zesławic. Przeźmińscy mogli wywodzić się z Krakowa, skoro w 1787 r. mieszczanie Józef Izdebski i Barbara Przeźmieńska są chrzestnymi u Bochenków z Blechu. Krewnymi wspomnianego Majewskiego mogli być Batowiczanie Franciszek i Magdalena Majewscy. Na chrzcie ich córki Agnieszki w 1787 r. pojawia się mieszczka Salomea Wykurzeska[9]. 4 listopada 1730 r. został w Raciborowicach odprawiony pogrzeb Jana Pawłowskiego, dziedzica z Kończyc, który jednak nie został pochowany w parafialnej świątyni, lecz w krakowskim kościele Reformatów[10]. Może był to ślad częstych utarczek o sąsiedzką miedzę kończyckich szlachciców z raciborowickimi plebanami.

W materiałach źródłowych do dziejów parafii w Raciborowicach często pojawiają się odniesienia do Krakowa. Okazuje się, że nie tylko była to kwestia własności krakowskiego Kościoła, ale i kontaktów związanych z przyjęciem do prawa miejskiego, kształceniem chłopskich synów w miejskich cechach rzemieślniczych i udziałem krakowian w życiu gospodarczym wsi. Wpływ miasta uwidocznił się w nazewnictwie. W wizytacji Węgrzc z 1764 r. wymienione jest pole dworskie zwane Krakowiec, które ciągnie się od granicy prądnickiej aż po role kmiece. Miejscowa ludność drogi idące z Krakowa nazywała „krakowskimi"[11].

Jako przykład udziału mieszczan w gospodarce wsi kapitulnej może służyć kontrakt dzierżawny, jaki 31 marca 1765 r. zawarła kapituła z Antonim i Katarzyną Piaseckimi z Krakowa na młyn w Węgrzcach, wsi będącej wówczas prestymonium bpa kijowskiego i kanonika krakowskiego Józefa Załuskiego. Z kontraktu opiewającego na roczną sumę 3400 zł wynika, że wcześniej młyn dzierżawili również Krakowianie: od 1758 r. niejaka Krauzowa, a po niej Antoszewski[12].

13 maja 1794 r. przywilej na młyn kapituła wydała dla Franciszka i Konstancji Szwierczkowskich; Franciszek był sukiennikiem. Małżeństwo dobrze znało się na kunszcie młynarskim, jak zapewniał promujący ich hrabia ks. kanonik Wacław Sierakowski[13]. W okolicach Raciborowic młynarstwo było dobrze rozwinięte, o czym świadczą inwentarze gospodarcze. W każdej z omawianych wsi, które leżały nad rzeką Dłubnią, stał młyn[14].

Wróćmy do Uniwersytetu Krakowskiego. Z Raciborowicami sąsiaduje parafia w Luborzycy, gdzie rektorzy uczelni byli zarządcami. Z okolic tej miejscowości wywodziła się znaczna grupa żaków. W XV w. studiowało w Alma Mater także kilku parafian raciborowickich (m.in. Maciej, syn Jana z Raciborowic; Maciej, syn Stanisława z Dziekanowic; Marcin, syn Marcina z Batowic)[15]. Prawdopodobnie w sąsiednich Węgrzcom Bibicach istniała kolonia żaków. Pochodną tego jest utrzymywany do dziś w Bibicach zwyczaj „chodzenia pucheroków". Miał się on wziąć z chodzenia ubogich żaków (puerów) po wsiach, którzy za odgrywane w barwnych strojach przedstawienia dostawali żywność[16]. Z Bieńczyc i części Węgrzc szły dochody na utrzymanie uczelni.

Podkrakowscy chłopi przenikali do miasta. Najwięcej przybywało ich z północy i północnego zachodu w promieniu 50 kilometrów od Krakowa. Byli oni zainteresowani głównie terminowaniem w rzemiosłach. W XVII wieku najwięcej dzieci chłopskich parafii raciborowickiej, które uczyły się u krakowskich rzemieślników, pochodziło z Dziekanowic, Kantorowic i Węgrzc. W krakowskich księgach przyjęć do prawa miejskiego występują również chłopi z okolic Raciborowic: w 1388 r. Tomek z Bieńczyc[17], w 1398 r. Piotr z Batowic, a w 1419 r. Hanek z tejże wsi. W 1517 r. przyjęty został Dziekanowiczanin Paweł zwany Czarnotą za wstawiennictwem kanonika katedralnego ks. Jana Salomona. Inne osoby z tej wsi to karczmarz Maciej Kaleta w 1571 roku i piwowar Marcin Kaleta w 1588 r. Za Kaletą świadczyli karczmarze krakowscy Maciej Łojek (to nazwisko było używane w Raciborowicach) i Leonard Kromer. W 1579 r. przyjęto do prawa miejskiego Wojciecha Skwarę z Batowic za poświadczeniem Batowiczan Macieja Wojtaszka i Feliksa Kalety oraz małżeństwa mieszczańskiego Piotra i Zofii Skwarów. To samo wymienione nazwisko skłania ku przypuszczeniu, że miały tu wagę powiązania rodzinne. W 1604 r. w szeregi mieszczan krakowskich wstąpił Krzysztof Mazurek z Węgrzc[18].

Kontakt z miastem odbijał się w powinnościach pańszczyźnianych chłopów. W połowie XVIII w. poddani

z biskupiego Zastowa nakazane mieli „podróże wszelkie dalsze i bliższe krakowskie" odprawiać, ładować zboże na fury i wozić do spławu na Wiśle. Poza tym odrabiali rocznie 2 powaby, 6 szarwarków, pracowali przy dworskich jarzynach, konopiach, lnie, oprawiali dworskie przędziwo, dokonywali wywozu drzewa z lasów wawrzeńczyckich, stróżowali nocą i dniem we dworze, także przy kopach i zbożach „na garści" złożonych, pilnowali trzody dworskiej i gromadzkiej[19].

Kontakty miasta i wsi w dużej mierze były związane z transportem. W inwentarzu z 1668 r. można odnaleźć powinności kmieci dotyczące podróży sprzężajem, która odprawiana była za 2 lub 3 dni pańszczyzny za Wisłę albo do Krakowa[20]. Z kolei Raciborowiczanie mieli wykonywać „usługę podróżną" z listem do lub z Krakowa i dostawali na to pół dnia. W 1629 r. protestowali jednak, że jest na to za mało czasu[21]. Raciborowiczanie wozili na targ do Krakowa zboża oziminy po 8 ćwiertni i po 1 ćwiertni jarzyny. Podobnie pracowali kmiecie z Mistrzejowic. Karczmarz w Dziekanowicach, posiadający 2 konie, miał przykazane 2 razy w tygodniu wozem do Krakowa jechać[22]. W 1747 r. poddani z Batowic skarżyli się na swojego regenta kantora katedralnego ks. Stanisława Kreskiego o krzywdy, zwłaszcza że sprzężaj mają „wymizerowany" woźeniem kamieni do Krakowa i zboża z Posądzy[23]. Półrolnicy z Dziekanowic Izydor Nowak i Wojciech Raźny zawozili po 5 korcy zboża do Krakowa „po dobrej drodze" na targ[24].

Bliskość dużego miasta nie była korzystna dla okolicznych wsi ze względu na, jak trafnie to określił historyk Władysław Łoziński, „plagi żywota"[25]. W 1487 r. kmiecie z Raciborowic prosili kapitułę o obniżenie czynszu rocznego z powodu nieusprawiedliwionego zniszczenia wsi przez najemnych żołnierzy stacjonujących u nich kilka tygodni. Podobne petycje wniosły inne wsie, które w pobliżu także zostały zniszczone. Kapituła odjęła z tego względu im 1/3 czynszu[26]. Jak pokazują pośrednio parafialne metryki chrztów, efektem takich wojskowych rozlokowań była po 9 miesiącach zwiększona liczba dzieci z nieprawego łoża.

Położenie pod względem bezpieczeństwa nie było zbyt szczęśliwe zwłaszcza dlatego, że fara znajdowała się na północ od Krakowa. Był to dogodny rejon do ataku na miasto, gdyż inne strony jako naturalną osłonę miały koryto rzeki Wisły. To od północy podchodziły wojska habsburskie w 1587 r. w czasie walk o tron po zmarłym królu Stefanie Batorym czy wojska szwedzkie kilkadziesiąt lat później, podczas „potopu". We wspomnianym roku w okolicach Prądnika rozegrała się bitwa pomiędzy wojskiem polskim hetmana Jana Zamoyskiego a armią austriackiego arcyksięcia Maksymiliana. W tym czasie Stanisław Stadnicki zwany Diabłem Łańcuckim ze swym wojskiem obrabował wieś Raciborowice. Stadnicki grasował w okolicach Krakowa zarówno przed jak i po bitwie pod Byczyną (1588 r.), napadał na dwory, „łupił i pustoszył pod pretekstem konieczności wojennej i politycznej sprawy". Górował w tym procederze między polskimi stronnikami arcyksięcia Maksymiliana[27].

Szwedzi podczas najazdu w połowie XVII w. także dokonali spustoszeń. Spłonęła wówczas wikarówka, z której nie udało się uratować części metryk. Wiek później wstrząsy związane z konfederacją barską pozostawiły w źródłach świadectwo upadku wsi parafialnych.

Siłą rzeczy więzi podkrakowskiej wsi i samego miasta istniały. A na pewno ubogacały obie strony, poza najazdami wroga czy morowym powietrzem w Krakowie, gdy ucierpieć musiała i wieś. Wykwalifikowani rzemieślniczo chłopi zasilali grono mieszczan. Wzajemne relacje miasta i wsi żyły.

Miasto wciąż rozrasta się, pochłaniając nowe obszary. Zabudowa mieszkaniowa i przemysłowa przykrywa dawny obraz podkrakowskich wsi. Dziś nazwiska chłopów, którzy przed wiekami mieszkali w krytych słomą bieńczyckich chałupach, można odczytać na domofonach mieszkańców blokowisk. To Ciepielowie, Krawczykowie, Bieroniowie, Biernatowie, Króle, Kaczmarczykowie, Salwińscy, Nosalowie i wielu innych. Czas odmienił pejzaż podkrakowski, fenomen życia pozostał.

Mateusz Wyżga

doktorant historii Akademii Pedagogicznej w Krakowie

Przypisy:

1 B. Wyrozumska, *Drogi w ziemi krakowskiej do końca XVI wieku*, Wrocław 1967, s. 65-66.
2 Rewizja wsi Zastów z dn. 22.08.1649 r., Archiwum Metropolitarne w Krakowie, Rewizje wsi, sygn.: Rev. v. 932.
3 AMetr., Inwentarz wsi Mistrzejowice, sygn. Inv. B 263.
4 *Akta sejmikowe woj. krakowskiego w Proszowicach (1572-1680)*, wyd. S. Kutrzeba, t. 1, Wrocław 1932, s. 397.
5 Archiwum parafialne w Racibrowicach (APR), Liber defunctorum 1729-1797, k. 19.
6 Girtler K., *Opowiadania. Pamiętniki z lat 1832-1857*, t. I, II, Kraków 1971.
7 M. Kornecki, *Sztuka sakralna*, Kraków 1993, s. 86
8 S. Migas, *Kościół w Raciborowicach*, Kraków 1993, s. 56.
9 APR, Księga ochrzczonych 1604-1655, 1786-1797.
10 APR, Księga zmarłych 1729-1797, k. 5.
11 AMetr., Inwentarz wsi Węgrzce, sygn. Inv.v. 221.
12 AMetr., Rewizja wsi Węgrzce, Rev.v. 396-406.
13 AMetr., Liber Privilegiorum (Księga Przywilejów) nr 17, k. 219.
14 *Osadnictwo i krajobraz*, red. Z. Noga, Kraków 1997, s. 24.
15 *Metryka Uniwersytetu Krakowskiego z lat 1400-1508*, Kraków 2004.
16 H. Banaś, *Pieśń bibicka*, Bibice 1995.
17 *Księgi radzieckie kazimierskie 1369-1402*, A. Chmiel, Kraków 1932, s. 209
18 Księgi przyjęć do prawa miejskiego w Krakowie 1507-1572, wyd. A. Kiełbcika i Z. Wojas, Kraków 1993.
19 AMetr., Inwentarz Zastowa z czerwca 1746 r., Inv. B. 172.
20 AMetr., Inv. V. B 2.
21 AMetr., Rev. V. 239-280.
22 AMetr., Inv. V. 124.
23 AMetr., Rev. v. 14.
24 AMetr., Inv.v.53, inwentarz Dziekanowic z 1785 r.
25 W. Łoziński, *Prawem i lewem*, Warszawa 2005.
26 A. Walawander., *Kronika klęsk elementarnych w Polsce i krajach sąsiednich w latach 1450-1586*, Lwów 1932.
27 W. Łoziński, ibidem, s. 542-543.



Jan Ciepiela – wójt Bieńczyc z żoną Katarzyną oraz dziećmi: Katarzyną, Franciszką, Piotrem, Franciszkiem i Władysławem, lata 20. XX w.



XIX-wieczna fotografia przedstawia złote wesele Brosiów z Sulechowa, które odbyło się 2 lutego 1885 r. w Raciborowicach (na przełomie XVIII i XIX w. Sulechów znalazł się w tutejszej parafii wskutek rozbiorów). Zdjęcie ocalało, przechowane latami przez niejakiego Urbańskiego, rządcę dworu w Zastowie. Przed Urbańskim rządcą był Kurt Bartke, którego dzieci Marta i Kurt zmarły w młodym wieku i są pochowane w Raciborowicach. Po wojnie zdjęcie wróciło do rodziny Brosiów.

Zamieszczona fotografia obrazuje bogatą, chłopską rodzinę. Mężczyźni mają pod szyją spinki, a kobiety na głowach białe czepce. Szlachetne twarze wyrażają powagę, rozumność i godność podkrakowskiego ludu.

Od lewej stoją: syn Józef (przed nim siedzi żona Małgorzata z Rożków z Zastowa), syn Wojciech (przed nim żona Wiktoria z Zastowa), prawdopodobnie syn Jan (przed nim żona), syn Franciszek (zmarł 20 kwietnia 1891 r. na „zapalenie kiszek" w wieku 34 lat) i obok jego żona Maria z Kozyrów (mieszkali w Sulechowie), syn Piotr i jego żona Franciszka z Karabułów (mieszkali w Sulechowie). U dołu od lewej stryj nieznanego nazwiska, następnie, po opisanych już 3 kobietach, Wawrzyniec Broś, jego żona Małgorzata – oboje trzymają długie krzyże ozdobione kwiecistą girlandą, córka Wawrzyńca i jej mąż (mieszkali w Krzesławicach), żona Tomasza Brosia – Katarzyna z domu Gumul z Pleszowa, a na końcu on sam – Tomasz, syn Wawrzyńca. Po ślubie w 1879 r. mieszkał on z żoną w Sulechowie (Katarzyna wyszła za mąż w wieku 14 lat). Mieli dzieci: Tomasza, Wojciecha, Piotra, Wiktorię i Franciszka.

Senior rodziny Wawrzyniec Broś urodził się w Sulechowie w 1809 r. jako syn Andrzeja i Petroneli z Nawarów. Ojciec Andrzej zmarł w 1830 r. pod nr domu 3. We wsi były w połowie XIX w. 2 gałęzie rodziny Brosiów. Jedna po ww. Wawrzyńcu i druga po Antonim Brosiu i Agnieszce z d. Wójcik. Wawrzyniec Broś zmarł w wieku 79 lat w Sulechowie pod numerem domu 17, dnia 23 października 1888 r. Jego żona, Małgorzata z Żylskich, córka Mikołaja i Marii z domu Śliwa z Krzesławic, zmarła mając 72 lata 7 kwietnia 1892 r. Wawrzyniec był za młodu określany po prostu jako zwykły rolnik, jednak na starość był już kmieciem, zaliczając się do najbogatszej warstwy chłopskiej. Zajmował się rolnictwem i transportem, posiadał kilka koni. Woził m.in. materiały budowlane z wapiennika w Podgórzu-Krzemionkach, gdzie już od średniowiecza pozyskiwano kamień i wypalano wapno. Popularna nazwa wapiennika „Liban" wzięła się od właściciela, krakowskiego przemysłowca Bernarda Libana, który posiadał także fabrykę cementu portlandzkiego w Bonarce oraz fabrykę sody w Borku Fałęckim, wykupioną potem przez belgijskiego przemysłowca Ernesta Solvaya[1].

Wawrzyniec i Małgorzata Broś wzięli ślub tuż przed 1840 r. Kolejno rodziły się im dzieci: w 1840 r. Katarzyna, w 1842 r. Małgorzata, w 1845 r. Marianna, w 1846 r. Jakub, w 1848 r. Jan Nepomucen, w 1850 r. Wojciech, w 1852 r. Piotr, w 1854 r. Paweł (miał zacnych chrzestnych – dzierżawcę Zastowa M. Penosta i szlachetnie urodzoną Magdalenę Czerniecką z Baranowa), w 1856 r. Franciszek, w 1859 r. Józef, w 1860 r. Tomasz i w 1864 r. znów Maria (zmarła w 1865 r.). Dorosłego wieku dożyło 6 synów i córka.

Brosiowie od dawna zamieszkali podkrakowską ziemię. Dla przykładu w Węgrzcach w 1713 r. Jan i Dorota Brosiowie ochrzcili syna Franciszka, w Zastowie (także w 1713 r.) córkę Katarzynę chrzcił Błażej Broś i Agnieszka, a w 1792 r. w Bieńczycach żyli Sebastian Broś i Salomea z domu Zachwieja. W 1770 r. Wawrzyniec Broś z Węgrzc poślubił Salomeę Pawlikowną z tej samej wsi, w 1782 r. Antoni Broś z Dziekanowic wziął za żonę Justynę Szewcowną. W 1791 r. w związek małżeński wstąpili Batowiczanie Maciej Broś i Anastazja Cicha. Wcześniej, w 1776 r., Michał Broś z Sulechowa świadkuje na ślubie swego sąsiada Sebastiana Mola. I po tym Michale prawdopodobnie wywodzi się szlachetny antenat Wawrzyniec Broś.

Mateusz Wyżga



Jan Kotyza

Moje Bieńczyce

Szkice z życia wsi mające na celu ochronić przed zapomnieniem wchłanianą przez wielkie miasto podkrakowska wieś.

Moja Ojczyzna

W pracy niniejszej skreśliłem moje wspomnienia z okresu od urodzenia do powstania Nowej Huty.

Ponieważ życie moje zaczęło się jeszcze pod zaborami, przed powstaniem wolnej i niepodległej Polski, ale rosłem, uczyłem się i pracowałem już w wolnej Polsce – to nie ulega wątpliwości, że warunki w jakich przypadło żyć mojemu pokoleniu, wywarły wpływ na naszym życiu; naszym charakterze, świadomości i postawie, dlatego naprzód o tym, jak ja moją Ojczyznę widziałem.

Urodziłem się jeszcze wtedy, gdy Polska była w niewoli. Rozebrana przez trzech nieprzyjaciół: sąsiadów-zaborców i gnębiona przez nich, co raz to zrywała się do walki o wolność.

My mieszkańcy Galicji byliśmy w tym nieco szczęśliwszym położeniu, że byliśmy mniej od mieszkańców innych dzielnic Polski gnębieni i mniej germanizowani niż nasi bracia na Śląsku, w Poznańskiem i na Pomorzu, nie moskwiczeni jak ci w Królestwie Kongresowym.

Nasza świadomość narodowa była duża. Nam nasi nauczyciele mówili o Kościuszce, który wzniecił powstanie i pobił Moskali pod Racławicami, nie obce nam były postacie tych, którzy z Napoleonem szli na Moskwę, wiedzieliśmy o powstaniu listopadowym, styczniowym... Mówiono nam o wozie Drzymały i martyrologii Polaków na Syberii.

Kierownik szkoły Kazimierz Łowczowski uczył nas patriotycznych pieśni:

„Patrz, Kościuszko, na nas z nieba"

Patrz, Kościuszko, na nas z nieba,
Jak w krwi wrogów będziem brodzić,
Twego miecza nam potrzeba,
By ojczyznę oswobodzić.

Wolność droga w białej szacie
Złotym skrzydłem w górę leci,
Na jej czole, patrzaj bracie,
Jak swobody gwiazdka świeci.

Oto jest wolności śpiew, śpiew, śpiew,
My za nią przelejem krew, krew, krew!

Kto powiedział, że Moskale
Są to bracia nas, Lechitów,
Temu pierwszy w łeb wypalę
Przed kościołem Karmelitów.

Kto nie uczuł w gnuśnym bycie
Naszych kajdan, praw zniewagi,
To, jak zdrajcy, wydrę życie
Na niemszczonych kościach Pragi.

Oto jest wolności...

Z naszym duchem i orężem
Polak ziemię oswobodzi.
Zdrajca pierzchnie, my zwyciężym,
Bo Chłopicki nam przewodzi!

Tylko razem, tylko w zgodzie,
A powstańców będziem wzorem;
Wszak Dyktator przy narodzie!
Cały naród z Dyktatorem!

Oto jest wolności...

„Grzmią pod Stoczkiem armaty"

Grzmią pod Stoczkiem armaty,
Błyszczą białe rabaty
A Dwernicki na przedzie
Na Moskala sam jedzie.

„Hej za lance, chłopacy!
Czego będziem tu stali?
Tam się biją rodacy,
A myż będziem słuchali?

Chodźwa trzepać Moskala,
Bo dziś Polska powstała!
Niech nam Polski nie kala –
Hej, zabierzwa mu działa!"

(...)„Jenerale, to chwaty!
Od lewego tam skrzydła
Wiodą cztery armaty
I Moskali jak bydła!"

Lecą, lecą wzdłuż błonia,
Grzmią krakowskie kopyta;
A Dwernicki spiął konia
I okrzykiem ich wita:

Dzielnieście się spisali!
Zawsze Polak tak bije!
A krakusy wołali:
„Nasza Polska niech żyje!"

„Bartoszu, Bartoszu"

Bartoszu, Bartoszu
oj nie traćwa nadziei
oj nie traćwa nadziei
Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi,
Bóg pobłogosławi, Ojczyznę nam zbawi.
Patrz w górę tam w górę,
Poglądaj do Boga , większa miłość jego niźli przemoc wroga.

Z maleńkiej iskierki,
oj wielki ogień bywa,
oj wielki ogień bywa,
pękną, chociaż twarde, przemocy ogniwa,
pękną, chociaż twarde, przemocy ogniwa.
Patrz w górę tam w górę,
Poglądaj do Boga , większa miłość jego niźli przemoc wroga.

Bartosza Głowackiego oglądaliśmy nawet na bibułkach do papierosów jak z kosą na sztorc nabitą stoi przy zdobytej armacie. Ale uczyliśmy się także śpiewać austriacki hymn: „Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj". Jeszcze, gdy byłem w trzeciej klasie szkoły w Bieńczycach, zaczęliśmy się uczyć języka niemieckiego, niebawem zresztą zaniechanego. Przeżywaliśmy śmierć arcyksięcia Ferdynanda, austriackiego następcy tronu i wybuch pierwszej wojny światowej. Budziły się w nas uczucia patriotyczne, gdyśmy słyszeli, że gdzieś nad Nidą biją się Polacy w mundurach legionów pod wodzą Piłsudskiego, czy potem w Karpatach II-ga Brygada Legionów Polskich pod wodzą Gen. Józefa Hallera. Dochodziły wieści o strasznych bitwach pod Gorlicami, we

Francji pod Marną i pod Verdun, na włoskim froncie nad Piawą. A potem rozwiązanie Legionów i osadzenie w twierdzy magdeburskiej Piłsudskiego i Sosnkowskiego. A powstanie Polskiej Rady Regencyjnej, to już była zapowiedź i nadzieja powstania Niepodległej Polski.

Obserwowaliśmy coraz gorzej ubranych w mundury z pokrzyw – jak się mówiło – żołnierzy austriackich, wśród których było przecież tak wielu naszych ojców i braci. W październiku 1918 r. gruchła wiadomość, że w Krakowie Polacy rozbrajają żołnierzy austriackich, zrzucają znienawidzone dwugłowe czarne orły austriackie, że na odwachu pod wieżą ratuszową zaciągnął wartę pierwszy oddział Wojska Polskiego, że jest już Wolna Polska. 11 listopada tego roku wrócił do Warszawy brygadier Piłsudski i jako Naczelnik Państwa objął najwyższą władzę w Polsce. Doszły niepokojące wieści, że Ukraińcy opanowali Lwów i z Krakowa wyjechał na odsiecz pierwszy większy oddział Wojska Polskiego, wiedzieliśmy, że biją się „Orlęta lwowskie"...

W 1919 roku ogłoszono wybory do pierwszego Ustawodawczego Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej. Ukazały się ogłoszenia o poborze do wojska młodych roczników. Poszli do wojska moi dwaj bracia, jeden ukończył dopiero dziewiętnaście lat, a drugi osiemnaście. Rok 1920, Piłsudski zawarł porozumienie z Ukraińcami i poprowadził wojsko na Kijów. Krótki entuzjazm, bo niebawem następuje odwrót. Armia Polska zaczyna się cofać pod naporem bolszewików, którzy chcą zalać Europę i wzniecić rewolucję w Niemczech. Walczą nowotworzone dywizje piechoty i brygady kawalerii. Gen. Andrzej Galica tworzy z górali dywizję podhalańską. Napór armii bolszewickiej jest zbyt silny, młode polskie oddziały cofają się aż pod Warszawę. Rząd wydaje odezwę do społeczeństwa, do chłopów i robotników: „Wszyscy do broni!". Tworzy się armia ochotnicza pod dowództwem Gen. Józefa Hallera. Powstaje Rząd Obrony Narodowej. Piłsudski wysyła z Warszawy auto do Wierzchosławic po przywódcę chłopskiego Wincentego Witosa, który staje w tych ciężkich chwilach na czele Rządu, wicepremierem zostaje działacz robotniczy Ignacy Daszyński. Piłsudski jest Naczelnym Wodzem, jego szef sztabu gen. Tadeusz Rozwadowski opracowuje plan bitwy pod Warszawą. Wielu przedstawicieli obcych państw opuszcza Warszawę w obawie, że Warszawa niebawem padnie. Zostaje w niej jednak nuncjusz Stolicy Apostolskiej Achilles Ratti. Nowe oddziały zasilają walczących, opór polski tężeje, front się ustala. Nadchodzi dzień 14 sierpnia, Naczelny Wódz na czele armii manewrowej uderza znad Wieprza na lewą flankę armii bolszewickiej. Wykorzystując zaskoczenie przeciwnika osiąga wielki sukces. Armia bolszewicka rozbita zaczyna się cofać w popłochu. Wojsko Polskie biorąc odwet za niedawną klęskę pędzi bolszewików aż do granic państwa. W walkach pod Warszawą ginie idąc w pierwszym szeregu z oddziałami ochotniczymi, złożonymi z uczniów gimnazjalnych ich katecheta, kapelan Wojska Polskiego ks. Ignacy Skorupka. Radość wielka w całym kraju, w kościołach rozbrzmiewa dziękczynne „Te Deum", mówi się o „Cudzie nad Wisłą". Dopiero jednak w 1922 roku zostaje zawarty w Rydze pokój ze Związkiem Radzieckim i ustalona zostaje wschodnia granica Państwa. W marcu 1921 roku Sejm Ustawodawczy uchwala pierwszą Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, zgodnie z nią Piłsudski rezygnuje ze stanowiska Naczelnika Państwa. Zgromadzenie Narodowe wybiera pierwszym prezydentem Gabriela Narutowicza., który – w rozpętanej przez prawicowe ugrupowania polityczne zawierusze – ginie od kuli fanatyka. Za radą Piłsudskiego na czele rządu staje gen. Władysław Sikorski. Ten opanowuje sytuację w kraju. Zgromadzenie Narodowe dokonuje wyboru nowego prezydenta. Zostaje nim działacz niepodległościowy Stanisław Wojciechowski. Piłsudski nie mogąc się pogodzić z Rządem na tle organizacji najwyższych władz wojskowych ustępuje i usuwa się do swej willi w Sulejówku. Rozbicie polityczne i ciężka sytuacja gospodarcza powoduje niepokoje i strajki. W Krakowie jesteśmy świadkami w dniu 6 listopada 1923 roku poważnych rozruchów na tym tle. Dochodzi do bratobójczych walk ulicznych. Na ulicy Dunajewskiego giną robotnicy i ułani 8 pułku ułanów krakowskich. Ginie doświadczony frontowy oficer tego pułku rotmistrz Lucjan Bochenek prowadząc swój szwadron do ostatniej w swym życiu szarży. W tych ciężkich i gorących chwilach znowu premierem jest przywódca chłopów Wincenty Witos. Jednym z następnych premierów jest ekonomista Władysław Grabski, który próbuje ustabilizować sytuację gospodarczą. W miejsce zdewaluowanej marki zaprowadza nową walutę, jest nią „złoty". Na naszych Kresach Wschodnich ciągłe niepokoje, działają tam nasyłane ze Związku Radzieckiego bandy dywersyjne. Do ich zwalczania i zaprowadzania porządku na tych terenach zostaje powołany Korpus Ochrony Pogranicza. Walka polityczna między stronnictwami trwa nadal, rządy parlamentarne powoływane przez Sejm upadają jedne po drugich. Uaktywnia się marszałek Piłsudski, udziela prasie wywiadów krytykując panujące w Polsce stosunki, głosi, że trzeba przeprowadzić sanację czyli uzdrowienie. Pod tym hasłem przystępuje do walki z ówczesnym Rządem. Znowu w tej niełatwej sytuacji zostaje powołany na premiera rządu Wincenty Witos. Sytuacja poszła już jednak za daleko, Piłsudski przygotował przewrót. Jest rok 1926. Na wiadomość o powołaniu rządu W. Witosa Piłsudski postanawia działać. Dnia 12 maja obejmuje dowództwo nad zgrupowanymi w okolicy Rembertowa wojskami i uderza na Warszawę. Dochodzi do dramatycznej rozmowy między Przezydentem Wojciechowskim a Piłsudskim na moście Kierbedzia. Wojska wierne Rządowi z gen. Rozwa-

dowskim walczą przeciwko Piłsudskiemu. Toczą się walki uliczne. Wojska Piłsudskiego opanowują ważniejsze punkty stolicy. Prezydent wraz z Rządem uchodzi do Wilanowa. Nadchodzą pod stolicę wojska poznańskie wierne Rządowi. Prezydent nie chcąc przedłużać bratobójczej walki ustępuje wraz z Rządem. Został dokonany zamach stanu. Władzę w państwie obejmuje Piłsudski. Wybrany następnie przez Zgromadzenie Narodowe prezydentem wyboru nie przyjmuje. Wskazuje na człowieka, na którego wybór jest gotów się zgodzić. Sejm wybiera prezydentem znanego uczonego prof. Ignacego Mościckiego. I teraz rządy zmieniają się często, ale zawsze główną postacią jest marszałek Piłsudski. Premierami w tych czasach byli ludzie jemu bliscy jak: Bartel, Prystor, Kościałkowski, Świtalski, Jędrzejewicz, Składkowski. Ponieważ byli to przeważnie wojskowi, mówiło się o rządach „pułkowników". Nic nie dzieje się bez zgody Piłsudskiego. Tworzy się koło niego wielką legendę. Buduje się pomniki. Pieśń legionowa „My pierwsza Brygada" staje się prawie drugim hymnem państwowym. Wiele stanowisk państwowych i ministerialnych obsadza się legionistami i oficerami. Dużą rolę w Rządzie odgrywa bliski współpracownik Moscickiego inż. Eugeniusz Kwiatkowski. Jest on wicepremierem do spraw gospodarczych. Z jego inicjatywy kontynuuje się energicznie budowę portu i miasta Gdyni, buduje się fabrykę azotową w Tarnowie, rozbudowuje się flotę handlową i tworzy Centralny Okręg Przemysłowy, a w nim wiele fabryk jak Stalowa Wola, Mielec, Niedomice, Starachowice i in. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych panuje w całym świecie wielki kryzys gospodarczy, który odbija się także na gospodarce polskiej. Ministrem spraw zagranicznych jest początkowo Zaleski, po nim ministrem tego resortu zostaje bliski współpracownik Piłsudskiego płk. Józef Beck. Rośnie jednak opozycja przeciwko rządom Piłsudskiego. W Krakowie odbywa się w 1930 roku wielki Zjazd Stronnictw centrowych i lewicowych pod nazwą „Centrolewu", najpoważniejsze z nich to Stronnictwo Ludowe i Polska Partia Socjalistyczna. Piłsudski nie może tolerować opozycji. Rząd posuwa się tak daleko, że nakazuje aresztowanie i osadzenie w twierdzy brzeskiej posłów i przywódców stronnictw opozycyjnych, a wśród nich Witosa, Kiernika, Bagińskiego, Libermana, Pragiera, Popiela i in. Odbywa się głośny proces brzeski, oskarżeni skazani zostali na kary kilkuletniego więzienia. Do czasu upełnomocnienia się wyroku zostali z więzienia zwolnieni. Korzystając z tego, Witos i kilku innych wyjeżdża za granicę, do Czechosłowacji, by prowadzić dalej działalność polityczną. W Berezie Kartuskiej na Polesiu zostaje utworzony obóz odosobnienia, gdzie umieszcza się przeciwników politycznych: od komunistów, poprzez ludowców do prawicowych endeków. Dla popierania Rządu organizuje się już w 1928 roku przed wyborami do Sejmu Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (BBWR), któremu przewodzi płk. Walery Sławek, kiedy ta praca nie dała wyników, w 1937 roku płk. Adam Koc organizuje Obóz Zjednoczenia Narodowego (OZN), lecz i ta nowa organizacja nie uzyskuje poparcia opozycyjnie nastawionego społeczeństwa. Rząd próbuje sobie podporządkować także młodzież i wychowywać ją w myśl ideologii Piłsudskiego, z organizacji młodzieżowych popiera się głównie Związek Strzelecki i Legion Młodych, inne stowarzyszenia nie są mile widziane, ledwie tolerowane.

W 1933 roku odbyło się w Krakowie pamiętne „Święto Kawalerii". Była to 250 rocznica zwycięstwa pod Wiedniem, gdzie król Jan III Sobieski w 1683 r. na czele wojsk polskich złożonych głównie z polskiej konnicy rozgromił na zawsze potęgę turecką, która odtąd przestała zagrażać Europie. Zjechało do Krakowa 12 pułków polskiej kawalerii. Na krakowskich błoniach odbyła się wspaniała rewia. Pułki zakwaterowane były w podkrakowskich wsiach, także w Bieńczycach jeden z nich kwaterował. Po Mszy św. Dla upamiętnienia tej rocznicy posadzono koło ścieżki prowadzącej do „dworku" młode drzewka owocowe, które ofiarował Wojciech Halik. W tym samym dniu odbyło się poświęcenie przydrożnej kapliczki na Budzyniu, zbudowanej kiedyś a obecnie wyremontowanej przez rodziną Turbasów. Kapliczkę poświęcił ks. Przeworski, a ja przemawiałem. Po poświęceniu Katarzyna Biernacikowa z d. Turbasa, z której inicjatywy kapliczkę odremontowano zaprosiła nas na obiad do swojego domu.

W kwietniu 1934 roku zostaje podstępnie uchwalona przez Sejm nowa Konstytucja tzw. „kwietniowa" – bardzo niechętnie przyjęta przez społeczeństwo. Stosunki między Państwem a Kościołem są na ogół poprawne. Istnieje konkordat zawarty między Stolicą Apostolską a Polską z 1925 roku. Jednak nie wszyscy biskupi są dobrze widziani przez czynniki rządowe.. W 1935 roku marszałek Piłsudski umiera. Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych, który na wypadek wojny jest przewidziany na Naczelnego Wodza zostaje mianowany gen. Rydz-Śmigły, jeden z najbliższych towarzyszy Piłsudskiego, otrzymuje też buławę marszałkowską. Społeczeństwo informuje się, że jest że jest on drugą osobą po prezydencie. Odgrywa rolę nie tylko w wojsku, ale i w życiu politycznym. Bierze udział w wielkiej manifestacji chłopskiej w Nowosielcach, nie pozyskuje jednak chłopów, potem próbuje rozmów ze stronnictwami prawicowymi. W 1937 roku chłopi organizują w całej Polsce strajk chłopski. Następują represje ze strony Rządu. Zaniedbane przez Piłsudskiego wojsko próbuje Rydz-Śmigły unowocześnić, buduje się nowego typu samoloty wojskowe „Łosie" i „Karasie", unowocześnia się łączność, wprowadza się nową broń przeciwpancerną i modernizuje obronę przeciwlotniczą, organizuje się dwie brygady

pancerno-motorowe, tworzy się oddziały Obrony Narodowej. Po dojściu w Niemczech do władzy w 1933 roku Adolfa Hitlera, coraz bardziej jasnym się staje, że wojna się zbliża i jest nieunikniona. Polska zaczyna się gorączkowo przygotowywać do walki zbrojnej, jednak nasz potencjał gospodarczy nie może się równać z niemieckim. Wiosną 1939 roku – po zajęciu Czech przez Hitlera – Witos wraca do kraju i oddaje się w ręce władz, zwolniony nawołuje chłopów do obrony Ojczyzny. Na Zjeździe Legionistów w Krakowie w dniu 6 sierpnia 1939 r. woła Śmigły: „Nie oddamy nie tylko sukmany, ale i guzika od niej". Mimo różnic politycznych i niezadowolenia z rządów sanacyjnych całe społeczeństwo staje twardo przeciwko Niemcom. Mobilizacja jest przeprowadzana sprawnie. Zawarte dnia 23 sierpnia 1939 r. porozumienie między Niemcami a Związkiem Radzieckim: Pakt Ribbentrop-Mołotow skłania ostatecznie Hitlera do uderzenia na Polskę, Stalin zaś powiększa w ten sposób strefę wpływów komunizmu. 17 września 1939 roku dochodzi do zbrojnej napaści (dokonanej bez określonego w prawie międzynarodowym wypowiedzenia wojny) Związku Radzieckiego na Polskę. Nadchodzą mroczne lata okupacji niemiecko – sowieckiej, a po nich w 1945 roku „wyzwolenie", w wyniku którego Polska traci swój niepodległy byt stając się jednym z krajów bloku wschodniego.

Moja wieś

Pisząc moje wspomnienia nie mogę nie wspomnieć o mojej wsi rodzinnej, która wchłonięta przez rozbudowującą się ciągle Nową Hutę, nową dzielnicę Krakowa, właściwie znika powoli z powierzchni ziemi i niebawem pozostanie po niej tylko nazwa. Więcej niż połowa nowej dzielnicy zbudowana została na polach naszej wsi.

Jadąc od Krakowa ulicą Mogilską i aleją Planu Sześcioletniego (obecnie Jana Pawła II) mija się dawne wsie Dąbie i Czyżyny. W Czyżynach droga się rozgałęzia, lewa odnoga prowadzi do Bieńczyc, prawa do Mogiły, Pleszowa i dalej do dawnej granicy zaboru austriackiego w kierunku Cła. Odnoga bieńczycka prowadzi przez Krzesławice, Grębałów i Prusy do Kocmyrzowa, gdzie także była granica cesarstwa austriackiego. Odcinek drogi z Czyżyn do Bieńczyc wynoszący 1700 metrów biegnie w kierunku północno-wschodnim. Droga ta była kiedyś wysadzona po obu stronach starymi jesionami i klonami. Obok niej biegł kiedyś tor kolejowy linii Kraków-Kocmyrzów. Droga z Krakowa do Bieńczyc biegnie przez teren płaski, dopiero za Bieńczycami i Krzesławicami zaczyna się lekko podnosić. Na tych wzniesieniach zbudowali kiedyś Austriacy łańcuch fortów, które miały bronić dostępu do Krakowa.

Przez Bieńczyce przepływa rzeka Dłubnia. Źródła jej leżą we wsi Jangrot w dawnym powiecie olkuskim. Od Michałowic Dłubnia płynie przełomem między wspomnianymi już wzniesieniami, mija wsie Młodziejowice, Kończyce, Raciborowice i dopiero w okolicy Mistrzejowic i Bieńczyc towarzyszą jej rozległe podmokłe łąki. Rzeka płynie głębokim korytem. Wody Dłubni wykorzystywane były od dawna do poruszania leżących nad nią młynów. W Bieńczycach był na Dłubni jaz, który kierował część jej wody na młyn w Bieńczycach.

Niemal cała wieś leży na prawym brzegu rzeki. Aż do roku 1934 stanowiła osobną gminę i miała swojego wójta. Potem weszła w skład gminy zbiorowej, której urząd mieścił się w Mogile. Do gminy, oprócz Bieńczyc, należało jeszcze dziesięć innych okolicznych wsi. Wsie te zaczęto nazywać gromadami. Każda gromada miała swojego sołtysa. Bieńczyce i niewielką wieś Mistrzejowice połączono w jedną gromadę.

W ramach administracji kościelnej Bieńczyce należały do parafii w Raciborowicach, gdzie istnieje stary zabytkowy kościół zbudowany jeszcze za Jana Długosza. Bieńczyce tuż przed wojną liczyły około dwieście domów i miały około tysiąca mieszkańców. Domy stały wzdłuż szosy oraz dwóch innych dróg odchodzących od niej prostopadle. Te dwie drogi łączyły się w odległości jednego kilometra, skręcały na północ i biegły do Mistrzejowic. Tę część wsi nazywano Budzyniem. Domy we wsi były przeważnie drewniane i kryte strzechą ze słomy. Domów murowanych, pokrytych dachówką, było we wsi zaledwie kilka (dachówką kryto także nowsze domy drewniane).

Bieńczyce mocno ucierpiały w czasie pożaru młyna w 1915 r., kiedy spłonęło kilkanaście domów i zabudowań gospodarczych.

Wśród zabudowań wsi najokazalej prezentowało się gospodarstwo Franciszka Ptaka, które było całe murowane, tak dom jak stodoła i stajnie. Był także budynek piętrowy „Sokoła" oraz piętrowa murowana szkoła. Szkoła była siedmioklasowa i uczęszczały do niej dzieci nie tylko z Bieńczyc, ale także z Mistrzejowic i Dłubni. Murowany był też „dworek" w którym mieściła się kaplica i sala zebrań.

Pod koniec XIX wieku było we wsi kilka większych gospodarstw liczących po kilkanaście morgów. Potem, na skutek podziałów, zanikły. Dwór w Bieńczycach liczący około 200 morgów pól i łąk stanowił beneficjum parafii św. Floriana w Krakowie. W okresie międzywojennym dwór przeszedł w drodze zamiany na własność Arcybi-

skupstwa Krakowskiego, okresowo był dzierżawiony przez osoby świeckie, które na ogół z mieszkańcami wsi utrzymywały dobre stosunki. Ostatnim dzierżawcą był inż. Kazimierz Cieślewicz. W roku 1948 dwór jako tzw. „dobra martwej ręki" przeszedł na własność Skarbu Państwa. Po powstaniu Nowej Huty na polach dworskich i będących własnością chłopów powstały osiedla mieszkaniowe. Budynki dworskie częściowo zostały rozebrane, pozostałe są wykorzystywane przez ludzi, których domostwa zostały zburzone, a pola włączono pod budowę miasta. W środku wsi naprzeciwko dworu stoi na małym wzniesieniu zbudowana z początkiem XX-go wieku figura Serca Pana Jezusa. Obok szosy, po jej zachodniej stronie, wtłoczony po między „młynówkę" a stare koryto Dłubni, stoi duży dwupiętrowy budynek młyński i szereg mniejszych zabudowań do niego należących. Młyn istnieje już 150 lat, za czasów zaborczych był własnością żydowskiej firmy „Wasserberg i S-ka". Spłonął w czasie Pierwszej Wojny Światowej, odbudowany przez Władysława Lelitę jest czynny do dzisiaj i administruje nim „Społem" (obecie stan prawny jest nieuregulowany – dop. red.).

We wsi były dwa, a potem nawet trzy sklepy: Franciszka Ptaka, Heleny Rojek oraz sklep Spółdzielni „Bieńczycanka" włączony później do Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Były także dwie jatki sprzedające mięso i wędliny: Wohlfeilera i Stanisława Krawczyka.

Większość mieszkańców wsi stanowili drobni rolnicy. Największe gospodarstwo (Ptaka) miało 14 morgów. Mieszkało we wsi także kilkunastu robotników, służba dworska i kilkadziesiąt rodzin posiadających niewielkie skrawki ziemi i utrzymujących się z pracy najemnej lub drobnego rzemiosła. Część młodzieży kształciła się w szkołach średnich, a nawet wyższych, część dojeżdżała do pracy w Krakowie, gdzie znalazła pracę m.in. w zakładach Zieleniewskiego, Klimka i Fabryce Sygnałów Kolejowych. Dojazd do Krakowa ułatwiała istniejąca od roku 1900 kolej łącząca Kraków z Kocmyrzowem.

W okresie międzywojennym wielu gospodarzy przeszło na uprawę warzyw i sadownictwo. Zwłaszcza na polach po wschodniej stronie szosy z Czyżyn do Bieńczyc było wiele sadów, które na wiosnę przedstawiały piękny widok, gdy obsypane kwiatami jabłonie, grusze i czereśnie bieliły się w słońcu. Był taki okres, kiedy w Bieńczycach hodowano truskawki. Prawie w każdym gospodarstwie były plantacje tej rośliny. Kiedy zaczęto uprawiać truskawki w okolicy Kocmyrzowa, gdzie truskawki dojrzewały o kilkanaście dni wcześniej, gospodarze bieńczyccy zarzucili jej uprawę i przeszli na hodowlę rabarbaru i innych warzyw.

Byli we wsi rzemieślnicy pełniący usługi dla ludności. Było kilku szewców, krawców i krawcowych, kilku stolarzy, trzech kowali, kilku cieśli i murarzy, był rymarz i stelmach. Dzięki młodzieży uczącej się w szkołach średnich i wyższych rozwijało się życie kulturalne, przygotowywano amatorskie przedstawienia, istniał chór, odbywały się dożynki, festyny i inne imprezy. Rozwijał się sport, przy Stowarzyszeniu Młodzieży działał Klub Sportowy „Tęcza", który miał drużynę piłki nożnej i sekcję tenisa stołowego. Działały Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej. Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet prowadził przedszkole dla dzieci, działał Związek Rezerwistów i Koło Stronnictwa Ludowego. W czasie okupacji hitlerowskiej wielu mieszkańców wsi było czynnych w konspiracji, działały tu Bataliony Chłopskie i Ludowy Związek Kobiet.

Powstanie Nowej Huty pozbawiło mieszkańców wsi ich warsztatów pracy. Obecnie wieś jest systematycznie wyburzana. Stare wiejskie domy ustępują miejsca nowym blokom, a mieszkańcy, choć niechętnie, przenoszą się do nowych mieszkań.

W domu babki

Urodziłem się dnia 7 stycznia 1909 roku, tak jak i moi oboje rodzice, w Bieńczycach – wsi oddalonej od Krakowa o pięć kilometrów. Kraków i jego okolice oraz cała Galicja należały wtedy do zaboru austriackiego. Panował nam miłościwie od sześćdziesięciu z górą lat Franciszek Józef I, Cesarz Monarchii Austriacko-Węgierskiej, którego portrety oglądałem jako dziecko. Z portretów tych spoglądał na swych poddanych starzec w mundurze wojskowym, z siwymi bokobrodami, z licznymi orderami na piersiach. Żył jeszcze wtedy w Bieńczycach gospodarz Ciepiela („Landaus"), który swoim wyglądem i twarzą z bokobrodami przypominał bardzo cesarza i dlatego nazywaliśmy go „cysorzem".

Od chwili zawarcia małżeństwa rodzice moi mieszkali w małym, drewnianym, strzechą krytym domu, którego połowa należała do Ludwika Nowaka (zwanego „Racią"). Druga stanowiła własność mojej babki Magdaleny Wach. Babka pochodziła z Krzesławic, jej panieńskie nazwisko brzmiało Burnetko. Jej mąż, a mój dziadek, Andrzej Wach już wtedy nie żył. Zmarł przed moim przyjściem na świat. Wschodnia część domu, składająca się z sieni i dwóch izb, stanowiła własność babki. Południową izbę, której niewielkie okno wychodziło na drogę, zajmowała babka wraz ze swą córką, a moją ciotką (również Magdaleną). Izbę północną, której okno skiero-

wane było na leżący opodal – za rzeką – młyn, zajmowali rodzice. Byłem czwartym z kolei dzieckiem moich rodziców .W chwili mojego urodzenia małą izdebkę o wymiarach chyba nie więcej jak 3 x 4 metry zajmowała zatem rodzina złożona z pięciu osób. Najstarsza moja siostra Maria miała w chwili mojego urodzenia lat 10, brat Stanisław 9, a Józef lat 8.

Ojciec pracował w młynie. Duży, dwupiętrowy, wodno-parowy młyn był własnością firmy żydowskiej Wasserberg i Spółka. Matka już wtedy nie pracowała poza domem, miała wszak na głowie trójkę nieletnich dzieci. Zanim wyszła za mąż, pracowała wraz z babcią i ciotką także we młynie, przy naprawie worków. Ponieważ matka miała wrodzone zdolności do szycia, po wyjściu za mąż, pozostając w domu, dorabiała na utrzymanie rodziny szyciem. Szyła kobietom „koszulki" noszone do krakowskiego stroju, z haftowanymi białą bawełną szyjkami i rękawami. Jako mały chłopiec, przesiadywałem w domu i przyglądałem się pracy matki. Dlatego pamiętam, z jakich części składała się taka koszula. Cała jej górna część była wykonywana z cienkiego, białego płótna i była wyszywana, część dolna była natomiast przeważnie szyta z płótna grubszego, nierzadko zgrzebnego. Koszula była w całości szyta ręcznie. Kiedy siostra ukończyła szkołę podstawową (miała wtedy 12 lat), z niemałym wysiłkiem rodzice kupili maszynę do szycia, z myślą, że będzie na niej szyła siostra. Była to maszyna marki „Singer". W odróżnieniu od powszechnie używanych w tym czasie maszyn łódkowych, nasza była pierścieniowa. Maszyna do szycia była wtedy na wsi rzeczą bardzo rzadką. Siostra bardzo się paliła do szycia na maszynie i trzeba przyznać, że miała dużą smykałkę do tej pracy. Obchodzenia się z maszyną nauczyła ją bieńczycka krawcowa Maria Walczakówna („Pyrsiokówna"), później żona Wojciecha Ciepieli („Dziedzica").

Dom nasz znajdował się koło drogi prowadzącej przez wieś. Z chodnika do sieni prowadziła wąska uliczka, tuż koło sieni przy ogrodzeniu od strony Nowaka stała ławeczka, na której w wolnych chwilach wysiadywała babka. Przed oknem był mały ogródek kwiatowy, w środku rosła samotna jabłoń. Od strony północnej, a więc od strony, z której z naszej izby wychodziło okno, był mały podworczyk. Ponieważ wychodziło się nań przez sień, nazywany był „zosionkiem". Do ściany domu przybudowana byłe mała szopa ma węgiel i drzewo. W odległości kilku metrów od domu znajdował się chlewik, gdzie przebywały dwie kozy, jedna lub dwie świnki, kilka kur, a czasem gęsi lub kaczki. Za chlewikiem była obora z nawozem. Od strony wschodniej naszym sąsiadem był Piotr Salwiński, właściciel kilkumorgowego gospodarstwa. W granicy między naszymi parcelami był płytki rów, którym w czasie deszczu spływała z drogi woda do rzeki. Oboje Salwińscy – Piotr i jego żona Julia – byli rówieśnikami moich rodziców. Nie mieli córek, za to siedmiu synów, którzy nosili imiona: Jan, Piotr, Wojciech, Andrzej, Józef, Stanisław i Władysław. Najstarsi byli w wieku zbliżonym do moich starszych braci, zaś trzej następni w przybliżeniu w moim wieku. Z tymi trzema przyjaźniłem się i wspólnie bawiliśmy się na podworcu i w ogrodzie Salwińskich. Od strony zachodniej była część domu Nowaka, otaczał ją z trzech stron ogródek. Między posiadłością Nowaka, a następnym domem należącym do rzeźnika, Żyda Salomona Wohlfeilera, prowadziła droga do rzeki. Tą drogą pędzili bydło do wodopoju oraz dostawali się do swoich domów, położonych nieco dalej od głównej drogi, dalsi nasi sąsiedzi: Wojciech Zybura i Piotr Biernacik, a także Salwiński, który nie miał dojazdu do swych zabudowań od głównej drogi. Zabudowania Biernacika znajdowały się tuż nad rzeką, w sąsiedztwie położonego po jej drugiej stronie młyna. Od strony południowej po przeciwnej stronie drogi leżały gospodarstwa Franciszka Bieżanowskiego i Jana Krawczyka.

W opisanej już izdebce mieszkaliśmy do roku 1913. Było nam tam bardzo ciasno. Rodzice myśleli o powiększeniu naszego skromnego mieszkania, jako że po moim urodzeniu było nas już sześć osób. W tym czasie rodzice kupili od Walentego Włodka ¾ morga pola na tzw. „łoniu". Uprawiano na nim na zmianę na jednej połowie żyto, na drugiej ziemniaki, które wprawdzie tylko w części pokrywały zapotrzebowanie rodziny, ale zawsze były wielką pomocą w jej utrzymaniu i wyżywieniu. Do uprawy trzeba było mieć własny nawóz, dostarczały go kozy, króliki i kury, a potem krowa. Oczywiście nie mogliśmy marzyć o porównywaniu się z „kmieciami", czy z zamożniejszymi gospodarzami, którzy posiadali wtedy jeszcze w Bieńczycach po kilkanaście morgów, lecz nie zaliczano nas do „dziadów" i „komorników". We wsi pamiętano, że ojciec pochodził z gospodarskiej rodziny. Dziadek Maciej Kotyza był kiedyś wójtem we wsi, lecz – źle gospodarząc i zaglądając do kieliszka – sprzedawał pole po kawałku. Kiedy ojciec się żenił było jeszcze przy domu 7 morgów pola. Pole to odziedziczył brat ojca, nasz stryj Jan Kotyza, a mój ojciec został spłacony.

Ojciec od najmłodszych lat pracował poza gospodarstwem, jeździł końmi we młynie, zarabiał na siebie i pomagał stryjowi w gospodarstwie. Stryj był w domu i pracował na roli, dziadek uważał więc, że ojciec łatwiej sobie poradzi bez gruntu niż stryj, który trzymał się domu. Nie bez znaczenia było także to, że ojciec ożenił się wprawdzie ze swoją dalszą krewną (dziadek ze strony matki i babka ze strony ojca byli rodzeństwem, pochodzili z Mogiły), ubogą dziewczyną, której rodzice nie posiadali nic poza połową kiepskiej chałupy.

Z lat, kiedy mieszkaliśmy jeszcze w domu babki, utkwiły mi w pamięci różne szczegóły. Ojciec pracował we młynie jako robotnik. Matka posyłała mnie (miałem 3 lub 4 lata) z podwieczorkiem do ojca, do młyna. Szedłem około stu metrów drogą przez wieś do szosy, następnie szosą przez most na Dłubni i wchodziłem przez bramę na teren młyna. Ojca spotykałem zwykle czekającego na mnie koło bramy. Zaglądałem czasem do babki i ciotki, które po dawnemu naprawiały worki na mąkę i zboże. Pewnego razu niosłem ojcu na podwieczorek chleb i „moskale" (ojciec „moskale" bardzo lubił). „Moskale" gdzieś po drodze mi wypadły, zaniosłem ojcu sam chleb. Ojciec się zdziwił, ale pogodził się z tym. Dopiero po powrocie ojca do domu wyszło na jaw, że „moskale" zgubiłem. Obeszło się bez jednak bez kary. Ojciec nie był skory do wymierzania kar cielesnych, ponadto byłem najmłodszym w rodzinie i ojciec mnie lubił. A poza tym, jeśli już zachodziła potrzeba przetrzepania komuś skóry, to zajmowała się tym matka.

Bardzo często przychodziły do domu koleżanki siostry, Biernacikówny „spod młyna": Hania, Kasia i Frania. Wstępowały zwłaszcza wtedy, gdy szły z blaszanką po wodę do studni, która znajdowała się w naprzeciw naszego domu, po drugiej stronie drogi. Woda ze studni była używana tylko do gotowania, do innych celów czerpano wodę z rzeki, zwłaszcza do prania (była „miękka"). Biermacikówny miały młodszego brata Staszka, mego rówieśnika, z którym często się bawiłem, podobnie jak z Salwińskimi: Wojtkiem, Jędrkiem i Józkiem. Bawiliśmy się albo nad rzeką, albo na podworcu u Salwińskich lub Biernacików.

W jesieni, po żniwach, zjeżdżali do wsi na kwatery ułani, którzy odbywali na polach Bieńczyc i innych okolicznych wsi ćwiczenia. Asystowaliśmy przy czyszczeniu koni i uprzęży, co było dla nas wielką frajdą. Konie umieszczano w stodołach i szopach, ułani kwaterowali w domach lub na sianie w stodołach. Przed przybyciem wojska przyjeżdżali najpierw „kwatermachy" (kwatermistrze), którzy przygotowywali kwatery dla koni i ułanów. Z wielkim zainteresowaniem obserwowaliśmy zbiórkę ułanów na koniach, która odbywała się na drodze. Ułani mieli czerwone spodnie, niebieskie, szamerowane bluzy, a czasem niebieskie futrzane kubraki. Po odjeździe wojska zbieraliśmy po kwaterach różne drobiazgi: sprzączki, kawałki pasków, pudełka po paście i tym podobne drobiazgi, które stanowiły dla nas cenne „skarby".

Rzeka płynąca koło młyna zwana była „młynówką". Za wsią na łąkach był jaz, który rozdzielał rzekę na dwie odnogi. Jedna płynąc starym korytem skierowana była do Krzesławic, koło nas płynęła właśnie „młynówka". Tam latem zażywaliśmy kąpieli, a w zimie mieliśmy ślizgawkę. Kąpaliśmy się tak, jak nas Pan Bóg stworzył. Nikt nie myślał o kąpielówkach, zresztą byliśmy w takim wieku, że nikogo to nie gorszyło. Ale nie inaczej kąpali się starsi. Tylko dziewczęta – i to te starsze – kąpały się w koszulach. Wybierały też ustronne miejsca, albo kąpały się dopiero wieczorem.

Na rozwidleniu dróg przy szosie był sklep i karczma Ptaka. Chodziłem tam nieraz po drobne zakupy, najczęściej po cukierki lub bułki, które kosztowały dwa centy (cztery halerze). W karczmie zawsze byli jacyś chłopi, którzy popijali wódkę lub piwo. Pewnego razu któryś z chłopów namawiał mnie do wypicia wódki, a ja powiedziałem o tym matce. Miał się potem z pyszna, gdyż matka mu nie podarowała i przy najbliższej okazji powiedziała, co o tym myśli.

Własny dom

Mieszkanie w domu babki było bardzo ciasne, latem bracia sypiali na stryszku nad chlewikiem. Rodzice zdawali sobie sprawę z fatalnych warunków mieszkaniowych i zaczęli przemyśliwać nad jakimś sposobem powiększenia mieszkania. Ojciec zakupił nawet trochę starego drzewa z rozbiórki mostu. Miało ono posłużyć do dobudowania pomieszczenia do istniejącej izby. Sprzeciwiły się temu jednak zdecydowanie babka i ciotka, chociaż początkowo wyrażały zgodę na rozbudowę. Sprzeciw był prawdopodobnie następstwem – jak przypuszczali rodzice – wpływu sąsiadki Jadwigi Nowakowej („Raciny"), z którą matka miała częste nieporozumienia. Zdarzyło się jednak tak szczęśliwie, że akurat w tym czasie Wojciech Włodek wybudował sobie na „Zagościńcu" nowy dom wraz z zabudowaniami gospodarskimi i dlatego stary dom, w którym dotychczas mieszkał, postanowił sprzedać. Przyjaciel ojca znając naszą trudną sytuację i kłopoty, na jakie mieszkając u babki byliśmy narażeni oraz trudności, na jakie napotkali rodzice przy zamiarze powiększenia swego bardzo skromnego i ciasnego mieszkania, namówił ich do kupna starego domu od wspomnianego Wojciecha Włodka zwanego „Otusem". Dom wymagał remontu. Składał się z sieni i czterech niewielkich izb. Największa była kuchnia zwana powszechnie na wsi „piekarnią", z niej przechodziło się do drugiej maleńkiej „izdebki". Od strony północnej były dwie „komory" różnej wielkości. Od strony wschodniej stykała się z domem dość duża szopa zwana „wozówką" (Włodek posiadał konia i pracował jako woźnica, w tej szopie przechowywał wóz i stąd nazwa). Od tyłu, czyli od strony północnej, do szopy przylegała stajnia, gdzie Włodek trzymał krowę i konia. Prostopadle do stajni,

a równolegle do domu, stały dwa chlewiki dla świń. Tak „wozówka", jak stajnia i chlewik stały w „granicy", czyli za nimi był już ogród Tomasza Kaszowskiego. Z sieni wychodziło się na północ na maleńki podworczyk, oddzielony od posiadłości sąsiada ogrodzeniem. Od strony zachodniej było także ogrodzenie oddzielające nas od gospodarstwa drugiego sąsiada, Jakuba Jędrszczyka, zwanego „Chorym Łatą", który już w tym czasie nie żył, a gospodarowała po nim z czworgiem dzieci wdowa Barbara. Między domem a parkanem oddzielającym naszą parcelę od Jędrszczyka była obora, czyli gnojownia.

Cała parcela, na której stały te skromne i stare zabudowania miała wymiary około 10 na 18 metrów. Zabudowania te nabyli rodzice bardzo chętnie. Wprawdzie zapożyczyli się, aby dokonać zakupu, ale wielka była radość, że wreszcie będziemy mieć swój dom, że bracia nie będą musieli sypiać nad chlewikiem, że będzie gdzie pomieścić' „gospodarstwo" matki: kozy, kury i króliki, którymi opiekowali się bracia. Był to rok 1913. Pamiętam przenosimy do tego nowo nabytego domu. Miałem wtedy zaledwie cztery lata, ale nosiłem jakieś kawałki desek pomagając przy przeprowadzce. Rodzice zamieszkali w „izdebce", a my – czworo dzieci – w kuchni, na dwóch łóżkach: bracia na jednym, a ja ze starszą o dziesięć lat siostrą na drugim. Także nasze kozy, kury i króliki uzyskały większe niż dotychczas pomieszczenie i dogodniejsze warunki bytowania. W „wozówce" przechowywano węgiel i drzewo na opał.

Dom i całe zabudowania wymagały remontu, ponieważ poprzedni właściciel budując nowy dom nie dbał już o stare zabudowania. Do remontu przydało się drzewo, jakie ojciec zgromadził wcześniej z myślą o przebudowie mieszkania. Niebawem najęto cieślę Jakuba Krawczyka „Garusa" i jego synów, którzy wykonali najpotrzebniejsze przeróbki i poprawki. W miejsce starych, zgniłych przyciesi założono nowe, wyrzucono stare i maleńkie okna i wstawiono nowe i większe, poprawiono ściany domu oraz stajni. Było to na nasze warunki wielkie dokonanie, ale ważniejsze było to, że nie byliśmy już „komornikami", lecz posiadaliśmy własny dom, co się we wsi liczyło, a wziąwszy pod uwagę, że wcześniej rodzice kupili od Walentego Włodka ¾ morgi pola „na łoniu", nasze znaczenie we wsi wzrosło. Ojciec pracował we młynie, matka dbała o dom, siostra szyła i razem z matką przyjmowała do szycia od kobiet ze wsi koszule, spódnice i koszule dla chłopców. Obaj starsi bracia pomagali sąsiadom przy gospodarstwie i życie zaczęło się lepiej układać.

Z tych swoich pierwszych lat dziecinnych pamiętam otwarcie i poświęcenie nowej szkoły, które odbyło się w roku 1913. Do tego czasu szkoła mieściła się w starym drewnianym budynku. Jeszcze dawniej – jak opowiadali rodzice – w kilku izbach w różnych domach prywatnych. Nowy budynek szkolny był murowany, piętrowy, posiadał pięć sal do nauki, był na owe czasy najokazalszy w okolicy. W tym samym czasie powstał w Bieńczycach budynek „Sokoła".

Lata pierwszej wojny światowej

Kiedy w 1914 roku wybuchła wojna światowa mieszkaliśmy już we własnym domu. Pamiętam przejeżdżający w pierwszych dniach wojny przez Bieńczyce patrol ułański. W pierwszych jej latach we wsi często kwaterowało wojsko, jako, że do granicy austriacko-rosyjskiej w Kocmyrzowie było zaledwie około 10 km., a w kierunku na Raciborowice jeszcze bliżej. Forty na wzgórzach na północ od wsi były obsadzone przez wojsko. Przestrzeń między fortami zamknięto zasiekami z drutów kolczastych. Wsie położone na przedpolu fortów: Grębałów, Lubocza, Kantorowice i Zesławice zostały zburzone, a wszystkie drzewa wycięto. Ludność stamtąd wysiedlono, wielu z nich zamieszkało w Bieńczycach. Z początkiem wojny Rosjanie wycofali się od granicy i armia austriacka, a wraz z nią pierwsza kadrowa kompania Legionów Polskich wkroczyła do Kongresówki, jednak na przełomie 1914/15 roku Rosjanie rozpoczęli ofensywę i znowu podeszli pod Kraków. Prawie całą ludność z Bieńczyc i okolicznych wsi ewakuowano. Kto miał odpowiednią ilość żywności mógł mieszkać w Krakowie, a kto jej nie miał, był wywożony dalej, nawet do Czech i na Morawy. Kraków jako twierdza przygotowywał się do obrony. Ojciec umieścił mnie wraz z babką i ciotką przy ul. Dwernickiego w Krakowie, sam zaś pozostał z matką w domu, gdyż pracował we młynie, i miał prawo przebywać we wsi. W Bieńczycach kwaterowało wojsko i napotykanych mieszkańców, którzy nie mieli zezwolenia na pozostanie we wsi – wypędzano. W Krakowie zajmowaliśmy dozorcówkę, brat Józef pełnił funkcję dozorcy. Wraz z nami była także moja siostra Marysia i brat Staszek. Prawie nie wychodziłem z mieszkania, siedziałem przy oknie i zabawiałem się gipsową figurą krakowiaka. Największą radością dla mnie było, gdy wyszedłem na ulicę z ciotką, a ta mnie podsadziła, by wcisnąć dzwonek elektryczny w bramie. Ciotka często wyprawiała się do Bieńczyc po prowiant. Pod koniec grudnia, kiedy we wsi zaczęło się robić trochę swobodniej, matka zabrała mnie do domu, ciągle jednak nie wolno było pokazywać się na drodze. Koło Nowego Roku przeżyliśmy jednej nocy wielki strach. Całą noc biły ciężkie działa austriackie ustawione w Mogile koło stacji. Strzelały na Niepołomice, gdzie wdzierali się moskale. Patrole rosyjskie dotarły

wtedy aż pod Wieliczkę. Do dzisiaj stoi na wzgórzu zwanym Kaim w Bieżanowie obelisk, upamiętniający, że dotąd doszli wtedy Rosjanie. Gdy zostali oni odparci, ludność zaczęła powoli powracać do domów, ciągle jednak kwaterowało tam wojsko. Oddziały się zmieniały. Byli Austriacy, oddziały złożone z Czechów, był jakiś oddział bośniacki, były oddziały węgierskie zwane honwedami. Ci zwłaszcza napędzili nam strachu, gdyż zakwaterowali swoje ciężkie konie w naszej „wozówce", od której oddzielała nas tylko spróchniała ściana, a niespokojne konie przepychały się i kopały tak, że ściana trzeszczała i matka tylko patrzyła modląc się, kiedy się ściana zawali, ale jakoś wytrzymała. W tych niespokojnych czasach przyszedł na świat 28 stycznia 1915 roku mój najmłodszy brat, któremu na chrzcie nadano imię Piotr. Rodzicami chrzestnymi byli Franciszka Turbasowa (Oleszczykowa) i Franciszek Siudek. Długi czas jeszcze kwaterowało we wsi wojsko. We dworze przebywał oddział złożony z Czechów. Przychodził do nas do domu taki jeden „pepik", który był kucharzem, przynosił zawsze coś do zjedzenia. M.in. dostałem od niego puszkę kakao, które po raz pierwszy próbowałem. Ten Czech wyrabiał także pantofle z sukna na podeszwie robionej za sznurka i sprzedawał ludziom we wsi. W kwietniu wybuchł pożar we młynie, który zniszczył cały młyn i uczynił niezdatnymi do użycia zapasy mąki i zboża tam zgromadzone. Pożar był wielki i groźny. Spalił się nie tylko młyn, ale także wiele domów i zabudowań gospodarczych we wsi. O jego wielkości świadczy i to, że do jego gaszenia przyjechała nawet straż pożarna z Krakowa. Mimo wysiłków straży i wojska młyna nie udało się uratować. Wiał wschodni wiatr, chłopi ratowali swe zabudowania, a wiatr niósł rozpalone kawałki blachy, którą był kryty dach, aż na drugi koniec wsi i zapalał słomiane strzechy domów i stodół. Ludzie siedzieli na dachach lejąc wodą i okrywając strzechę mokrymi szmatami, a budynek zaczynał się palić od środka, gdyż kawałki rozżarzonej blachy niesione wiatrem przebijały strzechę i zapalały słomę w stodole lub na strychu domu. Zginął w czasie pożaru Paweł Pyczek (Siumniok) z Bieńczyc, który pracował we młynie i na wieść o pożarze pobiegł tam, by bronić od ognia swojego miejsca pracy. Kilkadziesiąt osób zatrudnionych we młynie straciło wówczas pracę. Należał do nich także mój ojciec, który pracował we młynie 25 lat, najpierw jako woźnica (fularz) dowożący końmi zboże do młyna z Krakowa i z powrotem mąkę ze młyna, a po zbudowaniu kolei do Kocmyrzowa pracował tam jako robotnik. Bez pracy był niedługo, bo jego przyjaciel Jan Sawicki, radny powiatowy, polecił ojca na wakujące miejsce drożnika na drodze Kraków – Kocmyrzów, którą to funkcję do niedawna pełnił Wincenty Krawczyk z Bieńczyc, ale zmarł w czasie wojny. Ojciec pracę tę przyjął z zadowoleniem tym większym, że zwalniało go ona (podobnie jak praca we młynie) od służby wojskowej. Dodatkową korzyścią była pozyskiwana trawa rosnąca w przydrożnych rowach, która służyła jako pasza dla naszej krowy, kóz i królików, oraz drewno na opał z obcinanych wiosną przydrożnych drzew. Wypasanie kóz a potem krowy należało do mnie. Matka i siostra dalej szyły ludziom bieliznę, kobietom spódnice i zapaski. Bracia Staszek i Józek mający już po 15 i 16 lat zaczęli pracować. Jan Sawicki zaproponował ojcu jeszcze jedną możliwość zarobku. W Bieńczycach koło drogi w pobliżu sklepu i karczmy Ptaka stał mały domek zwany rogatką. Na tej rogatce furmanki przejeżdżające drogą obowiązane były opłacać tzw. myto czyli pewnego rodzaju podatek drogowy. Rogatka należała do Rady Powiatowej i była wydzierżawiana na podstawie składanych ofert. Przed wojną dzierżawił myto Żyd, a potem Ptak. Obecnie wydzierżawiono myto na moje nazwisko. Stanęło na tym, że ojciec będzie sprawował funkcję dróżnika dalej, zaś matka będzie na mycie, a pomagać jej będą w tym dwaj moi starsi bracia.

Z chwilą wybuchu wojny i zarządzenia powszechnej mobilizacji wielu mężczyzn ze wsi poszło na wojnę. W gospodarstwach pozostały kobiety, matki, żony i starsze córki wykonując męską pracę w ich zastępstwie. Przychodziły zawiadomienia, że ten czy ów został ranny i przebywa w szpitalu. Przysyłano także wiadomości o śmierci żołnierzy na froncie rosyjskim czy włoskim. Za znanych mi ludzi we wsi zginęli na wojnie: Andrzej Zybura, Jan Jędrszczyk (z Budzynia), Józef Kaszowski, Jan Zięba (Duniec), Jan Krawczyk (syn Jakuba). Niewiele było rodzin, z których by ktoś nie służył w wojsku, jeśli nie ojciec to syn, a czasem nawet kilku z jednej rodziny (tak było u Turbasów, gdzie trzech synów: Jan, Józef i Jakub poszło na wojnę). Mój ojciec był reklamowany od wojska, jako pracownik młyna w Bieńczycach, który pracował dla armii, zaś po spaleniu się młyna w 1915 r., kiedy zaczął pracować jako dróżnik – też był reklamowany. Kiedy jednak wojna się przedłużała i trzeba było zapełnić powstające w wojsku braki w ludziach, władze austriackie unieważniły reklamacje i pociągały do służby także reklamowanych. Tak też było z ojcem. Na przełomie 1916/1917 został powołany do wojska. Na początku przebywał w Icinie na Morawach, gdyż jako dobiegający już 50-tki, nie został wysłany na front. Po krótkim pobycie w Icinie przydzielono go do rafinerii nafty w Gorlicach, które bardzo ucierpiały w czasie walk na Podkarpaciu na przełomie 1915/16. Jako konwojent jeździł ojciec z wagonami nafty i benzyny do różnych miejscowości na terenie Monarchii Austriacko-Węgierskiej. Jeździł do Koszyc i Koloszwaru, do Ołomuńca na Morawach i innych miast. Jeżeli mu wypadała powrotna droga przez Kraków, wstępował po drodze do domu. Przyjeżdżał w mundurze żołnierza austriackiego z karabinem, pobył w domu noc, a czasem i następny dzień i wracał do

Gorlic, by znowu za kilka dni jechać z nowym transportem. Jako konwojent siedział w wagonie, a jeśli to były cysterny, to w budce hamulcowego. Pociągi wlokły się całymi dniami, pół biedy było latem, ale zimą trzeba było marznąć. Konwojent żywił się suchym prowiantem i herbatą kupowaną na stacjach. W styczniu 1918 roku ojciec ukończył 50-ty rok życia i mimo toczącej się wojny, po przekroczeniu wieku poborowego został zwolniony do cywila. Taki jednak był porządek w Monarchii Austriackiej. W domu zapanowała wielka radość, a ojciec wrócił z powrotem do swojej pracy jako drożnik, gdzie wcześniej zastępował go na tym stanowisku niepełnoletni, najstarszy brat Staszek. Drugi brat Józek pracował na stacji kolejowej w Bieńczycach, gdzie zawiadowcą był stary podoficer austriacki Józef Franta. Brat jako robotnik wykonywał najprostsze roboty: sprzątał, zamiatał, czyścił i świecił lampy, palił w piecach, przekładał zwrotnice, dzięki czemu choć nie było łatwo całej rodzinie, to jakoś wiązało się przysłowiowy „koniec z końcem". Obaj bracia coś zarobili, siostra ciągle szyła, matka siedziała na mycie, w wolnych chwilach szyła w rękach pomagając siostrze. Nocą na rogatce przebywali obaj bracia, mieli tam pryczę, na której spali. Często w nocy trzeba było wstawać, by podnieść opuszczony szlaban i puścić przejeżdżającą furmankę. Rogatka była punktem, gdzie przewijało się dużo ludzi, zatrzymywały się furmanki dla opłacenia myta, a jadący z odleglejszych okolic (Proszowic, Kazimierzy, Topoli, Skalbmierza) zatrzymywali się także dla popasu i napojenia koni. Chłopi zwłaszcza w zimie wstępowali na rogatkę, żeby się zagrzać, a niektórzy chłopi z Bieńczyc w niedzielę na pogwarkę i na karty. W czasie wojny bardzo trudno było o tytoń. Brat Staszek, który zawsze był przedsiębiorczy wpadł na pomysł, a może ktoś mu poradził, by zahandlować tytoniem względnie papierosami. Kupował tytoń od Czopka w Czyżynach, tutki czyli gilzy można było dostać w każdym sklepie, maszynkę do robienia papierosów także. Robił je więc, a następnie sprzedawał przejeżdżającym i przychodzącym na rogatkę chłopom. Żandarmi, a potem (gdy powstała Polska), policjanci byli znajomi, więc na ten nielegalny handel patrzyli przez palce. Pod nieobecność brata papierosy sprzedawała matka, a także i ja zastępując ją za dnia na mycie papierosy sprzedawałem. Ja chodziłem do szkoły, zaś po południu pasłem kozy, a wieczorem robiłem papierosy i w ten sposób uczestniczyłem jakoś we wspólnym utrzymaniu domu. Miałem wtedy siedem-osiem lat, kusiło, żeby zapalić. I próbowałem, aby zaś w izbie nie było czuć dymu, wpuszczałem w zimie dym do pieca. Nie nabrałem jednak nawyku do palenia. Późno, bo dopiero około trzydziestego roku życia zacząłem palić i palę do dzisiaj, ale z przerwami, np. nie paliłem przez całą okupację, a i dzisiaj przerywam zawsze palenie na Wielki Post i na Adwent. Bardzo niezadowolonym z dzierżawy rogatki przez rodziców był Franciszek Ptak, który dawniej myto dzierżawił. (...) W sierpniu 1917 roku wyleciały w powietrze magazyny amunicji znajdujące się na polach między Bieńczycami i Mogiłą. Pasłem w tym czasie kozy na rowach koło drogi wiodącej od Czyżyn do Bieńczyc. Codziennie obserwowałem jak kilka aut wojskowych, pełnych żołnierzy zdążało tą drogą, a następnie skręciwszy w drogę prowadzącą z Bieńczyc do Mogiły udawało się do magazynów, które myśmy nazywali „prochowniami". Ci żołnierze w tych magazynach pracowali. Były żniwa, ludzie kosili już owies lub wykonywali na polach inne prace. Jak zwykle, tak i tego dnia wypędziłem kozy z domu około godz. 7-mej. Nagle usłyszałem straszny huk jeden, a po chwili drugi. Odemknąwszy oczy zobaczyłem na wschodniej stronie nieba, a więc od strony Mogiły olbrzymią chmurę dymu, za którą znikło słońce. Byłem oszołomiony. Po chwili z góry leciały drobne kamyczki i drzazgi drzewa oraz jakieś spalone papiery. Drogą od Czyżyn pędziła w popłochu krowę służąca od Żyda Wohlfeilera. Prawie wszystkie domy we wsi doznały mniejszych lub większych uszkodzeń od wybuchu, przeważnie z domów krytych dachówką wiele z nich zostało strąconych i porozbijanych, powypadały z okien szyby, poodpadała z drewnianych domów glina, którą były domy wylepione. Kilka osób z Bieńczyc, które pracowały w tym czasie w pobliżu magazynów, zostało rannych. Przez długi czas po wybuchu żołnierze zbierali po polach rozrzucone pociski-niewybuchy i gromadzili je w jedno miejsce i niszczyli detonując. Ciała zabitych kilkudziesięciu żołnierzy rozrzucone zostały po polach. Zgromadzono je we wspólnym grobie na cmentarzu mogilskim, grób otoczono sztachetami i murem od zewnętrznej strony cmentarza, a na filarach umieszczono austriackie czapki wojskowe. Nikt się nigdy nie dowiedział, co było przyczyną wybuchu, nikt bowiem z pracujących w magazynach nie uratował się. Chłopcy pasący jesienią bydło na ścierniskach napotykali jeszcze granaty, które rozkręcali i dla zabawy wrzucali spłonki do ogniska. Pietrek Zybura wrzucił do ognia taką spłonkę, ale przerażona tym jedna z dziewcząt rozgrzebała kijem ognisko odrzucając ją stamtąd daleko. Pietrek jednak nie dał za wygraną, odszukał spłonkę, a potem dotknął ją rozpalonym kawałkiem knota powodując wybuch, który skaleczył mu palce i dłoń.

Nowy dom

W starym domu przemieszkaliśmy całą wojnę. Było w nim jednak ciasno, niewygodnie, no i był stary, krzywy strzechą i co jakiś czas trzeba było coś łatać i naprawiać. W roku bodajże 1925 sąsiad Tomasz Kaszowski zaproponował rodzicom sprzedaż części swojej posiadłości. Rodzice skwapliwie z tego skorzystali: umowa,

geometra, kontrakt kupna – sprzedaży i przyłączyliśmy wyznaczoną działkę do naszej parceli. Od dłuższego już czasu rodzice coraz częściej przemyśliwali nad budową nowego domu. O budowie murowanego nikt nawet nie marzył, myślano o domu drewnianym. I nadarzyła się okazja. Po wojnie, a nawet jeszcze w czasie wojny, celem odbudowy zburzonych na przedpolu fortów wsi, powstała na Dąbiu przy ul. Mogilskiej centrala budowlana (Baustelle), która miała pomagać chłopom w odbudowie zniszczonych domów. Również w Bieńczycach w czasie pożaru młyna w 1915 r. wieś mocno ucierpiała. Strawionych przez pożar zostało kilkanaście domów i budynków gospodarczych. I ich właściciele również otrzymali drzewo na budowę. U Wojciecha Włodka (tego, od którego kupiliśmy stary dom) leżało właśnie takie drzewo będące własnością jego krewnego Ciepieli (Smyrnia), który nie miał zamiaru odbudowywać swego domu i był skłonny drzewo sprzedać. Ugodzili się i drzewo rodzice kupili. Była więc powiększona parcela i drzewo na budowę. Ale to nie wszystko, potrzebna była do budowy cegła na podmurówkę i na komin, dachówka na pokrycie dachu, deski, krokwie, łaty, okucia do drzwi i okien, klamki, gwoździe, szyby itp. No i oczywiście gotówka dla majstra i robotników. Znanym w okolicy majstrem budowlanym, który już w Bieńczycach zbudował nie jeden dom i miał swoją ekipę budowlaną, był Jakub Bęben z Grębałowa. Porozumiano się z nim i ustalono termin, kiedy będzie mógł rozpocząć budowę. Miało to nastąpić w lecie 1926 roku. Chodziłem wtedy do V-tej klasy gimnazjalnej. Nim przystąpiono do budowy, trzeba było dokonać rozbiórki starego domu i przyległych doń wozówki, stajni i chlewików. Dokonano tego wspólnymi siłami Bębna i jego ekipy oraz nas, wszystkich domowników. Na czas budowy zamieszkaliśmy u sąsiada, Jakuba Jędrszczyka. Po usunięciu starego drzewa, cegły z pieców, strzechy, uprzątnięto plac, na którym miał powstać nowy dom. Wytyczono jego zarys, wykopano niegłębokie fundamenty, ze starej cegły założono podmurówkę i przystąpiono do wznoszenia ścian. Drzewo było równe i gładkie, więc budowa ścian nie przedstawiała większych trudności. Najciekawszą rzeczą dla mnie było zakładanie ścian i łączenie ich na węgłach. Jakub Bęben okazał się w tym doświadczonym majstrem. Rysował na końcu każdej belki ciesielskim ołówkiem wycięcia, jakie należało wykonać, a jego brat Tomasz i Jan Pazdalski umiejętnie nacinając piłą następnie siekierą wycinali odpowiednie profile, które nałożone na siebie łączyły dwa płazy. Tak rosły ściany, a w nich otwory na okna i drzwi. Dom ma 11 m długości a 8 m szerokości. W środku jest sień a z obu jej stron po dwie izby. Izby od strony drogi są kwadratowe 4x4 m., izby północne mają tę samą długość, lecz są nieco węższe. Na dach przygotowano krokwie przepiłowując płazy. Krokwie pokryto łatami i na nich ułożono dachówkę. I tak ukończono robotę ciesielską. Okna i drzwi wykonał już majster u siebie w domu. Przed domem na wprost wejścia do sieni zbudowano z drzewa ganek, na którego froncie jest deska z uwidocznionym rokiem budowy. Deskę tę wykonałem osobiście rysując naprzód litery „R.P." i datę „1926". Piece z cegły wraz z piecem chlebowym i komin wykonał murarz z Dłubni, Kałoń. Na świeżym jeszcze tynku komina wydrapałem gwoździem datę budowy i nazwisko murarza. Powałę dla ocieplenia – jak było w zwyczaju – pokryto polepą z gliny zmieszaną z plewami. Podłogi w dwóch izbach, w których mieszkaliśmy, zostały wbite dopiero w następnych latach, z początku było klepisko. W izbie po drugiej stronie sieni przybijałem podłogę sam jeszcze później. Izba ta stała wolna służąc za pewnego rodzaju spiżarnię do roku 1938, wtedy ja tam zamieszkałem sprawiwszy sobie kilka niezbędnych gratów, jak szafkę na książki oraz na ubrania i biurko. Mieszkaliśmy w tej izbie z żoną przez kilka miesięcy po naszym ślubie, zanim nie wynajęliśmy mieszkania u Merca. Po raz drugi mieszkaliśmy tam w latach 1944-45, kiedy nas Niemcy wyrzucili – w dzień Bożego Narodzenia – z mieszkania w domu teścia Halika. Trzeci raz zamieszkaliśmy w tym domu w 1948 r. kiedy po śmierci ojca namówiła nas do tego moja matka. Mieszkaliśmy tam do grudnia 1952 r., kiedy otrzymaliśmy mieszkanie w nowym bloku na os. Sportowym w Nowej Hucie.

Szkoła podstawowa

Historia szkoły w Bieńczycach sięga swym początkiem lat pięćdziesiatych ubiegłego stulecia. Najpierw – jak opowiadali starsi ludzie – uczono się w domach prywatnych. Potem powstał budynek szkolny. Był to drewniany parterowy dom, który istniał do roku 1913, w którym ukończono budowę nowego budynku szkolnego, murowanego, piętrowego. Na owe czasy był to najokazalszy budynek szkolny na całą okolicę. Posiadał pięć dużych sal do nauki, z wielkimi oknami, kancelarię i mieszkanie dla kierownika szkoły. Szkoła stała przy drodze bocznej zwanej „Zagościńcem". Do naszej bieńczyckiej szkoły chodziły dzieci także z Mistrzejowic i Dłubni. Obok szkoły znajdował się ogród, niewielki podworzec dla dzieci i zabudowania gospodarskie kierownika szkoły. Od początku stulecia do roku 1932 kierownikiem szkoły był Kazimierz Łowczowski. Odszedł na emeryturę w podeszłym wieku. Przez długi pobyt we wsi związał się mocno z nią mocno. Był powszechnie lubiany i szanowany za swoją uczciwość i gotowość do pomocy miescowej ludności. Wychował całe pokolenia młodzieży. Wiele młodzieży skierował do szkół srednich do Krakowa. Nie ograniczał się tylko do nauki w szkole, z młodzieżą starszą organizował przedstawienia i zajęcia świetlicowe. Brał udział w pracy społecznej wsi. Miał dwóch synów

i trzy córki, które po ukończeniu seminarium nauczycielskiego w Krakowie były nauczycielkami. Najstarsza z nich Zofia wyszła za mąż za mieszkańca Bieńczyc Jakuba Walczaka, który w wojsku dosłużył się stopnia majora, a po opuszczeniu wojska był w Krakowie adwokatem. Syn Kazimierz był lekarzem, również związał się z Bieńczycami i jako lekarz oddawał wsi nieocenione usługi. Kierownik szkoły przeszedłszy na emeryturę zamieszkał w Krakowie, jednak z wsią utrzymywał stały kontakt. Za czasu zaborów szkoła była czteroklasowa i nosiła nazwę szkoły ludowej. Dla młodzieży, która kończyła klasę czwartą, była jeszcze nauka uzupełniająca, zwana także „niedzielną" z tego powodu, że początkowo odbywała się tylko w niedzielę. Jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej uczono w klasach starszych języka niemieckiego. Po uzyskaniu niepodległości naukę języka niemieckiego zniesiono. Obok kierownika szkoły pracowały za Łowczowskiego najmniej cztery inne siły nauczycielskie. Uczyły wtedy panie Maria Zielińska, Władysława Cholewa, Maria Kozerówna oraz dwie córki kierownika szkoły, Zofia i Maria. Następcą Łowczowskiego na stanowisku kierownika szkoły był Józef Celiński. Przyszedł do Bieńczyc w 1932 r. z powiatu pińczowskiego. Był kierownikiem szkoły aż do jej likwidacji w roku 1967 i równocześnie z likwidacją szkoły został przeniesiony na emeryturę. Również i on, pochodzący sam ze wsi pińczowskiej, związał się z Bieńczycami bardzo, pracował w różnych organizacjach społecznych i politycznych, jednak za swoje główne zadanie uważał zawsze pracę w szkole i wychowanie młodzieży. Za jego czasów szkoła uzyskała prawa pełnej szkoły siedmioklasowej. Również za jego kierownictwa dużo młodzieży szło do szkół średnich w Krakowie. Długie lata uczyły w szkole w Bieńczycach panie: Olga Kęskowa, Zofia Chrzanowa, Stachnikowa, Starochowiczówna (po mężu Łowczowska), z nauczycieli Józef Buzała i Zygmunt Druciak. Po wojnie uczyły: Maria Kotyzowa, Wolnikowa. Religii uczyli księża wikariusze z Raciborowic: ks. Ganbarczyk, ks. Kozub, ks. Lućkowski. Ks. Kozub przygotowywał nas do pierwszej Komunii św. Spowiedź odbyła się w kaplicy w Bieńczycach, zaś do Komunii św. Pojechaliśmy na drugi dzień furmankami do kościoła parafialnego w Raciborowicach. Po Komunii św. Odbyło się wspólne zdjęcie z ks. Katechetą. Nie przypominam sobie, by urządził nam ktoś jakieś śniadanie, jak to dzisiaj bywa. Również stroje nasze były bardzo różne. W czasie wojny nauka w szkole była prowadzona mimo różnych trudności bez przerwy. Nauczyciele, choć tego nie było wolno robić, uczyli historii i geografii Polski. Przez krótki czas szkoła była zajęta na kwatery dla wojska niemieckiego, lecz i to nie przerwało nauki szkolnej. Nauka odbywała się wtedy we dworku. Na potrzeby szkoły (opał, pomoce szkolne oraz uzupełnienia wynagrodzenia dla nauczycieli) ludność wsi składała datki. Szkoła była nie tylko przybytkiem nauki dla dzieci i młodzieży, ale była także ośrodkiem pracy społecznej, w salach szkolnych odbywały się zebrania organizacji społecznych i młodzieżowych, urządzano przedstawienia. W czasie okupacji istniał przy szkole ośrodek tajnego nauczania, którym kierował kierownik szkoły Józef Celiński. Istniało kilka zespołów tajnego nauczania. Nauka tych zespołów odbywała się częściowo w szkole, a częściowo w prywatnych domach. Między innymi odbywały się lekcje tajnych kompletów w domu Osiadłego, Englischa w Mistrzejowicach, w mieszkaniu Kotyzów oraz we dworze. Młodzież, która miała rozpoczętą szkołę średnią przed wojną, zdawała maturę, jeszcze inni ukończyli pierwszą lub drugą klasę gimnazjum i kontynuowali naukę po odzyskaniu wolności w szkołach państwowych. W kompletach tajnego nauczania uczyli Józef Celiński, Wincenty Choma, Maria Dziedzic, Jan i Maria Kotyzowie, Jan Rasak i kilka osób, które dojeżdżały z Krakowa. Już przed wojną szkoła była siedmioklasowa, poziom nauki w szkole był całkiem zadawalający, wielu uczniów szło bez trudności do szkół średnich w Krakowie, wielu tak przed wojną, jak i po wojnie uzyskało wyższe wykształcenie. Dużą rolę do spełnienia miała szkoła w Bieńczycach w pierwszych latach budowy Nowej Huty, kiedy powstały już w pobliżu wsi nowe bloki mieszkalne i zamieszkali w nich przybysze z różnych stron Polski, a nie było jeszcze na nowych osiedlach szkoły. Wówczas dzieci z tych osiedli uczęszczały do szkoły w Bieńczycach. Wtedy nauka w szkole odbywała się na trzy zmiany, kształcąc około sześciuset dzieci. Po zlikwidowaniu szkoły budynek szkolny przebudowano i umieszczono w nim Dom Dziecka. Wielkim kosztem przebudowany budynek niedługo służył nowym zadaniom. Na skutek mankamentów popełnionych przy jego przebudowie, władze oświatowe były zmuszone przenieść Dom Dziecka do innych pomieszczeń, a przebudowany dwupiętrowy budynek przeznaczono na biura i magazyny.

Gimnazjum

Większość młodzieży dojeżdżającej z naszych stron do szkoły średniej, szła do gimnazjum Św.Jacka w Krakowie, przy ul. Siennej. Tak poszło o trzy lata wcześniej czterech chłopców z Bieńczyc: Staszek Kaszowski, Franek Ciepiela, Franek Nawara i Poldek Sawka, a o rok wcześniej Jasiek Krawczyk. Mnie – nie pamiętam już z jakiej racji – zapisali do Gimnazjum Sobieskiego. Do egzaminu wstępnego przygotowywał nas wszystkich kierownik szkoły w Bieńczycach – Kazimierz Łowczowski, do którego chodziliśmy przez ostatnie półrocze na lekcje rachunków i języka polskiego. W dzień egzaminu wystrojono nas w niebieskie kabatki, czarne spodnie,

butki z cholewami. Czuliśmy się w tych strojach dość niewyraźnie, a i pozostali kandydaci patrzyli na nas z zaciekawieniem. Przylgnęła do nas na długie lata nazwa „synowie Witosa". Egzamin wstępny zdaliśmy wszyscy czterej, a po wakacjach sprawiono nam już odpowiednie ubrana, nie różniące się od ogólnie przyjętych. Nie obowiązywały już dawne austriackie mundurki z paskami na kołnierzu oznaczającymi klasy, oraz czapki popularnie zwane „dekle". Nie było też przepisów, jak miały wyglądać nowe polskie mundurki. Noszono więc długie lub krótkie spodnie i przeważnie bluzki zapięte pod szyją. Jako nakrycie głowy noszono już rogatywki czarne lub granatowe z litera „G" na przedzie. Kiedy nasza czwórka szła do gimnazjum, najstarsi z Bieńczyc: Kazek Łowczowski, Józef Walczak i Leon Wohlfeiler byli już w VII klasie. Bieńczyce były w tym szczęśliwym położeniu, że miały pociąg i na miejscu stację kolejową, co ułatwiało nam i wszystkim mieszkańcom dojazd do Krakowa i w ogóle umożliwiało chodzenie do szkoły w mieście. Dlatego z takich wsi jak Bieńczyce, Czyżyny, Mogiła, Kocmyrzów najwcześniej zaczęła się młodzież kształcić. Ze wsi położonych dalej od linii kolejowej było to możliwe tylko wtedy, gdy rodzice byli na tyle zamożni, ze mogli syna lub córkę umieścić na stancji w mieście, lub jeśli chłopaka stać było na wysiłek wstawania wcześnie rano i wędrowania codziennie po kilka kilometrów w jedną i drugą stronę do stacji kolejowej. Kiedy zaczęliśmy jeździć pociągiem do szkoły, dojeżdżało już tyle młodzieży, że dyrekcja kolei dała już osobny wagon dla młodzieży szkolnej. Jeden przedział był dla dziewcząt, drugi dla chłopców. Jeździło nas już tyle, że my z Bieńczyc i Czyżyn musieliśmy już stać, gdyż ci jadący od Kocmyrzowa zwykle już siedzące miejsca zajęli. Tercjan w szkole w zimie miał polecenie, aby nas przyjezdnych wpuszczać do szkoły wcześniej. Była do tego celu wyznaczona jedna z sal szkolnych, gdzie wszyscy przyjezdni zbierali się w oczekiwaniu na lekcje. Z kilku kierunków dojeżdżała młodzież do naszego gimnazjum, my od Kocmyrzowa, inni od Skawiny, inni od Wieliczki i Bieżanowa, jeszcze inni od Kłaja i Niepołomic, a jeszcze inni od Rudawy i Krzeszowic.(...) Klasę III-cią rozpoczynaliśmy w roku 1923, był to rok, w którym przez Polskę przechodziła fala strajków. Strajkowali kolejarze, nie chodziły pociągi, utrudniony był dojazd do szkoły. Przez pewien czas chodziliśmy z Bieńczyc pieszo. Dnia 6 listopada doszło na ul. Dunajewskiego do starcia między policją i wojskiem a robotnikami, w wyniku czego śmierć poniosło kilkunastu ułanów (w tym rotmistrz Lucjan Bochenek) oraz kilkunastu robotników. (...) W Gimnazjum Sobieskiego uczyło wielu wybitnych profesorów. Wypada tu wymienić późniejszych profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego jak filologa Stanisława Skiminę, polonistę prof. Klemensiewicza, biologa, prof. Jana Zaćwilichowskiego, logika, malarza i filozofa prof. Leona Chwistka, oraz takich jak dr Antoni Wilk, matematyk i astronom, odkrywca komet, dr Franciszek Fuks, geograf, wspaniały dydaktyk, autor podręcznika. (...) Kiedy byłem w V klasie w Warszawie miał miejsce przewrót majowy, jakiego dokonał marszałek Józef Piłsudski.

Wykształcenie młodzieży

Bliskie sąsiedztwo Krakowa i coraz większe ułatwienia komunikacyjne spowodowały, że młodzież z Bieńczyc zaczęła się kształcić w szkołach średnich i wyższych. Początkowo były to jednostki, lecz z czasem tendencja ta przybrała większe rozmiary.

Jeszcze przed pierwszą wojną Wojciech Ptak, syn Franciszka, ukończył szkołę średnią i politechnikę i był inżynierem w Dyrekcji Kolei w Krakowie.

Jakub Walczak ukończył szkołę średnią, rozpoczął na Uniwersytecie Jagiellońskim studia prawnicze przerwane przez wojnę, w wojsku dosłużył się stopnia majora, po przejściu na emeryturę (po przewrocie majowym) dokończył studia, uzyskał stopień doktora i został adwokatem.

Tuż przed pierwszą wojną i w czasie wojny rozpoczęli naukę w szkołach średnich synowie i córki kierownika szkoły Kazimierza Łowczowskiego – Włodzimierz, Kazimierz, Zofia i Maria – oraz ich rówieśnicy: Jan Pyczek, Leon Wohlfeiler, Władysław Ptak i Józef Ciepiela.

Włodzimierz Łowczowski szkoły nie ukończył. Pracował jako urzędnik pocztowy w Krakowie.

Kazimierz Łowczowski ukończył gimnazjum oraz studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, był lekarzem w Bieńczycach, a następnie w Nowej Hucie, potem wyjechał i pracował jako lekarz w Żabnie i w Szczyrku.

Zofia Łowczowska ukończyła seminarium nauczycielskie, uczyła w szkole podstawowej w Bieńczycach, wyszła za mąż za Jakuba Walczaka.

Maria Łowczowska-Bogaczowa ukończyła seminarium nauczycielskie, była nauczycielką w Bieńczycach, a potem w Bieżanowie.

Jan Pyczek gimnazjum nie ukończył, pracował jako urzędnik na poczcie w Krakowie.

Leon Wohlfeiler ukończył gimnazjum im. Sobieskiego i medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim, był lekarzem w Bieńczycach, w czasie drugiej wojny służył w II Korpusie Gen. Władysława Andersa, po jej zakończeniu wyjechał do Izraela.

Władysław Ptak gimnazjum nie ukończył, służył jako ochotnik w wojsku polskim, brał udział w obronie Lwowa, potem gospodarował w Bieńczycach na gospodarstwie rolnym, aż do wywłaszczenia ziemi pod budującą się Nową Hutę.

Józef Ciepiela gimnazjum nie ukończył, był na pierwszej wojnie światowej, po wojnie służył w Straży Granicznej, po przejściu na emeryturę pracował w Bieńczycach w Kasie Stefczyka, a następnie jako urzędnik w Zarządzie Gminnym w Mogile.

W roku 1918 poszli do szkoły średniej: Franciszek Ciepiela, Franciszek Nawara, Stanisław Kaszowski i Leopold Sawka.

Franciszek Ciepiela ukończył gimnazjum św. Jacka, wstąpił do podchorążówki zawodowej, po jej ukończeniu jako oficer służył w wojsku polskim, brał udział w stopniu kapitana w kampani wrześniowej, przebywał w obozie jenieckim, po wojnie pracował w wojewódzkimZarządzie Młynów.

Franciszek Nawara ukończył gimnazjum św. Jacka w Krakowie, służył w podchorążówce rezerwy, ukończył studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował w Izbie Rolnej w Krakowie, a następnie w Puławach. W czasie wojny znalazł się we Francji, po wojnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie pracował na jednym z uniwersytetów. Specjalizował się w hodowli owiec.

Stanisław Kaszowski chodził do szkoły średniej, lecz jej nie ukończył, pracował jako urzędnik w Zarządzie Miejskim w Krakowie.

Leopold Sawka (syn policjanta) chodził do gimnazjum, potem do Szkoły Przemysłowej w Krakowie, z Bieńczyc wyjechał jeszcze jako uczeń szkoły średniej.

W roku 1920 poszedł do gimnazjum Św. Jacka Jan Krawczyk, przez pewien czas był w konwikcie Księży Jezuitów w Krakowie, ukończył gimnazjum, służył w podchorążówce, ukończył studia rolnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zginął w czasie drugiej wojny w 1940 r.

W roku 1921 poszli do gimnazjum im. Sobieskiego Franciszek Ciepiela(Gacek), Franciszek Ciepiela (Gruchac), Józef Salwiński i Jan Kotyza.

Franciszek Ciepiela (Gacek) ukończył gimnazjum, wstąpił do Seminarium Duchownego w Krakowie, ukończył wydział teologiczny na Uniwersytecie Jagiellońskim, został księdzem, był katechetą w Babicach, a następnie proboszczem w Balinie, zmarł w 1963.

Franciszek Ciepiela (Gruchac) gimnazjum nie ukończył. Był dorożkarzem, następnie prowadził własne gospodarstwo, a potem pracował w Hucie im. Lenina.

Józef Salwiński ukończył gimnazjum, służył w podchorążówce, ukończył prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Był adwokatem w Krakowie.

Jan Kotyza ukończył gimnazjum im. Nowodworskiego w Krakowie, służył w podchorążówce rezerwy, ukończył Studium Wychowania Fizycznego przy Uniwersytecie Jagiellońskim. Pracował jako nauczyciel i instruktor, a następnie jako urzędnik w Kurii Metropolitalnej w Krakowie.

W następnych latach poszli do szkół średnich: Józef Krawczyk, Franciszek Ciepiela (Pisarz), Idzi Jędrszczyk, Roman Paszyński, Józef Stachnik, Józef Rojek, Józef Nawara, Franciszek Siudek, Jan Przeniosło, Józef Nawrocki i Henryk Wrzesiński.

Józef Krawczyk ukończył Wydział Chemii w Państwowej Szkole Przemysłowej, służył w wojsku, pracował w Hucie metali kolorowych w Trzebini.

Franciszek Ciepiela (Pisarz) ukończył Wydział Melioracyjny Państwowej Szkoły Przemysłowej, służył w wojsku, pracował w różnych instytucjach w swoim zawodzie.

Idzi Jędrszczyk ukończył szkołę handlową, służył w podchorążówce, pracował jako księgowy, służył w Straży Granicznej, brał udział w kampanii wrześniowej, służył po wojnie w Ludowym Wojsku Polskim, następnie był urzędnikiem.

Roman Paszyński (syn policjanta) ukończył gimnazjum im. Sobieskiego, wstąpił do podchorążówki zawodowej, służył jako oficer w wojsku polskim, brał udział w kampani wrześniowej, służył w Ludowym Wojsku Polskim. Dosłużył się stopnia majora, potem pracował jako pracownik umysłowy.

Józef Stachnik (syn nauczycielki) ukończył gimnazjum Św. Jacka, studiował na Politechnice.

Józef Rojek ukończył Wydział Mechaniczny w Państwowej Szkole Przemysłowej, służył w podchorążówce, pracował w warsztatach lotniczych w Rakowicach, jako pilot latał w Aeroklubie Krakowskim, zginął w czasie wojny we Francji.

Józef Nawara ukończył gimnazjum św. Jacka, był w seminarium Księży Jezuitów w Krakowie, w czasie okupacji przebywał w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, po wojnie wyjechał do Belgii, gdzie ukończył studia handlowe, pracował w Kongo.

Franciszek Siudek ukończył szkołę handlową, pracował jako telegrafista w wojskowej radiostacji w Krzesławicach, a po wojnie w Hucie im. Lenina.

Jan Przeniosło ukończył seminarium nauczycielskie, służył w podchorążówce rezerwy, pracował w różnych szkołach, następnie był kierownikiem szkoły w Żegocinie.

Józef Nawrocki uczęszczał do seminarium nauczycielskiego w Krakowie. Zmarł jako słuchacz III roku.

Spośród innych osób kształcących się w okresie międzywojennym:

Maria Sawka ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała jako nauczycielka.

Maria Halikówna (Kotyzowa) ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała jako nauczycielka w Bieńczycach i Raciborowicach.

Maria Turbasa (Jaroszowa) ukończyła Państwową Szkołę Przemysłową Żeńską w Krakowie, pracowała jako nauczycielka, a następnie jako intendentka.

Ludmira Ptaszyńska (Plinkiewiczowa) ukończyła Państwową Szkołę Przemysłową Żeńską, pracowała jako krawcowa.

Maria Paszyńska ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała jako urzędniczka w Domu Książki.

Katarzyna Nawrocka (Czekajowa) ukończyła szkołę handlową, pracowała jako urzędniczka w gminie Mogiła.

Zofia Dziwiszówna ukończyła szkołę handlową i pracowała jako urzędniczka na poczcie.

Katarzyna Przeniosłówna ukończyła seminarium nauczycielskie, zawodowo nie pracowała, wyszła za mąż za Adamskiego.

Jadwiga Łowczowska (Druciakowa) ukończyła seminarium nauczycielskie i pracowała jako nauczycielka.

Wszystkie dzieci młynarza Kaczorowskiego – Stanisław, Julian, Jan, Zofia, Aniela, Władysława i Bronisława – i policjanta Wrzesińskiego – Henryk, Helena, Bolesława, Celina i Kazimierz – przed wojną ukończyły szkoły średnie.

W latach kryzysu gospodarczego zmniejszył się, a właściwie całkowicie ustał napływ młodzieży wiejskiej do szkół średnich w Krakowie. Jednak kilka lat przed wojną młodzież wiejska i robotnicza znowu zaczęła zgłaszać się do szkół średnich. Tuż przed wojną rozpoczęli naukę w szkołach średnich: Jan Bochenek, Józef Bochenek, Eugeniusz Hajto, Karol Hajto, Julian Osiadły, Józef Osiadły, Andrzej Świerczewski, Aleksandra Świerczewska, Maria Trznadlówna, Janina Ciepielanka, Elżbieta Krawczykówna. Prawie wszyscy z wymienionych uczyli się w czasie wojny w kompletach tajnego nauczania w Bieńczycach prowadzonym przez kierownika szkoły Józefa Celińskiego (...).

Stowarzyszenia Katolickie

Najbliżej mnie mieszkał „Henek" Wrzesiński, który chodził do Seminarium Nauczycielskiego w Krakowie. Często rozmawialiśmy na temat powołania do życia jakiejś organizacji młodzieży. Czuliśmy potrzebę zbierania się, urządzania przedstawień, wycieczek, grania w piłkę. Kierownik szkoły Kazimierz Łowczowski w okresie Bożego Narodzenia zbierał młodzież w szkole i urządzał z nią jasełka, ale to tylko raz w roku. Także ks. Proboszcz Antoni Siuda urządzał we „dworku" jakieś przedstawienia, najpierw w jednym z pokoi, a potem nawet w dawnej stajni, gdzie zbudowano scenę, odbył się spektakl pt. „Swięta Genowefa". Chyba w 1925 roku „Henek" nawiązał znajomość z drużyną harcerską przy Seminarium Nauczycielskim, postanowiliśmy zorganizować we wsi taką drużynę, lecz nikt z nas na harcerstwie się nie znał. Przyjechał z nim kiedyś drużynowy o nazwisku Sosna, mówił na temat harcerstwa, ustalono, ze powstanie na razie zastęp. Nie pamiętam już, kogo wybraliśmy zastępowym, „Henek" w każdym razie nim być nie chciał, on chciał zostać od razu harcmistrzem, to mu imponowało. Odbyło się kilka zbiórek, przychodziło nas 7 – 10 chłopaków, Sosna przyjeżdżać na każdą zbiórkę nie

mógł, myśmy o tej pracy nie mieli pojęcia i sprawa harcerstwa niedługo upadła. „Henek" jednak dalej „niuchał", i dowiedział się, że na Pl. Mariackim 5, jest Sekretariat zajmujący się Stowarzyszeniami. Co to były za stowarzyszenia nie wiedzieliśmy, ale udaliśmy się tam. Spotkaliśmy tam księdza, któremu przedstawiliśmy naszą sprawę, a on się żywo naszym projektem zainteresował; ilu nas jest, czy będziemy mieć salę na zebrania itd. To była jesień 1926 r. , byłem w klasie VI, a „Henek" na II kursie Seminarium. Mogliśmy jeszcze liczyć na kilku naszych rówieśników ze szkoły jak Franek Ciepiela, Józek Salwiński, Franek Nawara, Poldek Sawka, no i na dawnych kolegów ze szkoły w Bieńczycach, którzy pozostali we wsi. Na miejsce zebrań umyśliliśmy jeden pokój w „dworku", obok kaplicy, który służył jako zakrystia. Dwa inne pokoje zajmował wtedy na mieszkanie przodownik policji Sawka. Po porozumieniu się z Salcią Ciepielanką, która jako prezeska założonego kiedyś przez ks. Płonkę Stowarzyszenia Dzieci Marii, opiekowała się „dworkiem", uzyskaliśmy jej zgodę na używanie przez na zakrystii na zebrania. Z ks. Józefam Tomerą (bo tak się nazywał ten ksiądz spotkany w sekretariacie przy pl .Mariackim) ustaliliśmy termin pierwszego organizacyjnego zebrania na niedziele 21 listopada. Przyszło wówczas około 20 chłopaków, ks. Tomera przyjechał pociągiem, wyszliśmy po niego na stację i przyprowadzili do „dworku". Ksiądz po moim zagajeniu przedstawił cele i zadania stowarzyszenia oraz formy jego pracy. Wszyscy obecni do stowarzyszenia się zapisali. Jego pełna nazwa brzmiała: „Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej". Mnie wybrano na prezesa. Pierwsza imprezą, jaką postanowiliśmy urządzić było przygotowanie „jasełek", oraz jeszcze innego przedstawienia. Franek Nawara wystarał się o sztukę A. Fredry „Consilium facultatis", i rozpoczęły się próby. Oba przedstawienia odbyły się jak zwykle w szkole, gdzie w sali mieściło się najwyżej około setki osób.

Marzyliśmy ciągle o własnej sali, by móc urządzać przedstawienia częściej, a nie tylko w czasie ferii. Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej było organizacją katolicką, ksiądz pełnił w nim rolę patrona. Bieńczyce należały do parafii w Raciborowicach, skąd przyjeżdżał do nas na naukę religii w szkole ks. wikary Władysław Gorączko. Przyjeżdżał na nasze zebrania czasem w niedzielę po południu, uczył nas wtedy śpiewać przygrywając na skrzypcach, ale nie bardzo potrafił nawiązać z nami kontakt. Właściwie prace prowadziliśmy sami. Na wiosnę 1927 roku była w Krakowie wielka uroczystość sprowadzenia prochów Juliusza Słowackiego z Paryża na Wawel. Kilku z nas w strojach krakowskich jako delegacja Stowarzyszenia wzięło w niej udział. Na wice-patrona uprosiliśmy p. Mieczysława Świerczewskiego, dzierżawcę dworu, i w lecie tego roku odbył się pod jego opieką festyn na dziedzińcu dworskim, który przyniósł nam pierwszy poważniejszy dochód na cele Stowarzyszenia. Nasza centrala w Poznaniu organizowała w tym roku w Poczerninie na Pomorzu koło Wielkiej Wsi (dziś Władysławowo) obóz, na który zostałem przyjęty, i który związał mnie z pracą w Stowarzyszeniu na wiele lat, jeśli nie powiedzieć, na całe życie. W listopadzie po uroczystości Św. Stanisława Kostki, który jest patronem młodzieży, odbywało się co roku „Święto Młodzieży", które miało charakter religijny. Najpierw były rekolekcje, organizowało się zbiórki pieniędzy do puszek na cele Stowarzyszenia, w niedzielę po mszy św. była akademia z referatem, śpiewami i deklamacjami, a na zakończenie grano przedstawienie. Po odejściu z parafii ks. Wł. Gorączki, wikarym był przez dwa lata ks. Skwarczewski, a po nim ks. E.Wcisło. Proboszczem w Raciborowicach po śmierci bardzo popularnego ks. Ludwika Płonki był ks. Antoni Siuda. Na wiosnę i w lecie odbywały się zloty okręgowe Stowarzyszeń. Okręg pokrywał się z dekanatem. Nasze Stowarzyszenie należało do okręgu mogilskiego w skład którego wchodziły: Bieńczyce, Czyżyny, Mogiła, Łęg, Luborzyca, Ruszcza, Raciborowice, Igołomia, Wawrzeńczyce, Szarbie, Biórków, Wronin, Więcławice i Kościelniki, krótko istniały także stowarzyszenia w Grębałowie, Krzesławicach i Pleszowie.To ostatnie przekształciło się w Koło Młodzieży przy Małopolskim Towarzystwie Rolniczym, a potem w Koło Młodzieży Wiejskiej „Znicz". Wszędzie tam, gdzie działały Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, powstawały też osobne Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej, nawet w Pleszowie, gdzie nie było widoków na powstanie Stowarzyszenia Męskiego. Doroczną prezentacją dorobku oddziałów były zloty okręgowe Stowarzyszeń, które odbywały się w różnych wsiach. Na zlot przybywał obok Sekretarza Generalnego delegat Ks. Metropolity i przedstawiciel starosty powiatowego. Zawsze był także policjant, który siedział i notował, kto przemawiał i co mówił. Rano była Msza św., potem akademia, a po południu zawody sportowe w lekkiej atletyce (biegi, skoki, rzuty), gra w siatkówkę i koszykówkę. Największe jednak zainteresowanie tak u nas jak i gdzie indziej, budziła piłka nożna. Próbowaliśmy lansować także inne sporty. W 1929 roku zorganizowaliśmy np. bieg na drodze z Bieńczyc do Czyżyn, w obie strony odległość wynosiła 3 km. Do biegu stanęło kilkunastu zawodników, którzy wcześniej trenowali na tej trasie mierząc sobie czas przyniesionym z domu budzikiem – takie to były nasze pionierskie poczynania. W Bieńczycach na polu sportowym inicjatywę dawała młodzież szkolna dojeżdżająca do krakowskich szkół średnich. W Stowarzyszeniu funkcję prezesa sprawowałem do czasu mojego wyjazdu do wojska w 1930 roku. W tym czasie funkcję prezesa pełnił Romek Paszyński i Józek Ciepiela (Kandaus). Po wyprowadzenie się z „dworku" lokatora p. Sawki, uzyskaliśmy dwa dość duże pokoje, jeden wielkości 6x6 m. i drugi 6x4 m. Na przełomie 1931/32 uzyskaliśmy zgodę

Zarządu Stowarzyszenia Dzieci Maryi na połączenie obu pokoi w jedną salkę. Po odejściu ks. Wcisły, przyszedł do naszej parafii na wikarego neoprezbiter ks. Zbigniew Przeworski, który był w parafii od 1932 do 1936 roku. Przypadliśmy sobie do serca, a nasze późniejsze stosunki przerodziły się w przyjaźń. W roku 1932 powstało w Bieńczycach także Stowarzyszenie Młodzieży Zeńskiej, któremu początek dała grupa dziewcząt, które także dojeżdżały do szkół średnich Krakowa: Marysia Halikówna, Ludka i Marysia Paszyńskie, Marysia Turbasówna, Kasia Nawrocka oraz dziewczęta, które pozostawały na gospodarstwach rodziców, takie jak: Aniela Ciepielanka, Lonka Krupianka, Wiśka Salwińska, a z młodszych Zofia Nawarzanka, Zosia Zyburzanka i in. Katolickie zasady wychowawcze nie uznawały koedukacji i stąd istniały osobne Stowarzyszenia młodzieży męskiej i żeńskiej. Nam młodym to się nie podobało. Teraz kiedy mieliśmy już własną salkę i scenę do przedstawień, mogliśmy częściej urządzać różne imprezy. Oczywiście nie tylko – jak zalecały nasze władze organizacyjne – na role męskie lub tylko na role żeńskie, lecz graliśmy normalne sztuki, gdzie występowały role jedne i drugie. Wystawialiśmy znane powszechnie i często po wsiach grywane przedstawienia jak: „Błażek opętany", „Chłopi arystokraci", „Sobkowa zagroda", „Bursztyny Kasi" itp. Z biegiem czasu przeszliśmy na poważniejszą literaturę: „Kłopoty Pana Złotopolskiego", „Zemstę", „Damy i huzary", „Klub Kawalerów" i in. Korzystaliśmy także później z większej niż nasza, sali domu zbudowanego przez właściciela młyna p. Lelitę, a później będącą własnością piekarza p.Władysława Motyki. Przedstawienia graliśmy także w Raciborowicach, Czyżynach i Mogile. W sali p.Motyki przez szereg lat odbywały się „Opłatki". Były to spotkania starszych gospodarzy i gospodyń, przeważnie rodziców naszych druhen i druhów oraz poważniejszych osób ze wsi, w okresie Bożego Narodzenia. Takie spotkania były połączone nie tylko z konsumowaniem świątecznych „babek" i placków ale śpiewano kolędy , przyśpiewki, była szopka z lalkami, „żywy dziennik", a na koniec zabawa taneczna, w której brali udział młodzi i starzy. Na początku l. 30-tych przyszedł do Bieńczyc młody nauczyciel Józef Buzała, który zapoczątkował prowadzenie chóru, potem chór męski prowadził dr Czesław Swięch, urzędnik kuratorium, zam. w Bieńczycach. Chór ten śpiewał na różnych uroczystościach, na akademiach, na nabożeństwach w kościele, występował nawet na uroczystościach w Krakowie.

Był kiedyś taki piękny zwyczaj, ze w okresie Bożego Narodzenia chodzili po domach kolędnicy z szopką i kolędowali pod oknami, gospodarze albo wynosili im jakąś kwotę , albo zapraszali ich do domu, by się ogrzali i pokolędowali. W każdej wsi chodziło po kilka takich kolędników od najmłodszych, prawie dzieci aż do starszych parobczaków, nieraz nawet trzydziestoletnich. Młodzi mieli zwykle tylko samą szopkę, mniej lub więcej udanie skonstruowaną, starsi miewali także „lalki" czyli kukiełki wyobrażające Heroda, diabła, śmierć, Żyda i różne pary regionalne, jak krakowiaków, górali, żołnierzy itp. Takich kolędników wpuszczano chętnie do domów, gdyż kolędowali wszystkim kolędnikom po kolei i robili całe przedstawienie w szopce przy pomocy lalek. Operujący lalkami wygłaszał monologi, śpiewał, lalki tańczyły i wykonywały najprostsze ruchy. Chodzący z szopką otrzymane pieniądze albo przepijali albo się nimi dzielili. Po pewnym czasie szopka stała się własnością Stowarzyszenia, i przez parę lat aż do wybuchu wojny z szopką chodzili po wsi druhowie.

Właściciel młyna p. Władysław Lelito, a potem jego córka Elżbieta zapragnęli także zająć się pracą społeczną w Bieńczycach, Lelito zafundował w tym celu wspomniany już dom, a namówiony przez sołtysa Jana Ciepielę zakupił także instrumenty dla orkiestry dętej. Lelito zmarł w 1933 r. i orkiestra się rozpadła. Powołano ją do życia na nowo, ale już przy Stowarzyszeniu, sołtys w imieniu gromady wypożyczył nam instrumenty, zaangażowaliśmy kapelmistrza z Mogiły, i zaczęliśmy występować na uroczystościach. Tak było do wybuchu wojny. W czasie okupacji zdeponowane w domu gromadzkim instrumenty zostały skradzione.

Od początku powstania Stowarzyszenia myślano o utworzeniu własnej biblioteki. Pierwsze egzemplarze książek to były ofiary poszczególnych osób. Wykupiliśmy abonament na wychodzące co miesiąc książki z „Biblioteki Domu Polskiego". Kiedy O. Maksymilian Kolbe zaczął wydawać w Niepokalanowie „Mały dziennik", podjęliśmy kolportaż tego pisma, codziennie koleją przychodziła paczka zawierająca 100 egz. Dziennika, a jeden z druhów Józek Zybura odbierał te paczkę i roznosił do stałych odbiorców. Abonowaliśmy także 50 egz. „Przewodnika Katolickiego" i tyle samo „Dzwonu Niedzielnego", tygodnika wydawanego przez Kurię Metropolitarną w Krakowie. Kolportażem tych dwóch tygodników zajmowały się dziewczęta z KSMZ.

Pierwsze „Dożynki" zorganizowały w 1933 r. same dziewczęta ze Stowarzyszenia żeńskiego, następne organizowaliśmy już wspólnie. Program „Dożynek" był zwykle taki: przygotowany wieniec dożynkowy był w niedzielę zanoszony w pochodzie do kaplicy, gdzie bywał poświęcony w czasie Mszy św. Po południu odbywały się pokazy na boisku sportowym lub nad rzeką Dłubnią, naprzeciw jazu, gdzie była mała kotlinka, wspaniale nadająca się na ten cel. Program „Dożynek" był oparty na starych zwyczajach ludowych z tańcami i przyśpiewkami, jakie w postaci broszury zebrał i wydał krakowski działacz kulturalny Marian Mikuta. Broszura ta służyła nam jako podręcznik przy urządzaniu „Dożynek". Coroczne organizowanie tego obrzędu weszło na

stałe w nasz program pracy. Przygotowanie wieńca oraz pokazów i tańców zabierało wiele czasu. Z biegiem lat wykształcił się stały zespół, który się tym zajmował. Tańce i śpiewy przygotowywała Marysia Halikówna, potem pomagała jej w tym młodsza druhna, którą wysłano na kurs tańców ludowych Zosia Zyburzanka. Dożynkami interesowała się i brała w nich udział jako widownia cała wieś. Ze starszych gospodarzy wybieraliśmy gospodarza i gospodynię „Dożynek", którym ofiarowywano wieniec dożynkowy. Na zakończenie „Dożynek" odbywała się ogólna zabawa.

Kiedy w dekanacie powiększyła się ilość oddziałów KSMM i Z, i powstały kierownictwa okręgowe, urządzaliśmy także „Dożynki" okręgowe, na które każdy oddział przywoził swój wieniec dożynkowy i dawał swój punkt do ogólnego programu. Takie „Dożynki" – jak pamiętam – odbyły się w Bieńczycach, Mogile, Pleszowie. Wrzągdzenie „Dożynek" okręgowych w Pleszowie uważaliśmy za nasz duży sukces, który wykazał naszą prężność organizacyjną, m.in. dlatego, że nie istniało tam w tym czasie już Stow. Młodzieży Męskiej, a działało tylko KSMŻ i wieś uważana była za centrum ruchu ludowego w powiecie. Dożynki nasze mimo to wypadły bardzo dobrze, był na nich nawet ówczesny starosta powiatowy dr Wnęk. Ostatnie „Dożynki" w Bieńczycach odbyły się w niedzielę 20 sierpnia 1939 r., na niespełna dwa tygodnie przed napadem Niemców na Polskę. Delegacja naszych Stowarzyszeń była przed „Dożynkami" u ks. Metropolity Adama Sapiehy zapraszając go na tę uroczystość.

O zainteresowaniu sportem, zwłaszcza piłką nożną już wspomniałem. Poważną trudnością w tym względzie był brak stałego boiska. Dzierżawcą dworu w Bieńczycach i Czyżynach, które stanowiły własność Kurii Metropolitarnej był inż. Kazimierz Cieślewicz. Jego siostra Helena mieszkając w Bieńczycach administrowała majątkiem bieńczyckim i współpracowała z miejscowym KSMŻ. Cieslewicz odnosił się do naszej pracy bardzo życzliwie. Kiedyś w rozmowie z nim poruszyłem sprawę naszych trudności, a szczególnie brak boiska sportowego. Już przedtem korzystaliśmy przejściowo z dworskiej łąki oraz z pola położonego w pobliżu „dworku". Zawsze jednak był problem, ze kibice zadeptywali prócz boiska jeszcze sąsiednie pole uprawne lub łąkę. Powiedział wtedy do mnie inż. Cieslewicz, jeśli znajdziecie gdzieś taki kawałek pola, który będzie tak usytuowany, że nie będą mi robić szkody w polu, to wam dam. Podzieliłem się tą wiadomością z chłopami i zaczęliśmy kombinować. Był kawałek dworskiego pola łączący się z zabudowaniami dworskimi, mający około dwóch morgów, wchodzący między posiadłości chłopskie. Ten kawałek pola z jednej strony dochodził do drogi na Budzyniu (część wsi łącząca się z Mistrzejowicami), po bokach zaś graniczył z jednej strony z ogrodem Nowaka, a z drugiej z ogrodem Tyrki. Miejsce jakby wymarzone na boisko. Przy najbliższym spotkaniu z inżynierem powiedziałem: – Panie inżynierze, słowo się rzekło, kobyłka u płotu. – Co takiego? – odezwał się Cieślewicz. – Pamięta pan naszą rozmowę na temat boiska? – Znaleźliśmy taki kawałek pola, który odpowiada warunkom postawionym przez pana. Kiedy mu powiedziałem o jaką to parcelę chodzi – odrzekł: – No trudno, słowo się rzekło, bierzcie! I tak weszliśmy w posiadanie wymarzonego boiska.

W 1935 roku odbył się w Bieńczycach pierwszy zlot okręgowy KSMM okręgu mogilskiego. Na boisku stanął wysoki maszt ze sztandarem, wokoło masztu była zbiórka przybyłych oddziałów, raport i wymarsz do kaplicy na Msze św. Kazanie miał ks. B. Boguszewski, był także na zlocie ks. Pankiewicz i jako delegat ks. Metropolity ks. Prałat Kulig. Akademia odbyła się w ogrodzie koło „dworku". Co znaczniejsi goście byli na obiedzie we dworze. Dla chłopaków przygotowaliśmy posiłek w ogrodzie, nasze dziewczęta do późna w nocy smażyły sznycle .Po południu zawody sportowe odbyły się na naszym boisku. Zlotem naszym żyła w tym dniu nie tylko młodzież, ale cała wieś. Obecnych na zlocie było ponad trzystu druhów z dekanatu mogilskiego. Mając boisko mogliśmy teraz częściej zapraszać różne drużyny na mecze piłki nożnej. Za pieniądze uzyskane z przedstawień, zabaw i festynów zdobyliśmy się na pierwsze jednolite kostiumy, dla całej drużyny piłki nożnej. Były to koszulki czerwono-białe i białe z lampasami spodenki, odkupione (używane) od Pocztowego Klubu Sportowego w Krakowie. Buty do piłki nożnej początkowo chłopaki mieli własne, z czasem zdobyliśmy się także na kupno kompletu butów footbalowych.

Rok 1935 obfitował w wydarzenia. 12 maja zmarł marszałek Józef Piłsudski. Stowarzyszenie zorganizowało w swoim „ognisku" akademię żałobną poświęconą Zmarłemu. Referat na temat życia i zasług Piłsudskiego wygłosił kierownik szkoły Józef Celiński, młodzież deklamowała wiersze.

W tym też roku nasz druh i mój szkolny kolega Franek Ciepiela kończył Seminarium Duchowne i otrzymał święcenia kapłańskie. Był to pierwszy bieńczycanin, który wybrał stan duchowny. Cała wieś się tym interesowała i żyła przygotowaniami do uroczystości prymicyjnych, które miały się odbyć w parafii raciborowickiej. Parafia była również mocno zainteresowana tym wydarzeniem, zwłaszcza, ze ks. Przeworski związany był już od 3 lat z Bieńczycami. Chłopaki z wielkim trudem szukali w okolicznych wsiach sukman krakowskich i siodeł

na konie, gdyż przygotowywano banderię krakusów złożoną z około 30 koni, dziewczęta przygotowały z jedliny długi zielony ustrojony kwiatami wieniec, którym miał być otoczony prymicjant wychodzący z plebani do kościoła, a chór nasz pod kierunkiem dr Święcha przygotowywał się do wykonania pieśni w czasie Mszy Św. W dniu uroczystości posuwał się z Bieńczyc przez Mistrzejowice i Batowice do Raciborowic długi pochód. Ks. Prymicjant jechał powozem w towarzystwie swych rodziców otoczony banderią krakusów, towarzyszyli im liczni mieszkańcy naszej wsi, a pod kościołem zebrał się wielki tłum ludzi. Manuduktorem, czyli takim, który miał czuwać nad poprawnym wykonywaniem czynności liturgicznych był O. Robert Kuchar przeor OO.Cystersów z Mogiły. Po Mszy św. Powrót do Bienczyc, w domu prymicjanta odbyło się przyjęcie, było to jakby wesele.

W 1936 roku przypadła 10 rocznica istnienia naszego Stowarzyszenia. Obchodziliśmy tę uroczystość w listopadzie w dniu Święta Młodzieży, na która przybył m.in. ks. Proboszcz Józef Jamróz, i inż. Kazimierz Cieslewicz, który świadczył nam wiele dobrodziejstw. Wieczorem odbyło się przedstawienie, którego treścią był żywot św. Stanisława Kostki.

W 1937 roku odbyła się uroczystość poświęcenia sztandaru połączona z „Dożynkami". Sztandar wykonały zakonnice w Krakowie, a drzewce zakończone odznaką wykonał stolarz Pazdalski z Bieńczyc.Dworek i nasze ognisko zostały udekorowane, w kilku miejscach w poprzek drogi umieściliśmy transparenty z napisami „My chcemy Boga", „Hej do apelu stańmy wraz" itp. Poświęcenia sztandaru przed kaplicą dokonał ks. Prof. Rychlicki, katecheta krakowskich szkól średnich. Chorążym do noszenia sztandaru wybrano Franka Krawczyka.

W 1938 roku podobny przebieg miała uroczystość poświęcenia sztandaru Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Zeńskiej., a więc była msza ś. W „dworku", potem akademia i po południu dożynki.

W 1939 roku w kursie przodowników KSMM w Prusach brał udział druh Piotr Zamojski, a w kursach w.f. w lecie brali udział druhowie: Franek Bochenek, Roman Doniec, Władysław Swider, a w kursie świetlicowym Zofia Zyburzanka.

Od czasów pierwszej wojny światowej istniało we wsi Stowarzyszenie Dzieci Maryi, które założył ks. Proboszcz Ludwik Płonka. Dworek kupiony od zakonnic przez tego księdza był własnością Stowarzyszenia Dzieci Maryi. Prezeską Stow. Była już starsza panu Salomea Ciepielanka, a po jej ustąpieniu Frania Ciepielanka. One dbały o dworek i o kaplicę, dokonywały drobnych napraw i remontów. Kiedy w latach trzydziestych powstało jeszcze Katolickie Stowarzyszenie Mężów, którego prezesem został Józef Walczak, dla sprawniejszej opieki nad budynkiem, z którego korzystały wszystkie cztery Stowarzyszenia, utworzono komitet, który miał dbać o utrzymanie „dworku" w dobrym stanie.

Lata trzydzieste były okresem bardzo ożywionej pracy wszystkich Stowarzyszeń, prócz wymienionych wcześniej prac i poczynań, organizowano w dworku np. wykłady dostępne dla ogółu mieszkańców wsi (zwykle w zimie). Prelekcje mieli ks. Przeworski, dr. Łowczowski, kier. Szkoły Józef Celiński. Zapraszano także prelegentów z Krakowa, odbył się np. prowadzony przez prof. Ludwika Sikorę trzydniowy kurs ogrodniczy, na którym uczono szczepienia i oczkowania drzewek. Radzono jakie odmiany drzew owocowych i jarzyn w miejscowych warunkach należy uprawiać.

Na wiosnę 1939 roku dekanat mogilski urządził w Mogile dekanalny Kongres Eucharystyczny, głównym punktem uroczystości na który przybyły wszystkie parafie dekanatu była Msza św. Na błoniach w Mogile. Saperzy budujący w tym czasie most na Wiśle w Mogile zbudowali z pontonów ołtarz polowy i tu znowu młodzież zorganizowana w Katolickich Stowarzyszeniach brała liczny udział.

Wiosną 1939 roku, kiedy sytuacja międzynarodowa coraz więcej się zaogniała i czuło się zbliżającą wojnę, urządziliśmy w Bieńczycach, z inicjatywy Stowarzyszeń manifestację antyniemiecką, w której wzięła udział licznie zgromadzona młodzież, starsi, KSMM i Z, Koło Stronnictwa Ludowego, Związek Rezerwistów i orkiestra. Po Mszy św. Uformował się pochód, który przeszedł drogą przez wieś, następnie główną szosą i wrócił przez Zagościniec pod kaplice.

Niesiono przygotowane transparenty z napisami oraz nasze organizacyjne sztandary, grała orkiestra, śpiewano patriotyczne pieśni.

Dnia 6 sierpnia 1939 r. odbywał się na Błoniach Zwierzynieckich w Krakowie ostatni przed wojną Zjazd Legionistów, na którym marszałek Śmigły-Rydz przemawiał o tym, ze „nie oddamy nie tylko sukmany, ale nawet guzika od niej". W czasie tego zjazdu zrobiłem zdjęcia ostatnim weteranom Powstania Styczniowego, którzy jechali w dorożkach trzymając w swych pomarszczonych dłoniach bojowe sztandary. Za równy miesiąc później w Krakowie byli już Niemcy. Wtedy nie gasła jednak nadzieja, że może do wojny nie dojdzie, ze Hitler tylko blefuje. We wsi życie toczyło się normalnym trybem. Chłopi orali i siali na wiosnę, potem w lecie kosili

dojrzałe zboże i zwozili do stodół. Stowarzyszenia nasze czyniły przygotowanie do dożynek, odbywały się próby pokazów, przygotowywano wieniec. Udaliśmy się z delegacją do Ks. Kardynała Metropolity Adama Sapiehy by zaprosić go na dożynki. Nie obeszło się przy tej okazji bez rozmowy na temat aktualnej sytuacji i ewentualnej wojny. Metropolita pocieszał nas, że Żydzi mówią, iż wojny nie będzie. Jeszcze wieczorem ostatniego sierpnia mimo, że widzieliśmy ciągnące przez wieś wozy taborowe, załadowane pociskami artyleryjskimi, łudziliśmy się...

Przedszkole

Jeszcze przed wojną, około 1935 roku powstało w Bieńczycach przedszkole dla dzieci. Zorganizował je i finansował Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet, którego przewodniczącą był Anna Łowczowska, nauczycielka pracująca w szkole podstawowej w Bieńczycach, zona lekarza Kazimierza Łowczowskiego. Prowadziła przedszkole absolwentka Seminarium Nauczycielskiego Maria Halikówna. Mieściło się ono w jednej izbie domu Wojciecha Włodka na Zagościńcu, nieopodal szkoły. Przedszkole było wielkim dobrodziejstwem dla dzieci, zwłaszcza pochodzących z biedniejszych rodzin, których matki zmuszone były pracować zarobkowo, poza domem, lecz chodziły do przedszkola także dzieci rolników, których żony zajęte przy gospodarstwie również nie miały zbyt wiele czasu, by go poświęcać małym dzieciom.

Dzieci znajdowały w przedszkolu nie tylko troskliwą opiekę, ale także posiłki. Na ogół przedszkoli po wsiach nie bywało, a nieliczne, które istniały, prowadzone były przez siostry zakonne.

Z chwilą wybuchu wojny przedszkole straciło materialną podstawę egzystencji, a w tym także i Z.P.O.K., który finansował przedszkole opłacając jego kierowniczkę i drugą siłę pomocniczą.

W czasie wojny zamieszkały w „dworku" zakonnice z Łagiewnik, popularnie zwane „Magdalenkami", a których właściwa nazwa brzmi: Siostry Matki Bożej Miłosierdzia. Prowadziły one w Łagiewnikach dom wychowawczy dla dziewcząt, ale w czasie wojny, po zlikwidowaniu domu pozostawały bez zajęcia. Poprzez p. Cieślewiczową, której siostra była tam zakonnicą zaproszono do Bieńczyc kilka sióstr, i te zamieszkały w „dworku". Jedna z nich – Zdzisława grała na fisharmonii, była organistką, a wtedy jeden z księży wikarych raciborowickich przebywał stale w Bieńczycach i codziennie odprawiał mszę św. Inna siostra zajmowała się chorymi, chodziła po domach, odwiedzała chorych, robiła opatrunki i niosła pomoc i poradę chorym. Trzecia siostra Alina zaczęła prowadzić przedszkole, i znowu kilkadziesiąt dzieci wiejskich znalazło opiekę wychowawczą w przedszkolu. Czwarta wreszcie siostra była kucharką, gotowała posiłki nie tylko dla sióstr, lecz także dla dzieci z przedszkola. Podstawą materialną prowadzenia przedszkola były składki rodziców dzieci oraz dary w naturze otrzymywane z Rady Głównej Opiekuńczej (R.G.O.) Istniała na miejscu założona w 1942 r. placówka R.G.O., którą kierował Józef Celiński z pomocą Jana Kotyzy i sióstr zakonnych. Dary w naturze jak artykuły żywnościowe i odzież otrzymywano z Zarządu Powiatowego R.G.O. przy ul. Św. Jana w Krakowie. Dary te rozdzielano między miejscowe osoby potrzebujące pomocy, zaś żywność w dużej części przekazywano na dożywiane dzieci w przedszkolu. Kiedy po powstaniu warszawskim przybyło do wsi kilkadziesiąt osób, i oni także otrzymywali posiłki i pomoc z tego źródła. Siostry Matki Bożej Miłosierdzia prowadziły przedszkole do końca okupacji, następnie wyjechały z Bieńczyc do swego klasztoru w Łagiewnikach. Po wojnie do „dworku" przybyły Siostry Służebniczki Dębickie, które prowadziły dalej przedszkole, tym razem w oparciu o kościelną instytucję „Caritas".

Samorząd

W czasach zaborów każda wieś w Galicji stanowiła osobną gminę, zależną od starostwa powiatowego. Nasza wieś była także gminą, a na jej czele stała wybierana przez ogół mieszkańców rada gminna, której przewodniczył wójt. Kiedyś wójtem w Bieńczycach był także mój dziadek Maciej Kotyza, potem Franciszek Ciepiela (Landaus), Feliks Zamojski, a za moich młodych lat Jan Ciepiela (Gruchac). (...) W 1934 roku zostały utworzone gminy zbiorowe. Nasza wieś weszła w skład gminy zbiorowej w Mogile, która sąsiadowała od wschodu z gminą Ruszcza, a od zachodu z gminą Zielonki. Do mogilskiej gminy należało 13 wsi stanowiących 11 gromad: Bieńczyce z Mistrzejowicami, Czyżyny, Grębałów, Kantorowice, Krzesławice, Lubocza, Łęg, Mogiła, Pleszów, Prusy i Zesławice z Dłubnią. Teraz na czele gromad stanęły rady gromadzkie z sołtysem na czele. Rola sołtysa i rady była mniejsza niż dawnej rady gminnej i wójta. Wzmocniła się za to rola wójta gminy zbiorowej. Starostwo wytypowało na wójta gospodarza z Pleszowa , Stanisława Rosiewicza, zastępcą został dzierżawca dworu w Czyżynach i Bieńczycach, inż Kazimierz Cieslewicz. Starosta powiatowym był wówczas dr Władysław Wnęk. Chłopi początkowo reorganizację samorządu uchwaloną przez sejm sanacyjny przyjęli niechętnie, lecz nie mieli tu nic

do powiedzenia, zwłaszcza po procesie brzeskim. O staroście Wnęku – po jego odejściu na emeryturę – krążyły różne kawały i anegdoty. Dwie z nich zapamiętałem: jedna dotyczy skłonności Wnęka do kieliszka, mówiono, że po objęciu stanowiska dyrektora restauracji i hotelu „Pollera" – przeszedł tylko z jednej strony lady na drugą. Były też aluzje do jego nowego stanowiska, mówiono: jeśli mógł być król Kazimierz Odnowiciel – to może być i Władysław Restaurator. Przed wojną wójtem został inż. Kazimierz Cieślewicz, zastępcą na odmianę Stanisław Rosiewicz, Sołtysem w Bieńczycach był bez przerwy, od zaprowadzenia nowego samorządu Jan Ciepiela, który w czasie okupacji objął stanowisko wójta mogilskiego, zaś Wojciech Biernacik, jego szwagier był wtedy sołtysem. Pierwszymi sołtysami po wojnie byli w Bieńczycach wytypowani przez Ruch Oporu Chłopskiego Andrzej Ciepiela i Andrzej Biernacik, a wójtem w Mogile Antoni Baranik z Mogiły.

Służba wojskowa

W wojsku austriackim odbywali bieńczycanie służbę w różnych broniach: kawalerii, artylerii i piechocie. W kawalerii służyli przeważnie w 1 pułku ułanów, który kwaterował w Rakowicach, zaś w piechocie w 13 pułku piechoty, zwanym pułkiem „Dzieci krakowskich". W czasie pokoju często przyjeżdżali do wsi na kwatery ułani. Kwaterowali po stodołach i szopach. Dla dzieci i młodzieży była wtedy wielka radość, gdyż mogli przyglądać się koniom i żołnierzom wystrojonym w czerwone spodnie, niebieskie kubraki i ułańskie czaka. W pierwszej wojnie światowej wielu mężczyzn biło się za Austrię i cesarza Franciszka Józefa na wszystkich ówczesnych frontach. Po odzyskaniu niepodległości wielu wprost z armii austriackiej poszło w szeregi wojska polskiego , by bić się o Lwów, a potem brać udział w wojnie bolszewickiej. Służyli znowu w piechocie głównie w 20 pułku piechoty „ziemi krakowskiej" i w 8 pułku ułanów im. Ks. Józefa Poniatowskiego, który kwaterował w czasie pokoju w Rakowicach i w Kobierzynie. W okresie międzywojennym niewielu było takich, co do służby wojskowej byli niezdolni. W czasie pierwszej wojny najwyższego stopnia dobił się Jakub Walczak, był majorem. Służył w wojsku do 1926 roku, po przewrocie majowym przeszedł na emeryturę i dokończywszy rozpoczęte przed wojną studia prawnicze, pracował jako adwokat. Wielu wiejskich chłopaków dosłużyło się stopni podoficerskich.

Zginęli na frontach w latach 1914 –1920 r.: Andrzej Zybura, Jan Jędrszczyk.

Jako inwalidzi wojenni wrócili: Stanisław Jędrszczyk, Wojciech Turbasa

W okresie powojennym, kiedy dużo młodzieży kształciło się w szkołach średnich i wyższych, stopnia oficera rezerwy dosłużyli się: Józef Walczak, Franciszek Nawara, Jan Krawczyk, Jan Kotyza, Józef Salwiński, Idzi Jędrszczyk, Józef Rojek

Oficerami zawodowymi w wojsku polskim byli: Franciszek Ciepiela i Roman Paszyński

W kampanii wrześniowej z oficerów brali udział: F.Ciepiela, R.Paszyński, J.Krawczyk, I.Jędrszczyk.

Zginęli w walkach z Niemcami w kampanii wrześniowej: Stanisław Salwiński, Franciszek Antkiewicz, Jan Zamojski, Jan Krawczyk, Julian Kaczorowski.

Wielu mieszkańców Bieńczyc w stopniu szeregowych i podoficerów przemierzyło ze swymi pułkami szlaki kampanii wrześniowej od granic Śląska aż po Lublin i Lwów, inni brali udział w obronie Warszawy.

W armii polskiej na Zachodzie bili się: Piotr Włodek, Dstanisław Nawrocki,Stanisław Siudek, lekarz dr Leon Wohlfeiler, Władysław Broś.

Zajęcia ludności

Jakkolwiek Bieńczyce położone były blisko miasta, a zbudowanie kolei tę odległość jeszcze zmniejszyło, to jednak do pierwszej wojny światowej ludzie zajmowali się prawie wyłącznie rolnictwem. Tradycyjnie obsiewano pola czterema głównymi rodzajami zbóż: pszenicą, żytem, jęczmieniem i owsem. Sadzono ziemniaki, buraki i kapustę, dla bydła i koni siano koniczynę.

Kiedyś były we wsi wielkie czterdziestomorgowe gospodarstwa (tzw. „łany"), jednak z biegiem czasu gospodarstwa te przez podziały uległy rozdrobnieniu. Przybywało ludzi, przybywało domów i zabudowań gospodarczych, ziemi jednak nie przybywało, dlatego gospodarstwa były coraz mniejsze. W okresie międzywojennym największe gospodarstwo miał we wsi Franciszek Ptak, który jednak gospodarstwa nie odziedziczył po swoich przodkach, lecz skupował ziemię od miejscowych chłopów (...).

Wielu dawniej zamożnych gospodarzy przez rozdzielanie gruntów między dzieci oraz sprzedaż ziemie zupełnie zbiedniała i niektórzy z nich zmuszeni byli jąć się pracy wyrobniczej u bogatszych gospodarzy lub pracy we

młynie. Zamożniejsi chłopi posiadali po dwa, a czasem trzy konie, mniej zamożni mieli tylko po jednym. Byli tacy, którzy na dwóch lub trzech morgach konia nie utrzymali. Ci zmuszeni byli korzystać z pomocy sąsiadów. Za zaoranie i obsianie pola lub wykopanie ziemniaków, albo płacili gotówką, albo częściej usługę odpracowywali przy żniwach lub wykopkach. Nawet u zamożniejszych gospodarzy przy pracochłonnych robotach nie najmowano ludzi, lecz raczej wzajemnie sobie pomagano. Było we wsi kilka rodzin wyrobników, którzy stale najmowali się do pracy u gospodarzy.

Zamożniejsi gospodarze zatrudniali służących – tak chłopaków, jak i dziewczęta. Zmawiano ich do służby w Krakowie na pod pomnikiem Mickiewicza, gdzie tradycyjnie w określone dni gromadziły się biedniejsze dziewczęta i chłopcy pochodzący głównie z okolic podgórskich, a gospodarze z okolic Krakowa przyjeżdżali i dobierali sobie pomoc do gospodarstwa. Służący uważani byli za coś niższego społecznie. W gospodarstwach, w których pracowali, dostawali według umowy: wyżywienie, ubranie i mieszkanie. Bardzo często służący spędzali noce wraz z bydłem w stajni, gdzie mieli swoje „wyrka". Nie było to zbyt poniżające, gdyż w liczniejszych rodzinach często sypiano w stajni z końmi lub krowami.

Domy we wsi były przeważnie drewniane, murowanych było zaledwie kilka. Stare domy drewniane bez podmurówek zapadały się w ziemię, tak że okna niektórych chałup znajdowały się tuż nad ziemią. Domy kryte były przeważnie strzechą ze słomy.

W okresie międzywojennym oraz po drugiej wojnie powstało wiele domów murowanych i pokrytych dachówką. Jak już wspomniałem w innym miejscu, wodę czerpano z rzeki, jednak z czasem powstawało we wsi coraz więcej studzien. Stodoła była zwykle budowana w pewnej odległości od domu, natomiast stajnie i chlewy w bezpośrednim jego sąsiedztwie, dlatego i gnojownia znajdowała się w jego pobliżu. Tak bliskie sąsiedztwo obory powodowało w lecie plagę much w mieszkaniach.

Posiłki, zwłaszcza obiady, cała rodzina spożywała wspólnie z jednej miski. W okresie międzywojennym, pod wpływem poznawanych zwyczajów miejskich zaczęły co światlejsze gospodynie wprowadzać talerze, z początku tylko na ważniejsze uroczystości, jak wesela i chrzciny. Potem już coraz powszechniej zaczęto jadać osobno.

Sąsiedztwo Krakowa zaczęło znacząco oddziaływać na życie wsi. Po pierwszej wojnie światowej co śmielsi chłopcy zaczęli szukać pracy w Krakowie. Szli na praktykę do fabryki Zieleniewskiego, Klimka, inni do mniejszych warsztatów lub prywatnych majstrów. Zdobywali zawód ślusarza, montera, kowala, stolarza, krawca. Zawód szewca nie cieszył się we wsi zbytnim poważaniem, może dlatego, że nie było we wsi porządnego szewca.

Po wojnie coraz liczniejsi gospodarze zaczęli swe gospodarstwa przekształcać i przechodzili z dotychczasowej uprawy zbóż na sadownictwo. Bardzo popularna stała się w latach dwudziestych uprawa truskawek. Nie było we wsi gospodarza, który nie sadził truskawek, niektórzy uprawiali tych roślin nawet mórg i więcej. Dawało to niezłe dochody. Zwłaszcza wczesne truskawki sprzedawane po wysokiej cenie przysparzały chłopom dochodu. Truskawki wywożono do miasta, lecz i do Bieńczyc zjeżdżali kupcy i wykupywali owoce, by następnie przewieźć je pociągiem lub autami do Zakopanego lub na Śląsk.

Uprawa truskawek podupadła, kiedy we wsiach położonych na północ od Bieńczyc w okolicy Kocmyrzowa chłopi jęli się ich uprawy. Tam truskawki dojrzewały wcześniej. Kiedy w naszej wsi truskawki dopiero zaczynały dojrzewać, tam już było ich dużo i cena spadała.

Co sprytniejsi gospodarze zaczęli się wtedy przestawiać na uprawę innych roślin. W pewnym czasie bardzo popularny stał się rabarbar i pomidory. Niezależnie od warzyw wielu gospodarzy zabrało się do sadownictwa. Sadzono popularne jabłonie, grusze i nowe odmiany śliw, dużo zaczęto sadzić czereśni. Wielu gospodarzom przyniosło to całkiem niezłe zyski.

Kiedy w Czyżynach zbudowano Zakład Upraw i Fermentacji Tytoniu, zaczęto propagować uprawę tytoniu. Ziemia w całej okolicy była bardzo dobra i tytoń udawał się wspaniale, zwłaszcza jego odmiana „Kentucky". We wszystkich gospodarstwach we wsi sadzono tę roślinę. Tytoń kontraktowano, specjalni instruktorzy dbali o jego właściwą uprawę. Instruktorzy z Monopolu chodzili po poletkach, na których uprawiano tytoń i uczyli chłopów, jak należy dbać o uprawy.

W okresie okupacji kontraktowany tytoń stał się dodatkowym źródłem dochodu. Za odstawiony tytoń Niemcy dawali plantatorom cukier i wódkę. Część tytoniu trafiała na czarny rynek i stanowiła dodatkowe źródło dochodu w ciężkich czasach okupacyjnych.

Ze zwierząt hodowano: konie, krowy, świnie, z ptactwa głównie kury, gęsi, rzadziej kaczki.

Rozdrabniające się coraz bardziej gospodarstwa rolne zmuszały coraz większą liczbę mieszkańców wsi do szukania pracy poza rolnictwem. Miejsca pracy dostarczał głównie Kraków z jego rozbudowującymi się fa-

brykami. Pracowali bieńczycanie w fabryce Zieleniewskiego na Grzegórzkach, w odlewni żeliwa u Klimka na Mogilskiej, w fabryce sygnałów kolejowych przy ul. Cystersów, w młynach w Bieńczycach i na Wieczystej, w warsztatach remontowych na lotnisku w Rakowicach, w V Dywizjonie Samochodowym w Dąbiu, w Zakładach Uprawy i Fermentacji Tytoniu w Czyżynach.

Sporo osób zajmowało się rzemiosłem na terenie wsi. Byli kowale, najpierw Sawicki, potem dwaj bracia Rojkowie (Piotr i Norbert), Franciszek Krawczyk, Jan Dziwisz i Wojciech Kaczmarczyk. Głównym ich zajęciem było podkuwanie koni oraz kucie i naprawa wozów i sprzętu rolniczego (pługi, brony, itp.).

Byli też szewcy: Grzegorz Dziwisz, który robił dla kobiet buty z karbami, nieodzowne do krakowskiego stroju, byli dwaj inni mniej cenieni, zajmujacy się głownie naprawą starych butów: Salwiński (Pagórek) i Nowak (Racia), ten ostatni był także muzykantem, grał na klarnecie po weselach, był Jan Ciepiela (Połowiak), który robił głównie buty z cholewami dla starszych parobczaków, byli potem dwaj szewcy z prawdziwego zdarzenia Franciszek Kaczmarski i Franciczek Łoboda, którzy z Górki Kościelnickiej przywędrowali do Bieńczyc, naprawą starych butów zajmował się także Jan Cebula, który pracował równocześnie jako bagażowy na dworcu kolejowym w Krakowie.

Miała wieś również krawców. Był Jan Jędrszczyk (Łata), który szył chłopom stroje krakowskie – sukmany i kaftany, potem Wojciech Turbasa, lecz ten już krakowskich sukman szyć nie umiał. Były kobiety, które trudniły się szyciem: szyły koszule haftowane do strojów krakowskich i same stroje krakowskie (kaftany, gorsety oraz spódnice i zapaski), choć trzeba powiedzieć, że te stroje kobiece lepiej szyły szwaczki spoza Bieńczyc, jak np. Wyżgowa z Krzesławic.

We wsi rolniczej, gdzie potrzebna była uprząż dla koni, nie mogło obejść się bez rymarza. Była cała rodzina Pszczołów, w której ojciec nauczył wszystkich synów tego zawodu. Robili chomąta dla koni gospodarskich w całej okolicy, nie tylko na potrzeby gospodarstw bieńczyckich.

W latach 30. Władysław Motyka, który wcześniej był młynarzem w młynie Lelity, otworzył w Bieńczycach piekarnię. Do tego czasu chleb wypiekały same gospodynie. I jakże czasem wspaniały i smaczny, wszak każda miała swoja tajemnicę wypieku. Dyshonorem było dla gospodyni kupować chleb w sklepie. „Co to za gospodyni, co nie potrafi, albo się jej nie chce chleba upiec?" – mawiano. Na święta wypiekały gospodynie kołacze i ciasta.

W każdym domu istniał piec chlebowy. Taki piec mieścił od sześciu do ośmiu wielkich bochnów chleba. W większych gospodarstwach wypiekano za jednym zamachem dwa razy czyli dwanaście do szesnastu bochenków. Oczywiście, że chleb po tygodniu był już czerstwy, ale za to „nie leciał" tak szybko.

O rzeźnikach mówiłem już gdzie indziej. Nie tylko bili krowy i świnie, a potem sprzedawali mięso i wędliny, ale bili także świnie u gospodarzy. W każdym szanującym się gospodarstwie przynajmniej dwa razy w roku bito świnie (na Wielkanoc i na Boże Narodzenie). Dokonywali tego uboju miejscowi masarze, za co otrzymywali zapłatę w gotówce i w naturze. W dniu uboju tradycją już było spożywanie gotowanego, świeżego podgardla zakrapianego ćwiartką czystej. Także do dobrego gospodarskiego tonu należało posiadanie w domu pochodzących z własnego uboju solonego mięsa i słoniny, która dobrze „wysłoniała" lub „wymarynowana" dawała się jeść na surowo i często stanowiła zakąskę przy wódce.

Uprawa tytoniu

W latach 30. wybudowano w Czyżynach Zakład Uprawy i Fermentacji Tytoniu, zwany popularnie Monopolem Tytoniowym. Zwłaszcza w sezonie wykupu tytoniu od plantatorów wiele osób z okolicy znajdowało w Monopolu sezonowa pracę. Wielu okolicznych gospodarzy za namową instruktorów jęło się upraw tytoniu. Uprawiać mogli tylko ci gospodarze, którzy tytoń zakontraktowali. Zależnie od wielkości gospodarstwa i siły roboczej poszczególni gospodarze podejmowali się większego lub mniejszego obszaru uprawy tytoniu. Instruktorzy dostarczali nasion tytoniu odpowiednich do gleby. W naszej wsi uprawiano głównie tytoń „Kentucky". Nasiona wysiewano w inspekcie wczesną wiosną, a następnie wysadzano na wyznaczonej działce. Instruktorzy doglądali uprawy pouczając początkujących plantatorów, jak należy rośliny pielęgnować. Jesienią, gdy tytoń wyrósł, obrywano zielone liście i rozwieszano nanizane na drutach koło zabudowań, kiedy tytoń wysechł i przybrał odpowiednią barwę, wiązano go w małe wiązki (papusze) i wędzono w dymie. Do tego celu każdy plantator musiał pobudować w swoim gospodarstwie suszarnie (wędzarnie) z cegły, gdzie wysuszone wiązki tytoniu rozwieszano, a następnie zapalając na odpowiednim palenisku drzewo poddawano tytoń wędzeniu. Wysuszony w ten sposób i uwędzony tytoń powiązany w kilkudziesięciokilogramowe bale odstawiano do Zakładu

Upraw i Fermentacji Tytoniu w Czyżynach. W czasie skupu tytoniu wyszkolone pracownice sortowały wiązki tytoniu, a klasyfikator określał, do jakiej klasy należy zaliczyć odstawiony tytoń. Cena uzyskana za tytoń zależna była od klasyfikacji. Na ogół chłopom opłacała się uprawa tytoniu i wielu gospodarzy podejmowało się chętnie jego uprawy. Uprawiano tytoń w całej okolicy, oprócz powiatu krakowskiego także w dalszych powiatach, jak miechowski, pińczowski i stopnicki.

W czasie okupacji Niemcy utrzymali funkcjonowanie Zakładów Tytoniowych i nawet powiększali obszar uprawy tytoniu. W Zakładach w Czyżynach znalazło zatrudnienie wiele osób, zwłaszcza spośród inteligencji, która utraciła pracę w swym zawodzie. Chłopi chętnie podejmowali uprawę tytoniu, gdyż znajdowało to uznanie u Niemców i na skutek tego często chroniło przed wywozem na roboty do Niemiec. Również cena za odstawiony surowiec była znośna, zresztą część tytoniu wyprodukowanego przez chłopów trafiała na czarny rynek, ułatwiając w ten sposób zaopatrzenie się w tytoń ludności i przysparzając dochodu plantatorom. Mieszkańcy Krakowa wyjeżdżający w okolice Proszowic nie tylko przywozili do miasta żywność, jak mąkę, tłuszcze i mięso, ale także tytoń. Niemcy część należności za tytoń wypłacali gotówką, a część prowiantami, zwłaszcza cukrem i wódką.

W Kocmyrzowie koło stacji kolejowej znajdował się magazyn, gdzie zgromadzone były zapasy cukru, i wódki, i z którego plantatorom tytoniu wydawano należny za odstawiony tytoń deputat. Magazyn ten był kilkakrotnie napadany przez oddziały partyzazanckie, które zabierały z niego cukier, wódkę i inne towary.

Pracownik Monopolu, inspektor uprawy Lokocz, volksdeutsch, który w zakładach był postrachem pracowników, a zwłaszcza plantatorów odstawiających tytoń współpracował – jak się okazało po wojnie – z partyzantami z terenu powiatów miechowskiego i pińczowskiego.

Współżycie między ludźmi (wsiami)

Poszczególne wsie żyły własnym życiem, chłopcy żenili się z miejscowymi dziewczętami, a dziewczęta wychodziły za miejscowych chłopców. Bardzo rzadko wchodzono w związki małżeńskie z osobami z sąsiednich wsi. A jeszcze rzadziej sprowadzano żony z innych wsi. Różnie układały się stosunki z poszczególnymi wsiami. Już w szkole dochodziło często do bijatyk pomiędzy chłopakami z sąsiedzkich wsi. Te bijatyki przenosiły się niejednokrotnie na pastwiska i łąki. Dochodziło także do bójek na weselach. Co odważniejsi, żeby nie powiedzieć „zabijaki", uzbrojeni w kije, czasem noże, siekierki i karabiny (tak było w latach tuż po pierwszej wojnie) wyprawiali się na dalsze wsie na wesela i zabawy, gdzie zwłaszcza przy tańcu dochodziło do awantur i bójek. Na jednym z wesel w Bieńczycach w 1922 roku w czasie wzajemnej strzelaniny został zabity chłopak z Mistrzejowic nazwiskiem Dziura. Z Krzesławicami też bywały często napięte stosunki, bo nie brakowało tam krewkich jednostek, a nawet awanturników wywodzących się raczej z rodzin uboższych i robotniczych, synowie gospodarzy byli stateczniejsi. Na Mogiłę, która szczyciła się posiadaniem dwóch kościołów, czterech młynów i kilku sklepów, i gdzie było więcej inteligencji, bieńczycanie patrzyli z pewnym respektem, ale i tam nie brakowało elementu awanturniczego. Nasza młodzież do Mogiły raczej się nie zapuszczała, poza niedzielnym udziałem w nabożeństwach, podobnie jak do Czyżyn, gdzie chłopaki mieli u nas opinię „bitników". Za to gdy czyżynianie przychodzili na wesela i zabawy do Bieńczyc, to wtedy bójka była pewna. Z Rakowicami i Prądnikiem młodzi chłopcy spotykali się na pastwisku w okolicy lotniska, gdzie często w użyciu były kije i kamienie. Starsi gospodarze żyli ze swymi rówieśnikami z sąsiednich wsi na ogół w zgodzie. Największe nasilenie bójek i awantur między poszczególnymi wsiami miało miejsce zaraz po pierwszej wojnie światowej. Z czasem jednak nieporozumienia i zawiść między młodzieżą poszczególnych wsi, zaczęły powoli zanikać, na co z pewnością wpłynęła działalność organizacji młodzieżowych. Stowarzyszenia te urządzały wspólne zebrania, akademie, zloty, dożynki, przedstawienia, wycieczki, kolonie, obozy, pielgrzymki, rozgrywano zawody sportowe. Zaczęła się rywalizacja na polu sportowym, kulturalnym, organizacyjnym. To wszystko zbliżało młodzież z sąsiednich wsi, ludzie poznawali się wzajemnie, łączyła ich wspólna idea i jedna organizacja. Tuż przed wojną bójki między wsiami zanikły prawie zupełnie, zaś kontakty nawiązane w pracy organizacyjnej trwa ły dalej i umożliwiały w czasie okupacji rozwinięcie pracy konspiracyjnej.

Obrzędy i zwyczaje

Najbardziej chyba w różne zwyczaje obfitował okres Bożego Narodzenia. Na długo przed świętami chłopcy zbierali się po domach przygotowując się, by móc w czasie świąt pójść po kolędzie. Uczyli się kolęd, wykonywali mniej lub więcej udane szopki, z którymi wędrowali przez cały okres świąt Bożego Narodzenia od domu do domu. Chodziło zwykle po kolędzie kilka grup chłopców od najmłodszych do najstarszych. Ci najstarsi mieli

szopkę okazałą i lalki (kukiełki), które w szopce tańczyły. Chętnie zapraszano ich do domów, gdzie kolędowali i śpiewali – przede wszystkim gospodarzowi, następnie wszystkim domownikom po kolei, a potem „puszczali" lalki. Grupy najstarszych chłopców miały ze sobą mniej lub więcej liczną orkiestrę (choć czasem tylko harmonię), więc na końcu odbywała się zabawa. W sąsiednich wsiach chodzili chłopcy z gwiazdą, turoniem lub tzw. „Przebieranką", czyli po prostu odgrywali jasełka. Niezależnie od tego organizował „jasełka" z udziałem młodzieży kierownik szkoły Łowczowski.

Na święta wypiekały gospodynie różnego rodzaju ciasta i kołacze. Wilia była dniem ścisłego postu. Dopiero wieczerza wigilijna – złożona jednak wyłącznie z postnych potraw – umożliwiała zaspokojenie apetytu. Czekano z nią na ukazanie się pierwszej gwiazdki. Wieczerza składała się z wielu potraw, a były to przede wszystkim paluszki z olejem, kluski z makiem, kapusta, barszcz na grzybach, placek z olejem. Ryby w domach wiejskich na wilię nie bywało, może ze względu na trudności z jej zdobyciem w naszych stronach. Ryby to był rarytas żydowski, tam zawsze na szabas musiała być ryba. Resztki wieczerzy wigilijnej dawano zwierzętom. Przed wieczerzą łamano się opłatkiem. Opłatki roznosił przed świętami organista, to był jego przywilej, dostawał za to ofiary w gotówce. W wilię przytwierdzano do powały oraz do stragarzy zrobione ze słomy „kopy" i „gwiazdy", które w święto Trzech Króli wcześnie rano zdejmowano i wynoszono na obsiane pola. Miały one chronić pola przed klęskami żywiołowymi, jak deszcze i gradobicia, czy inne zniszczenia płodów rolnych. W noc wigilijną szło się do kościoła na Pasterkę. My z Bieńczyc chodziliśmy na Pasterkę do Mogiły, bo było bliżej, niż do kościoła parafialnego w Raciborowicach. Wyrządzano w tę noc różne psoty, np. malowano wapnem szyby w oknach domów, gdzie były panny na wydaniu, do kropielnicy w kościele wlewano atrament lub inną farbę, by żegnający się krzyżem pobrudził sobie czoło. Po świętach rozpoczynał kolędę, czyli jak dziś nazywamy – wizytę duszpasterską – ksiądz proboszcz lub wikary. Chodził nie sam, poprzedzali go ministranci oraz organista i kościelny. Każdemu dawało się jakąś ofiarę. Organista kreślił na drzwiach litery K+M+B (Kacper, Melchior, Baltazar) i wypisywał rok. Ksiądz po odmówieniu modlitwy i pokropieniu mieszkania siadał na krześle i rozmawiał z domownikami. Po jego wyjściu dziewczęta pilnowały, by usiąść na jego miejscu, gdyż panowało przekonanie, że ta która pierwsza po księdzu usiądzie, wyjdzie niebawem za mąż. W drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, czyli w dzień Świętego Szczepana, kawalerowie idąc do kościoła napełniali swoje kieszenie owsem, którym obrzucali po twarzy dziewczęta. Miała to być pamiątka ukamieniowania pierwszego męczennika. Od świąt rozpoczynał się karnawał, na wsi okres ślubów i wesel. W drugi dzień świąt lub w najbliższą niedzielę kawalerowie, którzy zamierzali się żenić i mieli już upatrzoną dziewczynę, szli ze swatami na „sprawiny", potem jechali do notariusza do „zapisu" czyli hipotecznego przekazania młodym jakiegoś majątku czyli posagu, następnie zawozili do parafii zapowiedzi. Jeżeli zapowiedzi zdążyły wyjść przed ostatkami, to ślub i wesele odbywały się jeszcze w karnawale, jeżeli nie, to dopiero po Świętach Wielkanocnych. W ostatki, czyli na zakończenie karnawału, odbywały się w zamożniejszych domach przyjęcia lub zabawy. Jeśli był jeszcze śnieg, urządzano kuligi, a po domach chodzili różni przebierańcy. W „gromniczną" czyli w święto Matki Bożej 2-go lutego kobiety (najczęściej) niosły do kościoła świece (gromnice) dla poświęcenia. Po powrocie do domu z zapaloną gromnicą wypalano na powale i na drzwiach znak krzyża. Gromnica miała chronić przed nieszczęściami, zapalano ją w czasie burzy, by uchronić dom przed uderzeniem pioruna. Zapaloną gromnicę dawno do ręki umierającemu.

Od ostatków zaczynał się Wielki Post trwający do Wielkanocy. W tym czasie poza niedzielą nie jedzono mięsa, a w piątki nie używano żadnych tłuszczów. Jeszcze dawniej przez cały Wielki Post, poza niedzielą, nie jedzono mięsa i nie używano tłuszczów. W Niedzielę Palmową chodzili po domach „pucherniki" (pucheroki). Młodzi chłopcy smarowali sobie twarz sadzami, na głowę wsadzali wysoką, zrobioną z papieru czapkę ustrojoną kolorowymi papierkami, w ręku trzymali na długim patyku drewniany młotek, w drugiej ręce koszyk na dary, jakie po domach otrzymywali. „Puchernik" przyszedłszy do izby stukał stołkiem po różnych przedmiotach i meblach wygłaszając przy tym wierszową przemowę. Pamiętam przynajmniej początek takiej oracji:

Jo, mały pastuska,
Sukołem Jezuska,
Znalozłem go pod dębem,
Mioł piscołkę i bęben,
Na bębenku puku, puku,
Na piscołce fitu, fitu.
Zasadem do baby,
Baba krowę doi,
Dała mi się mlika napić,
az mnie głowa boli...

Jeśli gospodyni ociągała się z ofiarą w postaci jajek lub innych darów, „puchernik" coraz mocniej uderzał młotkiem po glinianych garnkach, a gospodyni w obawie, by jej garnków nie rozbijał, dawała jakąś ofiarę i „puchernik" szedł dalej, do następnego domu.

W Niedzielę Palmową niosły kobiety do kościoła palmy, które ksiądz święcił przed Mszą Świętą.

Przed Świętami Wielkanocnymi w zamożniejszych domach zabijano świnię, by mieć na święta własną wędlinę. Po skończonym poście pozwalano sobie na obfitsze jedzenie, które w Wielka Sobotę przyjeżdżający z parafii ksiądz święcił w kaplicy lub na dziedzińcu w szkole.

Tak w Święta Bożego Narodzenia, jak Wielkanocy, nie było we wsi człowieka, któryby nie był w tych dniach w kościele na mszy. Pierwszy dzień spędzano zwykle w domu. W drugi dzień Wielkanocy był śmigus, już od rana oblewano się w domach wodą, na drodze kawalerowie i młodsi chłopcy „polowali" na dziewczęta, by je oblać wodą. Zabawa ta trwała cały dzień. Nieraz przyłapaną dziewczynę zaciągano pod studnię i oblewano całymi wiadrami wody, było wiele krzyku i pisku. Psioczyły dziewczęta na chłopaków, ale te które nie były oblane wodą, uważały, że nie mają powodzenia u chłopaków. Na Zielone Święta był zwyczaj majenia domów zielenią, obcinano gałęzie kasztanów i innych drzew i przybijano gałęzie do drzwi. Przez obydwa dni świąt palono wieczorem sobótki. Sobótki przygotowywano ze słomy. Wiązkę długiej słomy wiązano powrósłami, dla lepszego trzymania wtykano w nią kij, za który płonącą sobótkę trzymano w rękach. Biegano z sobótkami i wymachiwano nimi. Obok sobótek przynoszono inne materiały do spalenia: stare brzozowe miotły, czasem beczki po smarach, które dawały duży ogień i jeszcze większy dym. Palono u nas sobótki w trzech miejscach. Jedni palili je na drodze prowadzącej do Mogiły, inni na drodze do Rakowic, zaraz za „dworkiem", a jeszcze inni za ostatnimi domami Budzynia na drodze do Mistrzejowic. Tradycyjną potrawą, którą spożywano w Zielone Święta była jajecznica.

W maju przypadał dzień Świętego Izydora, patrona rolników. W dniu tym świętowano tylko do południa, po południu rolnicy pracowali normalnie.

W czerwcu na Świętego Jana puszczano na naszej rzece Dłubni wianki. Dziewczęta na kawałkach deseczek lub tektury przygotowywały z kwiatów wianki. W środku wianka umieszczano świeczkę i zapaliwszy ją puszczano na wodę. Płynęły takie świecące wianki wodą, dopóki nie namokły i nie zatonęły. Czasem chłopcy stojący na brzegu złośliwie rzucali kamieniami i zatapiali płynące wianki.

W lipcu w dniu Świętej Małgorzaty był odpust w parafii w Raciborowicach. Była to jedna z okazji odwiedzenia kościoła parafialnego, gdyż (jak już wspominałem) normalnie chodzili bieńczycanie do kościoła klasztornego do Mogiły, bo tam było o wiele bliżej niż do kościoła parafialnego.

O wiele atrakcyjniejszy był odpust w Mogile, jaki odbywał się przy klasztorze OO Cysterców we wrześniu. Odpust ten, który trwał cały tydzień, rozpoczynał się 13 września na Podwyższenie Krzyża Świętego. Najwięcej pątników gromadziło się w niedzielę przypadająca po 13 września. Przybywały pielgrzymki nie tylko z najbliższych parafii, ale także z dalszych okolic. Przybywało wielu ludzi z Krakowa, jedni pieszo, inni koleją, jeszcze inni furmankami, które czekały na nich koło rogatki mogilskiej, położonej obok V-go fortu przy ul Lubicz. Przez cały tydzień odbywały się msze i nabożeństwa, zaproszeni kaznodzieje głosili kazania, księża siedzieli w konfesjonałach słuchając spowiedzi. Zjeżdżali na odpust różnego rodzaju kramarze, którzy ustawiali swe kramy już od szosy na całej długości drogi do klasztoru. Zjeżdżały także atrakcyjne dla młodzieży karuzele, huśtawki, koniki, strzelnice, które miały dostarczać rozrywki i zabawy. Organizowano jadłodajnie i wyszynk piwa. Zjawiała się, zwłaszcza na niedzielę, cała gromada różnego rodzaju dziadów i żebraków, którzy zajmowali miejsca wzdłuż drogi do klasztoru i różnymi sposobami pokazując swoje kalectwo, głośnym śpiewem lub modlitwą zwracali na siebie uwagę przechodniów domagając się ofiary.

W sierpniu na Matkę Boską Zielną święciło się w kościele ziele. Dziewczęta z każdego prawie domu niosły do kościoła często bardzo duże wiązanki kwiatów, traw i innego ziela. Z dworów i większych gospodarstw przywożono do kościoła wieńce dożynkowe do poświęcenia. W tym dniu też urządzano we dworach i większych gospodarstwach dożynki połączone z zabawą. Później dożynki organizowały różne organizacje młodzieżowe. Obchody te połączone były z pokazami, tańcami ludowymi i kończyły się zabawą.

W dniu Wszystkich Świętych 1 listopada ludzie tłumnie wędrowali do Raciborowic, by tam na parafialnym cmentarzu odwiedzić swoich zmarłych bliskich i krewnych.

Cmentarz epidemiczny

W latach osiemdziesiątych XIX w. na skutek biedy i niskiego poziomu higieny nawiedziła Galicję epidemia cholery. Nie ominęła także okolic podkrakowskich a wśród nich naszej wsi. Widomym dowodem epidemii

w Bieńczycach był istniejący jeszcze w latach po drugiej wojnie światowej cmentarz epidemiczny, położony w odległości około pół kilometra od wsi w kierunku zachodnim.

Cmentarz znajdował się na granicy pól dworskich i chłopskich, jednak jak wskazywało jego położenie wykrojony został z pól chłopskich. Był koło drogi prowadzącej do pól położonych w pobliżu Prądnika i Rakowic. Drogą tą można było dostać się także do Krakowa, gdyż w okolicy fortu „Pszorna" (tzw. 15 bastion), łączyła się z gościńcem prowadzącym z Krakowa do Cła i Kocmyrzowa. Cmentarz był otoczony niskim wałem ziemnym i rosły na nim wierzby. Było tam jeszcze kilka połamanych ze starości krzyży i rosły dwie wysokie brzozy, a między nimi stał wyższy od innych główny krzyż. Obok był tej samej chyba wielkości, co cmentarz placyk porośnięty trawą i wierzbami. Różnica poziomów cmentarza i tego trawnika wskazywała na to, że po zakończeniu epidemii, cały cmentarz pokryto jeszcze warstwą wydobytej stąd ziemi. Na trawniku tym stała zwykle woda tworząc kałużę, gdyż jako na niżej położonym zbierała się tu woda z opadów atmosferycznych. Kiedy chodziłem do gimnazjum i zbierałem motyle, w wierzbach stojących na tym trawniku znaleźliśmy wielkie rojowisko ciem – nocnych motyli zwanych „rząpica nieparka", które miały tu swoje gniazdo. Gąsienice tych owadów, kiedy już dojrzewały i miały się przepoczwarzać, drążyły sobie otwory w miękkim spruchniałym drewnie i tam wchodziły, by po jakimś czasie wydostać się z tych otworków na powietrze jako dojrzałe ćmy. Jak słyszałem z opowieści moich rodziców, we wsi było kilkanaście wypadków śmierci na skutek tej zakaźnej choroby. Zmarła m. in. także jedna Żydówka, żona rzeźnika Wolfeilera, i tam też została pochowana na wspólnym cmentarzu. Przyjeżdżał do wsi lekarz, który udzielał wskazówek i zaleceń, jak się przed zakażeniem tą straszną chorobą uchronić. Jak ludzie bali się tej choroby, niech świadczy fakt, że starsi ludzie – jeszcze za mojej pamięci – na określenie tej choroby nie używali określenia „Cholera", lecz mówili: „jak panowała ta słabość we wsi". My młodzi określaliśmy już cmentarz jako choleryczny, lub „cholerny". Był – jak powiadano – jeden chłop, który obsługiwał chorych oraz wywoził ciała zmarłych na cmentarz. Mimo ciągłego stykania się z chorymi nie zakaził się i przeżył epidemię, ale też nigdy trzeźwy nie chodził, wódkę lubił, codziennie wypijał jej pewną ilość, i ta zapewne działała dezynfekująco. Niestety, za moich czasów, o cmentarz nikt już nie dbał, ludzie od niego stronili, jakby bojąc się zarazić tą chorobą, od której inni pomarli. Kiedy w latach sześćdziesiątych XX w. przystąpiono do dalszej rozbudowy dzielnicy na zachód od szosy kocmyrzowskiej, nawet nie namyślano się, zwłaszcza, ze nie było już nawet śladów z pozostawionych kiedyś krzyży, i cmentarz spychaczami zrównano z okolicznym terenem. W tym, mniej więcej miejscu stoją obecnie garaże i nikt z mieszkających w pobliżu ludzi nawet nie wie, ze tu kiedyś grzebano zmarłych na cholerę mieszkańców Bieńczyc.

Zdrowie

Pierwszym lekarzem, który mieszkał w Bieńczycach i przyjmował u siebie chorych oraz chodził z wizytami był dr Kazimierz Łowczowski, syn miejscowego kierownika szkoły. Mieszkał też krótko we wsi dr Leon Wohlfeiler, (przeniósł się potem do Czyżyn), syn miejscowego rzeźnika Salomona. Obaj ukończyli wydział lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego z początkiem lat 30. XX w. W Mogile był dr Białek, po nim dr Gawłowski, w Czyżynach dr Ottenbreit. Wszyscy oni byli lekarzami ubezpieczalni społecznej, ale wykonywali także prywatną praktykę. Mówiło się głośno, że niektórzy lekarze dobrze zarabiali na dokonywaniu przerywania ciąży. Lekarza wzywano tylko w nadzwyczajnych wypadkach, i to wzywali ludzie zamożni, których było stać na przywiezienie i opłacenie lekarza. Pod koniec XIX w. w całej okolicy panowała cholera, pod koniec pierwszej wojny światowej wiele ofiar pochłonęła czerwonka, a tuż po wojnie grypa, którą nazywano „hiszpanką". Wiele osób w całym okresie, często młodych zabierała gruźlica, a wśród dzieci panował koklusz i ospa (krosty). W Bieńczycach i najbliższej okolicy nie było znachorów. Owszem, był w Kantorowicach chłop, który bardzo dobrze składał złamane kończyny, podobnie jak organista z Raciborowic. Do porodów wzywano kiedyś „babki". W Bieńczycach już na przełomie wieków była fachowa akuszerka, przechrzcianka, żona miejscowego robotnika Urbana Ciepieli. Potem były także położne w Czyżynach – Czopkowa, w Mogile – Węsikowska, w Krzesławicach – Cybruchowa. Po śmierci Ciepielowej osiedliła się w Bieńczycach Katarzyna Dończowa, któta odpowiedzialną funkcję położnej pełniła przez trzydzieści lat. W czasach zaborów istniały Kasy Chorych, ale ubezpieczenia nie były obowiązkowe, w latach 30. wprowadzono Ubezpieczalnię Społeczną dla pracowników instytucji państwowych i większych zakładów prywatnych, jednak chłopi i robotnicy sezonowi z ubezpieczalni nie korzystali. Dr Łowczowski był znany i ceniony w całej okolicy, cieszył się powszechnym szacunkiem i zaufaniem Udzielał pomocy w różnych wypadkach, operował, uczestniczył przy cięższych porodach, leczył choroby wewnętrzne, leczył oczy i uszy, z każdą słabością ludzie szli do niego. Pracował w Bieńczycach przed wojną oraz w czasie okupacji i po wojnie. Gdy powstała Nowa Huta kierował ośrodkiem zdrowia na os.Górali, potem przebywał w Zabnie, a następnie w Szczyrzycu, gdzie zmarł. Miał jedną słabość – lubił wódkę.

Dwór

Zabudowania dworskie mieściły się w środku wsi. Tuż koło drogi ciągnęły się długie stajnie, za drogą prowadzącą do rzeki stały stodoły, spichlerz oraz czworak dla fornali. Drugi czworak mieścił się w starej karczmie koło szosy. Dwór nie posiadał żadnego pałacu, jedynie zwykły murowany dom mieszkalny o czterech izbach i kuchni mieszczącej się w przybudówce. Obok stała oficyna dla służby. Od zabudowań teren opadał ku rzece, nad którą znajdowały się stawy. Może dlatego, że we dworze nie mieszkał nigdy żaden jego właściciel, sam budynek dworski nie był tak okazały, jak to bywało w innych dworach.

Dwór w Bieńczycach od dawna należał do parafii św. Floriana w Krakowie, stanowiąc tzw. beneficjum każdorazowego proboszcza. Na przełomie wieków XVIII i XIX był związany z bieńczyckim dworem Ks. Hugo Kołłątaj, który miał proces z poprzednim dzierżawcą o jego posiadanie. W latach międzywojennych majątek przejęła Kuria Metropolitalna w zamian za wybudowanie przy kościele św. Floriana dużego domu czynszowego. Proboszczowie parafii św. Floriana, księża Kulinowski i Niemczawski byli częstymi gośćmi we dworze. Łącznie dwór w Bieńczycach posiadał około 200 morgów pola ornego i łąk. Był to zatem raczej folwark, a nie wielki dwór. Miejscowi ludzie pamiętają nazwiska dzierżawców dworu. Byli to panowie Hilewski, Kłopotowski, Cieślewicz, Świerczewski, a potem znowu Cieślewicz i – jako ostatni – Kusiak. Hilewskiego zapamiętano jako energicznego i niezłego gospodarza, Kłopotowski był mniej energiczny i wręcz niezaradny. W latach pierwszej wojny światowej objął dwór w dzierżawę Cieślewicz, którego brat już wcześniej dzierżawił dwór OO Cystersów w Mogile. Nowy dzierżawca był niemłodym już człowiekiem, pomagali mu w prowadzeniu gospodarstwa synowie Władysław i Kazimierz oraz córka Jadwiga. Dzierżawili oni także dwór w Grębałowie, gdzie w czasie wojny wszystkie zabudowania zostały zburzone, podobnie jak zresztą cała wieś Grębałów i inne okoliczne wsie położone na przedpolu fortów. Po śmierci starego Cieślewicza dwór w Grębałowie objął jego syn Władysław Cieślewicz, który pobudował tam nowe zabudowania dworskie. W Bieńczycach natomiast objął w dzierżawę dwór dawny rządca Cieślewicza, Mieczysław Świerczewski, który ożenił się z córką Józefa Cieślewicza – Jadwigą. Mieli dwoje dzieci: Aleksandrę i Andrzeja. Jadwiga wcześnie zmarła. Pozostał Świerczewski z dwojgiem małych dzieci, gospodarzem nadzwyczajnym ponoć nie był, trochę się zadłużył. Niebawem wyjechał z Bieńczyc i wszelki ślad po nim zaginął. Dziećmi zaopiekowała się rodzina Cieślewiczów z Mogiły, których syn Kazimierz, inżynier rolnik, dzierżawił już majątek w Czyżynach. Kazimierz objął majątek w Bieńczycach, ale sam gospodarował w Czyżynach, a w Bieńczycach zamieszkały jego matka i siostra Helena. W latach 30. dwór w Bieńczycach przeszedł na własność Kurii Metropolialnej w Krakowie, w której posiadaniu był także dwór w Czyżynach. Jednym i drugim gospodarstwem kierował inż. Kazimierz Cieślewicz. Mieszkając stale w Czyżynach tamtejszym dworem zajmował się osobiście, zaś w Bieńczycach gospodarowały jego siostra Helena i matka przy pomocy rządcy. Kazimierz – zwłaszcza w Czyżynach – gospodarował bardzo dobrze, uprawiał głównie warzywa (kapustę i pomidory), a niewiele zboża. Udzielał się społecznie, pracował w Małopolskim Towarzystwie Rolniczym. Tuż przed wojną był wójtem gminy Mogiła. W Bieńczycach gospodarka była gorsza, uprawiano zboże i ziemniaki. Cała rodzina Cieślewiczów to byli bardzo dobrzy i uczciwi ludzie, żyli blisko z mieszkańcami wsi, nie wynosili się ponad chłopów, pomagali biedniejszym ludzom poddzierżawiając im niewielkie kawałki roli pod uprawę (zwłaszcza ziemniaków). Inżynier Kazimierz Cieślewicz zginął tragicznie w czasie działań wojennych w 1939 r. W Bieńczycach przez całą wojnę i okupację gospodarowała Helena, miała przy sobie matkę staruszkę i dwoje dzieci Świerczewskiego, którymi się opiekowała i które wychowywała. Helena w czasie wojny dała się poznać jako osoba bardzo uczciwa, odważna i dobra Polka. Spieszyła z pomocą każdemu, kto tej pomocy potrzebował. We dworze przechowywało się wiele osób zagrożonych przez Niemców, przebywali także Żydzi. Przez pewien czas pracował we dworze inż. Jankowski wysiedlony z Poznańskiego, żona jego prowadziła zlewnię mleka. Helena otrzymywała za odstawione kontygenty artykuły tekstylne i inne artykuły pierwszej potrzeby. Cukier i inne środki spożywcze rozdzielała sprawiedliwie między pracowników i służbę. Andrzej Świerczewski i mieszkający we dworze jego kolega Andrzej Łaszczyński byli żołnierzami Batalionów Chłopskich. We dworze odbywały się lekcje kompletów tajnego nauczania. Był tam czynny przez całą okupację aparat radiowy obsługiwany przez Helenę i Andrzeja. Postawę Heleny Cieślewicz trzeba podkreślić także dlatego, że większość okolicznych dworów nastawionych komercyjnie raczej robiła interesy handlując zwłaszcza zbożem i mąką.

Po wojnie Helena zrezygnowała z dzierżawy dworu i wyjechała z Bieńczyc. Andrzej ukończył studia rolnicze, ożenił się z miejscową panną, także rolniczką i oboje podjęli pracę w rolnictwie. Oleńka po ukończeniu studiów polonistycznych na Uniwersytecie Jagiellońskim wstąpiła do Instytutu Zakonnego Oblatek, pracowała jako wychowawczyni w Domu Dziecka, a następnie była przełożoną tego Instytutu. Ostatnim dzierżawcą dworu w Bieńczycach był p. Kusiak. Za jego czasów dwór jako dobra martwej ręki został upaństwowiony, a następnie zamieniony na Państwowe Gospodarstwo Rolne.

Dzisiaj wszystkie dworskie pola zostały zajęte pod budowę miasta Nowa Huta. Stoją na nich wysokie bloki mieszkalne, a na łąkach jest wielka zajezdnia autobusów Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. W dawnych zabudowaniach dworskich zamieszkało kilka rodzin chłopskich, którym zabrano ziemię i zburzono domy.

Młyny

Dojeżdżającym do wsi już z daleka rzuca się w oczy wysoki komin młyński, który góruje nad wsią. Minąwszy pierwsze zabudowania i most na młynówce, zaraz na lewo nad rzeką znajduje się młyn. Szosę przecinała kiedyś w tym miejscu bocznica kolejowa prowadząca ze stacji do młyna, który leży w widłach młynówki i starego koryta Dłubni. Przechodząc bramę obok toru kolejowego na lewo widać parterowy barak, na prawo w ogrodzie piętrową willę, dalej w głębi czerwony, z cegły, piętrowy magazyn i dwupiętrowy budynek młyna. Ma on już dobrze ponad sto lat. W czasie zaborów był własnością żydowskiej spółki „Wasserberg i Ska" w Krakowie, kierownictwo na miejscu też było żydowskie. Tylko nadmłynarz, podmłynarze i robotnicy pochodzili ze wsi; głównie z Bieńczyc i Krzesławic. Praca we młynie nie była lekka. Dźwiganie stukilowych worków z mąką czy ze zbożem z wagonów do magazynu i odwrotnie wymagało nie lada kondycji i to przez 12 godzin dziennie. Kiedyś młyn posiadał własne konie, wozy i woźniców, którzy dowozili z Krakowa zboże, a wywozili mąkę. Gdy w 1900 roku zbudowano kolej do Kocmyrzowa, w Bieńczycach powstała stacja i bocznica kolejowa do młyna, wiec konie i wozy sprzedano, a woźniców zatrudniono jako robotników. Przemielano głównie zboże miejscowe, krajowe, lecz sprowadzano także z Węgier pszenicę. Młyn był czynny przez cały rok, lecz największe nasilenie przemiału było w jesieni, po żniwach. Nie było wtedy ośmiogodzinnego dnia pracy, robotnicy pracowali od rana do wieczora, wypłatę otrzymywali w każdą sobotę. Po wypłacie robotnicy szli do karczmy na wódkę, karczma była najpierw żydowska, a potem Ptaka, gdzie część zarobku przepijali. Młyn bieńczycki był największy w całej okolicy i dobrze prosperował. Żydzi w Austrii byli przez władze popierani, dlatego młyn przemielał dużo zboża dla wojska. W czasie wojny mimo, że wieś ewakuowano, ze względu na granicę rosyjską odległą zaledwie o kilka kilometrów, robotników z młyna pozostawiono we wsi. Młyn był częściowo zajęty przez wojsko. Po odparciu Rosjan na przełomie lat 1914/15 we wsi dalej kwaterowało wojsko. W kwietniu 1915 roku wybuchł we młynie pożar, który zniszczył główny budynek, magazyny i warsztaty. We wsi spłonęło kilkanaście domów. Do końca wojny młyn nie został odbudowany. Potem spalony młyn nabył inż. Orzechowski i próbował w nim uruchomić fabrykę stolarską, nic z tego jednak nie wyszło i Orzechowski młyn sprzedał. Kupili go dwaj młynarze: Władysław Lelito z Mogiły i Ptak z Mydlnik. Przystąpili do jego odbudowy, wspólnik Lelity nie utrzymał się jednak długo i wyjechał, został sam Lelito. Ten człowiek prosty, lecz niezły fachowiec, miał głowę do interesu, i co najważniejsze miał pieniądze. Młyn nie tylko odbudował, ale i rozbudował, wyposażając go w dwanaście par walców do mielenia zboża oraz inne urządzenia do robienia kasz, grysików, produkował kilka gatunków mąki. Młyn nazwał „gospodarczym", przyjmował od chłopów zboże i wymieniał na mąkę, pobierając za przemiał opłatę i tzw. „rozkurz", 5 kg. Od każdego przemielonego cetnara zboża. Dzięki nowoczesnym urządzeniom, w latach 30. Postawił młyn na takim poziomie, że mógł konkurować ze wszystkimi młynami w okolicy. Miał do pomocy oddanych ludzi, których dobrze wynagradzał, miał także swoich i żony krewnych, którzy jak Jan Tronka byli dla niego niezastąpieni. Pracowali we młynie Edmund Burdajowicz, Roman Płaszczak, młynarzami byli: Sadzikowski, Borowiec, Wójcik, Motyka. W okresach przedświątecznych i po żniwach podworzec młyński nie mógł pomieścić furmanek chłopskich, którymi zwożono zboże na wymianę za mąkę. Interes szedł dobrze, Lelito ciągle młyn przebudowywał i unowocześniał. Kiedy w Bieńczycach rozgorzała na dobre rywalizacja o wpływy z Ptakiem, przeciwnicy Ptaka znaleźli oparcie w Lelicie. By go do tego wciągnąć, wybrano go nawet wójtem, u Lelity obudziła się żyłka do pracy społecznej. Zakupił pół domu wraz z parcelą naprzeciw realności Ptaka, i tam zbudował dużą salę, która miała służyć gromadzie na zebrania, zabawy i przedstawienia. Później dobudował obok jeszcze piętrowy dom murowany z lokalem sklepowym na parterze. Jeszcze przed wojną był we młynie agregat elektryczny poruszany turbiną wodną, który dostarczał do młyna prąd elektryczny, głównie do oświetlenia. Kiedy kupiono pół domu z przeznaczeniem na dom gromadzki, ze młyna przeprowadzono na słupach przewody i dom otrzymał światło, podobnie jak i sąsiedni dom w którym potem jeden z młynarzy, Władysław Motyka uruchomił piekarnię. Poza tymi wszystkie domy we wsi, w tym także stacja kolejowa, dwór i młyn Kaczorowskiego oświetlane były lampami naftowymi.

Po śmierci Lelity młyn przez pewien czas prowadziła jego żona, wkrótce wyszła za mąż za niejakiego Spanihela i wspólnie prowadzili go dalej. Do spraw wsi już się nie mieszali, dbali tylko o to, by interes we młynie szedł dobrze. Spanihel miał bardzo zaufanego i oddanego pracownika w osobie Stanisława Siewniaka. Córka Lelity jeszcze przed wojną wyszła za mąż za lekarza Krilla. Po wojnie młyn przeszedł pod zarząd „Społem", a następnie państwa.

Był jeszcze drugi młyn w Bieńczycach na „Anielówce". Ten młyn był kiedyś własnością rodziny Kirchmajerów, którzy posiadali inny , duży młyn w Krzesławicach. Młyn na „Anielówce" kupił od Kirchmajera ich dawny kasjer Kaczorowski. Był to młyn wodny, Kaczorowski prowadził go przemielając zboże dla okolicznych chłopów. Młyn ten był czynny jeszcze w czasie drugiej wojny oddając wielkie usługi ludności, prowadziła go już wtedy żona Kaczorowskiego wraz z synem. Po wojnie młyn został rozebrany. Młyn był wprawdzie nieduży, pozwalał jednak jego właścicielowi na życie na odpowiednim poziomie i wykształcenie swoich dziesięciorga dzieci. Wszyscy oni, w tym trzech synów i sześć córek ukończyli co najmniej średnie szkoły.

Karczmy i sklepy

Był kiedyś taki zwyczaj, że karczmy na wsi budowano zwykle koło lub naprzeciwko kościołów. Pewnie po to, że jak mówią słowa piosenki:

„Na to Pan Bóg dał niedzielę, by po tygodniowym trudzie,
Pomodliwszy się w kościele, napili się wódki ludzie."

Bieńczyce nie były parafią, nie było też we wsi kościoła, pobudowano więc karczmę koło szosy, naprzeciwko drogi skręcającej do wsi. Jakkolwiek karczma nie stała koło kościoła, to jednak dziwnym zbiegiem okoliczności stała na gruncie kościelnym. Od dawna dzierżawił ją Żyd Lewek w której ludność zaopatrywała się w artykuły codziennego użytku. Ceny w karczmie były wyższe niż w Krakowie, dlatego na miejscu zaopatrywano się tylko w najpotrzebniejsze artykuły. Żyd, a potem jego następca dawali towary na kredyt (mówiło się „na borg"), dlatego biedniejsi z konieczności kupowali na miejscu. Pierwszą konkurencją dla karczmy był kiosk, który otworzył Franciszek Ptak. Początkowo prowadził go przy domu Wojciecha Zybury gdzie mieszkał, potem przeniósł go w pobliże karczmy. Z czasem zmusił Żyda do rezygnacji z karczmy, sam ją przejął, i dalej prowadził. Po zbudowaniu budynku „Sokoła" tam przeniósł sklep i karczmę, gdzie nad wejściem tablica głosiła, ze tu jest „wyszynk wódki i piwa", obok zaś na ścianie od strony szosy umieszczono wielki szyld „Gospoda Warszawianka". Wincenty Witos, który odbywał służbę wojskową na forcie w Krzesławicach, wspomina w swoich pamiętnikach o karczmarzu z Bieńczyc, o którym usłyszał od chłopów przywożących na fort ziemniaki. Postanowił się wybrać do karczmy Ptaka, nie udało mu się jednak z nim rozmawiać. Sklep i „gospoda" Ptaka prosperowały całkiem dobrze zwłaszcza, ze we wsi nie było przez długi czas innego sklepu ani karczmy. Pod koniec życia przekazał interes swemu synowi Stanisławowi, który prowadził go do wojny i w czasie okupacji.

Na drodze z Krakowa do Kocmyrzowa panował zwłaszcza w dnie targowe duży ruch. Prócz gospodarzy z okolicznych wsi przejeżdżali tą drogą także ludzie z kongresówki, którzy od Proszowic, Kazimierzy Wielkiej, Skalbmierza udawali się na targ do Krakowa. W tych miasteczkach mieszkało dużo Żydów, którzy wynajmowali furmanki chłopskie i udawali się nimi z towarem lub po towar do Krakowa. „Kopiniaki", gdyż tak powszechnie nazywano mieszkańców kongresówki, mieli znacznie większe wozy od tutejszych, siadało w nich 12 – 14 osób z towarem. Karczma względnie sklep położony koło szosy dawał jej właścicielowi poważny dochód od osób przejeżdżających drogą. Próby otwarcia drugiego sklepu we wsi kończyły się niepowodzeniem. Zięć Ptaka – Wojciech Halik, który próbował otworzyć sklep w swoim domu w środku wsi, naprzeciw dworu, jednak konkurencja, a potem pierwsza wojna światowa zmusiły go do jego likwidacji. Po wojnie była próba uruchomienia „konsumu" w domu Ludwika Nowaka (Raci), lecz i ten po krótkim czasie upadł. W latach 20., kiedy rozgorzała we wsi rywalizacja z Ptakiem, do której wciągnięto właściciela młyna Władysława Lelitę, ten sprowadził do Bieńczyc krewnego swojej żony Franciszka Bannerta, któremu odstąpił na sklep drewniany budynek położony na terenie młyna, koło szosy. Bannert sklep uruchomił, a będąc kupcem z prawdziwego zdarzenia, konkurencję Ptaka wytrzymał i nieźle egzystował. Obok sklepu miał także wyszynk wódki. Bannert prowadził sklep do końca wojny. Po jego śmierci objęła sklep i dalej go prowadziła siostra jego żony – Helena Bolek. Prócz sklepów spożywczych i wyszynku wódki istniały co najmniej dwie jatki z mięsem. Jeszcze przed pierwszą wojną prowadził jatkę Zamojski i Żyd Wohlfeiler. Zamojski bił krowy i świnie, Żyd tylko krowy. Jatkę Zamojskiego po pierwszej wojnie przejął Stanisław Krawczyk, a Wohlfeilera inny starozakonny – Schreiber z Mogiły. Na kilka lat przed wojną otworzył sklep masarski Władysław Nawrocki. W czasie wojny w 1941 roku za przykładem Krzesławic, gdzie w pożydowskiej karczmie otworzono sklep Spółdzielni „Społem" , założono w Bieńczycach Spółdzielnię Spożywców „Bieńczycanka". Sklep spółdzielni mieścił się przez całą wojnę w drewnianym domu gromadzkim zakupionym kiedyś przez Lelitę dla gromady. Po wojnie przy likwidacji prywatnej inicjatywy spółdzielnia przejęła lokal sklepowy Ptaka w dawnym budynku „Sokoła", a z czasem „Bieńczycankę" przejęła Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej, a następnie M.H.D.

Żydzi

Prawie w każdej wsi mieszkała rodzina żydowska, czasem nawet nie tylko jedna. W Bieńczycach jeszcze pod koniec XIX wieku mieszkał Żyd nazwiskiem Lewek, który prowadził karczmę i dzierżawił rogatkę (myto). Młyn był własnością żydowskiej spółki „Wasserberg i S-ka". We młynie oprócz Wasserberga, który miał kilkoro dzieci, mieszkało kilka rodzin żydowskich. Pracujący w młynie magazynier Selman mieszkał w swoim domu w Krzesławicach. W młynie jako młynarze, furmani oraz robotnicy pracowali miejscowi chłopi.

Od dawna mieszkał też we wsi Salomon Wohfeiler, rzeźnik. Miał swój dom oraz jatkę koło szosy – w ogrodzie Wincentego Salwińskiego, gdzie sprzedawał mięso własnego uboju. Bydło skupował w okolicznych wsiach, uboju dokonywał w Mogile w rzeźni znajdującej się naprzeciwko cmentarza. Jatka była czynna głównie w niedzielę, gdyż na ten dzień chłopi najczęściej kupowali mięso. W sobotę jatka nie była czynna: rzeźnik świętował. Bardzo przestrzegał przepisów swej religii, już w piątek wieczorem zasiadał do szabasu i w sobotę nie imał się żadnej pracy. W każdą sobotę wraz z synami udawał się do Mogiły, gdzie w domu jednego z tamtejszych Żydów, naprzeciwko klasztoru, była bożnica i tam w każda sobotę, bez względu na porę roku i pogodę udawali się wszyscy Żydzi z okolicznych wsi i odprawiali swoje modły. Już w piątek po zachodzie słońca ojciec rodziny, Salomon, zasiadał przy stole, przy zapalonych świecach, tuż przy oknach wychodzących na drogę i nakrywszy się odpowiednią szatą w białe i czarne pasy i przytwierdziwszy do czoła paskiem pudełeczka z jakimiś świętościami, kiwając się odprawiał modły. Okna miały drewniane okiennice, które wieczorem zamykano, jednak przez wycięcia w nich i szpary widać było kiwającego się Żyda. My, dzieci, robiliśmy Żydom różne młodzieńcze psoty, a to pukaliśmy w okiennice, a to w szpary wtykaliśmy papiery i słomę. Nieraz modlący się Żyd przerywał swą modlitwę, wypadał z mieszkania i krzycząc gonił nas.

Żydzi obchodzili bardzo gorliwie i uroczyście swoje święta: paschę, kuczki, czyli namioty, oraz sądny dzień. Wtedy pościli bardzo twardo, zwłaszcza w sądny dzień. Na święto namiotów budowali na podworcu namiot, czyli kuczkę i tam spożywali posiłki. Na paschę mieli osobne naczynia, których nie używano kiedy indziej i w nich gotowano w tych dniach jedzenie. Nawet na mleko, jeżeli nie mieli swojej krowy, przynosiła Żydówka swój garnek do gospodarza, od którego brali mleko i do tego garnka dojono mleko wprost od krowy. Ta „nasza" rodzina żydowska była bardzo liczna. Salomon miał już za mojej pamięci drugą żonę, która była rówieśniczką mojej matki i bardzo się obie przyjaźniły. Z pierwszego małżeństwa Salomon miał dwie córki: Salcię i Różę oraz trzech synów o imionach: Jakub (Kubek), Herman i Ignac. Dzieci z drugiego małżeństwa było też pięcioro: Fela, Szymek, Leon, Moniek i Samul. Byli moimi i mojego rodzeństwa rówieśnikami. Szkołę średnią i wyższe studia ukończył tylko Leon, został lekarzem. Obie córki z pierwszego małżeństwa, a potem i Fela wyszły za mąż i zamieszkały w Krakowie. Herman i Szymek pomagali ojcu w rzeźni oraz w jatce. Kubek miał sklep w Krakowie przy ul. Mogilskiej. Ignac pracował jako ajent w fabryce czekolady Suchard, Moniek i Samul pracowali gdzieś w Krakowie. Na kilka lat przed wojną wyjechali wszyscy do Krakowa. Jatkę i handel mięsem prowadził po nich inny Żyd – Schreber z Mogiły. Okupację niemiecką przeżyli: Herman, który wraz z dwoma synami przebywał w obozie w Oświęcimiu, Samul, który ukrywał się w okolicy i Leon, który znalazł się w II korpusie gen. Andersa. Wszyscy oni po wojnie wyjechali do Palestyny.

Tragicznie skończyli inni Żydzi z okolicznych wsi. Z Krzesławic: Kanarek, Goldman i Reiter – przez dłuższy czas ukrywali się w młynie w Krzesławicach, wykryli ich jednak Niemcy, z Czyżyn właściciel młyna Gut, z Łęgu Mendel, z Mogiły Moryc – wszyscy zostali wywiezieni i zamordowani.

Po zlikwidowaniu getta Niemcy z pomocą granatowej policji wyłapywali Żydów na drogach i rozstrzeliwali. Dwie Żydówki zostały rozstrzelane w Bieńczycach nad rzeką Młynówką w pobliżu młyna Kaczorowskiego.

Wrzesień

1 września 1939 r. zbudził mnie niebywały huk. Zerwawszy się z łóżka wybiegłem na ganek skąd zauważyłem krążące na bardzo dużej wysokości samoloty. Nie wiedziałem jakie, sądziłem, że to chyba polskie myśliwce. Pobiegłem na szosę , a następnie w kierunku Czyżyn. Kiedy znalazłem się na wysokości kuźni i domu Rojka usłyszałem ogłuszający szum i warkot samolotów nadlatujących od wschodu na bardzo małej wysokości. Przystanąłem pod wierzbami. Przelatujące na niewielkiej wysokości samoloty miały na skrzydłach czarne krzyże. Nie było już żadnej wątpliwości – wojna! Pobiegłem jeszcze „Zagościńcem", koło szkoły w kierunku „dworku" (kaplicy). Stąd z ogrodu rozlegał się widok na Czyżyny i lotnisko w kierunku Rakowic, gdzie na bardzo małej wysokości podlatywały samoloty, a za nimi wykwitały wybuchy bomb, jakie rzucały na lotnisko. W ciągu dnia spotkane osoby nie mogły się pogodzić z myślą, że to naprawdę wojna. Wieczorem znalazłem się u Cieślewi-

czów we dworze. Słuchaliśmy radia. Wójtem w gminie w Mogile był p. inż. Kazimierz Cieślewicz, dzierżawca majątku kurialnego w Czyżynach, jego zastępcą był p. Stanisław Rosiewicz z Pleszowa. Dowiedziałem się tam, że nazajutrz będzie się odbywał w Bieńczycach we dworze skup owsa dla wojska, prowadzony przez urzędników gminnych. Przyrzekłem swą pomoc. Skupem kierował p. Cieślewicz. Przyjeżdżały furmanki chłopskie z okolicy, z workami zboża, które ważono i składano w dworskim spichlerzu. W powietrzu przelatywały samoloty. Słychać było wybuchy bomb. We wsi wzrastał niepokój. Na szosie coraz więcej ludzi z tobołkami na plecach wędruje od Krakowa w kierunku na Mogiłę i Kocmyrzów.Niektórzy mieszkańcy Bieńczyc z początku nieśmiało zaczynają ładować swój dobytek na wozy i też wyjeżdżają. Kierują się i zatrzymują u znajomych w okolicy Kocmyrzowa i Luborzycy, inni wędrują dalej do Proszowic, Kazimierzy, Skalbmierza...My z ojcem pozostajemy w domu. Rano w niedzielę udajemy się do kościoła do Mogiły. W piątek na skutek zamieszania spowodowanego nalotami przerwałem moje pierwszopiątkowe Komunie św., poszedłem więc na Mszę św. do spowiedzi i Komunii św. Po powrocie z kościoła wszędzie widać zamieszanie i dezorganizację. Na drodze coraz więcej ludzi wędrujących ze swoim dobytkiem na wschód. Pokazują się pierwsi rozbitkowie z Wojska Polskiego. Domy w Bieńczycach pozostały w większości bez jakiejkolwiek opieki i dozoru. Wieczorem w niedzielę i my z ojcem wywędrowaliśmy do Kocmyrzowa korzystając z gościnności rodziny Kozików. Następnego dnia rano rozeszła się wiadomość, że Niemcy są już na Baranie, czyli na szosie biegnącej przez Kocmyrzów do Proszowic. Dla mnie rozpoczęła się miesięczna wędrówka wraz z ludnością cywilną w kierunku na północny wschód, na Lublin. Początkowi wędrowałem sam, później zebrało nas się (w różnym wieku) w sumie trzynastu z Bieńczyc. Pamiętam, że był najstarszy wiekiem Sadzikowski – robotnik ze młyna z Bieńczyc, jego szwagier Staszek Zamojski, Józef Cebula, Staszek Ciepiela (syn sołtysa), nazwiska innych uleciały mi z pamięci. Wędrowaliśmy bocznymi drogami, omijając większe skupiska ludzkie. Noclegi spędzaliśmy zwykle w stodołach. Żywiliśmy się kupując u chłopów chleb, mleko i inne produkty. W jakiejś wsi Staszek Ciepiela, który był z zawodu masarzem kupił małe prosię, zabił je, oprawił i ugotował całe w zupie, czym smakowicie zajadaliśmy się. Byliśmy już na terenie województwa lubelskiego. Zauważyliśmy coraz więcej ludzi podążających w przeciwnym niż my kierunku. Następne dni pokazały, że Niemcy już nas wyprzedzili – nie było sensu wędrować dalej. Niemcy zajęli Polskę, nasza armia została pobita. Najbardziej przejęty sytuacją był najstarszy z nas – Sadzikowski. Ze łzami w oczach zapytał mnie: – „Jak będzie wyglądać nasze dalsze życie, kto będzie rządził, gdzie jest nasze wojsko ?". Wiedziałem, że zadawane przez niego pytania są pytaniami nas wszystkich, że jesteśmy w szoku, bo zdaliśmy sobie sprawę, że coś się skończyło i czeka nas niewiadome. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, że czasy, jakie idą będą aż tak straszne, że okupacja hitlerowska przejdzie wszystko, co mogliśmy sobie wyobrazić. Rozpoczęliśmy powrót do domu. Po drodze napotykaliśmy zbombardowane i spalone wsie i miasteczka, olbrzymie wyrwy i leje po bombach, pozrywane przewody telefoniczne, połamane słupy i drzewa przydrożne...

Zbrodnie w forcie krzesławickim

Po kampanii wrześniowej forty położone na północ i wschód od wsi pozostały puste. Na ich przedpolach i fosach okoliczna ludność wypasała bydło. Jesienią 1939 roku zaczęły między ludźmi krążyć głuche wieści, że na forcie krzesławickim Niemcy rozstrzeliwują ludzi. Nie uszły uwagi mieszkańców okolicznych wsi ponure korowody aut ciągnących w kierunku fortu. Rano słyszano salwy i pojedyncze strzały. W cichym dotychczas forcie zapanowała zbrodnia. W przeddzień rozstrzeliwań, drogą do fortu przemierzali skazańcy z łopatami, by własnymi rękami kopać sobie groby. Pierwsze rozstrzeliwania na forcie miały miejsce późną jesienią 1939 roku. Poprzedniego dnia przywożono autami więźniów, którzy kopali groby, następnego dnia rano rozlegały się na forcie strzały, ginęli tam więźniowie przywożeni z więzień krakowskich. Ludzie przychodzący na fort po egzekucjach znajdowali świeże groby oraz walające się w ich pobliżu różne drobiazgi jak szaliki, chustki, papiery, ślady krwi, a nawet odstrzelone części ciała. Na drodze z Krakowa znajdowano kartki i grypsy pisane przez więźniów zawiadamiające o tym, ze jadą albo kopać groby, albo jadą na rozstrzelanie. Jeszcze w czasie okupacji na grobach składano kwiaty i wieńce. Czyniła to okoliczna ludność jak również żołnierze Batalionów Chłopskich. Jesienią 1945 roku Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich przystąpiła do badania zbrodni popełnionych na forcie. Pracami kierował okręgowy sędzia śledczy prof. Jan Sehn. Roboty ziemne wykonywali jeńcy niemieccy. Pocięcie całego fortu rowami głębokości 1 m. pozwoliło na wykrycie 29 zbiorowych grobów. Po odkopaniu grobów każde zwłoki zaopatrywano blaszką z numerem oraz poddawano je dokładnym oględzinom i sekcji. Pobierano przy tym znajdujące się przy zwłokach charakterystyczne przedmioty mające ułatwić rozpoznanie zwłok. Łącznie w 29 grobach znaleziono 440 zwłok, w tym 10 kobiecych. Większość, bo aż 395 zwłok miało uszkodzone od pocisków czaszki. Na podstawie znalezionych przy nich różnych przedmiotów oraz dokładnych oględzin, zdołano ustalić 104 pewnych nazwisk oraz 78 prawdopodobnych, 258 ofiar pozosta-

ło jednak bezimiennych mimo skrupulatnych badań. Ofiarami byli ludzie młodzi, co można było stwierdzić na podstawie zidentyfikowanych zwłok, a większą część stanowiła inteligencja. Byli także robotnicy, chłopi, kupcy itp. Potencjalnym przestępcą w oczach Niemców był każdy Polak. Rozstrzeliwano na forcie aktywnych działaczy i bojowników Polski Podziemnej, ale byli też ludzie schwytani w łapankach ulicznych, zakładnicy oraz ci co przewozili nielegalnie żywność ze wsi do miasta czy chłopi, którzy na czas nie oddali kontyngentów.

Głównym więzieniem w Krakowie, gdzie przetrzymywano Polaków było dawne więzienie wojskowe przy ul. Montelupich. Siedzieli tam różni ludzie: młodzi, schwytani w czasie przedostawania się przez góry, by dostać się do polskiego wojska na zachodzie, przebywali tam mieszkańcy Krakowa podejrzani o pracę konspiracyjną. Jeden z nich, profesor gimnazjum Sobieskiego, Marian Lubaczewski tak napisał bezpośrednio przed śmiercią:

Cieszę się, że tu wszyscy są tak bardzo dzielni,
Cieszę się, że nie ginę jak zwykły śmiertelnik,
Cieszę się, że moja żona dokończy moje dzieło
jeszcze niedokończone,
Cieszę się, że mi przypadł los moich dziadów
w udziale
I, że wśród wrogich Niemców piekło miałem stale,
A pozostałem niezłomny i dumny,
I spocznę we wspólnym grobie, a nie na dnie trumny.

3.7.1940 r., dzień moich urodzin M. Lubaczewski

Podobnie inni więźniowie Montelupich niepewni swego losu pisali do rodzin po kryjomu grypsy, w których donosili o wyjazdach do kopania grobów, o odbytych sądach i o czekaniu na wyrok. Wielu z nich łudziło się, że wyjdą na wolność i przygotowywali projekty i plany na przyszłość, inni dawali polecenia dla żony, dla rodzin, jeszcze inni prosili o przysłanie bielizny, paczek z żywnością, o to, by mogli być zwolnieni z więzienia. Także z więzienia śledczego mieszczącego się przy ul. Senackiej zwanego więzieniem św. Michała wywożono więźniów na rozstrzelanie w Krzesławicach, często byli to aresztowani, co do których toczyło się śledztwo, nie byli więc jeszcze zasądzeni i takich także wywoziła policja do obozów i na rozstrzelanie.

Zabijano na forcie także zakładników, aresztowanych za to, ze w danej miejscowości dokonano zamachu na Niemców lub na jakiś urząd. Tak było z zakładnikami z Myślenic, gdzie 21 czerwca 1940 r. wybuchła bomba w tamtejszym urzędzie pocztowym. Po ich rozstrzelaniu w dniu 29 czerwca, zgromadzeni w sąsiednich celach wiedzieli, ze pójdą w następnej kolejce. Przebywali tam w większości aresztowani w drodze na Węgry. Był wśród nich Stanisław Marusarz, znany skoczek narciarski i inni zakopiańczycy oraz wielu inteligentów krakowskich, m.in. Marian Lubaczewski i Józef Czernek z Krzesławic. W celi, gdzie siedział Marusarz powstała myśl ucieczki. W nocy z 1 na 2 lipca przy pomocy nóg stołowych wygięli kraty w oknie, Wczesnym rankiem przystąpili do działania. Uciekających przepychano przez wąski otwór w kracie. Z okna opuszczali się na związanych prześcieradłach. Pierwszych sześciu, wśród których był Marusarz zeskoczyło szczęśliwie, przesadzili mury i rozbiegli się w różne strony. Siódmego zauważyli Niemcy i zaczęli strzelać, tym siódmym był prof. Wawrzeczko. Pozostałych wywieziono w dniu 2 i 4 lipca na fort w Krzesławicach i rozstrzelano. Krwawy sezon na forcie trwał od listopada 1939 do wiosny 1941 roku, z największym nasileniem latem 1941 r. W lecie 1940 roku został uruchomiony obóz w Oświęcimiu i tam zaczęły płynąć transporty z Montelupich. Z miejscowych oprócz wymienionego Józefa Czernka zginął na forcie Tadeusz Rolnik, prawnik z Kocmyrzowa.

W 1946 roku zaraz po ekshumacji zwłok pomordowanych powstał obywatelski komitet budowy pomnika ofiar zbrodni hitlerowskiej, który odsłonięto w 1957 roku.

Mordowanie Żydów

Niedługo po wkroczeniu Niemców do Krakowa władze okupacyjne wydały zarządzenie zobowiązujące wszystkich Żydów do noszenia gwiazdy syjońskiej, jako znaku rozpoznawczego, że noszący ten znak nie jest aryjczykiem. Do noszenia gwiazdy zobowiązani byli nie tylko Żydzi właściwi, lecz także te osoby, które przeszły na chrystianizm i ich potomkowie aż do trzeciego pokolenia. Te osoby na ogół gwiazd nie nosiły, żyły one jednak pod ciągłym strachem, by ktoś ich nie zdradził przed Niemcami, wypadków takiej zdrady jednak nie było. W Bieńczycach i okolicy mieliśmy kilka takich osób, nikomu jednak nie przychodziło nawet do głowy, by na ten temat nawet mówić. Była w Bieńczycach autentyczna Żydówka Krajewska, żona piekarza, która przebywała we wsi, służyła nawet Niemcom jako tłumaczka, gdyż pochodząc z Bielska znała bardzo dobrze język niemiecki.

Niemcy używali początkowo Żydów jako siły roboczej, nie zważając na ich zawód i wykształcenie, wszystkich pędzono do pracy fizycznej, a byli wśród nich żydowscy adwokaci, lekarze i inne wolne zawody. W następnym etapie utworzono w Krakowie, na Podgórzu „getto" żydowskie, i tam spędzono wszystkich Żydów z Krakowa. Opróżniano całe dzielnice i ulice zamieszkałe przez Żydów jak słynny Kazimierz, Stradom i wiele ulic. Zagęszczenie na terenie „getta" było bardzo duże. Niektórzy Żydzi nie chcąc iść do „getta" zamieszkali w podkrakowskich wsiach. Opłacając się sowicie wójtowi uzyskali na pewien czas zezwolenie na zameldowanie po wsiach.

Żydzi z „getta" byli wyprowadzani na roboty do miasta, przy tej okazji mogli byli przynieść sobie i rodzinom coś do jedzenia. Getto było otoczone murem i strzeżone przez policję niemiecką. Wewnątrz mieli swój samorząd i własną policję żydowską. Wszystko to jednak było tylko po to, by przy pomocy samych Żydów tym bardziej ich wykorzystać i gnębić. Potem „getto" zaczęto likwidować wywożąc Żydów do obozu w Oświęcimiu, by tam truć gazami i palić w krematoriach. Wywożono także Żydów z „getta" w okolice Wieliczki i Niepołomic i rozstrzeliwano. Przyszła także kolej na tych Żydów, którzy w pierwszych miesiącach okupacji schronili się na wieś. Tych spędzono także na jedno miejsce i wywieziono w okolice Niepołomic i tam rozstrzelano. Egzekucji dokonywała policja niemiecka, uczestniczyła w tym także policja polska.

Po zlikwidowaniu „getta" i większości Żydów, tylko pojedyncze osoby pokazywały się czasem w okolicach. Jeden Żyd, dawny mieszkaniec Bieńczyc – Samuel Wohlfeiler ukrywał się przez pewien czas u swych znajomych na wsi, potem jednak w obawie, by go nie wykryto przeniósł się do innej miejscowości i szczęśliwie przeżył okupację. Zmienił nazwisko i nazywał się po wojnie Kowalski. Jego starszy brat Herman wraz z dwoma synami znalazł się w obozie oświęcimskim, przeżył obóz, wrócił, zamieszkał w Czyżynach, a potem wyjechał do Izraela. Przechowywał w Bieńczycach Żydów Jan Biernacik. W Krzesławicach we młynie przechowywała się żydowska rodzina Kanarków, ktoś jednak zdradził, Niemcy otoczyli młyn i zabrali całą rodzinę. Rrozstrzelano dwie Żydówki w Bieńczycach nad rzeką Dłubnią w pobliżu młyna Kaczorowskiego

Zamordowanie Polaków w Krzesławicach

W Krzesławicach obok dawnego toru kolejowego znajduje się pomnik postawiony na pamiątkę rozstrzelania w tym miejscu 10 zakładników w odwet za rzekomy zamach na Bahnschutzów (niemieckich strażników kolejowych) w listopadzie 1943 r.

Kiedy jesiennym wieczorem 1943 r. pociąg osobowy jadący z Kocmyrzowa do Krakowa przebywał odcinek między Grębałowem a Bieńczycami, w jednym z wagonów zabawiali się przy alkoholu niemieccy strażnicy. Finałem zabawy była strzelanina. Strażnicy oddawali przez okna na zewnątrz serie z automatów. Na stacji kolejowej w Bieńczycach jeden ze strażników oddał serię strzałów w kierunku oświetlonych okien sąsiadującego ze stacją domu Turbasów. Na odgłos strzałów podbiegła do okna Zofia Turbasowa obok niej był także sześcioletni syn. Dwa pociski trafiły Turbasową w piersi, przeszły na wylot i utkwiły w przeciwległej ścianie. Kilka innych pocisków utkwiło w zewnętrznej ścianie obok okna. Podczas gdy jedni z domowników ratowali matkę jeden z synów wybiegł z domu po lekarza K. Łowczowskiego. Bahnschutze oddali także za nim serię strzałów. Przyjej były lekarz udzielił matce pierwszej pomocy. Przybył także miejscowy ks. Franciszek Ciepiela, który udzielił Sakramentów św. Następnego dnia 13 listopada odwieziono ją do szpitala, gdzie jednak po operacji zmarła. Pochowana została na cmentarzu w Raciborowicach. Następnego dnia przyjechali Niemcy i przeprowadzili śledztwo. Wynikiem śledztwa była masakra dziesięciu zakładników przywiezionych autem z Krakowa, których rozstrzelano na polu gospodarza Lutego tuż przy torach kolejowych na terenie gromady Krzesławice. Naoczny świadek egzekucji Jan Walerian z Krzesławic tak opowiada o tym tragicznym wydarzeniu:

„W dniu rozstrzelania dziesięciu osób w Krzesławicach szedłem drogą od „Buciorów" do swego domu w Krzesławicach. Koło domu Zamojskiego zostałem zatrzymany przez niemieckiego żołnierza stojącego na drodze. Zauważyłem więcej żołnierzy stojących w odległości około 50 m. na polu Lutego oraz na torze kolejowym, żołnierze ci zamykali czworobok u zbiegu drogi i toru kolejowego. Na drodze tuż obok toru stały dwa auta, jedno małe, osobowe i drugie ciężarowe, kryte plandeką. Właśnie z auta ciężarowego wysiadali ludzie ubrani po cywilnemu, jeden z nich miał rozdarte spodnie od dołu aż powyżej kolana, przez to rozdarcie widać było protezę, człowiek ten szedł kulejąc a przechodząc rów dzielący drogę od pola – upadł. Kiedy przeszli przez rów ustawiono ich równolegle do toru kolejowego, naprzeciw stanęli gestapowcy z automatami, jeden z nich trzymał w ręku laskę względnie trzcinkę, która jakoś dziwnie błyszczała. Stojącym w szeregu więźniom rozkazano obrócić się twarzami od toru kolejowego tak, że stanęli tyłem do ustawionych gestapowców z bronią. Gestapowiec, który trzymał w ręku laskę wzniósł ją do góry a następnie opuścił. Padły strzały, wszyscy więźniowie upadli. Wydający komendę podszedł następnie do leżących i dwukrotnie strzelił dobijając tych, którzy dawali jeszcze znaki życia. Po dokonaniu tego

morderstwa, żołnierz, który mnie zatrzymał pozwolił mi odejść. Przechodząc obok miejsca egzekucji w odległości około 15 m, widziałem leżące, zakrwawione ciała zamordowanych, a wśród nich sterczącą protezę owego kulejącego więźnia. Po pewnym czasie grupa więźniów, która przyjechała tym samym autem co rozstrzelani, załadowała ciała pomordowanych do auta ciężarowego i wraz z nimi odjechały oba auta w kierunku Krakowa. Na miejscu rozstrzelania pozostały kałuże krwi oraz strzępy ubrań i drobne przedmioty osobistego użytku".

Niebawem ludność miejscowa usypała na miejscu egzekucji niewielki kopczyk umieszczając na jego szczycie krzyż drewniany, a całość miejsca otoczono sztachetami. Na uroczystość Wszystkich Świętych co roku składane są na miejscu stracenia polskich patriotów kwiaty i pali się światło. W 1967 roku Koło ZBOWiD przy Zakładach Przemysłu Tytoniowego w Czyżynach zbudowało na tym miejscu betonowy pomnik, który przypominać będzie, że miejsce to zostało zbroczone krwią niewinnie pomordowanych patriotów polskich przez hitlerowskich okupantów.

Zbrodnia w Grębałowie

Na osiedlu Wzgórza Krzesławickie obok ulicy Kocmyrzowskiej znajduje się mały pomnik z piaskowca przedstawiający płaczącą niewiastę. Pomnik ten postawiono w roku 1963 staraniem Koła ZBOWiD przy Hucie im.Lenina na pamiątkę rozstrzelania 80-ciu polskich więźniów z wiezienia przy ul. Montelupich w Krakowie.

Mord ten był represją za zastrzelenie dwóch Bahnschutzów w pociągu koło stacji w Grębałowie oraz dwa napady na pociągi wąskotorowej kolei w Topoli Łyszkowicach w powiecie miechowskim. Napadów w Topoli i Łyszkowicach dokonały oddziały Inspektoratu Armii Krajowej „Maria" (106 Dywizja A.K.). Kto dokonał zamachu w Grębałowie – nie wiadomo.

Opis zbrodni oparty jest na relacji Salomei Morawiec, mieszkanki Grębałowa, która przebieg zbrodni obserwowała ze swego domu położonego w pobliżu miejsca zbrodni.

We środę dnia 26 stycznia 1944 r. około godziny 21 pociąg jadący z Kocmyrzowa do Krakowa mijał stację kolejową w Grębałowie. Kiedy pociąg zbliżał się w okolicę fortu w jednym z jego wagonów wywiązała się strzelanina. Na wzgórzu koło fortu pociąg się zatrzymał. Jak się potem okazało nieznani osobnicy strzelali w pociągu do niemieckich strażników kolejowych. Jeden ze strażników został zastrzelony, drugi ranny wyskoczył z pociągu. W czasie strzelaniny ranne zostały również dwie kobiety. Ranny strażnik wyskakując z pociągu pchnął owe kobiety tak, ze wypadły z pociągu. Kobiety te powracały z okolic Proszowic wioząc z sobą zakupione artykuły żywnościowe. Jedna z nich pochodziła z Prądnika, druga z Rakowic. Ranne kobiety schroniły się do domu Salomei Morawiec, gdzie udzielono im pierwszej pomocy.

Po pewnym czasie od strony fortu nadjechała furmanka. Dwaj nieznani mężczyźni przynieśli do mieszkania Morawcowej ciężko rannego Bahnschutza. Oświadczyli oni, ze na drodze z Grębałowa do Krzesławic zatrzymali ich dwaj partyzanci i polecili im zabrać zabitego Niemca, leżącego przy torze kolejowym. W rannym rozpoznano Bahnschutza nazwiskiem „Rudek", który pełnił służbę w pociągu. Niemiec miał około 40 lat, był ranny w głowę i w brzuch. Z otwartej rany wychodziły mu wnętrzności. Karabin zostawił w pociągu, w zaciśniętej dłoni trzymał pistolet. Rannemu udzielono pierwszej pomocy. Telefonicznie zawiadomiono o wypadku stację kolejową w Czyżynach. Około godziny 24-tej od strony Bieńczyc nadjechała lokomotywa z jednym wagonem, w którym przyjechało około 20 polskich kolejarzy z lekarzem dr. Ottenbreitem z Czyżyn.

Według relacji polskich kolejarzy, obecni na stacji kolejowej w Czyżynach Niemcy nie odważyli się na wyjazd. Dr. Ottenbreit opatrzył rannego Niemca oraz kobiety i wszystkich zabrano do wagonu kolejowego i lokomotywa wraz z kolejarzami odjechała w stronę Bieńczyc.

Na drugi dzień, w czwartek około godziny 7-mej rano kolejarz Kazimierz Stolarski z Kantorowic pracujący na stacji kolejowej w Czyżynach wracając po pracy do domu, przyniósł wiadomość, ze ranny Niemiec zmarł w szpitalu w czasie operacji. W tym samym dniu około godziny 9-tej przyjechało do Grębałowa autem osobowym czterech Niemców. Byli w mundurach, jeden z nich mówił po polsku i służył za tłumacza. Wypytywano, kto rannego Niemca znalazł, i kto jakiej udzielił mu pomocy, czy pociąg się zatrzymał, czy słyszano strzały. Tłumacz wyraził się do spisującego protokół, ze „wieś Grębałów należy spalić, bo tam są partyzanci i bandyci". Po spisaniu protokołu Niemcy odjechali. Ten i następny dzień minęły spokojnie.

W sobotę około godziny 9-tej przybyli Niemcy, zatrzymali ruch na szosie, obstawili teren po obu stronach drogi gęstym kordonem ubezpieczając się w ten sposób ze wszystkich stron. Wszystkich Niemców było około setki. Przyjeżdżali autami ciężarowymi, które zatrzymały się na zakręcie szosy. Auta były zakryte plandekami. Po rozstawieniu ubezpieczenia zaczęto z samochodów wyładowywać powiązanych dwójkami mężczyzn

w cywilnych ubraniach. Każdy z nich miał głowę obwiązaną białą przepaską. Wszystkich wyładowanych z aut umieszczono w rowie obok szosy.

Następnie odbywało się rozstrzeliwanie przywiezionych osób na polu w odległości około 10 m od rowu po zachodniej stronie szosy. Po dziesięciu wyprowadzano ich na pole ustawiając w jednym szeregu, twarzami do Niemców ustawionych na szosie. Wykonujących egzekucję było dziesięciu i dowódca. Strzelali równocześnie na komendę, do klęczących na polu ofiar. Po zastrzeleniu każdej dziesiątki dowódca podchodził do każdego z leżących i nogą przyciskał jego głowę do ziemi, a gdy ofiara dawała jeszcze znaki życia – dobijał strzałem z pistoletu w głowę. W podobny sposób zamordowano wszystkich pozostałych. Razem zginęło 80 osób.

Jedna z dziesiątek przeznaczonych do rozstrzelania, szybko samorzutnie ustawiła się do stracenia klękając w szeregu bez rozkazu. Wówczas Niemiec wydający komendę poderwał ich do postawy stojącej, przetrzymał ich w tej postawie przez kilka minut i dopiero na rozkaz kazał im klęknąć i wykonano egzekucję w podobny jak poprzednio sposób. Poszczególne dziesiątki ustawiono na polu wzdłuż szosy na przestrzeni około 50 m.

Po skończonej egzekucji oddział, który tego dokonywał w liczbie 11 – tu SS-manów przybył do sklepu Morawcowej żądając wódki. Z rozmowy, jaką między sobą prowadzili wynikało, że rozstrzelanymi byli „bandyci" przewiezieni z Krakowa, z więzienia przy ul. Montelupich, a rozstrzelano ich w odwet za zabicie dwóch Bahnschutzów w pociągu. Odjeżdżający SS-mani zostawili drukowane ogłoszenie, na którym obok zawiadomienia o rozstrzelaniu 80 osób były nazwiska nowych zakładników. Po pewnym czasie oddział wykonujący egzekucję odjechał do Krakowa.

Pozostali jednak żołnierze ubezpieczający egzekucję oraz ciała pomordowanych, które leżały na polach jeszcze prawie dwie godziny. Zezwolono na ruch pojazdów na szosie, a Niemcy zachęcali przechodzących i przejeżdżających szosą ludzi do oglądania ciał pomordowanych chcąc w ten sposób wzbudzić strach wśród ludności. Większość przechodzących odwracała głowy w przeciwną stronę. Zamordowani byli w różnym wieku, ale wszyscy byli to ludzie dorośli, było wśród nich wielu dobrze ubranych, kilku było w wysokich butach, głowy mieli obwiązane ręcznikami i szmatami.

Do załadowania na auta ciał pomordowanych zamierzano ściągnąć mężczyzn z Grębałowa, lecz – jak się okazało – wszyscy mężczyźni zbiegli w pole. Zbierano więc ludzi przechodzących i przejeżdżających drogą, i zmuszano ich do ładowania ciał.

Na miejscu egzekucji pozostały kałuże krwi, drobne odłamki kości oraz szczątki ciała i mózgu. Mimo iż krew i inne szczątki ofiar zostały zabrane i pieczołowicie pochowane na jednym miejscu, czym zajmował się szczególnie Antoni Grzesiak, dozorca fortu grębałowskiego, w tym miejscu wyrastało przez kilka lat bardzo bujne zboże, które jednak właściciele pól pozostawiali nie kosząc go.

Sama egzekucja trwała około godziny, ciała pomordowanych zabrano, równocześnie zwinięto ubezpieczenie. Koło godziny 13-tej kawalkada aut z wojskiem i z ciałami pomordowanych odjechała w kierunku Krakowa.

Niedługo po dokonaniu zbrodni na miejscu straceń usypano kopczyk i ustawiono drewniany krzyż, a całość ogrodzono sztachetkami.

W 1963 roku staraniem Koła ZBOWiD przy Hucie im. Lenina dla uczczenia pomordowanych, postawiono w odległości około 400 m. od miejsca zbrodni , pomnik przedstawiający płaczącą niewiastę dłuta Jadwigi Horodyskiej . W rocznicę zbrodni oraz w święta państwowe okoliczna ludność składa pod pomnikiem kwiaty i zapala znicze i świece.

Ruch Oporu

Pierwszymi odznakami rodzącego się w społeczeństwie podziemnego ruchu oporu były przekazywane z ust do ust wiadomości zaczerpnięte z audycji radia zagranicznego . Wiadomości te zaczęto następnie przepisywać przez kalkę na maszynie i tak powstały pierwsze podziemne, konspiracyjne gazetki. Pod koniec września w broniącej się jeszcze Warszawie powołano do życia podziemną organizację wojskową pod nazwą Służba Zwycięstwu Polski, na jej czele stanął gen. Karaszewicz – Tokarzewski, celem organizacji była walka z Niemcami.

Niezależnie od wymienionej organizacji na terenie całej Polski zaczęły powstawać samorzutnie różne ośrodki oporu. Inicjatywa ich tworzenia wychodziła albo od wojskowych, którym udało się uniknąć niewoli albo od działaczy politycznych różnych ugrupowań, czy wreszcie od działaczy społecznych i patriotycznych, którzy nie mogli się pogodzić z utratą niepodległości.

Służba Zwycięstwu Polski niebawem zmieniła nazwę na Związek Walki Zbrojnej (Z.W.Z.), aby w latach następnych przekształcić się w Armię Krajową (A.K.)

Równocześnie zaczęły powstawać komórki konspiracyjne różnych organizacji i stronnictw politycznych, które działały w Polsce przed wojną. Cztery główne ugrupowania polityczne pozostające w opozycji do rządów Piłsudskiego i jego następców, porozumiały się ze sobą i utworzyły Polski Komitet Porozumiewawczy, były to" Stronnictwo Ludowe, Stronnictwa Pracy, Stronnictwo Narodowe i Polska Partia Socjalistyczna.

Na terenie naszej wsi niezależnie od siebie zaczęły od wiosny 1940 r. działać trzy ośrodki konspiracyjne: wojskowy, polityczny i tajnego nauczania.

Konspiracją wojskową kierował Jan Kotyza ppor.rez.W.P. Pierwszym zadaniem, jakie otrzymał od powiatowego komendanta Z.W.Z. inż. Józefa Rosiewicza ps." Rodak" z Pleszowa, było zorganizowanie na terenie trzech sąsiednich wsi: Bieńczyc, Krzesławic i Mistrzejowic plutonu Z.W.Z. Do plutonu tego weszli jako dowódcy drużyn: podchorąży Władysław Bochenek z Krzesławic, podchorąży Władysław Chwastek z Mistrzejowic i kapral zawodowy Piotr Kotyza z Bieńczyc. W dalszym rozwoju tej pracy zostali zaprzysiężeni do Z.W.Z. starsi podoficerowie i wysłużeni żołnierze: Wojciech Krawczyk, Józef Ciepiela, Stanisław Krawczyk, Andrzej Ciepiela, Józef Salwiński, a z młodszych, przeważnie uczniów szkół średnich i członków Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej: Eugeniusz Hajto, Jan Bochenek, Józef i Juliusz Osiadły, Andrzej Swierczewski, Andrzej Łaszczyński, Władysław Krawczyk, Edward i Stanisław Zybura.

W 1942 roku cała ta grupa przeszła do organizujących się na terenie powiatu krakowskiego Batalionów Chłopskich. Na terenie trzech sąsiadujących z sobą gmin: Mogiły, Ruszczy i Zielonek powstał najpierw rejon a potem batalion B.Ch. „Pająk", którego dowódcą był Jan Kotyza. W Bieńczycach utworzono pluton B.CH., którego dowódcą był kapral Piotr Kotyza a dowódcami drużyn: Wojciech Krawczyk, Józef Ciepiela, Stanisław Krawczyk i Józef Salwiński. Wymienieni wyżej młodzi żołnierze wchodzili w skład patrolu bojowego pod dowództwem E. Hajty ps. „Gruszka" i wykonywali wiele różnych zadań na rozkaz dowódcy batalionu, brali udział w szkoleniu wojskowym, przenosili prasę konspiracyjną, dokonywali sabotaży i napadów na Niemców.

Z inicjatywy powiatowego kierownictwa Ruchu Ludowego na bazie istniejącego we wsi przed wojną Koła Stronnictwa Ludowego powstała Gromadzka Trójka Polityczna, do której weszli: Andrzej Ciepiela, Andrzej Biernacik i Stanisław Zięba. Gromadzkim komendantem Ludowej Straży Bezpieczeństwa był Jakub Pszczoła.

Powstał także Ludowy Związek Kobiet, i w jego ramach Zielony Krzyż. Do jego kierownictwa należały: Zofia Zybura, Zofia Celińska, Maria Jędrszczyk. Członkinie Zielonego Krzyża miały pełnić pomocniczą służbę w B.Ch. jako sanitariuszki – łączniczki itp. Dla nich zorganizowane były w Bieńczycach kursy gotowania w domu J. i M. Kotyzów oraz kurs sanitarny w szkole w Bieńczycach.

Dla ogółu mieszkańców wsi sama świadomość istnienia we wsi podziemnego ruchu oporu była często dla słabych moralnie jednostek wystarczającym hamulcem powstrzymania się od współpracy i przyjaźni z Niemcami. W wypadkach drastycznych interweniowały patrole i oddziały specjalne B.Ch. i L.S.B. pouczając nieświadomych jak należy postępować, winnych karano chłostą, a dziewczęta zbytnio sprzyjające Niemcom strzyżono. W okolicy wykonano kilka egzekucji na skazanych przez Kierownictwo Walki Cywilnej na karę śmierci złodziei i konfidentów.

Bataliony Chłopskie

Po przejściu do Ruchu Ludowego na polecenie Jana Gajocha i Walentego Adamczyka objąłem z ramienia powiatowej komendy Batalionów Chłopskich dowództwo nad tworzącymi się oddziałami B.Ch. na terenie trzech gmin leżących na północny wschód od Krakowa. Były to gminy: Ruszcza, Mogiła i Zielonki, a więc teren graniczący bezpośrednio z miastem. Poza Gajochem i Adamczykiem zacząłem się kontaktować z innymi ludźmi z „Rocha" działającymi na tym terenie.

Jan Gajoch ps. „Krzemień" był przewodniczącym Trójki Powiatowej „Rocha", był prezesem Zarządu Powiatowego Stronnictwa Ludowego jeszcze przed wojną. Był jednym z młodszych działaczy tego Stronnictwa, do którego przeszedł dość wcześnie z Kół Młodzieży Wiejskiej „Znicz", znał chłopów w powiecie, organizował w 1937 roku strajk chłopski na terenie powiatu, był żonaty, miał dwie córki, gospodarował w Pleszowie na kilku hektarach ziemi.

Walenty Adamczyk ps. „Topola" pochodził z Luborzycy, znany mi był jako kolega z pociągu, kiedy dojeżdżaliśmy razem do gimnazjum i na studia do Krakowa. Adamczyk studiował prawo i pracował w Sądzie Wojewódzkim jako sekretarz. Miał kontakty z grupami lewicowymi działającymi na terenie uniwersyteckim, sam jednak działał raczej w organizacjach sanacyjnych. Bliskie mu były: Legion Młodych, Związek Strzelecki, był prelegentem Ligi Obrony Powietrznej. Ranny w kampanii wrześniowej przebywał dłuższy czas w szpitalu. Po powrocie

z niego osiadł w Pleszowie i prowadził pożydowską gospodę, zwerbowany przez Gajocha do Ruchu Ludowego poświęcił się organizowaniu BCh.

Stanisław Mars ps. „Dąb" z Krzesławic czynny był przed wojną w Związku Młodzieży Wiejskiej „Znicz", młodszy od Gajocha o kilka lat podobnie jak on przeszedł wcześnie do roboty w Stronnictwie Ludowym. Był kawalerem, miał kilkuhektarowe gospodarstwo w Krzesławicach, ktore prowadził wraz z matką i siostrą. Był po aresztowanym Dudzie z Bieżanowa powiatowym komendantem Chłostry, a potem Ludowej Straży Bezpieczeństwa.

Teodor Cygan ps. „Czarny" pochodził z przysiółka Pleszowa – Kujaw nad Wisłą, także przedwojenny działacz ZMW „Znicz", a potem członek Stronnictwa Ludowego. W konspiracji był szefem łączności Zarządu Powiatowego (Roch), w zakresie jego obowiązków było m.in. dostarczanie prasy konspiracyjnej.

Józef Gajoch ps. „Kajak", brat Jana mieszkał w Pleszowie na Kujawach, miał kilkuhektarowe gospodarstwo nad Wisłą. Przed wojną członek ZMW „Znicz" i Stronnictwa Ludowego. W czasie wojny komendant gminny Chłostry a potem Ludowej Straży Bezpieczeństwa.

Antoni Baranik mieszkał w Mogile, pochodził z Rybnej, na skutek czego część okolicznych chłopów odnosiła się do niego nieufnie. Przed wojną działał w Stronnictwie Ludowym. W czasie okupacji był przewodniczącym Trójki Politycznej na gminę Mogiła.

Wojciech Ziomek pochodził z Wadowa, gdzie miał kilku-hektarowe gospodarstwo rolne, przed wojną członek Stronnictwa Ludowego, w czasie okupacji przewodniczący Trójki Politycznej na gminę Zielonki.

W chwili mojego przejścia do B.Ch. organizacja „Rocha" dokonała już pewnych zmian organizacyjnych. Chłostra została rozdzielona na Bataliony Chłopskie i Ludową Straż Bezpieczeństwa. Kierownictwo powiatowe „Rocha" składało się z czynnika politycznego, jaką była Powiatowa Trójka Polityczna pod kierownictwem Jana Gajocha, w skład niej wchodzili prócz Gajocha: Antoni Baranik z Mogiły, Wojciech Ziomek z Wadowa, Andrzej Bińczycki z Zielonek, Domoń z Przebieczan, Nazim ze Skawiny, Piętak z Rusocic i Walerian Naturski z Nawojowej Góry, komendantem powiatowym Ludowej Straży Bezpieczeństwa był Stanisław Marc a komendantem B.Ch Walenty Adamczyk.

Po objęciu dowództwa nad powierzonym mi terenem i po nawiązaniu kontaktów z ludźmi przekazanych mi przez Adamczyka, rozpocząłem jego organizację pod względem wojskowym. Kontakty moje z komendą obwodu A.K. urwały się prawie całkowicie. Równocześnie jednak szły rozmowy na temat scalenia oddziałów Batalionów Chłopskich z Armią Krajową, prowadzone przez kierownictwo polityczne i komendę B.Ch. Należało się spieszyć z organizacją, by przy ostatecznym scaleniu wykazać się już zorganizowanymi oddziałami. Jak się w trakcie tej pracy zorientowałem nie było na terenie tych trzech gmin poważniejszej organizacji, która by miała większe wpływy w terenie lub zorganizowane placówki.

Utrzymała się jedynie w rejonie Kocmyrzowa i sąsiednich wsi, jak Czulice, Głęboka, Kościelniki – placówka A.K. pod dowództwem Kordiana Wollena ps. „Boryna", syna właściciela majątku w Czulicach. Placówka ta po scaleniu została podporządkowana z rozkazu komendanta obwodu tutejszen\mu batalionowi, który otrzymał kryptonim „Pająk". Sam „Boryna" pod koniec okupacji deklarował się wobec mnie jako żołnierz B.Ch. Żołnierzami w tej placówce byli przeważnie okoliczni chłopi – ludowcy.

W okolicy Raciborowic istniała niewielka grupa pozostająca pod wpływem Tadeusza Rumiana. Ta po dłuższych rozmowach podporządkowała się komendzie B.Ch. O połączeniu się tej grupy zadecydowały więcej kontakty i znajomości osobiste niż ideowe. Przez ludzi z tej grupy miałem kontakty z sąsiednimi oddziałami A.K. z terenu powiatu miechowskiego.

W Mogile działała najpierw grupa pod kierownictwem Cystersa O. Teobalda Wojciechowskiego. Pozostawała ona w kontakcie ze Stronnictwem Pracy względnie z „Unią". Na skutek „wsypy" spowodowanej zbyt „harcerskimi" metodami prowadzonej pracy i wyjazdu O.Teobalda, grupa ta dostała się pod wpływy rodziny Lelitów (Józef, Franciszek i Włodzimierz) oraz Józefa Siemka (szwagier Lelitów), i pozostała przez pewien czas pod wpływami P.P.S. W końcu uformował się tam pluton B.Ch. pod dowództwem Józefa Marcinka.

Gromady Czyżyny i Łęg należące do 1941 roku do gminy Mogiła pozostawały pod wpływem politycznym „Rocha" i były tam Trójki polityczne, którymi kierowali Andrzej Malinowski w Czyżynach i Józef Socha w Łęgu. Pod względem wojskowym należały do miasta i działała tam A.K. Miałem tam kontakty z Ziębą (niebawem aresztowanym i zesłanym do obozu koncentracyjnego) oraz Góreckim i Bochenkiem, nie licząc Józefa Salwińskiego, który także politycznie związał się z „Rochem" choć pod względem wojskowym pozostał związany z A.K.

W Mistrzejowicach działali Eugeniusz Wścisło i Turzański, syn dzierżawcy dworu, i mieli powiązania z A.K. W Kantorowicach był Wysocki, ktory miał powiązania z K.B. W Krzesławicach był Józef Wójcik, który od przed wojny był związany z P.P.S., większej aktywności nie wykazywał. W Kocmyrzowie obok Wollena byli Sendek i jego

szwagier Dubiel, którzy byli związani z Partyłą ps. „Kosa", a przez to z A.K. Aresztowani przez Niemców – zginęli.

Większych jednak grup politycznych jak i wojskowych na całym terenie wchodzącym w skład batalionu „Pająk" nie było. Cały teren opanowany był przez Rocha. Analogicznie jak w powiecie tak w gminach jak i w gromadach działały trójki polityczne „Rocha" oraz komendy L.S.B.

Przewodniczącymi Trójek gminnych byli: w Mogile Antoni Baranik, w Ruszczy Wojciech Ziomek, w Zielonkach Andrzej Bińczycki. Trójki gromadzkie stanowili w Pleszowie: Jan Cygan, Jan Gębala, Wawrzyniec Sikora i Wincenty Gajoch, W Kujawach: Wincenty Kardas, Wojciech Dzieja i Antoni Malinka, w Mogile: Antoni Kasznik, Andrzej Majcher, Józef Kawula i Tadeusz Hybała, w Krzesławicach: Józef Jędrszczyk, Wojciech Waśko, Antoni Czernek, Antoni Walerian, w Bińczycach: Andrzej Biernacik, Andrzej Ciepiela, Stanisław Zięba i Jakub Pszczoła, w Luboczy: Piotr Raźny, Józef Pietruszka, Stanisław Jędras i Jan Partyła, w Grębałowie: Walenty Florkowski, Jan Cygan, Władysław Woźniak, w Łęgu: Józef Socha, Jakub Tyrka, Jakub Malik i Stanisław Kucharczyk, w Czyżynach: Andrzej Malinowski, Sosin i Czernek.

Z chwilą utworzenia odrębnych oddziałów wojskowych Batalionów Chłopskich, i przekazania mi komendy nad nimi na wymienionym terenie ludzie, którzy posiadali broń i byli już jakoś zorganizowani pozostali w L.S.B. tworząc oddziały specjalne podległe komendantowi powiatowemu L.S.B. na naszym terenie był oddział specjalny pod dowództwem Franciszka Gawła ps „Kotek" oraz Józefa Bębna ps. „Orkan". Zza Wisły od Wieliczki zachodził oddział Ludwika Sanoka ps. „Olek".

Mnie jako komendantowi B.Ch. pozostawiono ludzi względnie zawiązki oddziałów – lecz przeważnie bez broni. Grupa mi najbliższa z terenu gromad: Bieńczyce, Krzesławice i Mistrzejowice to byli oficerowie i podchorążowie rezerwy oraz uczniowie szkół średnich jak: ppor. Józef Walczak z Bieńczyc, ppor. Bolesław Raźny, podchorążowie artylerii: Władysław Cochenek z Krzesławic i Władysław Chwastek z Mistrzejowic, podoficerowie zawodowi: Nakielski z Dłubni i Piotr Kotyza z Bieńczyc, prawnik Antoni Bochenek z Krzesławic i Stanisław Turak z Mistrzejowic, było kilku podoficerów rezerwy jak: Stanisław Krawczyk, Józef Salwiński, Józef Ciepiela, Wojciech Krawczyk, Andrzej Ciepiela wszyscy z Bieńczyc i Andrzej Harnik z Krzesławic.

Była grupa młodych chłopców – przed wojną uczniów szkół średnich, którzy teraz uzupełniali naukę w kompletach tajnego nauczania jak: Eugeniusz Hajto, Józef Osiadły, Julian Osiadły, Jan Bochenek, Andrzej Świerczewski, Andrzej Łaszczyński, Edward Zybura, Stanisław Zybura, Antoni Turek, Antoni Cygan, Władysław Walerian, Władysław Krawczyk.

W oparciu o takich ludzi zacząłem nawiązywać kontakty z przekazanymi przez Adamczyka lidźmi już należącymi do B.Ch., ludźmi takimi jak: ppor. Rez. Józef Bętkowski z Luboczy, Antoni Radziszewski z Luboczy, Józef Perlik z Pleszowa, Józef Ruśniak z Wyciąż, Karol Koński z Mogiły, Jakub Kwater z Łuczanowic. Pod koniec 1943 roku uformował się ostatecznie skład batalionu.

Praca w Monopolu Tytoniowym

W listopadzie 1943 r. zacząłem zabiegać o pracę. Dojeżdżać do Krakowa było niewygodnie i niebezpiecznie, gdyż Niemcy często na stacji kolejowej na Grzegórzkach dokonywali łapanek, dlatego zgłosiłem się do Monopolu Tytoniowego w Czyżynach. Zakład ten pracował całą parą i przyjmował do pracy każdego kto się zgłaszał. W ten sposób stał się ten zakład azylem dla wielu osób, zwłaszcza inteligencji, która tam uzyskiwała pracę. Zgłosiłem się do personalnego p. Sali, przydzielono mnie na Wydział Fermentacji Tytoniu. Kilka tygodni pracowałem przy prasie, przy pomocy której pakowano fermentowany tytoń. Sprasowane bele tytoniu okrywało się jutowymi płachtami i obszywano sznurkiem. Tak zapakowane bele ważące po około 100 kg. Wywożono wózkami do magazynu. Praca była dość ciężka. Później awansowałem na dozorcę. Dyrektorem całego zakładu był austriacki Niemiec Schubert, ten rzadko się na terenie zakładu pokazywał. Postrachem całej załogi był inspektor uprawy volksdeutsch Lokocz, przebywał zwykle w terenie, ale w okresie wykupu tytoniu bywał w zakładzie. Po wojnie chodziły głosy, że Lokocz będąc w terenie stykał się i współpracował z partyzantką, a jego groźna postawa jaką przybierał w fabryce, miała kamuflować jego prawdziwe oblicze. Kierownikiem fermentacji był Kołomłocki, jego zastępcą był inż. Bagiński. W budynku fermentacji były duże hale, w których pracowano. W jednej z hal sortowano przywożony windą w wykupu tytoń, dokonywały tego wyłącznie kobiety. Wiązki czyli „papusze" tytoniu posortowane według wielkości liści układano na drewnianych „hordach" i mężczyźni odwozili je wózkami do komory fermentacyjnej, skąd po kilku dniach wybierano jeszcze gorący tytoń, który następnie wywożono do „belowni" do prasowania. Największe nasilenie pracy było w jesieni i zimą, kiedy plantatorzy odstawiali tytoń i na ten okres przyjmowano robotników i robotnice sezonowe.

Tajne nauczanie

(...) Jednym z ośrodków tajnego nauczania w powiecie krakowskim był ośrodek w Bieńczycach, kierowany przez Józefa Celińskiego – kierownika tutejszej szkoły, a pod koniec okupacji przez Wincentego Chomę. Czynnych tu było siedem kompletów tajnego nauczania na poziomie gimnazjalnym i licealnym. Nauka odbywała się w szkole po południu lub w domach prywatnych Osiadłego, Chomy i Kotyzy w Bieńczycach oraz Englisza w Mistrzejowicach.

Uczyli w tych kompletach: ks. Adam Biela, Józef Celiński, Wincenty Choma, Maria Dziedzic, Ignacy Jakubiec, Jan Kotyza, Maria Kotyza, Jan Rasak i Adam Tęcza.

W kompletach tych uczyli się w I-szym komplecie licealnym:

Jan Bochenek, Janina Ciepiela, Henryk Górecki, Eugeniusz Hajto i Andrzej Swierczewski.

W II-gim komplecie licealnym:

Józef Osiadły, Julian Osiadły, Mieczysław Ptak, Władysław Walerian.

W komplecie liceum pedagogicznego:

Zofia Ciepiela, Krystyna Kozłowska, Elżbieta Krawczyk, Anna Pilzneńska, Maria Trznadel, Aleksandra Swierczewska, Kazimierz Zamojski i Zofia Zybura.

W komplecie I-II klasy gimnazjalnej:

Jerzy Bednarski, Jan Cebula, Kazimierz Królikowski i Jan Pyczek.

W komplecie I-III klasy gimnazjalnej:

Danuta Celińska, Franciszek Ciepiela, Leszek Jakubowski, Henryk Krawczyk, Franciszek Pyrlik, Zenon Węgrzynowicz i Józef Zybura.

W komplecie I-szej klasy gimnazjalnej: Maria Bieroń, Władysław Bochenek, Ryszard Dudlej, Edward Englisz, Wanda Jędrszczyk, Aleksandra Kotyza, Helena Osiadły, Wiesław Pyczek, Władysława Raźny, Katarzyna Walerian, Zofia Waśko, Eugeniusz Wróbel.

W komplecie I-szej klasy gimnazjalnej: Zofia Ciepiela, Zofia Nawara, Maria Osiadły, Helena Paperz, Zbigniew Pyczek, Maria Śmigaj i Zofia Sobiech.

Wszyscy oni po wojnie kontynuowali naukę w szkołach średnich, a niektórzy z nich ukończyli studia wyższe.

Tuż po wojnie

Wyzwolenie wsi spod okupacji nastąpiło w piątek 18 stycznia 1945 r. W najbliższą niedzielę, kiedy na Mszy św. W naszej kaplicy zebrała się prawie cała wieś, a mszę odprawiał ks. Adam Biela, po raz pierwszy śpiewając hymn „Boże coś Polskę" wszyscy zebrani śpiewali głośno, z przejęciem, a nawet ze łzami w oczach refren: „Ojczyznę wolną pobłogosław Panie", a nie jak w czasie okupacji „...racz nam wrócić Panie".

Zaczynało się we wsi nowe życie, każdy to dobrze czuł. Byliśmy wolni, zniknął wraz z odejściem Niemców strach i obawa o życie własne i bliskich. Nie wiedzieliśmy jednak, jak ułoży się nasze dalsze życie... To, co wraz z przybyciem do nas Armii Czerwonej i nowej polskiej władzy, wszystkich niepokoiło, to były nowe stosunki polityczne, społeczne i gospodarcze.

W styczniu 1945 r. zarządzono rejestrację oficerów. Uczyniłem temu zadość, w wyniku czego 11 kwietnia zostałem powołany do Ludowego Wojska Polskiego. W sierpniu otrzymałem dwutygodniowy urlop. W Bieńczycach odbywały się przygotowania do pierwszych powojennych dożynek. Przygotowywała je młodzież, która przed wojną należała do KSMM i Ż Dożynki miały się jednak odbyć pod firmą „Wici" i PSL, gdyż co aktywniejsi czynni byli w czasie okupacji w Batalionach Chłopskich, Zielonym Krzyżu i Ludowym Związku Kobiet. Podobnie jak przed wojną był obrzęd dożynkowy, były tańce krakowskie i na koniec zabawa. Dożynki odbyły się 15 sierpnia, wypadły bardzo dobrze. Dnia 2 września odbyły się także w Bieńczycach dożynki powiatowe, także firmowane przez „Wici", PSL, i BCH. Na dożynki zjechała się młodzież z okolicznych wsi. Zebrał się dość duży z kilkudziesięciu młodych ludzi oddział BCH, który przedefilował przez wieś. Pewnego razu spotkał mnie komendant miejscowego posterunku Milicji Obywatelskiej Toboła i oświadczył mi, że miał zapytanie od władz wojskowych, gdzie się znajduję. Mogę tylko przypuszczać skąd było to zapytanie. W czasie mojego pobytu w wojsku aresztowano w okolicy, i nie tylko w okolicy szereg znaczniejszych działaczy Ruchu Ludowego i Batalionów Chłopskich, między innymi Jana Gajocha, przew. Trójki Powiatowej „Roch". Mogę podejrzewać, że tym razem mobilizacja do wojska uchroniła mnie przed przykrzejszymi następstwami i niechybnym aresztowaniem. W tym zresztą czasie został aresztowany

przez NKWD, wraz z wieloma innymi członkami „ROCH" brat Józek, który mieszkał w Korzennej w powiecie nowosądeckim. Wywieziony do Związku Radzieckiego zmarł w szpitalu więziennym w Samborze. To jeszcze więcej ugruntowało mnie w przekonaniu, ze tylko przez mój pobyt w wojsku nie dostałem się w ręce NKWD czy naszego Urzędu Bezpieczeństwa.

Wójtem w gminie mogilskiej, zgodnie z ustalonymi w czasie okupacji, w ruchu ludowym, założeniami, został przewodniczący gminnej Trójki „Rocha" – Antoni Baranik z Mogiły, sołtysem w Bieńczycach Andrzej Biernacik (Wielgus). Po wszystkich wsiach zaczęły się organizować w oparciu o konspiracyjne trójki polityczne Koła Polskiego Stronnictwa Ludowego. Zaczęły także powstawać inne ugrupowania polityczne, jak Polska Partia Socjalistyczna. P.P.R. nie miała w okolicy żadnego oparcia, z czasem zaczęli ujawniać się i napływać pojedynczy członkowie tej partii. We wsi powstał posterunek Milicji Obywatelskiej, złożony głównie z miejscowych chłopaków, żołnierzy Batalionów Chłopskich. Posterunek mieścił się we młynie w dawnej willi Lelity. Znikli wszyscy Volksdeutsche. (...) Młyn objął w posiadanie Związek Spółdzielni Spożywców „Społem". Kontynuowała swoją działalność handlową Spółdzielnia Spożywców „Bieńczycanka", ale istniały także dalej dwa sklepy prywatne Stanisława Ptaka i Heleny Rolek. Dwór jako własność Kurii Metropolitalnej, czyli dobra tzw. „Martwej ręki" nie podlegał na razie parcelacji, jak inne majątki w okolicznych wsiach, gdzie przeprowadzano parcelacje. Dwór dzierżawiła nadal Helena Cieślewicz. Po jej rezygnacji dwór przejął jako dzierżawca dawny rządca cysterskiego majątku w Mogile Kusiak, i gospodarował w nim do 1948 roku, kiedy to wszystkie majątki kościelne zostały upaństwowione. Dwór w Bieńczycach zaczął działać jako Państwowe Gospodarstwo Rolne (P.G.R.) i kierował nim dawny karbowy Ciszewski. Zaczęli także prowadzić sklepy mięsno-masarskie dwaj przedwojenni masarze Stanisław Krawczyk i Władysław Nawrocki. Powrócili z niewoli niemieckiej mieszkańcy Bieńczyc, którzy całą okupację spędzili w stalagach względnie na robotach u niemieckich bauerów jak Franciszek Krawczyk, Karol Żylski, Feliks Zamojski i inni. Nie wrócił natomiast nikt z osób, które zostały wywiezione do obozów koncentracyjnych. Mieszkający w czasie okupacji w Bieńczycach ks.Adam Biela wrócił do parafii w Raciborowicach. Ludzie przyzwyczaiwszy się do tego, ze przez całą okupację była odprawiana we dworku Msza św. W każdą niedzielę, a nawet w dnie powszednie, zabiegali o to, by w dalszym ciągu, choć w niedzielę była odprawiana Msza św. na miejscu. Poszedł w tym względzie na rękę mieszkańcom Bieńczyc, przybyły z obozu koncentracyjnego przeor OO.Cystersów z Mogiły O. Robert Kuchar i wydelegował w tym celu jednego z ojców, który co niedzielę przyjeżdżał do Bieńczyc. Przez kilka lat, aż do utworzenia w Bieńczycach parafii w 1952 roku, czynności duszpasterskie sprawował cysters O. Andrzej Kolasa.

We „dworku" mieszkały już teraz na stałe SS. Służebniczki Dębickie, które sprowadzono do Bieńczyc po odejściu Sióstr z Łagiewnik, opiekowały się kaplicą i prowadziły przedszkole. Szkoła podstawowa, która mimo ciężkich warunków nie przerwała nauki w czasie okupacji, po wojnie pracowała dalej. W gronie nauczycielskim nastąpiły pewne zmiany: odszedł Wincenty Choma (na kierownika szkoły do Mogiły), zaczęła uczyć Kotyzowa, Małek, Wolnik i in. Pozostały: Kęskowa, Dziedzic i Łowczowska. W Mogile w zabudowaniach klasztornych zaczęła działać filia krakowskiego gimnazjum kupieckiego (później Technikum Handlowego), powstała z inicjatywy Heleny Mierzwiny, a kierowana przez mgra Przygodzkiego, potem przez Wincentego Chomę. Do szkoły tej przez kilka lat jej istnienia chodziła prawie setka okolicznej młodzieży, a ta, która w czasie okupacji uczyła się w kompletach tajnego nauczania, kontynuowała naukę w szkołach średnich. Wiele młodzieży zaczynało studia na wyższych uczelniach w Krakowie. Dziewczęta i chłopcy związani w czasie okupacji z Batalionami Chłopskimi utworzyli Koło Młodzieży Wiejskiej „Wici", odżyły także Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, a w miejsce Stowarzyszenia Żeńskiego powstał Żywy Różaniec Dziewcząt. Organizacje te wzorując się na bogatej tradycji pracy młodzieżowej przed wojną, zaczęły organizować przedstawienia, zabawy, dożynki i inne imprezy we wsi. Również w oparciu o tradycje przedwojenne i organizowane w czasie okupacji rozgrywki sportowe, zwłaszcza piłki nożnej, powstał Klub Sportowy „Tęcza", rozwijający głównie drużynę piłki nożnej. Klub przystąpił do Zrzeszenia „Ludowe Zespoły Sportowe" i przez kilka lat rozwijał ożywioną działalność sportową korzystając z boiska sportowego wydzielonego z dworskich łąk nad rzeką Dłubnią. Bieńczyccy chłopi na parcelacji nic nie skorzystali, gdyż dwór został upaństwowiony i zamieniony na P.G.R. Chłopi gospodarzyli na swoich niewielkich kawałkach, ale dobrej ziemi, kontynuując uprawę zboża i warzyw. Uprawiali sady nie tylko zasadzone przed wojną, lecz także sadzili nowe. Wielu robotników dojeżdżało do pracy w Krakowie, coraz więcej młodzieży uczyło się w szkołach średnich i zawodowych.

Cała wieś otrząsnąwszy się z ciężkich przeżyć okupacyjnych brała się do pracy. Nie były to lata lekkie, odczuwało się brak wielu artykułów potrzebnych do gospodarstwa, odradzała się jednak wyniszczona przez okupanta hodowla inwentarza, niektórzy zaczęli budować nowe domy i zabudowania gospodarcze, kiedy na to wszystko przyszła wiadomość o budowie w naszej okolicy wielkiej huty, przyjęta najpierw z niedowierzaniem, a potem wręcz z wrogością.

Nowa Huta

W 1948 roku zaczęły krążyć po okolicznych wsiach wieści, że w najbliższym czasie, w naszej okolicy, gdzieś na polach Pleszowa, Mogiły ma powstać wielka fabryka, zakład przemysłowy, kombinat. Ludzie w to nie wierzyli, a poza tym mówiono, że to jakiś pomylony pomysł, by tu, na najlepszych, najurodzajniejszych ziemiach krakowskiego powiatu, budować fabrykę eliminując z uprawy te wspaniałe ziemie, sady owocowe, olbrzymie połacie upraw warzywnych.

Pogłoski te jednak uporczywie krążyły. Niebawem zaczęły przyjeżdżać różne grupy osób, chodziły po polach, geodeci zaczęli robić pomiary. Na kopcu Wandy zjawili się jacyś ludzie obserwujący wielką równinę obsianych i zagospodarowanych między Mogiłą, Pleszowem, Ruszczą, Wadowem i Luboczą pól. Zwoływano w gromadach zebrania chłopów, mówiono, że powstanie tu wielki kombinat metalurgiczny, który będzie produkował żelazo, stal i inne potrzebne krajowi wyroby przemysłowe. Ludzie w dalszym ciągu nie wierzyli, by tu na tych polach, które dawały chleb, gdzie rosła pszenica, żyto, buraki cukrowe, ziemniaki, gdzie uprawiano truskawki i tytoń, tu na tych ziemiach, miano budować wielki kombinat.

A jednak, latem 1949, na klasztornych polach w pobliżu mogilskiego cmentarza przystąpiono do koszenia zielonej jeszcze pszenicy. Tu miały powstać pierwsze budynki mieszkalne nowego miasta. Nie było wtedy koparek, spychaczy i innych maszyn budowlanych. Łopatami kopano głębokie wykopy pod fundamenty przyszłych bloków. Wspaniała podkrakowska ziemia po deszczu lepiła się do butów. Robotnicy w gumowych butach brodzili po błocie. Wozy , najpierw konne, a potem auta grzęzły w rozmokłej glinie, ale robota postępowała naprzód. W krótkim czasie wyrosły pierwsze domy, jeszcze niewysokie, tylko jedno i dwupiętrowe, w których zamieszkali robotnicy, powstały pierwsze hotele robotnicze. Po okolicy jeździły ekipy werbujące ludzi do pracy. Miejscowi chłopi, przywykli do pracy na roli, nie kwapili się do roboty przy budowie. Wiedzieli, że utracą swój, od setek lat uprawiany warsztat pracy, jaki stanowiło gospodarstwo rolne, niektórzy wręcz wrogo odnosili się do budowy. Napływali jednak ludzie z dalszych okolic, powiatów i województw. Na razie nie ruszano jeszcze samych zabudowań wsi, groziła jednak utrata pól, które dawały chleb i utrzymanie kilkunastu tysiącom ludności wiejskiej i chleb oraz warzywa miastu.

W następnym roku zaczęto mierzyć i wytyczać za kopcem Wandy miejsce pod budowę pierwszych obiektów kombinatu. Gospodarze posiadający konie zaczynali pracować przy wywózce ziemi. Nieźle zarabiali, niejeden mógłby za zarobione pieniądze wznieść nowe zabudowania gospodarcze czy dom, na to jednak nie zezwalano. Co więc mieli robić chłopi z zarobionymi pieniędzmi? Pili wódkę! Tracili zdrowie, a zarobione pieniądze szybko wracały do skarbu państwa. Podobnie zresztą robili robotnicy. Żeby przyspieszyć budowę ściągnięto w okolicę kilka brygad „Służby Polsce", młodzi chłopcy, głównie za wsi, zamieszkali w namiotach na polach Mogiły. Ubrani w drelichy, zachęcani różnymi konkursami i współzawodnictwem pracowali ciężko, zarabiali nieźle, szkolili się przy tym na murarzy, cieśli i też, jak inni robotnicy, pili. Wybuchały niejednokrotnie nieporozumienia i awantury, nawet bójki między miejscową młodzieżą a junakami SP. Tych ostatnich posądzono, że zniszczyli wizerunek Chrystusa na krzyżu stojącym opodal namiotów przy drodze wiodącej z Bieńczyc do Mogiły.

Jedyną drogą, prowadzącą z Krakowa do Cła i Kocmyrzowa, na której teraz wzmógł się ruch wszelkiego rodzaju pojazdów, zaczęto przebudowywać dając jej brukowaną nawierzchnię. Niewielkie na razie ilości robotników, głównie budowlanych przywożono z Krakowa istniejącym od dawna pociągiem, który kilka razy na dzień jeździł z Krakowa do Kocmyrzowa i do Mogiły oraz autobusami PKS. Do Luboczy zaczął kursować autobus miejski dowożący robotników do pierwszych , głównie ziemnych robót kombinatu. W Bieńczycach przystąpiono do uregulowania starego koryta Dłubni, przy którym pracowali przeważnie pracownicy umysłowi dorabiając po godzinach pracy w biurze. Łopatami kopano i taczkami wywożono ziemię z regulowanego koryta rzeki.

Pierwsze bloki mieszkalne powstały na polach klasztornych w Mogile. Przystąpiono do wywłaszczenia chłopów z ziemi, na której z dziada pradziada pracowali. Marne pieniądze, jakie płacono chłopom za to, nie pozostawały w żadnym stosunku do rzeczywistej wartości ziemi. Średnio płacono za mórg pola około tysiąca złotych. Wielu wywłaszczonych nie chciało brać tych pieniędzy, bo mórg pola na podmiejskich terenach przedstawiał w tym czasie wartość około stu tysięcy złotych, gdyż nie mówiąc o wspaniałej glebie, były to tereny budowlane. Nawiasem mówiąc, kiedy w latach trzydziestych wywłaszczano pola, głównie czyżyńskie pod budowę lotniska, rząd sanacyjny płacił za mórg pola siedemnaście tysięcy przedwojennych złotych. Teraz za wywłaszczony mórg pola otrzymywał chłop około tysiąca złotych w nowej, socjalistycznej walucie. Rzeczą zrozumiałą jest zatem, że wywłaszczony chłop patrzył na budowę miasta i kombinatu z nienawiścią.

W 1950 roku przystąpiono do budowy bloków mieszkalnych w najbliższym sąsiedztwie Bieńczyc i zaszła potrzeba wyburzenia stojących tam domów i zabudowań gospodarczych. I tak poszły „pod nóż", leżące przy drodze z Bieńczyc do Mogiły i torze kolejowym, zabudowania Stanisława Zięby, Franciszka Zięby, Franciszka Sawickiego,

Andrzeja Ciepieli, Jakuba Pszczoły, Bazińskiego i Wróbla. Mieszkańcom tych domów proponowano przeniesienie się do nowych bloków. Niektórzy z nich, żyjący z pracy zarobkowej przenieśli się, lecz chłopi, którzy mieli jeszcze nie wywłaszczone pola i żywy inwentarz, do bloków iść nie chcieli, bo ich ziemia stanowiła wciąż ich warsztat pracy. Hodowali krowy, konie, świnie, kury co dawało im utrzymanie, a zwierząt do bloków zabrać nie mogli. Tym kilku gospodarzom przydzielono mieszkania w zabudowaniach dworskich. Bardzo drastyczny był wypadek z rodziną Bazińskich, którą siłą przy użyciu milicji i junaków SP wysiedlono z jej domu do bloków.

W nowych blokach powstałych w pobliżu wsi zamieszkali robotnicy wraz z rodzinami. Zanim na osiedlu zbudowano szkołę, ich dzieci chodziły do szkoły w Bieńczycach. Szkoła zbudowana kiedyś dla potrzeb Bieńczyc oraz sąsiednich Mistrzejowic i Dłubni, licząca w normalnych warunkach około dwustu dzieci, obecnie musiała przyjąć ich trzykrotnie więcej. Powiększono liczbę nauczycieli, a nauka odbywała się na trzy zmiany. W następnych latach powstały w pobliżu dwie nowe szkoły podstawowe i liceum, które wkrótce także miały problemy z przyjęciem wszystkich nowych uczniów. Działający w pierwszych latach po wojnie Zarząd Gminy w Mogile, mieszczący się w starej szkole, na skrzyżowaniu szosy igołomskiej i ulicy Klasztornej, został przeniesiony do jednego z nowych bloków na os. Na Skarpie. Początkowo Nowa Huta miała być osobnym miastem, tak w każdym razie głosił napis na transparencie rozpiętym nad drogą wiodącą z Krakowa, koło stacji kolejowej w Czyżynach. W następnych latach utworzono z Nowej Huty dzielnicę Krakowa, a rządy objęła Dzielnicowa Rada Narodowa. Na wzór miejski, dawni sołtysi w gromadach stali się „blokowymi" na etacie DRN.

Rosło nie tylko miasto ale i kombinat. Powstał pierwszy wielki piec, uroczyście dokonano pierwszego spustu surówki. Uruchomiono stałą komunikację autobusową, zbudowano nową linię kolejową ze stacji w Batowicach do Nowej Huty, którą później przez Ruszczę połączono przez most na Wiśle z Podłężem. Wszystkie pola Mogiły, Czyżyn i Bieńczyc, leżące w trójkącie dróg z Czyżyn do Mogiły i z Czyżyn do Bieńczyc zostały wywłaszczone. Na tej pięknej równinie, pokrytej sadami, których widok, zwłaszcza na wiosnę, gdy drzewa okryły się białym kwiatem, radował oko, powstał jeden olbrzymi plac budowy.

Bieńczyckie łąki leżące nad rzeką Dłubnią, między Krzesławicami a Mistrzejowicami, zaczęto zabudowywać różnymi magazynami i składami, doprowadzono tam bocznicę kolejową, powstała wielka zajezdnia autobusów MPK, a tuż koło rzeki założono ogródki działkowe. Przy samej rzece istniały ciągle skrawki pól chłopskich, które też chciano wywłaszczyć, lecz chłopi z widłami i kosami stanęli w ich obronie, i na razie je zatrzymali.

Kiedy od Czyżyn do Bieńczyc poszerzano drogę budując jej drugą jezdnię, uległy zburzeniu piękne domy Norberta Rojka wraz z kuźnią, Jana Ciepieli – dom i zabudowania gospodarcze, Władysława Ptaka – największe piękne murowane domy i pozostałe zabudowania, oraz przepadły całe gospodarstwa Mikołaja Nawrockiego, Jakuba Ordy, Karola Hajty, a także Bieli i dom gromadzki. Ostały się w tym miejscu piekarnia Władysława Motyki i dawny budynek „Sokoła". We wsi w dalszym ciągu nie pozwalano budować nowych domów, w wyniku tego powstało kilka właściwie całkiem nowych domów jak Piotra Zybury, Jana Bieronia, Jana Krawczyka, Józefa Witka, Pawła Zamojskiego, Franciszka Salwińskiego, Władysława Bochenka oraz na Budzyniu Franciszka Salwińskiego, Piotra Nawrockiego, Józefa Ciepieli, Kozika i Popiołka.

W następnych latach zlikwodowano tor kolejowy od Krakowa do Grębałowa, a wybudowano nową linię tramwajową, najpierw z Krakowa do kombinatu, a potem wzdłuż ulicy Kocmyrzowskiej przez Bieńczyce na Wzgórza Krzesławickie. Nowe miasto – jak głosiła prasa i inne środki masowego przekazu – miało być miastem socjalistycznym, nie miało być w nim miejsca na kościoły i kaplice. Jedynym istniejącym obiektem sakralnym na terenie rosnącej ciągle dzielnicy był położony na jej skraju klasztor i kościół OO. Cystersów w Mogile, który zapełniał się tłumami wiernych. Wybudowany w Czyżynach w latach trzydziestych kościół początkowo nie pełnił tak wielkiej roli, gdyż w pobliżu Czyżyn nie budowano nowych bloków, lecz i tam Kuria Biskupia powołała do życia nową parafię. Na trzecim wierzchołku trójkąta, w obrębie którego miało powstać pierwotnie miasto, była kaplica w Bieńczycach. Poszerzona w czasie okupacji, zaczęła teraz gromadzić tysiące wiernych. I tu w roku 1952 arcybiskup E. Baziak powołał do życia nową parafię. Po październiku 1956 r. powstał Komitet Budowy Kościoła, odbył się konkurs na jego budowę, uzyskano lokalizację i plac pod budowę kościoła na os. Teatralnym, koło teatru i rozpoczęto budowę. Zaostrzające się jednak stosunki polityczne w latach następnych budowę przerwały, a walka o krzyż postawiony na tym miejscu, wywołała w kwietniu 1960 r. rozruchy w mieście, czego następstwem było m. in. usunięcie z parafii bieńczyckiej ks. proboszcza Mieczysława Satory. Dopiero w 1965 r., po wyrażeniu zgody przez władze państwowe na obsadzenie stanowiska proboszcza, nowy proboszcz, ks. Józef Gorzelany, przystąpił do budowy nowego kościoła, ale na innym, niż poprzednio zamierzano, miejscu. W latach 60., po zabudowaniu terenu przewidzianego pod miejską zabudowę, przystąpiono do budowy bloków mieszkalnych po zachodniej stronie szosy kocmyrzowskiej, na polach Bieńczyc, Czyżyn i Mistrzejowic. Powstało tam kilka nowych osiedli. Władze

miejskie, po zmianie na stanowisku proboszcza parafii w Bieńczycach, były skłonne wyrazić zgodę na budowę kościoła lecz robiły trudności z jego lokalizacją. Wobec rozbudowujących się nowych osiedli miejsce, na którym stała kaplica, okazało się dogodnym na budowę kościoła i tam po kilku latach stanął nowy, pierwszy w socjalistycznym mieście kościół, który w 1975 roku został poświęcony przez ks. kardynała Karola Wojtyłę. Dla zaopatrzenia miasta w wodę pobudowano w Nowej Hucie wodociągi. Początkowo czerpano wodę ze studzien głębinowych w okolicy kopca Wandy i koło fortu batowickiego, potem przeprowadzono rurociąg od rzeki Dłubni w Raciborowicach i koło fortu krzesławickiego zbudowano zbiorniki i oczyszczalnię wody. Zbudowanie jednak studzien głębinowych wpłynęło na obniżenie poziomu wód gruntowych i wszystkie istniejące w okolicznych wsiach (łącznie z Bieńczycami) studnie zostały pozbawione wody. Potem dla zaopatrzenia tych wsi w wodę pitną, doprowadzono wodociągi do wszystkich wsi w obrębie dzielnicy. Przeprowadzono także rurociąg gazowy i niektóre domy korzystają z gazu. Światło elektryczne Bieńczyce własnym kosztem doprowadziły do wsi jeszcze w czasie okupacji, potem podłączone zostały do ogólnej sieci miejskiej. W latach 70. wyburzono na zakręcie ul. A. Polewki kilkanaście domów mieszkalnych wraz zabudowaniami gospodarczymi, i na tym miejscu postawiono kilkanaście długich, czteropiętrowych bloków mieszkalnych. W ten sposób znikły znów z powierzchni ziemi domy: Wojciecha Halika, Stanisława Krawczyka (Turbasy), Stanisława Pyczka, Piotra Ciepieli, Pawła Zamojskiego, Wojciecha Biernacika, Katarzyny Biernacikowej, Jakuba Salwińskiego, Zwierzyńskiego, Franciszka Salwińskiego, Grzegorza Krawczyka, Stanisława Ciepieli, Pawła Krupy, Żylskiego, Józefa Ciepieli i Pyrlika. W tej okolicy na tzw. Glinikach jeszcze wcześniej wyburzono domy Szabelskiego, Malika i Biernacika, a na ich miejscu oraz na terenach ogrodów położonych po zachodniej stronie ul. A. Polewki powstały bloki mieszkalne, w których mieszczą się także hotele robotnicze, wielka stołówka i Zakładowy Dom Kultury „Budostalu". Na Zagościńcu w pobliżu nowego kościoła wyburzono domy Andrzeja Ciepieli, Antoniego Kaszowskiego, Pyczkowej, Mleczkowej i Fudały. Na tym terenie stoją częściowo budynki Technikum Gastronomicznego i plac sportowy. (...) Leżące między uregulowanym starym korytem Dłubni, a dawnym gościńcem do Krzesławic domy Jana Kotyzy, Bochenkowej i Jana Włodka w związku z regulacją rzeki też zostały wyburzone. W ten sposób na istniejących we wsi około 200 domów znikło bezpowrotnie kilkadziesiąt, a byt pozostałych jest ciągle niepewny, gdyż władze nie odkrywają do końca swych planów. Jeśli chodzi o pola uprawne, to poza niewielkimi skrawkami nad rzeką i w bezpośrednim sąsiedztwie zabudowań wszystkie zostały wywłaszczone. W całej wsi jest jednak kilku gospodarzy, którzy hodują kilkanaście krów i koni, którymi pracują zarobkowo lub uprawiają kawałki pola dzierżawione w sąsiednich wsiach. Kiedyś w początkach budowy Nowej Huty kilku mieszkańców, którym poburzono domy, otrzymało parcele budowlane na polach dworskich w Grębałowie, gdzie się pobudowali, należeli do nich Józef Krawczyk, Stefański i Jan Pazdalski. Na wolnych terenach i ogrodach chłopskich oraz na ogrodzie dworskim zostały wyznaczone 400 m² działki budowlane, która Rada Dzielnicowa po wywłaszczeniu ich właścicieli przydzieliła w wieczystą dzierżawę za wysoką opłatą (200 zł za 1 m²), głównie mieszkańcom Bieńczyc. Obecnie – i trzeba to stwierdzić – trzy czwarte istniejących osiedli dzielnicy jest zbudowana na polach wsi Bieńczyce. Jest to wieś, która złożyła na rzecz Nowej Huty największą ofiarę. Piszę świadomie ofiarę, gdyż odszkodowanie za wywłaszczone pola, których obszar wynosił ponad trzysta hektarów i zabudowania, nie pozostawało w żadnym stosunku do ich faktycznej wartości. Starzy ludzie, którzy od samego początku odnosili się do budowy miasta i kombinatu niechętnie, wymierają, młodzi dawnych czasów nie pamiętają, odchodzą ze wsi do pracy tak w kombinacie jak i do Krakowa. Tylko dla niektórych starczy nowo wydzielonych działek budowlanych, więc z konieczności choć niechętnie opuszczają swoją rodzinną wieś. Wiele młodzieży, już wykształconej po wojnie rozjechało się po całej Polsce.

Jan Kotyza

W niniejszym tekście znalazły się liczne skróty i opuszczenia w stosunku do oryginału (dop. red.)

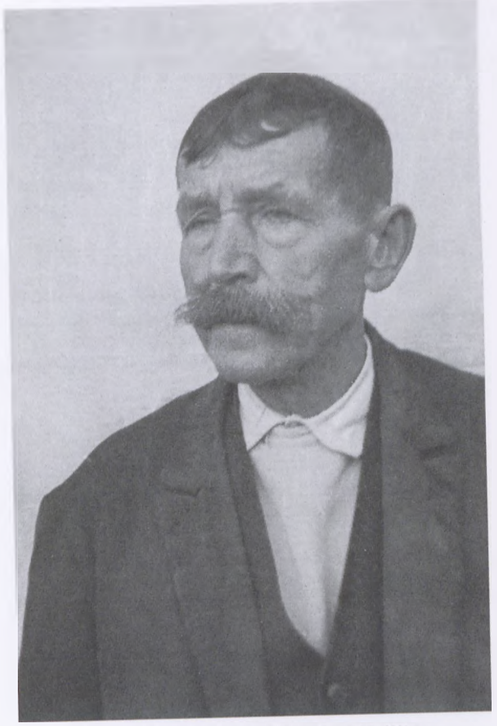


Katarzyna Kotyzowa z domu Wach, 1916 r.





Jan Kotyza, ok. 1935 r.



Kacper Kotyza, fot. Jan Kotysa, lata 30. XX w.



Zjazd Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej i Żeńskiej w Bieńczycach. Z mównicy przed „Dworkiem" – siedzibą Stowarzyszenia w Bieńczycach, przemawia Jan Kotyza, a policjant notuje (na zdjęciu poniżej), 1935 r.









Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej i Żeńskiej w Bieńczycach, około 1935 r.







Młodzież z Bieńczyc biorąca udział w sypaniu kopca Józefa Piłsudskiego na Sowińcu, 1936-1937 r.



Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej w Bieńczycach, początek lat 30. XX w.



Grono nauczycielskie z kierownikiem szkoły w Bieńczycach – Józefem Celińskim (w pierwszym rzędzie, czwarty od prawej) i uczniami, 1938-1939 r.



Maria Halikówna (potem Kotyza) z uczniami przed szkołą w Bieńczycach, 1938-1939 r.



Klub Sportowy „Tęcza" w Bieńczycach, sportowcy i działacze, lata okupacji niemieckiej



Chłopaki z Bieńczyc na jazie na Dłubni – ulubionym miejscu zabaw i spotkań młodzieży, lata 30. XX w.



Mieszkańcy Bieńczyc w oczekiwaniu na orszak weselny Jana Pyczka i Marii z domu Pyrlik „Fornalczyk", lata 30., fot. Jan Kotyza





Dożynki w Bieńczycach, 1928 r. Jako starostowie za stołem siedzą: Jan Ciepiela i pani Biernacik



Dożynki w Bieńczycach , sierpień 1939 r. Ostatnie zdjęcie przed tragiczną śmiercią Kazimierza Cieślewicza wójta Gminy Mogiła (siedzi pierwszy z lewej), w głębi stoi Jan Kotyza.



Dożynki w Bieńczycach, 1946-1947 r.





Chór męski z Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej z Bieńczyc podczas występów w Krakowie, w pierwszym rzędzie w środku stoi właściciel młyna wodno-parowego w Bieńczycach – Władysław Lelito, około 1934 r.



KSMM z Bieńczyc z szopką, lata 30. XX w.



Franciszek Ptak z Bieńczyc

Z żałobnej karty:

„We wsi podkrakowskiej w Bieńczycach zmarł wczoraj po długiej chorobie działacz ruchu ludowego, b. poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego Franciszek Ptak w 77 roku życia. Ś.p. Franciszek Ptak był w latach przedwojennych znaną postacią na terenie obecnego województwa krakowskiego.

Jako syn chłopski, samouk, garnął się do świata, czytając wiele. Równocześnie związał się z ruchem ludowym, który na ówczesnym terenie Galicji wzmagał się z dnia na dzień. Jako syn chłopski przystąpił ś.p. Ptak do Stronnictwa Ludowego, które naówczas po ś.p. ks. Stojałowskim reprezentował Jan Stapiński, b. Prezes Koła Polskiego w parlamencie austriackim. Ś.p. Franciszek Ptak pracował przy jego boku, jako niezwykła indywidualność, był w 1908 r. wybrany na posła do sejmu galicyjskiego. W r. 1924 przystąpił ś.p. Ptak do P.S.L. »Piast«. W r. 1908 wraz ze ś.p. Wł. Bogackim byli organizatorami słynnego » Wesela krakowskiego«, które defilowało przed cesarzem Franciszkiem Józefem I-szym w Wiedniu, na którym jedna z jego córek Zosia (obecnie wdowa po ś.p. Norku) wraz ze znanym artystą malarzem prof. Uziembło tworzyli »parę młodych«, znakomity zaś artysta malarz prof. Wojciech Kossak był starostą. To »wesele krakowskie« wywołało wówczas w Wiedniu niezwykły entuzjazm. Niewątpliwie przepiękne stroje krakowskie na ówczesnym monarsze i jego świcie musiało wywrzeć niezwykłe wrażenie. Echo tego »Wesela« odbiło się szeroko po całym kraju, o czym wspomina w swych pamiętnikach Wojciech Kossak.

O ś.p. Ptaku, który był pięknym typem chłopa polskiego wspomina też w »Weselu« Wyspiański w rozmowie poety z Czepcem.

Pogrzeb ś.p. Franciszka Ptaka, odbędzie się w sobotę o godzinie 8-mej rano w Bieńczycach, skąd zwłoki przewiezione zostaną do Raciborowic, gdzie spoczną na miejscowym cmentarzu." (Stw.)

Wspomnienie pośmiertne o Franciszku Ptaku zostało zamieszczone w prasie krakowskiej 30.07.1936 roku.

Informacje dodatkowe o Franciszku Ptaku z Bieńczyc

Urodził się w 30 VIII 1859 r. w rodzinie chłopskiej, był synem Antoniego i Salomei z Włodków. Był żonaty od r. 1886 z Marcjanną z domu Szafrańską (7 I 1864-4 VIII 1947), z którą miał 5 synów i 7 córek. Zmarł 29 VII 1936 r.

Przyjaźnił się z wieloma artystami. Zażyłe stosunki łączyły go z Włodzimierzem Tetmajerem (zachowały się listy). W jego domu bywali obok Tetmajera – Stanisław Wyspiański, Lucjan Rydel, Józef Krasnowolski, Henryk Uziębło, Wojciech Kossak i in. Pisze o tym w swoich wspomnieniach p. Lucyna Kotarbińska, znana aktorka, żona dyrektora teatru Józefa Kotarbińskiego.

Był współpracownikiem czasopism „Wieniec" i „Pszczółka" o problematyce wiejskiej. Jego gospodarstwo uchodziło za wzorowe w okręgu. Propagował najnowsze osiągnięcia w uprawie roli i hodowli.

Przyczynił się walnie do budowy dużej, jak na owe czasy, murowanej szkoły w Bieńczycach – pierwszej tego rodzaju w powiecie.

Wraz z Wincentym Witosem wspomagał budowę Szpitala Bonifratrów w Krakowie, został wpisany na listę dobroczyńców Zakonu Bonifratrów.

Przyczynił się w dużej mierze do budowy domu parafialnego w Raciborowicach, przy historycznym kościele Jana Długosza.

Szkic portretowy F. Ptaka z B. Czepcem pędzla W. Tetmajera znajduje się w Muzeum Teatralnym w Krakowie.

W 1900 r. był kandydatem do austriackiej Rady Państwa, lecz nie został wybrany. Echo walki wyborczej Ptaka znajduje odbicie w „Weselu" Stanisława Wyspiańskiego, akt 1, scena 25:

Gospodarz
Toście Ptaka wybierali?
Czepiec
A kiedy ptak, niechta leci.
Poeta
Macie ta skrzydlate ptaki?
Czepiec
Ptok ptakowi nie jednaki,
człek człekowi nie dorówna,
dusa dusy zajrzy w oczy,
nie polezie orzeł w gówna
pon jest taki, a ja taki;
jakby przyszło co do czego,
wisz pon, to my tu gotowi,
my som swoi, my som zdrowi.

Portrety Franciszka i Marcjanny (żony) Ptaków pędzla J. Krasnopolskiego zostały przez syna Władysława Ptaka przekazane w depozyt do Izby Regionalnej Ośrodka Kultury ówczesnego Kombinatu HiL w roku 1973. Obecnie znajdują się w Dworku Matejki w Krzesławicach.

Zachowało się po nim kilka pamiątek, między innymi szeroki skórzany pas, bogato zdobiony i nabijany mosiężnymi ćwiekami

Prof. Wiesław Ptak

Fragment przemówienia Franciszka Ptaka z 1908 roku ku czci Władysława Anczyca, w 25 rocznicę śmierci poety:

Bracia! Rodacy!

Zebraliśmy się dzisiaj tutaj – w tej naszej narodowej świątyni, w której przemawiają do naszych serc i umysłów poeci i pisarze nasi, zebraliśmy się całą gromadą aby oddać hołd i cześć temu, który dla nas, dla polskiego ludu napisał w natchnieniu „Kościuszkę pod Racławicami".

Władysław Anczyc, którego dzisiaj czcimy – napisał wiele prześlicznych rzeczy, ale przecież żadna jego sztuka nie przemawia tak do serca polskiego, co „Kościuszko pod Racławicami".

I gdyby Anczyc nic więcej po sobie nie zostawił, tylko „Kościuszkę", to jużby zdobył wśród polskiego ludu nieśmiertelne imię.

Nikt tak serdecznie nam nie odmalował, nikt tak gorąco nie przedstawił nam naszego wodza, naszego hetmana jak Anczyc.

To też za tego „Kościuszkę" hołd i cześć głęboką składamy pamięci Władysława Anczyca.

A także za to, że nas uczył, jak żyć, jak pracować i jak kochać Ojczyznę składamy hołd pamięci Anczyca za to, że tak gorąco ukochał lud rolny roboczy, który jest podwaliną narodu, który broni i żywi, który jest fundamentem państwa i który jedynie, stanąwszy milionowym zastępem – odzyska niepodległy byt, utracony przez wodzów narodu. (...)

Przemówienie sejmowe Franciszka Ptaka, pochodzące z okresu pomiędzy 1908 r. a 1913 r., kiedy był posłem do galicyjskiego Sejmu Krajowego

Wysoki Sejmie!

Według przedłożonego nam budżetu już od szeregu lat dajemy co roku na szkolnictwo prawie połowę całego budżetu. Opierając odrodzenie naszego narodu na oświacie i szkołach – te cyfry w budżecie są i usprawiedliwione i pochwały godne.

Zabierając głos w tej sprawie jako poseł włościański – muszę z jednej strony zaznaczyć, że lud polski uświadomiony gotów jest do nawet jeszcze większych ofiar na szkoły. Z drugiej jednak strony muszę imieniem ludu podnieść i to z całym naciskiem, że obecna szkoła ludowa, system wychowania, system prowadzenia oświaty szkolnej nas nie zadowala – i niem byłem w tem przykrem położeniu, że musiałem powiedzieć: szkoda tych pieniędzy, które na szkoły łożymy. Mówiąc o systemie mam na myśli ducha, jaki panuje w naszych szkołach. Te szkoły nasze są wszystkiem innem, tylko nie są szkołami polskimi. Wprawdzie tam mówi się do dziatwy po polsku, ale tam brak polskiego ducha i polskiej myśli. Nasze szkoły nie są szkołami narodowemi. Idźcie panowie na wieś do do szkoły i posłuchajcie czego tam uczą – o wszystkiem się mówi: o Chinach i o biegunie północnym, o rzekach i górach w Australii, Azji – ale bardzo mało się mówi o tem, co nam najdroższe, o naszych miastach i górach, o naszych rzekach, o naszej przeszłości.

Bo jakkolwiek dużo w tej przeszłości działo się złego, to jednak są tam karty złote dziejów naszych i o wszystkiem zapominać i milczeć nie wolno.

Gdyby kto obcy wszedł do szkoły i nie słyszał języka wykładowego, to by nie wiedział jaka to szkoła, nikt by się nie domyślił, że to szkoła polska. Na ścianach wiszą mapy Chin, Azyi, Anglii, jest i Mandżuria, tylko nie ma tej mapy na którą dziecko ciągle patrzeć powinno – nie ma mapy polskiej, wyrzucili ją razem z historią Chociszewskiego – dotąd mapy Polski do naszych polskich szkół nie wróciły. Z historyi polskiej uczy się dzieci najdalej do Sobieskiego, o naszych walkach o wolność, o naszych wrogach, o prześladowaniu, o rozbiorach, o męczeństwie narodu mówić w szkole nie wolno. I na takie szkoły mamy łożyć dziesiątki milionów grosza z kieszeni ludu? Ja sam byłem świadkiem na egzaminie w Raciborowicach pod Krakowem, gdzie gdym zapytał chłopaka czy wie co to była Konstytucja 3 Maja, to delegat Rady Szkolnej mi przerwał wołając: – „To nie należy do szkoły, tego pytać nie wolno!" Tak panowie, to są fakta nie odosobnione, to jest system, który pokutuje w Radzie Szkolnej – to tendencya! Przecież znane są wypadki, że przeniesiono nauczyciela w drodze służbowej na inne posady, za to, że nauczał dzieci śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła"!

I czy panowie będziecie się dziwić ludowi że on takich szkół nie chce, i że na takie szkoły szkoda pieniędzy. Nauczyciel choćby chciał być apostołem polskości, to mu nie wolno, bo go zaraz prześladują i dokuczają. I dawniej byli nauczyciele pełni zapału i patryotyzmu, ale dzisiaj już ich coraz mniej bo ich zgnębił system ludzi złej woli. Kierunek wychowania naszej dziatwy jest nienarodowy – jest żaden, ale i co do samej nauki, to wiele o tem można by mówić. Nasze dzieci coraz mniej ze szkoły korzystają. Niestety 90 procent dzieci opuszczając szkołę po 4 lub 6 latach nauki nie umie ani porządnie czytać ani uczciwie pisać. A przecież łożąc tyle pieniędzy na szkoły musimy i mamy prawo się domagać, aby nasze dzieci były wychowane w duchu narodowym, aby dziecko wiedziało, że jest Polakiem lub Polką, aby znało swoje dzieje, aby umiało śpiewać pieśni polskie. A drugie: musimy się domagać, aby dziecko po kilku latach nauki umiało dobrze czytać po polsku i bez błędu pisać po polsku, i choć tyle rachować aby je pierwszy lepszy łotr nie potrafił okpić i oszukać – to nasze skromne wymagania od których nie odstąpimy. Według ostatniego sprawozdania Rady Szkolnej Krajowej mamy jeszcze w kraju 625 gmin bez szkół. Cyfra ta jest znacznie wyższa, bo nie wliczono tutaj gmin mniejszych, przysiółków, które mają prawo do własnej szkoły. Faktycznie gmin bez szkół mamy przeszło 1500, a gdy do tego dodamy gminy, gdzie są szkoły ale nieczynne, to mamy w kraju około 2000 wsi gdzie się dziatwa nic nie uczy i rośnie jak jaki dziki chwast, na szkodę ludzkości, dla sądów karnych i kryminałów! Gdy weźmiemy pod uwagę cyfrę blisko 4 miliony analfabetów w kraju. Około 700.000 dzieci, które z braku szkół wcale się nie uczą to pod względem oświaty szkolnej jesteśmy jeszcze ciągle nędzarzami. I dlatego imieniem ludu, który tyle łoży na szkoły – z całym naciskiem domagam się, aby tam gdzie już jest szkoła i nauka – aby tam wychowanie było polskie i narodowe, a następnie aby nauka była widoczną. Inaczej szkoda tych miljonów, które co roku na szkołę dajemy.

Franciszek Ptak z Bieńczyc



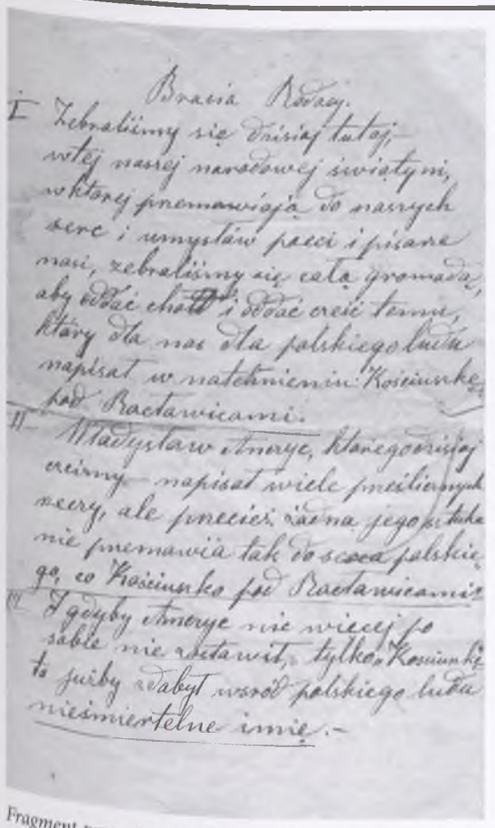
Marcjanna i Franciszek Ptakowie z Bieńczyc w otoczeniu rodziny, ok. 1917 r. Siedzą od lewej: córka Zofia Norkowa, Marcjanna, Franciszek, Wiktoria Jędrszczykowa (siostra Franciszka) i syn Wojciech. Stoją: córka Salomea, córka Maria (później Zawadowa), syn Władysław, córka Stefania (później Bieroniowa), syn Stanisław. Dziewczynki to córki Franciszki (z Ptaków) Halikowej – Zofia i Janina.



Franciszek Ptak, lata 20. XX w.

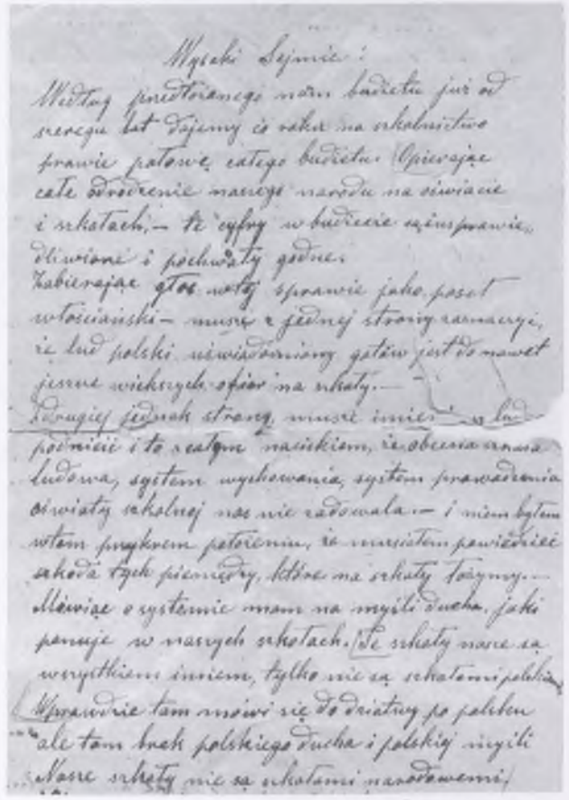


Dom Franciszka Ptaka z 1905 r., wyburzony w 1952 r.



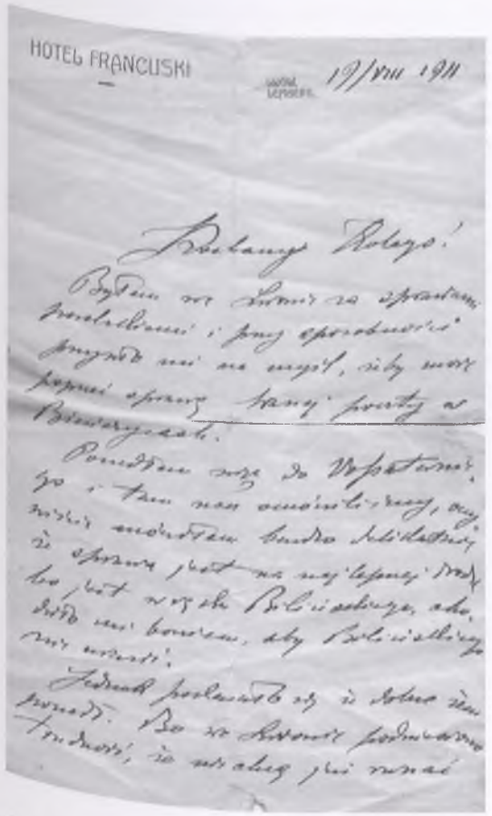
Braia Rodacy.
I Zebraliśmy się dzisiaj tutaj,
wśród naszej narodowej świątyni,
w której przemawiają do naszych
serc i umysłów pieśni i piśmie
nasi, zebraliśmy się cała gromada,
aby oddać cheoć i oddać cześć temu,
który dla nas dla polskiego ludu
napisał w natchnieniu: Kościuszkę
pod Racławicami.
II Władysław i tmarye, Konegonidaj
cześć — napisać wiele pięknych
pieśni, ale ponieważ żadna jego pieśń
nie przemawia tak do serca polskie-
go, co Kościuszko pod Racławicami
I gdyby tmarye nie więcej po
sobie nie zostawił, tylko Kościuszkę
to juiby zdobył wśród polskiego ludu
nieśmiertelne imię.-

Fragment przemówienia Franciszka Ptaka z 1908 roku ku czci Władysława Anczyca, w 25. rocznicę śmierci poety



Wysoki Sejmie!
Według przedłożonego nam budżetu już od
szeregu lat dajemy co roku na szkolnictwo
prawie połowę całego budżetu. Opierając
całe odrodzenie naszego narodu na oświacie
i szkołach — te cyfry w budżecie nie zupełnie
dziwione i pochwały godne.
Zabierając głos w tej sprawie jako poseł
włościański — muszę z jednej strony zaznaczyć,
że lud polski niewidomiony gotów jest do nawet
jeszcze większych ofiar na szkoły. —
Drugiej jednak strony, muszę zaznaczyć, że lu-
dność i to w całym państwie, że obecna nasza
ludowa, system wychowania, system prowadzenia
oświaty szkolnej nas nie zadowala — i niem bytem
wstrem przykrem potrzebnym, że musiałem powiedzieć
słów tych parę, które na szkoły tutaj mamy. —
Mówiąc o systemie mam na myśli ducha, jaki
panuje w naszych szkołach. Te szkoły nasze są
wszystkiem innem, tylko nie są szkołami polskimi.
Wprawdzie tam uczy się po polsku
ale tam brak polskiego ducha i polskiej myśli
Nasze szkoły nie są szkołami narodowemi,

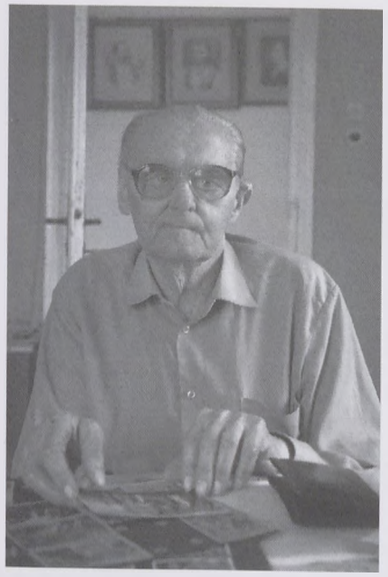
Fragment przemówienia sejmowego Franciszka Ptaka, pochodzącego z okresu pomiędzy 1908 r. a 1913 r., kiedy był posłem do galicyjskiego Sejmu Krajowego we Lwowie.



HOTEL FRANCUSKI 19/VIII 1911

Kochany Kolego!
Będąc we Lwowie na sprawach
prywatnych i mamy sprzedażowych
przyszło mi na myśl, aby może
pojmie sprawę stany[?] pomiędzy a
Bieńczycami.
Pomiędzy nas do Wspomnienia,
że i tam nam ewidencyjnego, aby
wreszcie uchwalono budżet szkolny
że sprawa ta na najlepszej[?] by
ten list w tej Radzie uczyć, abo-
dziś nie bowiem, aby Radzie
nam wiedzieć.
Jednak pozdrawiam się że kolano
pomnożę. Bo w Wiedniu podwarsza
trudności, że wiadomość pani mamie

List Władysława Tetmajera do Franciszka Ptaka z 19 sierpnia 1911 r.



Wspomnienia Andrzeja Ptaka

Dziadek

Franciszek Ptak, dziadek mój dom wybudował w 1902 r. i otworzył na parterze karczmę. Od 1904 do 1910 roku był z ramienia Rady Powiatowej członkiem Rady Szkolnej Okręgowej w Krakowie i w tym okresie założył w Bieńczycach Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół" (Polski Słownik Biograficzny), i oddał na I piętrze salę do ćwiczeń. Budował Szpital Bonifratrów współpracując z Wincentym Witosem, a zakonnicy okazywali mu wdzięczność, bo gdy był chory przez trzy miesiące, to opiekowali się nim w domu – w dzień i w nocy, został zapisany jako dobroczyńca Zakonu Bonifratrów. Współuczestniczył w budowie szkoły w Bieńczycach i domu parafialnego w Raciborowicach. Mój ojciec opowiadał, że wykorzystując dwie pary koni przez dwa tygodnie dostarczył całą cegłę na ten dom. Od proboszcza Dziatkowiaka dostał zgodę i lokalizację na wybudowanie grobowca rodzinnego na cmentarzu. Proboszcz Dziatkowiak wpisał w księdze parafialnej, że z wdzięczności za pomoc przy budowie domu parafialnego przekazuje Franciszkowi Ptakowi teren na cmentarzu pod budowę dużego grobowca rodzinnego.

Dziadek miał 12 dzieci. Troje z nich; dwie córki i syn, poszło na studia do Krakowa, trzy córki zmarły w młodym wielu na suchoty, a jedna – Franciszka, po porodzie.Część wyszła za mąż lub ożeniła się w Krakowie.

Czasy najdawniejsze i powojenne.

„Sokół" to była organizacja niepodległościowa. Miała przygotować młodzież do walki. Mój dziadek to przygotowywał. W roku 1918 „Sokół" się rozwiązał i dziadek dał ten dom mojemu ojcu, tak po prostu, bo to była jego własność.

Mój dziadek i ojciec zrobili wiele dla Bieńczyc. Ja też dużo w swoim życiu. Uratowałem Bieńczyce, bo po wojnie był plan ich wyburzenia. Wziąłem kilku panów, w tym Ciepielę i Pazdalskiego, i poszedłem do prezydenta Krakowa. Siedzieliśmy tam w poniedziałek – konferencja, we wtorek – konferencja. Nie przyjmie! Było nas czterech. W środę już tylko trzech, jeden zrezygnował. We czwartek zostało nas dwóch. W piątek też konferencja – pan prezydent nie przyjmuje. Przyszedłem w sobotę, już sam, czekam na korytarzu, w sobotę urzędy pracowały do godz. 14, przed godz. 12 podszedłem do sekretarki i pytam, czy mnie prezydent przyjmie czy nie. – „Wie pan co, konferencja jest, bardzo w to wątpię" – odpowiedziała. Ja na to, że przyjdę jeszcze w poniedziałek, bo Sapieha chodził na Wawel siedem dni, żeby Frank nie mordował Żydów, a ja jeszcze przyjdę też w siódmy dzień i powiem: „Oddaliśmy piękne ogrody, wszystkie sady, zostały nam tylko te domy, ojcowizna, proszę nie burzyć tego". Poszedłem na korytarz, usiadłem i nie minęło dwadzieścia minut, jak usłyszałem: – „Pan prezydent pana prosi". Musiała mu powtórzyć, co mówiłem, takie mam wrażenie. Wchodzę: kawa na stole, gazeta (taka konferencja). Siedzieliśmy chyba do trzeciej, przekonałem go. Powiedziałem mu wiele o sobie. O tym, że mój ojciec miał 60 lat, kiedy zmarł. Był inwalidą, tak jak ja, pracował bardzo ciężko. Dostał zawału serca widząc wycinanie pięknego (wywłaszczonego) sadu. Kochał się w tych drzewach, po prostu.

Później, w roku 1986 czy 1987 roku były jeszcze plany zabudowy ul. Stadionowej i Bulwarowej. Ja byłem wtedy radnym w dzielnicy, nie zajmowałem się polityką, tylko sprawami gospodarczymi. Pracowałem w Komisji Architektury. Komisja zaakceptowała projekt, jednak z zastrzeżeniem, żeby pozostawić istniejące budownictwo. Przy Stadionowej było 9-10 domów, 6 albo 7 na Bulwarowej. A jednak Rada Miejska zatwierdziłą później projekt przewidujący wyburzenie istniejących domów. Któregoś wieczoru już się położyłem, ale potem wstałem. Żona spytała: „Gdzie ty idziesz? Odpowiedziałem, że do Adamczyka – był w Radzie Miasta. Przyjechałem do niego w nocy, przed 23. Wyszedł na balkon. Powiedziałem: „Panie Józku, macie zatwierdzony projekt, który przewiduje wyburzenie wszystkich domów, a uchwała Rady Dzielnicy stwierdziła wyraźnie, że należy domy pozostawić". Adamczyk interweniował. I w ten sposób, w ostatniej chwili, udało się te domy ocalić.

W spichlerzu dworskim była świetlica. Kupiłem do niej okna, drzwi, tanio, bo jak działałem w Komisji Architektury, to znałem dyrektorów różnych budów. Oni mieli okna i drzwi, które im się nie przydały do budowy

bloków i sprzedali mi to po niższej cenie. Murarzy dwóch było w Bieńczycach, poszedłem do nich: „Słuchajcie, trzeba ganek dobudować, cegły ja załatwię". Przyszli i dobudowali. Meble przywiozłem z Kasinki.

Bieńczyce kiedyś były bardzo zorganizowane. Działało Katolickie stowarzyszenie Młodzieży. Po wojnie powstały Wici, było w nim 157 młodych ludzi z Bieńczyc, które miały ponad 160 domów. To znaczy, że z każdego prawie domu ktoś do Wici należał. Powstało PSL odbudowane po wojnie, które liczyło 148 członków. W czasie wojny sztandar PSL był u mnie w domu. Niemcy go szukali, a po wojnie UB. Na sztandarze był wizerunek Matki Boskiej. Stolarz dorobił specjalne ramy, zwinęliśmy sztandar w ten sposób, że widać było tylko część, na której byłą Matka Boska. I sztandar wisiał na ścianie jako obraz.

Kiedyś pokój obok tego, w którym siedzimy miał osobne wejście z korytarza – kwaterę w nim wyznaczał sołtys bez mojej zgody, i nikt za to nie płacił. Brało je UB, brali Rosjanie. Parę razy lokatorzy przewrócili mi dom do góry nogami.

Kiedy budowano kościół w Bieńczycach przyszły dwa wagony cementu. Nie miał kto zabrać cementu z bocznicy kolejowej. Ludzie zajmujący się zawodowo transportem bali się, że mogą stracić koncesję. Ja wziąłem konia, drugiego od sąsiada i wóz na gumowych kołach i z Tadeuszem Krawczykiem (też miał parę koni i wóz) zwieźliśmy cement z wagonów do kościoła. Potem trzy razy byłem przesłuchiwany. Przez ludzi po wyższych studiach. Rozmawialiśmy 3-4 godziny i nie wiedziałem, czego chcą ode mnie. Zadawali pytania, na które trudno było odpowiadać. A kościół stoi.

Wspomnę jeszcze, że posiadam Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski, Medal Wincentego Witosa, Złotą Odznakę za Pracę Społeczną dla Miasta Krakowa i Złotą Odznakę za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej.

Rodzina

W Bieńczycach było dużo młodzieży. W wielu domach było po 8-10 dzieci. Zawsze ktoś zostawał na ojcowiźnie, najczęściej syn. Były czasem kłopoty, bo teściowa się nie dogadywała z synową, ale wszystko się jakoś układało. Wspaniałe było to, że tyle z tych dzieci wykształciło się, ponad czterdzieścioro. Mój stryjeczny brat Wiesław Ptak był profesorem na AGH, przez długie lata był także dziekanem, miał 63 lata, kiedy zmarł na raka. Był ofiarą prób z azbestem – nie wiedziano wtedy, że jest rakotwórczy.

Przeszedłszy w dzieciństwie chorobę Haine-Medina miał jedną nogę trochę krótszą. Był bardzo dobrym człowiekiem. Na pogrzebie było ok. 500 studentów, każdy miał kwiatka w ręce. Wszyscy go lubili. Z każdym potrafił znaleźć wspólny język.

Dziadek był w Radzie Powiatowej, później był we Lwowie w galicyjskim Sejmie. Zrobił dużo dla Bieńczyc. Pomógł w budowie szkoły i szpitala. Krytykowano go za „wesele krakowskie", które odbyło się w Wiedniu. Jego córka Zosia, bardzo ładna, była za druhnę z drużbą Henrykiem Uziębło, Wojciech Kossak był starostą a na mojego dziadka wołano: „Sobieski".

Dziadek miał nowy dom, a stary oddał Józefowi Krasnowolskiemu, malarzowi, który ożenił się w Bieńczycach. Nie był zamożny, dom dostał za darmo. Z wdzięczności namalował portrety. Przetrwały, stryj jak mu dom burzyli oddał je do Domu Kultury w Hucie, potem były w Domu Matejki a teraz są na os. Krakowiaków.

Dziadek przyjaźnił się z Wyspiańskim i z Tetmajerem, przyjeżdżali tutaj. Wyspiański wspomina o dziadku w „Weselu". Malował jego portret. Nie dokończył, bo dziadek czekał na koniec żniw. Wybuchł pożar i niedokończony obraz się spalił.

Żona profesora z AGH (mojego stryjecznego brata) – była po ASP – znalazła listy, z których wynikało, że dziadek działał w jakiejś spółce gazowej, jakaś kompania zagraniczna szukała na naszych terenach gazu.

Mój ojciec był inwalidą, miał piękne gospodarstwo (5 hektarów), piękny sad i ciężko pracował. Wszystko zostało wywłaszczone, tak jak wszystkim w Bieńczycach. Nie wzięliśmy w ogóle pieniędzy za wywłaszczenia. Wywłaszczenie było straszne dla starszych ludzi, bo byli bardzo przywiązani do ziemi. Młode pokolenie przeżyło to inaczej, bo znalazło pracę, albo poszło do szkoły. Ale w ujęciu ogólnospołecznymto był dramat.

Wojna

Podczas wojny działały w Bieńczycach Bataliony Chłopskie. Kotyza był komendantem. W lutym 1945 roku zostałem powołany do Wojska Polskiego. Byłem tak wychowany przez rodziców patriotów, że mogłem w każdej chwili

oddać życie za Ojczyznę. Niemcy zamordowali mi 3 kuzynów i wujka w Oświęcimiu. W kwietniu zostałem ranny na froncie , odłamek utkwił w prawej nodze. Po zakończeniu wojny zostałem skierowany do szkoły oficerskiej w Inowrocławiu. Co miałem robić – poszedłem. Ściągali początkowo do tej szkoły, co jest bardzo ciekawe, polskich oficerów z niemieckich obozów jenieckich. Pamiętam pułkownika Krupińskiego (dowódcę szkoły), a moim dowódcą kompanii, był kapitan Kapusta. Był też podporucznik – oficer polityczny, niebezpieczny dla wszystkich.

Pamiętam taki moment, mieliśmy służbę na dworcu. Przychodziło dziennie ze 20 pociągów, którymi z Niemiec wracali Rosjanie. Mieli na dachach pociągów tyle zrabowanego mienia, że ledwo się mieściło pod tunelami. Był taki incydent: przyszła jakaś dziewczyna kupić od nich obrączki, porwali ją do pociągu. Przeszukaliśmy pociąg całą kompanią i nie znaleźliśmy jej. Nie znaleźliśmy jej, a dwa dni szukaliśmy. Potem ją znaleziono: leżała w rowie zamordowana.

Innym razem stałem po jednej stronie pociągu, a kolega po drugiej, Przybyła, góral. Jakiś Rosjanin zabrał walizeczkę jakiejś kobiecie, i ta kobieta krzyczała. Przybyła podszedł do niego z pistoletem. Rosjanin wyjął swój pistolet i strzelił do niego, ale nie trafił, a Przybyła zastrzelił bandytę. Przyjechało UB, chcieli go wziąć, ale Krupiński na to nie pozwolił. Ubowcy przyjechali potem z dwoma samochodami pancernymi. A my mieliśmy auta przeciwpancerne, armaty, worki z piaskiem w oknach, zbuntowaliśmy się. Nas było 500 czy 600. To była prawie wojna. UB odjechało, na drugi dzień przyjechał marszałek Żymierski. Pamiętam, położyli mu wielkie drzwi od stodoły, stanął na tych drzwiach jak na podeście i powiedział: – „Kto chce może iść do Lublina albo do Poznania, Warszawy do szkoły, a kto chce może zostać i skończy tu szkołę oficerską rezerwy". Po sześciu miesiącach – tak jak przed wojną. Ja, widząc co się dzieje w wojsku, zostałem w rezerwie, no i po sześciu miesiącach przenieśli nas, buntowników. Poszliśmy do ochrony marszałka. On miał jedna willę obok Bieruta.

W ochronie marszałka byliśmy dwa miesiące. Koło tej willi się tak chodziło. Żymierski miał szesnastoletnią córkę i niańkę Niemkę. Dlaczego nas, buntowników wziął do ochrony, nie wiem.

Ja w Warszawie widząc, że w Sztabie Generalnym Wojska Polskiego są generałowie radzieccy w polskich mundurach zgłosiłem się w grudniu na komisję lekarską, i na tej komisji krzywo stanąłem na nodze w którą byłem ranny, a lekarka dała mi grupę inwalidzką – wróciłem do cywila. W sumie w wojsku byłem rok.

Miałem dwoje dzieci, wspaniałe. Wspaniała córka, syn umarł niedawno (dwa lata temu, do dziś nie mogę sobie z tym poradzić), też był bardzo dobry. Miał złote ręce do wszystkiego, czwórkę dzieci. Doceniano go. Robił wyciszenie metra w Warszawie.

Żona Janina też pochodziła z Bieńczyc, miała dwóch braci, a bracia jej matki zostali prawnikami.

Gospodarka.

Dziadek był bardzo dobrym rolnikiem, uczył ludzi szczepić drzewa. Sprowadzał różne gatunki drzew. Sprowadził też kury z Czech. Miał ich około 200. Potem wszyscy we wsi mieli takie kury. Były takie, że w każdy codziennie znosiły jajko.

Po wojnie, gdy w okolicy zrobiono studnie głębinowe, Bieńczyce zostały bez wody. Ze studni uciekała. Wygrałem sprawę przed Urzędem Miasta i miasto musiało nam zrobić wodociągi.

Miejsca święte.

Mamy kapliczkę Serca Jezusowego przy drodze, wysoka, piękna, niedawno była konserwowana.. Jest jeszcze kapliczka na ul. Fatimskiej. I jeszcze na drodze do Mogiły – świętego Floriana.

Nowa Huta miała być miejscem bez Boga, ale ludzie ze wsi są religijni, i nie można tego było zmienić. Stoi tu piękny kościół, którego kamień węgielny poświęcił Karol Wojtyła, później Ojciec Święty.

Powojenne dożynki.

Na polanie koło jazu. Było 16 par, ja z żoną w pierwszej, bo byłem najwyższy, miałem 182 cm wzrostu. Dożynkom patronowały Wici. Szliśmy do kościoła, poświęcaliśmy wieńce, a potem po południu przy jazie odbywały się przedstawienia. Byliśmy w strojach krakowskich. Furmanki, panie w krakowskich strojach z tymi bochnami chleba. Kilka furmanek z ławkami, 6-8 kobiet w każdej furmance. Po dożynkach zabawa ludowa z piwem. Byliśmy bardzo zorganizowani. Mieliśmy już cały materiał na dom ludowy, miał być gotowy za dwa lata. Były przygotowane dwa wagony wapna gaszonego. Aż przyszła Nowa Huta i już nic z tego nie wyszło.

Nie ma tamtych Bieńczyc. Tak bardzo mi ich żal. Częściowo Bieńczyce wtopiły się w Nową Hutę, to już nie jest wieś, tylko część osiedla. Nie ma takich Bieńczyc jak były. Starsi ludzie coś ze sobą mają jeszcze wspólnego, ja mam taki zwyczaj, że jeszcze innych odwiedzam, albo telefonuję.

Odpusty, pielgrzymki

No odpusty chodziliśmy do Mogiły, czasem do Raciborowic, ale nieczęsto. Przychodzili też ludzie z Krakowa. Zaprzęgaliśmy konia i jechaliśmy te dwa kilometry, przed kościołem był „parking". Do Raciborowic było dalej, a droga prowadziła wzdłuż rzeki i była błotnista. Raciborowice były parafią Bieńczyc, dlatego tam się chodziło lub jeździło na chrzty, śluby lub pogrzeby (cmentarz parafialny). Ksiądz z Raciborowic chodził po kolędzie, czasem trzeba było go wozić, gdy był śnieg po pas, ale to było tylko raz w roku.

To co pozostało

Z Bieńczyc zostały nieliczne domy. Stare wyburzone, o niektórych coś dobudowano zachowując, albo zmieniając starą formę. Już nie ma dachów krytych strzechą. Pozostał dwór, własność kurii.

Jak płynęła, tak płynie rzeka Dłubnia.

Dwa młyny były w Bieńczycach. Jeden wodny, drugi wodno-parowy. Są nieczynne.

Miejsca spotkań

Dawniej ludzie spotykali się w świetlicy, były spotkanie na drodze, długie rozmowy. Później wszystko odbywało się w tym dworku. Tam były przedstawienia, spotkania. A wcześniej to nie wiem. Czasami kierownik szkoły udostępniał salę na spotkania i zebrania.

Urządzano dożynki, były jasełka, chodziliśmy po kolędzie z szopką (była duża szopka z lalkami). Był we wsi muzyk grający na harmonii grał, tylko jeden. Był Staszek, który umiał poruszać lalkami w szopce, tańczyły w jego rękach. Kolędników wuszczało się do domu, czekało się na nich, taka była tradycja.

Niezwykłe postacie

Dyrektor szkoły Łowczowski

Mój dziadek Franciszek Ptak

Doktor Łowczowski – lekarz, syn dyrektora szkoły

Jan Kotyza z Batalionów Chłopskich

Maria Koryzowa z d. Halik, żona Jana Kotyzy

Jan Bochenek

mój brat Mieczysław

Józef Osiadło

Wielgus – imienia nie pamiętam – skonstruował rower drewniany i pojechał z nim do Krakowa. Nie było jeszcze wtedy rowerów, przekładnia była drewniana, jak i cała konstrukcja, później wykonana z metalu.

Garść wspomnień

Niebezpieczne były łąki, tzw. niwy tak gdzie wylewała Dłubnia.

Pamiętam piątki. W Proszowicach było dużo Żydów, wracali do domu wozami, siedząc na workach z towarem.

Był pociąg „Kocmyrzówka", ważna dla nas. Woziła do szkoły, do pracy i na targ. Czasem jechało się trzy godziny. Gdy przyszła zima, nie mogła wjechać pod górę, cofała się, rozpędzała, czasem trzeba było najpierw usunąć śnieg.

Ja się uczyłem w Krakowie w gimnazjum, potem poszedłem do pracy w kombinacie i na studia wieczorowe. Pracowałem w koksowni. Najpierw przy jej budowie, kiedy studiowałem i musiałem pracować w dzień. A później, po zakończeniu budowy, w działającym już zakładzie pracowałem w systemie zmianowym. Nie podpisałem nigdy deklaracji partyjnej, więc nie awansowałem (mam na pamiątkę cztery nie podpisane). Nie chciałem robić wstydu rodzinie, w której zawsze obowiązywała patriotyczna tradycja.

Najgorzej było wtedy, kiedy były trzy zmiany. Przychodził po zmianie nocnej i szedłem na popołudniową. Potem wprowadzono cztery zmiany i było lżej.

Tu była tzw. Nowa Wieś, bliżej jazu – Szewska, na końcu wsi – Buciory (tam jakiś szewc mieszkał), były cztery domy które nazywały się Kępa. Nie było ulic tylko takie właśnie nazwy. A „pod Florianem" nazywano drogę, która szła do Mogiły.

Po Łowczowskim dyrektorem szkoły był Józef Celiński (od 1932 do 1967 roku). Podczas okupacji prowadził tajne nauczanie. Karabiny przechowywał w mapach szkolnych.

22 osoby zginęły podczas okupacji w Oświęcimiu i w czasie działań wojennych, dwie z Związku Radzieckim.

W okresie międzywojennym, w domu Franciszka Ptaka działała Kasa Stefczyka.

W Bieńczycach były 42 osoby z wyższym wykształceniem, 3 księży (jeden był opatem w klasztorze OO Cystersów).

Bieńczyce należały od XV w. do parafii Floriana w Krakowie.

Corocznie były organizowane „sobótki", trwały dwa dni.

W dniu Świętego Jana dziewczyny puszczały wianki na rzece Dłubni, przy jazie. Każdy wianek miał świeczkę.

Bieńczyce, 18.07.2007 r. ***Notowała Katarzyna Maniak***



Janina i Andrzej Ptakowie, 1953 r.



Dożynki w Bieńczycach, w pierwszym rzędzie z prawej tańczą Janina Kaczmarczyk (później Ptak) i Andrzej Ptak, ok. 1947 r.



Młodzież z Bieńczyc, ok. 1946 r.



Dożynki w Bieńczycach, lata 1946-7, występuje młodzież z Bieńczyc, zespół liczył 16 par, a tańczyli w nim m.in.: Janina Kaczmarczyk, Zofia Zybura (Bochenek), Zofia Nawara, Maria Żylska, Janina Biernacik, Karol Żylski, Bronisław Dżuła, Andrzej Ptak, Jan Bochenek, bracia Pyczkowie. Na zdjęciu w głębi widoczny fragment zabudowań dworskich tzw. „czworaki" dla fornali.



Młodzież z Bieńczyc, lata 40. XX w.



W drodze na dożynki: w stroju krakowskim Józef Krawczyk, z prawej Zofia Witek, obok woźnicy siedzi Wojciech Biernacik, który był sołtysem w Bieńczycach, zdjęcie zrobiono obok budynku „Sokoła", 1946-1947 r.

Dziadek Władek i babcia Stasia

Mój dziadek Władysław Ptak urodził się 21 marca 1905 r. w Bieńczycach, jako najmłodsze dwunaste dziecko Franciszka i Marcjanny. Jego osobiste przeżycia wpisują się w historię Polski od odzyskania niepodległości w roku 1918, poprzez II Wojnę Światową, czasy komunizmu, aż po czerwcowe wybory w 1989 roku.

Na wybór drogi życiowej Władysława miał niewątpliwie wpływ jego ojciec. Franciszek Ptak – rolnik, później właściciel sklepu i karczmy, dzięki swojej niezwykłej osobowości, a również dzięki dobrym ku temu czasom, mógł zaprzyjaźnić się z wieloma artystami i innymi wybitnymi postaciami tamtego okresu. Sam własną pracą doszedł do godności posła na Sejm Krajowy we Lwowie, gdzie walczył między innymi o oświatę na wsi i wychowanie młodzieży w duchu patriotyzmu. Chcąc się przyczynić do działań niepodległościowych i przyszłego czynu zbrojnego, założył we wsi towarzystwo gimnastyczne „Sokół" i udostępnił dla ćwiczeń pomieszczenia na piętrze nad karczmą.

W takiej atmosferze dorastał mały Władek. On też od najmłodszych lat wyrażał swój patriotyzm. Po ukończeniu szkoły podstawowej został uczniem Gimnazjum św. Jacka w Krakowie i zamieszkał w bursie przy ulicy Smoleńsk w Domu Egipskim. Wraz z kolegami uczestniczył w roku 1917 w demonstracji na Rynku Głównym, która po odśpiewaniu pieśni patriotycznych przerodziła się w marsz kilku tysięcy ludzi ulicą Grodzką, gdzie zrywali austriackie orły. Na ulicy Kanoniczej pochód został rozbity przez szarżę policji konnej z szablami. Wiele osób ucierpiało, lecz dziadkowi udało się szczęśliwie uciec. Został za to wyrzucony z bursy i musiał codziennie dojeżdżać pociągiem do szkoły. W roku 1918 brał udział w rozbrajaniu austriackich żołnierzy na dworcu, a zdobytą broń odnosił na odwach w Rynku przy Ratuszu. Wtedy też pomagał ojcu w ukrywaniu na strychu kilkunastu karabinów przywiezionych do obrony prochowni. Przy tej okazji nauczył się strzelać, celując do gołębi na dachu.

Przydała mu się ta umiejętność, gdy późną jesienią tego samego roku z kilkoma kolegami z Bieńczyc i Mogiły uciekł z domu i wyruszył bronić Lwowa. Miał wtedy niecałe 14 lat! Bojąc się wrócić do domu zaciągnął się do wojska i przeszedł szlak bojowy od Tarnopola do Warszawy. Było to możliwe, gdyż wyglądał nad wiek poważnie i mógł sobie dodać kilka lat. W sierpniu 1920 roku w czasie słynnej Bitwy Warszawskiej został ranny i w konsekwencji odesłany do domu. Po powrocie z wojny już spokojnie pracował w gospodarstwie ojca i przejął je po jego śmierci w 1936 roku.

Niedługo później poznał Władek młodziutką i śliczną Stasię Królikowską z Czyżyn, moją babcię. Urodzona 1 stycznia 1919 roku, jako najstarsza z piątki dzieci Stanisława Królikowskiego i Marii z domu Hajto. Ukończyła szkołę dla sekretarek, zakończoną tak zwaną „małą maturą" i pracowała w kancelarii adwokackiej w Krakowie. Babcia tak zakochała się w dziadku, że zdecydowała się porzucić dobrą posadę, a także wygodne miejskie życie i zostać gospodynią domową.

Na przeszkodzie ich związkowi stanęła jednak wojna. Tuż przed jej wybuchem dziadek został powołany na ćwiczenia do 5 Pułku Saperów i tam go ona zastała. Po wielu przeżyciach dostał się do niewoli sowieckiej. Był więziony w obozie w Starobielsku, później w Katyniu, skąd przewieziono go z grupą jeńców z Galicji i poznańskiego do Brześcia nad Bugiem, gdzie wydano ich Niemcom. Ten czas bardzo mu zapadł w pamięć.

Załadowano ich po 50 osób do bydlęcych wagonów, dano 20 dag chleba i zapowiedziano, że jadą do Warszawy, gdzie zostaną zwolnieni do domów. Jednak po przyjeździe do Warszawy dowiedzieli się od kolejarzy, że są wiezieni do Niemiec. Ruszyli więc dalej i tak jechali trzy dni bez chleba i wody. Wagony były zbyt ciasne dla takiej liczby ludzi i nawet nie dla wszystkich starczało miejsca do siedzenia. A ucieczka była niemożliwa, ponieważ współwięźniowie z poznańskiego bojąc się rozstrzelania pilnowali by nikt z wagonu nie uciekł. Podróż zakończyła się w Norymberdze. Chociaż była mroźna zima to najpierw zakwaterowano ich w namiotach, a potem w zimnych i głodnych barakach – dostawali 15 dag chleba i chochlę zupy. Próbował dziadek pracować przy budowie baraków za kromkę chleba i odrobinę tytoniu, ale przy 24 stopniach mrozu nie mógł wytrzymać, zwłaszcza, że najgrubszym elementem jego ubrania była marynarka.

Pewnego dnia kazano grupie jeńców (w tym dziadkowi) jechać kilkadziesiąt kilometrów do lasu ładować drewno. W jedną stronę udało im się chować przed mrozem za szoferką, ale na miejscu pomiędzy kolejnymi załadunkami pilnujący ich strażnik nie pozwolił rozpalić ognia żeby się ogrzać, a w powrotnej drodze jechali na ładunku i okropnie marzli. Po przyjeździe do obozu okazało się, że mieli nogi odmrożone do pół łydki. Koledzy przynieśli śniegu i nacierali, ale dużych palców już nie udało się zagrzać. Po tym wszystkim dziadek trafił do izby chorych na cztery tygodnie, a później do kuchni skrobać ziemniaki. Wtedy po raz pierwszy od długiego czasu mógł się najeść do syta ziemniaków, które piekł w popielniku.

W kwietniu 1940 roku wywieziono dziadka na roboty w Sudety, do pracy przy wycinaniu drzew. Zdarzył się tam wypadek, który zaważył na dalszym jego życiu. Wraz z drugim robotnikiem musiał nieść cały pień drzewa, gdyż nie pozwolono go przeciąć. Jego kolega był ranny w głowę i miewał zawroty głowy. W pewnym momencie potknął się i bez uprzedzenia rzucił drzewo, które przygniotło dziadka brzuchem do kopczyka pozostałego po starym drzewie. Koledzy zrobili nosze i zanieśli go na kwaterę, gdzie leżał w gorączce. Lekarz przyjechał dopiero po dziesięciu dniach i przepisał aspirynę. Po kolejnych czterech tygodniach stan dziadka poprawił się na tyle, że mógł iść na stację kolejową i pojechać do obozu, gdzie trafił na izbę chorych. Tam udało mu się wyprosić u niemieckiego lekarza proszki przeciwbólowe, które dopiero ulżyły w cierpieniu.

W sierpniu 1940 roku dziadka i innych więźniów posiadających gospodarstwa rolne zwolniono do domu. Potrzebni byli okupantowi jako producenci żywności, niezbędnej do dalszego prowadzenia wojny Po drodze trafił jeszcze do obozu przejściowego w Ostrzeszowie i, jak sam mówił, niewiele brakowało, a zostałby wysłany do Oświęcimia. Była bowiem również w tym obozie orkiestra, która pewnej niedzieli w czasie mszy zagrała „Boże coś Polskę", a wszyscy więźniowie zaśpiewali. Dziadek stwierdził, że szczęśliwie tydzień wcześniej zmienił się komendant obozu, bo poprzedni by im tego nie podarował.

Jeszcze w tym samym roku dziadkowie wzięli ślub. W Bieńczycach wojenny czas też nie był łatwy. Trzeba było oddawać kontyngenty, w domu stacjonowali niemieccy żołnierze. Na dodatek wciąż boleśnie przypominał się wypadek przy drzewie. Natomiast pokazała swoją dzielność babcia – samotnie, (bo kobiecie mniej groziło w przypadku złapania), jeżdżąc okrężną drogą przez Mistrzejowice i Rakowice, z ominięciem rogatek przemycała do Krakowa mięso i inne produkty. Jeszcze w czasie wojny urodziła się dwójka dzieci: Wiesław (dla mnie wujek Maciek) i moja mama Maria.

Po wojnie nowa władza zdecydowała o budowie pod Krakowem kombinatu metalurgicznego i miasta Nowej Huty. Tak się złożyło, że osiedla Górali i Krakowiaków miały powstać również na gruntach, których właścicielem był mój dziadek. W roku 1950 dokonano wywłaszczenia. Żeby mieć z czego żyć, dziadek podjął pracę. Najpierw była to cukrownia Chybie (gdzie odpowiedzialny był za kontraktację buraków cukrowych w rejonie Kocmyrzowa i Proszowic), później przepompownia przy kombinacie. Babcia oprócz zajmowania się domem, również próbowała poprawić sytuację materialną rodziny sprzedając mięso hodowanych zwierząt. Jednak było to nielegalne, gdyż podobnie jak w czasie wojny rolnicy podlegali obowiązkowym dostawom. Była z tego powodu nawet na krótko aresztowana, pod zarzutem nielegalnego uboju.

Wkrótce po wywłaszczeniu pól uprawnych nadszedł kolejny cios: w miejscu gdzie stał dom została zaprojektowana dzisiejsza ulica Kocmyrzowska, a dziadkom zaproponowano przeprowadzkę do bloku na osiedlu Górali, do wspólnego mieszkania z wielodzietną rodziną. Oczywiście z tej „okazji" nie skorzystali. Dziadek, który całe życie spędził na wsi, stwierdził że w bloku mieszkać nie będzie. Wymyślił, że na budynek mieszkalny przekształci dotychczasową stajnię. Miało to być tymczasowe rozwiązanie, na rok-dwa. Rozpoczął gromadzenie materiałów na nowy dom, lecz ostatecznie z budowy nic nie wyszło i w byłej stajni mieszkał prawie 30 lat. Najpierw zamieszkana była jej jedna połowa, a w drugiej były w dalszym ciągu zwierzęta. A kiedy zaczęli je wyprzedawać by zdobyć pieniądze na życie, w roku 1952 władza ludowa niespodziewanie zadecydowała o wymianie pieniędzy, przy czym każdy obywatel mógł wymienić tylko ściśle określoną, niewielką kwotę. Cała większa gotówka w ciągu jednego dnia stała się makulaturą. W ten sposób również dziadek stracił wszystkie pieniądze uzyskane ze sprzedaży krów oraz koni. Mimo, że nie posiadał już roli ani budynków gospodarczych, dziadek cały czas był uważany za kułaka i z tego powodu szykanowany. Mogę podejrzewać, że to było głównym powodem niemożności wybudowania nowego domu. Gdy któregoś 1 maja wybuchł w domu pożar, a drogą przed domem jechały furmanki z okolicznych miejscowości na pochód do Krakowa, był nawet posądzany o sabotaż.

Dopiero teraz z perspektywy można ocenić, ile dziadkowie wykazali hartu ducha, nie załamali się. Chociaż było im bardzo ciężko potrafili pomagać innym będącym w potrzebie. Jeszcze do dzisiaj spotykamy się z wyrazami wdzięczności od ludzi, którym pomogli. Wprawdzie sami nie zdobyli wysokiego wykształcenia, ale zadbali żeby ich dzieci skończyły studia, a wujek doszedł nawet do zaszczytnego tytułu profesora. Na szczęście dla dziadków dodatkowym źródłem dochodu mogły być warzywa hodowane w pozostałym małym przydomowym ogródku, na które zawsze znajdowali się chętni. Ocalałe okoliczne gospodarstwa przynajmniej częściowo zaspokajały potrzeby mieszkańców bloków, ale także mieszkańcy wsi korzystali z dobrodziejstw miasta, które wyrosło im za płotem, miasta z dobrym teatrem, kinami, szkołami. Babcia nawet w tych ciężkich czasach nie traciła pogody ducha. Pamiętam, że przez dom, w którym ja również z rodzicami mieszkałem, ciągle przewijali się jacyś goście: liczna rodzina i znajomi, zawiązywały się nowe przyjaźnie z mieszkańcami Nowej Huty. Babcia była osobą powszechnie znaną, lubianą i szanowaną. Była również niezwykle energiczna.

Przy olbrzymiej ilości obowiązków w domu i gospodarstwie znajdowała czas na czytanie, kontakty towarzyskie, kino i teatr, a później jeszcze pomoc w wychowaniu czworga wnucząt, a do tego jeszcze przepięknie haftowała. Dziadek był światłym rolnikiem, ogrodnikiem i pszczelarzem, prenumerował czasopisma i książki rolnicze (pamiętam „Hasło ogrodnicze"), dużo czytał. Pięknie grał na skrzypcach. Miał smykałkę do majsterkowania. Równie dobrze jak rolnikiem mógłby być zegarmistrzem, z taką precyzją rozkładał, naprawiał i składał przeróżne mechanizmy.

W Bieńczycach mieszkaliśmy do początku lat osiemdziesiątych. W roku 1979 pod budowę nowego eksperymentalnego bloku wywłaszczono pozostałą jeszcze część ogrodu. Wycięto drzewa i krzewy owocowe. Znikła szklarnia, w której dziadek hodował warzywa oraz poletko, na którym uprawiał róże i chryzantemy. W ich miejscu wykopano ogromną dziurę i wlano morze betonu na fundamenty. Ogrodzono to wszystko płotem z blachy falistej, który stanął tuż przed oknami domu. I w tym punkcie budowa utknęła. Okazało się, że projekt jest niezgodny z przepisami. Jednak nic już nie mogło zatrzymać dalszych wydarzeń. Dziadkowie dostali mieszkanie w bloku i tam się przeprowadzili, a dom został zburzony. W jego miejscu stoi dziś wieżowiec.

Dziadek Władek zmarł w niedzielę 20 sierpnia 1989 roku i został pochowany w rodzinnym grobowcu na cmentarzu w Raciborowicach. Jego śladem 11 listopada 1998 roku podążyła Babcia Stasia.

Piotr Cichociński

P.S. Dziękuję wszystkim członkom rodziny, którzy zechcieli się podzielić swoimi wspomnieniami i wiedzą o przodkach. Niezwykle cenną pomocą były dla mnie również zapiski mojego ś.p. wujka Wiesława S. Ptaka.

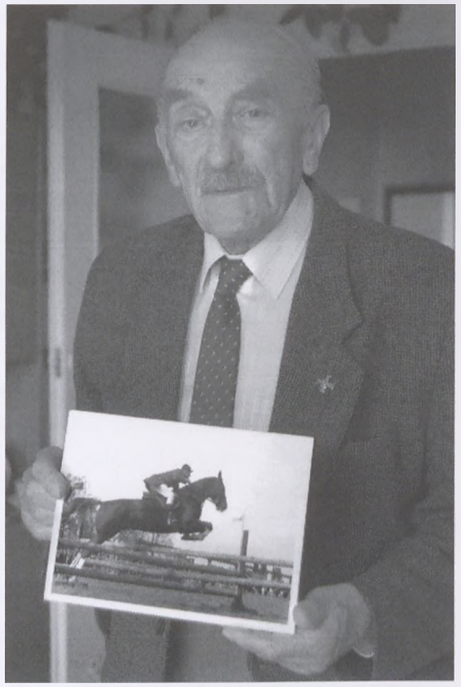


Stanisława Królikowska, lata 30. XX w.



Władysław Ptak, lata 20. XX w.

Wspomnienia Andrzeja Świerczewskiego



Mój dziadzio, Józef Cieślewicz senior, początkowo gospodarzył w majątku w Wadowie, były to ostatnie lata XIX wieku (dokładnych dat niestety nie znam). Z tego okresu mam kilka zdjęć, niektóre z nich zostały umieszczone w książce „Czas zatrzymany". Dwór w Wadowie stoi do dzisiaj w dość dobrym stanie prawdopodobnie dzięki temu, że mieściła się w nim szkoła, a następnie przedszkole. Będąc kilka lat temu w Wadowie widziałem, że pałac jest zamieszkały. Na frontonie domu widnieje jeszcze, choć słabo widoczny na zdjęciu napis „Z darów Bożych". Śp. Józef Cieślewicz był bardzo dobrym i postępowym gospodarzem, czego dowodem było „wspomnienie pośmiertne" zamieszczone w jednej (z nielicznych) gazet krakowskich tamtego okresu. Osoba która wycięła ten nekrolog z gazety, nie podaje z jakiej gazety pochodzi, autor nie podaje też daty śmierci, która miała miejsce w dniu 27.I.1919 r w Bieńczycach.

Niestety nie mam daty kiedy mój dziadzio J.Cieślewicz przeniósł się do Bieńczyc, prawdopodobnie było to między 1915 a 17 r, w którym to czasie wziął w dzierżawę dwa majątki: Grębałów w którym gospodarzył do roku 1936 jego syn Władysław (senior) i majątek Bieńczyce do którego przenosi się z Wadowa z pozostałą rodziną, to znaczy z żoną Marią, córką Jadwigą i młodszym synem Kazimierzem. Pogarszający się stan zdrowia nie pozwolił mu na długie gospodarowanie i w dniu 27.I.1919 r. Józef Cieślewicz (senior) umiera. Gospodarstwo przejmuje jego córka Jadwiga. Po dwóch latach gospodarowania Jadwiga Cieślewicz wychodzi za mąż za Mieczysława Świerczewskiego (byłego oficera kawalerii wojsk austriackich). Z tego małżeństwa urodziło się dwoje dzieci: Andrzej w 1923 r i Oleńka (Aleksandra) w 1926 r. Imiona otrzymaliśmy na pamiątkę bohaterów „Potopu" Sienkiewicza, tak zadecydowała nasza mama jeszcze przed naszym urodzeniem. Życie pokazało, że i cechy charakterów obojga rodzeństwa były zbliżone do bohaterów „Potopu". Tymczasem sprawy rodzinne zaczynają się komplikować z powodu ciężkiej choroby naszej mamy, w wyniku której nasza mamusia umiera 1.IX.1928 r zostawiając nas i swoją mamę, a naszą babcię na opiece ojca, który z niewiadomych mi przyczyn, w niedługim czasie po śmierci mamy, wyjeżdża z Bieńczyc i wszelki słuch po nim zaginął. W tej sytuacji babcia moja zadecydowała, że dopóki sprawy rodzinne się nie uregulują, przeniesiemy się do wujostwa w Grębałowie. W wyniku porozumień rodzinnych ostatecznie zadecydowano, że majątek Bieńczyce bierze w dzierżawę nasz drugi wujo inż. Kazimierz Cieślewicz gospodarujący w tym czasie w majątku w Czyżynach i jednocześnie bierze pod swoją opiekę nas dwoje i naszą babcię Marię Cieślewicz. Wychowanie nas powierza swojej siostrze Helenie, która wraz ze swoją matką Izabellą Cieślewicz (sen) przenosi się z Czyżyn do Bieńczyc. Chcąc mówić o historii dworu w Bieńczycach, nie sposób nie poświęcić więcej uwagi osobie inż. Kazimierza Cieślewicza, który był głównym gospodarzem na obydwóch gospodarstwach, był doskonałym organizatorem wszelkich prac i bardzo dobrym ekonomistą, myślał o wszystkim i o wszystkich. Inż. Kazimierz Cieślewicz należał do jednych z najbardziej postępowych rolników w okolicy. Orientując się w zapotrzebowaniach ówczesnego rynku, zmienił szybko kierunek produkcji z tradycyjnej uprawy zbóż, na produkcję kwiatów w nowo wybudowanej szklarni, oraz warzyw początkowo w inspektach, w których prowadzono produkcję arbuzów, melonów, ogórków oraz nowalijek wczesno-wiosennych jak rzodkiewka, sałata, szczypior itp. Po dwóch latach produkcja kwiatów szklarniowych okazała się mało rentowna i szklarnie zlikwidowano, powiększając produkcję w inspektach (do około 1500 okien) co spowodowało z kolei duże zapotrzebowanie na wodę. W tym celu została zbudowana „mała wieża ciśnień" czyli metalowy zbiornik na drewnianym rusztowaniu, do którego pompowano wodę ze znajdującego się opodal stawu. Następnie woda była rozprowadzana rurami miedzy rzędy inspektów. Dodatkowo co kilkanaście metrów były wkopane w ziemię duże beczki w których woda nagrzewała się promieniami słonecznymi i służyła głównie do podlewania delikatnych, młodych roślin (rozsady). Niezależnie od produkcji inspektowej, rozpoczęto uprawę warzyw na większą skalę w uprawie polowej. Głównie kapusty, kalafiorów, selerów i pomidorów. Warzywa były transportowane do Krakowa małym półciężarowym samochodem marki Ford, lub transportem konnym. Produkcja zbóż w gospodarstwie Czyżyny została zredukowana do minimum z dwóch powodów:

część areału gruntów uprawowych została w 1936 r sprzedana pod budowę zakładów monopolu tytoniowego,

cały inwentarz żywy – głównie bydło –został przeniesiony do gospodarstwa w Bieńczycach.

Ze zbóż uprawiano głównie owies, tak ze względu na „lekkość" gleb jak i na zapewniony zbyt w jednostkach wojskowych kawalerii i artylerii – głównie zaopatrywano w owies i siano 8 Pułk Ułanów im. Księcia Józefa Poniatowskiego.

Gospodarstwo w Bieńczycach

Gospodarstwo to również zostało zmodernizowane z chwilą przejęcia przez inż. Kazimierza Cieślewicza. Ze względu na to, że posiadało duże lepsze lessowe gleby zastosowano wielokierunkowość w produkcji rolnej. Głównym kierunkiem były:

Produkcja mleka, dzięki bardzo dobrej wysokoprodukcyjnej oborze bydła holenderskiego,

Produkcja warzyw w uprawie polowej, głównie kapusty odmiany „omagier", które odsyłano wagonowo na Śląsk lub do Zakopanego i Krynicy. W mniejszych ilościach uprawiano kalafiory, selery, marchew i buraki ćwikłowe – te warzywa były głównie odstawiane do Krakowa.

W produkcji zbóż przeważały wysokokwalifikowane odmiany pszenicy ozimej „wysokolitewka" (hodowli Kleszczyńskich), owsa odmiany „biały orzeł", jęczmienia browarnego. Z okopowych roślin uprawiano bardzo dobre odmiany ziemniaków jadalnych „hetman" i „marszałek".

Mleko było codziennie odwożone do mleczarni w Krakowie oraz do pałacu biskupiego przy ul. Franciszkańskiej i niewielu odbiorców prywatnych transportem konnym, lub samochodem z Czyżyn. Ponadto mleko otrzymywali wszyscy stali pracownicy po 2 litry dziennie na rodzinę w ramach deputatu zagwarantowanego umową zbiorową. W skład deputatu wchodziło jeszcze zboże 12-16 kwintali rocznie, oraz opał w postaci węgla i drzewa, przysługiwała działka pod ziemniaki, bezpłatne mieszkanie + pensja miesięczna w zależności od pełnionej funkcji. Deputat zbożowy oraz działka pod ziemniaki pozwalała pracownikowi na chów świni i drobiu dla własnych potrzeb, co było w pewnym sensie ekwiwalentem za stosunkowo niskie płace.Uruchomiono również hodowlę ryb w trzech stawach, które przez szereg lat nie były eksploatowane. Jeden ze stawów – najmniejszy – był przeznaczony na wylęg i chów narybku, który następnie przenoszono do większych stawów, w których dokarmiany po roku dorastał do wielkości tzw. ryby handlowej. Głównymi gatunkami były: karp, karaś, lin oraz nie rzadko bardzo okazałe szczupaki. Odłowy ryb odbywały się głównie przed Świętami Bożego Narodzenia. W każdym gospodarstwie był sad owocowy dla własnych potrzeb a w gospodarstwie Bieńczyce prowadzono również chów trzody chlewnej i drobiu na niewielką skalę. Nad całością gospodarki w obydwu majątkach czuwał i organizował nasz wujo Kazimierz Cieślewicz. Natomiast w majątku Bieńczyce bezpośrednim kierownikiem gospodarstwa była Helena Cieślewicz rodzona siostra Kazimierza, która nas wychowywała i była naszą drugą mamą!

Obydwoje rodzeństwo Kazimierz i Helena byli znanymi społecznikami w swoich środowiskach:

Wujo Kazimierz był członkiem komitetu budowy szkoły powszechnej w Czyżynach w roku 1930.

W roku 1936 był członkiem komitetu budowy kościoła w Czyżynach (pod wezwaniem św. Judy Tadeusza)

Z końcem lat trzydziestych był prezesem Rolniczej Spółdzielni „Jedność" w Krakowie.

Również w latach trzydziestych był członkiem zarządu Banku Komunalnej Kasy Oszczędności (KKO).

Będąc absolwentem Wydziału Rolnego UJ wspierał czynnie działalność Bratniej Pomocy Studentów UJ znanego „Bratniaka" za co został uhonorowany specjalnym dyplomem.

Popierając sport na wsi, wydzielił z areału gospodarstwa Bieńczyce 1,5 hektara pola pod budowę boiska sportowego dla nowo powstałego Klubu Sportowego „Tęcza" w Bieńczycach.

Był również łowczym w okręgu łowieckim obejmującym gromady Czyżyny, Łęg, Bieńczyce i częściowo Krzesławice.

W 1939 r w przeddzień wybuchu II wojny światowej został mianowany pełnomocnikiem do spraw zaopatrzenia wojska na terenie gminy Mogiła.

Pełnił – z wyboru – obowiązki podwójciego a następnie wójta gminy Mogiła.

W 1938 roku otrzymał Złoty Krzyż Zasługi.

Helena Cieślewicz – w okresie przedwojennym czynnie popierała działalność Katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Męskiej i Żeńskiej na terenie Bieńczyc, a w czasie wojny brała udział w pracach konspiracyjnych z narażeniem życia własnego i swojej rodziny.

Inwestycje

Jako dobry gospodarz Kazimierz Cieślewicz modernizował stary park maszynowy do upraw polowych, począwszy od nowych typów pługów konnych, wypielaczy konnych, tzw „oszczędności", które stały się bardzo pomocne w uprawach polowych warzyw i buraków pastewnych odchwaszczając międzyrzędzia.

Bardzo poważną inwestycją było kupno lokomobili parowej służącej do uruchamiania dużej wydajnej młocarni szerokomłotnej firmy Clayton Schutleworth. Zestaw tych maszyn bardzo usprawnił omłoty zbóż w obu gospodarstwach. Kupno siewnika typu Westfalia do nawozów sztucznych, wyeliminowało wysiew ręczny azotniaku, szkodliwego dla zdrowia pracowników ale bardzo dobrego dla wzrostu i plonu roślin. W roku 1938 wybudowano w gospodarstwie Bieńczyce nową i bardzo dużą stodołę, głownie z myślą o składowaniu bardzo cennych plonów zbóż kwalifikowanych. Na wiosnę 1939 roku rozpoczęto remont budynków mieszkalnych. Zaczęto od starych oficyn dla których remont był już konieczny. W następnej kolejności był przewidziany remont głównego budynku z doprowadzeniem wodociągu oraz wykonania kanalizacji; w dalszej kolejności miał być budowany nowy dom dla pracowników stałych oraz przeróbka starego domu („czworaków" stojących do dziś) dla ewentualnych pracowników sezonowych.

Wszystkie planowane prace budowlane zostały zatrzymane z chwilą wybuchu wojny. Nie dokończono również rozpoczętego remontu oficyn dworskich, które w tym stanie przetrwały do dnia dzisiejszego i swoim wyglądem straszą okolicznych mieszkańców.

Opisana przeze mnie gospodarka w majątkach Bieńczyce i Czyżyny dotrwała w tym stanie do wybuchu wojny 1 września 1939 roku. Oceniając społeczeństwo przedwojenne w naszych podkrakowskich warunkach z perspektywy dzisiejszych czasów, nie mogę wyjść z podziwu dla tych wszystkich ludzi, których miałem możność poznać, z którymi przyszło mi żyć i których miałem możność obserwować w różnych okolicznościach życiowych. Byłem i jestem z wielkim uznaniem dla ich wielkiej ofiarności, nie tylko dla własnej rodziny ale i dla całego Państwa, a może lepiej użyć słowa OJCZYZNA, bo dla wielu z nich, zwłaszcza dla pokolenia, które przeżyło pierwszą wojnę światową i pamiętało lata niewoli, słowo OJCZYZNA miało wielką wartość, o tę OJCZYZNĘ ówczesne pokolenia się modliły, a po jej odzyskaniu w 1918 roku pracowali dla jej odbudowy z całych sił i z wielkim entuzjazmem, patrząc jak z ich pracy powstawały nowe rzeczy, inwestycje, nowe drogi, nowe szkoły powszechne, techniczne, zawodowe, reaktywowane uniwersytety, teatry, filharmonie, budowane nowe szpitale (np. im. G. Narutowicza) i remonty starych (np. św. Łazarza), nowa klinika położnicza. Budowa nowoczesnego portu morskiego w Gdyni, powstawał nowy przemysł ciężki, zbrojeniowy (COP – Centralny Okręg Przemysłowy – Mielec, Dębica, Rzeszów), nowy przemysł przetwórczy – miedzy innymi Tymbark, i wreszcie nowa armia wyposażona w nowoczesną – jak na ówczesne czasy – broń choć ciągle jeszcze w niewystarczającej ilości. Zwłaszcza w lotnictwie, co zdecydowanie odbiło się na naszej klęsce wrześniowej w 1939 roku. Powracając jeszcze myślą do „wielkiej armii" ludzi tworzących nową Polskę, począwszy od pracowników fizycznych, poprzez młodzież gimnazjalną i akademicką, średnią warstwę techniczną a na nauczycielach i inżynierach wysokiej klasy fachowości kończąc, łączyły ich wspólne cechy: uczciwość, solidność w wykonywaniu powierzonej im pracy i wzajemnym szacunku. Nie należy zapominać, że ludzie ci pracowali w ciężkich warunkach ekonomiczno-gospodarczych i niekiedy niskich zarobkach, w związku z czym dochodziło do protestów strajkowych robotników (przemysłowych) np. w Krakowie i na Śląsku, ale władze potrafiły te spory rozwiązywać pozytywnie dla obu stron. To społeczeństwo wychowane w surowych warunkach życia codziennego, zdało egzamin dojrzałości ze swojego patriotyzmu w ciężkich latach okupacji, zyskując uznanie w oczach całego świata. Dzisiaj społeczeństwo polskie stoi przed ponownym – być może najcięższym – egzaminem, który nam wyznacza bieżąca historia naszego narodu, będzie to egzamin naszego sumienia.

W czasie II Wojny Światowej

Już w połowie 1939 roku wyczuwało się napiętą sytuację na arenie międzynarodowej wskazującą na możliwość wybuchu II wojny światowej a podpisanie traktatu o nieagresji między Niemcami a ZSRR w dniu 23.VIII.1939 r. ostatecznie dało do zrozumienia stronie polskiej, że agresja ze strony Niemiec jest nieunikniona. Dość osobliwy był to traktat zawarty pomiędzy dwoma państwami nie posiadającymi wspólnej granicy.

W sierpniu 1939 r. inż. Kazimierz Cieślewicz został mianowany pełnomocnikiem do spraw zaopatrzenia wojska na terenie gminy Mogiła. W związku z tym oddał do dyspozycji wojska swoje magazyny zbożowe w gospodarstwie Bieńczyce, oddał również dla wojska 3 pary koni z wozami i zaopatrzeniem paszy dla koni (z furażem) na 3 dni. Zaprzęgi te pochodziły z gospodarstwa w Czyżynach. Natomiast z Bieńczyc oddał na potrzeby wojska 15 krów i dużego buhaja który na czele stada został przepędzony do rzeźni na Grzegórzkach w Krakowie.

O ile mnie pamięć nie myli wycofujące się wojsko nie zdążyło już zabrać dla swoich potrzeb tych krów, które prawdopodobnie zostały rozkradzione. Wybuch wojny nastąpił jak wiadomo 1 września 1939 r. Pierwsze bombardowanie lotniska wojskowego w Rakowicach nastąpiło w piątek 1 września o godzinie 4.30 rano. Pomimo tego, że byliśmy wszyscy duchowo przygotowani, to pierwsze bombardowanie zrobiło na nas duże wrażenie. Najbardziej przeżył to nasz wujo Kazimierz, który w ostatnich tygodniach sierpnia całymi dniami był zajęty transportami – przychodzącymi i odchodzącymi – z żywnością dla wojska, a wieczorami i do późnych godzin nocnych wypełniał jakieś raporty i chyba różne szczególnie ważne pisma, bo najczęściej wypełniał je sam. Przez ostatnie dni sierpnia i pierwsze dwa dni września wujo pozostawał w Bieńczycach. Widzieliśmy, że był bardzo zmęczony fizycznie i psychicznie, był coraz bardziej nerwowy. Połowę naszego domu zajął sztab 2 pułku lotniczego z Rakowic.

Połowę naszego domu (dworu w Bieńczycach) od kilku dni zajmował Sztab 2 pułku lotniczego z Rakowic. 2 września 1939 r wieczorem sztab ewakuował się. 3 września wujo Kazimierz Cieślewicz zdecydował się również na opuszczenie naszego domu i późnym wieczorem – po odmówieniu ostatniej modlitwy którą wujo zaproponował „Pod Twoją obronę…"– opuściliśmy we trójkę – to znaczy wujo, ciocia Helena i ja – na piechotę (ja na rowerze) do Pleszowa. Pozostawiliśmy dom na opiece Bożej prosząc najbliższych sąsiadów Fimów i Biernacików oraz pracowników majątku o dozór nad tym co pozostawiliśmy.

W Pleszowie mieliśmy się spotkać – u przyjaciela wuja pana Rosiewicza – z ciocią Zosią, żoną wuja, która miała tam przyjechać z Czyżyn z dziećmi: Izabellą, Marysią i Wickiem oraz moją siostrą Oleńką. Po drodze wujo wstąpił do urzędu gminy w Mogile, zabrał jakieś ważne dokumenty, wziął mój rower chcąc być jak najszybciej w Pleszowie. W Pleszowie u pana Rosiewicza wujo dostał silnego ataku nerwowego – w okolicy nie było żadnego lekarza, więc ja pojechałem jednokonnym wózkiem po pana doktora Łowczowskiego do Bieńczyc. Doktora nie zastałem a na dodatek wojsko zarekwirowało mojego konia z wózkiem i mnie jako woźnicę. W międzyczasie ciocia Zosia w poniedziałek 4 września powozem z furmanem postanowiła wuja zawieźć do szpitala w Krakowie. Była to bardzo trudna podróż, główna droga do Krakowa była zatłoczona cofającym się wojskiem i tłumem cywilów uciekających w niewiadomym kierunku na wschód. Jechali bocznymi drogami prze łąki mogilskie, polami , obok kościoła św. Kazimierza przy ul Grzegórzeckiej, koło fortu u wylotu ul Kopernika gdzie doszło do tragicznego w skutkach nieporozumienia z oddziałem obrony terytorialnej w wyniku którego wujostwo zostali ranni. Po przewiezieniu do szpitala, tak zwanej Czerwonej Chirurgii, w godzinach wieczornych Kazimierz Cieślewicz zmarł. Ciocia Zosia niespokojna o los dzieci, po dwóch dniach wypisała się ze szpitala i dotarła do Pleszowa. Tam spotkała resztę rodziny, która wróciła z „uciekinierki" – z perspektywy lat bezsensownej powszechnej ucieczki na wschód.

Śmierć wuja Kazimierza przeżyliśmy wszyscy bardzo głęboko. Żałoba która zaciążyła na całej rodzinie pozostawała smutnym wspomnieniem przez wiele lat. Następował nowy etap w historii Narodu Polskiego i również nowy etap w życiu naszej rodziny – życie pod okupacją niemiecką.

Wybuch II wojny światowej zmienił diametralnie warunki życia jak również załamanie się gospodarki w obydwu majątkach: Bieńczycach i Czyżynach. Zaważyła na tym w poważny sposób tragiczna śmierć mojego wuja inż. Kazimierza Cieślewicza w czwartym dniu wojny.

Restrykcje prawne i gospodarcze wprowadzone przez okupanta natychmiast po zajęciu ziem II Rzeczypospolitej były zbyt trudne do zniesienia przez większość społeczeństwa. Gospodarstwa rolne były zmuszone oddawać tak zwane kontyngenty to znaczy zboże, ziemniaki, mięso, mleko, w zależności od posiadanego areału ziemi, za co dostawały co prawda oprócz tak zwanej „ceny maksymalnej" dodatki w postaci „kartek" przydziałowych na żelazo dla potrzeb gospodarskich, wódkę (planowa akcja rozpijania społeczeństwa polskiego), skórę niezbędna do napraw uprzęży koni, a także na zelówki do butów, naftę do lamp lub ropę do motorów spalinowych używanych np. do omłotów zboża. Były też kartki na buty i ubrania robocze.. Wszystkie te produkty były wydawane w Krakowie w wyznaczonych terminach i zwykle w niewystarczających dla potrzeb gospodarstwa ilościach.

W tych warunkach przyszło gospodarować dwóm kobietom na dwóch gospodarstwach – Helena Cieślewicz w Bieńczycach i Zofia Cieślewicz w Czyżynach. Obie odznaczały się wyjątkowymi cechami charakteru: wielkim patriotyzmem, chęcią niesienia pomocy osobom , które znalazły się w ciężkich warunkach materialnych, zagrożonym ze strony okupanta – tym wszystkim starały się obie ciocie pomagać w miarę swych sił i możliwości materialnych. Obydwie były uosobieniem dobroci i odwagi, choć każda na swój sposób. Ciocia Zosia pomimo braku przygotowania teoretycznego do prowadzenia gospodarstwa – była raczej dystyngowaną damą z widocznym w każdym calu wpływie życia stolicy gdzie się wychowała – bardzo szybko potrafiła się przystosować do nowej dla niej sytuacji i z całą energią wzięła się za prowadzenia gospodarstwa w zupełnie nowych narzuconych

przez okupanta warunkach. Według mojego – młodego 16-latka być może nie we wszystkim zorientowanego – ciocia Hela wydawała się być bardziej załamana wszystkimi nieszczęściami jakie dotknęły naszą rodzinę. W pierwszych miesiącach wojny – październik, listopad 1939 r – ciocia Hela pomogła cioci Zosi we wdrażaniu się w prowadzenie gospodarstwa w Czyżynach. Wkrótce okazało się, że ciocia Zosia bardzo szybko opanowała organizację pracy i pomimo tego, że miała na głowie wychowanie trójki dzieci, pod względem organizacji i wydajności ekonomicznej przegoniła Bieńczyce. Wynikało to również z innego kierunku gospodarczego Czyżyn nastawionych na produkcję ogrodniczą przy rolniczej specjalizacji Bieńczyc.

W Bieńczycach skończyła się produkcja warzyw na większą skalę w uprawie polowej. To co można było zebrać jesienią 1939 roku to się z wielka biedą zebrało. W kraju panował głód i dlatego rozpowszechniło się złodziejstwo warzyw z pola. Co prawda Niemcy bardzo tępili złodziejstwo, ale nikt z Polaków nie poszedłby na policję niemiecką zgłosić, że głodni Polacy kradną.

Bardzo dobra przed wybuchem wojny bieńczycka obora, po dostawach dla wojska polskiego, zmniejszona ilościowo do połowy – była mniej wydajna. Na produkcję zbóż miały również wpływ wysokie ceny nawozów sztucznych w stosunku do ceny odstawianych zbóż. Należy też otwarcie powiedzieć, o sabotowaniu przez zaniżanie produkcji aby okupantowi nie dostarczać zbyt wiele zboża. Wiadomo było, że dla prowadzenia wojny Niemcy potrzebowali dużej ilości żywności. Na ile ta polityka niskich plonów była słuszna trudno powiedzieć, bo kontyngenty i tak musiały być oddawane, a nadprodukcję można było nielegalnie przeznaczyć dla głodnych ludzi. W praktyce nie było to łatwe bo Niemcy bardzo szybko zorientowali się w czym rzecz.

Ogólnie biorąc produkcja rolna w obydwóch gospodarstwach zaczęła spadać za wyjątkiem ogrodnictwa w Czyżynach, które dzięki dobrej organizacji pracy prowadzonej przez ciocię Zosię i rynkowi zbytu w Krakowie utrzymywała się na względnie dobrym poziomie. Należy jednak pamiętać, że każda rzecz, czy transakcja handlowa musiała być drobiazgowo przemyślana bo każda „wpadka" była zagrożona jeśli nie śmiercią to konfiskatą majątku. W drugim roku wojny polowa pól uprawnych w Bieńczycach to jest około 60 ha została zabrana pod lotnisko wojskowe. Pola zostały poprzecinane pasami betonowymi służącymi do kołowania samolotów – głównie myśliwskich Meserschmittów 109 i 109F, a w późniejszych latach także Focke-Wulf Fw-190 A z silnikami BMW 801, 14 cylindrowymi w układzie podwójna gwiazda o mocy 643 kM, uzbrojone w 2 karabiny maszynowe, 4 działka 20 mm i 250 kg bomb – na stanowiska postoju chronione z dwóch stron ochronnymi wałami ziemnymi o wymiarach: 20 m długości, 4,5 – 5,0 m wysokości i 3,5 m szerokości u podstawy. W miarę postępów armii niemieckiej na wschodzie w 1941 r, dowództwo lotniska zapowiedziało możliwość zabierania dalszych hektarów uprawnej ziemi. I tak się stało – w latach 1942-43-44 zabrano dalszych 40 ha, co w zasadzie przekreślało możliwość działania gospodarstwa. Niemcy co prawda pozwalali na uprawę zbóż między stanowiskami samolotów – bardziej chyba dla maskowania samego lotniska niż plonów, ale prace agrotechniczne wśród takiej szachownicy pól i dróg, nastręczała wiele trudności technicznych przy stosowaniu narzędzi i maszyn rolniczych. Bardzo utrudniony był siew zbóż ale najgorsze były żniwa ze względu na nierównomierne dojrzewanie zbóż. Żniwa się przedłużały a i jakość ziarna była marna. W tej sytuacji ciocia Hela zdawała sobie sprawę, że gospodarstwo Bieńczyce skazane jest na upadek. Pomimo tego starała się produkcję upadającego gospodarstwa utrzymać na poziomie zapewniającym dotychczasowej liczbie pracowników fizycznych zatrudnienie do obsługi inwentarza, krów, koni i trochę nieformalnie chowu trzody chlewnej . Konieczność wyżywienia stale rozrastającej się ilości domowników, powodowała potrzebę chowu – oprócz oficjalnie dozwolonej kontyngentowej liczby – zawsze kilka co najmniej 2-3 sztuki więcej. Ilość domowników w zależności od sytuacji w kraju rzeczywiście stale się zmieniała z tendencją wzrostową, bo niektórzy przebywali przez określony czas. Tak np. było z rodziną wujostwa Larków z trójką dorastających dzieci Heleną, Marylą i Tadeuszem wysiedlonych ze Śmigla w województwie poznańskim. Wujostwo zwłaszcza bardzo aktywna Ciocia Juta dzięki biegłej znajomości języka niemieckiego wystarała się o mieszkanie w Krakowie do którego przenieśli się po kilku miesiącach. Nigdy nie było wiadomo ile osób zasiądzie do stołu, bo wiele osób znajomych z Krakowa i okolic często odwiedzało nasz dom, po prostu szukając źródła zaopatrzenia w żywność. Trudno mi dziś ustalić liczbę domowników, ale prawie nigdy ilość ich nie spadała poniżej 10 – 12 osób do roku 1941. W roku 1942 lub z początkiem 1943 dokładnie nie pamiętam, ciocia Helena została powiadomiona przez – jak sądzę władze konspiracyjne AK – czy podjęła by się przechowania przez okres okupacji pewnej rodziny, którą należałoby fikcyjnie zatrudnić w majątku, z zachowaniem możliwie daleko posuniętej dyskrecji ze względu na ich pochodzenie. Po krótkim namyśle i poleceniu modlitwom sióstr z klasztoru Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach, które rezydowały wówczas w kaplicy tak zwanym Dworku w Bieńczycach , zgodziła się na przyjęcie rodziny państwa Kellerów wraz z córką Jadzią. Mąż został zatrudniony jako księgowy, chociaż księgowość prowadziła wówczas początkowo ciocia Juta i wujo Symforian Larkowie, a następnie do końca wojny pani Marysia Trznadel z Bieńczyc. Pan

Keller mnie przedstawił się jako lekarz stomatolog, ja domyślając się kto zacz, nigdy więcej nie dopytywałem się, a rozmawialiśmy coraz częściej, jeżeli tylko byłem w domu, na tematy aktualne to znaczy co się dzieje na frontach całego świata. Nigdy jednak nie informowałem go o nasłuchu radiowym jaki prowadziłem z rozkazu komendanta AK pana Jana Kotyzy. Odbywało się to w sytuacji kiedy połowę naszego domu mieszkalnego zajmowali Niemcy. Na szczęście były to tabory wermachtu i to obsługiwane przez konie, dla których musieliśmy opróżnić nasze stajnie końskie. Nasze już tylko 3 pary koni przenieśliśmy do obory. Z czasem trzeba się było jeszcze bardziej ścieśniać i oddać wojsku niemieckiemu połowę obory. Na podwórzu dzień i noc był wartownik, któremu się meldowało gdzie się idzie. Miało to dobre i złe strony, dobre bo jak mówi przysłowie, najciemniej jest pod latarnią, a złe bo każdy kto do nas przychodził musiał się wartownikowi opowiadać. Te zwyczaje na szczęście nie były stale stosowane i sądzę, że zależały albo od jakichś wydarzeń na terenie województwa krakowskiego, albo nadgorliwości szefa jednostki, którym był najczęściej plutonowy lub sierżant z reguły nie grzeszący inteligencją, co było nam również na rękę. Państwo Kellerowie w czasie pobytu w Bieńczycach dwukrotnie zmieniali nazwisko co osobiście uważałem za konspiracyjny błąd, ale na szczęście Niemcy tolerowali majątki ziemskie ze względu na produkcję żywności i jeżeli nie okazywało się wyraźnej arogancji czy ostentacyjnej niechęci nie starali się być dokuczliwi i na szczęście dociekliwi. Sam doświadczyłem tego, wdając się z żołnierzami w pogawędki, najczęściej na tematy gospodarcze, które ich bardzo interesowały, a ja przy okazji szlifowałem swoją znajomość języka niemieckiego wyniesioną z gimnazjum. Często w rozmowach prosiłem żołnierzy aby mnie uczyli prawidłowego wymawiania, co im się bardzo podobało i mnie też. Zyskałem sobie nawet sympatię u n niektórych, mówili do mnie per Junge Szef czyli „młody szef" i jak wieczorem wychodziłem z domu oddawaliśmy sobie nawzajem honory przez salutowanie. Kilkakrotnie udało mi się rozmawiać z wachmanem udając, że się wybieram z dziewczyną a wycieczkę, a w plecaku miałem aparat radiowy i baterie, który przenosiłem w inne miejsce gdzie była lepsza słyszalność BBC z Londynu. Treść komunikatu starałem się najdokładniej notować i przekazywać Cioci Heli, która o odpowiedniej porze dnia, zwykle przed południem kiedy żołnierze byli zajęci porządkami w stajniach i na podwórzu bądź tez byli gdzieś na rozjazdach, Ciocia przepisywała to na maszynie, druga osoba ubezpieczała siedząc przy oknie. Komunikaty te dostarczane były komendantowi placówki AK, a następnie BCh panu Janowi Kotyzie. Za posiadanie maszyny do pisania lub radia groziła kara śmierci a w najlepszym przypadku obóz koncentracyjny plus straszne przesłuchanie, którego większość przesłuchiwanych nie przetrzymywała. Powracając do państwa Kellerów, należy z uznaniem przyznać, że jeżeli chodziło o praktyki religijne zachowywali się bezbłędnie, co niedzielę chodzili z nami do Dworku na mszę świętą i przyjmowali komunię świętą. Ja nie widziałem ich przystępujących do spowiedzi ale byli tacy którzy to widzieli. Trochę gorzej szło im ze śpiewaniem pieśni kościelnych. Prawdopodobnie większość społeczności Bieńczyc zdawała sobie sprawę, że to jest rodzina żydowska, na co wskazywały charakterystyczne rysy twarzy zwłaszcza pani Kellerowej, która zresztą wyraźnie unikała spotykania się z ludźmi. Nikt jednak nie zdradził. Sądzę, że zadziałało katolickie poczucie obowiązku ratowania człowieka, któremu grozi śmierć. Nie bez znaczenia było zaufanie jakie wieś miała do dworu, a ściślej do Cioci Heli nazywanej na co dzień Panienką. Ludzie uważali, że jeśli Panienka podjęła takie ryzyko, to widocznie tak ma być. Potwierdzeniem były stałe kontakty Cioci z zakonnicami z Łagiewnik oraz fakt, że księża wikariusze z parafii Raciborowice sprawujący posługę dla Bieńczyc w Dworku mieszkali i stołowali się u nas. Po trzecie wreszcie, wielu musiało sobie zdawać sprawę, że takiej zdrady która skończyłaby się bez wątpienia śmiercią zadenuncjowanych, ale i bardzo prawdopodobną śmiercią donosiciela. Jeżeli by nawet Niemcy okazali tyle łaskawości dla donosiciela, że nie zabiliby go a zaproponowali mu współpracę, to czekała go niechybna śmierć z rąk oddziałów specjalnych AK do likwidacji zdrajców. Tak czy inaczej społeczność Bieńczyc in gremio zasłużyła sobie na uznanie ich jako „Sprawiedliwych wśród Narodów Świata". A jak podziękowali za to państwo Kellerowie? Po prostu wyjechali i ślad po nich zaginął.

Ciocia Helena nie mając własnych dzieci stale miała jakieś dzieci „na wychowaniu". Począwszy od mojej skromnej osoby i mojej siostry Aleksandry, Oleńki, a skończywszy na dwóch dziewczynkach uważanych za sieroty. Jedną z nich była Jasia Rutowicz lub Rutkowska. Dziecko to zostało podrzucone pod furtę Klasztoru Sióstr Miłosierdzia Bożego w Warszawie, o ile pamiętam przed wybuchem powstania w getcie warszawskim. Chyba dla lepszego bezpieczeństwa dziecko zostało przewiezione z Warszawy do Krakowa Łagiewnik, skąd zakonnice przywiozły ją do Bieńczyc i powierzyły jej wychowanie Cioci Heli. Jasia była bardzo miłą i słodką dziewczynką o długich blond włosach. Była bardzo kochana przez Ciocię Helę i moją siostrę Oleńkę. Ja miałem z nią mniej styczności, bo w tym czasie rzadko bywałem w domu. Wiem, że Ciocia i Oleńka przy pomocy wikariusza naszej parafii w Raciborowicach, księdza Franciszka Szymonka, który w tym czasie na zmianę z księdzem Adamem Bielą mieszkał u nas, bardzo solidnie przygotowali ją do przyjęcia Pierwszej Komunii Świętej, którą przyjęła wraz z innymi bieńczyckimi dziećmi w 1944 roku w Dworku. Zaraz po wojnie odnalazła się jej matka, która

również w szczęśliwy sposób przeżyła zawieruchę wojenną. Przyjechała do Bieńczyc, przedstawiła się kim jest i zabrała swoja córeczkę prawdopodobnie do Francji. Ciocia Hela oczywiście oddała dziecko i o ile ją znam nie wzięła jakiegokolwiek pisemnego oświadczenia. Jedyna nagrodę o jaką Ciocia prosiła to wychowanie Jasi w wierze katolickiej na co mamusia Jasi zgodziła się. Ciocia Hela, mając na uwadze dobro psychiczne dziecka, nie chciała utrzymywać kontaktów ani korespondencji, która i tak z uwagi na niepewne czasy powojenne byłaby utrudniona. Jesienią 1944 roku po upadku Powstania Warszawskiego, tysiące warszawiaków musiało opuścić zniszczoną stolicę i szukać schronienia poza Warszawą. Wielu z nich z nich trafiło do Krakowa i okolic miedzy innymi do Czyżyn i Bieńczyc. Do naszego domu została przydzielona rodzina państwa Wrońskich z córką Danusią, sanitariuszką z powstania i synem Zbyszkiem w moim wieku. Wspomnienia o tych bardzo sympatycznych ludziach, którzy zgodzili się mieszkać w dość prymitywnych warunkach w oficynach bo w połowie naszego domu mieszkalnego po prostu nie było miejsca. Z osobą córki państwa Wrońskich Danusią wiąże się niecodzienny wypadek z udziałem mojego kolegi z konspiracji Eugeniusza Hajty. Danusia Wrońska w tym czasie znalazła sobie pracę jako pielęgniarka u miejscowego lekarza pana Łowczowskiego. W naszym domu w lutym 1945 roku mieliśmy codziennie zmieniające się kwatery żołnierzy radzieckich. Pewnego dnia przyjechało trzech oficerów i zakwaterowali się w moim kawalerskim pokoju, na piętrze w oficynach, bo połowę naszego domu mieszkalnego zajmowali szeregowi żołnierze. Na drugi dzień wojsko odjechało ale ci trzej oficerowie zostali w moim pokoju.

Złożyło się tak pechowo, że jednym z oficerów był NKWDzista, a jeszcze większym nieszczęściem był fakt, że do mojego pokoju, który w czasie okupacji niemieckiej był punktem kontaktowym dla żołnierzy AK i BCh, przyszli koledzy z konspiracji Eugeniusz Hajto i Jan Bochenek. Nie sprawdziwszy w domu mieszkalnym czy jestem i jaka jest sytuacja we dworze, zapukali i Gienek Hajto wszedł do mojego pokoju i ku swemu całkowitemu zaskoczeniu został momentalnie sterroryzowany bronią i z rękami do góry szczegółowo zrewidowany. Mój kolega miał przy sobie pistolet i poufne pisma z dowództwa AK w tym instrukcję jak Armia Krajowa ma zachować się w stosunku do Armii Czerwonej ZSRR. Eugeniusza Hajtę po rewizji oficerowie uznali za szpiega i porucznik z NKWD postanowił natychmiast wyprowadzić go za stodołę i rozstrzelać. Doszło do sprzeczki pomiędzy oficerami bo kapitan, który umiał czytać po polsku i zrozumiał treść pisma spojrzał na Gienka i według jego późniejszej relacji powiedział jedno słowo „durak" czyli głupiec, wyraźnie postanowił Gienka bronić i nie chciał oddać papierów NKWDziście mówiąc, że są zupełnie mało ważne. Ale pomimo, że był starszy rangą musiał ulec młodszemu rangą przedstawicielowi NKWD. W międzyczasie wiadomość o wpadce i planowanej egzekucji dotarła do mieszkańców dworu. Babcia Izabella Cieślewicz zarządziła natychmiast modlitwę do Świętego Tadeusza Judy patrona spraw beznadziejnych, dowiedzieli się również mieszkający na dole w oficynach państwo Wrońscy wysiedleni z Warszawy. Na tę wiadomość ich córka bardzo energiczna osoba, kazała sobie powiedzieć jak wygląda kolega, którego mają rozstrzelać i oświadczyła, że ona powie, że jest jego narzeczoną. Ja byłem zdecydowany bronić kolegi za wszelką cenę, wziąłem swój doskonały pistolet i krzakami nad stawem przedostałem się za budynek czworaków by tam schowany czekać na idących na egzekucję, aby z zasadzki zastrzelić prowadzących Gienka żołnierzy i próbować ratować kolegę bez względu na następstwa. Tymczasem na podwórzu, według relacji Cioci i Babci, rozegrała się scena jakby żywcem wzięta z Sienkiewiczowskich Krzyżaków, kiedy to Danuśka Jurandówna nakryła nałęczką czyli chustą prowadzonego na szafot Zbyszka z Bogdańca i z okrzykiem „Mój ci jest" uratowała go od ścięcia katowskim toporem. Takie bowiem wtedy obowiązywało, prawo zwyczajowe. Nasza Danusia Wrońska rzuciła się na szyję Gienka prosząc oficerów radzieckich o ułaskawienie narzeczonego. Zapobiegliwy ojciec Danusi pan Wroński zaproponował załagodzić sprawę alkoholem co zyskało aprobatę i Gienek został zwolniony. Ja nie od razu wróciłem do domu. Zarówno ja, Gienek Hajto jak i wszyscy uczestnicy zdarzenia, byliśmy pewni, że dzięki Opatrzności Bożej i wstawiennictwu świętego Tadeusza udało się uniknąć niechybnej tragedii. Zdarzenie to przypominam jako jedno z licznych podobnych zdarzeń które miały miejsce w Bieńczycach, Krakowie i okolicy ale nie czas tu ani miejsce na te wspomnienia. Wypadki wojenne nie ominęły również drugiej mojej Cioci Zofii Cieślewiczowej wdowy po świętej pamięci Kazimierzu Cieślewiczu. Ciocia Zosia, jak już wspominałem gospodarzyła w Czyżynach organizując prace w polu i ogrodzie warzywnym oraz wychowując trójkę dzieci. Nie miała wykształcenia rolniczego i musiała szybko nauczyć się wielu spraw związanych z prowadzeniem gospodarstwa. Pomocni byli starzy przedwojenni pracownicy jak na przykład furman Tadeusz Jarosz, kowal Ignacy Janecki którzy dobrze pamiętali pracę pod kierunkiem śp. Kazimierza Cieślewicza. Życie pod okupacją niemiecką nie szczędziło Cioci wielu przykrych, ale i niebezpiecznych przeżyć, które na szczęście zakończyły się pomyślnie. Ze względu na bliskość lotniska w Rakowicach polowa domu mieszkalnego podobnie jak w Bieńczycach była okresowo zajęta przez wojsko niemieckie z obsługi naziemnej luftwaffe, tabory konne lub inne jednostki. Szczególnie dokuczliwa była obec-

ność na kwaterze oficera wermachtu odpowiedzialnego za odstawianie kontyngentów. Mówiący dość dobrze po polsku Herr Herzig był agresywny w stosunku do okolicznych gospodarzy, a kulturalny sposób bycia mieszkańców dworu doprowadzał go do wściekłości szczególnie gdy był pijany co mu się prawie codziennie zdarzało. Był bardzo groźnym organizatorem wywozów ludzi na przymusowe roboty do Niemiec. Dbał też o rodzinę w Niemczech wysyłając im paczki z żywnością, futrami i innymi zdobywanymi drogą łapówek przedmiotami. Był powszechnie znienawidzonym, butnym prymitywnym przedstawicielem rasy panów, wychowanym na propagandzie rasizmu. W przypadkach pijackiej agresji wzywano na pomoc sąsiada sołtysa Andrzeja Malinowskiego, który z racji piastowanego urzędu miał kontakty i pewien wpływ na agresora. Spokojnym głosem tłumaczył „To nie szlachcianka to porządna kobita", a wzmacniając argumenty alkoholem uspokajał agresora. Najlepiej jednak działał na Herziga stróż nocny Górnikiewicz od lat pracujący w Czyżynach, lubiany i szanowany za punktualność , spokój i solidność. W zasadzie obowiązki pilnowania w nocy pełniły wielkie wilczury, które wypuszczał po godzinie 22 i wtedy nawet domownicy musieli czekać aż stróż zamknie psy. Kiedy Herzig w swoich pijackich wyczynach szukając towarzystwa usiłował zmuszać go do picia wódki wymyślił sprytny sposób – pytał się pijanego Niemca czy też widział ducha świętej pamięci Inżyniera (inż. Kazimierza Cieślewicza), który stał na tarasie i jak miał w zwyczaju wzywał stróża nocnego, aby mu przypomnieć o konieczności napompowania ręczną pompą wody do wodociągu domowego i do podlewania inspektów? Kiedy Niemiec próbował wątpić – Górnikiewicz powoływał się na świadectwo psów które na widok ducha kuliły się ze zjeżoną sierścią. Na dodatek stróż mówił, że duch inżyniera przypominał o obowiązku pilnowania rodziny Cieślewiczów i aby ostrzegł Niemca, że jeśli będzie chciał zrobić jakąś krzywdę domownikom to sam najpierw zginie. Herzig niby wyśmiał starego człowieka, ale kiedyś w pijanym widzie wypadł w nocy na taras krzycząc, że nieboszczyk przesuwa mu meble w pokoju. Górnikiewicz spokojnie wyjaśnił, że to nic dziwnego bo mieszka w dawnym pokoju Inżyniera. Normalne kwatery żołnierzy szczególnie z taborów były dla mieszkańców dość znośne, a dla najmłodszej latorośli kilkuletniego Wicka Cieślewicza i jego niewiele starszego kolegi Jurka Jarosza wręcz atrakcyjne. Chłopcy przynosili żołnierzom jabłka i pomidory, a uzyskawszy ich zaufanie mogli zobaczyć jak wygląda na przykład pistolet parabellum 9 mm i usłyszeć od Niemców , że jest „prima". Kiedy zapytał się mnie co to znaczy „prima", odpowiedziałem, że bardzo dobry. Chłopcy oglądali również karabiny mauzer i amunicje do nich. Chłopcom oczywiście bardzo się to podobało. Często byłem zaskakiwany pytaniami mojego kuzynka Wicka np. jakie pistolety i karabiny są najlepsze, nie podejrzewając nic złego dawałem szczere i prawdziwe odpowiedzi, że najlepszym karabinem używanym w wielu armiach, między innymi i w armii polskiej był mauzer, a najlepszym pistoletem w armii polskiej był WIS 9 mm, zaś w niemieckiej parabellum 9 mm. Na pytanie dlaczego o to pyta, Wicek wyjaśnił, że ich znajomy żołnierz pokazywał im pistolet parabellum. Te krótkie rozmowy kończyły się zwykle bez komentarza – do pewnego czasu. Moje wizyty w Czyżynach stawały się coraz częstsze. Byłem dumny, że po ukończeniu Szkoły Rolniczej w Czernichowie mogę Cioci doradzać w sprawach prac polowych. Chłopcy, a zwłaszcza Wicek zasypywali mnie różnymi aktualnymi pytaniami głównie dotyczącymi wojny. Na przykład dlaczego Polska przegrała kampanię wrześniową, czy Niemcy są silniejsi od Rosjan, jakie typy samolotów latają nad Czyżynami i Krakowem, jakie są na lotnisku w Rakowcach itd. itp. Na te wszystkie pytania starałem się dawać rzeczowe, ale nie za bardzo szczegółowe odpowiedzi. Rok 1944 to był już rok niepowodzeń „niezwyciężonej" armii niemieckiej, tak na froncie wschodnim jak i na zachodzie, gdzie alianci mieli absolutną przewagę w powietrzu. Porażki doznał także osławiony „Afrika Korps" – korpus afrykański. Niepowodzenia te spowodowały złagodzenie stosunków butnej dotychczas administracji niemieckiej w stosunku do ludności polskiej. Ale równocześnie docierały wieści o tym, że Niemcy na ulicy w Krakowie zrobili obławę i wywieźli ludzi do obozów śmierci lub „łapanka" i wywózka na roboty do Niemiec. A to szła wieść, że Niemcy znowu rozstrzelali zakładników na forcie w Krzesławicach. Te wszystkie fakty dawały chłopcom dużo do myślenia, do tego dochodził patriotyzm rodzinny wpajany dzieciom czy to z okazji świąt i rocznic patriotycznych, a także przez wspólną wieczorną rodzinną modlitwę w intencji członków rodziny, którzy poszli na wojnę, ale przede wszystkim modlono się o Wolną Polskę. Na skutek represji okupanta wytworzyła się coraz silniejsza solidarność społeczna objawiająca się miedzy innymi ostrzeganiem przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Wystarczyło, że we wsi pojawiła się grupa żołnierzy, którzy zaczęli chodzić po domach, a momentalnie rodzice wysyłali chłopaków do sąsiadów z informacją, że Niemcy są we wsi i czegoś szukają. To był sygnał, by w ciągu kilkudziesięciu minut wieś była w pogotowiu, a to co trzeba było ukryć zostało ukryte. Powracając do naszych chłopców w Czyżynach, Wicka i Jurka, należy podkreślić, że wszystkie wydarzenia życia codziennego sprawiły, że nasi mali – jak się okaże – bohaterowie zaczęli baczniej przyglądać się swoim wojskowym znajomym. Wśród miejscowego społeczeństwa rozchodziły się wiadomości o polskich partyzantach, których działalność nasilała się z dnia na dzień i obrastała niekiedy w legendy. W dniu 24 kwietnia 1943 roku Czyżyny były świadkiem przemarszu ma-

łego oddziału partyzanckiego, który miał zlikwidować Obergruppenfuhrera Friedricha Wilhelma Krugera – zamach się nie udał, a w operacji tej zginął syn kierownika szkoły w Czyżynach Zbyszek Marszałek. Niechlubnie w tej akcji zapisał się jeden z polskich policjantów w służbie niemieckiej. Ten i wiele innych wypadków natury wojskowej pobudzały wyobraźnię chłopców, którzy chcąc w jakiś sposób pomagać polskim partyzantom zaczęli podkradać amunicję z podręcznego magazynku, który Niemcy urządzili w niedokończonym garażu pod tarasem przed wejściem do domu mieszkalnego. W tym garażu najczęściej były prowadzone przyjacielskie, rozmowy chłopców z żołnierzami. Na gwoździach wbitych w ściany wisiały pasy z ładownicami, karabiny na pasach jak również pasy z kaburami i pistoletami typu „parabellum", wymarzona broń krótka partyzantów. Nasi chłopcy rozpoczęli swoją działalność „zaopatrzeniowców" od wypatrzenia , że w czasie mycia wozu taborowego w stawie, zsunęły się do wody źle zabezpieczone kartony z amunicją do mauzera. Dwa kartony żołnierze wyciągnęli z wody a dwa rozleciały się i żołnierzom nie chciało się wyciągać ich z wody. Natomiast chłopcy skrupulatnie wszystkie – zakonserwowane smarem – wyciągnęli. Następne podkradali z magazynu. Każdy magazynek tak zwana łódka miała 5 naboi w gwarze partyzanckiej zwanych „pestkami". Odbiorcą byłem z konieczności ja, bo chłopcy podejrzewali mnie o jakieś konszachty z partyzantami, chociaż nigdy – o ile pamiętam – nic im na ten temat nie mówiłem. Stare przysłowie mówi, że apetyt rośnie w miarę jedzenia – w myśl tej zasady nasi bohaterowie pomyśleli, że jest już czas najwyższy, aby zmienić zakres zainteresowań na bardziej praktyczne przedmioty za jakie uważali pistolety parabellum. Od pomysłu do realizacji czas był krótki, tym bardziej że zaczęły chodzić słuchy o odjeździe wojska z majątku. Kiedy pewnego dnia przyszedłem do Czyżyn i siedziałem w tzw małym pokoju, Wicek z tajemniczą, ale rozradowaną i dumna miną przyniósł mi piękny pistolet „parabellum". Byłem zaskoczony – najpierw radość a potem szybkie pytanie: Skąd to masz? Skąd wziąłeś? Wicek spokojnie wyjaśnił, że na ganku wisi pas z kaburą i zaraz może przynieść ten pas, tylko musi podstawić stołek bo pas wisi wysoko i nie mógł dosięgnąć. Szybka analiza sytuacji i polecenie: Natychmiast odnieś na miejsce! Zdziwienie ale i opór w oczach chłopca, więc szybko dodaję: To jest rozkaz! W tej sytuacji posłuszny ale nie przekonany Wicek odniósł pistolet pozostawiony przez Niemca po drodze – ja wiedziałem, że brak broni musiał być szybko zauważony (być może brak w magazynie nie byłby tak szybko wykryty i dlatego pytałem skąd był ten pistolet) i podejrzenie musiało paść na mieszkańców domu lub na mnie gdyż nikt obcy w tym czasie do domu nie wchodził. Znałem z sąsiednich wsi przykłady represji w stosunku do mieszkańców w przypadku utraty broni żołnierzy niemieckich. Nie znam wielu szczegółów w jaki sposób Wicek z Jurkiem organizowali swoją konspiracyjną działalność, nie mieli przecież żadnego przeszkolenia w tym kierunku i musieli zawierzyć własnej pomysłowości i inteligencji. Dlatego starałem nie wciągać ich w działalność konspiracyjną i możliwie chronić tych najmłodszych partyzantów w batalionie „Pająk" 6 Dywizji Piechoty AK, w którym do końca wojny działałem jako sierżant podchorąży. Nie trudno się domyślić, że działalność „partyzancka" chłopców nie była zauważona przez mamę Wicka i przez ojca Jurka, którzy nie byli zorientowani co chłopcy robią. Tym bardziej, że w czyżyńskim dworze odbywało się tajne nauczanie, okresowo przechowywano ukrywające się osoby był punkt kolportażu „bibuły" czyli tajnych „gazetek". Opatrzności Bożej należy dziękować, że w czasie jednej z ostrych rewizji w domu. Niemcy przegapili nie tylko gazetki w szafce nocnej (zdenerwowani zamkniętą na kluczyk szufladą nie zauważyli leżących w otwartej części gazetek), mapy przedwojennej Polski i Europy za szafą ale także nie dostrzegli 30 naboi w 6 „łódkach", które Wicek tylko na chwilę schował w kartonowym pudełku za nogą szafy.

Wielopole, marzec 2008 r *Andrzej Świerczewski*



Władysław Cieślewicz z Grębałowa, lata 30. XX w.



Maria z Miklaszewskich i Józef Cieślewiczowie z Wadowa, ok. 1900 r.



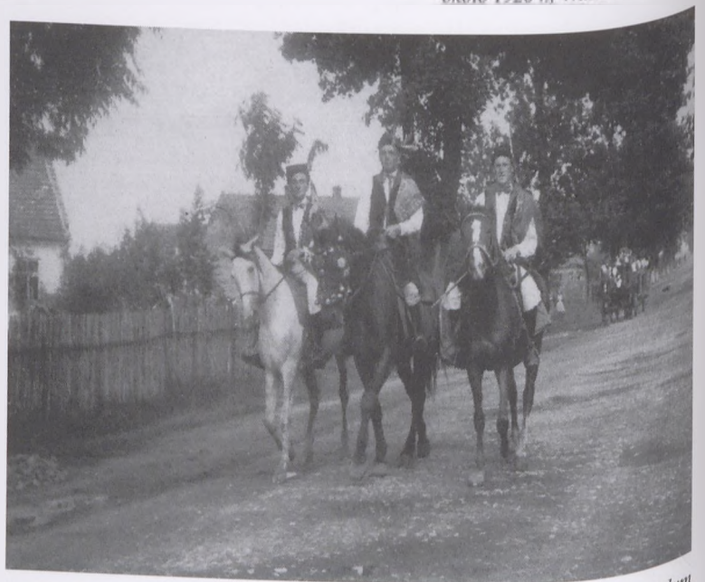
Kazimierz Cieślewicz z żoną Zofią i dziećmi, od lewej: Izabellą, Wincentym i Marią. Czyżyny, ok. 1938 r.



Jadwiga Cieślewicz, córka Józefa, około 1920 r., Wadów



Jasia Rutkowska w czasie I Komunii Świętej w 1944 r., (ukrywana podczas wojny w Bieńczycach przez Helenę Cieślewicz)



Banderia konna prowadząca korowód dożynkowy, pierwszy z lewej jedzie na białym koniu Andrzej Świerczewski, ? , Józef Ciepiela, Bieńczyce, 1946 r.











Dwór, służba i gospodarstwo rolne w Bieńczycach, lata 20-30. XX w., fot. Jadwiga Świerczewska z d. Cieślewicz









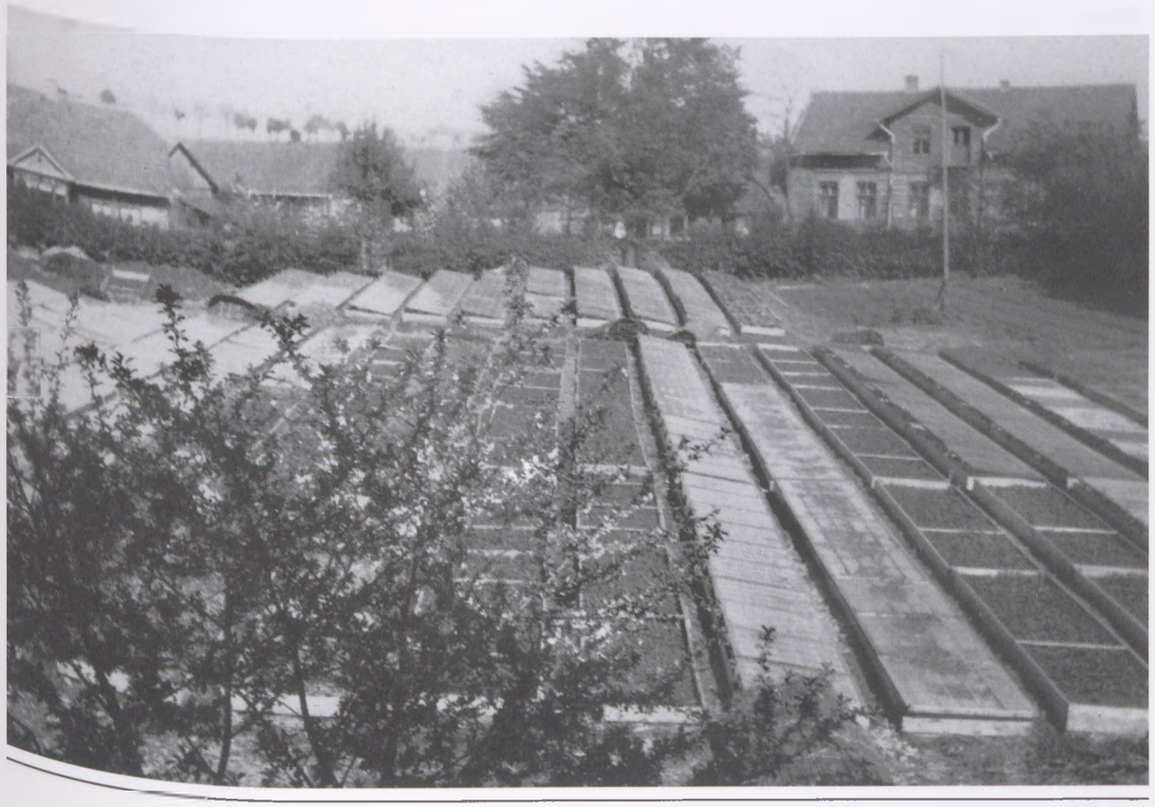
Jedno z nielicznych zdjęć szlaku mogilskiego: pociąg relacji Mogiła-Kraków z parowozem Th24 wraca ze składem osobowym do Krakowa. Fotografia wykonana na polu dzierżawionym przez Kazimierza Cieślewicza, lata 20. XX w.

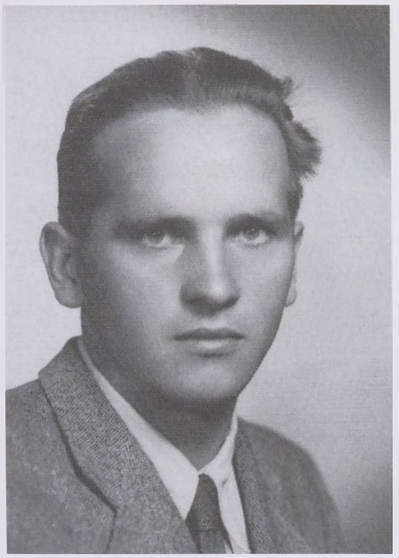
Prace polowe w majątku dzierżawionym przez Kazimierza Cieślewicza od Kurii Biskupiej w Krakowie, Czyżyny, lata 20. XX w.





Inspekty w majątku dworskim w Czyżynach, lata 20-30. XX w.





Wspomnienia Eugeniusza Hajty

„Po zajęciu Krakowa przez Armię Czerwoną wypadki następowały tak szybko, że trudno sobie uszeregować je w świadomości. Brakowało informacji. Elektrownia Krakowska była unieruchomiona i stąd nie było prądu. Nasze zainteresowanie wydarzeniami wojennymi, rozbudzone i poszerzone przez prasę podziemną, a także przez korzystanie z wiadomości radiowych uzyskiwanych z prowadzonego systematycznie nasłuchu, nie mogło być zaspokojone. Przed trzema dniami mogliśmy korzystać z aparatu zlokalizowanego u mnie w domu. Był to aparat zasilany z gniazdka elektrycznego, a wykonany był przez zdolnego amatora, przy czym dobrze odbierał wyłącznie fale krótkie. Drugi aparat do nasłuchu znajdował się w mieszkaniu Andrzeja Świerczewskiego (psudonim »As 4«). Był to aparat zasilany baterią.

Było to w niedzielę 21 stycznia 1945, wieczorem. Trzeci dzień po wyzwoleniu. Około siódmej spacerowaliśmy we dwójkę z »Ważką« – Janem Bochenkiem. W trakcie spaceru któryś z nas rzucił myśl, że warto byłoby posłuchać radia. Nie było innej możliwości, jak tylko odwiedzić Andrzeja. Z przyzwyczajenia poprowadziłem »Ważkę« ścieżką w pobliżu stawu tj. drogą, której musiałem używać tak często w związku z tym, że w pomieszczeniach dworskich często całe miesiące kwaterowały odziały niemieckiego Wermachtu. W ten sposób znaleźliśmy się przed drzwiami mieszkania. Kiedy zapukałem, wydawało mi się, że słyszę wyraźne »proszę«. Otworzyłem drzwi. Jakież było nasze zaskoczenie, kiedy w małym pokoju zobaczyliśmy kilku lub nawet kilkunastu żołnierzy radzieckich, a wśród nich dwóch oficerów: kapitana i lejtnanta. Nie można już było się wycofać, zwłaszcza że ja wszedłem do pokoju pierwszy. Uświadomiłem sobie w tym momencie, że w mojej kieszeni znajduje się pistolet typu »Walter« 7.65, a ponadto niewielki zapas amunicji, instrukcja wywiadu oraz list na moje prawdziwe nazwisko, co w zestawieniu z fałszywą kenkartą było dodatkowym elementem obciążającym. Fałszywej kenkarty musiałem używać od października 1944 r., po aresztowaniu przez gestapo i udanej ucieczce. Moja autentyczna kenkarta została w kieszeni oficera SS. Zaczęło się przesłuchanie. Oczywiście nic w tym dziwnego, że przesłuchujący wypili wcześniej po kilka kieliszków wódki z okazji odnoszonych przez Armię Czerwoną sukcesów. Przesłuchanie prowadził lejtnant, trzymając przez dziesiątki minut pistolet »TT« przy mojej skroni. Pierwszym pytaniem było: »Pistolet majesz?« Miałem, a więc nie warto było kłamać. Na wezwanie: »Dawaj«, oddałem pistolet. Potem musiałem opróżnić zawartość kieszeni z wszystkich wymienionych wcześniej rzeczy. Kolejnym pytaniem było: »W jakim celu nosisz broń?«. Trudno było twierdzić, że dla bezpieczeństwa czy przyzwyczajenia, tym bardziej, że na wzmiannkę o partyzantce i możliwościach rozrachunków osobistych ze strony bandytów usłyszałem: »Bandyci dla was to my!«.

Próbował w przesłuchaniu brać udział kapitan, wykazując przy tym dużo zrozumienia, a nawet sympatii. Ciągle jednak lejtnant przerywał, powtarzając: »Towariszcz kapitan, rozryszijtie mnie«. Słowa te dźwięczały mi w uszach przez wiele lat. W moich odpowiedziach popełniłem jeden błąd, twierdząc że przyszliśmy do kolegi, który niestety był tam nieobecny. I stało się. Kapitan skapitulował, a lejtnant wziął trzech żołnierzy rozkazując: »Rozstrzelać!«. Pokój był na półpiętrze i stąd poprowadzono nas w kierunku stawu, gdzie – idąc pierwszy – znalazłem się blisko narożnika domu i ścieżki, którą tak dobrze znałem. Jak błyskawice następowały po sobie myśli: »Mam szansę uciec. Ja zdążę na pewno, ale co będzie z Jankiem? Nie zdąży. Rozstrzelają go, choć jest zupełnie bez winy. Miał wszystko w porządku. Nie ma jednak alternatywy. Jeżeli mamy obydwaj zginąć, to lepiej oszczędzić jedną głowę. W tym wypadku moją«. Jakoś wstyd mnie ogarniał na wyobrażenie sobie reakcji tych wszystkich, którzy wiedząc cokolwiek o naszych wojennych perypetiach, natkną się nazajutrz na nasze trupy, albo dowiedzą się, jaki los nas spotkał. Nie bez wyrzutów sumienia podjąłem decyzję... uciekam. W tym momencie z półpiętra rozległ się krzyk kapitana. Zrozumiałem, że chce rozmawiać z lejtnantem. Poczułem, że sytuacja się zmienia. Żołnierze zatrzymali nas. Skorzystała z tego wysiedlona z Warszawy uczestniczka Powstania Danuta Wrońska. Ponieważ mieszkała w obrębie dworu parę miesięcy, znała mnie z mojego prawdziwego nazwiska. Kiedy nas zobaczyła w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy radzieckich, podeszła pytając, co się dzieje. Szybko powiedziałem: »Jestem Jerzy Szczerbiński, jestem twoim narzeczonym«. Więcej nie mogłem powiedzieć, bo żołnierze kazali jej odejść. Nie muszę wyjaśniać, że oddaliłem od siebie myśl o ucieczce, zakładając dodatkowe przesłuchanie. Nie myliłem się. Wprowadzono nas ponownie do pokoju. Przesłuchanie zaczęło się

od nowa, z tym, że prowadził je kapitan. Uznał argument, że nie było zarządzenia o zdawaniu broni. Instrukcję wywiadu, jako nieaktualną, po prostu spalił nad świeczką. Na moje zmienione stwierdzenie, że przyszliśmy do mojej narzeczonej, kazał ją wezwać, aby to sprawdzić. Oczywiście Danusia potwierdziła to w całej rozciągłości. Podobnie uczynili to członkowie jej rodziny, którzy z nią przyszli. Decyzją kapitana zostaliśmy zwolnieni. Broń została zatrzymana. Epizodu tego trudno nie zachować w pamięci. Był konsekwencją młodzieńczej lekkomyślności, a zarazem mocną przeżytą przygodą przy pierwszym bliższym zetknięciu się z żołnierzami armii, którą przyjmowaliśmy z całym przekonaniem jako tych, którzy ocalili nam nie tylko Kraków, ale także oszczędzili wiele dalszych ofiar barbarzyństwa niemieckiego."

Te wspomnienia zostały napisane w 1947 roku, dwa lata po pamiętnych dla Eugeniusza Hajty wydarzeniach. W czasie, gdy w Polsce utrwalano nowy system, Eugeniusz Hajto, obawiając się, że kartki ze wspomnieniami mogą trafić w niepowołane ręce, ominął pewne fakty. Otóż dziś już spokojnie może stwierdzić, ze ów lejtnant był z NKWD, czyli ówczesnej bezpieki sowieckiej. Stąd prezentował takie, a nie inne metody przesłuchania (z „tetenką" przy skroni) i dążył do rozstrzelania bez sądu, bez wyraźnych dowodów jakiejkolwiek winy. Niestety, w wyniku takich przesłuchań zginęło bardzo wielu patriotów polskich. Po drugie, pominął fragment o modlitwie wszystkich domowników dworu, którzy widząc co się stało, klęcząc w swoich pomieszczeniach, wznosili żarliwe modły w intencji uratowania zatrzymanych. „Zresztą kto wie, czy te modlitwy nie przyniosły ocalenia, które ma cechy cudu. Przecież szliśmy na pewną śmierć i tylko chwile nas dzieliły od niej, gdy kapitan rosyjski wezwał nas ponownie na przesłuchanie".

Redakcja na podstawie publikacji Sławomira Pietrzyka
(Głos Nowej Huty, 21 styczeń 2000 r. – nr 4)



Józef Celiński: wychowawca – żołnierz – społecznik

Józef Celiński należał do tej grupy starszej generacji nauczycieli, która w ogromnej większości traktowała swój zawód jako posłannictwo. W swej długoletniej pracy zawodowej nie ograniczał się tylko do kształcenia i wychowywania młodzieży w duchu obywatelskim i patriotycznym, ale prowadził równocześnie szeroko pojętą działalność społeczną i polityczną. Wszystkie te prace wykonywał w rozumieniu, że wynikają one z powołania zawodowego.

Urodził się 2 stycznia 1900 r. we wsi Koniecmosty w dawnym powiecie pińczowskim, w rodzinie chłopskiej. Po ukończeniu czterech klas Szkoły Ludowej w Wiślicy rozpoczął naukę w gimnazjum w Pińczowie w 1910 r. W szkole zaborczej doznawał wielu szykan i upokorzeń ze strony rosyjskich nauczycieli, stosujących w nauczaniu metody bezwzględnej rusyfikacji. Dyskryminacja uczniów Polaków w rosyjskiej szkole kształtowała jego charakter i osobowość, uświadamiała mu potrzebę podejmowania walki o zachowanie godności narodowej i poszanowanie wolności jednostki ludzkiej.

Na skutek wybuchu I wojny światowej i zawieszenia na jakiś czas zajęć szkolnych, podjął kontynuowanie nauki po dłuższej przerwie, ale już w gimnazjum w Olkuszu. Tam jeszcze przed maturą, pochłonięty ideą walki o niepodległość Polski, wstąpił 1 maja 1917 r. do tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. Prace konspiracyjne prowadził w VI Okręgu Kieleckim, pod pseudonimem „Szczeklik". Po aresztowaniu Józefa Piłsudskiego w połowie lipca 1917 r., przetrwał trudny okres, jaki przeżywała organizacja po kryzysie przysięgowym aż do drugiej połowy 1918 r. Na początku drugiej dekady listopada tego roku, po powrocie Komendanta z twierdzy magdeburskiej, wstąpił ochotniczo do wojska polskiego i brał do końca udział w walkach o utrwalenie niepodległości Polski. Dopiero po zakończeniu działań wojennych powrócił do gimnazjum w Olkuszu, gdzie złożył egzamin dojrzałości w 1922 r. Za długoletnią pracę niepodległościową i udział w walkach o wytyczenie granic Polski został awansowany do stopnia porucznika rezerwy 19 marca 1939 r.

Po zdemobilizowaniu i zdaniu matury rozpoczął pracę zawodową, nauczycielską, pracując kolejno w szkołach powszechnych w Kaczycach, Wiślicy i Stradlicach. Aby uzyskać pełne kwalifikacje zawodowe, ukończył Państwowy Instytut Nauczycielski w Warszawie w 1928 r. Nominację na kierownika Szkoły Powszechnej w Bieńczycach otrzymał w 1933 r., i na tym stanowisku pozostał aż do przejścia na emeryturę w 1968 r. Jako pracownik działu oświaty nie ograniczał się tylko do pracy dydaktyczno-wychowawczej, ale prowadził równocześnie w swym środowisku działalność społeczno-polityczną. Od 1919 r. związał się z Ruchem Ludowym i był inspiratorem wielu inicjatyw podniesienia kulturalnego i społecznego wsi. Pod koniec okresu międzywojennego pełnił funkcję prezesa Oddziału Powiatowego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Krakowie, występując w obronie praw nauczycieli oraz równego startu do nauki młodzieży wiejskiej, pokrzywdzonej przez ustawę szkolną z dnia 11 marca 1923 r.

Bardzo intensywny okres pracy w jego życiu przypada na lata II Wojny Światowej i okupacji. Szczęśliwie złożyło się, że okupant, który w ramach ruchu służbowego przenosił masowo kierowników szkół, a nawet nauczycieli, z miejsca na miejsce, aby zerwać ich kontakty z ludnością miejscową, pozostawił J.Celińskiego na dawnym stanowisku kierownika szkoły w Bieńczycach. Pełen inicjatywy oraz rozwagi, mając szerokie i przyjazne stosunki z różnymi ludźmi i grupami swego środowiska, zwielokrotnił swą aktywność, podejmując na różnych odcinkach działalność konspiracyjną. Jako oficer rezerwy od 1940 r. pracował w oddziałach Batalionów Chłopskich i w gminnych instancjach Ruchu Ludowego, kierował Tajną Organizacją Nauczycielską w powiecie krakowskim, ale najwięcej troski i inwencji poświęcił tajnemu nauczaniu. W 1941 r. kierownik Okręgowego Biura Szkolnego w Krakowie powołał go na członka Powiatowej Komisji Oświaty i Kultury Delegatury Rządu na Kraj. Okupacyjny powiat krakowski był rozległy: sięgał od granicy Rzeszy Niemieckiej po granice powiatu bocheńskiego, i od doliny Raby po granice powiatu miechowskiego. W konspiracji oświatowej występował pod pseudonimem „Sadowski" i objął funkcję referenta oświaty pozaszkolnej i opieki społecznej, ale niezależnie od tego w północno-wschodniej części powiatu, dla przyspieszenia prac związanych z nową strukturą szkolnictwa podziemnego, organizował komplety i ośrodki tajnego nauczania na wszystkich szczeblach. Niezależnie od funkcji pełnionych w powiecie, wystąpił jako główny organizator tajnego nauczania w gminach Mogiła i Ruszcza, w których niemal do końca okupacji pełnił obowiązki przewodniczącego Gminnych Komisji Oświaty i Kultury. Miał zdolność pozyskiwania nowych ludzi do współpracy, którą do końca okupacji pogłębiał i poszerzał. Chociaż pracami kierował rozważnie, ryzyko było wielkie. Okolica ta, położona obok stolicy GG i rozbudowującego się lotniska wojskowego w Czyżynach, była nasycona wojskiem i policją oraz różnymi służbami, stanowiącymi stałe zagrożenie. Dekonspiracja groziła uwięzieniem lub śmiercią. Jako członek powiatowego kierownictwa tajnej oświaty nie tylko organizował i kierował tajnymi kompletami i ośrodkami, ale równocześnie uczył w nich przedmiotów humanistycznych w zakresie gimnazjum i liceum ogólnokształcącego, a także przedmiotów pedagogicznych w zakresie liceum pedagogicznego, funkcjonującego w Bieńczycach w latach 1940—1945. Kierował również kompletami szkolnictwa powszechnego, uzupełniając naukę do pełnego programu szkół siedmioletnich. Na terenie gminy Mogiła zorganizował dwa komplety liceum ogólnokształcącego, cztery gimnazjalne i jeden komplet liceum pedagogicznego. Ponadto zajął się zorganizowaniem kompletów w Ruszczy, Pleszowie, Luboczy i Wyciążach. Dzięki jego staraniom na terenie gminy Mogiła wystąpiło największe zmasowanie tajnego nauczania w różnych formach i na różnych stopniach nauczania.

Po wyzwoleniu pozostał na swym dotychczasowym stanowisku, prowadząc nadal różnoraką działalność, rozpoczętą w okresach poprzednich. Kontynuował te prace nawet po przejściu na emeryturę, dopóki mu sił starczyło. Pamięć o nim zapisała się na trwałe nie tylko w dokumentach Zespołu Badawczego Dziejów Tajnej Oświaty, którego był członkiem i współpracownikiem, ale również wśród uczniów i przyjaciół.

Zmarł 22 marca 1991 r. w Nowej Hucie, pogrzeb odbył się na cmentarzu w Mogile 3 kwietnia 1991 r.

Stanisław Gawęda

Wspomnienie pierwotnie zamieszczono w Roczniku Komisji Nauk Pedagogicznych t. XLVI (1992)



Józef Celiński, kierownik szkoły w Bieńczycach, ze swoją rodziną przed budynkiem szkolnym, lata 30.



Józef Celiński i nauczycielka Maria Halik (Kotyza) wraz z księdzem pośród dzieci podczas uroczystości I Komunii Świętej, lata 30. XX w.

Wspomnienia Wiesława Pyczka

„Ej, łza się w oku kręci,
Nie dlatego, że było,
Że nie wróci więcej.
W życiu tak bywa,
Ze cenne są w nim marzenia,
Ale cenne są również
wspomnienia."

Motywacją do napisania tych wspomnień była reakcja moich ziomków na ukazaną w opracowaniu „Moje Bieńczyce", historię wsi, która niestety uległa likwidacji. Słowem i obrazem przywrócono pamięć dawnych lat, wywołując wzruszenie starszego pokolenia. A co najważniejsze, u młodszych pokoleniowo Bieńczycan także wzrosło zainteresowanie korzeniami, dotyczącymi nie tylko ich wąskiego rodzinnego grona, ale całej bieńczyckiej społeczności, o której można powiedzieć, że była zgrana i promieniowała w rejonie wsi położonych we wschodniej stronie Krakowa. Cechą wyróżniającą była posiadana przez mieszkańców umiejętność łączenia kultury włościańskiej z oddziałującą na nią kulturą grodu Kraka. Tę wypowiedź tłumaczę emocjonalnym, lokalnym patriotyzmem, którego wcale nie osłabia uciekający czas. Oczywiście do podobnych stwierdzeń pełne prawo mają przedstawiciele pozostałych wsi, które podobnie jak Bieńczyce, uległy częściowej lub całkowitej zagładzie. Opracowanie i wydanie pierwszego tomu książki „Czas zatrzymany" spełniło, a nawet przerosło oczekiwania pomysłodawców tego dzieła, którym wyzwolono ofiarność i energię do odkrywania dalszych kart historii lokalnych społeczności, które przecież budują i utrwalają ojczystą historię. Z pietyzmem wyciągamy stare, mocno pożółkłe i spłowiałe zdjęcia, by w tych reliktach przeszłości, analizować każdy szczegół. Zdjęciom tym przy pomocy komputera przywracany jest ich dawny wygląd, i one zaczynają mówić na nowo. Nie zginą Bieńczyce i wsi zniszczone „wyższą państwową koniecznością", jeśli wśród nas współczesnych, żywa będzie o nich pamięć. Uznałem, że, celowym będzie przypomnieć i pokazać, jak wyglądało nasze dzieciństwo i młodość w czasie niemieckiej okupacji oraz okresie późniejszym, gdy w miarę upływu czasu i politycznych rozczarowań, rozwiewała się nadzieja powrotu do tradycji przedwojennego życia. Zapoczątkowany w 1949 roku proces wywłaszczeniowy sygnalizował koniec sielanki pośród kwitnących wiosną drzew owocowych, a latem łanów złotej pszenicy i żyta o kolorze srebra, w którym bawiliśmy się w chowanego. „Sielanka" jednak nie pasuje do pierwszego czasokresu moich wspomnień, dnia narodowej tragedii, której obrazu nie wymazał upływ blisko 70 lat. U dzieci rozpoczęcie nauki w szkole, po dwumiesięcznych wakacjach zwykle budziło radość, ale nie dla rocznika 1939. W dniu 1 września tegoż roku, kiedy mieliśmy pójść do szkoły, o godzinie 5.00 rano obudził nas warkot samolotów. Myśleliśmy, początkowo, że to ćwiczenia asów naszego myśliwskiego lotnictwa, mającego – według słów znanej piosenki – wiernie strzec naszych granic. Ale to były niemieckie Messerschmitty, które bezkarnie latały nad naszymi domami tak nisko, że widzieliśmy w kabinach pilotów, którzy zrzucali bomby na pobliskie lotnisko w Rakowicach. Wybuchy bomb i serie karabinów maszynowych stwarzały atmosferę, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata. Kilkanaście dni po wybuchu wojny, nastąpiła wędrówka, a raczej ucieczka ludzi ze skromnym dobytkiem, przebiegająca czasem z mniej do bardziej niebezpiecznych miejsc, tylko po to, aby w końcu powrócić do domu, i czekać co przyniesie jutro. A to jutro, przez ponad 5 lat nie było dla nas łaskawe, i gdyby nie nadzieja (którą niesłusznie przypisuje się ludziom ubogiego umysłu), wartość naszego ówczesnego życia, równałaby się zeru. Jednak instynkt samozachowawczy czyni cuda, i myśmy z tej ciężkiej życiowo próby jaką zgotował nam los, (może nie wszyscy, mam tu na myśli ofiary wojny), wyszli zahartowani do trudów późniejszego, codziennego życia. Nie w trosce o naszą wiedzę, ale w interesie Rzeszy, która potrzebowała słabo wyszkolonych roboli, okupant pozwolił na kontynuację nauki w podstawowym i ograniczonym zakresie. „Słowianie mają dla nas pracować. Jeśli przestaną nam być potrzebni, powinni wymrzeć. Według Fuhrera wystarczy, jeśli będą potrafili czytać, pisać i liczyć do stu..." – to cytat z książki „Tajemnice Historii. Polska-Europa-Swiat". Zamiast 1 września, naukę rozpoczęliśmy z kilkutygodniowym opóźnieniem. Czy można to było nazwać nauką? Z polecenia nowych, okupacyjnych władz musieliśmy przynieść wszystkie obowiązujące dla wcześniejszego nauczania szkolne podręczniki. Ryzykując, zatrzymaliśmy część z nich (przydały się później w uzupełnianiu wiedzy), wynosząc je ze szkoły w krótkich porciętach. Nie wszystkie pachniały drukarską farbą, bo raz kupiony podręcznik przechodził ze starszego rodzeństwa na młodsze. Okupant zastępczo, za zabrane nam książki, dostarczał po kilka egzemplarzy na klasę, gazetowego szmatławca pt. „Ster", na którym wspaniałe panie nauczycielki uczyły nas budowy ojczystego języka, karmiąc po cichu tym, co było prawdziwie polskie.

Ograniczony program okupacyjnego nauczania, często był zakłócany zajmowaniem budynku szkolnego przez żołnierzy Wermahtu. Zajęcia odbywały się wówczas w małych salkach „dworku", lub w przylegającym do niego sadzie, w którym siedząc na trawniku „w kucki", korzystając z zawieszonej na drzewie tablicy, uczyliśmy się dodawać i odejmować. Przynajmniej ten zakres nauczania kto chciał, mógł opanować w stopniu umożliwiającym (już po wyzwoleniu) podjęcie nauki w gimnazjum. Nie mieli z nią problemu także ci, którzy nie zważając na okupacyjne rygory wyciągali „przeszmuglowane" podręczniki z historii, języka polskiego, geografii, i z tym większą pasją, że zakazane, przyswajali sobie ich treść. Znane mi są przypadki prowadzenia lekcji z tych przedmiotów w grupach po kilkoro dzieci. Zajęcia takie prowadziła Maria Kotyzowa, w domu swojego ojca W.Halika, koło figury Serca Jezusowego, nieopodal dworu. Do kuriozum można zaliczyć przypadek, w którym Zygmunt Starachowicz (brat nauczycielki Anny Łowczowskiej), szkolenia takie prowadził w domu p.Możejki, gdzie mieściła się siedziba posterunku granatowej policji. Niestety nie doczekał p. Zygmunt powojennego uznania za tę niebezpieczną pracę, za działalność w konspiracji zginął w Oświęcimiu. Trudno tu nie wspomnieć o naszych nauczycielach, którzy także zasługują na miano bohaterów. Nie bacząc na ryzyko, ignorując zakazy okupanta, potrafili rożnymi formami działania zachować ciągłość pełnego, przedwojennego zakresu szkolenia, a swoją postawą i osobowością podtrzymywali ducha wśród młodzieży. Pan Józef Celiński z racji pełnionej funkcji kierownika szkoły, był najbardziej narażony na ostre sankcje ze strony okupanta za to wszystko, co działo się w szkolnym budynku. Nielegalne przekraczanie programu nauczania, przechowywanie na strychu szkoły pomocy dydaktycznych, nie zdanych okupantowi we wrześniu 1939 r. i udostępnianie ich dla cichego przez nas korzystania, mogło go drogo kosztować. Pani Anna Piotrowska, przyjaciel swoich wychowanków, dnia 10 marca 1944 r wpisała. w moim pamiętniku treść, którą dziś czytając, skrycie ocieram łzę:

„Przez burze życia, idź prosto i śmiało,
Nie znaj co boleść i trwoga,
Co piękne kochaj duszą całą,
Kraj Twój, bliźnich i Boga."

Czyż to nie piękny przykład więzi pedagoga z wychowankiem ? Wiele dobrego można by też powiedzieć o pani Oldze Kęsce, p.Dziedzic, p.Bizerskim, p.Homie, księżach: Fudalim, Szymonku, i A.Bieli. Warto wspomnieć, że ks. Szymonek w okresie stalinowskim przesiedział parę lat w wiezieniu, skazany w słynnym procesie ks. Lelity, za pookupacyjną, konspiracyjną działalność. A o tych wymierzonych nam karach cielesnych i pozostawianiu nas po lekcjach w „kozie", to myśmy już dawno zapomnieli. Takie były czasy, że „chabina" – ówczesne narzędzie chłosty, prostowała krnąbrne charaktery. Ktoś w tym czasie udowadniał, że Stwórca modelując ciało człowieka, przemyślnie dopasował wklęsłość wewnętrznej strony dłoni, do pewnej wypukłości, na której siedzimy. Z tej prawidłowości anatomicznej, w szkole i w domu, czasem korzystano. Ból przeszedł, a myśmy wyszli na ludzi. Może jeszcze warto wspomnieć, co myśmy robili w czasie pozaszkolnym. Tam, gdzie było gospodarstwo rolne, roboty nigdy nie brakowało. Dzieci angażowano do pracy od najmłodszych lat, począwszy od pasienia gęsi, bydła, zbioru owoców na sprzedaż, a w miarę dorastania, do coraz cięższych prac związanych z uprawą roli, przy żniwach i wykopkach. Życie nieco łatwiejsze, ale głodniejsze – jak na okupacyjne czasy – miały dzieci, gdzie koło domu był jedynie mały ogródek z sadem. W wielu przypadkach dzieci z tych rodzin, dla ratowania biednego domowego budżetu, wykonywały różne prace. Najczęściej pasały krowy u bogatszych gospodarzy, za strawę czy worek ziemniaków, lub zajmowały się obnośnym handlem tym, czego nie było w sklepach, a można było kupić od tzw. paskarzy. Po żniwach dzieci chodziły zbierać kłosy pozostawione na ścierni. Uzyskane z nich ziarno mełło się (w naszym przypadku na żarnach u sąsiada Krupy, o przezwisku „Flajter"), aby uzupełnić niedobory kartkowego przydziału, czarnego jak ziemia chleba. A te żarna, taka kamienna płyta w drewnianej obudowie, to też były przez Niemców zakazane, może nie groziła za nie kara śmierci, ale po ich znalezieniu, tłukli je na drobne kawałki. Chwała dawno nie żyjącemu p. Krupie „Flajtrowi", za bezinteresowne ich udostępnianie. Mój starszy brat Janek, chłopak wtedy 14-letni, chodził do przymusowego kopania okopów, za co Niemcy płacili wódką i papierosami, oczywiście jedno i drugie podłego gatunku. Okupant miał w tym swój cel: niszczyć nas moralnie. A tę wódkę i papierosy zamieniano w handlu wymiennym za żywność. Poza szkołą i wymienionymi zajęciami, był czas – zwłaszcza w okresie wakacyjnym – na dziecinne baraszkowanie, chodzenie po drzewach, swoich i cudzych, bo (nazwijmy to po imieniu) kradzione owoce zawsze lepiej smakowały. Bieda była, gdy pilnujący sadu pies potargał portki, a jeszcze gorzej, gdy ślady kłów zostały na nodze, bo z takimi uszkodzeniami, nie można było pokazać się w domu. A ileż było radości, gdy w miedzach pól znalazło się gniazda os, czy bąków, którym wykradało się plastry, aby delektować się smakiem miodu, wyciąganego przy pomocy słomki. Życie rodziny od zmroku, po zakończonych robotach, koncentrowało się w domu wokół lampy naftowej, albo „karbidówki" czyli okupacyjnego wynalazku, wzorowanego na lampach górniczych i kolejo-

wych. Te jedyne w tym czasie źródła światła, wymagały codziennego przygotowania do użytku: wewnętrznego wyczyszczenia szkła lampy, opróżnienia pojemnika „karbidówki" ze zlasowanego karbidu, założenia nowego – co wykonywały już dzieci nieco starsze. A te „karbidówki" były robione przez ówczesną „złotą rączkę", p. Józefa Osiadłego, seniora. Zdarzało się, że uczącemu się do późnych godzin wieczornych dziecku, ojciec gasił lampę, oszczędzając niezbyt taniej nafty. Zimy w okresie okupacji były bardzo srogie, o temperaturach przekraczających nocą minus 20 st. C. W nie ogrzewanych pomieszczeniach domu, w wiadrze czy miednicy, zamarzała woda. W wielu biedniejszych domach, cała rodzina spała w jednym pomieszczeniu, nagrzanym w czasie dnia drzewem ściętych w sadzie grusz, jabłoni, wiązów, topoli lub węglem zakupionym nielegalnie od maszynistów kolejowych z lokomotyw parowych. Jeden z Bieńczycan – Jan Świder, o ile dobrze pamiętam w wieku 18 lat, pośrednictwo w tym handlu przypłacił życiem. Gdy wieczorem starszyzna zbierała się dla plotkowania i politykowania, często w gronie poszerzonym o dalszą rodzinę i sąsiadów, posłani wcześniej do spania, tylko udawaliśmy, że śpimy, ale dyskretnie wystawiając spod pierzyny ucho, przysłuchiwaliśmy się, o czym to oni gadają. A nie było to tylko opowiadanie o codziennych kłopotach. Często wybuchano gromkim śmiechem, gdy ktoś opowiedział kawał o Hitlerze, a kawały te rodziły się, jak grzyby po deszczu, i w jakimś sensie dawały upust nienawiści za to, co z nami uczyniono. Powracając do edukacyjnego tematu, wspomnę, że bodaj od 1941 r., na kompletach tajnego nauczania, kontynuowana była nauka z zakresu programu szkolnego gimnazjalnego, z corocznymi komisyjnymi egzaminami, promującymi uczestników tego szkolenia do wyższych klas. Skład komisji egzaminacyjnej, znany był ścisłemu, konspiracyjnemu gronu. Pewna grupa bieńczyckiej młodzieży, naukę taką pobierała w Czyżynach, we dworze państwa Cieślewiczów. Ale z kolei kilku Czyżynian uczestniczyło w tajnym nauczaniu, które odbywało się w domu p. Karola Hajty, w Bieńczycach. Zbytecznym jest przypominać, jakie konsekwencje rodziło w tym czasie słowo „tajne", a dotyczyło to również osób udostępniających pomieszczenia dla tego celu. Okres mojego uczestnictwa w tajnym nauczaniu był bardzo krótki. Naukę w pierwszej klasie gimnazjalnej rozpocząłem jesienią 1944 r. Rocznik ten liczył około 8 osób, rekrutujących się z terenu Bieńczyc, Mistrzejowic i Krzesławic. Warto wspomnieć, że był wśród nich Władziu Salwiński, późniejszy opat OO.Cystersów. Kierownik szkoły, p. Józef Celiński był niezwykle odważny. Zajęcia odbywały się w budynku szkoły. Lekcje z j.polskiego i historii prowadziła p. Maria Kotyzowa, niemieckiego uczył nas p. Józef Celiński, matematyki, bodajże p. Jan Kotyza. Wielkiego patriotycznego przeżycia doznaliśmy na lekcji historii, na której dla uczczenia rocznicy Powstania Listopadowego, zorganizowaliśmy okolicznościową inscenizację. Po tematycznym wprowadzeniu dokonanym przez p.Marię Kotyzową, z wielkim przejęciem deklamowaliśmy wiersze Adama Mickiewicza: „Redutę Ordona" – Edek Englisz z Mistrzejowic, a piszący te słowa – „Śmierć pułkownika". Ostatnie zajęcia szkolne tego rocznika, zakończyły się około 13 stycznia 1945 r., a było to na lekcji łaciny. Lekcję prowadził nieznany nam bliżej pan, podobno był weterynarzem. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że był Żydem, ukrywającym się we dworze w Bieńczycach pod różnymi nazwiskami: Keller, Wieneryk lub Jaworski. Podszedł wtedy do okna i w bramie wejściowej do szkoły zobaczył niemiecki patrol. Zanim zdążyliśmy się zorientować w zaistniałej sytuacji, pan profesor czmychnął z sali. Alarm okazał się na szczęście fałszywy, patrol zawrócił, ale można sobie wyobrazić, co to biedaczysko przeżyło. Niemcy Żydów rozpoznawali z daleka, a egzekucje na nich wykonywano bez sądów. Niezależnie od nauki na kompletach tajnego nauczania, równocześnie chodziłem do VII klasy szkoły podstawowej. W następnym dniu po owym incydencie na lekcji łaciny, tejże VII klasy, nagle zatrzęsły się mury budynku szkolnego. W odległości ok. 200 metrów od szkoły, spadła bomba zrzucona przez rosyjski samolot. Decyzją kierownika szkoły, mieliśmy się natychmiast udać do domu. Wojska radzieckie zbliżały się do granic Krakowa, a Niemcy chcąc uniemożliwić lądowanie radzieckim samolotom na płycie lotniska w Rakowicach, minowali płytę startową. Od trwających przez dwa dni detonacji, w naszym rodzinnym domu wyleciały wszystkie szyby, nie mówiąc o dachówkach i popękanych ścianach. Przy temperaturach minus 20 st. C. przyszło nam nocować w piwnicy. Ponieważ była murowana (podobno bezpieczna), nocowało w niej jeszcze około 10 osób, sąsiadów, w tym kilkoro małych dzieci. Gdyby w ten dom uderzyła bomba – a ta sprzed 2 dni spadła 30 m od niego – byłaby to zbiorowa mogiła. Rosjanie do Bieńczyc wkroczyli 17 stycznia 1945 r. Uciekających Niemców nie żegnaliśmy kwiatami, raczej zaciśniętą pięścią. Kwiatów nie wręczaliśmy też „oswobodzicielom", gdyż stanowili dla nas wielką niewiadomą. Nieoficjalnie znaliśmy już sprawę Katynia, zabranych nam Kresów Wschodnich, popełnianych przez to wojsko grabieży i gwałtów. Ogólnie znana była w tym czasie odzywka czerwonoarmisty, który ukradł Polakowi zegarek lub rower. Gdy poszkodowany odważył się upomnieć o swoją własność, usłyszał: – „Szto ty durak, ja tiebia oswobodił". A potem takie rozumowanie stało się podstawą naszej gospodarczo-politycznej współpracy. Któregoś styczniowego dnia, po wkroczeniu Rosjan, razem z bratem wybraliśmy się do Mogiły, aby odwiedzić mieszkających w klasztorze naszych krewnych. Przez Mogiłę przeciągały w kierunku Krakowa nieprzeliczone oddziały rosyjskiego wojska. Jechały samo-

chody, czołgi, po których w powietrzu unosił się dziwny smród spalin, jakiś taki zmieszany z wonią żołnierskiego potu, a pewnie i brudu. Przed klasztorem spotkaliśmy gromadkę ludzi przyglądających się trupowi konia, z którego boków kobiety wycinały kawałki mięsa. Moja ciekawość skierowała mnie do różnych zakątków klasztoru. Stan tego zabytkowego obiektu był godny pożałowania. Zwiedzając dziś XIII wieczne krużganki i oglądając ścienne malowidła, szeptem tylko wymieniamy komentarze i podziw dla ich piękna, by nie zmącić odbioru emanującej z nich historii. Ci zaś, którzy szczycą się swoją kulturą, mistrzostwem Beethovena i Goethego, tutaj w Mogile, te wspaniałe krużganki i salę św. Bernarda zniszczyli, zamieniając je w magazyny. Tymczasem na budynkach i ulicach Krakowa załopotały biało-czerwone flagi. Witaliśmy polskich żołnierzy, z polskim na czapce orłem, ale już bez korony. Gdy trwały jeszcze działania wojenne, i choć jeszcze długo byliśmy pogrążeni w biedzie, to zaczęło się dziać coś nowego. Liczniej niż przed wojną, ruszyliśmy do szkół. Uczniowie z kompletów tajnego nauczania poszli do klas, do których uzyskali promocję. Trzeba przyznać, że dość sprawnie zorganizowano zajęcia szkolne, szczególnie w gimnazjach. 10 lutego 1945 r. siedzieliśmy już (czasem we dwóch na jednym stołku), w zniszczonym przez Niemców budynku, pożyczając sobie wzajemnie przedwojenne podręczniki, te użytkowane potajemnie w okresie okupacji, mocno zniszczone. Za katedrami stanęli przedwojenni belfrowie, przed którymi czuliśmy strach, ale i respekt. Gdy wchodzili do klasy, witaliśmy ich powstaniem i ciszą. W pierwszej klasie gimnazjalnej, którą rozpoczynałem po raz drugi, za kolegów miałem moich rówieśników, ale i starych chłopów, którzy zamiast 1-go września 1939 r. dopiero teraz, po 5-ciu latach przerwy zaczęli edukację. W tejże mojej pierwszej klasie, było nas kilku Bieńczycan. Przekraczając pierwszy raz bramę Gimnazjum i Liceum im. Św. Jacka w Krakowie przy ul. Siennej, przeżywaliśmy w konfrontacji z mieszczuchami kompleks wiedzy chłopaka ze wsi. Znane nam były opowiadania bieńczyckich gimnazjalistów z okresu sanacyjnej Polski, o poniżaniu wiejskich dzieci, nawet przez profesorów. Jednak już po kilku tygodniach wyzbyliśmy się kompleksów, ponieważ nasze przygotowanie często przewyższało wiedzę uczniów pochodzących z miasta, co było zasługą naszych bieńczyckich nauczycieli. Wypada obiektywnie stwierdzić, że myśmy w wiejskim środowisku mieli dogodniejsze warunki do tajnego nauczania. Muszę tu podkreślić solidarność Bieńczycan, bo o tajnym nauczaniu wiedzieli wszyscy we wsi, ale nie dowiedział się o tym okupant ani granatowa policja. Pośród granatowych policjantów nie wszyscy byli wobec Niemców bezkrytycznie posłuszni, np. p. Stefan Kulma wchodząc służbowo w rejon naszych zagród, wyciągał z kieszeni polskiego orzełka i zakładał go na czapkę, co widziałem na własne oczy. Odgłosy wojennego frontu stopniowo oddalały się, ale niekiedy jeszcze pokazał się na niebie niemiecki samolot, powodując wycie alarmowych syren. Gdy pewnego, wczesnego ranka wychodziłem z kościoła św. Barbary (to był mój codzienny rytuał, zwłaszcza przed zapowiedziana klasówką), usłyszałem strzelaninę. Była to wymiana strzałów pomiędzy zabłąkanym niemieckim żołnierzem, a polskim patrolem wojskowym. Przerażony skryłem się za przyporę gotyckiej, narożnej kamienicy na styku ulic Siennej i Stolarskiej. W 1945 r. dla młodzieży dojeżdżającej, a początkowo dochodzącej do szkoły w Krakowie (Niemcy wycofując się zniszczyli na pewnym odcinku tory kolejowe), niewiele pozostawało czasu na społeczne udzielani się we wsi. Dzień nasz zaczynał się około godziny 5-tej rano, a jeśli nie było pozalekcyjnych zajęć np. obowiązkowego pójścia do teatru, co zresztą było nie lada przeżyciem, to do domu wracaliśmy o godz.16-tej i później. Ale dzięki temu możemy się poszczycić, że mieliśmy jeszcze okazję zobaczyć ostatnie występy mistrza Ludwika Solskiego. Po tych powrotach mieliśmy prawo odczuwać zmęczenie. Po posiłku składającym się najczęściej z jednego dania obiadowego, trzeba było przygotować się do szkoły na następny dzień. Chociaż oszczędzano nas w wykonywaniu cięższych prac domowych, to ta ulga nie była stosowana w przypadku posiadania przez rodziców gospodarstw rolnych. Niekiedy spotykało się gimnazjalistów pasących krowy, i równocześnie czytających szkolne książki. Ze względu na przyspieszony tryb roku szkolnego, który zaczął się w lutym, wakacje ograniczono nam do jednego miesiąca sierpnia, a tydzień nauki – przypomnę młodym – był sześciodniowy. W tymże 1945 r. na krakowskim Rynku, z uroczystą mszą świętą, z udziałem – o ile dobrze pamiętam – prezydenta Bolesława Bieruta, obchodziliśmy święto 3 Maja, które poprzedzone było świętem 1 Maja, po raz pierwszy w historii Polski uznanym jako święto państwowe. Stopniowo ograniczano naszą swobodę, bo już w 1946 r., gdy młodzież krakowskich szkół udała się na Rynek, aby uczcić święto 3 Maja, zostaliśmy brutalnie rozpędzeni. Z listy uczniów wszystkich skreślono, i ponownie przyjęto do szkoły z wyjątkiem tych, którzy za przywództwo w manifestacji zostali na kilka lat pozbawieni wolności. Tym wywodem pragnę usprawiedliwić wolne tempo organizowania się bieńczyckiej młodzieży (po odzyskaniu – nazwijmy to – niepodległości), dla przywrócenia jakże bogatego przed wojną, życia społecznego wsi. Ale życie próżni nie lubi, i tę próżnię zaczęła nam wypełniać siostra Kryspina, należąca do sióstr zakonnych z siedzibą w „dworku". To Ona oprócz prowadzenia ochronki dla dzieci, podjęła się uaktywnienia młodzieży, poprzez zorganizowanie przykościelnego chóru. Próby chóru miały „zgrać" różne, czasem dość marnie brzmiące głosy. Miały nas również skonsolidować i prowokować do spo-

łecznego działania. Swoim osobistym urokiem, prostotą i skromnością, siostra Kryspina osiągnęła to, że bardzo chętnie chodziliśmy na próby śpiewu. Były one urozmaicane jakąś zabawą, poczęstunkiem, owocami, i tym, na co materialnie było Ją stać. Występ chóru sygnalizował i uświadamiał ludziom, że coś w tej społeczności zaczyna się dziać. O siostrze Kryspinie, my starzy nie zapominamy, a młodzi niech wiedzą, że była taka duszyczka, nie Bieńczycanka, ale z Bieńczycami się utożsamiała, i na pamięć sobie zasłużyła. Z czasem do tej działalności włączył się p. Rychlicki, nauczyciel śpiewu miejscowej szkoły. Na spotkaniach śpiewaliśmy patriotyczne piosenki, przy rzewnej grze na skrzypcach p.Rychlickiego. Śpiewaliśmy dla siebie, może jeszcze dla mieszkańców domów sąsiadujących ze szkołą, gdzie odbywały się te spotkania. Dlaczego już nigdy nie usłyszałem śpiewanej przez nas pieśni, o bardzo melodyjnej i głębokiej treści?

Cześć polskiej ziemi cześć,
Ojczyźnie naszej cześć,
Cześć Polsce cześć,
Polsce cześć
Niech kocha brata brat,
Niech kwitnie zgody kwiat,
I płynie dobra wieść,
Cześć Polsce cześć.

Jakże rozmijają się hasła tej pieśni, z dzisiejszą rzeczywistością...

Końcówka 1945 r. przyniosła zapowiedź, że coś się zmienia, że idzie ku lepszemu. Trwały przygotowania do „jasełek". Były wielokrotne próby, trwające niekiedy do późnych godzin wieczornych. Pamiętam dzień, w którym sala w domu gminnym, przyległym do piekarni p. Motyki, nie mogła pomieścić ludzi. A potem był opłatek, wspólny dla pastuszków, Matki Boskiej, św. Józefa i Heroda, ale i dla licznego grona osób, które chciały uczestniczyć w tej imprezie. Mieciu Kaczmarczyk zaśpiewał pieśń „Czerwone maki na Monte Casino", której wysłuchaliśmy na stojąco. Do usatysfakcjonowanego gromkimi brawami Miecia podszedł Andrzej Świerczewski, sympatyczny kpiarz, i do słów gratulacji dodał: – „Mieciu, najlepiej wyszła ci czwarta zwrotka" – której w tym czasie jeszcze nie było! Prawdziwym renesansem społecznego życia Bieńczyc był rok 1946. To wtedy reaktywują się młodzieżowe organizacje, będące motorem tego życia. Przywódcami tych organizacji, są przedwojenni doświadczeni działacze. Prace rozpoczyna Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej i Żeńskiej (KSMM i KSMŻ), stowarzyszenia, które tak chlubnie wpisały się w przedwojenną historię Bieńczyc. Przed wrześniem 1939 r. działalność KSM-u koncentrowała się w budynku „dworku", gdzie znajdowała się mała sala widowiskowa i szereg innych mniejszych pomieszczeń, wraz z malutką kaplicą, która mieściła tylko garstkę miejscowej ludności. Jej reszta, na mszy świętej odprawianej przez księży z Raciborowic, a czasem z Mogiły, niezależnie od pory roku i pogody, stała na polu, głośno śpiewając nabożne pieśni. Przebudowa w okresie okupacji sali widowiskowej na kaplicę o znacznie większej powierzchni oraz zajęcie pozostałej części budynku przez siostry zakonne, uniemożliwiły powrót KSM-u do tego obiektu, ale znana ze swej społecznej działalności p. Helena Cieślewicz, administrator dóbr Kurii Biskupiej w Krakowie i dworu w Bieńczycach, przychodzi KSM-wi z pomocą. Przypomnieć tu trzeba, że w czasie okupacji, za sprawą p. Heleny wielu pozbawionych dachu nad głową, zagrożonych przez okupanta powstańców z Warszawy – a wśród nich Żydów – w dworze tym znalazło przytułek i schronienie. Może do źródeł tej nigdy nie opublikowanej historii (z racji skromności), winni sięgnąć ci, którzy dziś bagatelizują działania tych anonimowych bohaterów, narażających swoje życie i swojego otoczenia dla ocalenia bliźnich. Pani Helena Cieślewicz, dla członków KSMM i KSMŻ udostępnia pomieszczenia dworu na świetlice, a kiedy ma się zebrać liczniejsze grono członków kół, ich rodzin i sympatyków, p. Helena oddaje do dyspozycji główne pomieszczenie dworu – salon. Na gruntach majątku urządzamy dla naszych potrzeb „obiekty sportowe": boiska, bieżnie, skocznię. Bez jakichkolwiek ograniczeń korzystamy z parku dworskiego, z amfiteatralnie położonym boiskiem do siatkówki, trzema stawami, łodzią do połowu ryb, którą latem wykorzystujemy dla celów sportowych, próbując swoich sił wiosłując, a zimą po lodowej tafli stawów jeździmy na łyżwach. Czy w tych kilku zdaniach można ująć wszystko to, czego myśmy w tym parku doznawali? Autorytetem i wychowawcą naszego koła był p. Jan Kotyza, przedwojenny działacz tej organizacji, który swoje oficerskie przygotowanie wykorzystał w konspiracyjnej działalności Batalionów Chłopskich, jako dowódca okręgu. Po okupacji czynnie działał we władzach krakowskiego okręgu KSM-u, któremu patronował wielki autorytet Krakowa, książę, arcybiskup, kardynał Adam Sapiecha. Prezesem naszego koła został Józef Ciepiela, dla lepszej identyfikacji tej osoby przez Bieńczycan dopowiem – „Pisorz z Budzynia". Ileż ten człowiek włożył serca, ale i materialnego wsparcia dla organizacji, za którą dałby się posiekać. Dla nas nastolatków, wzorem do naśladowania był także Andrzej Świerczewski, student Wydziału Rolnego Uniwersytetu Jagiellońskiego, zapalony sportowiec, w tym również w szybowcowym pilotażu. A jaką społeczno-wychowawczą funkcję miała spełniać organizacja KSM-u? Z nazwy można by sądzić, ze myśmy się tylko modlili, ale ta organizacja miała coś z Sodalicji, ze skautingu, miała wiele wspólnego ze sportem. Przygotowywała też młodego człowieka do organizowania życia kulturalno-oświatowego w wiejskim środowisku. Zebrania zaczynaliśmy modlitwą i odśpiewaniem pieśni „My chcemy Boga". Pozdrowieniem naszym było hasło „gotów", które miało być wyzwaniem do czynienia bliźnim dobra. Z okazji świąt „Chrystusa Króla", organizowaliśmy w szkole akademie recytatorsko-śpiewane, na które zapraszaliśmy Bieńczycan. Druhny KSMŻ wystawioną sztuką „Dla Chrystusa" wywołały zachwyt zarówno treścią sztuki, ale również dekoracją sceny i ubiorami, które magicznie przeniosły widownię w czasy starożytnego Rzymu. Stało się to dzięki wybitnym plastycznym zdolnościom druhny Zofii Nawary, w tym czasie studentki krakowskiej ASP. Cudu tego dokonano przy pomocy przyniesionych z domu prześcieradeł, zasłon okiennych, kilimków. Odsłonięcie kurtyny przy elektrycznym już świetle wywołało mocne wrażenie. Wspólnie z kołem KSM Raciborowice, wystawiliśmy sztukę „Wiesław" A. Brodzińskiego. Z Raciborowicami organizowaliśmy dożynki, ale umacniająca się od około 1947 r. władza ludowa, odmówiła nam pozwolenia na tę imprezę w Bieńczycach, więc musieliśmy się zadowolić dożynkami w Raciborowicach. Nas, młodych chłopaków najbardziej jednak przyciągały boiska sportowe, które urządzaliśmy własnym sumptem, a szczególnymi zdolnościami w tym zakresie, wykazywał się Jasiu Cebula. Z powodu osiągania bardzo dobrych wyników w biegach długodystansowych, nazywaliśmy go „Zatopkiem". Niekiedy kosztem czasu, który powinniśmy przeznaczyć na naukę, w tajemnicy przed rodzicami uciekaliśmy z domów, aby potrenować dla uzyskania dobrych wyników w sportowej rywalizacji w KSM Czyżyny i Mogiłą. Warto tu jeszcze wspomnieć, że w latach 1946-47 kilku z nas uczestniczyło w obozach letnich, organizowanych przez krakowskie kierownictwo KSM. Były to wyjazdy na wyspę Wolin i jeziora mazurskie, a po drodze „zaliczaliśmy" szereg miast, z których wiele leżało w gruzach, w tym Warszawa i Gdańsk. To, co dziś można zobaczyć na filmach archiwalnych, myśmy widzieli na żywo: ludzi, którzy wracając do swych domów, zaczynali budowę nowego życia, albo zasiedlali tereny, które dziś określa się, jako opuszczone przez wypędzonych. Widzieliśmy tych ludzi idących beznadziejnie z tobołkami: starców, kobiety, dzieci, kaleki... Mrowie biednych ludzi ponoszących karę zamiast prawdziwych bandytów, którzy w wielu przypadkach pozostali bezkarni. Jako młodzi ludzie byliśmy już wtedy obciążeni narosłym w ciągu kilku lat garbem ludzkich tragedii, z pytaniem na ustach: – Czy po to Bóg stworzył człowieka, który sam się nazwał „homo sapiens", aby ten miał gwałcić kanony życia?

Płynąc łodzią wspomnień, trudno dobić jest brzegu, aby nie opuścić przy tym spraw, które wiążą się z tematem naszego dzieciństwa i młodości okresu okupacji, aż do czasu powolnej agonii Bieńczyc. No, bo czy można nie wspomnieć o powstałym tu w 1946 r. Kole Młodzieży Wiejskiej „Wici", organizacji stanowiącej młodzieżowe zaplecze ludowego ruchu, któremu patronowało Polskie Stronnictwo Ludowe? Będąc poza szeregami tej organizacji, nie czuję się kompetentny w opisywaniu merytorycznej działalności tego Koła. Lecz jako obserwator i sympatyk (ze względu na powiązania koleżeńskie), mogę stwierdzić, że wyróżniało się ono swoją aktywnością w powiatowej hierarchii, czyniąc wiele dobrego dla wsi. Koło to miało bardzo silne zaplecze młodzieży akademickiej, uczniów szkół średnich, ale i tych, którzy na co dzień trzymali lejce w dłoni. Do Koła należały kilkuosobowe rodzeństwa z rodzin: Zyburów, Osiadłych, Bochenków, Ptaków, Jędrszczyków, Bruzdów i in. Aktywnie działał w tym Kole Eugeniusz Hajto. Niektórzy spośród tych młodych ludzi, to byli partyzanci z okresu wojny. Przedstawienia teatralne: „Damy i Huzary", „Śluby Panieńskie" w wykonaniu Koła ZMW „Wici" mogły się podobać nie tylko z racji solidnie przygotowanej gry aktorów-amatorów, ale autentycznych dla tych sztuk strojów, które wypożyczano w krakowskich teatrach. Wielkim przeżyciem dla wsi, były dożynki organizowane przez ZMW „Wici", przy naszym wspaniałym „jazie" na Dłubni, a bywało, że były potem wielokrotnie powtarzane jako wiejskie, gminne, czy powiatowe. Dziś można się zastanawiać, dlaczego to kwitnące życie, w którym było tyle naszego zapału i radości, nie podobało się ludowej władzy, która z końcem 1948 r. postanowiła to życie całkowicie zniszczyć, dlaczego? Czyż nie była to forma wypędzenia nas z tego wszystkiego, cośmy sobie z takim pietyzmem budowali? W okresie Świąt Bożego Narodzenia w tymże 1948 r., w czasie opłatkowego spotkania w świetlicy KSM-u zjawiło się dwóch ważnych panów z zapytaniem o pozwolenie na to spotkanie. Brak zezwolenia – których nigdy wcześniej na tego rodzaju uroczystości nie wydawano – uznano za karygodne wykroczenie! Członków zarządu, młodych chłopaków: Janka Cebulę i Władka Bieronia zabrano na posterunek, gdzie przetrzymano ich do rana. Niedługo potem zostaliśmy zdelegalizowani. Podobnie było z kołem ZMW „Wici". Według relacji ostatniego przewodniczącego tego Koła, Jana Jędrszczyka, w szkole gdzie była świetlica Koła, zjawiło się czterech mocno uzbrojonych panów, żądając przedstawienia dokumentów zezwalających na działalność. Wobec braku dostarczenia takowej dokumentacji w bardzo krótkim terminie, Koło ZMW „Wici" rozwiązano, zresztą nie tylko bieńczyckie. A potem to już następowała powolna agonia Bieńczyc, ale czy warto

jeszcze rozdrapywać rany? Pan Adam Gryczyński wypowiedział niedawno do mnie słowa: – „Ja za jeden dzień waszego dzieciństwa i młodości, oddałbym jeden rok mojego życia". Czyżbyśmy byli pokoleniem wybranym ? – Być może! Cośmy przeżyli – tośmy przeżyli. Ale to, czegośmy doznali dobrego, tego nam nikt nie odbierze...

marzec 2008 r. *Wiesław Pyczek*

P.S.

Za skuteczny doping i wsparcie w opracowaniu moich wspomnień, oraz za utożsamianie się z Bieńczycami, pragnę tą drogą podziękować moim dzieciom – Oleńce i Sławkowi.



Józef Celiński z uczniami przed szkołą w Bieńczycach, lata 30-40. XX w.



Uczniowie w sali lekcyjnej, w głębi Józef Celiński, lata 30-40. XX w.

Wspomnienia Romana Dońca



Jesienią 1949 roku w Czyżynach, na skrzyżowaniu drogi Bieńczyce-Mogiła ustawiono na słupku wielki napis: „Miasto Nowa-Huta". Wszyscy mieszkańcy byli zaskoczeni tą wiadomością i nikt nie wiedział co to znaczy, co to za miasto Nowa Huta i gdzie się ono znajduje? Lecz nadszedł czas, gdy wiadomość ta została wyjaśniona, bo okazało się, że na wschód od Krakowa w kierunku Bieńczyc, Mogiły i Pleszowa władze postanowiły wznieść nowe miasto robotnicze z wielkim kombinatem hutniczym. Początkowo planowano zbudować osiedle mieszkaniowe ma terenach pól uprawnych pomiędzy Bieńczycami i Mogiłą, natomiast sam kombinat miał powstać pomiędzy Mogiłą i Pleszowem oraz na północ w kierunku Krzesławic, Grębałowa i Luboczy. Wiadomość ta sparaliżowała mieszkańców wszystkich okolicznych wsi, bliższych i dalszych od miejsca budowy. Strach jaki padł na miejscową ludność był olbrzymi, ponieważ były to ziemie pszenno-buraczane pierwszej klasy i większość mieszkańców była jej właścicielami. Podkrakowscy chłopi utrzymywali się z tej roli, na której uprawiali płody rolne, i choć niektórzy z nich posiadali tylko niewielki skrawek ziemi, to jej uprawianie było nie tylko podstawą egzystencji rodziny, ale dodatkowo sprzedawali swoje produkty na targach w Krakowie. Było to wielkie wsparcie dla ich zarobku w fabrykach i przedsiębiorstwach, w których podejmowali pracę. Tutejsze pola były także użytkowane przez majętnych gospodarzy posiadających po kilka lub kilkanaście hektarów ziemi i szereg maszyn rolniczych. Właścicielem tych ziem był również klasztor OO.Cystersów w Mogile. Wybrano na teren budowy tę właśnie okolicę, ponieważ w przekonaniu ówczesnej robotniczo-chłopskiej władzy ten rejon Polski uważany był za najbardziej buntowniczy i przeciwny narzuconemu ustrojowi komunistycznemu. Tą drogą i sposobem chcieli zlikwidować zalążki opozycji wprowadzając „nowe". Przyznać trzeba, że z trudem, ale jednak swego dopięli. Dając ludziom możliwość dobrego zarobku przy budowie osiedli, przydzielając bezpłatne mieszkania oraz zapewniając im zatrudnienie osiągnęli zwycięstwo. Z biegiem lat ludzie zapominali o swoich stratach i pogodzili się z losem jaki ich spotkał w życiu. Miasto rozbudowało się i objęło następne tereny pól uprawnych: Mistrzejowice, Batowice, lotnisko Rakowice, Prądnik Czerwony, południową część Czyżyn, Łęg aż do samej Wisły. Pojawiły się oprócz zakładów przemysłowych pawilony handlowe, budynki gospodarcze, obiekty kulturalne, sportowe i in. Zmieniły się także Bieńczyce. Zlikwidowano obrzeża wsi wyburzając kilkanaście gospodarstw i prywatnych domów, jednak ocalało centrum wsi, gdzie do dziś mieszkają starsi ludzie. Przed budową Nowej Huty od strony Czyżyn w kierunku Bieńczyc prowadziła bita droga wraz z torem kolejowym od strony monopolu tytoniowego i od strony lotniska, wokół rozciągały się pola uprawne. Właściwa wieś Bieńczyce rozpoczynała się od figury św. Floriana przy drodze „zakościelnej", która stała na terenie gospodarstwa p.Rojka – kowala. Droga ta prowadziła przez bieńczyckie pola do Mogiły i do klasztoru OO.Cystersów. Patrząc na to dziś, to droga „zakościelna" rozpoczynała się przy szosie od figury św.Floriana na oś C-2 i przechodziła przez obecny Urząd Pocztowy w Mogile obok cmentarza i tam łączyła się z szosą biegnącą z Czyżyn do Mogiły. W połowie drogi „zakościelnej" była dawna strażnica wojskowa, której zadaniem było pilnowanie składów z materiałem wojskowym znajdujących się przy drodze do Mogiły. Stały tam cztery długie drewniane baraki, ogrodzone drutem kolczastym pilnowane przez żołnierzy stacjonujących na strażnicy. Dawniej prowadził do baraków tor kolejowy ze stacji w Czyżynach, zlikwidowany w okresie przedwojennym. Wzdłuż drogi prowadzącej z Czyżyn do Bieńczyc obok toru kolejowego wiodącego do Kocmyrzowa były położone gospodarstwa rolne Cebulów, Jędrszyków, po stronie figury św.Floriana stał dom p.Rojka-kowala, następnie okazały dom wójta (przedwojennego i z okresu wojny) Jaba Ciepieli, a następnie sąsiadowali z dużym zabudowaniem gospodarczym p.Władysława Ptaka. Dalej po prawej stronie w kierunku Krzesławic był plac ze stodołą p. Stanisława Ptaka, dalej budynki mieszkalne Wielgusów, Salwińskich, Marzów w którym mieszkała rodzina p.Franciszka Dońca. Jeszcze dalej po prawej stronie płynęła rzeka Dłubnia, za którą znajdował się dawny skład węgla i drzewa opałowego Franciszka Dońca, po wojnie przekształcony na zlewnię mleka prowadzoną przez Romana Dońca. Za składem przebiegał tor kolejowy biegnący od stacji Bieńczyce do młyna p. Lelito. Obok stacji kolejowej stały budynki p.Józefa Ciepieli, byłego sekretarza gminy, Turbasów, Nędzów, Kofinów, Sadzika, Możejków w którym mieszka-

ła rodzina Dońców oraz Bruzdów. Za torem była droga boczna prowadząca do stacji kolejowej w Bieńczycach, a wzdłóż drogi był dom piętrowy Władysława Nawrockiego – masarza. Za tym domem płynęła rzeka młynówka przez którą przeprowadzony był most drogowy. Po prawej stronie za domem Nawrockiego były pola uprawne ciągnące się do Krzesławic. Po lewej stronie szosy od strony Czyżyn tj. od figury św.Floriana i drogi „zakościelnej" stały budynki gospodarcze Hajtów, Pyrlików, Ciepieli, Trzmadlów, dom w którym była orkiestra dęta, dalej dom piętrowy p.Motyki-piekarza, Krawczyków, piętrowy dom Stanisława Ptaka wraz ze sklepem spożywczym zwanym „karczmą", następnie płynęła rzeka Dłubnia przez którą przechodził most, a za nim po lewej stronie był sklep spożywczy p. Bannerta znajdujący się na placu młyna p. Lelity. Następnie była rzeka „młynówka", potem budynki gospodarcze Salwińskich, w których w czasie wojny, jak również potem mieszkał Roman Doniec z rodziną, dalej dom p. Dziwisza – kowala w którym mieścił się „sławny" radiowęzeł obejmujący swym zasięgiem kilka wsi, skąd nadawano codziennie informacje o skupie mleka prowadzonego przez Romana Dońca. Dalej stał dom Turbasy i Ciepieli, i na tym kończyła się granica wsi Bieńczyce wzdłóż drogi głównej, prowadzącej z Czyżyn przez Krzesławice do Kocmyrzowa. Do centrum Bieńczyc prowadziła droga przez wieś od domu zwanym „karczmą" p. Stanisława Ptaka, gdzie po obu stronach drogi znajdowały się domy następujących gospodarzy: Salwińskich, Bochenków, Zyburów, Żydów Wohfeilerów, Kaszowskich, Kotyzów, Biernacików, Jędrszczyków, Bieroniów, Pyrlików, Nawarów, Kaszowskich, Jędrszczyków, Fimy, Krawczyków, Cebulów, aż do dworu Cieślewiczów . Po drugiej stronie – w tak zwanym „kącie" , stały domy: Ciepieli, Salwińskich, Zamojskich, Jana Biernacika i Halików. W samym środku stała figura Matki Boskiej. Następnie były domy: Pyczków, Halików, Ciepielów, a po drugiej stronie drogi Biernacików, aż do samej drogi skręcającej na tzw. „Budzyń", czyli zachodnią część wsi Bieńczyce. Od drogi głównej i budynku piekarni p.Motyki prowadziła boczna droga tzw. „Zagościniec" przy której stały budynki gospodarcze: Zyburów w którym mieszkała rodzina Franciszka Dońca, następnie był dom p. Doktora Kazimierza Łowczowskiego, szkoła powszechna i dom Salwińskich. Od strony piekarni po lewej stronie były zabudowania Pyrlików, Włodków, Wcisłów, Przeniosłów, Ciepieli, Mleczków, Stefanii Pyczkowej, Kaszowskich, Ciepielów, Domagalskich oraz kaplica tzw. „dworek" w której odbywały się msze św. W każdą niedzielę. Przy kaplicy znajdowały się pomieszczenia naszego stowarzyszenia katolickiego męskiego i żeńskiego. Podczas budowy Nowej Huty najwięcej ucierpiała południowa strona Bieńczyc czyli „Zagościniec", gdzie zburzono szereg budynków prywatnych: Mleczków, Stefanii Pyczkowej, Kaszowskich, oraz kaplicy – „dworku", na miejscu którego powstał wspaniały kościół „Arka" oraz bloki mieszkalne wraz z targowiskiem. Zburzenie domów na „Zagościńcu" nikomu nie przyniosło korzyści, nic na ich miejscu nie wybudowano, a właścicielom przyniosło tylko straty i tak pozostało do dziś. Po prawej stronie drogi głównej wyburzono zabudowania p.Rojka, Jana Ciepieli, Władysława Ptaka i skład węgla Franciszka Dońca. Jeśli chodzi o wspomnienia przedwojenne, to należy wspomnieć, że walka o władzę i prestiż we wsi toczyły niektóre rodziny, a mianowicie: Ptaków, Ciepielów i Lelitów. Ptakowie to stara rodzina pochodząca od p. Franciszka Ptaka, który pod koniec okresu zaboru austriackiego był posłem do sejmu galicyjskiego we Lwowie. Po pierwszej wojnie światowej Ptakowie byli zamożnymi rolnikami. Dzieci p.Franciszka Ptaka, były dobrymi rolnikami, prowadzili udane interesy handlowe, sklep spożywczy i piwiarnię, a jedna z córek wyszła bogato za mąż i miała w Krakowie wspaniałą restaurację. Stanisław Ptak prowadził duże gospodarstwo rolne, miał duży dom piętrowy w którym mieszkał ze swoją rodziną, tj. żoną i dwoma synami: Mieczysławem i Andrzejem. Budynek ten według przekazu miejscowej ludności zbudowano w okresie zaboru austriackiego i przeznaczony był dla wiejskiej młodzieży do celów sportowych i zabaw. Syn p. Franciszka Ptaka – Władysław był majętnym rolnikiem, prowadził gospodarstwo rodzinne i ożenił się z córką szewca z sąsiednich Czyżyn, panną Królikowską, która posiadała dobre wykształcenie i była bardzo ładna. Pan Władysław Lelito, mimo, że był bogaty, był przystępny dla ludności, miał ciągotki do władzy i chciał zostać wójtem zbiorczej gminy Mogiły, do której należały Bieńczyce. Kupił instrumenty dla orkiestry dętej we wsi, bo tym sposobem chciał uzyskać to stanowisko. Jednak ciężka choroba, a potem śmierć w 1935 roku zakończyła jego starania o lokalną władzę. Warto nadmienić, że w czasach przedwojennych gospodarze w naszej wsi byli ludźmi raczej zamożnymi, choć niektórzy utrzymywali się z pracy rąk. Prawie każda rodzina, nawet niezbyt zamożna kształciła swoje dzieci lub kierowała je do pracy zawodowej. Były też osoby z ukończonymi studiami wyższymi, jak Jan Kotyza, którego ojcem był drożnik. Kotyza prezesował Katolickiemu Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej, gdzie prowadził wykłady naukowo – społeczne, a ponadto organizował życie sportowe. Nasze stowarzyszenie posiadało boisko sportowe do piłki nożnej, siatkówki i koszykówki. W budynku „dworku", gdzie swą siedzibę miało stowarzyszenie, rozgrywaliśmy międzyklubowe zawody ping-ponga, organizowaliśmy wycieczki, przedstawienia teatralne, odbywały się zajęcia śpiewacze i odczyty. Duża ilość członków naszej organizacji grała w orkiestrze dętej na instrumentach zakupionych przez p. Lelitę – właściciela młyna. Orkiestra mieściła się w specjalnie zbudowanym budynku przez

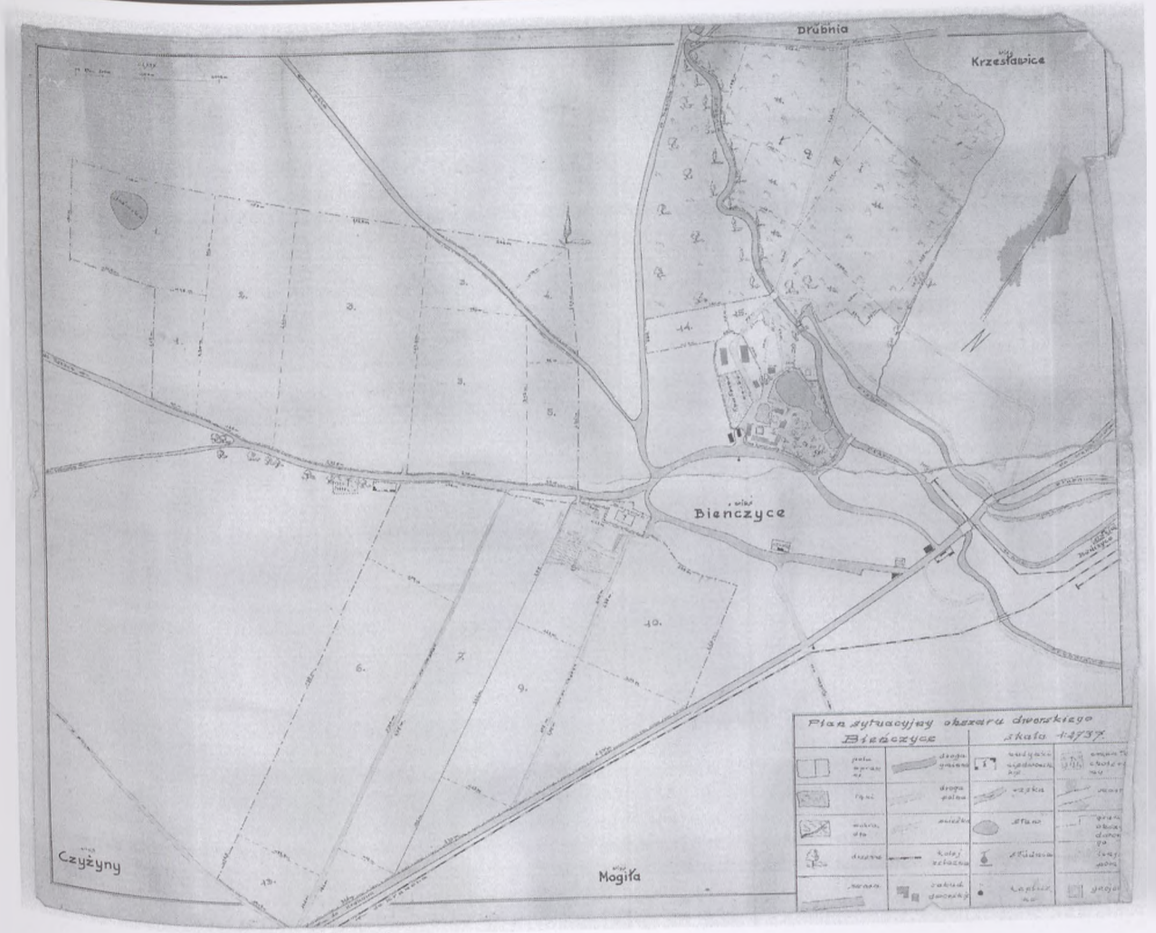
p.Lelitę przy budynku piekarni p.Motyki. Pan Lelito ufundował dla niej 28 instrumentów. Orkiestra istniała przez 4 lata, aż po jej niechlubny koniec, czyli kradzież większości instrumentów. Ocalały jedynie tylko te, które po każdej lekcji jej uczestnicy zabierali do domu. Tak zakończyła swą działalność orkiestra, która przynosiła chlubę Bieńczycom. Za boiskiem na „Budzyniu" płynęła rzeka Dłubnia, nad którą znajdował się „jaz", czyli zapora wodna ze stawidłami, podnoszonymi np. w czasie remontu młyna, tak aby woda nie płynęła w jego kierunku. Obok „jazu" był niewielki teren na którym co roku nasze stowarzyszenia urządzało zabawy tzw. festyny, na ktorych ludzie młodzi i starzy, miejscowi i obcy przychodzili na tańce przy muzyce w wykonaniu dobrej orkiestry. Festyny cieszyły się wielką, jak na ówczesne czasy, popularnością , bo zabawy trwały do późnej nocy przy elektrycznym oświetleniu lampionów. Dochód z festynów przeznaczony był na wycieczki, kostiumy dla aktorów biorących udział w przedstawieniach teatralnych, na działalność popularno-naukową oraz na zakupy sprzętu sportowego. Do wykształconych ludzi należał także Józef Salwiński, syn gospodarza, który był doskonałym prawnikiem. Miał dużą popularność wśród mieszkańców i był bardzo lubiany. Jego brat Janek był z zawodu optykiem pracującym w doskonałej firmie Jana Voigta w Krakowie przy ul. Floriańskiej. Jego siostra Zosia wyszła za mąż za pilota sportowego, który zdobył pierwsze miejsce w Polsce w zawodach lotniczo-sportowych (był synem p.Rojka-kowala). Niestety podczas pobytu za granicą w czasie wojny we Francji – Józef Rojek został aresztowany i rozstrzelany za pracę konspiracyjną. Druga siostra p.Józefa była kaleką. Jadąc w czasie okupacji pociągiem do Krakowa została zabrana w łapance na stacji kolejowej na Grzegórzkach i wywieziona do Oświęcimia skąd już nie powróciła. Syn kierownika szkoły Kazimierz Łowczowski został lekarzem, miał gabinet w którym przyjmował ludzi z całej okolicy. Był bardzo lubiany i poważany. Jego żona była nauczycielką, jak również jego siostry, Maria i Jadwiga. Żona Jana Kotyzy, prezesa KSMM pełniła obowiązki prezeski KSMŻ, i także była nauczycielką. Z rodziny Nawarów p. Jan był inżynierem rolnikiem, lecz będąc przed wojną przed wojną w Amerycem tam zmarł. Jego brat Wojciech był doskonałym krawcem i prowadził własny warsztat krawiecki w Krakowie przy ul. Św. Krzyża. Józef z kolei był zakonnikiem, jedna siostra nauczycielką, a druga artystką malarką, najmłodszy zaś syn pozostał na gospodarstwie. Józef Osiadło był magistrem chemikiem, pracował w zakładach chemicznych w Krakowie, zaś jego ojciec był tokarzem, pracował w monopolu tytoniowym w Czyżynach. Józef Turbasa był doskonałym krawcem, posiadającym własny zakład krawiecki w Krakowie, jak również firmę odzieżową przy ul. Sławkowskiej. Stefania Pyczkowa była żoną kierownika urzędu pocztowego, który jeździł również ambulansem pocztowym na trasie Kraków-Lwów. Mieli trzech synów: Zbigniewa, lekarza, który był vice-dyrektorem szpitala w Radomsku, stracił życie mając 28 lat podczas jazdy samochodem do chorego. Jego brat Jan, był znanym dentystą, posiadał swój gabinet w Nowej Hucie, lecz także zmarł przedwcześnie. Gabinet dalej prowadzi jego żona Krystyna. Trzeci brat, Wiesław został inżynierem rolnikiem. Jan Mleczko był księdzem, zmarł w wieku 50 lat. Franciszek Ciepiela był również księdzem, zmarl przed wojną. Jan Kotyza ukończył AWF, był prezesem KSMM a w czasie okupacji był w randze majora komendantem powiatowym Batalionów Chłopskich na okręg krakowski. Po wojnie, został kierownikiem kancelarii biskupiej w Krakowie, za czasów kardynała Karola Wojtyły, a w czasie jego pogrzebu odczytano kondolencje od papieża Jana Pawła II. Wiele osób straciło życie w czasie w czasie okupacji lub wyemigrowało za granicę. Stracono dwóch braci Jana Kotyzy: Józefa i Stanisława, którzy byli policjantami. W czasie wojny dostali się na teren Związku Radzieckiego i tam ich rozstrzelano w Katyniu. Do rozstrzelanych w Katyniu należy także mgr Jan Krawczyk, rówieśnik ze studiów Jana Kotyzy. Po wojnie pozostali za granicą: Stanisław Nawrocki i Stanisław Siudek. Polegli w czasie działań wojennych: Stanisław Salwiński i Jan Zamojski oraz żona Wojciecha Biernacika i jedna z młodszych dziewcząt, Biernacikówna, które straciły życie w czasie nalotu samolotów niemieckich. Po zakończeniu wojny życie wracało do normy. Zaczęła się nowa rzeczywistość – budowa Nowej Huty. Moje osobiste obserwacje i rozmowy z miejscowymi ludźmi w tamtym okresie były dość pobieżne. Początkowo była ogromna niechęć i złość ludzi, którzy stracili swoje pola i związane z tym dochody. Czas jednak zrobił swoje, zmieniając zajęcia i sytuację gospodarczą dawnych mieszkańców, a i rozmowy z nimi były już prowadzone w innych kierunkach. Dawni chłopi pracowali teraz jako wozacy rozwożąc zaprzęgami konnymi materiały z pociągów towarowych na place budowy, znajdowali pracę przy ich wyładunku i in. Wyładowanych materiałów budowlanych nie oszczędzano, obok torów kolejowych, gdzie podjeżdżały na bocznice samochody i furmanki, pełno było ceglanego rumowiska, rozrzuconego żwiru, cementu czy piasku. Nieraz całe rowy przy torach kolejowych zasypane były zniszczonym budulcem. Ludzie między sobą mówili, że ze zmarnotrawionego materiału, można by wybudować połowę Nowej Huty. Zmiany w terenie zachodziły tak szybko, że zanim ludzie zdążyli obliczyć swoje straty związane z utratą urodzajnych pól, powstało nowe miasto, a wraz z nim nowe życie, nowe miejsca pracy, handlu, nauki... Napływowa ludność zaczęła się mieszać z miejscową, i wkrótce trudno się było zorientować, kto był swój, a kto obcy. Proces ten przebiegał o tyle łatwiej, że wielu mieszkania otrzymywano za darmo, od zakładów

pracy, w których byli zatrudnieni. Powstawały nowe żłobki, przedszkola, szkoły, przychodnie lekarskie, szpital, teatr, domy kultury, sklepy, lokale gastronomiczne, a po wielu latach oczekiwań, także kościoły. Zbudowano także nowe drogi, targowiska, place zabaw, stadiony sportowe Powstające domy, przedsiębiorstwa, instytucje i rozrastająca się sieć komunikacyjna zmieniły dawne oblicze tej ziemi... Okoliczne wioski także zmieniły swój wygląd i obyczaje, a niektóre wioski jak np. Pleszów-Kujawy, które znalazły się poniżej poziomu na którym powstał kombinat, uległy całkowitemu zasypaniu pozostałościami procesów wielkopiecowych. Obszar Nowej Huty powiększył się nie tylko o nowe wioski, które zostały przez niego wchłonięte, ale połączył się także z Krakowem poprzez sieć komunikacyjną i strukturę urbanizacyjną miasta.

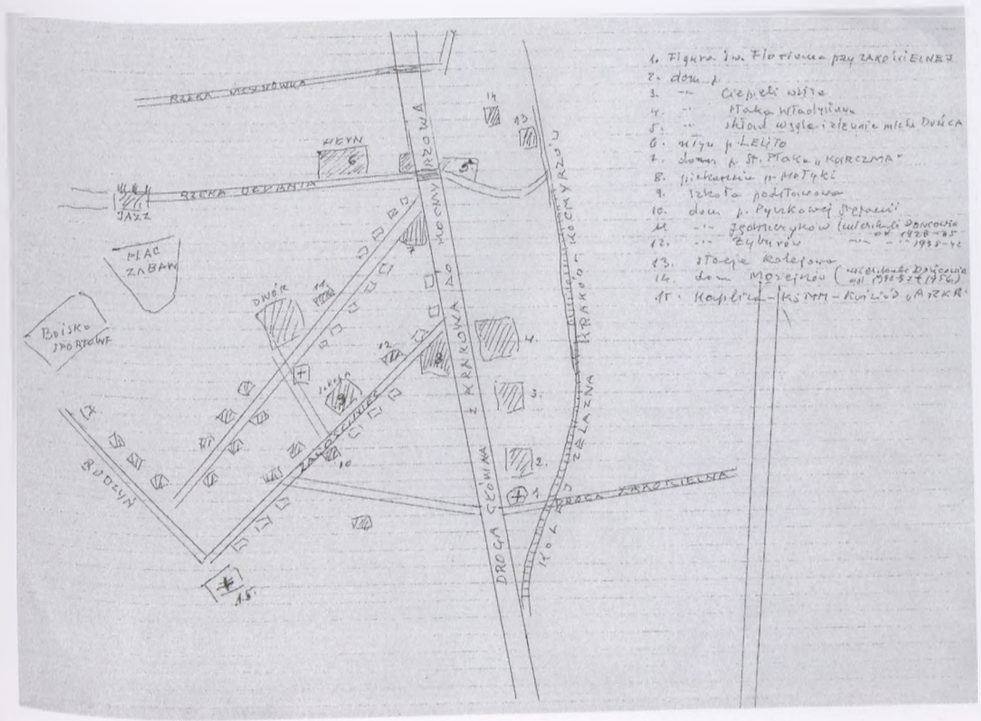
Opis trasy kolejowej i drogi bitej z Krakowa do Kocmyrzowa przez Bieńczyce i jej znaczenie

Obszar Krakowa zasadniczo kończył się na osiedlu Wieczysta, na wschód od centrum miasta. Główna droga prowadziła ulicą Mogilską, przez Wieczystą w kierunku Czyżyn, gdzie się rozdzielała i skąd jedna trasa prowadziła w kierunku Mogiły i dalej do Pleszowa i Igołomii, a druga biegła na północny-wschód w kierunku Bieńczyc i Kocmyrzowa. W te oba kierunki prowadziła bita, kamienista droga, a obok niej biegł tor kolejowy. Główną trasę stanowiła jednak droga kolejowa z Krakowa do Kocmyrzowa, którą popularnie nazywano „kocmyrzówką", a na pociąg mówiono zaś „ciuchcia". Na swojej trasie ze stacji Kraków-Główny, kolej miała szereg stacji pośrednich: Kraków-Grzegórzki, Kraków-Dąbie, Wieczysta, Czyżyny, Bieńczyce, Grębałów, Prusy i stacja końcowa – Kocmyrzów. Pociąg jeździł kilka razy dziennie, np. z Bieńczyc do Krakowa o godz. 6.10; 9.00; 12.00;16.30 i 20.00, natomiast z Krakowa do Kocmyrzowa odchodził o 11.00; 14.30; 19.00 i 21.00. Na kilka lat przed wojną wprowadzono „motorówkę" czyli wagon z przyczepą napędzaną ropą naftową, który zabierał jednocześnie kilkudziesięciu pasażerów. Przeważnie składem tym jeździła młodzież szkolna uczęszczająca do szkół w Krakowie, jak również ludzie zatrudnieni tam w fabrykach i urzędach, ale także kobiety z towarami rolniczymi i mlekiem. Była to bardzo użyteczna komunikacja. W zwykłym natomiast pociągu były dwa wagony przeznaczone dla młodzieży szkolnej, tj. osobny wagon dla dziewcząt i osobny dla chłopców. W skład pociągu wchodziło 5-7 wagonów. Na odcinku ok. 25 km z Krakowa do Kocmyrzowa było 9 stacji kolejowych, średnio co 2 km. Miejscowa ludność miała z tego duży pożytek i wygodę. Tor kolejowy zbudowany był niemal na całym odcinku wzdłuż drogi bitej, z tym, że jadąc z Krakowa łączył się z tą drogą dopiero pomiędzy stacjami na Dąbiu i Wieczystej, następnie w Bińczycach droga żelazna rozdzielała się od figury św.Floriana czyli od polnej drogi prowadzącej z Bieńczyc do Mogiły tzw. drogi „zakościelnej" i jechał przez stację Bieńczyce i wieś Krzesławice, gdzie łączył się z drogą bitą do Kocmyrzowa. Od Krzesławic tor kolejowy prowadził pod tzw. „górkę grębałowską", gdzie miał dwie trudności do pokonania, szczególnie jesienią i w zimie, podczas deszczu i zawiei śnieżnych. Tutejsza kolej miała jeszcze inne ciekawostki, jak tę, że jadąc z Krakowa do Czyżyn, dwa razy dziennie, rano i wieczorem pociąg zatrzymywał się na około pół godziny, aby parowóz z jednym wagonem zawiózł pasażerów do Mogiły lub z Mogiły ich przywiózł, a następnie w Czyżynach dołączał do pozostałego składu, skąd jechał dalej w kierunku do Krakowa lub Kocmyrzowa. Między Czyżynami a Wieczystą, obok lotniska, znajdował się dawny fort wojskowy z czasów austriackich, a więc droga bita i tor kolejowy okrążały go, aby znów przed Wieczystą połączyć się równolegle z drogą bitą, koło młyna zwanego „łuszczarnią ryżu" , skąd tor wiódł do stacji Kraków-Dąbie i dalej. Obecnie tor kolejowy na opisywanej trasie już nie istnieje. Pozostały po nim tylko wspomnienia i stare fotografie.

Wspomnienia i refleksje napisał Roman Doniec ur. 12.05.1920 r. w Pleszowie-Kujawach.
Jego mama, Katarzyna Doniec była akuszerką-położną w Bieńczycach.



Plan gospodarstwa dworskiego w Bieńczycach z początku XX w.



Szkic pamięciowy zabudowy Bieńczyc wykonany przez Romana Dońca



Spacer w Bieńczycach, idą od lewej: Olga Nalepka, Katarzyna Doniec, Anna Doniec, Wiktoria Fijoł, Janina Broda, Emilia Doniec, z przodu Jagoda Piecyk (z lilijką), Danuta Nalepka, Anna Broda, Jolanta Doniec, Roma Doniec, w wózku Małgorzata Doniec. W głębi po prawej stronie widoczna jest piekarnia Motyki, a po lewej zabudowania gospodarcze rodziny Ptaków, maj 1956 r.



Spacer po osiedlu Teatralnym, od lewej: Emilia Doniec, Jolanta Doniec, Stefania Pyczek, Roma Doniec, Wiesław Pyczek, Anna Doniec, Zofia Mars-Pyczek, Zbigniew Pyczek, 1952 r.

Garść wspomnień i refleksji

W mojej rodzinie pojawiły się dwie wyjątkowe w swojej wyrazistości osobowości – mój ojciec Józef Turbasa i Jan Ciepiela, ojciec mojej mamy Zofii. Obu łączy fakt tworzenia wielkiego dzieła. Dla ojca było to założenie firmy Artystyczna Pracownia Krawiecka J.Turbasa, dla dziadka – stworzenie wzorcowego gospodarstwa w Bieńczycach. Oboje też zaczynali niemal od zera.

Moi rodzice urodzili się w Bieńczycach. Mama Zofia była wspaniałą, piękną kobietą, która poświeciła się wychowaniu swoich synów, choć w czasie okupacji miała znaczący epizod – pełniąc rolę sekretarza gminy, ocaliła wraz z dziadkiem życie wielu Żydom wystawiając kenkarty. Przeznaczeniem ojca było obszywanie ramion wielkich tego świata. Po zakończeniu okupacji za działalność w AK zapłacił przesłuchiwaniami i odsiadką wielomiesięczną w więzieniu św. Michała (obecnie gmach Muzeum Archeologicznego). Zaczynał swoje terminowanie jeszcze przed wojną, gdy w Krakowie było kilka tysięcy krawców, wśród nich krawiecka arystokracja: Aksak, Lipner, Łukasiewicz, Iskierski, Burda, Goral (mający przed wojną filię w Wiedniu). To były sławy. Wybić się nie było łatwo przy tak ogromnej konkurencji. Jednak zdolności artystyczne w rodzinie Turbasów miały swoją genetyczną tradycję. Przecież już rzeźbiarz Paweł wyposażył swoimi pięknymi rzeźbami i płaskorzeźbami kościoły św.Mikołaja w Białym Kościele i w Sosnowcu kościół św.Joachima, zaś rzeźbiarz Piotr wyposażył w Wolbromiu kościół p.w. św.Katarzyny Aleksandryjskiej Dziewicy i Męczennicy w przepiękne boczne ołtarze i ambonę.

O takich zaś, jak ojciec mawiają Francuzi, że posiadają 6 palców u dłoni. Są właścicielami niezwykłego talentu dostrzegania w każdym człowieku piękna i posiedli zadziwiającą umiejętność jego wydobywania. Wkrótce nazwisko Turbasa znane było również poza granicami naszego kraju. To nie kto inny, jak sam Pierre Cardin próbował ściągnąć go do Paryża. Ale z taką przeszłością, w tych czasach nie otrzymywało się paszportów, nie mówiąc o wyjeździe z całą rodziną. Swoją firmę otworzył w mieszkaniu przy ul.św. Gertrudy 14 na parterze i choć zmieniono patrona ulicy na L.Waryńskiego, nigdy nie zmienił pieczątki i doczekał się, że ta jego po 89 roku znów stała się aktualna. Jakie to znane postacie odbijały wciąż te same od 1946 roku lustra naszej firmy ? Ilu dyplomatów, ludzi nauki, sztuki, kultury ? Żeby jedynie wspomnieć wśród nich takie historyczne już postacie jak Stanisława Lema, Krzysztofa Pendereckiego, Andrzej Wajdę czy Czesława Miłosza.

Gdy mojego dziadzia Jana Ciepielę wcielono do wojska austriackiego, „zwiedził" na piechotę pół Europy. Dla niego I wojna światowa stała się również okazją wielkiej nauki – kultury, architektury, nowoczesnego rolnictwa. Jego chłonący wiedzę umysł, był otwarty na wszelkie nowinki, które przywiózł do podkrakowskich Bieńczyc.

Na gołym korzeniu założył niezwykle nowoczesne gospodarstwo rolne, które swoimi rozwiązaniami nie miało odpowiednika w okolicy. To gospodarstwo sam zaprojektował, począwszy od domu z gankiem z ławami, na którym gwarzono z przechodzącymi sąsiadami, domu przykrytym jak wszystkie zabudowania dachówką i zwieńczonym iglicą z chorągiewką, jakby z okolic Wiednia wziętą. Cały tonął w zieleni. Od drogi ul.Kocmyrzowskiej, by nie kurzyło się oddzielony był pasem gęstych krzaków bzu, które w maju podcinał specjalnym ucinakiem na kilkumetrowym kiju, i tak powstawały wspaniałe pachnące bukiety. Od strony ogrodu i sadu aż po kalenicę dachu, dom obrośnięty był cudownie owocującymi jadalnymi winogronami, z których w rozlicznych baniakach fermentowało domowe czerwone wino. W ogrodzie znajdowały się przodki tuneli foliowych? inspekty, w których babcia Katarzyna uprawiała wiosenne nowalijki. Ten ogromny dom, wypełniony wiedeńskimi meblami, zapachami pieca kuchennego i którego ciszę, co pół godziny przerywał wiszący na ścianie wahadłowy zegar Backera, liczył 6 pokoi, był w całości podpiwniczony. Właśnie w piwnicach znajdywały się najcudowniejsze pomieszczenia. To tam stał w rogu ogromny, biały piec chlebowy, w którym raz na tydzień wypiekało się ogromne chleby, to tam kisiło się kapustę, trzymało ziemniaki, pietruszkę i marchew w piasku, to tam korzystając ze specyficznego mikroklimatu znajdowały się regały z owocami – jabłkami, gruszkami, które jadaliśmy w styczniu. Gruszki w zimie!, bo przecież choinkę ubierało się w owoce. Z kolei strych był przechowalnią cebuli, bobu, ale też stąd był dostęp do gołębnika, w którym gruchały rasowe gołębie i po ich zachowaniu dziadziu skutecznie prognozował, jaka będzie zima. Z boku domu ogromny wyłożony płytami betonowymi podworzec, zwany boiskiem. Wokół niego studnia, zabudowania gospodarcze. Vis a vis obory zwanej stajnią, usytuowano stodołę. Była ogromna dwukondygnacyjna, przejezdna, a w niej najnowocześniejsze austriackie siewniki, maszyny do bronowania, do mielenia, powozownia z bryczką, wozami oraz cały warsztat ciesielski i kowalski.

I to wszystko po zakończeniu wojny miało ulec zniszczeniu. Wywłaszczano moim dziadkom hektar po hektarze. A dopiero, co założony nowoczesny sad obsadzony odmianami niskopiennych drzew, wycięto w nocy kosami. Dla człowieka kochającego ziemię i jej uprawianie było prawdziwym ciosem, zwłaszcza że racjonalnie niewytłumaczalnym. Następnie wywłaszczono i zburzono dom, wobec czego budynek gospodarczy przerobio-

no na mieszkalny. Na końcu z babcią Katarzyną musieli przenieść się do bloku, do M-2 ze „ślepą kuchnią"!!!

Jako były wójt był znakomicie merytorycznie przygotowany do walki z urzędami o swoje. Przecież był zaangażowany społecznie – organizował doroczne dożynki, brał udział w wielkich rocznicach, uczestniczył w sypaniu ziemi na kopiec Józefa Piłsudskiego. Uchodził za autorytet. Przecież to do niego od zawsze przychodzili sąsiedzi po poradę w sprawach urzędowych, ale i życiowych. Nigdy się nie poddawał. Procesował się z władzami, by odzyskać swój majątek, jeździł do ministerstw, a gdy to nie pomogło, prowadził swoją prywatną wojnę z niesprawiedliwym ustrojem, puszczając w bloku na cały regulator audycje rozgłośni Radia Wolna Europa. Przecież już nic nie mogli mu zabrać!

Ba, dziadziu wiedział, że czas mija nieubłaganie, że świat się rozwija. Jako człowiek przenikliwy, widział więcej niż inni. Gdy w Raciborowicach wykupił miejsce pod grobowiec nie na starym, lecz na nowej poszerzonej, wówczas pustej części cmentarza parafialnego, wszyscy się dziwili – wójt Ciepiela buduje na peryferiach! Wkrótce te peryferie stanowiły centrum cmentarza. Jako jego wnuk, absolwent Wydziału Architektury P.K. podziwiałem wysoki, monumentalny o znakomitych proporcjach nagrobek rodziny Ciepielów z Bieńczyc zaprojektowany przez mego dziadzia. Oś kompozycji stanowiły symbolicznie potraktowane tablice Abrahama, z których wyrastał chrześcijański krzyż. Niestety nawet to ostatniego dzieło dziadzia nie doczekało w swojej właściwej formie naszych dni.

Na jego oczach niszczono dorobek i sens całego życia – wszystko, co zasadził, wybudował, narysował i zaprojektował. Nie zdołano jedynie zniszczyć pamięci o Nim. Jak wielką satysfakcję musiał odczuć Jan Ciepiela, wieloletni wójt Gminy Mogiła, gdy w czasie uroczystości poświęcenia Arki Pana 15 V 1977 roku został wprowadzony do kościoła pod rękę przez ówczesnego Metropolitę Krakowa ks. kardynała Karola Wojtyłę, pierwszej świątyni w (jak projektowano) ateistycznej Nowej Hucie. Za 3 dni i 17 miesięcy konklawe zadecydowało, iż tenże Metropolita powołany został na Stolicę Piotrową jako Jan Paweł II.

Letnia plenerowa wystawa fotografii „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa" stała się dla mojej rodziny rodzajem satysfakcji i moralnego zadośćuczynienia. W samym centrum wzorcowego socjalistycznego miasta, pokazano propagandowe kłamstwo – jakoby nowa cywilizacja miała powstać na terenach bezwartościowych i pozbawionych kultury. Źródłem ogromnej satysfakcji stał się fakt, że wystawa miała miejsce w sercu Nowej Huty i to przemianowanym na Plac Ronalda Reagana! Prezydenta, którego polityka doprowadziła do upadku w 1989 roku PRL-u i obcego narzuconego przez Związek Radziecki ustroju. Jakąż satysfakcję miałby Jan Ciepiela wieloletni wójt Gminy Mogiła... Bo mój ojciec, jako jeden z najstarszych żyjących i pamiętających tamte czasy oglądał ją z ogromną satysfakcją, ale i wzruszeniem. Wskrzeszony został, choć na krótko świat, który odszedł, ale dzięki niebywałej pasji Adama Gryczyńskiego i wydanym albumom, jego cząstka została uratowana.

Jerzy Turbasa



Józef Turbasa



Jan Ciepiela z rodziną



Zofia Ciepielówna i Józef Turbasa w bryczce, lata 40. XX w.



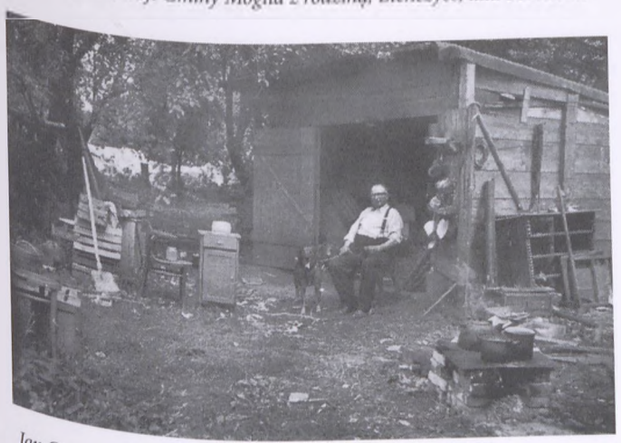
Zofia Ciepielówna i Józef Turbasa, Bieńczyce, lata 40. XX w.



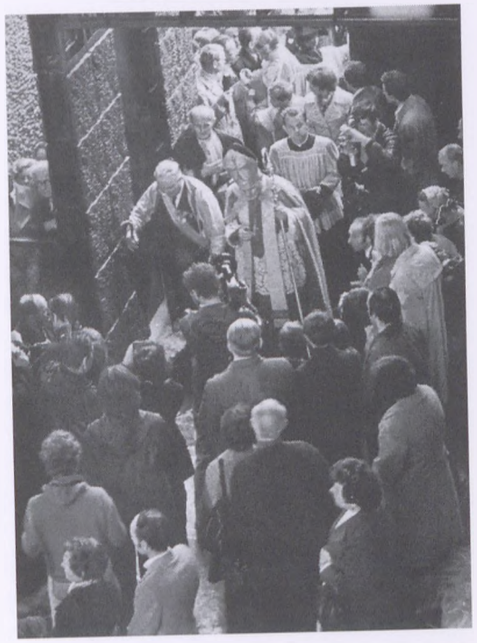
Jan Ciepiela, wójt Gminy Mogiła z rodziną, Bieńczyce, lata 30. XX w.



Józef Turbasa, lata 40. XX w.



Jan Ciepiela przed szopą w której zamieszkał na resztkach gospodarstwa zrujnowanego budową nowych bloków mieszkalnych w Bieńczycach, ok. 1970 r., fot. Wojciech Ciepiela



Uroczystości poświęcenie kościoła Arka Pana w Bieńczycach, po prawej stronie kardynała Karola Wojtyły wchodzi Jan Ciepiela, 15 maja 1977 r.

Kuźnia Norberta Rojka i kapliczka św. Floriana

Historię Norberta Rojka z Bieńczyc poznałem śledząc losy kapliczki św. Floriana, stojącej obecnie na placu przed kościołem Matki Boskiej Królowej Polski, nazwanym „Arką Pana". Nie jest to jej pierwotne miejsce, wcześniej stała przy ul. Kocmyrzowskiej, właśnie na działce Norberta Rojka – bieńczyckiego kowala.

Gospodarstwo Norberta Rojka składało się z drewnianego domu stojącego równolegle do gościńca Kocmyrzowskiego, kuźni przylegającej bezpośrednio do domu z prawej strony, suszarni tytoniu zamykającej zabudowę od strony drogi do Mogiły oraz ze stodoły, która przylegając z drugiej strony domu dochodziła aż do ul. Kocmyrzowskiej. Za stodołą w kierunku Kocmyrzowa był ogród owocowy i następny dom – wójta Jana Ciepieli. Ogród był też w pasie pomiędzy domem a płotem biegnącym wzdłuż sztreki. Sztreka to nasyp, na którym ułożony były tory kolejowe.

Ceglana kapliczka ze św. Florianem stała w ogrodzie Rojka. Jakiż mógł być inny święty w jego gospodarstwie jak nie Florian, patron wszystkich zawodów, które mają do czynienia z ogniem. W kapliczce jest też wnęka tylna, lecz nikt już nie pamięta czy jeszcze na działce Rojków była w niej figurka jakiegoś innego świętego. Nie wiadomo też, kto i kiedy ją ufundował.

Ufundowanie figury św. Floriana w Bieńczycach mogło być związane z faktem, iż z dawien dawna wieś, stanowiąca własność kurii krakowskiej, została przez nią oddana na wyposażenie kościoła św. Floriana w Krakowie.

O kapliczce stojącej przy drodze do Kocmyrzowa wspominali najstarsi mieszkańcy Bieńczyc. Do czasu likwidacji torów kolejowych i wybudowania drugiego pasa ulicy, stała przy przecięciu szlaków prowadzących z Raciborowic do Mogiły i z Czyżyn do Kocmyrzowa.

Norbert Rojek urodził się w 1887 roku w Czulicach, jeszcze w okresie zaborów. Na zdjęciu z 1906 roku, wykonanym w Zakładzie Artystyczno Fotograficznym Franciszka Kryjaka w Krakowie przy ul. Dominikańskiej 3, stoi w mundurze austriackim. Również jego zaślubiny z Katarzyną Nowak uwiecznione zostały przez tego samego fotografa.

Działkę i kuźnię w Bieńczycach Norbert Rojek kupił od swojego brata Piotra, u którego rozpoczął praktykę z kowalstwa. Dom był własnością żony Piotra – Marii, której Piotr był drugim mężem. Maria z d. Radoszek, pochodziła z Mogiły. Dzięki niej Norbert poznał swoją przyszłą żonę Katarzynę, również pochodzącą z Mogiły. Po wyprowadzeniu się z Bieńczyc Piotr prowadził swoją nową kuźnię w Krzesławicach.

Norbert Rojek miał sześcioro dzieci: Marię, Józefa, Zofię (zmarła w wieku 6 lat), Annę, Stanisława i Władysława.

Najstarszy syn, Józef, urodził się w 1913 roku. Po ukończeniu z doskonałym wynikiem wydziału mechanicznego Państwowej Szkoły Przemysłowej w Krakowie oraz Służby Wojskowej w Szkole Podchorążych w Zambrowie, rozpoczął pracę w warsztatach remontowych na lotnisku Rakowice. Tu zainteresował się lotnictwem, zaczął latać na szybowcach, potem zrobił kurs pilotażu. Jeszcze przed wojną należał do najlepszych polskich lotników sportowych i wygrywał liczne zawody. We wspomnieniach rodzinnych powtarzana jest historia, jak Józek zrzucał z samolotu prezenty dla mamy. Gdy na podwórko spadły z hukiem buty, mama płakała ze szczęścia. Zniżając lot nad domem zawsze udawało mu się trafić idealnie na podwórko. Mógł przecież przynieść prezenty do domu, wolał jednak pokazywać kunszt sztuki latania popisując się swoimi umiejętnościami. Ożenił się z Zofią Salwińską. Po wybuchu wojny, wraz z II Pułkiem Lotniczym wyruszył na front. Po zakończonej kampanii wrześniowej wyjechał najpierw do Rumunii, a potem do Francji. W 1940 r. zamieszkał w Grenoble gdzie, po wystąpieniu z wojska, działał w ruchu oporu. W grudniu 1941 roku wysłał do rodziców list ze swoim zdjęciem i informacją, że studiuje i ma się dobrze. List dotarł do Bieńczyc dopiero w lutym 1942 r. i był ostatnią wiadomością od syna. Józef ukończył wydział elektrochemiczny na tamtejszej Politechnice w 1944 r. Po jednej z akcji francuskich partyzantów Niemcy wzięli do niewoli zakładników. W grupie tej był też Józef Rojek. Tuż przed wyzwoleniem Niemcy rozstrzelali wszystkich zakładników. Zbiorowa mogiła, w której miejsce wiecznego spoczynku znalazł i Józef, jest nad brzegiem rzeki Izery. Jego nazwisko umieszczone zostało na honorowej tablicy „poległych za wolność Francji", która znajduje się na Politechnice w Grenoble.

Drugi syn, Stanisław, po wojnie ukończył szkołę średnią i rozpoczął pracę w PREFABECIE w Łęgu, uczęszczając jednocześnie na studia. Musiał też znaleźć czas, aby pomagać ojcu w kuźni. Gdy jednak wyprowadził się z domu rodzinnego, głównym pomocnikiem ojca w kuźni był najmłodszy syn Norberta, Władysław. On również zatrudniony był w PREFABECIE, w latach 1955 – 1988, aż do przejścia na emeryturę. Równocześnie w kuźni ojca pracował do końca jej istnienia, czyli do 1969 r.

Żona Władysława Rojka, Zofia (z domu Biernacik) opowiadała mi, że teść prowadził zeszyt. Gdy czasem chłopi przychodzili do jego kuźni bez pieniędzy, zapisywał ołówkiem np. „klepanie stalki pługa" lub „kucie konia". Pani Zofia pamięta, że zeszyt był mocno sfatygowany i brudny od spracowanych rąk kowala. Gdy rolnik sprzedał cielaka lub płody rolne, spłacał swój dług i był wykreślany z zeszytu.

We wspomnieniach rodzinnych mówi się, że dziadek Norbert był wielkim kawalarzem. Gdy wracali z kościoła, szedł na czele i przez całą drogę opowiadał kawały. Wszyscy pokładali się ze śmiechu. Również Władysław odziedziczył tą umiejętność po ojcu.

Córki Norberta, dwie siostry Rojkówny, wyszły za mąż za dwóch braci, Józefa i Władysława Dubielów. Młodsza Anna zamieszkała z mężem Józefem w domu wybudowanym przez ojca na działce za wójtem Ciepielą. Dom ten do 1969 roku stał przy gościńcu kocmyrzowskim. Po drugiej stronie drogi, przy zagościńcu /tak kiedyś mówiono na dzisiejszą ulicę Fatimską/, stała piekarnia Motyki. Niestety w czasie przebudowy ul. Kocmyrzowskiej dom Anny spotkał ten sam los, co kuźnię i dom Norberta Rojka.

Natomiast starsza córka Maria wraz z mężem Władysławem Dubielem zamieszkali w nowo wybudowanym domu w Krzesławicach. Obecnie stoi on przy ul. Makuszyńskiego. Ich córka, Maria Kruk (czyli wnuczka kowala Norberta Rojka) wspomina, że gdy drogą do Mogiły szły pielgrzymki, dzieci wylegały na szczeble płotu ogradzającego gospodarstwo dziadka i podziwiały kolorowe świąteczne stroje przechodzących pielgrzymów. A było co oglądać, bo często pielgrzymkę prowadziła barwna orkiestra w strojach ludowych. Ich dom stał przecież przy trasie wrześniowych pielgrzymek do Sanktuarium Krzyża Świętego, wiodącej z Raciborowic, Dziekanowic i dalszych miejscowości przez Bieńczyce do Mogiły.

Było to szczególne miejsce. Tuż za płotem, w rejonie skrzyżowania drogi do Mogiły z torami kolejowymi, w Zielone Świątki organizowane były „sobótki". Przez dwa dni palone było duże ognisko, wokół którego gromadziła się cała wieś. Młodzież śpiewała, paliła pochodnie zrobione ze słomy owiniętej wokół patyków. Chłopcy biegali po wsi i w poszukiwaniu drewna dla podtrzymania ognia, czasami wykradali nawet sztachety z okolicznych płotów.

Pani Maria pamięta postać księdza Celestyna z Mogiły, który czasami bywał u babci Katarzyny (żony Norberta). W tamtych czasach Cystersom chyba nie powodziło się za dobrze, bo ksiądz Celestyn podobno wychodząc od babci prosił, aby czasem zostawiała w konfesjonale chleb i jajka.

Przypadkiem na zdjęcie tego samego księdza Celestyna (na odwrocie podpisany jako Antoni Grzesiak) natknąłem się zaglądając w ubiegłym roku do opuszczonego drewnianego domu przy ul. Stare Wiślisko w Mogile. Pożółkłe, w zniszczonej ramce, nie wiadomo jak długo wisiało tam na ścianie. W domu tym mieszkali kiedyś Radoszkowie. Czyżby udało mi się natrafić na drobny ślad powiązań między dwoma starymi rodzinami mieszkającymi w Mogile i w Bieńczycach?

Inny, nieco zabawny obraz z tamtych lat, który został w pamięci Pani Marii, to niezapomniana oranżada ze sklepu u Ptaka, po wypiciu której aż „bąbelki wylatywały nosem i uszami". Po sklepie Stanisława Ptaka, zwanym przed wojną „szwarc, mydło i powidło", pozostała mała pamiątka na ścianie budynku – mocno już skorodowana blaszana tabliczka reklamująca „mydło rajskie Śmiechowskiego".

Gdy w 1968 r. budowa drugiego pasa jezdni ul. Kocmyrzowskiej i linii tramwajowej doszła do gospodarstwa Pana Norberta, tory znalazły się na podwórku i przechodziły 2 m od okien domu. Nie mógł się on pogodzić z faktem, że musi opuścić dom rodzinny, kuźnię, i to wszystko, z czym była związana jego rodzina. Do końca próbował stawiać opór rozwijającemu się miastu, jednak wiosną 1969 roku musiał ustąpić.

Pani Maria Kruk wspomina, że inni sąsiedzi też bronili się przed wysiedleniem ze swoich domów. Opowiada, jak swych domów przed rozbiórką zawzięcie bronili bracia Ziębowie. Milicja zatrzymała mężczyzn na kilka dni w komisariacie, a kobiety z dziećmi wywieziono do dawnego dworku w Bieńczycach. W tym czasie ich domy rozebrano.

Z kapliczki stojącej w ogrodzie, Norbert Rojek uratował tylko figurkę św. Floriana. Przekazał ją księdzu proboszczowi Józefowi Gorzelanemu, który kapliczkę ceglaną szybko zrekonstruował dokładnie wg wzoru tej z ogrodu. Stanęła w pobliżu budującego się właśnie w Bieńczycach kościoła Arka Pana. W nowej kapliczce znalazł miejsce przeniesiony św. Florian. Na archiwalnych zdjęciach z uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego w dniu 18 maja 1969 roku, kapliczka już stoi w pobliżu ołtarza polowego.

Utratę gospodarstwa Pan Norbert przypłacił zdrowiem, znalazł się w szpitalu. Za utracone gospodarstwo otrzymał wprawdzie garsonierę, ale nie zdążył się do niej wprowadzić. Zmarł w maju 1969 r. Po śmierci Pana Norberta władze szybko odebrały rodzinie jego mieszkanie. Ponieważ cmentarz w Mogile miał być likwidowa-

ny i nie przewidywano dalszych pochówków, Norbert Rojek pochowany został na nowoutworzonym cmentarzu w Grębałowie. Na jednym ze zdjęć, które udostępniła mi Pani Zofia Rojek, na którym uwieczniony został jego pogrzeb, widać kondukt wyruszający spod ołtarza polowego. Na tym zdjęciu też widoczna jest już odbudowana ceglana kapliczka ze świętym Florianem.

Stare żeliwne kowadło oraz kilka narzędzi kowalskich, pamiątkę po dziadku Norbercie i jego kuźni, przechowuje do dziś Maria Kurek, córka Władysława i Zofii Rojków, mieszkająca w Mogile.

Na temat wspomnianego ołtarza i budującego się kościoła chciałbym jeszcze przytoczyć obraz, jaki zachowałem w swojej pamięci. Na początku lat 60-tych, gdy przyjeżdżałem z rodzicami z Podgórza w odwiedziny do znajomych, którzy dostali mieszkanie w Nowej Hucie na os. Kazimierzowskim, chodziliśmy na niedzielne msze do kaplicy utworzonej na tyłach jakiegoś domu, między dwoma drzewami. Nie mówiło się, że idziemy do kościoła, bo takiego nie było. Msze odbywały się przy ołtarzu urządzonym na zewnętrznej ścianie, jak się później dowiedziałem, XIX wiecznego dworku należącego do 1939 r. do Stowarzyszenia Dzieci Marii, a po wojnie będącego we władaniu Sióstr Służebniczek Bogurodzicy Dziewicy Niepokalanego Poczęcia z Dębicy. Dziś dworku już nie ma. Jego ostatni fragment ostatecznie rozebrano w 1969 roku. Chyba jedynie drzewa pozostały – rosną okazałe na tyłach nowo wybudowanego budynku, w którym mieszkają obecnie siostry zakonne posługujące w kościele.

Tak więc kapliczka z ogrodu Rojków, ze św. Florianem we wnęce, stoi do dziś na placu przed Arką Pana. Może warto by umieścić na niej tabliczkę z informacją skąd pochodzi i kiedy została tu przeniesiona.

listopad 2007 r. ***Antoni Łapajerski***



Norbert Rojek, Bieńczyce, 1968 r.



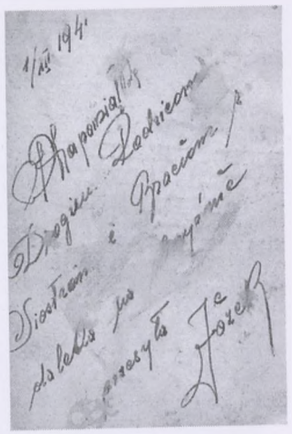
Przed domem Norberta Rojka, 1968 r.



Uroczystości pogrzebowe Norberta Rojka, w głębi widoczna kapliczka św. Floriana, 1969 r.







Dedykacja Józefa Rojka z 1 grudnia 1941 r. znajdująca się na odwrocie jego portretu.

Józef Rojek, syn Norberta, lata 30. XX w.



Norbert Rojek przed swoim domem w Bieńczycach, 1968 r.

Rodzina Krawczyków

Jedna z rdzennych rodzin Bieńczyckich – w trudnych latach okupacji zasłużyła się społeczną aktywnością niesienia pomocy żywnościowej dla przymierających głodem rodzin nauczycielskich i innych ukrywających się i potrzebujących pomocy. Wysyłali też paczki żywnościowe polskim oficerom w niemieckich obozach. Młodzież działała w konspiracji – Ela Krawczykówna była łączniczką AK – i zdobywała wiedzę na tajnych kompletach nauczania. Ośrodkiem rozdziału żywności dla potrzebujących pomocy był sklep mięsny prowadzony przez mistrza masarskiego Stanisława Krawczyka i jego żonę Anielę. Państwo Krawczykowie działali w Polskim Stronnictwie Ludowym, byli współfundatorami sztandaru PSL w Bieńczycach a Aniela Krawczyk weszła w skład małopolskiej delegacji na wielką patriotyczną manifestację w Szczecinie popierającą mikołajczykowskie Polskie Stronnictwo Ludowe.



Stanisław Krawczyk z synem Henrykiem, ok. 1934 r.



Rodzina Krawczyków: mistrz masarski Stanisław z żoną Anielą i dziećmi, od lewej: Zofia, Henryk, Elżbieta, Stasia, 1930 r.



Stanisław Krawczyk z córką, Bieńczyce, ok. 1940 r.



Aniela Krawczyk z córką w drzwiach swojego sklepu mięsnego, Bieńczyce, lata 30. XX w.



Henio Krawczyk na schodach domu rodzinnego, 1939 r.



Sklep Anieli i Stanisława Krawczyków w Bieńczycach. Zosia Krawczykówna sprzedaje przez okno sklepu rodziców mięso na kartki w 1943 r.



Od lewej: Elżbieta Krawczyk, Stanisław Krawczyk, Barbara Żurek – córka Zofii, Henryk Krawczyk, 1947 r.



Zofia Krawczyk-Żurek z córką Barbarą, 1947 r.



Teresa Krawczykowa z wnukami, od lewej i od przodu: Stanisławem, Jędrkiem, Romanem, Marią, Władysławem, Henrykiem i Michałem, 1937 r.



Stanisław Krawczyk z wnukami, Mogiła, lata 50. XX w.

Wspomnienia Bronisława Biernacika



Urodziłem się w 1925 roku w Bieńczycach nad Dłubnią, tu także się wychowałem.

Przy rzece Dłubni od Mistrzejowic do Krzesławic mieszkało 16 rodzin w domach z niewielkimi parcelami, na których zakładano tuż przed wojną sady i plantacje truskawek. Około 80 % powierzchni to były łąki, a liczne rowy wypełniała woda, w której było pełno żab, raków i różnych owadów. Wiosną całe łąki zamieniały się w jeden różnokolorowy kobierzec kwiatowy z bocianami i innym ptactwem. Od wczesnego rana do późnego wieczora słychać było stamtąd ptasi koncert i klekot bocianów, a zapach traw i kwiatów zniewalał ludzi a zwłaszcza pary zakochanych. Na dawnych łąkach wybudowano w latach 50. obiekty gospodarcze, magazyny i betoniarnię.

Rzeka wylewała w okresie wiosennym prawie co roku, dopóki nie wybudowano w latach 60. zapory w Zesławicach. Jaz na rzece rozdzielał wodę na nowe koryto, tzw. „Młynówkę", która napędzała turbiny młynów Lelity i Kaczorowskich. Nieopodal jazu znajdowała się niecka przypominająca amfiteatr, gdzie odbywały się festyny, zabawy i dożynki, a naprzeciwko było boisko klubu piłkarskiego „Tęcza". Przed młynem Lelity były zagospodarowane stawy w których hodowano ryby. Stawy te są dzisiaj zdewastowane i zaśmiecone. Młyn był czynny do 1990 roku, a dawniej pracował w nim jako starszy młynarz mój dziadek – Paweł Pyczek, który w czasie pożaru młyna w 1916 roku ratując maszyny uległ śmiertelnemu wypadkowi. Obecnie ten młyn przypomina ruinę, a wcześniej został rozkradziony.

Dzisiejsza ulica Podrzecze to dawna „Szewska", bo w co drugim domu byli tam szewcy, a Grzegorz Dziwisz wyrabiał nowe buty. Przy tej samej ulicy były dwie kuźnie: Jana Dziwisza i pana Kaczmarczyka. Za jego kuźnią gospodarzył mój drugi dziadek – Franciszek Biernacik, ktory miał 4 synów:

Grzegorza – służył w armii austriackiej , a po drugiej wojnie światowej był listonoszem

Wojciecha – ożenił się w Niepołomicach i tam gospodarzył

Andrzeja – gospodarzył w domu rodzinnym

Jana – mojego ojca (był najmłodszy), który wraz z moją mamą Józefą z Pyczków wybudował na parceli mały domek.

Mój kuzyn Jan Mleczko studiował w Seminarium w Czerwińsku, a po wybuchu II Wojny Światowej jako kleryk, znalazł się na terenie lwowskim, skąd po wkroczeniu tam wojsk radzieckich przybył do rodzinnego Krakowa gdzie został wyświęcony na kapłana. Występował m.in. wraz z Karolem Wojtyłą – przyszłym papieżem w jasełkach u księży Salezjanów w Dębnikach, posiadał piękny głos – tenor. Po mszy prymicyjnej ks. Jana Mleczkę wysłano do pracy duszpasterskiej w rejon Szczecina, gdzie odbudowywał z gruzów 3 kościoły. W Policach został oskarżony o krytykę ZSRR, został aresztowany i odsiedział w więzieniach 1,5 roku. (...) Był b. ambitny, posiadał 3 doktoraty; z teologii, filozofii i prawa.

Ja, w czasie okupacji w 1943 roku pracując w Wytwórni Sygnałów i Urządzeń Kolejowych w Krakowie wstąpiłem (ps. „Wilk") do Armii Krajowej, gdzie w VI Dywizji, 2 oddział AK pod dowództwem Trzaski (ps. „Błyskawica") dokonywaliśmy przerzutów broni np. spod Czasławia do Krakowa.

W 1945 roku wstąpiłem do służby w Wojsku Polskim. Jako podchorąży, nie zapisałem się do partii i zrezygnowałem z kariery wojskowej. Obecnie mam stopień porucznika W.P. w stanie spoczynku. Posiadam Patent Weterana Walk o Niepodległość Ojczyzny, Krzyż Partyzantów, Krzyż Armii Krajowej, Medal za Zasługi Związku Kombatantów i Srebrny Krzyż Zasługi. Obecnie przebywam na emeryturze po 48 latach pracy zawodowej.

Bronisław Biernacik



Franciszek i Katarzyna Biernacik z synami: Janem (z lewej) i Grzegorzem, Bieńczyce, 1919 r.



Grzegorz Bienacik z Bieńczyc, syn Franciszka, listonosz (siedzi na krześle), 1918 r.



Andrzej Biernacik „Wielgus" z rodziną. Odpust Mogile, 1932 r.



Józefa z Pyczków Biernacikowa (w II. rzędzie 1 z prawej) z siostrami i kuzynkami, 1924 r.



Prymicje ks. Jana Mleczki, Bieńczyce, 1947 r.



Ks. Jan Mleczko



Wojciech Biernacik z żoną, 1926 r.



Mieszkańcy Bieńczyc, u góry rodzeństwo Piernacików: Bronisław i Janina, 1932 r.



Jan i Józefa Biernacikowie z wnuczką Elą oraz Stanisław Mars

Stefania Sadzikowska z domu Zamojska

Stefania Sadzikowska z domu Zamojska – córka Feliksa i Rozalii z Nawarów, urodzona 1.11.1910 r., zmarła 24.11.1988 r. w Bieńczycach. Miała 4 braci: Józefa, Piotra, Jana (zginął w II Wojnie Światowej), Stanisława oraz 3 siostry: Salomeę, Julię i Bronisławę. W młodości chodziła do szkoły średniej w Krakowie i pracowała w gospodarstwie rodzinnym w Bieńczycach. Tu poznała swojego przyszłego męża Czesława Sadzikowskiego ur. 5.12.1906 r.– z zawodu dyplomowanego młynarza, za którego wyszła za mąż. Z tego związku urodziło się 7 dzieci: Stanisława, Czesława (zmarła jako niemowlę), Julia, Władysław, Piotr, Andrzej i Marian. Czesław Sadzikowski był wielkim patriotą Polski, należał do Armii Krajowej, interesował się historią, był uzdolniony muzycznie – grał w bieńczyckiej orkiestrze na waltorni. Posiadał też zdolności manualne: robił swoim dzieciom zabawki: lalki, drewniane klocki, samochody, hulajnogi i in., co sprawiało im wielką radość. Był bardzo dobrym ojcem i mężem. Zmarł przedwcześnie 20.06.1956 r. na wadę serca. Osierocil 6 dzieci w wieku od 2 do 18 lat. Stefania Sadzikowska w czasie trwania małżeństwa zajmowała się gospodarstwem domowym i wychowywaniem dzieci, a po śmierci męża pracowała dodatkowo, gdyż renta po mężu była bardzo niska. Była to kobieta bardzo dzielna, życiowo zaradna i życzliwa dla innych ludzi. W zachowanych o niej wspomnieniach pozostała jako wspaniała żona, Matka i Babcia.

Córka – Stanisława Hula



Stefania Sadzikowska z domu Zamojska, córka Feliksa i Rozalii, stoi na schodach przed „Dworkiem" w Bieńczycach, lata 30. XX w.



Od lewej z tyłu stoją: p. Pazdalscy, p. Motykowie (właściciele piekarni w Bieńczycach), Stefania Radzikowska, pani Banert (właścicielka sklepu k. młyna Lelity), z przodu w środku stoi Zofia Ciepielówna, obok jest córka Banertów, a po prawej pani Ciepielowa, Bieńczyce, ok. 1930 r.

Wspomnienie o Mariannie Woźnicy

Marianna Woźnica z Jędrszczyków, córka Jana Jędrszczyka i Wiktorii Jędrszczyk z Turbasów urodziła się 6 czerwca 1913 roku. Jej ojciec Jan był z zawodu krawcem i znany był na terenie Bieńczyc jako człowiek wysokiej kultury, bardzo uczciwy i serdeczny. Jan Jędrszczyk bardzo kochał swoją żonę Wiktorię i dwoje dzieci – urodzonego 22 stycznia 1912 roku syna Idziego i córkę Mariannę. Niestety, gdy w 1914 roku rozpoczęła się wojna światowa, musiał z wojskiem austriackim udać się na front. Zginął w sierpniu 1917 roku pod Ostritzą w powiecie Czerniowce (na terenie dzisiejszej Rumunii) i tam został pochowany.

Wiktoria, która jako wdowa z dwójką małych dzieci musiała sama zapewnić byt rodzinie, zdecydowała się na kolejne małżeństwo z Janem Bochenkiem. Z tego małżeństwa urodziło się trzech synów: Jan, Franciszek i Józef. Marianna zaangażowała się w pomoc przy wychowywaniu młodszych, przyrodnich braci. Bardzo ofiarnie pielęgnowała małego Franciszka, gdy ciężko zachorował na tyfus, ratując tym jego życie.

Marianna uczyła się w szkole ludowej powszechnej w Bieńczycach, potem poszła na naukę zawodu do szkoły prowadzonej przez siostry zakonne przy ul. Św. Krzyża w Krakowie, gdzie przez 3 lata uczyła się krawiectwa. Do szkoły dojeżdżała z Bieńczyc pociągiem.

Ważną postacią w życiu Marianny była jej ciotka Salomea Wiktoria Krasnowolska, mieszkająca w Krakowie ze swoim mężem Józefem Krasnowolskim, malarzem młodopolskim. Salomea gościła Mariannę i Idziego w swoim domu, uczyła ich miejskiego życia, motywowała do nauki oraz osobistego rozwoju. Bardzo lubiła Mariannę, która zastępowała jej córkę.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej Marianna miała wyjść za mąż, ale z powodu wojny ślub został odwołany. Okres okupacji przeżyła w rodzinnych Bieńczycach, gdzie pomagała matce i ojczymowi w prowadzeniu gospodarstwa.

Wyszała za mąż dopiero w 1948 roku, 25 kwietnia, za Jana Woźnicę i zamieszkała w Krakowie na Kazimierzu. W 1949 roku urodziła córkę Janinę. Pracowała w Zakładach Przemysłu Tytoniowego w Czyżynach, a potem w Liceum Muzycznym. Zmarła 16 grudnia 1990 roku w Krakowie.

Janina Pilch





Nasz stary dom

Zaczął się rok 2008. W Krakowie, w Nowej Hucie, przy ul. Fatimskiej 55 stoi nowy dom, obok – w trakcie budowy – jest drugi. Działki, na których stanęły, nie należą już do rodziny Bochenków i Jędrszczyków.

Kolejne sprawy spadkowe spowodowały, że działka dziadków stała się współwłasnością wielu osób. Nie wypracowaliśmy koncepcji, aby ktoś z rodziny spłacił pozostałych spadkobierców, zatem nieruchomość została podzielona na dwie części i sprzedana chętnym do budowy nowych domów. Stało się to w latach 2006-2007. I tym samym pozostały nam tylko wspomnienia.

Pewnego dnia w roku 2003 zatelefonował właściciel posesji położonej w pobliżu starego domu z pytaniem, czy może wykorzystać pozostałości po pożarze. Byliśmy zaskoczeni, bo mimo, że mieszkamy w odległości zaledwie kilkaset metrów, nic o pożarze nie wiedzieliśmy. Tak to wyglądało: niestety – stare gospodarstwo dziadków nie miało już gospodarza.

Od kilku lat borykaliśmy się z problemem utrzymania minimalnego przynajmniej porządku na działce ze starym domem. Chętnych do stałego nadzoru nie było, każdy ze spadkobierców miał własne życie, a w starym domu osiedlili się... bezdomni. Prawdę mówiąc, akceptowałam ich obecność, po trosze z ludzkiego odruchu, a trochę z przymusu. Nie były to osoby, z którymi dało się ustalić jakiekolwiek reguły tolerowania ich pobytu. Prawdopodobnie któregoś dnia sterty zgromadzonych śmieci zostały podpalone – przypadkiem, czy umyślnie – tego już się zapewne nie dowiem.

Ostatnia prawdziwa gospodyni domu, moja babcia Wiktoria Bochenek (primo voto Jędrszczyk) zmarła w roku 1979. Była to osoba o mocnym i trochę dziwnym charakterze. Później, kiedy przeniesiemy się we wcześniejsze czasy, będzie okazja do zastanowienia się nad przyczynami specyfiki jej osobowości.

Babcia właściwie nigdy nie opuszczała domu. Z tego co wiem, raczej nie utrzymywała bliższych kontaktów z sąsiadami, była zamknięta w sobie. Dla swoich dzieci (czterech synów i córki) była prawie ikoną: spotkania z nią – najczęściej związane ze świętami lub jej imieninami – miały (tak przynajmniej ja odbierałam to jako dziecko) charakter bardzo ceremonialny. Budziła respekt i utrzymywała jakiś nieprzekraczalny dystans. Dla najmłodszych członków rodziny wizyta u babci miała stałe elementy: ucałowanie ręki, odebranie należnego „pieniążka", który babcia przygotowała, i zabawę w miejscu gwarantującym babci spokój, aż do chwili, kiedy wizyta dobiegła końca.

Dzieci babci – syn i córka z pierwszego małżeństwa i trzech synów z drugiego – mieli bardzo silne poczucie obowiązku w stosunku do matki. Opieka nad nią była bardzo precyzyjnie przez rodzeństwo planowana – musiała być ciągła i skuteczna. O ile dobrze pamiętam, była także wspomagana przez dochodzącą osobę, mieszkankę jednego z sąsiadujących domów.

Jak można dociekać z treści będących w moim posiadaniu listów wysyłanych do mojego ojca w latach 50., kiedy odbywał służbę wojskową , babcia niezbyt sprawnie posługiwała się słowem pisanym: listy były zawsze autorstwa mojego dziadka Jana Bochenka, natomiast babcia dodawała pisane niewprawną ręką krótkie dopiski. Pamiętam za to, że babcia dość żywo interesowała się wydarzeniami bieżącymi. Często słuchała radia i chętnie komentowała zasłyszane wiadomości.

Dzień jej śmierci ma wydźwięk symboliczny. Niedomagała, a bezpośrednią przyczyną było chyba zwykłe przeziębienie, ale ze względu na podeszły wiek matki (89 lat), synowie – zaniepokojeni jej stanem – postanowili zawieźć ją do szpitala. Bardzo się tego bała, tak jak – mam wrażenie – całego świata zewnętrznego. I można powiedzieć, że jej obawy się spełniły: wywieziona z rodzinnego, bezpiecznego domu, po prostu... zgasła. Zmarła właściwie bez bezpośredniej przyczyny. Ze starości i smutku.

Wcześniej, w roku 1974, umarł mój dziadek Jan. Umierał cichutko, w szpitalu. Do dzisiaj nie mogę pozbyć się żalu, że odwiedzając go – jako kilkunastoletnia dziewczyna – w szpitalu, niezbyt uważnie słuchałam jego opowieści o przeszłości. Bardzo chciał przekazać coś ze swojego życia, a ja równie bardzo – nieuważnie słuchałam.

Po śmierci dziadków dla naszego starego domu przyszły ciężkie czasy. Już do końca swojej historii nie miał stałego, troskliwego gospodarza. Owszem, przychodziło się zbierać maliny i jabłka, wykorzystywano część domu na garaż dla samochodu wujka Franka Bochenka (najstarszy z synów z drugiego małżeństwa babci), ale nie było już mocnej gospodarskiej ręki. Przez pewien czas (chyba kilka lat) w domu mieszkał jeszcze syn Franciszka, Bogusław (w rodzinie używa się imienia Sławek), ale i on potem ze starego domu się wyprowadził.

Dom dorobił się – w wyniku „historycznych" zmian – nieciekawego sąsiedztwa. I dom, i przylegający do niego ogród były wyeksponowane dla mieszkańców pobliskiego hotelu robotniczego . No cóż: nie było to sąsiedztwo miłe. Kiedy przyjeżdżaliśmy (trochę z obowiązku, trochę z sentymentu) do Bieńczyc „na maliny", trzeba było liczyć się z niewybrednymi uwagami i zaczepkami padającymi z otwartych okien hotelu. Zaczepki nie były zresztą tylko słowne. „W darze" otrzymywaliśmy także różne „drobne przedmioty", w rodzaju butelek po „markowym" winie spożywanym przez budowniczych i pracowników Kombinatu.

Wcześniej, w moich latach dziecięcych, hotelu jeszcze nie było i ogród kończący się dzisiaj przed ścianą bloku ciągnął się daleko (z poprawką na dziecięcą ocenę przestrzeni). Lubiliśmy (ja, siostra Basia i kuzyni – dzieci wujków i cioci) bawić się na jego terenie. Jak teraz przypominam sobie – można było już wtedy dostrzec nadchodzące „nowe czasy". Po pierwsze: ogród był wtedy chyba już wywłaszczony, po drugie – w czasach, kiedy „wszystko było nasze" – mieszkańcy okolicznych nowych osiedli nie widzieli nic zdrożnego w urządzaniu sobie pikników na terenie naszego ogrodu, częstym zatem zjawiskiem byli w nim nieproszenie goście.

Lata owe przyniosły zakończenie beznadziejnej walki dziadków o swoje prawa właścicielskie. Wywłaszczeń nigdy nie zaakceptowali. Odwoływali się od decyzji wywłaszczeniowych, odmawiali przyjęcia groszowych odszkodowań. Nie trzeba zapewne dodawać, że ich starania były beznadziejne. Szczęściem w nieszczęściu było zapewne to, że „walec historii" zatrzymał się tuż za progiem ich domu i dane im było umrzeć ze świadomością ocalenia rodzinnego domu (choć już niczego więcej).

Zmarli w latach 70. Wiktoria i Jan Bochenkowie mieli trzech synów: Franciszka – urodzonego w roku 1920, Jana (mojego ojca) – w 1923 i Józefa – w 1926. Bracia byli bardzo, bardzo ze sobą zżyci, do końca życia (żaden z nich już nie żyje) utrzymywali bliski i serdeczny kontakt. Jak już wspomniałam, spotykali się regularnie w domu rodziców, przy czym spotkania te koncentrowały się na osobie matki, ich ojciec pozostawał trochę w cieniu, trudno sprecyzować, dlaczego. Źródło tkwiło w przeszłości, zapewne związanej z losami babci i jej emocjonalną pozycją w rodzinie. Bracia spotykali się też bardzo często przy okazji imienin każdego z nich (i rodzeństwa przyrodniego – Idziego i Marii).

Mój dziadek był drugim mężem babci. Pierwszy mąż, Jan Jędrszczyk, zginął w czasie pierwszej wojny światowej w miejscowości Ostritza, w dawnym powiecie czerniowieckim (dzisiaj należącym chyba do Rumunii). Zachowały się pełne czułości listy Jana Jędrszczyka do żony, wskazujące na łączące ich głębokie uczucie. Z analizy dat listów może wynikać, że przez pierwsze lata wojny mąż Wiktorii stacjonował w jakimś garnizonie w Małopolsce, a żona przynajmniej raz odbyła wielką na owe czasy wyprawę, aby go odwiedzić.

W 1917 r. Jan Jędrszczyk zginął na froncie. Życie Wiktorii runęło w gruzach. Pomijając bezgraniczną rozpacz wynikającą z utraty ukochanego człowieka, jej sytuacja życiowa stała się zapewne nie do pozazdroszczenia. Pozostała sama z gospodarstwem i dwojgiem małych dzieci: Idzim – urodzonym w roku 1912 i Marią (Marianną), która przyszła na świat w rok później. Ciocia Marysia (moja chrzestna matka) nie miała łatwego życia. Osierocona w wieku 4 lat, później stała się po trosze drugą matką dla synów Wiktorii z drugiego małżeństwa, swoich młodszych przyrodnich braci.

Przypuszczam, że małżeństwo babci z młodszym od niej Janem Bochenkiem (nie znam dokładnej daty ślubu, ale w roku 1920 urodził się ich pierwszy syn) było po części małżeństwem „z rozsądku", mającym zapewnić wdowie pomoc w utrzymaniu gospodarstwa i wychowaniu dzieci z pierwszego małżeństwa. Być może jest to zbyt daleko idący wniosek, ale subiektywnie tak wyjaśniam sobie dość chłodne relacje między moją babcią i dziadkiem.

Z listów Jana Jędrszczyka do żony Wiktorii i z zachowanych zdjęć wnioskuję, że było to szczęśliwe małżeństwo i w miarę zasobne. Mieszkali we własnym domu wybudownym przez Grzegorza Turbasę – ojca Wiktorii. Wcześniej zostały uregulowane sprawy własnościowe między Wiktorią a jej siostrą Salomeą. Ślub Jana i Wiktorii odbył się 27 czerwca 1911 roku. Jej siostra w roku 1902 (5 listopada) wyszła za mąż za młodopolskiego malarza Józefa Krasnowolskiego. Wesela po obydwu ślubach odbyły się w domu rodzinnym Turbasów, to wcześniejsze zapewne można porównać ze słynnym weselem Lucjana Rydla. Zdarzenie to nie miało szczęścia stać się literackim pierwowzorem, ale myślę, że miało podobną rangę społeczną, bo wpisywało się w ówczesną „modę" na związki artystów z kobietami „z ludu". Wcześniej już o tym wspominano, ale przypomnę, że zarówno żona Józefa Krasnowolskiego Salomea, jak i moja babcia Wiktoria były modelkami artysty i ich wizerunki często pojawiają się w jego pracach.

Wesele mojej babci było przypuszczalnie skromniejsze, niż jej siostry, ale to nie miało wpływu na dobre perspektywy nowej rodziny. Mieli gdzie mieszkać, Jan zarabiał jako krawiec, a posiadali też sporo ziemi zapewniającej byt.

Dom stał na tzw. Budzyniu (można powiedzieć, że to pierwotny adres domu). Nazwa ta dotyczyła domów położonych najdalej od stacji kolejowej Bieńczyce, a używana była dlatego, że osoby z położonych tam domostw, dojeżdżające do pracy lub z innych powodów udające się na stację, budziły po drodze pozostałych mieszkańców Bieńczyc.

Jako datę zakończenia budowy domu przyjmuję rok 1900, który został wyryty na belce konstrukcyjnej na jego froncie.

Jak mieszkali dziadkowie:

Od frontu dom miał izbę o dwóch bliźniaczych okienkach po sześć szybek każde. Do izby wchodziło się z sieni, która leżała po jej prawej stronie i przechodziła chatę na przestrzał. Z drugiej strony sieni była komora. Po lewej stronie sieni była stajnia, a po prawej kuchnia, do której można było wejść z sieni lub z głównej izby.

Dom był zbudowany z drewnianych bali. Pierwsze belki położono na kamieniach umieszczonych w narożnikach, a z kolejnych warstwowo nakładanych bali zbudowane były ściany. Ostatnie belki, nieco grubsze, zwane płatwiami, tworzyły zrąb chaty. Wszystkie belki w zrębie zakładane były w narożnikach na węgieł, to jest na krzyż, a końce sterczały nieco na zewnątrz. Na płatwiach ułożone były tragarze, a na nich krokwie, do których wzdłuż przybite były żerdzie zwane łatami. Do łat przywiązano snopki słomy stanowiące pokrycie dachu. Szczyt dachu utkany był grubo perzem, co zapobiegało przeciekaniu kropli deszczu na strych. Szpary między belkami w ścianie uszczelniono mchem i wylepiono gliną. Gdy dom był nowy, nie został pomalowany. Dopiero, gdy drzewo – z którego był zbudowany – zaczęło butwieć, dom pobielono wapnem i pomalowano na kolor niebieski. Wewnątrz chaty był piec piekarski. Stojąca w sieni drabina zapewniała dostęp do strychu. Na ścianie wisiała kosa i sierp. Ponadto w izbie na ścianie wisiały wizerunki świętych umieszczone nad oknami wzdłuż całej ściany, pod powałą. Wyposażenie stanowiły stół, ława, skrzynia, stołki i łóżko usłane wysoko poduszkami i pierzynami. W kuchni też było łóżko i kuchnia z blachami, na której gotowano posiłki.

Dotarłam już w opisie historii domu do jego początku. To zabieg świadomy. Nie chciałam tej historii kończyć opisem klęski. Wolę mocniej zachować w pamięci dni jego największej świetności, czyli te, które były początkiem barwnej historii rodziny Jędrszczyków i Bochenków, ludzi mi bliskich, z których większość już odeszła.

Utrzymuję bliski kontakt z żoną jednego z moich wujków, Franciszka Bochenka – Zofią Bochenek (z domu Zybura). Ciocia Zosia jest żywą historią Bieńczyc, jej losy w sporym zakresie zostały już opisane w pierwszej części książki „Czas zatrzymany", a jej wspomnienia są dla mnie łącznikiem z moimi korzeniami.

Dom na Budzyniu był miejscem, w którym zostały zainicjowane, lub z którym splotły się losy członków mojej rodziny. Dla ilustracji, jak były niekiedy ciekawe, jak wpisują się w historię naszego kraju, wspomnę tylko epizod z życia przyrodniego brata mojego ojca, Idziego – najstarszego z potomków babci Wiktorii.

Wujek Idzi w roku 1939 znalazł się w zasięgu „bratniej pomocy" Armii Sowieckiej. Miał możliwość uciec z niewoli. Dla osób, które obejrzały „Katyń" Andrzeja Wajdy skojarzenie będzie oczywiste, jeżeli powiem, że wujek uciekł z „pomocnej" niewoli, a następnie wrócił, aby namówić do ucieczki innych oficerów. Bezskutecznie (vide: film). Uciekł powtórnie, cały czas zachowując w posiadaniu szablę. Aby zwiększyć swoje szanse, w czasie ucieczki ukrył szablę na strychu jakiejś nadbużańskiej chałupy. Po wojnie wrócił po swoją własność i szabla ta do końca jego dni wisiała w jego pokoju w mieszkaniu przy ul. Michałowskiego w Krakowie.

To już koniec moich wspomnień o „starym domu". Mam teraz w Bieńczycach swój nowy „stary dom", w którym mieszkam od roku 1996. Może kiedyś, po następnych stu latach, ktoś opowie jego historię i opisze epizody z życia ludzi z nim związanych. A ja marzę o tym, żeby ta opowieść nie zaczynała się, jak moja, od opisu jego unicestwienia.

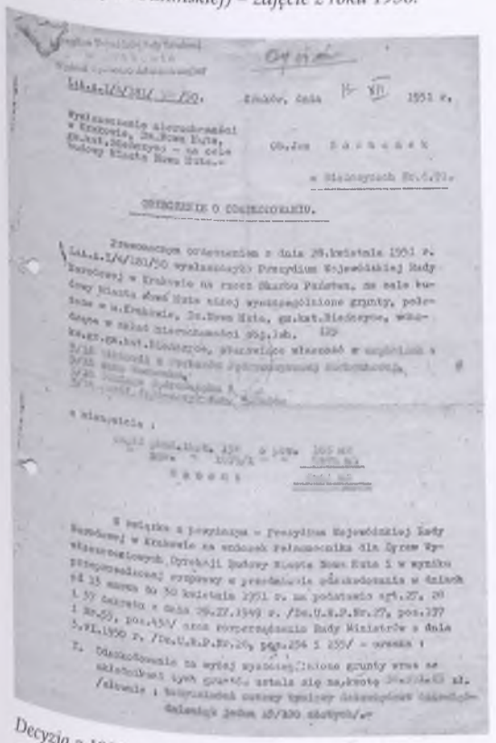
Elżbieta Dzikowska z d. Bochenek



Wiktoria z Turbasów, ok 1915 r.



Dom Wiktorii w Bieńczycach, już nieistniejący (przy dzisiejszej ul. Fatimskiej) – zdjęcie z roku 1958.



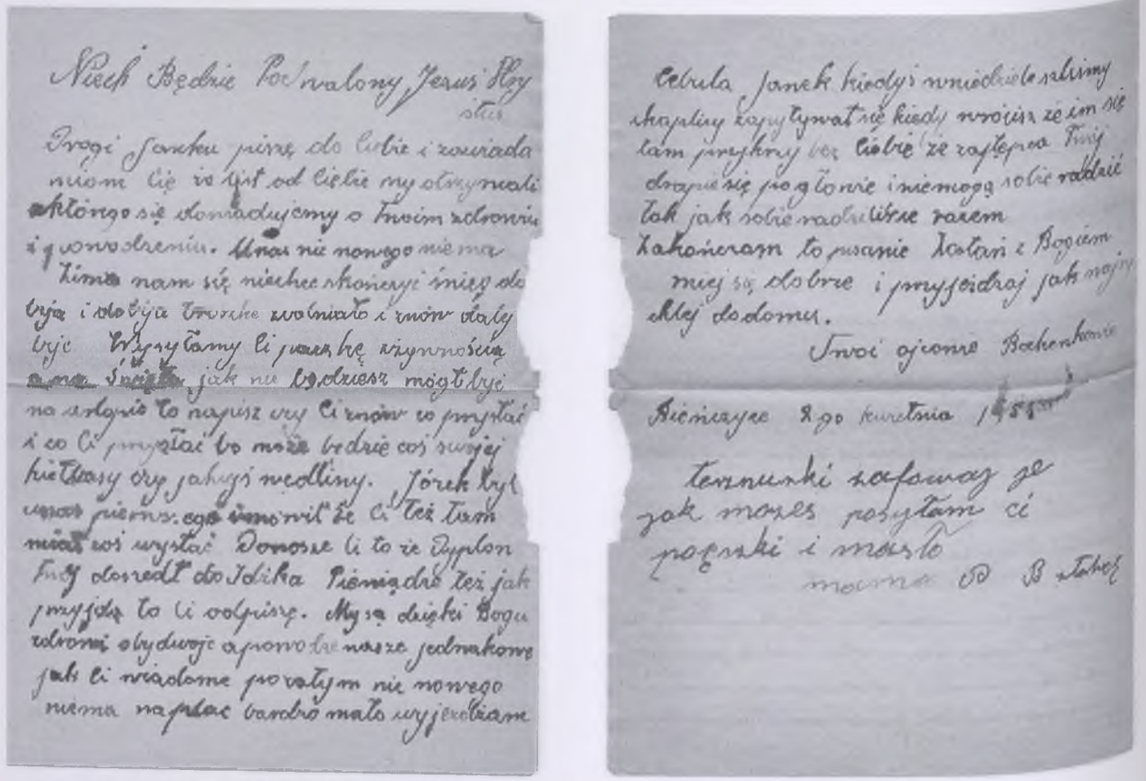
Decyzja z 1951 r. o wywłaszczeniu gruntów rolnych i sadów należących do Wiktorii i Jana Bochenków. Po wywłaszczeniu własnością rodziny pozostała tylko działka z domem.



Pierwszy mąż Wiktorii: Jan Jędrszczyk (ojciec dwojga dzieci Wiktorii: Idziego i Marianny vel Marii) w mundurze C.K. Armii. Zginął pod Ostritzą w powiecie czerniowieckim w pobliżu granicy z Rumunią w 1917 r.



Jan Bochenek – drugi mąż Wiktorii (ojciec Franciszka, Jana i Józefa), jako krakowski dorożkarz., lata 30. XX w.



Niech Będzie Pochwalony Jezus Chrystus

Drogi Janku piszę do Ciebie i zawiadamiam Cię że żyjemy od Ciebie my otrzymali błogosławieństwo o Twoim zdrowiu i pomyślnym. Mamy nic nowego niema tylko nam się niechce skończyć śnieg oddają i oddają trochę wolniej i znów dały być Wyczytamy li jeszcze czy nie czytasz jak nie to odpiszesz mogłbyć na stronie to napisz czy Ci coś przysłać i co Ci przysłać to może będzie coś swojej kiełbasy czy jakiejś wędliny. Jórek był ostatnio pierwszego dnia mówił że Ci też Tam miał coś wysłać Donosze Ci to że Dyplom Twój odesłał do Idika Pieniądze też jak przyjdą to Ci odpiszę. My są dzięki Bogu zdrowi obydwoje a pozdrawiamy nasze jedynakowe jak Ci wiadomo po staremu nic nowego niema napisać bardzo mało wyjeżdżam

Cebula Janek kiedyś wniedzielę zdrowiny skapliny zapytywał się kiedy wrócisz że im się tam przykry bez Ciebie że zaczęła Twój drapnie się pogłonie i niemogą sobie radzić tak jak sobie radzicie razem Zakończam to pisanie Zostań z Bogiem miej się dobrze i przyjedź jak najprędzej do domu.

Twoi ojcowie Bochenkowie

Bieńczyce 2go kwietnia 1958

Tenzwunki zapamiętaj że jak mogę pozdrawiam ci pogłonki i mąsło

mama do B stałej

List rodziców Jana Bochenka do syna odsługującego ćwiczenia wojskowe. List pisany przez ojca z dopiskiem matki.



Wiktoria z mężem Janem Bochenkiem, lata 60. XX w.



Elżbieta, córka Jana Bochenka (syna Wiktorii i Jana) w roku 1958. Tata „w wojsku".



Tata Elżbiety – Jan Bochenek. Zdjęcie z ćwiczeń wojskowych odbywanych w latach 50 XX w.

Pani Elżbieta od przenoszonego domu

Stoi przed stareńkim domem w Grębałowie – drewnianym, z ogródkiem napęczniałym od kwiatów. Ona też jest stareńka. Ma na sobie czerwono-białą sukienkę, w uszach czerwone kolczyki, a na szyi czerwone korale. Sukienka, kolczyki i korale nie są tak stare, jak ten dom. Nikt ich nie przenosił, nikt z korzeniami nie wyrywał, nie rozbierał na części.

Przecież to ten sam dom – dokładnie ten sam. Ten, który przez wiele lat stał w Bieńczycach.

Jak to się stało, że był w Bieńczycach, a dzisiaj jest w Grębałowie?

Pani Elżbieta (rocznik 1922) teraz opowiada tę historię – historię domu z dwóch miejsc. Teraz, bo ktoś o ją o to poprosił, bo dla kogoś to była ważna rzecz.

Adam Gryczyński – fotografik. Facet, jak dąb, a wzruszył się ludźmi. I tym, co im się w życiu podziało. Tym, jakie było ich życie; tym dlaczego to życie im odebrano, a zamiast niego wstawiono nowe. Gryczyński postanowił przypomnieć świat sprzed 1949 roku – świat jeszcze bez Nowej Huty. Świat, który zamienił się w Nową Hutę. Te wszystkie wsie, które Nowa Huta zjadła, którymi objadł się kombinat. Bieńczyce. Czyżyny, Pleszów, Luboczę, Mogiłę... Gryczyński odkrył życie przed Nową Hutą – ludzi odkrył. Z ich żalem, z tęsknotą, ze strachem i z rozczarowaniem. Opowiadali mu o burzonych domach; o wspomnieniach, z którymi władza ludowa kazała im iść do nowych bloków; o sadach, o dożynkach, o bogatych parafiach. Zdjęcia pokazywali – świata, który nie był tak skomplikowany. Który był dobry, szczery i cichy. Jak z bajki, jak nie wiadomo z czego.

(Dziś nie wiadomo, bo wtedy było wiadomo – wziął się z ludzi. Dobrych, szczerych, cichych.) Zdjęcia zabrał do domów. Odszczyścił z muszych kup, wyprostował (bo w rulonikach były; ludzie je zwinęli w walce; myśleli, że już do niczego się nie przydadzą, więc nie trzeba będzie ich rozprostowywać). Z tych fotografii ułożył wystawę na placu Centralnym – „Nowa Huta – najmłodsza siostra Krakowa". Oczywiście są na niej i inne zdjęcia – Nowej Huty w budowie, Nowej Huty zbudowanej, Nowej Huty walczącej z komunizmem... (to klasyka fotografii dokumentalnej).

Ale to te stare zdjęcia są najważniejsze. I pani Elżbieta mówi, że teraz jest tak, jakby urodziła się raz jeszcze. Pewnie, że do swoich Bieńczyc nie wróci, ale ma dwa światy – ten i tamten. Ten zna, tamten sobie przypomina. Gryczyński mówi: historia kiedyś wyparowała, historia dziś się materializuje.

Była parą, jest wodą. A to już coś.

Ziemia dobra, Bóg błogosławił, człowiek dbał.

Zdjęcie z wystawy: rodzina Świdrów z Bieńczyc ustawia się przed obiektywem aparatu, za plecami ma altankę i drzewa (tło przywiózł ze sobą fotograf). Mężczyzna obejmuje ramionami dwie kobiety – są najwyższym piętrem tego zdjęcia. Na niższym stoi trójka dzieci. Na parterze – pucułowaty chłopiec w marynarskim ubranku.

Rodzina stoi sobie w Bieńczycach, właśnie jest odpust. Pogoda taka, że lepiej było w domu siedzieć. Tę pogodę widać na butach dzieci – ubłoconych niemiłosiernie. Gdyby świeciło słońce, dzieci założyłyby sandały. Dziewczynka po lewej stronie zdjęcia, to właśnie pani Elżbieta – biała sukienka, czarne pończochy, włosy ścięte na pazia, na szyi korale.

W 1933 roku ta fotografia pewnie była jaskrawa – marchewkowa sepia. Dzisiaj jest kawą z mlekiem, w której więcej mleka, niż kawy.

Po co fotograf taszczył ze sobą tło? Bieńczyce mu się nie podobały? Ludzie źle się prezentowali w bieńczyckich plenerach? Jakie one były?

Pani Elżbieta: – Wieś z drogą, domy w równych odstępach. Jedne kryte dachówką, inne strzechą. Jedne bogate, bo ze lśniącymi szybami w oknach; inne z szybami matowymi od starości. Mieliśmy niedaleko rzekę, dwór mieliśmy, łąki, kolej. Najpiękniejsze były sady – pełne owoców, które woziło się do Krakowa, dla państwa mieszczan. Też mieliśmy spory kawał ziemi, też sadziliśmy, a potem zbieraliśmy plony. Nic nadzwyczajnego; tyle, że w tych naszych Bieńczycach to wszystko takie wielkie rosło – ziemia dobra, Bóg błogosławił, człowiek dbał.

Ona pasła gęsi. Raz uciekły jej w zboże. Rozpaczała rozpaczą ośmiolatki.

Ojca miała takiego, że na miejscu nie mógł usiedzieć – podróżował tu i tam, a nawet do miejsc, które nie były ani tu, ani tam, tylko gdzieś.

Kiedy dorosła, ojciec spakował rodzinę i przeniósł się do innego miejsca w Polsce. Ona została na gospodarce. Bo ziemię kochała, bo z drzewami za oknem było jej dobrze. Bo dom był oswojony – czasem skrzypiał, czasem szumiał, czasem charczał.

Jak wszystkie stare domy.

Wyszła za mąż – za Kazimierza z Mogiły, młynarza (wypatrzył ją sobie po niedzielnej mszy świętej).

Potem przyszedł rok 1949.

Potem na wielkich arkuszach pojawiła się Nowa Huta.

Potem przyszli do pani Elżbiety ludzie i powiedzieli: tu stanie miasto, tu staną nowoczesne bloki. Do tego: tu nie może być sadu, tu nie może być waszego domu, bo w jego miejscu wymyśliliśmy sobie główną drogę.

Więc nie mogło być tak, że jej dom stałby na drodze głównej drodze.

Co miało dojrzeć, dojrzało.

Nie tylko do niej przyszli. Chodzili od domu do domu. Mówili o odszkodowaniach. A ona myślała: „Jak odszkodowanie, jak mi właśnie śliwy kwitną? Jak odszkodowanie, jak czereśnie będę niedługo? Jak odszkodowanie, jak maliny, jak przecież za chwilę porzeczki?".

Pani Elżbieta: – To poprosiłam tych ludzi, te Służby Polsce, żeby mi dali trochę czasu. No żeby wszystko zdążyło przynajmniej dojrzeć. Szkoda było zostawiać tego na krzewach i drzewach, a potem pozwolić, żeby spychacze połamały te drzewa i krzewy. Przecież to wbrew naturze, żeby łyżki koparek napakować owocami, które można zjeść.

Poczekali.

Co miało dojrzeć, dojrzało.

Co mieli zjeść ludzie w Krakowie, zjedli.

Z rozwaleniem domu czekać już nie chcieli.

Więc pani Elżbieta znowu ich prosiła: „Bądźcie delikatni, dom chcę uratować". O delikatności mówiła junakom. Posłuchali: rozebrali dom na kawałki. Ściana do ściany, deska do deski, sufit do podłogi. I poszli.

Stała nad pociętym domem.

Patrzyła w lewo, patrzyła w prawo. Inni mieli gorzej – z ich domów zostały strzępy, włókna. Kurz po nich nie chciał osiąść.

Ktoś jeszcze próbował powstrzymać Nową Hutę – rzucił się pod spychacz, zatarasował drogę koparce. Ktoś z żalu się powiesił. Ktoś z żalu rano już nie budził. Ktoś osiwiał, ktoś spuchł i pękł. Ktoś zapomniał, jak się mówi. Były domy, były sady, była kilkusetletnia historia. Byli ludzie.

Pani Elżbieta została z domem w plastrach i nie swoją ziemią. Przydzielono jej nowe życie w nowym mieście – trzy pokoje z kuchnią. Wcale tam iść nie chciała – jak iść do miejsca, w którym ludzie mieszkają sobie na głowie (a powinni nad głową mieć tylko dach i niebo)? Poszła do ważnego dyrektora w kombinacie. Uprosiła go o działkę, na której mogłaby swój stary dom pozlepiać. Dał kawałek ziemi w Grębałowie. Więc do Grębałowa miała zawieźć swój dom. Pomogli jej ludzie z Bieńczyc – zapakowali dom na furmanki; przywiązali dom sznurkami, żeby go po drodze nie pogubić; jeden z drugim się przeżegnał. Oznaczyli kredą deski, żeby wiedzieć potem, co z czym łączyć.

Pani Elżbieta: – Postawiłam go. Wszystko się ładnie połączyło. Tyle, że to miejsce było obce, więc bałam się, że dom korzeni nie zapuści. Czy tęskniłam? Bardzo. Okrutnie. To przecież nie był mój świat; każdy kąt obcy i nieoswojony. I na dodatek jeszcze nie wolno było wspominać, ani opowiadać, że kiedyś na ziemiach, które zajęła Nowa Huta, było piękne życie. Kazano zapomnieć. Mnie to bolało. Bo ten nowy świat wymyślił nam inną historię: że były ugory, że bagna, że nieurodzaje, że analfabetyzm. Zacisnęłam zęby. Dziurę mi ten żal w środku wypalił, ale przeżyłam. Ja i mój dom. Ugory? Przecież nigdzie ziemia nie była tak tłusta, jak w Bieńczycach. Nieurodzaje? Z urodzajami był kłopot, bo ludzie tego przejeść nie mogli. Analfabetyzm? W starych Bieńczycach rodzili się przed wojną profesorowie uniwersytetu, księża, prawnicy, lekarze.

I poetka jedna – pani Elżbieta.

Chociaż siebie, jako poetki, nie ceni.

Mówi: „Moje wiersze takie śmiszne".

Róże zamiast butów

Dom zapuścił korzenie. Z tyłu domu pani Elżbieta urządziła ogródek. Ogródek bo mały, ale ogród bo w nim rosły kwiaty, które przez wiele lat woziła na motorku do Rynku Głównego. O jej mieczyki biły się gosposie opiekujące się porządnymi krakowskimi domami. A róż zazdrościły jej krakowskie kwiaciarki.

(Zamiast kupić sobie ciepłe buty na zimę, kupowała krzaki róż. Zimą chodziła więc w tych letnich. Za to róże nigdy nie przemarzały.)

Nie byłoby takich kwiatów, gdyby nie Kazimierz, mąż pani Elżbiety – czuły względem róż, rozkochany w niej. Ona sadziła kwiaty i paliła dużo papierosów. Ona kwiaty szczepił i pytał: „Elciu, czy aby przypadkiem nie brakuje ci papierosów, bo ja mogę zaraz do sklepu się udać. Chociaż wiem,. że to niezdrowe...". Dzieci rosły – jeszcze ładniej, niż te róże, niż te mieczyki, niż cynie. Dzieciom urodziły się dzieci. I ich dzieciom też.

Do Krakowa pani Elżbieta już od dawna nie jeździ. Co wyhoduje, to rozda sąsiadkom.

Kwiaty ma też po to, że jak przyjedzie do niej wnuk, to one mu pozują do zdjęć. Dom pozuje. Ten sam dom – stareńki, drewniany, poskładany do kupy i przewieziony furmankami.

Rzodkiewki, grusze, domy, ludzie

Jak już teraz pani Elżbieta odzyskała prawo do wspominania, i do żalu sprzed ponad pół wieku (bo żal ciągle jest, bo żal nie do końca był przeżyty), to opowiada godzinami. Trudno wyjść z tego jej domu – wspomnienie zahacza o wspomnienia, i jedno przechodzi w drugie.

Na przykład wspomnienie rzodkiewek – że były ich wielkie naręcza, że nocami je płukała w zimnej wodzie, a potem wiozła do Krakowa.

Na przykład wspomnienie grusz i śliw, których sadzonki dostała od wujka – a ten wujek umarł tak głupio... (napił się wody zaraz po operacji wyrostka). Grusze i śliwy powyrywano z korzeniami. Na przykład wspomnienie domów w Bieńczycach – Pyrlików, Bednarskich, Biernatków (dzisiaj to ulica Falista, albo Cienista, albo Szybka – nie jest pewna).

Na przykład wspomnienie ludzi.

Na przykład pani Ptakowej, która tak bała się śmierci, że schowała się ze strachu przed umieraniem w ramionach syna. I prosiła: „Synu, synu, uratuj mnie. Ach ocal!".

Wszyscy w Bieńczycach jej wycie słyszeli.

Hutella

Artykuł ukazał się pierwotnie w „Lodołamaczu" w sierpniu 2007 r.



Mieszkańcy Bieńczyc na odpuście w Mogile, 1933 r.

Wspomnienia Władysława Bochenka



Tak jak my się postarzeliśmy, tak i Bieńczyce się postarzały. Są te same, ale już nie takie same. Przyszło następne pokolenie.

Za mojej młodości Bieńczyce były typową podkrakowską wsią żyjącą z rolnictwa. Ja aż do wywłaszczenia pracowałem na roli. Kiedy gospodarstwo zostało zabrane, żeby z czegoś żyć, musiałem pójść do pracy w kombinacie. Przepracowałem w nim potem 25 lat.

Rozmawiamy w domu, w którym się urodziłem. Nigdy życiu nie zmieniłem miejsca zamieszkania.

W Bieńczycach były różne związki, np. Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici", do którego należałem. Do Krakowa jest niedaleko, młodzież starała się kształcić, zdobywać wiedzę, tytułu naukowe. Bieńczyce z tego słynęły, zajmowały pod tym względem pierwsze miejsce.

U pana Ptaka była karczma. Ludzie wracając z Krakowa, jak się mówiło: „z targu krakowskiego", gdzie sprzedawali towary, wstępowali do niej, aby coś zjeść i się napić. Inni wstępowali na coś ostrzejszego – jak była okazja.

Nieopodal stała szkoła – budynek stoi do dzisiaj. Kiedyś był w nim dom dziecka, teraz są w nim biura.

Stoi do dzisiaj młyn, ale już nie pracuje.

Na Placu Kościelnym jest Kapliczka Świętego Floriana. Została przeniesiona, ponieważ miejsce, na którym stała pierwotnie zostało wywłaszczone w czasie budowy Nowej Huty.

Przetrwała postawiona w roku 1900 figura Pana Jezusa. Dwa lata temu została odnowiona. Pieniądze na wykonanie tych prac zostały zebrane od mieszkańców osiedla.Ocalał budynek dworski. Był własnością kardynałą Sapiehy. Pamiętam, że kardynał odwiedzał raz w roku swoją posiadłość.

W czasie wywłaszczeń niektórzy mieszkańcy Bieńczyc, których domy objęło wywłaszczenie, zamiezkali w budynku dworskim, najpierw nieformalnie, a potem uzyskali formalną zgodę na zamieszkanie.

Nasza parafia to Raciborowice, ale ponieważ mieliśmy tu kaplicę, to raz w tygodniu odbywały się tu msze święte w niedziele. Ale potem przyszła Huta, ludzi przybyło to postarali się i teraz już jest Kościół. Wrośliśmy w to miasto. Kontakty z innymi wsiami były dobre. My tutejsi to, tu się urodziliśmy, tu jesteśmy. Do tego miejsca przywiązujemy dużą wagę, od urodzenia jesteśmy nienaruszalni. Zmieniło się tylko to, że lat nam przybyło.

W Bieńczycach było KSM – Katowickie Stowarzyszenie Młodzieży (Męskiej i Żeńskiej). Potem, już po rozpoczęciu budowy kombinatu – młodzieżowa organizacja chłopska Wici, do której należałem. Była drużyna piłkarska, która miała nawet całkiem dobre wyniki. Boisko było najpierw przy ul. Cienistej, potem na łąkach w pobliżu jazu.

We wsi duże znaczenie miała rodzina Ptaków.

Wspomina żona Władysława Bochenka:

Dawniej mąż miał formy do malowania kwiatów. Ludzie malowali sobie dom, a mąż te formy kwiatów odbijał na ścianach. Robił to po pracy, jako dodatkowe zajacie.

My dawniej mieliśmy dom tam, gdzie teraz te są bloki przy Bulwarowej. Dom został wywłaszczony, a tu gdzie teraz jest dom zostawiono nam parcelę ze starym budynkiem gospodarczym. Trochę po znajomości, za wstawiennictwem pana Ptaka, pozwolono nam na adaptację budynku do celów mieszkalnych. Uciekliśmy przed zamieszkaniem w bloku. Tu gdzie stoi ten dom był budynek gospodarski, postaraliśmy się o adaptacje budynku gospodarczego na cele mieszkalne. Tego zezwolenia długo nie mogliśmy dostać. Pamiętam, ze kiedyś mąż spędził całą niedziele na pisanie podania do ministerstwa w sprawie udzielenia zezwolenia.

Ja pochodzę z Sambora. Pracowałam w kombinacie na stołówce, potem w przedszkolu, jeszcze później prowadziłam magiel. A teraz jestem po operacji, ciężko mi się chodzi.

Mąż:

Kiedy wywłaszczano tereny pod budowę huty, niektórzy wpadali w choroby psychiczne, zwłaszcza ci, którym wszystko, albo prawie wszystko zabrano. Pierwsze wywałaszczenia były brutalne. Milicja oblegała dom, pilnowano, żeby właściciele opuścili swój dom. Potem to wszystko troszkę złagodniało. Były to niewesołe czasy.

Ja pracowałem w kombinacie na wydziale wodnym, jako maszynista pomp, w systemie zmianowym.

Żona:

Jak były walki o Krzyż, to ja byłam w domu. Słychać było gruchot ciężkich pojazdów wojskowych. A mąż był w tym czasie w pracy, wracał potem łąkami, żeby się nie natknąć na milicję. Późno wrócił. W stanie wojennym była też walka koło naszego Kościoła, każdego 13 miesiąca. Nabożeństwa odbywały się od 13 maja do 13 października. Kiedyś jeden pocisk to do naszego ogródka wpadł. Tu była straszna walka. Było zamieszanie. Był ksiądz Józef Gorzelany. Pomagał nam. On był szpiegowany.

Mąż:

Ja wiele lat służyłem do mszy przy księdzu Gorzelanym. On bardzo mnie lubił, szanowaliśmy się wzajemnie. To bardzo dobrze wpływało na charakter człowieka.

Chodziłem też z księdzem Gorzelanym po kolędzie.

Nie mam rodziny. Byłem jedynakiem. Mam przyjaciół. Ale poznałem kiedyś pewną rodzinę w górach. Mieli 6 synów i 3 córki. Ich matka powiedziała kiedyś, że mnie uważa za syna, moja żonę za synowa, a córkę Elżbietę za wnuczkę.

Wesela odbywały się najczęściej w domach, chociaż był dom ludowy ze świetlicą. Ja na weselach robiłem zdjęcia. Sam je wywoływałem. Robiliśmy z żoną kartki świąteczne. Na Boże Narodzenie ok. 20 tys. sztuk, na Wielkanoc trochę mniej. Były to reprodukcje kartek od sióstr zakonnych. Wymienialiśmy się kartkami za coś innego i obie strony były zadowolone. W starym domu na Bulwarowej miałem ciemnię. Nie pracowałem jeszcze wtedy w kombinacie. A potem poszedłem na wydział wodny i bardzo dobrze to wspominam. Wtedy już nie było możliwości uprawiać rolnictwa.

Jak się teraz spotyka kogoś na ulicy z Bieńczyc, to się czujemy jak rodzina, tak się podkreśla pochodzenie. Nie zamieniłbym tego miejsca na inne.

Bieńczyce, 2007 r. *Notowała Katarzyna Maniak*



Koledzy z Bieńczyc (Władysław Bochenek drugi od lewej), lata 40. XX w.

Wspomnienia Zofii Bochenek z domu Zybura



Rodzina

Ja się urodziłam w rodzinie wielodzietnej. Dziewięcioro dzieci, pięć dziewczyn, czterech chłopaków. I na to wszystko było 8 morgów. To nie było dużo, ale mój ojciec interesował się wszystkimi nowościami. We wsi to on był pierwszym do wszystkiego. Pierwszy, który wybudował sobie inspekty. Sam okna zrobił. Szklił okna. Sam siał nasiona, potem też sprzedawał sąsiadom jak potrzebowali. Założył ogród, duży był, dwumorgowy. Oszczędzał na budowę domu. Gospodarstwo małorolne, bo tak to się nazywało.

Chodziliśmy do szkoły się, ale trzeba było też pracować. Tato zrobił sobie przybudówkę, warsztat ciesielski. Wszystko tam robił. Łóżka do domu, do mieszkania sobie zrobił, potem bejcował (czy jak to się nazywa). Wszystko sam robił, a jak coś było trudniejszego, to pomagał wujek, mąż siostry mojej mamy. Był tokarzem i pracował w zakładzie.

W czasie okupacji zrobił maszynkę do cięcia tytoniu, po tytoń jeździł do Kocmyrzowa. Bo tam uprawiali tytoń. I ten tytoń kupował. Przerabiał go w tej maszynce. Był taka duża, stojąca. Zrobił ją sam, a wujek dorabiał części i razem tym tytoniem handlowali.

Narzędzia do pracy też robił sam: łopaty, grabie do chwastów. Siedział ciągle w swoim warsztacie.

Młyn we wsi miał Władysław Lelito. On dla wsi wybudował świetlicę, to był taki olbrzymi dom, w nim duża sala i jeszcze wielkie pokoje. Odbywały się tam zabawy. I orkiestrę wsi zafundował. Tatuś grał na kilku instrumentach, na trąbce, na klarnecie. A chodził jeszcze wcześniej po wsi z zespołem. Był tam jakiś szewc, drugi z innej wsi i tak chodzili po weselach. Gdzie się wesela odbywały, to oni tam grali. Pamiętam, jak wracał z tego wesela, mama wstawała, bo zawsze nocą przychodził. Wyrzucał pieniądze na stół i dzielili się. Tak sobie dorabiał. W czasie pierwszej wojny był Włoszech, tam krawiectwa się uczył i umiał szyć. Szył wszystkie ubrania swoim dzieciom. Buty też umiał naprawić. Naprawiał nie tylko domownikom, ale i innym ludziom. Przynosili do niego. Mówiono o nim, że on do gospodarstwa nie bardzo się nadaje, ale chwalono za inne umiejętności.

Ja pamiętam, jak chodziłam do szkoły podstawowej, to był w niej pewien nauczyciel, który interesował się zdolną młodzieżą. Przychodził i mówił mojemu ojcu, żeby posłał mnie do Krakowa na dalszą naukę.

Czy to był Łowczowski?

To nie był Łowczowski, ale Celiński. Łowczowski był wcześniej. Ale za Łowczowskiego to był jego syn doktor. On się ożenił z taką dziewczyną, która mieszkała u nas w domu, przychodził z pociągu do tej dziewczyny, była nauczycielką. Mieli dużo dzieci.

A nauczyciel Łowczowski miał córkę Jadzię i Rysię. A potem we wsi wielu dziewczynkom nadawano imię Rysia dlatego, że tak miała na imię córka Łowczowskiego.

A Celiński sam uprawiał ten ogród, który należał do szkoły. Wykładał na kompletach konspiracyjnych, było ich kolejno siedem. Ja chodziłam na pierwszy, za darmo, a potem za następne trzeba już było płacić. Po różnych domach chodziło się na te wykłady. A pan Celiński wołał nas na pole, wiązaliśmy zboże i potem na tych snopkach siadaliśmy i on nam wykładał historię. Ja pamiętam, jak to było wspaniale. Tak samo na zajęciach w domach i nigdy nikt niczego nie zdradził, a wtedy dużo dzieci we wsi się uczyło. Księża też przychodzili i uczyli religii. A potem, po wojnie można było iść na studia czy zdać maturę. Ja maturę zdawałam w czasie okupacji. Także w czasie okupacji zrobiliśmy taki kurs krawiectwa, jak brać miary, jak przycinać – to też mi pomogło. Jak miałam dwóch chłopaków to potrafiłam im uszyć ładne ubranka. Długo im szyłam, zanim poszli do szkoły. Jeszcze wcześniej tato zrobił maszynę, cegłę tam produkował. To myśmy dzieci tez pracowały. Trzeba było przekładać, przewracać te cegły. Z nogami włazić w tą glinę. Potem z tej gliny, miał maszynkę, przykrywał i jakoś to potem wyciągał. Usiedzona ta cegła była, to potem te cegły układaliśmy na polu, to tak stały, sztuki położone, trzeba było znów przewracać. A potem sobie wybudował piec i sam wypalał. Ileż on nawypalał się tych cegieł. Była już taka szopa duża i już mieliśmy wystarczająco tej cegły na dom. Ale wybuchła wojna i to wszystko zabrali nam Niemcy. Kiedy rozpoczęła się budowa huty poszłam do pracy w Betonstalu, w księgowości. Potem przenieśli ten Betonstal do Huty. Gdy ją budowali, to wycinali wszystkie drzewa, ani się pytali, przyjechał buldożer i wszystko powywalał i taki był koniec naszego ogrodu. I takie małe pieniądze dawali, że nawet rodzice po nie poszli, bo nie było warto brać. I oto się nikt nie potrafi upomnieć, że ludziom brali i nie zapłacili. Tyle się tutaj zmarnowało, tyle pola. To było coś okropnego, jak wyjeżdżały te koparki i łamały wszystko. Te się nazywało, że na nieużytkach była Huta budowana, a to nieprawda, bo tu była najlepsza ziemia w Małopolsce.

Ważne miejsca w Bieńczycach

Dworek. W tym dworku działało Katolickie Stowarzyszenia Młodzieży Wiejskiej i Żeńskiej. Były dwa pokoje, mężczyźni w jednym, my w drugim. Mężczyźni zrobili dziurę i podglądałyśmy się nawzajem. Jan Kotyza był komendantem na całą Małopolskę. a jego żona Maria była w młodzieży Stowarzyszeniu Młodzieży Żeńskiej prezesem, a ja sekretarką. Później, kiedy zmarła, byłam prezesem i sekretarką. Kotyza był bratem męża mojej siostry.

Okupacja

W czasie wojny roznosiłam prasę w Krakowie, szczególnie do kościołów, albo prywatnych domów, gdzie zbierała się młodzież. Przychodziłam tu do Krakowa, w Kościele Mariackim w ławce odbierałam pocztę. Później do należałam do Batalionów Chłopskich, razem z Andrzejem Świerczewskim. Jeździliśmy na rowerach do Wieliczki do sztabu AK (po połączeniu z BCh). Zawoziliśmy pocztę i raporty. Od naszego komendanta do komendanta AK. Mieliśmy różne przygody. Kiedyś na moście Mogiliskim (wtedy nowowybudownym) jechaliśmy ze Świerczewskim z pocztą. I akurat mi się rower zepsuł, dętka pękła. W naszym kierunku szli Niemcy. I Jędrek mnie objął, ja się przytuliłam i zaczęliśmy się całować i zostawili nas w spokoju. Kiedyś z kuzynką Rysią jechałyśmy w Krakowie tramwajem. Miałyśmy buty z cholewami i do nich powrzucałyśmy pocztę. Zatrzymano tramwaj i zaczęła się selekcja. Jedni na lewo, inni na prawo i co mogli odejść. Takie miałyśmy szczęście, że obie ocalałyśmy. To szczęście było, ale zawsze żeśmy się modliły. Do tego KSM-u należałyśmy i śpiewałyśmy w chórze, nie tylko w naszym kościele ale tez w Raciborowicach, byłyśmy dobre dziewczyny.

Chodziłyśmy nad Wisłę się kąpać. Przepływał statek, a ja popłynęłam za tym statkiem. Zasłabłam i zaczęłam tonąć. Poszłam pod wodę. Miałam medalik Matki Boskiej na szyi i tak sobie pomyślałam, że mnie uratuje. Szłam pod wodę raz po raz. Na statku byli młodzi ludzie i jeden z nich chciał mnie ratować i wskoczył do wody. Ja go pociągnęłam za sobą i oboje tak objęci szliśmy pod wodę i a potem się wynurzaliśmy. Znalazł się mądry rybak, wszedł do wody i kazał chwycić się żyłki. Ja ją złapałam, okręciłam sobie koło ręki, on nas wyciągnął na płytszą wodę i w ten sposób nas uratował. A dawniej we wsi, jak Władysław Lelito ufundował instrumenty do orkiestry dętej, to kto umiał, to grał na tych trąbach. Wspaniale było. To też był społecznik, że o tym pomyślał. Teraz to wszystko wyburzone, minęło. No, a tych co byli wcześniejsi i mieli jakieś stopnie wojskowe, to ich wzięli do Rosji, tam gdzie ukatrupili najwięcej Polaków, by śladu po nich nie pozostało. Mężczyźni nie wrócili, kobiety też umarły, wykruszyło się... Ale wcześniej była jakaś taka wspólnota, naprawdę dobrze się wtedy żyło. Biblioteka była, książki się czytało. Teraz dzieci książek nie czytają. Ja pełno miałam, dobrze, że część z nich powydawałam, jak pracowałam w Urzędzie Gminy, bo tam dzieci nie miały pieniędzy, żeby je kupić.

Wracając na chwilę do tajnych kompletów: chyba nie było ich nigdzie tyle, co w Bieńczycach. O Celińskim za mało napisano. Jego córka teraz jest chyba w Warszawie w jakimś zakonie cywilnym i prowadzi wykłady. Ma na imię Zosia. Myśmy się bardzo lubiły. A siostra Świerczewskiego, Oleńka, też jest w klasztorze, ale w Paryżu.

Miejsca spotkań

Miejscem spotkań były łąki. Tam odbywały się mecze, bo mieliśmy klub sportowy o nazwie się „Tęcza". Na tych łąkach były urządzane też dożynki. Naokoło ludzie siedzieli. Tam się też tańczyło. Ja uczyłam i sama tańczyłam: krakowiaka, mazura, poloneza, kujawiaka. Potem gospodyni kołacze piekła, zabawa była. Po wojnie jeszcze jedne dożynki były i na tym się skończyło. Nastało już inne życie.

Miejsca święte

Kapliczka była na wsi, taka duża, tam zawsze śpiewano majówki.

Dlaczego zamieszkała Pani poza Nową Hutą?

W domu nie miałam gdzie zostać. W jednej połowie mieszkała siostra, a w drugiej rodzice. Kiedy rodzice umarli, to siostra została, głuchoniema, wiadomo było, że dla niej będzie. Tam teraz mieszkają wnukowie siostry.

Kontakty z innymi wsiami

Przez pewien czas była wspólna szkoła z Krzesławicami, dopiero później otwarto tam szkołę. Pamiętam Zosię, pięknie malowała. Rodzice mieli do niej pretensje, że w domu nic nie robiła, ale ona się uczyła, została malarką i wystawiała swoje obrazy. W podstawówce siedziałyśmy obok siebie i malowałyśmy. Jak też miałam jakieś zdolności artystyczne.

Wesela, zabawy

W czasie wesela był taki zwyczaj, że „chodziło się za okna". Za tymi oknami patrzyło się, jak się bawią. Wesela nie były tak liczne jak teraz, bawiono się w mieszkaniach. Mówiło się „idziemy na zaoknia". A w czasie przyjęcia wychodziły gospodynie i częstowały tych za oknami.

Bieńczyce, 2007 r ***Notowała Katarzyna Maniak***



Zofia Zybura (w jasnej bluzce) z koleżanką. W głębi po prawej piekarnia Motyki i dom Franciszka Ptaka, Bieńczyce, lata 30. XX w.



Na wycieczce w Krakowie, Zofia Zybura druga od prawej, w środku Jan Kotyza, lata 30. XX w.



Kazimierz Zybura w czasie I Wojny Światowej



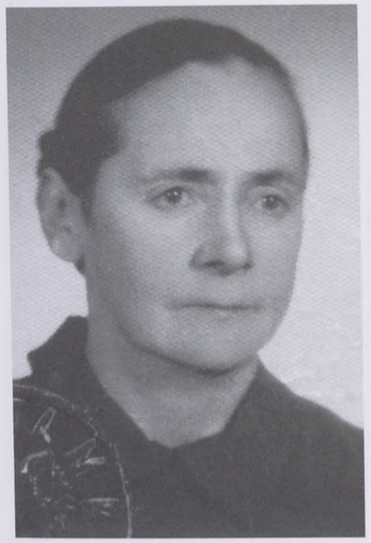
Kazimierz Zybura z dziećmi, Bieńczyce, lata 20. XX w.



Koło Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej w Bieńczycach, w środku na schodach siedzi Zofia Zybura, koniec lat 30. XX w.



Zofia Zybura (Bochenek), córka Kazimierza, lata 30. XX w.



Przyśpiewki weselne

Przyśpiewki napisała Zofia Tyrka z Bieńczyc

Najpóźniej na jeden miesiąc przed planowanym weselem, państwo młodzi prosili na starszą druhnę pannę ze strony pani młodej, a na starszego drużbę kawalera ze strony pana młodego. Podobnie jak drużbów proszono starostów: starsza starościna i starszy starosta (małżeństwo) byli zapraszani ze strony pani młodej, zaś młodsza starościna i młodszy starosta (także małżeństwo), pochodzili ze strony pana młodego. Zaproszenie na wesele było wielkim honorem i nie wypadało odmówić jego przyjęcia. Prezenty dla pary młodej przynosiło się wcześniej, jeszcze przed weselem po to, aby uniknąć pomyłki co do ofiarodawców. W dniu wesela drużba wraz z orkiestrą najpierw przyjeżdżał do domu po druhnę, następnie jechali po pana młodego i razem udawali się do domu pani młodej, gdzie druhna śpiewała do błogosławieństwa udzielanego przez rodziców parze młodej. W czasie przejazdów wspólnie wykonywano przyśpiewki na melodię popularnego krakowiaka.

Przyśpiewki w drodze

Jedziemy, jedziemy na słomianym wózku,
Wszyscy jadą szybko, a my pomaluśku.

Jedziemy, jedziemy dróżka nam nie spora,
Koniczek nam ustał, dziewczyna nam chora.
Koniku nie ustań, dziewczyno nie choruj,
Bo nie mam pieniędzy na twoich doktorów.

Kary konik kary, konopiata grzywa,
Dostałaś se chłopca to będziesz szczęśliwa.

Siwy konik siwy, popielaty ogon,
Powiedz mi chłopczyno czy ci się podobam?

Jedziemy, jedziemy, dróżeczki nie wiemy,
Kogóż się spytamy, nikogo nie znamy.

Jedziemy, jedziemy, konik nam utyka,
Bo pod Kubusiami to nie ma chodnika.

Nie potrza chodnika ani też kamyków
Bo Kubusie mają po pięć par bucików.

Czem dalej do lasu, gęściejsza krzewina,
Im dalej na Budzyń, ładniejsza dziewczyna.

Pod ten biniecki dwór jest tam duży pagór,
Nie może wyjechać ten kochaneczek mój.

Wezmę toporeczka, rozrąbię góreczkę,
I tak przeprowadzę swoją kochaneczkę.

Rąbaj koniu rąbaj, rąbaj podkuweczki,
Bo Stasiu pojedzie ze swoją drużeczką.

Bieńczyce, Bieńczyce, ładna okolica,
A rośnie tam owies, rośnie i pszenica.

Jak pojedziesz przez wieś, bieńczycanki nie bierz,
Lepsza piwa szklanka, niźli bieńczycanka.

Piweczko wypijesz, i szklankę postawisz,
A tą bieńczycanką serce se zakrwawisz.

Do Bieńczyc, chłopaki, do bieńczycaneczek,
Bo te bieńczycanki mają mająteczek.

Mająteczek mają i robotę znają,
A te czyżynianki gorzałkę spijają.

A wy czyżynianki nie patrzcie do góry,
Byście nie urzekły bieńczycanki której.

Na wysokiej wieży, kukułeczka kuka,
Głupi ten kawaler co majątku szuka.

Radeście mi rade, bieńczycanki rade,
Drobny deszczyk pada, a ja do was jadę.

Drobny deszczyk pada, pada kropelkami,
A ja do was jadę, siwemi koniami.

Czy ja nieszczęśliwy czy mój konik siwy,
Nie mogę przejechać przez bieńczyckie niwy.

Czy ja nieszczęśliwy, czy moje nazwisko,
Co ja se pokocham ucieka mi wszystko.

Jedziemy, jedziemy przez tę wikarówkę,
Nasza panna młoda zgubiła sznurówkę.

Jedzie wóz na przewóz, malowane koła,
Myślałaś Marysiu, że ty masz anioła.

A z twojego Stasia, to jest kupa lenia,
Jak słońce zaświeci – ucieka do cienia.

Przyśpiewki drużki po przyjeździe do domu pana młodego

Wyjeżdżaj Stasiu, żebyś o tem wiedział,
Bo ty już nie będziesz przy tem stole siedział.

Nie będziesz gotował ani tłukł obręczy,
Bo ciebie Marysia z kucharstwa wyręczy

Pobłogosław mamuś syneczka swojego,
Bo on już nie wróci do domu twojego

Przyśpiewka drużki po przyjeździe do panny młodej

A dzień dobry, goście, ja Was pięknie witam,
I o pannę młodą grzecznie się zapytam.

Gdzie jest panna młoda koleżanka moja
Czy może gdzie poszła ?

Nie poszła, nie poszła, na mnie czekać miała,
Bo ja z weselnymi do niej przyjechała.

Idę sobie idę, ale nie znam drogi,
Daj Boże zobaczyć Marysine progi.

Grajcież mi skrzypeczki ja będę śpiewała,
Żeby panna młoda okienkiem wyjrzała.

Wyglądnij Marysiu okienkiem i szybą,
Przypatrz się na gości, co po ciebie idą.

Wyglądnij Marysiu, chodź do okieneczka,
Bo po Ciebie idzie najstarsza drużeczka.

Nie sama tu idę, ze wschodem słoneczka,
Prowadzi mnie tutaj najstarszy drużbeczka.

Nie sama tu idę, do tego ogrodu,
Prowadzi mnie drużba z poczciwego rodu.

Wtenczas mi się serce, wtenczas rozweseli,
Kiedy Cię zobaczę Marysieńko w bieli.

A gdy teraz będę do drzwi dochodziła
Wyjdź po mnie Marysiu, żebym nie zbłądziła.

Umiałaś mnie Maryś za druchenkę prosić,
Teraz Ci się nie chce, butków po mnie rosić.

Wyjdź po mnie Marysiu niech ja tu nie stoję,
Bo ja dla weselnych przywiozłam Ci stroje.

Dla weselnych stroje, a dla Ciebie wianki,
Wspomnij sobie Maryś, żeśmy koleżanki.

Pamiętasz Marysiu, jakżeś mnie prosiła
Na ten dzień dzisiejszy bym ci usłużyła.

Ja ci słówko dała, usłużyć ci mogę,
A tu dziś przede mną zastawili drogę.

Samaś mnie Marysiu za drużkę zmawiała,
Teraz żeś przede mną drzwi pozamykała.

Nie wyjdę, nie wyjdę stanę se przy studni,
Muzyczka ładnie gra, aże ziemia dudni.

Wyjdźże Maryś po mnie, choćby do ganeczku,
Niech ja Cię zobaczę w mirtowym wianeczku.

Wyjdźże Maryś po mnie, a wyjdźże wesoło,
Uśmiechnij się do mnie i do wszystkich wkoło.

Jak się masz Marysiu, jak się masz kochana,
Dziękuję Ci za to, żeś tu wyszła sama.

Wyszła Panna Młoda przywitać się z nami,
Ja się Jej pokłonię pięknymi kwiatami.

Dziękuję Ci Maryś, żeś mnie tak przyjęła,
Będę ja Ci dzisiaj do ślubu służyła.

Ty najbliższy drużbo, otwieraj mi bramę,
Bo u Panny Młodej oczka zapłakane.

Cieszę się Marysiu, żeś ładnie ubrana,
Tylko mnie nie cieszy, boś bardzo spłakana.

Nie płacz Marysiu, bo i ja płakała,
A teraz żem rada, żem chłopa dostała.

Więc chodźmy do środka i starzy i młodzi,
Wyszli państwo młodzi przywitać się godzi.

Mości gospodarzu domowy szafażu,
Nie bądź tak ospały, każ dać nam gorzały.

Świeci miesiąc świeci, świeci za góreczką,
Wyjdźże panno młoda do nas z gorzałeczką.

Na zielonej skrzyni gorzałeczka stoi,
A pijcież ją pijcie, wy drużbowie moi.

Po co się pijaki do nieba ciśniecie,
Tam gorzałki nie ma, cóż wy pić będziecie?

Przed wyjazdem do kościoła starsza druhna przypinała bukiety: drużbie (miał białą różyczkę przybraną mirtem i długą, różową wstążkę), starostom (różowe różyczki i różowe wstążki), starościnom (niebieskie różyczki i niebieskie wstążki). Wykonując tą czynność starsza druhna śpiewała odpowiednie przyśpiewki.

Do bukietu

Niechże będzie pochwalony Jezus i Maria,
Przybyli tu Starostowie, przybyła i ja.

Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus nasz,
A na wieki wieków Amen, witajcież do nas!

Niechże będzie pochwalony Bóg w całym świecie,
Powiedzcież mi starostowie czy mnie przyjmiecie?

Powiedzcież mi Wy drużbowie, powiedzcie śmiele,
Czy z ochotą mnie przyjmiecie na to wesele?

Hola, hola, różczko moja, po całej sieni,
O żeby cię Pan Starosta z ochotą wzięli.

Hola, hola różczko moja po całej izbie,
O, żebyś się spodobała pierwszemu drużbie.

Hola, hola różczko moja z jałowca,
Obiecał mi Pan Starosta dać chłopca

Nie wydam ja swojej różczki ubogi,
Zawadziłam bukiecikiem o progi.

Do zgody ze starostą

Piękną różczkę mam starosiu swojej roboty,
Obiecał mi sam najbliższy, pierścionek złoty.

Piękną różczkę mam starosiu jak złoto,
Robiłam ją całą nockę z ochotą.

Piękną różczkę mam starosiu w pięknym ubiorze,
Zapłaci ją pan starosia w wielkim honorze.

Nie wydam ja bukiecika ze swojej dłoni,
Póki mi się pan starosta nie skłoni.

Nie wydam ja bukiecika na dwoje,
Póki mi się nie ukłonią oboje.

Także starościna jest honorowa,
To za mój bukiecik zapłacić gotowa.

Niechże idą, niech nie stoją w komorze,
Niechże oddam swój bukiecik w honorze.

Dziękuję Ci Boże, żem różczkę sprzedała,
Żem Pana Starostę dzisiaj oszukała.

A, i Starościnie muszę podziękować,
Bo ona też na to musiała pracować.

Błogosławieństwo

Wychodźże Maryś z komory, opuszczaj swoje honory,
Boś honoru dużo miała, żeś se wianka szanowała.

Uklęknij Maryś za stołem, podaj prawą rączkę społem,
Będziemy was błogosławić, musisz panieństwo zostawić.

Bóg was stworzył, Bóg was zbawił, Bóg Was będzie błogosławił,
Błogosławże ich Maryja, śliczny kwiateczku lilija.

Błogosławcież ją Anieli, bo ona klęczy tu w bieli,
Błogosław ją matuś miła, coś do serca ją tuliła.

Błogosławże matko, swoją córkę na krzyż,

Bo po raz ostatni na jej wianek patrzysz.

Błogosławże ją i tata, bo się wianek jej rozplata,
Błogosławże ją starosiu, bo pan młody o to prosił.

Błogosław ją starościna, bo złożone ręce trzyma,
Błogosławże jej najbliższy, boś ty dzisiaj jest najpierwszy.

Błogosławcie ich drużbowie, pana młodego sługowie,
Błogosławcie ich drużeczki, dostaną się Wam wianeczki.

Błogosławcie ich rodzina, bo już wybiła godzina,
Błogosławcie ich sąsiedzi, którzyście są na nich radzi.

Wszyscy Cię już Stasiu pobłogosławili,
Bo Twoich rodziców w ciemny grób złożyli.

Pójdziesz Ty na cmentarz, łzami trawę rosić,
Przyszedłeś Rodziców na wesele prosić.

Oni odpowiedzą: Daj nam synu spokój,
Bo już nasze głowy rozsypane w popiół.

Po błogosławieństwie drużbowie zabierali do swojego pojazdu panią młodą, a pan młody jechał z druhnami do kościoła. Do ślubu z domu panny młodej pierwsi wyjeżdżali goście (to oni prowadzili młodych do kościoła), a pan młody z druhnami i panna młoda z drużbami byli na samym końcu. Po ślubie jechali już na przedzie, pan młody ze swoją żoną w jednym pojeździe, drużbowie ze swoimi druhnami w swoich wozach. Po drodze do kościoła mieszkańcy wsi, najczęściej mężczyźni nie zaproszeni na wesele, obowiązkowo robili „bramę", i pan młody oraz goście weselni musieli wykupić pannę młodą, zwykle wódką, której nie mogło w takiej chwili zabraknąć, na co goście byli zresztą przygotowani, a butelka gorzałki znajdowała się prawie w każdym wozie. Ponadto goście zabierali na wesele po pół litra spirytusu, a na poprawiny pół litra wódki. „Bramę" stanowił zwykle powróz z przypiętymi kwiatami i gałązkami, przeciągnięty w poprzek drogi. Ten, który zbierał okup był przywdziany w kożuch obrócony do wewnątrz, a dodatkowo dla niepoznaki, był usmolony sadzą. Na ręce miał zawieszony koszyk – „obiracyk", służący do gromadzenia darów.

Wyprowadziny

Na zielonej gruszy, rosły drobne gruszki,
Wybieraj się Stasiu, przyszły po Cię drużki.

Powstańcie od stołu, otrzyjcie pot z czoła,
Bo już pojedziemy na ślub do kościoła.

Oglądaj się Maryś, do koła do koła.
Wybieraj się Stasiu z nami do kościoła.

Na ślub do kościoła, do domu Bożego,
Gdzie stułą związana, będziesz żoną jego.

Matko Bosko Polsko, prowadźże nas, prowadź,
A jak zajedziemy, będziemy jeść kołacz.

Najbliższy drużbeczko, weźże pannę młodą,
A ja z panem młodym pójdziemy za Tobą.

Jedźmy już do ślubu, bo czasu niewiele,
Bo już tam ksiądz czeka, na wasz ślub w kościele.

Świeci się, świeci się, na kościele gałka,
Stasiu i Marysia to jest ładna parka.

Świeci się, świeci się, na kościele krzyżyk,
Pamiętaj Stasieniu, coś Marysi przyrzekł.

Uklęknij Marysiu, przed wielkimi drzwiami,
By Cię Bóg obdarzył wielkimi łaskami.

A gdy Maryś pójdziesz, przed majestat Boski,
Oddaj swój wianuszek w ręce Matki Boskiej.

Żeby Matka Boska, twój wianek przyjęła,
Żebyś mężulkowi dobrą żoną była.

Dobrą żoną była, byście się zgadzali,
Żeby o was ludzie, nigdy nie gadali.

Biała sukienka złoty pas, wychodźże Marysiu bo już czas,
Kare koniki do cugu, wyjeżdżaj Marysiu do ślubu.

Spojrzyj Maryś, spojrzyj na wysoka wieżę,
Jak tam para koni, twój wianuszek wiezie.

Wiozą go, wiozą go, nie mogą go uwieźć,
A tyś go musiała na główeczce unieść.

Do kościoła para młoda wchodziła już razem, a za nimi stali w parach, w kolejności: starsza druhna z drużbą, młodsza druhna z drużbą, starsza starościna ze starostą, chrzestni, rodzice, rodzina i pozostali goście i uczestnicy mszy św. Po ślubie i przyjeździe do domu następowało uroczyste przywitanie pary młodej chlebem i sobą przez rodziców, potem zasiadano do obiadu.

Oczepiny (Cepiny)

W czasie zabawy weselnej około godziny 22-tej rozpoczynał się obrzęd „ocepin" zwanych także oczepinami. Przychodzili wówczas nie zaproszeni mieszkańcy wsi (kobiety i mężczyźni) tzw. „halastra", która miała swoje niepisane prawa, ale musiała przestrzegać pewnych reguł i obowiązków. Latem, gdy tańce odbywały się na polu, „halastra" podchodziła pod płot, a zimą pod same, zwykle otwarte okno. Jeśli było bardzo zimno i okna były pozamykane, to należało je wycierać od wewnątrz dla zachowania dobrej widoczności. „Halastra" podziwiała występy (tańce i przyśpiewki) druhny i starościn, oceniała jak bawią się goście i wystawiała potem opinię o weselu. Gospodarz musiał zadbać o dobry poczęstunek dla „nieproszonych gości", dla których czasami specjalnie zagrała orkiestra, aby mogli wewnątrz zatańczyć (najwyżej 3 tańce), ale nie wolno im było siedzieć za stołem. Na samym początku „cepin" orkiestra grała walczyka, a przy stoliku na którym stawiano flaszkę wódki, kieliszek oraz duży talerz na pieniądze przykryty serwetką, zasiadała młoda para. Teraz druhna prosiła po kolei wszystkich mężczyzn do tańca, i z każdym z nich obracając z każdym z osobna po kilka kółek, na koniec podprowadzając go do stolika zostawiała partnera, i szła po następnego. Pozostawiany gość kładł pieniądze na talerz, po czym był częstowany kieliszkiem wódki. Drużba natomiast, tak samo jak druhna prosił po kolei do tańca wszystkie panie. Gdy już wszyscy swoje odtańczyli, starsza starościna zawiązywała zebrane w ten sposób pieniądze w serwetkę i przekazywała je młodej parze. Następnie pan młody pozostawał przy tym stoliku, a druhna zapraszała panią młodą do siebie na środek, do tańca, i zaczynała śpiewać przyśpiewki stojąc początkowo wraz z panią młodą przed orkiestrą. Potem tańczyły wspólnie do muzyki. Po zwrotkach o powitaniu gości i zaproszeniu do tańca, druhna śpiewała przyśpiewki pani młodej, panu młodemu i wszystkim po kolei w ustalonym porządku, według starszeństwa i honorów. Po strofach poświęconych młodej parze inne przyśpiewki odnosiły się do drużbów, drużek, starostów, rodziców nowożeńców, chrzestnych, a następnie do bliższej i dalszej rodziny oraz pozostałych gości i orkiestry. Na zakończenie dziękowano wszystkim za płacenie, i zapraszano do dalszej zabawy. Gość weselny, który nie był „ośpiewany" miał prawo być z druhny niezadowolony. Za to, ze druhna przyśpiewała gościom, oni poczuwali się do obowiązku płacenia za każdą przyśpiewkę. Pojawiający się często motyw pieniędzy służył w czasie obrzędu „ocepin" hojnemu obdarowaniu przez gości weselnych panny młodej. Potem, na tym samym stoliku znowu pojawiał się duży talerz lub koszyczek do którego wrzucano pieniądze, przeznaczone już dla orkiestry. „Ocepiny" trwały 3 – 4 godziny, w zależności od ilości gości oraz inwencji i możliwości starszej druhny, od której zależało, ile pieniędzy zostanie zebranych dla nowożeńców i dla orkiestry. Jeżeli muzykanci uznali, ze zostali dobrze opłaceni, to na poprawiny przynosili dla pary młodej jakiś prezent np. piękny bukiet kwiatów czy bombonierę z czekoladkami. Po starszej druhnie śpiewała młodsza druhna. Potem starsza starościna razem z młodszą starościną wychodziły na środek, i śpiewając odpowiednie zwrotki przyśpiewek, zdejmowały z głowy pani młodej wianek. Starsza starościna wiązała jej w to miejsce wzorzystą chustkę, tzw. „tybetkę", zaś młodsza starościna zdejmowała z siebie chustę i zakładała ją na ramiona pani młodej. Po tej ceremonii zabawa trwała do samego rana, a w następnym dniu od godziny 15-tej zaczynały się »poprawiny", które także trwały do rana.

Powitanie

Dobry wieczór gościom, całemu domowi,
I Tobie Marysiu, Twojemu mężowi.

Przepraszam was goście, choć na pół godziny,
Bo ja teraz będę zaczynać cepiny.

Przepraszam Was goście, jak będę śpiewała,
Czego nie pamiętam, to będę czytała.

Śpiewały gąseczki jak płynęły wodą,
Że będziemy cepić naszą pannę młodą.

Rozkwitły, rozkwitły po lasach jagody,
Zaczepimy Marysię, bo kazał pan młody.

Rozkwitły, rozkwitły, po sadach gruszeczki,
Zaczepimy Marysię, kazały drużeczki.

Pani młodej

Usiądźże Marysiu na dębowym stołku,
Pozbieraj cukierki co masz na podołku.

Byś słodkie życie miała, niech ci słodko płynie,
Byś je przekazała swej przyszłej dziecinie.

Świecą gwiazdy świecą, Boże mój jedyny,
Przepraszam Was goście, zaczynam cepiny.

A ty mój drużbeczko dodajże ochoty,
Ja poproszę mężczyzn, a ty proś kobiety.

Teraz się drużbeczko zaraz rozejdziemy,
I dla panny młodek na czepiec zbieżemy.

Teraz drużba tańczy z kobietami a druhna z mężczyznami, zbierają pieniądze dla panny młodej. Gdy drużba z druhną skończą wszystkich gości „obtańczać", dopiero wówczas drużka prosi pannę młodą do tańca piosenką:

Płynęły, płynęły, łabędzie za wodą,
A ja se poproszę teraz panią młodą.

Na pierwszy początek, śpiewania mojego,
Proszę cię Marysiu do taneczka mego.

Proszę cię Marysiu, byś ze mną tańczyła,
Jak ci będę śpiewać, żebyś się cieszyła.

Proszę ja orkiestrę o walca ładnego
I ciebie Marysiu, zapraszam do niego.

Poproszę muzykę o ładnego walca,
Bo ja się zabieram pierwszy raz do tańca.

Pierwszy raz do tańca i wesoło śpiewać,
Proszę wszystkich gości by się nie naśmiewać.

Ciężko kowalowi gdy pierwszy raz kuje,
A mnie jeszcze ciężej pierwszy raz tańcuje.

Na podłogę wchodzę honoru nie tracę,
Na pierwszy początek sama sobie płacę.

Jedwabna chusteczka wyszywany środek,
Teraz z panna młodą rozpoczynam przodek.

Oj, ty panno młoda, chodź do mnie tańcować,
Ale się musimy najpierw pocałować.

Przepraszam Was goście, proszę się nie gniewać,
Bo ja mam życzenie z Panną Młodą śpiewać.

Jedwabna chusteczka, wyszywany koniec,
Teraz z Panną Młodą rozpoczynam taniec.

Już się dzionek kończy i nastaje nocka,
Teraz z panną młodą tańczę do północka.

Szerokie i długie listeczki kasztana,
Chodź ze mną tańcować Marysiu kochana.

Pan młody siedzi za stołem z drużbą, a drużka tańczy z panną młodą i śpiewa wszystkim po kolei. Goście płacą orkiestrze.

Ja zaczynam taniec, a wy tańczcie dalej,
Składajcież na wianek po stóweczce całej.

Oj Stasiu, oj Stasiu, daj dużo pieniędzy,
By Marysin wianek nie wyrósł na miedzy.

Jakżeś Stasiu nie miał, na wianek gotówki,
Było nie brać panny, tylko szukać wdówki.

Grajcież muzykanci tylko nie na drwiny,
Bo tu się zaczęły teraz ocepiny.

Proszę ja orkiestrę, by mi ładnie grała.
Zapłacę pieniędzmi, co mi mama dała.

Ja zaczynam taniec i wy tańczcie dalej,
Składajcież na wianek po stóweczce całej.

A ty mój drużbeczko, dodaj mi ochoty,
Ja poproszę mężczyzn, a Ty proś kobiety.

Teraz się drużbeczko z koła rozejdziemy,
I dla Panny Młodej na czepiec zbieżemy.

Dejże Boże szczęście, Najświętsza Maryja,
Bo tu w tym kółeczku róża się rozwija.

Róża się rozwija, bo oset nie może,
Do nowego życia, życzę wam – Szczęść Boże!

Daj wam Boże szczęście, Jezus i Maryja,
Niech wam się to życie szczęśliwie rozwija.

Ty moja Marysiu, dziś twoje wesele,
Dzisiaj dałaś rączkę, Stasiowi w kościele.

I razem przed Bogiem, tak żeś ślubowała,
Że do samej śmierci będziesz go kochała.

Wychował Cię ojciec, wychowała matka,
Teraz Cię wychowa Stasiu do ostatka.

Dostałaś Marysiu ładnego kochanka,
Aleś się pozbyła mirtowego wianka.

Bo dostałaś męża, bardzo szykownego,
Jeszcze ludzie chwalą, że bardzo dobrego.

Jeszcze nic nie chwalmy, nie wierzmy gadaniu,
Jak tam dalej będzie, okaże się w praniu.

Bo życie małżeńskie nie jest żadną hecą,
Czasem okna bez szyb, stołki przez drzwi lecą.

A, bo z mężem trzeba dobrze postępować,
Kaczkę, kurę przypiec, jeszcze pocałować.

Oj, poznasz Marysiu obowiązki żony,
Nieraz mąż ci powie: obiad przypalony.

Niesłodka herbata, trzeba pocukrować,
Musisz ty, Marysiu, Stasia pocałować.

Gorzka jest herbata, bo się ludzie krzywią,
Bo się państwo młodzi, pocałować wstydzą.

Ubrałaś sukienkę i zielony wianek,
Nie żal ci rodziców ani koleżanek.

Marysiu, Marysiu czy ci nie żal tego,
Żeś się wypisała z koła panieńskiego.

Razem my Marysiu, kwiatuszki zbierały,
Tylkośmy nie razem, wianki sprzedawały.

Ty go sprzedasz dzisiaj, ja go sprzedam potem,
Tylko mi opowiesz, jak to dobrze z chłopem.

Wysoki zameczek, jeszcze wyższa skała,
Dostałaś już męża, jakiego żeś chciała.

Powiedz Maryś, powiedz, co Ciebie uwiodło,
Czy kary koniczek czy na koniu siodło?

Nie uwiódł Cię konik, ani siodełeczko,
Tylko Cię uwiodło, Stasiowe słóweczko.

Leci ptaszek górą, niesie w dziobie liści,
Nie jedna Ci panna, Stasia pozazdrości.

Toczy mi się toczy, becułecka miodu,
Dostałaś se chłopa, poczciwego rodu.

Nie smuć się Marysiu, żeś się już wydała.
Będziesz Ty dobrego, męża z niego miała.

Obejżyj się Maryś, na bieńczyckie pole,
By się wydawały, koleżanki Twoje.

Spojrzyjże Marysiu, spojrzyj do okienka,
Jak twój miercik płacze, żeś już nie panienka.

Żeś już nie panienka, żeś już ślubowała,
Żeś już Jasieńkowi, prawą rączkę dała.

A ty panno młoda, w tej białej sukience,
Już Ci nikt nie powie: dzień dobry panience.

Wiedział ksiądz, wiedział ksiądz i ja też wiedziała,
Żeś Ty Matce Boskiej, wianuszek oddała.

Spojrzyjże się Maryś, w górę do okienka,
Żeby Pan Bóg dał Ci, najpierwszego synka.

Najpierwszego synka, a drugą córeczkę
Będziesz miała Maryś, dobrą podpóreczkę.

Smutno se słoneczko, smutno se zachodzi,
Za to Ci Pan Jezus w dzieciach wynagrodzi.

Słoneczko już zaszło, gwiazdy zaświecają,
Tańczymy Marysi, bo tu dla nas grają.

Śpiewam ja se śpiewam, odbija się echo,
Byłaś u mamusi, najlepszą pociechą.

Tupnij Maryś nogą, aż podłoga rypnie,
Nie odchodź od mamy, aż cię sama wypchnie.

Za cóż by Cię mama, twa wypychać miała,
Przecież ona Ciebie, za tysiące miała.

O moja Marysiu, czemuś taka smutna,

Czy ci złodziej ukradł na pieluchy płótna?

O moja Marysiu, ja cię rozweselę,
Złodzieja dogonię i płótno odbierę.

Ty moja, Marysiu, masz ładne pantofle,
Poszłaś Ty za Jasia, sprzedasz na kartofle.

Życzę ci, Marysiu, wszystkiego dobrego,
Żebyś w swoim życiu, nie zaznała złego.

Życzę ci, Marysiu, to tamto i owo,
Ażebyś ty była, najlepszą synową.

Życzę Ci Marysiu, aże po raz trzeci,
Żebyś wychowała tuzin ładnych dzieci.

Wspomnijże, Marysiu, skutki tego tańca,
Gdy będziesz kołysać, małego zasrańca.

Marysiu, Marysiu, drobne kostki w tobie,
Jakże się ten Stasiu, położy przy tobie?

Na plantach, na krzaku, sroka zaskrzeczała,
Nie będziesz, Marysiu, z chłopcami stawała.

Nie będziesz się pytać, gdzie chłopcy stawają,
Tylko się zapytasz, gdzie mięso sprzedają.

Nie będziesz nosiła, główeczki do góry,
Boś się już dostała w Stasiowe pazury.

Rodzice, znajomi i goście proszeni,
Niech się tutaj zejdą z pola i ze sieni.

Niech dzisiaj do rana z Marysią tańcują,
Niech forsy na cepiec, wcale nie żałują.

Dziękuję muzyce, co nam pięknie grali,
I tym wszystkim gościom, co na cepiec dali.

Panu młodemu

Teraz tu pan młody, za wianek zapłaci,
Niechże on najpierwszy swą żonkę opłaci.

Zapłacił pan młody, tą jedną stóweczkę,
Ale to nie za mnie, tylko za żoneczkę.

Zapłacił pan młody, uśmiechnięta mina,
Pójdę do bociana, zamówię ci syna.

Płynie woda płynie, i huczy i huczy,
Dosyć ci Stasieniu, teściowa dokuczy.

Wygnali cię Stasiu, jak ptaszka z leszczyny,
Dobrze, żeś se znalazł, miejsce u dziewczyny.

Poklęczysz se bracie, poklęczysz godzinę,
Nim cię twoja Maryś, wpuści pod pierzynę.

Wpuści pod pierzynę, przytuli do siebie,
Będziesz sobie myślał, żeś jest w siódmym niebie.

Pamiętajże Stasiu, masz Ty ją szanować,
Bo to nie jabłuszko, urwać i skosztować.

Pamiętajże, Stasiu, byście się kochali,
Żeby później ludzie o was nie gadali.

Bo takie małżeństwa, które się kochają,
Bóg im błogosławi i dobrze się mają.

Szanuj Stasiu żonę, jak źrenicę w oku,
Żebyście dożyli, do setnego roku.

Uroda majątek, to szybko przeminie,
Miłość i wzajemność, nigdy nie zaginie.

Płynęły, płynęły, galary po Wiśle,
Chcąc wyjść dzisiaj za mąż, to trzeba pomyśleć.

Bo dzisiaj dokoła, cały świat zwydrzony,
Bo każdy mężczyzna, kocha po trzy żony.

Pamiętaj dziewczyno, byś nie dowierzała,
Żebyś przypadkowo trzecią nie została.

Bo śluby kościelne, dziś wychodzą z mody,
Nastają cywilne, a potem rozwody.

Rozwody niedobre i małżeńskie zdrady,
Byście odbiegali od takiej zasady.

Niech wam od dnia ślubu, szczęście się pomnaża,
Prosiliście o nie na stopniach ołtarza.

Proszę wszystkich gości, byśmy się schodzili,
Na cepinach razem, wszyscy z sobą byli.

Mama panny młodej, niech myśli o wianie,
Tak ażeby jej zięć, nie sypiał na sianie.

Nie trzymaj się drużbo, nie trzymaj się mody,
Nie sprzedawaj wianka za pół litra wody.

Gdyby Ci dawały, piwa jak na drwiny,
Przecież ładowane nasze starościny.

Obie się szukały, jakby w pałce maku,
Nie chciej nic innego, jak litra wiśniaku.

Niech tańczą drużbowie, druchny niech tańcują,
Na Marysi wianek, forsy nie żałują.

A ten nasz pan młody, to taki spieszczony,
Niedaleko poszedł, szukać sobie żony.

Ładny nasz pan młody, okrągły na twarzy,
Bo nie każdej mamie, taki się wydarzy.

Wesele, wesele, na weselu smutek,
Bo już się ożenił Ciepielów kogutek.

Pamiętajże Stasiu, żebyś jej nie bijał,
Boś ją nie kołysał ani nie powijał.

Pamiętajże Stasiu, żebyś nie dowodził,
Bo po Cię nie była, sameś do niej chodził.

Siedzisz sobie Stasiu i podpierasz głowę,
Pewno sobie myślisz, czy Ci dadzą krowę?

Siedzisz Stasiu, siedzisz, jak Bolesław Chrobry,
Ale nie wiadomo czy ty będziesz dobry.

Niedaleko Dłubni, woda rzeką płynie,
Będziesz miał Stasieniu, dobrą gospodynię.

Patrzy na cię Pan Bóg, z wysokiego nieba,
Żebyś nie żałował, Marysieńce chleba.

Nie żałował chleba, nie żałował soli,
Bo to ma siostrzyczka, to mnie serce boli

Przyśpiewka pani młodej

Dajże Boże szczęścia do mego śpiewania,
I wam muzykantom do ładnego grania.

Jak ja se zaśpiewam, jak ja se zanucę,
To mój głos poleci, aż pod Krzesławice.

Cioteczki wujenki co nic nie płacicie,
Czy drobnych nie macie, czy mnie się wstydzicie?

Śpiewam ja se śpiewam, odbija się echo,
Byłam u mamusi najlepszą pociechą.

Zielony mirteczek bom go podlewała,
Zapłaćże mamusiu bym głośno śpiewała.

Śpiewam ja se śpiewam, układam se w głowie,
Bo ja jest w Bieńczycach na wielkiej ozdobie.

Na wielkiej ozdobie i na obmówisku,
Ożeńże się ożeń, rodzony braciszku.

A ty mój mężulku, weźże mnie do tańca,
Nie siedzę przy stole, nie mówię różańca.

W tem mogilskim lesie, rozkwitła już sosna,
Dla Ciebie Stasieniu, jam taka urosła.

Dziękuję Ci mężu, słowem i honorem,
Żebyś awansował, żebyś był majorem.

Majorem, majorem albo kapitanem,
Mojemu mężowi, pasuje być panem.

Zapłaćże, mężulku, zapłaćże wzorowo,
Dla Ciebie i dla mnie, będzie honorowo.

Rośnie mircik w oknie, ładniejszy, drobniejszy,
Wszyscy chłopcy ładni, mój mąż najładniejszy.

Ładnego mam męża i zbudowanego,
Wszystkie panny z Huty, szalały o niego.

Przyśpiewki drużki

A wy muzykanci powstańcie na nogi,
I zagrajcie sto lat dziś dla Państwa Młodych.

Na pierwszy początek śpiewania mojego,
Życzę Ci Marysiu szczęścia najlepszego.

Stoję przed muzyką nie wiem jak zaśpiewać,
Są tu różni goście mogą się pogniewać.

Jeszcze nie bywało i nie będzie bywać,
Żeby bieńczycanki nie umiały śpiewać.

Kto nie umie śpiewać i tutaj nie śpiewa,
Na tego się Pan Bóg wcale nie pogniewa.

Dajże Boże szczęścia do mego śpiewania,
I wam muzykantom do ładnego grania.

Grajcież mi muzyko, nie po staroświecku,
Bo to bieńczycance, nie małemu dziecku.

Grałaby muzyka, grałaby, grałaby,
Brała by pieniążki, brałaby, brałaby.

Chwalili skrzypeczków, co nie mieli chwalić,
Do pieca ich włożyć, basami podpalić.

Grajże mi skrzypeczku, jak ja ci zanucę,
A jak nie potrafisz to oknem wyrzucę.

Nasi muzykanci to są bardzo pyszni,
W pożyczonych spodniach na wesele przyszli.

Mam ci ja tych śpiewek, pół korcowy worek,
Nie wyśpiewam dzisiaj, wyśpiewam we wtorek.

Śpiewałabym jeszcze ale mi się jeść chce,
Żeby mi już dali, śpiewałabym dalej.

Nie będę śpiewała, bo bym się myliła,
Ludzie by się śmiali ja bym się wstydziła.

Choćbym nie śpiewała ludziom nie dogodzi,
Znów by powiedzieli, że niemowa chodzi.

Będę ja śpiewała do samego rana,
Żebym ja dostała chłopca krakowiana.

Nie będę śpiewała, nie będę się darła,
Schowam se na jutro odrobinę gardła.

Nie będę śpiewała, bo się bardzo wstydzę,
Bo ja za oknami ładnych chłopców widzę.

Nie na to ja śpiewam, byście nie słyszeli,
Smutne moje serce, niech się rozweseli.

Kazałeś mi śpiewać, a nie dałeś piwa,
Jakże mam tańcować kiedy w głowie ni ma?

A dajże mi piwa, dajże mi wódeczki,
Przyjdą mi do głowy rozmajte śpieweczki.

Poproszę muzykę o poleczkę ładną,
Bo przecież pan młody dostał żonę zgrabną.

Zagraj mi orkiestro, niech mój głos popłynie,
Po różnych pagórkach, zostanie w dolinie.

Zagraj nam orkiestro od największej nędzy,
My nie pracujące, nie mamy pieniędzy.

Powiadają ludzie, że ja się nie wydam,
Jak umrze Cyganka, przyjdzie po mnie Cygan.

Umarła Cyganka, Cygana nie widać,
Trudno mi się będzie tego roku wydać.

A ja się nie wydam, aż po Wielkanocy,
Muszę dostać chłopca, co ma czarne oczy.

Powiadają ludzie, że ja cienka w pasie,
Która kocha chłopców, ta się nie upasie.

Chociaż ci ja chociaż, cieniutka jak nitka,
Ale jak dorosnę, będzie o mnie bitka.

Świeci księżyc świeci, koło niego gwiazdy,
Ciebie kocha jeden, a mnie kocha każdy.

Nie dam buzi nie dam, tym bieńczyckim chłopcom,
Wolę se zakopać do dołeczka mrowcom.

Do dołeczka mrowcom, niech ją mrówki zjedzą,
Niech się bieńczycanie smaku nie najedzą.

Koniki na górze, owce na dolinie,
Co mi Bóg przeznaczy, to mnie nie ominie.

Dodam chłopcy dodam, bo się wam podobam,

Bom się umywała jeziorową wodą.

Jeziorową wodą, kapuścianym kwasem,
Podobam się chłopcom ale tylko czasem.

Dudni woda, dudni w murowanej studni,
Zakochać się łatwo odkochać się trudniej.
Z kamienia na kamień, przeskakuje sroczka,
Kochają mnie chłopcy, bo mam czarne oczka.

Chłopczyku blondynie, nie przyglądaj mi się,
Bo ja mam szatyna, nie podobasz mi się.

Nie kochaj się we mnie, wszystko nadaremnie,
Tyś chłopiec bogaty, cóż ci przyjdzie ze mnie?

Szerokie i długie liście na kasztanie,
Najładniejsze chłopcy to są bieńczycanie.

Widzisz ty chłopczyno te gwiazdki na niebie?
Jak je porachujesz, to pójdę za ciebie.

Kochałam chłopczyka, cóż mi przyszło z tego,
Lepiej było kochać osta kolącego.

Wszyscy chłopcy przyszli, tylko nie ma tego,
Co nosi kluczyki do serduszka mego.

Chwaliłeś się Jasiu, że masz młode lata,
Wąsy jak kopacze, broda jak u capa.

Kubusioki chłopi, nie sieją konopii,

I w koszulach chodzą, ładne panny zwodzą.
Ja se budzynianka i ja mam blond włosy,
A kto mnie dostanie, użyje rozkoszy.

Biła mnie mamusia, opaloną tyką,
Żebym nie chodziła w nocy za muzyką.

Ja se bieńczycanka, czarna jak cyganka,
Ale se wybiorę ładnego kochanka.

W tym binieckim bagnie, rybka wody pragnie,
Ożeńże się chłopie, bo ci tak nie ładnie.

Stworzył Pan Bóg raka, żeby tyłem chodził
I stworzył chłopaka, by do panny chodził.

Ożeńże się, ożeń stary kawalerze
Jak się nie ożenisz, spalą cię jak pierze.

Chłopcy bieńczycanie, nie umieją robić,
Tylko pić, tańcować i panienki zwodzić.

Chłopcy bieńczycanie, sami ładowani,
Ale nie pieniędzmi tylko gazetami.

Ładni czyżynianie, ładni bez urazy,
Ale bieńczycanie, ładniejsi sto razy.

Bieńczycanie sapią, zjedli skórę capią,
Czyżynianie nie tak, zjedli chleba przetak.

Nie wierz panno chłopcu, żadnemu mężczyźnie,
Bo to jest karmelek maczany w truciźnie.

Nie wierz panno chłopcu, choćby krzyżem leżał,
On cię może zdradzić, nikt nie będzie wiedział.

Szerokie i długie liście na kasztanie,
Najładniejsi chłopcy to są bieńczycanie.

Szerokie i długie liście na orzechu,
Kochaj panno chłopców nie będziesz mieć grzechu.

Chłopcy bieńczycanie to się bardzo pysznią,
Łańcuszki w kieszeni i żenić się myślą.

Chłopcy bieńczycanie to se tak ufają,
Łańcuszki w kieszeni, zegarków nie mają.

A jak się go spytać, która jest godzina,
Przepraszam panienkę zepsuta sprężyna.

Chłopcy bieńczycanie, to oni, to oni,
Gdzie ładna dziewczyna to do niej, to do niej.

Chłopcy bieńczycanie, to taka rozpusta,
Byłaby podpora do starego mosta.

Chłopcy bieńczycanie, to taka parada,
Prawie ich postawić w jęczmieniu za dziada.

Chłopcy bieńczycanie, ładni i wysocy,
Tylko ich to szpeci, że chodzą po nocy.

Cłopcy bieńczycanie co się z wami dzieje,
Najładniejsi chłopcy to tacy złodzieje.

Nie idą na kury ani na poduszki,
Tylko oni kradną panienkom wianuszki.

Żebym ja wiedziała, gdzie mój chłopiec pije,
To bym mu zaniosła w cebrzyku pomyje

W cebrzyku pomyje w wiaderku otręby,
Ażeby se wytarł po gorzałce zęby.

Mam ci ja chłopczynę, jak to pawie pióro,
Przypatrzcie się wszyscy, ma takiego któro?

Mam ci ja chłopczynę jak kropelka rosy,
Ładniutki, piękniutki kręcone ma włosy.

Wesołam ja była, nigdym nie płakała,
Pókim się chłopczyno w tobie nie kochała.

A kiedym się chłopcze w tobie zakochała,
Nie ma godzineczki, żebym nie płakała.

Opłakuję we dnie, opłakuję w nocy,
Nigdy nie obeschną moje siwe oczy.

Kochałam jednego, nie wyprę się tego,
Ale nie był godzien kochania mojego.

Kochałam nie znałam, nie wiedziałam kto to,
Pokochałam durnia myślałam że złoto.

Kochałam jednego, nic mnie się nie stało,
Teraz kocham siedmiu, bo jeden to mało.

Kochałam jednego, było ludziom zazdrość,
Teraz kocham siedmiu, zrobię wszystkim na złość.

Chłopcy moi chłopcy, ja wasza dziewczyna,
Jak mnie się co stanie to wasza przyczyna.

Ja se bieńczycanka, poznać mnie po minie,
A mojego chłopca po czarnej czuprynie.

Chłopcy bieńczycanie, każcie sobie zagrać,
Tylko se nie dajcie czuprynek natargać.

Bo wasza czupryna, nie lada, nie lada,

Żeby ją targała krzesławska gromada.

Zapłaciłeś chłopcze tak jakby z przymusu,
Lepiej byś se kupił liter spirytusu.

A ty mój chłopczyku, ukradłeś mi serce,
Że mi się za innym, nawet patrzeć nie chce.

Mówiła mi mama i mówił mnie tata,
Że ja se dostanę, chłopa adwokata.

Adwokata nie chcę, bo się procesuje,
Wolę czyżyniana, bo ładnie tańcuje.

Ładni budzynianie ładni bez urazy,
Ale czyżynianie ładniejsi sto razy.

Przejechałeś Jasiu po czyżyńskiej stronie,
Żadna Cię nie chciała, wróciłeś się do mnie.

Ja se bieńczycanka, mam fartuszek jeden,
Ale ja przebiorę czyżynianek siedem.

Poznać ci to poznać, budzyniana zucha,
Siedzi przed muzyką, talarami bucha.

Chociaż ja uboga, ubogiej mamusi,
Ale ja nie daję po kątach gębusi.

Tylko ja w ten czas dam, kiedy ludzie widzą,
Nie będę się wstydzić, jak się drugie wstydzą.

Chociaż dam gębusi to mnie nikt nie widzi,
Tak się moja mama za mnie nie powstydzi.

Świeci miesiąc, świeci, gwiazdy pomagają,
Jeszcze moje oczka, kochania nie znają.

Kochania nie znają, ni żadnej miłości,
Gdy do chłopców mówię to tylko z grzeczności.

Dobrze mi jest dobrze, że nie mam kochania,
Dzień mam do roboty, a nockę do spania.

Kochali mnie chłopcy do księżyca w nocy,
Ja młodziutka byłam wystawiałam oczy.

W moim ogródeczku zakwitają wiśnie,
Wszystkich chłopców kocham tylko lekkomyślnie.

Dobre mleko dobre, lecz lepsza śmietanka,
Lepsza panna ze wsi niż z miasta szlachcianka.

W Nowej Hucie doły, panny jak stodoły,
A w Bieńczycach błoto, panienki jak złoto.

Aleś się ta wyrwał z tą piosenką nagle,
Siedziałbyś na piecu rozpalony diable.

Chłopcy bieńczycanie to taka parada,
Prawie ich postawić w jęczmieniu za dziada.

Dolina, dolina, przy dolinie grzybki,
Jakże Cię mam kochać kiedyś taki brzydki.

Chłopcy bieńczycanie to takie filuty,
Kochali by panny tylko na minuty.

Jeden kocha tydzień, a drugi półtora,
A trzeci by kochał z rana i wieczora.

Na szerokiej miedzy gęsi owies jedzą,
Biedne się wydają, a bogate siedzą.

Biedne się wydają, bo Boga prosiły,
A bogate siedzą, bo się honorzyły.

Nie to jest majątek, żeby bryły były,
Nauka i wiedza, cały świat zdobyły.

Ja biedna dziewczyna, ubogo się noszę,
Żadnej bieńczycanki o syna nie proszę.

Nie pobierzemy się, taka jest przyczyna,
Tyś bogaty chłopiec, ja biedna dziewczyna.

O Ciebie nie proszę i prosić nie będę,
Wyjdę za innego i też panią będę.

Płynie woda płynie po kamieniu dźwięczy,
Powiedz mi dziewczyno ile masz tysięcy?

Nie pytaj się durniu ile będę miała,
Tylko mnie się spytaj, czy Cię będę chciała.

Chłopcy bieńczycanie za bardzo hulają,
Bo po obcych wioskach panienek szukają.

Gdzie jest czysta woda tam koniki piją,
Gdzie są ładne panny, tam się chłopcy biją.

Cztery mile lasu, samej osieczyny,
Nie może się obejść, chłopiec bez dziewczyny.

Cztery mile lasu, samego jałowca,
Zawsze się obejdzie, dziewczyna bez chłopca.

Leci ptaszek leci, niesie cukier w dziobie,
Cóż komu do tego, że ja chłopców lubię.

W moim ogródeczku, rośnie mak malutki,
Kto chce do mnie chodzić, musi być zgrabniutki.

Ładny kwiatek róży ale w rączki kole,
Kocham bieńczycanów, miszczowianów wolę.

Chłopcy bieńczycanie, to nie do roboty,
Tylko za pannami przeskakują płoty.

A chłopcy się chlubią, że ich panny lubią,
A panny się śmieją, że zwodzić umieją.

Dobrze jechać wozem, jeszcze lepiej sanną,
Dobrze być mężatką, jeszcze lepiej panną.

Bo mężatka musi zawsze z jednym chodzić,
Pannie wolno jeszcze wszystkich chłopców zwodzić.

Marzec się już kończy, a kwiecień nadchodzi,
Ten kto kogo kocha, to ten tego zwodzi.

Bo Ewa Adama zwiodła swym jabłuszkiem,
A ja Ciebie zwiodłam, samiutkim serduszkiem.

Jak mnie będziesz bijał, pójdę z Cyganami,
Będę siadywała w cieniu pod wierzbami.

Oj dana, oj dana, pod kopeczką siana,
Siedmiu kosiarczyków, a ja tylko sama.

Siedmiu kosiarczyków z ostrymi kosami,
A ja sama jedna z gołymi rączkami.

Marysiu, Marysiu gdzieś podziała fisię?
Zaniosłam ją do rymarza, bo zepsuła mi się.

Hulaj bracie po warsztacie aż ci z tyłka spadną gacie,

Pierwszego kwietnia w południe wystaw tyłek, to ci schudnie.

Oj ty miły bracie, wszy ci zjadły gacie,
I to jeszcze dobre były, że ci Kaspra zostawiły.

Zapiał kogut, kukuryku, ożeń że się stary byku,
Bo jak będziesz siwy, stary, nie będą cię panny chciały.

Uwiodłeś mnie uwiódł, jakem stała w bramie,
Już mnie nie uwiedziesz, ty biniecki chamie.

Ti dzitką, ti dzitką, posyłam ci igłę z nitką,
Żebyś sobie załatał, za pannami nie latał.

Adres do mnie taki: wypuknięte flaki,
Numer pod schodami, do góry nogami.

Chodziłam po świecie, zbierałam kozaki,
Wystawiłam dupę na takie śpiewaki.

Przyleciał motylek i usiadł na ścianie,
Aż mnie diabli biorą na takie śpiewanie.

Jak ja se zaśpiewam, głos pójdzie doliną,
Jak mnie kochasz chłopcze, to nie patrz za inną.

Już nie będę taka głupia jak byłam w niedzielę,
Wszystkie dziewki tańcowały, ja stałam jak ciele.

A skorom się domyśliła, wzięłam se krypcyska,
Czy staremu, czy młodemu dawałam pyscyska.

Po cztery, po osiem, chodziły za Jasiem,
A ja sama jedna, Jasienia uwiedła.

Szerokie i długie liście na kapuście,
O mojej rozpuście, nie gadalibyście.

Śpiewam ja se śpiewam, serduszko mi ściska,
Jutro raniusieńko będą obmówiska.

Dudni woda dudni w cembrowanej studni,
Jakże ma nie dudnieć, gdy ludzie obłudni.

Dopierom tu przyszła, stanęłam do koła,
Już mnie obmawiają, żem nie jest wesoła.

Nie jestem wesoła i ładnie ubrana,
Bo to wam wiadomo, żem nie z miasta dama.

Leci ptaszek górą skrzydełka mu grają,
Cóż ja temu winna, że ludzie gadają.

Gadają o królu, gadają o złocie,
Gadają i o mnie, o biednej sierocie.

Żeby te podworce kwiatami zarosły,
Żeby obmówice do domu spać poszły.

A wy obmówice, idźcież spać do dzieci,
Bo ja będę śpiewać do godziny trzeciej.

Dosyć będzie dosyć, mojego śpiewania,
Ludzie będą mieli dużo do gadania.

Jedni będą mówić, żem ładnie śpiewała,
Drudzy będą mówić: dużo udawała.

Nie dziwcież się ludzie, żem się pomyliła,
Bo mi gorzałeczka główkę zawróciła.

Dziękuję muzyce, że mi ładnie grali,
I wam za oknami, żeście obmawiali.

Jeden do drugiego, czołami się bodzie,
Dobrze oni radzą o mojej urodzie.

Niechże mówią co chcą, każdemu jest wolno,
Przecie wszyscy wiedzą, żem jest nieurodno.

Nie będę śpiewała, bo się bardzo wstydzę,
Bo ja za oknami ładnych chłopców widzę.

Turbują się ludzie o moje wydanie,
Mnie się na ostatku, najlepszy dostanie.

A wy czyżynianki, nie krążcie buziami,
Że ja się znalazła, dziś pomiędzy wami.

Jak ja się znalazła to się i rozłączę,
Nikogo tu z gości fartuszkiem nie trącę.

Te bineckie pola na wysokiej górze,
Chłopcy jak panowie, dziewczęta jak róże.

Chłopcy jak panowie choć ciężko pracują,
Dziewczęta jak róże choć się nie malują.

Na dzisiaj już koniec śpiewania mojego,
Życzę Młodej Parze szczęścia najlepszego.

Szczęścia najlepszego i dużo pieniędzy,
Byście się kochali, nie zaznali nędzy.

Drużbie

Gdzież ten starszy drużba, a gdzież on się podział
Siedzi on przy stole, kożuchem się odział.

Gdzież ten starszy drużba co nic nie tańcuje,
Pewnie za starostą pierogi rachuje.

Grajcież muzykanci, walca wolniutkiego,
Mojego drużbeczkę zapraszam do niego.

Dajże Boże szczęście, do tańca mojego,
Najbliższego drużbę zapraszam do niego.

Pierwszy raz druhnuję, honoru nie tracę,
Na pierwszy początek sama se zapłacę.

A teraz ja będę drużbeczce śpiewala,
Żeby nie powiedział, żem nic nie umiała.

Byłam w ogródeczku róży się pytałam,
Którego ja drużbę dzisiaj będę miała?

Leci ptaszek górą i piszczy i piszczy,
Ładnego mam drużbę, zazdroszczą mi wszyscy.

Ładny mój drużbeczka i ubranie na nim,
Wszystkie bieńczycanki spoglądają za nim.

Ładni chłopcy w izbie lecz ładniejsi w sieni,
Bo tam mój drużbeczka stoi między niemi.

W moim ogródeczku, rośnie krzaczek róży,
Całemu weselu mój drużbeczka służy.

Ty najbliższy drużbo, chodź do mnie tańcować,
Nie będziemy umieć, będziemy próbować.

Ładny mój drużbeczka i ładnie ubrany,
Bardzo go to zdobi bo jest nie pijany.

Nigdy nie pijany zawsze w trzeźwym stanie,

Za to ci się panna bogata dostanie.

Będę ja se będę, często wspominała.
Żem ładnego chłopca za drużbeczkę miała.

Ładnego mam drużbę, bom takiego chciała,
Bo bym na brzydkiego wcale nie przystała.

Ładny jest mój drużba i koszula jego,
Będę Boga prosić żebym była jego.

Mam ci ja drużbeczkę, jak aniołek z nieba,
Takiego mi szczęścia do życia potrzeba.

Mam ładnego drużbę, jak zegar na ścianie,
Szczęśliwa ta panna która go dostanie.

Może go ucieszę, a może zasmucę,
A może mu nawet i w głowie zawrócę.

Mamy uradziły Edwina dać Dance,
Cóż ja biedna zrobię, jak mnie Edwin nie chce.

Nie wydziwiaj Edwin, nie róbże głupoty,
Jakam do jedzenia, takam do roboty.

Cóż z tego, że ładny i że świetnie tańczy,
Ale i do tego za wysoko patrzy.

Ładny mój drużbeczka, ładne ma nazwisko,
Nic nie będzie z tego, bo ma pannę blisko.

Smutny jest mój drużba, smutna mina jego,
Pewnie ja druchenka nie do gustu jego.

Jakżem nie do gustu, proszę mi powiedzieć,
To nie będę tańczyć tylko w kącie siedzieć.

Drużbujesz ty z mną ale od przymusu,
Bo ty szukasz panny ale w kapeluszu.

Mam ci ja drużbeczkę jak w sklepiku lalka,
Ale się w nim kocha jedna bieńczycanka.

Że ma narzeczoną to wiem dobrze o tym,
Nie chcę żadnej zdrady, cóż bym miała po tym?

Pójdę ja do lasu nakopię korzeni,
Oczaruję drużbę, ze mną się ożeni.

Świeci księżyc, świeci, na pośrodku nieba,
O swoim drużbeczce coś zaśpiewać trzeba.

Drużbeczko, drużbeczko, ty kwiateczku róży,
Dobrze mi się tańczy, boś ładny i duży.

Boś ładny i duży, i ładnej figury,
Przypatrzcie się panny, czy jest taki który?

Mój drużba jest ładny, ale nie jest stały,
Tak mi powiedziały te co go kochały.

Dziękuję ci drużbo, żeś chciał ze mną tańczyć,
A co było złego proszę mi wybaczyć.

Śpiewam ja se śpiewam, goście mnie słuchają,
Muzykanci smutni, bo za darmo grają.

Bo ci muzykanci oczka do mnie mrużą,
Ale nie bądź frajer, i nie daj za dużo.

Musimy drużbeczko, muzykę wzbogacić,
Ja będę śpiewała, drużba będzie płacił.

Zapłaciłeś drużko ale nie dziękuję,
A jak będzie ciemno to Cię pocałuję.

Zapłaciłeś drużbo, jednego złotego,
Pójdźże ty do huty, zarobisz na niego.

Lubię takich chłopców, tańczę z nimi z chęcią,
Którzy forsę mają, pieniądze im dźwieńczą.

Lubię ładnych chłopów i lubię flirtować,
Nie jednemu chłopcu kieszeń wynicować.

Bo do takich chłopców mój drużba należy,
Muzyce zapłacił, na pieniądzach leży.

Zapłacił mój drużba ale nie z ochoty,
Byłby sobie kupił spodnie do roboty.

Nie martw się drużbeczko, ja Ci podziękuję,
Pójdziemy na randkę to Cię pocałuję.

Mam ci ja drużbeczkę, bieńczyckiego zucha,
O parę całusków mówił mi do ucha.

Całusa bym dała, bo to grzech niewielki,
Potem by mi mówił o jakieś figielki.

Dziękuję ci drużbo przez pszenicy kłósko,
Dziękują ci usta, dziękuje serduszko.

Nie smuć się drużbeczko, bo ja się nie smucę,
Wezmę Cię za męża, pieniądze Ci zwrócę.

Zapłaciłeś drużbo przez kawałek pluszu,
Żebyś sobie dostał żonę w kapeluszu.

Przyśpiewka drużby

Zagrajże muzyko na pierwszy początek,
Jeszczem nie tańcował od Zielonych Świątek.

Grajcież muzykanci niech podłoga jęczy,
Wydała się jedna, niech się wyda więcej.

Zagraj mi muzyko, od prawy do lewy,
Bo ja tu mam dla was pieniążki nie plewy.

A grajcież mi grajcie, jak nie macie komu,
Jak se potańcuję to pójdę do domu.

A grają mi grają, chociaż mnie nie znają,
Żeby mnie poznali lepiej by mi grali.

Zagrajże mi zagraj, mój skrzypeczku ładnie,
Ja Ci tak zaśpiewam, aż ci czapka spadnie.

Zagraj mi muzyko, zagrajże mi ładnie,
Aż ci spod bucika podkuwka odpadnie.

Nie puszczę, nie puszczę, pani młodej z kółka,
Póki tu nie stanie na stole gorzałka.

Na stole gorzałka i dzbanek wineczka,
Dopiero ją drużka, rozbierze z wianeczka.

Nie wydam Marysi, nie wydam, nie wydam,
Póki z gorzałeczką nie przyjdą, nie przyjdą.

Chwaliłaś się Maryś, że masz dużo wiana
Poduszki ze sieczki, pierzyna ze siana.

A wy starościno, teraz wam doradzę,

Na ten oto stołek, pannę młodą wsadzę.

A wy bieńczycanki, słodkie buzie macie,
Bo się o trzy mile, chłopcom podobacie.

Jak ja se zaśpiewam, krótko, węzłowato,
Cóż wy mi zrobicie bieńczycanki za to?

Jak ja se zaśpiewam, nutę sobie zmienię,
Albo w świat pojadę albo się ożenię.

Odmienię, odmienię na koniu rzemienie,
Niech to piernik strzeli, w tym roku się żenię.

Pójdę ja do lasu, nazbieram korzeni,
Zaczaruję drużkę, ze mną się ożeni.

Kocham cię dziewczyno, Bóg widzi, Bóg widzi,
A jak mnie nie wierzysz, spytaj, że się ludzi.

Za las chłopcy, za las, bo za lasem grają,
Bo mi się za lasem panny podobają.

Czerwona czapeczka ładne pióra za nią,
Kochaj mnie dziewczyno, będziesz moja panią.

Cieszy się koń owsem, białą koniczyną,
Tatuś gospodarstwem, ja ładną dziewczyną.

Wolałbym ja wolał w koszu wodę nosić,
Niźli ojca matkę o dziewczynę prosić.

W koszu wodę nosić, woda się wyleje,
O dziewczynę prosić, dziewczyna się śmieje.

Ty moja dziewczyno, ty mój koraliku,
Wolałbym ja ciebie niż parę koników.

Bo parę koników zaprzęgnę do wózka,
A z tobą dziewczyno pójdę spać do łóżka.

Ja se Biernaciczek, i tak się nazywam,
I u swojej panny do raneczka bywam.

Ja se Biernaciczek, białą różę sadzę,
Która ładna panna to ją odprowadzę.

Nie będę się żenił nie będę się spieszył,
Będę się zalecał i panienki cieszył.

Nie ma Ci to nie ma, jak na wsi chłopczynie,
Urwie kwiatek róży zaniesie dziewczynie.

Czerwona chusteczka i biała kokarda,
Kochaj mnie dziewczyno, nie bądź taka harda.

Nie przez taki Dunaj, mój koniczek pływał,
I ja nie u takiej kochaneczki bywał.

Nie przebieraj panno, żebyś nie przebrała,
Żebyś za kanarka wróbla nie dostała.

Ty moja dziewczyno, ty mój koraliku,
Wolałbym ja ciebie niż parę koników.

Bo parę koników zaprzęgnę do wózka,
A z tobą dziewczyno, pójdę spać do łóżka.

Otwórz, że mi otwórz, moja Zosiu wrota,
Jak mi nie otworzysz, wrażę łeb do błota.

Stukałem, pukałem, nie chciała otworzyć.
Musiałem głowisię na progu położyć.

Turbują się ludzie, za co ja się opił,
A ja na Budzyniu, serduszko utopił.

Turbują się ludzie, za co ja se piję,
We dni za gałęzie, a w nocy za kije.

Opiłem się opił, będę baby topił,
Utopie i swoją bo się jej nie boję.

Grała mi muzyczka, od wieczora do dnia,
I jeszcze mi zagra jutro do południa.

Młodszemu drużbie

Wszystko ja se wszystko, wszystko wyśpiewała,
Tylkom se o drugim drużbie zapomniała.

Ten drugi drużbeczka, stoi jak laleczka,
Figielki on stroi, zapłacić się boi.

Leciały bociany przez wielkie lesisko,
Jakżeś nie zapłacił, nie otwieraj pyska.

A to zaraz poznać, kto tu jest bez grosza,
Stoi na podworcu, pali papierosa.

Ten młodszy drużbeczka, nie mały, nie duży,
Ale taki zgrabny, bo przy wojsku służył.

Młodszej drużce

Ty młodsza druhenko, jakby malowana,
Jak przyszło zapłacić do kąta schowana.

W moim pokoiku malowane groszki,
Mogłyby zapłacić młodszej drużki rączki.

Starostom

Śpiewam ja se , śpiewam, muzykanci grają,
A moje oczęta starostów szukają.

Ładne to wesele, wszyscy się cieszymy,
Teraz do muzyki starostów prosimy.

Państwo starostowie, niech teraz tańcują,
I forsy na cepiec, wcale nie żałują.

Starszej starościnie

Na szerokiej miedzy, rośnie ostrężyna,
Jeszcze nie płaciła starsza starościna.

Płaćże starościno, to nie moja wina,
To ty tutaj jesteś, pierwsza starościna.

Starsza starościna, ładna i wesoła,
Suknia jej się mieni, w same złote koła.

Starsza starościna ładna i bogata,
Przypatrzcie się goście czy jest druga taka?

Żeby starościna ładnie spoglądała,
Ażeby najwięcej na cepiny dała.

Nasza starościna, ładnie zaczepiła,
Żeby się jej za to córka urodziła.

Przyśpiewka starszej starościny

Ja se starościna, dziś starościnuje,
Przypatrzcie się goście, czy mi to pasuje.

Ja se starościna, dziś starościnuje,
Sama sobie płacę, bo mi tak pasuje.

Podnieśże Marysiu, do góry główeczkę,
Bo Ci starościna, zawiąże chusteczkę.

Zielony mosteczek, bom go polewała,
Jestem starościną, chociaż, żem nie chciała.

Ja se starościna, stanę se na boku,
Oddam czepiec pani młodej, będę miała spokój.

Starszemu staroście

Ty starszy starosto, trzymaj nogi prosto,
Bo musisz opłacić, dziś swoje starostwo.

Na szerokiej łące, kwitną dwa bławaty,
Niech za mnie zapłaci, starosta bogaty.

Zapłaćże starosto, nie chowaj do siana,
Bo za rok lub za dwa, znów będzie wymiana.

Ty starszy starosto, brzęknijże kieszenią,
Bo ci się stóweczki w kieszeni rumienią.

W bukiecie starosty jest kolor różowy,
To za mnie starosta zapłacić gotowy.

Ty starszy starosto, zapłać odrobinę,
Bo ci ktoś ukradnie, twoją starościnę.

Musi dziś starosta, swą kieszeń przetrzepać,
Ma pieniędzy dużo, to mu muszą przepaść.

A starszy starosta, to jest tęga głowa,
To i dla orkiestry, stówka jest gotowa.

Ten starszy starosta z rodu bogatego,
Zapłaci on za mnie, czerwieńca całego.

Wypadają dziury w tych hutniczych mostach,
A mógłby zapłacić ten starszy starosta.

Starsi starostowie w kącie się chowają,
A może gorzałkę z flachy obciągają?

A gdzież ten starosta, gdzież on urzęduje,
Pewnie z kucharkami kapustę gotuje.

Przyśpiewka młodszej starościny

Ty starszy drużbeczko, podajże stołeczka,
Będziemy rozbierać Marysię z wianeczka.

Miałaś Ty Marysiu, kawalerów dosyć,
Żaden Cię nie umiał o wianek poprosić.

Chodziłaś se Maryś, ścieżką po ogrodzie,
Nie zrobiłaś tego co w dzisiejszej modzie.

Bo dzisiejsza moda lata samolotem,
I najpierw są chrzciny, a wesele potem.

Marysiu, Marysiu, jużeś się wydała,
I gadanie ludziom, tym, żeś zawiązała.

Żeś się już wydała, toś dobrze zrobiła,
Stare babki wróżą, że będziesz bawiła.

Leci ptaszek górą, uniżył się nisko,
Już Ci się Marysiu zmieniło nazwisko.

Zmieniło nazwisko i zmieniła mowa,
Będziesz się nazywać Pani Ciepielowa.

Leci ptaszek górą i piosenkę nuci,
Już Ci się Marysiu panieństwo nie wróci.

Panieństwo nie wróci, bo wrócić nie może,
Dwa serca złączone, klucz wrzucony w morze.

Zapłaczesz se nieraz, będziesz tak musiała,
Czemuż ja se dłużej panną nie została.

Mamie pani młodej:

Miała Cię mamusia, jak prześliczne ziarno,
I tak Cię wydała, Stasieniowi darmo.

Daliście mnie dali, za góry, za lasy
Żebym nie bywała już w komórce waszej

U mojej mamusi jest mały podworzec,
Bo moja mamusia, ma pieniędzy korzec.

Ma pieniędzy korzec, bo agrest sprzedała,
Dlatego w tym roku córkę swą wydała.

Poproszę swą mamę, żeby zapłaciła,
Od czasu, do czasu, stóweczkę rzuciła.

W tan mamusiu z krzesła, córka się wydaje,
Przypatrz się zięciowi czy ci się nadaje?

Przypatrz się mamusiu, na zięciową postać,
Jeszcze tego roku, musisz babką zostać!

Wyjdźże mamo wyjdźże, wyjdźże z tego kąta,
Zapłać za córeczkę, nie bądź taka skąpa.

W ogrodzie są grusze, a na łące siano,
Niech zapłaci za mnie, mamusia kochana.

Zapłaćże mamusiu, jedną złotóweczkę,
A ja Ci na starość, podeprę główeczkę.

Jak się pochmurało, chmuro się, chmuro się,
Jak się pogniewało, gniewa się, gniewa się.

O moja teściowo, o cóż wam to chodzi,
Jak się pochmurało, to się wypogodzi.

Teściowo, lilijo, tacyście jak i jo,
Ładną córkę macie, a to mi ją dacie.

Mamie pana młodego

Ta moja teściowa, tak mnie się pytała,
Czy ja mam majątek, syna by mi dała.

A ja jej powiadam, mam majątek srogi,
Dwa ślepe kurczęta i kogut bez nogi.

Cieszy się teściowa, że wydaje syna,
Bo mu zapisuje, popiół spod komina.

Tacie

Nie będziesz ty teściu, pulchniutkiem, bielutkiem,
Bo se pozostaniesz, tego roku dziadkiem.

Zapłać tato, zapłać, jedyną stóweczkę,
Przecież za nikogo, tylko za córeczkę.

Zapłaćże tatusiu, córka się wydaje,
Ale nie daj dużo, bo druga zostaje.

W polu groch, w polu groch, w polu żółte strączki,
Zapłacą tu za mnie, tatusiowe rączki.

Płaci tu mój tatuś, stóweczki stargane,
Nowych nie chce ruszyć, ma zadekowane.

Zapłaci mój tatuś, jednego grosika,
Za to, że dostanie za zięcia technika.

Nie płaćże, już więcej, bardzo o to proszę,
Za to ci tatusiu wstydu nie przyniosę.

Niech zatańczy tatuś, któregoś kochała,
Bo drugi nie może, boś go nie zaznała.

Chrzestnym

Ustąpcie mi goście, ustąpcie mi na bok,
Płaci chrzestna matka z zawodu pedagog.

A ten pan Ciepiela co w stoliczek puka,
Przyszedł na wesele płacić za chrześnika.

Pan Adamski płaci, a ja wszystko liczę,
Ale dumnie płaci, bo za swą chrześnicę.

Przez bieńczycką rzekę położona kładka,
Mogła by zapłacić, Stasia chrzestna matka.

Wszystkim po kolei

Leci głos leci głos, leci po alei,
Teraz będę śpiewać, wszystkim po kolei.

A goście weselni, proszę się nie gniewać,
Bo ja teraz będę po bieńczycku śpiewać.

Gdyśmy się tu zeszli, bawmy się wesoło,
Chwyćmy się za rączki, obróćmy się w koło.

Gdyśmy się tu zeszli, nie trza nóg żałować,
Na to jest wesele, żeby potańcować.

Na samym początku śpiewania mojego,
Życzę młodej parze szczęścia małżeńskiego.

Szczęścia małżeńskiego i dużo pieniędzy,
Żeby twa rodzina nie zaznała nędzy.

Szanuj Stasiu żonę, bo życie jest krótkie,
Musisz już pożegnać kolegów i wódkę.

Zamiast sobie Maryś kupić modne buty,
Będziesz teraz szukać pietruszki do zupy.

Zapłać jeszcze drużbo, będzie piękne granie,
Przecież nie masz dzieci, nie trzeba ci na nie.

Jak starszy starosta w koło się wywinie,
Zaraz do muzyki stóweczka popłynie.

Panowie z orkiestry teraz się starajcie
Płaci ciocia z Czyżyn, ładnie jej zagrajcie.

Nie szeroka rzeka przez Bieńczyce płynie,
A panią Zamojską też stówka nie minie.

Wrzucę do muzyczki jednego grosika
Poproszę o więcej Mańka Biernacika.

Niech pani Nawrocka, wszystką forsę wyda,
Bo na Stanisława tulipany sprzeda.

A ciocia Marsowa, sprzedała jarzyny,
Da muzyce stówkę i wesprze cepiny.

Bita kamieniami szosa do Krakowa
Teraz będzie płacić ta ciocia Brosiowa.

Zagraj mi orkiestro, zagrajże mi ładnie,
Jest Władek Ciepiela to zapłaci za mnie.

A komuż to grają, jaworowe skrzypce,
Wujkowi Władkowi i cioci Helence.

A ciocia Helenka niech kabzy nie zwija,
Niech ją da muzyce i z wujkiem wywija.

A mój wujek Dżuła, piękny dom zbudował,
To i dla muzyki forsę przyszykował.

Przeskoczył zajączek i połamał lilije,
Zapłać wujku Staszku nie składaj na willę.

Przez mój ogródeczek przeleciała sowa,
Jeszcze nie płaciła ta ciocia Gawłowa.

Na szerokim błoniu, zieleni się trawa,
Jeszcze nie zapłacił Walerjan z Zastowa.

Ja Czernkówna jestem, ładnie się nazywam,
Ciekawi są ludzie co ja se zaśpiewam.

Przyszłam tu do wujka Czernka na lotnisko,
Popić, potańcować, powyjadać wszystko.

Państwo Ciepielowie, sześciu synów macie,
Ciekawa ja jestem, którego mi dacie?

Zapłać ciociu Krawczykowa, nie wychodź na pole,
Boś wzięła pieniądze za całą stodołę.

Wujka Władka Marsa to stówka nie minie,
A bo tydzień temu jak on sprzedał świnie.

Poznać wujka Marsa, zucha mogilskiego,
Płaci do muzyki jakby syn hrabiego.

Ten Józef Ciepiela, gospodarski synek,
Pojedzie we wtorek z pszenicą na rynek.

Przez mój ogródeczek przeleciała wrona,
Teraz będzie płacić Pani Makułowa.

Chrzestna Matka Wandzi z honoru jest znana,
Nie trzeba jej prosić bo zapłaci sama.

Przez bieńczycką rzekę, jest tam duża kładka,

Teraz będzie płacić Jędrka chrzestna matka.

Pada deszcz, pada deszcz, dużo wody w rowie,
Jeszcze nie płacili, dziś państwo Tyrkowie.

A ciocia Tyrkowa, muzykę wzbogaci,
Córki już wydała, nie ma na co tracić.

A ten wujciu Tyrka, też pieniądze dusi,
Niechże się nie chowa, bo zapłacić musi.

Danusia Tyrkowa, zapłacić się wstydzi,
A bo koło siebie ładnych chłopców widzi.

Zapłaćże Danusiu z serduszka całego,
Za to se dostaniesz chłopca bogatego.

U Chytrzyski w ganku, biały kogut pieje,
Ożeńcież Adama, bo on zesiwieje.

Szerokie i długie, liście na orzechu
Napijże się Stachu, będzie dużo śmiechu.

Szerokie i długie liście na kasztanie,
Jeszcze nie płacili chłopcy Mogilanie.

Chłopcy Mogilanie, ruszcie kieszeniami,
Niech ja się nie wstydzę, dzisiaj tu za wami.

Chłopcy Mogilanie, sami ładowani,
Ale nie pieniędzmi tylko gazetami.

Poznać to też można, który jest bez grosza,
Stoi poza kołem, dłubie koło nosa.

Jak pieniędzy nie ma, to ja mu pożyczę,
Niechże sobie stanie bliżej przy muzyce.

Zaczęłam tańcować, zdziurawiłam buty,
Jeszcze nie płacili żadni goście z Huty.

Pani Bochenkowa to sprzedała astry,
Dołoży pieniędzy do naszej orkiestry.

Ta Pani Salwińska, dobra gospodyni.
Sprzeda korzec żyta, dwa kwintale dyni.

Dobieram, dobieram, guzik do guzika,
Jeszcze nie płaciła żona Matuszczyka.

A wujek Walerian, piękny dom zbudował,
To i dla orkiestry tysiąc przygotował.

Ta Babcia z Krzesławic o tym nie myślała,
Ażeby za wnuczka całą stówkę dała.

Wszyscy już płacili, widzi mi się mało,
Może tobie Stasiu coś jeszcze zostało.

Chodźmy już do domu, bo już kury pieją,
Bo się bieńczycanie z czyżynianów śmieją.

Proszę się nie gniewać, żem wam tak śpiewała,
I żem wam kieszenie z pieniążków obrała.

Żeście mi płacili do muzyki wiele,
Za to was zaproszę na moje wesele.

Dziękuję muzyce za tak piękne granie,
I tym wszystkim gościom za to przypłacanie.

Śpiewałabym jeszcze komplementów dwieście,
Ale już nie będę, bo się ludziom jeść chce.

Dziękuję orkiestrze za tak piękne granie,
Bo ja już zakańczam to swoje śpiewanie.

Dziękuję orkiestrze, że tak pięknie grali,
Bo się choć weselni goście roześmiali.

Dziękuję muzyce, harmoniście mało,
Bo jak ja śpiewałam to mu się drzemało.

Dziękuję muzyce co mi pięknie grała,
Żeby się muzyka do nieba dostała.

Do nieba dostała na sam wierzchołeczek,
A ja razem z nimi i mój kochaneczek.

Przyśpiewki napisała Zofia Tyrka z Bieńczyc
Opis wesela: Danuta Damian – córka Zofii Tyrki
Wybór, układ i przepisanie przyśpiewek: Adam Gryczyński

Zamieszczony wybór stanowi kompilację strof przyśpiewek z różnych uroczystości weselnych odbywających się głównie w Bieńczycach w latach 50. XX w. Przyśpiewki te układała Zofia Tyrka, a rękopisy dostarczyła córka Zofii – Danuta Damian. W oryginalnym ich zbiorze pozostawionym przez autorkę w kilkunastu zeszytach i na luźnych kartkach papieru zapisanych ołówkiem, piórem bądź długopisem, znajduje się kilka tysięcy wersów układanych z reguły na dane wesele lub specjalnie u niej zamawianych. Treść wielu podobnych przyśpiewek oprócz zmiany występujących tam imion ewoluuje, ponieważ była dostosowywana do aktualnej sytuacji rodzinnej i towarzyskiej nowożeńców, a także wielu innych okoliczności. W trakcie ich wykonywania przestrzegano ustalonej hierarchii gości weselnych, a niektóre z nich zawierają odniesienia do konkretnych osób; ich wyglądu, stroju, majątku, bieżących wydarzeń etc. Przyśpiewki te były niezwykle ważnym elementem tradycji weselnej, przekazywanym z pokolenia na pokolenie, a obecnie niemal zupełnie zanikającym. Począwszy od przyśpiewek w drodze, obejmują one wiele charakterystycznych punktów scenariusza obrzędu weselnego takich jak: przyśpiewki drużki dla pana młodego po przyjeździe do jego domu, dla panny młodej, do bukietu, błogosławieństwo, wyprowadziny, a zwłaszcza oczepiny zwane także „ocepinami", w czasie których śpiewano ponad 200 przyśpiewek. Bardzo dużo zależało (np. to ile zebrano pieniędzy dla pary młodej i dla orkiestry, jak się goście bawili) od inwencji, głosu i talentu drużki panny młodej. Specyfika przyśpiewek polega na prostej i lekkiej, a zarazem pomysłowej dwunastozgłoskowej formie, w której zawarto różnorodne treści: od wesołych i żartobliwych, czy wręcz rubasznych po moralizatorskie wskazówki i mądrości ludowe oraz życzenia dla młodej pary. Pozostałe przyśpiewki opowiadają o ludzkich sprawach: szczęściu, miłości, marzeniach, urokach i blaskach ale i problemach życia codziennego szczególnie zaś panien i kawalerów oraz młodego małżeństwa. Były wykonywane najczęściej na melodię popularnych piosenek: „Krakowiaczek jeden", „Głęboka studzienka", „Za las, chłopcy za las" oraz znanych walczyków i poleczek.

W sytuacji całkowitego zanikania dawnych obrzędów weselnych, publikacją tych przyśpiewek nie tylko chcemy je „ocalić od zapomnienia", ale być może przyczynimy się do powrotu i ożywienia tej rodzimej, jakże pięknej tradycji.

kwiecień 2008 r. ***Adam Gryczyński***



Wesele Jana Pyczka i Marii z domu Pyrlik „Fornalczyk", Bieńczyce, lata 30. XX w., fot. Jan Kotyza











Wesele Jana Pyczka i Marii z domu Pyrlik „Fornalczyk", Bieńczyce, lata 30. XX w., fot. Jan Kotyza





























Wesele Jana Pyczka i Marii z domu Pyrlik „Fornalczyk", Bieńczyce, lata 30. XX w., fot. Jan Kotyza





Rozmowa o Bieńczycach, których już nie ma

(wypowiedzi anonimowe)

Mąż:

To była wspaniała wieś. W dużym stopniu opierała się na gospodarce rolnej, a ta na warzywnictwie, jednak dużo ludzi pracowało poza Bieńczycami, które znajdowały się na trakcie Kraków – Proszowice, w rejonie wybitnie handlowym, zawsze panował tu pewien ruch. Przejezdni zatrzymywali się u karczmarzy, kowali.. Towary były sprzedawane do Krakowa, gospodynie jeździły do Krakowa, wozami albo na plecach nosiły bańki. Dużo było owoców tak zwanych miękkich, głównie truskawek.To wszystko znajdywało odbiór w Krakowie. Sadownictwo też było rozbudowane. Tak toczyło się to życie. Od święta to była bardzo zorganizowana wieś. Dowodem tego, jest to, że w Bieńczycach organizowane były różnego szczebla uroczystości dożynkowe. Bieńczyce miały znakomite walory przyrodnicze, które umożliwiały im organizowanie tego rodzaju uroczystości. Przy rzece Dłubni płynącej przez Bieńczyce były zbudowane trzy młyny, a w sąsiedztwie łąk był istny raj dla spotkań towarzyskich.. Był tam „jaz" tzn. spiętrzenie wody, gdzie rzeka rozwidlała się, a obok ludzie całymi rodzinami w niedzielę i święta spędzali swój wolny czas. Tam się odbywały różne zawody sportowe, były boiska do piłki nożnej i siatkówki, oczywiście nie w dzisiejszym rozumieniu. Tak było w drugiej połowie lat 30. XX w. Ale to życie przerwane okresem okupacji niemieckiej, odrodziło się zaraz po zakończeniu wojny. Młodzież pobierając naukę w Krakowie, przejmowała nie tylko wiedzę, ale i pewne techniki pracy organizacyjnej w dziedzinie kultury i oświaty. Dlatego tworzyły się różne organizacje. Głównie Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Męskiej i Żeńskiej oraz Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici". Zajęcia odbywały się zazwyczaj w „dworku". Nie można pominąć tu roli kierownika szkoły w Bieńczycach, Łowczowskiego, który przywoływał rodziców zdolniejszych dzieci, namawiał żeby słać ich do szkół średnich. Wspólnie ze swoimi córkami, które były nauczycielkami, przygotowywali tych chłopców, po to żeby bez przeszkód mogli dostać się do szkół gimnazjalnych. Jeździł z tymi, dziećmi, żeby mogli dostać się do szkół. To były chłopaki 10, 11-letnie. Kierownik Łowczowski przyczynił się do uaktywnienia tego życia, o którym mówiłem, a jego żona, która choć nie była lekarką, to na każde zawołanie gdy ktoś gdzieś zachorował, to biegała z podręczna apteczką i niosła pomoc. Natomiast jego syn był wspaniałym lekarzem, nie da się ukryć – lubiący zaglądać do kieliszka, ale po większej ilości alkoholu stawiał trafniejsze diagnozy. Wykonywał zabiegi lekarskie, czasami ratując człowieka leczonego przez krakowskich lekarzy, którzy bezradnie rozkładali ręce. Znam takie przypadki. Ciekawą choć kontrowersyjną postacią był Franciszek Ptak. Był na początku XX w. posłem do Sejmu Galicyjskiego. I on przyczynił się do podniesienia poziomu gospodarki sadowniczej. Przywoził różne przykłady nowości.

Żona:

Pochodzę z domu, gdzie było gospodarstwo rolne. No i jak je zabrali – a nas było troje dzieci i rodzice – to dali tyle żeśmy mogli wszyscy sobie buty kupić. Z domów wysiedlani byli głównie rolnicy. Pozbawiono ich warsztatu pracy, więc z czego oni mieli żyć? Nie chcieli iść do nowych bloków, bo oni byli przyzwyczajeni, że mają kury, krowę, że mieli swoje zboże na mąkę itd. I gdzie oni mieli pójść pracować, jak wcześniej tylko pracowali w rolnictwie. Mogli kopać doły, ale nie każdemu to odpowiadało. Pośród tych, co pierwszych z Bieńczyc wysiedlali, to był taki jeden robotnik, który pracował w stolarni, i tam się odbywały dantejskie sceny, bo to był pierwszy, którego wysiedlili. Z domu, który on budował w ten sposób, że drzewo na rowerze woził. Najpierw przychodzili z komitetu partyjnego. Do naszego domu przyszli. Było popołudnie.Wszyscy gdzieś poszli, ja zostałam sama w domu. I przyszedł jakiś pan i pyta:

– Czy to jest wasze pole? – To jest nasze pole – A jest gospodarz? – Nie ma gospodarza, pasie krowy. – To jutro przyjeżdża ciągnik i przywiezie cegłę, będą doły kopać na tym polu.

A tam rosła pszenica i buraki cukrowe kontraktowane. – No dobrze, mówię – powiem ojcu, bo cóż ja mogę panu powiedzieć. A to było tak, że dwa tygodnie było do żniw, a buraki cukrowe to były dużej wielkości i były kontraktowane. No więc nie było rady, ktoś poszedł to pole wykosić i tą nie dorośniętą pszenice dawało się na oborę. I ojciec, który miał 67 lat, to płakał jak dziecko. Serce go bolało, bo to była jego praca, która została tak potraktowana.Te ziemie byłyby przekazywane na dzieci. To były dobre ziemie. Mieliśmy taką ciotkę, która miała dwóch chłopaków, jeden chodził do gimnazjum a jeden jeszcze do powszechnej szkoły, ojciec był rolnikiem, ona była rolniczką bo na polu pracowali, dzieci były jeszcze małe. Trzymała krowę dla mleka, żeby było na życie i dzieciom było za co kupić buty. Ten człowiek co ten domek budował, którego pierwszego wysiedlili, to on był wtedy w pracy, a jego żona coś tam w polu robiła, bo to była pora wiosenna. To ona obrazki święte powystawiała

do tych okien, dzieci za tymi obrazkami się modliły, a ona dostała szału i z siekierą goniła w koło domu, że jak któryś przyjdzie to mu łeb utnie. Nie ma się co dziwić, to byli biedni ludzie, przepadł dorobek ich całego życia. Pozostawały jeszcze gdzieś jakieś kawałki pola, i ci rolnicy, którym zabrali większą część – a z czegoś trzeba było żyć – więc trzymali jakąś krowę, konia. Bo rolnik nie pozwoli na to żeby pole stało odłogiem. Dużo by tu było opowiadać. Gdy pracowałam w dziale gospodarki wodnej, to przychodzili ludzie z Ruszczy ze skargami, że mają wodę w studni zatrutą – bo tam był popielnik. I ta zatruta woda wpadała do studni i oni mieli ją pić. Mieszkania dostali tylko ci co w hucie pracowali. A moja matka miała ponad 60 lat, ona była tylko rolnikiem i co ona...

Mąż:

Teściowa co parę dni chodziła do kwaterunku. I pan kierownik, który tutaj przybył (dostał 4 pokojowe mieszkanie) potrafił odpowiedzieć teściowej w ten sposób – Przecież dostała pani pieniądze za wywłaszczone grunty, to trzeba było sobie wybudować mieszkanie. A przecież odszkodowanie za ta pole to była... straszna krzywda, niesamowita.

Żona:

W tym okresie jak się zaczęła Nowa Huta budować zabrali ludziom pola pozbawiając ich ojcowizn i miejsc pracy. Wówczas bardzo dużo ludzi umierało, bo to było dla tych ludzi ciężkie przeżycie psychiczne.

Najwięcej ucierpiała wieś Bieńczyce, dlatego, że ona w ogóle znikła z mapy Krakowa. W Bieńczycach niby jeszcze zostały domy, ale już zupełnie nie było pól pod uprawę, tak, że ci ludzie musieli szukać pracy poza rolnictwem.

Mąż:

A wie pani jak wyglądały wesela w Bieńczycach? Tutaj w weselu uczestniczyła cała wieś – podobnie wyglądało to w innych okolicznych wsiach. Zaproszeni goście byli wewnątrz domu, a reszta stała na opłotkach i przyglądając się czekali, że gospodarz wyjdzie do nich z plackiem czy z wódką. A potem dopuszczano ich, jak już zaproszeni zaczęli dom weselny opuszczać. Jak się zrobiło miejsce, to młodzież wchodziła i bawiła się. Pogrzeby – to też była manifestacja wiejska. Niesamowita solidarność. Pogrzeb jak się odbywał, to starym słowiańskim zwyczajem, zwłoki leżały trzy dni w domu, a mieszkańcy przychodzili się modlić.My jesteśmy świadkami powstania Nowej Huty, i tych zachowań społecznych, o których żona mówiła, świadkami tego jak tutejsi mieszkańcy początkowo reagowali. Ludzie nie wygrywali, bo nie mieli prawa wygrać z nową władzą. Logicznie myśląc: jeżeli już zapadła decyzja na szczeblu centralnym, to przecież nie mogło być inaczej – musieli ludzi wysiedlać. Tam był błąd. To była sprawa polityczna. A przecież to radzieccy.. Bo chcieli rozbić inteligencje krakowską, co im zresztą nie wyszło Ta huta absolutnie nie powinna była tutaj powstać.

Żona:

Bo nasi byli za rządem londyńskim, co tamtym było nie na rękę. No to trzeba było to rozwalić i dać tutaj robotników. Z przeludnionych wsi ludzie przyszli do pracy – bo im ją oferowali. Nawet były takie hufce pracy ochotnicze, które przyjeżdżały i zakwaterowywali ich w barakach. No i w tych barakach tak to wszystko żyło, mieszkało, no i jak się spiknęli, i było już małżeństwo, i dzieci, to trzeba było się starać o mieszkanie. No to budowali mieszkania. A myśmy obserwowali jak mieszkańcy Nowej Huty byli jeszcze związani ze swoją wsią: tu dostali mieszkanie, pracę, i potem na okres jakichś prac czy żniw, brali zwolnienie.

Mąż:

Albo ucinał palec, autentycznie!

Żona:

Tak i jechał żniwa odrobić. Ta społeczność, jak przyszło np. do walki o krzyż, to była wspólna walka. I tu się władza pomyliła. Potem była budowa Kościoła Arki

Mąż:

Przybyli tutaj do roboty robotnicy, żenili się z bieńczyckimi dziewczynami.

Miejsce w Bieńczycach, którego już nie ma, to „dworek". To tam się organizowało życie organizacji młodzieżowych. Tak się nazywało: „dworek" ale on nie miał nic wspólnego z pojęciem „dwór". Tam była siedziba Sióstr, które prowadziły ochronkę. Bieńczyce podlegały pod parafię w Raciborowicach (jest tam kościół zbudowany przez Jana Długosza), albo do Mogiły się chodziło. A potem, żeby ułatwić ludziom życie, ksiądz odprawiał w tym dworku mszę. Tam się koncentrowało życie, oprócz łąk, tam gdzie rzeka i jaz. A później, w okresie powojennym to szkoła była takim centrum dla młodzieży, gdzie się odbywały przedstawienia. Ludzie bardzo przeżywali te, szumnie nazywając spektakle.

Dzisiaj wiadomo jaki jest komfort życiowy – nasz był o wiele skromniejszy. No, ale było za to bogactwo kulturowe, życie było proste ale zdrowe. Dawniej przy kapliczkach odbywały się śpiewy majowe, do Matki Boskiej. Jakie było wspaniałe powietrze, nie zanieczyszczone, tak, że żona słyszała z sąsiednich wsi majówkę. A sceneria zimowa, te strzechy przykryte warstwą śniegu, rozgwieżdżone niebo i kolędnicy...

Żona:

Ważne miejsca to szkoła w Bieńczycach, drugie to dworek, gdzie potem zbudowano na tym miejscu Arkę. Moja mama chodziła tam do ochronki prowadzonej przez zakonnice, były tam salki na zebrania młodzieży, przedstawienia, tam też odbywały się opłatki. Potem dworek został przemianowany na kościółek, do którego się przywoziło księdza. Tam później mieszkał jakiś ksiądz, bo okazało się, że ludzie potrzebują strawy duchowej, a nie tylko kopać doły. U Motyki była jeszcze jedna sala, była biblioteka, ja jakiś czas byłam bibliotekarką. Była też Spółdzielnia Społem. I tam w tym budynku gminnym w jednym pomieszczeniu był sklep, w drugim była biblioteka i jeszcze jakaś sala na zebrania, pokazy. To tego domu też już nie ma.

Mąż:

Wszystko było. Nie ma śladu po tym. Byli stolarze, krawcy, dorożkarze, był fryzjer, kowal, kuźnia...

Żona:

Kierownik szkoły przychodził do matki, ojca i mówił – Macie zdolne dziecko, trzeba je posłać do szkoły. Wiózł te dzieci na egzaminy wstępne. Byli ludzie, nauczyciele, kierownicy szkół, którzy dbali o oświatę i popychali młodzież do dalszej nauki. Przecież w Bieńczycach bardzo dużo ludzi poszło do gimnazjów, szkół technicznych...

Mąż:

Ludzie odwiedzali się np. jak były dożynki powiatowe i dożynki z sąsiednich wsi. Jak był festyn to też przychodzili i czasami dostawało się komuś po plecach, jak chciał dziewczynę poderwać. Kontakty były. Jak był jakiś stelmach, dobry kowal to przyjeżdżali do niego. Bo miał jakiś dryg czy robił dobre, ładne okucia. Do Krakowa to się dwa razy w tygodniu jeździło z towarem, który urósł na tych wspaniałych ziemiach. Kilku gospodarzy dorożkowało, obsługiwali Kraków, chyba 10 dorożek było. Słychać było te koniki jak wyjeżdżały, czy wieczorem wracały. A czasami gdy jakiś dorożkarz wypił po drodze, to koń sam wiedział gdzie ma wracać.

Żona:

Był jeden organizator, mówił idziemy do teatru!. Do teatru jechaliśmy pociągiem, a z powrotem, to na piechtę. Ale to było przeżycie. bo się było w teatrze. Częściej bywaliśmy w teatrze wtedy niż później czy dzisiaj. Wycieczkę urządzaliśmy np. do Zakopanego na parę dni, do Ojcowa, do Doliny Będkowskiej. Jak była zorganizowana wycieczka do Zakopanego na 5 dni, to zawsze było tak, że 15 sierpnia było święto i potem niedzielą, tośmy musieli z bratem tak się spieszyć z pracami polowymi, żeby nam rodzice pozwolili jechać na tę wycieczkę. Te żniwa to odbywały się w imponującym tempie. Bo to była wieś, trzeba było pracować. A jak do szkoły chodziłam, to często musiałam odrabiać domowe roboty, a jak wszyscy szli spać, to ja dopiero książki otwierałam, a ojciec o pierwszej, drugiej w nocy wstał i pyta – Co ty tyle nafty psujesz. I powiedział mi – Jak będziesz miała złe wyniki w nauce, to koniec z nauką.

Mąż:

A jak wracaliśmy z tego teatru pieszo z Krakowa, to się szło przez szczere pola i nikt nie myślał o tym, że ktoś może kogoś napaść. A dziś ? – Dawaj komórkę! Gorsza strona – żeby to nie wyglądało wszystko tak ładnie; były przypadki bandyckie, często chodziło o dziewczyny. Były przypadki, że były jakieś bijatyki.

Żona:

Co jeszcze zostało z tamtych lat? Przepiękna figura w Bieńczycach, serce Pana Jezusa. Dwór, który już chyba ktoś sprywatyzował. Stawy tam były, są jeszcze. Na nich to w zimie jeździło się na łyżwach, takich na żabki i z rzemykami. W okresie Bożego Narodzenia chodziło się z szopką – to była taka chatka z lalkami. Przygotowania trwały więcej niż miesiąc. Dziewczyny miały za zadanie odnowić ubrania wszystkim lalkom, była śmierć, Herod, górale, gospodynie co przynoszą jajka. A chłopcy mieli za zadanie wyklejanie i robienie szopki. Konstrukcja szopki była z roku na rok lepsza, jak nie rozbili konkurenci. Chodziło tu paru szopkarzy, którzy ze sobą konkurowali; o najładniejszą szopkę i śpiewanie kolęd, ale tu nie chodziło o pieniądze ale raczej o zabawę. No więc chłopcy kupowali te różne papiery kolorowe, złotka i tak dalej, i je wyklejali. To wszystko odbywało się własnym nakładem, każda dziewczyna się starała, żeby jej lalka była najładniejsza, żeby się chłopakom podobały. Potem było chodzenie z tą szopką, a niektóre dziewczyny miały zapowiedziane przez swoje sympatie, że „u ciebie musimy zrobić zakończenie". Szopkarze chodzili głodni, zmarznięci, więc musieli mieć jakieś zakończenie na Nowy Rok lub Trzech Króli. I była wtedy orkiestra, jakiś poczęstunek – zabawa była.

Mąż:

W Bieńczycach była orkiestra, taka profesjonalna, w pewnym okresie. Bo właściciel młyna, tego parowego, młynarz Władysław Lelito potrafił zafundować instrumenty całej orkiestrze dętej. Mało tego, opłacał instruktora, który przyjeżdżał, a teraz negatywna strona: miejscowi złodzieje ukradli te instrumenty, i to wszyscy wiedzieli kto, tylko ten człowiek był nietykalny bo trudno mu było się narazić. I było złodziejstwo tak jak wszędzie. Ale z czego to wynikało? Czasem z biedy. Kradli co popadło: pierzyny, kury, krowy wyprowadzali z obór, koniom ucinali ogony, bo był taki okres, że można było sprzedać włosie na szczotki.

Żona:

Życie wiejskie tak wyglądało, że nie było radia, nie było telewizji, lampa była naftowa, no to sąsiedzi się schodzili do jednego domu i tam prowadzili rozmowy, najczęściej o strachach, dużo było wspomnień z pierwszej wojny światowej. Ludzie zajęci byli sobą, ale to nie odbywało się na zasadzie jakiegoś przyjęcia. Ktoś przyszedł, pogadał, dali mu herbatę, jak nie to poszedł. Było darcie pierza. Też było pijaństwo, bo te spotkania były zakrapiane w bogatszych domach. I w ten czas jak było takie spotkanie, to te lumpy korzystały, do obory wchodzili. Bo obora zamykana była tylko na haczyk i rano kury czy świni nie było. Towarzystwo zazwyczaj gromadziło się w kuchni, największym pomieszczeniu w mieszkaniu, a pozostałe pokoiki były małe, tam się tylko spało. Ale w tej kuchni to się życie toczyło, tak samo jak teraz w Ameryce, gdzie są pokoje dziennego użytkowania. No to jak wszyscy siedzieli w tej kuchni, a było lato, i okna były pootwierane, to złodziej – ponieważ to było z drugiej strony domu – widział te wszystkie pierzyny i brał.

Miejsce święte w Bieńczycach to był dworek, tam gdzie jest teraz Kościół Arka. Mieszkańcy okolicznych wsi byli może w 90% katolicy. I co niedziele odbywały się msze św. Już nie w tej kapliczce, tylko na zewnątrz, na ścianie tego budyneczku było zadaszenie i tam był ołtarz, a wszyscy pozostali stali na zewnątrz, bez względu na porę roku i pogodę. Była taka pasterka którą odprawiał jeszcze biskup Karol Wojtyła – lało wtedy jak z cebra.

Mąż:

Moja ciotka to zgubiła buta w błocie. Bo w okresie budowy Nowej Huty, to tutaj trzeba było poruszać się w cholewach. Wszystko rozkopane, najważniejsze to było postawić blok, a dojścia to już była dowolna sprawa.

Żona:

A jak wyglądała historia budowy kościoła, dzisiejszej „Arki"? Powołany komitet budowy kościoła ustalił, że kosciół powinien stanąć w miejscu koło Teatru Ludowego. Ktoś zrobił porządny drewniany krzyż, który procesją z „dworku" zaniesiono i okopano na placu koło teatru. Gdy potem rozpoczęto robić wykopy pod fundamenty kościoła, cofnięto zezwolenie na jego budowę podając równocześnie do wiadomości, że na tym placu ma stanąć szkoła. Jak się ludzie dowiedzieli, że krzyż zaczynają usuwać i nie będzie tam kościoła – zaczęła się wojna. Kobiety rzuciły się do faceta z koparki i zagwoździły ją, bo nasypały tam piachu czy kamieni. Milicjant który to pilnował, zaczął uciekać, wpadł w klatkę bloku, ale nie miał gdzie uciekać, a wiadomo, że jak baba rozsierdzona... Przyjechały ze dwie, trzy „suki". Wzięli te kobiety do tych samochodów, wywieźli do Niepołomic, zostawili i... kazali wracać na piechotę. W między czasie dali znać chłopom do kombinatu, że im baby wywieźli. No i taka wojna trwałą ze dwa, trzy dni. Ci co bili, byli głównie ze Śląska I potem nastąpiły procesy, więzienia. Jak ci ludzie zaczęli walczyć o krzyż, to poszli pod radę dzielnicową, bo była w dużej mierze odpowiedzialna za cofnięte pozwolenie. I ludzie się wdarli do tego wydziału podatkowego, obstawili cały ten budynek, tak, że urzędnicy siedzieli do nocy, bo bali się wyjść.

Mąż:

Powtarzam: trudno dzisiaj znaleźć głosy za słusznością decyzji o budowie Nowej Huty w tym rejonie. To była decyzja polityczna.

Żona:

Ale że się zlikwidowało przeludnienie wsi – to tez trzeba zaznaczyć. Wieś była przeludniona i bardzo rozdrobniona.

Mąż:

To jest odrębny temat, faktycznie, były przeludnienia – to był dramat wsi polskiej przed wojną. W Bieńczycach było dużo gospodarstw, nawet kilkunasto morgowych, ale były też wielodzietne rodziny i następowało dzielenie gospodarstw, rozdrobnienie. Zostało tylko parę dużych gospodarstw w Bieńczycach, a tak, to były takie dziadowskie; o jednej krówce.

Żona:

Ale w Bieńczycah wielu młodych ludzi pracowało jako ślusarze, tokarze. Młodzież uciekała, bo co mieli robić na wsi, jaka perspektywa? Oczywiście to nieuniknione, że musiał nastąpić jakiś rozwój gospodarki, przemysł, my to rozumiemy. U nas brat miał zostać na gospodarstwie, a my z siostrą miałyśmy wyjść. Z góry było ustalone, ze najstarszy syn lub córka zostawali i obejmowali rodzinne gospodarstwo, a reszta, to albo szła ze spłatą, jakimś tam wianem, albo szła do nauki.

Mąż:

Coś jeszcze powiem, z taką goryczą. Ale to wynika z tego, że Bieńczyce zostały bardzo zniszczone. Dzisiaj Bieńczyce nie przejawiają organizacyjnej formy ratowania się – tego nie ma. Zachowały się piękne tradycje. Ale są wsie, które w mniejszym stopniu zostały zniszczone, myślę np. o Grębałowie, tam życie jeszcze tętni, bo tylko peryferie zostały zniszczone, tam odbywają się dożynki, a u nas o dożynkach już nie słychać. Jedynie jakimś ruchem było odnowienie figury, kapliczki Serce Jezusowego. Odbyło się spotkanie, kto chciał to przyszedł, było sporo ludzi. Nastąpiło poświęcenie figury, i... koniec. Na tym się kończy.

Żona:

W Grębałowie zostały gospodynie, które organizowały Koło Gospodyń Wiejskich. Gotowały, piekły, pokazywały i ich córki się tego nauczyły. Jeszcze może w szkole jest ktoś, kto uczy jakiś regionalnych tańców, pieśni, ale tutaj to nawet szkoła się skończyła, nie ma już szkoły w Bieńczycach. Teraz dzieci z Bieńczyc chodzą do szkoły w Nowej Hucie. Nie ma nauczycieli, którzy byliby z tą społecznością związani.

Mąż:

Jedyną formą solidarności społeczności bienczyckiej, to jest liczny udział w pogrzebach.. Znana jest taka solidarność, ale nie ma organizowania innych form spotkań, pozostają wspomnienia, wyciąganie i oglądanie starych zdjęć.

Żona:

Ponieważ matka miała małe dzieci, to się brało pomoc do pola – bo matka ma dzieci. Nas tylko była trójka, a zawsze pamiętam, że była pomoc w polu, bo mama mając dzieci miała cały czas coś koło nich do roboty. Więc jakaś ta kultura była w tym życiu. Bardzo dobre były czasy, siedziałam, uczyłam się przy oknie i słyszałam jak nad Dłubnią słowik śpiewa.

Mąż:

A zwyczajów, to można jeszcze więcej przedstawić, bo śmigus to jest znany, ale np. takie malowanie okien. Chłopaki pannom malowały okna. Gdzie indziej zaś było tak, że w Wigilię czy tam Boże Narodzenie przychodziło się i wysypywał popiół albo sadze, a u nas koło Krakowa był taki zwyczaj, że jak dziewczyny w Wigilię czyściły okna, to należało je pomalować żeby czyściły w Boże Narodzenie, bo przecież na święta nie mogły być brudne. A jak jej nikt nie pomalował okna, to była obrażona. Tak samo na śmigus. A podam jeszcze przykład innych żartów. Potrafiono rozebrać wóz i postawić go na dachu. Wóz po cichu rozkręcono, a znano jego części, po drabinie wnoszono i rano gospodarz patrzy... albo np. zatykanie komina. Rano gospodynie chciała rozpalić w piecu, a tu się dymi... albo np. wyjście z domu zablokowano wygódką. Otwarto drzwi tej wygódki i przystawiono do drzwi, i zaraz rano ktoś wychodzi do wygódki... Przyjmowano to jako zabawę. Nie było dyskotek, telewizji, coś więc musiała młodzież ze sobą robić. Były potańcówki, prywatki tak zwane. Był patefon na korbkę, i on wędrował po wsi. Jak właściciel wypożyczał go chłopakom, to się musieli zrewanżować finansowo czy w inny sposób. Była radocha, były różne zabawy w „listonosza", „napoleona" – chłopcy tak się bawili. Uderzany w tyłek delikwent miał zgadnąć kto mu to zrobił, a trafne wskazanie bijącego powodowało zmianę wystawiającego „siedzenie" do bicia. Albo spotkania na ulicy, chociaż to raczej były drogi. Myśmy dojeżdżali do szkoły tak zwaną „kocmyrzówką" – pociągiem, którego już nie ma. Tam odbywało się życie towarzyskie. Był wagon dla młodzieży szkolnej, a jak pociąg miał opóźnienie, to spóźniało się także do szkoły, ale było usprawiedliwienie. Z Bieńczyc do Kocmyrzowa na terenie Krzesławic jest pod górkę. Często było tak, że pociąg aby tę górę sforsować, musiał parę razy podjeżdżać, a w okresie okupacji to wynikało z także handlu węglem. Maszyniści i kolejarze sprzedawali węgiel i musieli palić czym innym. Jest taka anegdota na temat „kocmyrzowki" : Jedzie „kocmyrzówka", a obok niej idzie babcia. Maszynista do babci: – Wsiadajcie babciu! – A nie będę wsiadała, bo mi się spieszy.

Bieńczyce, 2007 r. *Notowała: Katarzyna Maniak*

60-lecie Sióstr Służebniczek Dębickich w Bieńczycach

„Poznacie ich po owocach"

Tuż po wojnie, jeszcze przed decyzją władz państwowych o budowie Nowej Huty, zakładu metalurgicznego i nowej dzielnicy, a raczej nowego miasta, które miało powstać na zachód od Krakowa, do wsi Bieńczyce przybyły siostry ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Bogarodzicy Dziewicy Niepokalanie Poczętej, popularnie zwane Służebniczkami Dębickimi. 21 marca minie 60 lat od erygowania przez metropolitę krakowskiego kardynała Adama Stefana Sapiehę ich domu w bieńczyckim dworku. Przez sześćdziesiąt lat siostry na stałe związały się z tą robotniczą dzielnicą, wpisały się w jej pejzaż i wraz z mieszkańcami tworzą jej historię.

Do trzech razy sztuka

Już od końca XIX wieku historia położonych nad rzeką Dłubnią Bieńczyc, splotła się z historią sióstr. Pierwszą zakonnicą, która „odkryła" tę miejscowość była s. Barbara Ryszewska ze Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo. Będąc przełożoną zakładu Niepokalanego Poczęcia w Krakowie przy ul. Piekarskiej, zaczęła czynić starania by nabyć w Bieńczycach dworek z niewielkim gospodarstwem rolnym. Zakupiony w 1893 r. majątek służył przede wszystkim dzieciom, którymi opiekowały się siostry, a które tutaj spędzały swoje wakacje, a także stał się miejscem odpoczynku starszych sióstr z tego zgromadzenia. Ponadto gospodarstwo dostarczało zboże, jarzyny i mleko do zakładu prowadzonego przez siostry w Krakowie. W dworku, który składał się z czterech dużych izb, kuchni, sieni, a także dwóch pokoików na poddaszu, siostry urządziły kaplicę, ochronkę dla dzieci i salkę dla Dzieci Maryi – grupy duszpasterskiej prowadzonej przez siostry.

Przed I wojną światową Siostry Szarytki chcąc spłacić długi musiały jednak sprzedać całe gospodarstwo. Zakupił je ks. Ludwik Płonka, proboszcz parafii w Raciborowicach, która obejmowała swym terytorium także Bieńczyce. Odtąd dworek został oddany pod opiekę Stowarzyszenia Dzieci Maryi.

Drugi raz bieńczycki dwór stał się domem sióstr w czasie II wojny światowej. Przyszły tu wówczas Siostry Matki Bożej Miłosierdzia (Magdalenki), z klasztoru w Łagiewnikach, położonego po drugiej stronie Krakowa. Siostry w Bieńczycach prowadziły przedszkole, opiekowały się biednymi, a po powstaniu warszawskim przybyłymi tu mieszkańcami stolicy. Jednak, gdy dobiegła końca okupacja hitlerowska, prawdopodobnie z braku środków utrzymania, siostry opuściły Bieńczyce.

Dzięki siostrom, w Bieńczycach powstała, w ich domu, pierwsza kaplica, którą w 1943 r. przebudowano i powiększono, tak by mogła pomieścić więcej wiernych i by można było do niej bezpośrednio wchodzić z zewnątrz budynku. Dzięki obecności sióstr zaczęto również regularnie odprawiać w Bieńczycach Msze święte i nabożeństwa, początkowo dwa razy w tygodniu, gdy przyjeżdżał prowadzić katechezę wikary z parafii w Raciborowicach, a w czasie II wojny światowej już codziennie, gdy w dworku zamieszkał na stałe jeden z raciborowickich wikarych.

Mieszkańcy Bieńczyc rozumieli, jakim dobrem dla nich była obecność sióstr, dlatego, po wyjeździe sióstr magdalenek, od razu, jeszcze w 1945 r., zwrócili się do arcybiskupa krakowskiego z prośbą, by przysłał do Bieńczyc któreś ze zgromadzeń zakonnych. Po odmowie różnych zgromadzeń Książę Metropolita Sapieha wysłał delegację gospodarzy bieńczyckich, Władysława Motykę – właściciela piekarni i p. Krawczyka, do Dębicy, do Matki Generalnej Sióstr Służebniczek Dębickich Brygidy Grzegorczyk. Metropolita krakowski dołączył również swoją prośbę, w której zaznaczył, że skoro Siostry są tak miłosierne i litościwe dla ludności wiejskiej, to na pewno nie odmówią przyjęcia tej dość niekorzystnej placówki. I siostry nie odmówiły. 21 października 1945 r. pierwsza Służebniczka Dębicka przybyła do Bieńczyc.

Siostry są miłosierne i nie odmówią – czyli pod opieką św. Józefa

Jako pierwszą do nowej placówki Matka Generalna skierowała s. Marię Hermenegildę Borowiec. Pochodziła ona z Buczkowa, koło Okulic, z rodziny rolniczej, wielodzietnej – urodziła się jako drugie dziecko wśród ośmiorga rodzeństwa. Do zgromadzenia wstąpiła w Środę Popielcową 1921 r. i jak później wyznała już wówczas ofiarowałam Bogu wszystkie cierpienia, krzyże, prace choćby najcięższe za moje winy i innych grzeszników. Może to powołanie i świadomy wybór tego co ciężkie pozwoliły pierwszej przełożonej w Bieńczycach nie załamać się, ale wytrwać, mimo nie łatwych warunków. Po latach wspominała ona swój przyjazd na tę placówkę:

Zastałam dom zaniedbany, brudny i najpierw trzeba go było poprawić, pobielić, oczyścić, tak samo i kaplicę. Najwyraźniej odejście sióstr magdalenek i przejście frontu w styczniu 1945 r. pozostawiły po sobie ślad.

Po doprowadzeniu dworku do stanu używalności i przygotowaniu kaplicy do odprawiania nabożeństw, siostry zaczęły na nowo organizować w Bieńczycach życie liturgiczne. Dużą zasługę w tym dziele miała s. Maria Kryspina Cnota, która była pierwszą bieńczycką organistką, ponadto prowadziła w kaplicy śpiew, a z chętnych, zarówno młodzieży jak i starszych założyła pierwszy chór. S. Kryspina wymieniła na tej placówce s. Marię Dobromiłę Wojtczak, która musiała opuścić Bieńczyce z powodu choroby.

W tym trudnym, pierwszym okresie, siostry czerpały siły z Eucharystii, w których chcąc uczestniczyć, musiały udać się każdego rana do klasztoru cystersów w Mogile, lub do parafialnego kościoła w Raciborowicach. Ludzie, którym służyły siostry także dodawali im otuchy, starali się o ich utrzymanie, a przede wszystkim budowali swoją pobożnością, licznie i chętnie garnąc się do małej kapliczki sióstr, mimo, że nie było w niej jeszcze Najświętszego Sakramentu.

W 1946 r. nastąpiła zmiana na stanowisku przełożonej w Bieńczycach, s. Hermenegildę zastąpiła s. Maria Mamerta Urban. Pochodziła ona z Gnina w Wielkopolsce. Była piątym dzieckiem, wśród dziesięciorga rodzeństwa. Do Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Dębickich wstąpiła w 1934 r. W ludzkiej pamięci odcisnęła się przede wszystkim życzliwością, serdecznością, ale i usłużnością i ofiarnością. W kontakcie z innymi odznaczała się radosnym usposobieniem. W czasach, w których nie było komunikacji między Bieńczycami a Krakowem, zapamiętano jej piesze wędrówki na krakowski Rynek i z powrotem, a zwłaszcza ciężkie torby, które dźwigała w drodze powrotnej w swych rękach.

W okresie pracy s. Mamerty w Bieńczycach, 21 marca 1947 r., kard. A.S. Sapieha erygował, czyli prawnie zatwierdził powstanie domu sióstr, a nieco później pozwolił na przechowywanie Najświętszego Sakramentu w kaplicy. Jednak zanim do tego doszło, siostry Mamerta i Kryspina udały się do Częstochowy i zakupiły figurę św. Józefa i powierzyły opiece tego świętego swój dom i pracę. Także wcześniej dzięki zebranym ofiarom siostry nabyły ołtarz do kaplicy, w okna wstawiły kraty, oraz wyposażyły kaplicę w puszkę, monstrancję i kustodię, a w domu macierzystym w Dębicy zamówiły szaty liturgiczne.

W nowo urządzonej kaplicy zaczęto na nowo w Bieńczycach odprawiać Msze św. i nabożeństwa. Tak jak przed wojną, przyjeżdżający na katechezę wikary z Raciborowic, dwa razy w tygodniu sprawował Najświętszą Ofiarę. Siostry pragnąc by Msza św. była odprawiana także w niedzielę, musiały o księdza się same starać, a to należało do zadań najtrudniejszych. W 1949 r. za namową ks. Bolesława Przybyszewskiego, ówczesnego kanclerza Kurii Metropolitalnej siostry zorganizowały procesję Bożego Ciała, poprowadził ją rektor Domu Księży Emerytów z Krakowa, ks. Michał Wojtusiak.

W 1950 r. siostry zaczęły prowadzić przedszkole Caritasu. Stawiane w nim, przez władze państwowe wymagania, wymusiły zmianę sióstr. S. Kryspinę zastąpiła mająca przygotowanie do pracy w przedszkolu s. Maria Urszulina Cichońska. Nowoprzybyła siostra pochodziła z Pomianowej (parafia Jasień) koło Brzeska, z licznej rodziny, miała pięciu braci i trzy siostry. Po ukończeniu Państwowego Seminarium dla Wychowawczyń Przedszkolnych w Rabce, w 1948 r. wstąpiła do klasztoru Sióstr Służebniczek w Dębicy. Przedszkole prowadzone przez s. Urszulinę, w budującej się już Nowej Hucie, cieszyło się ogromnym powodzeniem. Spośród 300 zgłoszeń siostry mogły przyjąć tylko 35 dzieci, ponieważ na więcej nie pozwalał brak pomieszczeń i wychowawców. Pomimo zapotrzebowania w 1955 r. władze państwowe zamknęły przedszkole.

Pierwszy okres pobytu w Bieńczycach sióstr i tworzonej przez nich wspólnoty zamyka rok 1952, kiedy dla coraz liczniej gromadzących się wokół bieńczyckiej kaplicy ludzi, abp Eugeniusz Baziak powołał 15 czerwca nową parafię i mianował ks. Stanisława Kościelnego pierwszym proboszczem. Nowy proboszcz zamieszkał przy kaplicy sióstr i rozpoczął starania o budowę nowego kościoła.

Wyście nas tu przyjęły

Erygowanie nowej parafii w Nowej Hucie – Bieńczycach w 1952 r. przypada na koniec czasów stalinowskich. Był to czas dla Polski i Kościoła w Polsce bardzo trudny. Uwięziono niektórych biskupów, w tym Prymasa Tysiąclecia – ks. kard. Stefana Wyszyńskiego. Ze szkół wyrzucono religię. W Krakowie po śmierci Księcia kard. A. S. Sapiehy władze komunistyczne aresztowały księży pracujących w Kurii Metropolitalnej i postawiły ich przed sądem. Nie chciały także zatwierdzić następcy Sapiehy na biskupstwie krakowskim. Początkowo diecezją kierował jako wikariusz kapitulny ks. bp Franciszek Jop (1952-1956), po nim abp Eugeniusz Baziak (1956-1962), a następnie abp kard. Karol Wojtyła (1962-1978).

W parafii bieńczyckiej pierwszym proboszczem mianowano ks. Stanisława Kościelnego. Zamieszkał on w dworku, u sióstr, obok kaplicy. Dlatego później ks. kard. Karol Wojtyła podkreślił, zwracając się do Sióstr Służebniczek Dębickich: „my wam zawdzięczamy w pewnej mierze, że w tym miejscu jesteśmy. Wyście nas tu przyjęły". Na cele parafialne siostry oddały prawie cały swój dom, a i tak warunki lokalowe nowej parafii były niezwykle trudne. Dotychczasowa kaplica sióstr, stała się kaplicą parafialną i bardzo szybko do niej dobudowano przybudówkę by pomieścić ciągle zwiększającą się liczbę wiernych. W deszczowe i zimowe dni otwierano dla parafian cały dom, pomieszczenia przedszkolne, a nawet małą kuchnię gdzie siostry gotowały obiad. W czasie pogody Msze św. odprawiano na zewnątrz kaplicy. Mieszkanie proboszcza służyło za kancelarię, salkę katechetyczną, zakrystię, a także za jadalnię dla pracujących tu księży. Księża wikarzy, których liczba także zaczęła się powiększać, korzystali z gościnności parafian i mieszkali w wynajętych przez nich pokojach. Dworek, który zamieszkiwały dotąd tylko siostry, stał się prawdziwym centrum nowopowstającej parafii.

W 1952 r. mianowano przełożoną bieńczyckiej wspólnoty siostrę Marię Gonzage Kubiak, którą po roku, w 1953 r., zastąpiła siostra Maria Imelda Małkiewicz. Obie były jednak słabego zdrowia i nie sprostały trudnym warunkom, w których rodziła się nowa parafia. W 1954 r. nową przełożoną została s. Maria Noemi Regulska, która tę funkcję pełniła przez sześć lat. Częste zmiany dotykały nie tylko przełożone wspólnoty zakonnej, ale także pozostałych sióstr. Stąd niewiele dzisiaj możemy powiedzieć o pracy w Bieńczycach S. Marii Duli Sucheckiej, S. Marii Brunony Głąb, czy S. Marii Otylii Dominik.

W tych trudnych latach najbardziej w ludzkiej pamięci odcisnęła się s. Maria Jowina Noga, która gotowała w kuchni dla księży, sióstr, a wczasach gdy działało przedszkole także dla dzieci. Najwięcej problemów w kuchni siostry miały z wodą, którą trzeba było przynieść ze studni, a przy tak dużej liczbie osób, dla których siostry gotowały, nie było to łatwe. Praca jak podkreślała w swej relacji s. Jowina, nie kończyła się po ośmiu godzinach. Gdy siostra zakończyła zajęcia w kuchni, brała potrzebne narzędzia, lekarstwa i szła do chorych. Pomoc pielęgniarską niosła mieszkańcom Bieńczyc i otaczających je wsi, zwłaszcza robiąc chorym zastrzyki. Pracy było więcej niż potrzebnych do niej rąk. Dlatego siostry musiały się dwoić i troić, by podołać wszystkiemu. Jednak, jak podkreślały, widząc te wielkie tłumy garnące się do kaplicy odczuwało się zadowolenie i radość.

Warto w tym miejscu dodać, że jednym ze źródeł utrzymania sióstr, w tamtych czasach w Bieńczycach, było chodzenie z opłatkami przed świętami Bożego Narodzenia. Ksiądz wcześniej ogłaszał, że siostry będą chodziły po wsi i roznosiły opłatki. Przy tej okazji, ludzie obdarowywali siostry darami w naturze: zbożem, kapustą, ziemniakami, nie rzadko również wówczas dawali wyraz swojemu zadowoleniu, że mają u siebie siostry

Uroczystością, która dawała wszystkim w tamtych latach najwięcej radości i pozwalała dostrzec sens ponoszonych trudów, była pasterka odprawiana w noc Bożego Narodzenia. Tysiące ludzi w ciszy, pod gołym niebem, stojący wokół ołtarza i śpiewana wówczas kolęda „Wśród nocnej ciszy…", to na wszystkich robiło niesamowite wrażenie. Od 1959 r. w tych nabożeństwach uczestniczył ks. bp Karol Wojtyła.

Matka Boża buduje kościół

Rosnąca bieńczycka parafia stawiała przed duszpasterzami nowe wymagania. Chcąc pomóc wiernym w uczestniczeniu w Eucharystii, w 1954 r. zwiększono ilości odprawianych Mszy św., zwłaszcza w każdą niedzielę i święta do ośmiu, a ks. Stanisław Kościelny rozpoczął starania o budowę kościoła. Nowa świątynia miała powstać bliżej centrum ówczesnej Nowej Huty na os. Teatralnym. Jednak ówczesne władze na to nie pozwoliły.

Walka o nową świątynię trwała wiele lat. W tym czasie zmienili się pracujący tu kapłani. Ks. Kościelnego zastąpił w 1959 r. ks. Mieczysław Satora, a w 1964 r. kierowanie parafią rozpoczął ks. Józef Gorzelany, któremu Opatrzność pozwoliła wybudować kościół – Arkę Pana.

Wpis do „Kroniki Domu Sióstr Służebniczek Dębickich w Bieńczycach" ukazuje ks. Józefa Gorzelanego jako człowieka mającego „głęboko zakotwiczone w sercu nabożeństwo do Matki Najświętszej" i pragnącego to przelać na wszystkich parafian. W tym celu ks. Józef udał się do Portugalii i „stamtąd z trudem przywiózł figurę Matki Boskiej Fatimskiej, którą umieścił na zewnętrznej stronie kaplicy nad ołtarzem, aby była dla wszystkich widoczna". Wprowadził także przy budującym się kościele nabożeństwa pokutne, na których gromadzili się wierni każdego trzynastego dnia miesiąca od maja do października. Na te nabożeństwa przybywali ludzie z parafii, okolic a nie raz i z dalekich stron Polski.

Maryja Królowa Polski została także wybrana na patronkę świątyni, którą w końcu władze państwowe zezwoliły wybudować. Nowa świątynia została wzniesiona obok dawnego dworku Sióstr Służebniczek Dębickich. Ks. Gorzelany całą sprawę budowy oddał w ręce Maryi i w swych przemówieniach często podkreślał „że Matka Boża

buduje ten kościół, a my Jej tylko pomagamy". Rozpoczęcie budowy kościoła nastąpiło w 1967 r. Wówczas parafianie nowohuccy – jak opisuje S. Alina Liszka – zebrali się gromadnie, wczesnym rankiem, z ks. kard. Wojtyłą na czele, by rozpocząć kopanie rowu pod fundament nowego kościoła. „Nigdy nie zapomnę chwili jak z rąk J. E. Ks. Kardynała, który pierwszy zaczął kopać, wędrował rydel do rąk kapłanów, sióstr i wszystkich zebranych parafian. Entuzjazm i radość ogarnęła wszystkich na wiadomość, że nareszcie rozpoczęła się budowa kościoła, na który czekali przeszło 20 lat". Po dziesięciu latach budowy, w 1977 r. ks. kard. Karol Wojtyła konsekrował nową świątynię.

W latach starań o pozwolenie na budowę nowego kościoła i w latach jego budowy funkcję przełożonej w bieńczyckiej wspólnocie Służebniczek Dębickich sprawowały S. Maria Fidelisa Noga (1960-1963 i 1966-1972), S. Maria Tycjana Mika (1963-1966) i S. Maria Maurylla Cierniak (1972-1978). W tej największej ówczesnej parafii w Polsce, siostry pracowały w zakrystii, w kuchni, w kancelarii, katechizowały tysiące dzieci i młodzieży, prowadziły grupy, opiekowały się chorymi. Trudno opisywać, jakie obowiązki, która siostra wykonywała, dlatego warto spróbować chociaż je wymienić: S. Maria Liboria Kaput, S. Maria Jlianna Onak, S. Maria Irmina Noga, S. Maria Cherubina Leszczyńska, S. Maria Alina Liszka, S. Maria Irena Herzyk, S. Maria Serwacja Breńska, S. Maria Gibas, S. Maria Bonifacja Kurtyka, S. M. Leonia Sobecka, S. Maria Juwentyna Franiszyn, S. Maria Teresa Kogut, S. Maria Tarsylia Połomska, S. Maria Gemma Bodziony.

Na koniec oddajmy głos jednej z sióstr, która pracowała w Bieńczycach w latach 1958-1962, S. Marii Gerwinie Stępień, by zobaczyć co siostrą pomagało wytrwać w tym trudnym okresie i co przynosiło owoce w ich życiu: „Panował wśród nas duch jedności i wspólnoty. Tutaj każda siostra czuła się jak u siebie w domu. Każda wiedziała, że jej praca jest potrzebna, że musi ją wykonać sumiennie. (...) Patrząc na ofiarną pracę Księży, na ich życie na codzień Bogiem, czerpałam dla siebie zachętę i wzór by pracować wytrwale służąc Bogu w bliźnich... Jestem wdzięczna Panu Bogu za to, że z woli przełożonych mogłam pracować na tej właśnie placówce i to właściwie w początkach mego życia zakonnego".

***

Historia to nie tylko czasy odległe, ale i niedaleka przeszłość, a nawet wczorajszy dzień. Dzieje parafii Bieńczyckiej nie skończyły się z budową kościoła, zmieniły się tylko sprawy, które stały się ważniejsze dla wspólnoty parafialnej. Już nie najważniejsze były cement, czy drut potrzebny do budowy kościoła, ale coraz bardziej na pierwszy plan przesuwała się troska o pogłębienie religijności parafian, czyli szeroko pojęte duszpasterstwo. Oprócz opieki sakramentalnej i katechezy coraz więcej czasu zaczęto poświęcać na formację młodzieży, dzieci, ale także starszych. W te nowe zadania od samego początku, oprócz księży, włączyły się także Siostry Służebniczki Dębickie z Bieńczyckiej wspólnoty.

Rosnąca parafia

Nowy czas i nowe wyzwania w historii Bieńczyc zaowocowały powstaniem nowego modelu wspólnoty parafialnej. Zorganizowano cztery niezależne rejony duszpasterskie z osobnymi zespołami księży, których liczba bardzo się zwiększyła. Każdy rejon duszpasterski z czasem rozpoczął budowę swojego kościoła i z biegiem lat się usamodzielniał, stając się niezależną parafią. Siostry Służebniczki Dębickie mieszkając przy nowym kościele zaangażowały się w pracę duszpasterską wszystkich rejonów. Rosnące zaś potrzeby sprawiły, że także ilość sióstr zaczęła wzrastać, a z czasem powstał osobny ich dom przy parafii św. Józefa na os. Kalinowym.

W 1978 przełożoną rosnącej wspólnoty sióstr w Bieńczycach została s. Maria Daria Kozińska i pełniła tę funkcję do 1984 r. Siostra Daria pochodziła z Pietrzejowej, parafia Witkowice (diecezja Rzeszowska). Po ukończeniu studiów w KUL-u, przez wiele lat była katechetką, także w Bieńczycach, jak również mistrzynią postulatu, gdzie opiekowała się dziewczętami wstępującymi do zgromadzenia. W latach gdy pełniła funkcję przełożonej w Bieńczycach, wspólnota powiększyła się do piętnastu sióstr. Wśród nich było siedem katechetek, trzy pracowały w kancelarii parafialnej, także trzy były kucharkami, jedna w zakrystii i jedna z sióstr organizowała duszpasterstwo charytatywne.

Kolejnymi przełożonymi były: s. Maria Otylia Dominik (1984-1993) – pracowała w Bieńczycach piętnaście lat, zaangażowana była w katechizację dzieci (uczyła około 490 dzieci); s. Maria Eligiusza Flejszer (1993-1994) – pracował w Bieńczycach osiem lat, prowadziła zespół charytatywny (liczył 26 osób), który opiekował się 215 chorymi; s. Maria Paula Gniadek (1994-2001) – katechizowała w szkole i przedszkolach w nowo powstającej parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa i s. Maria Teofila Potoniec (2001-2004) – katechizowała w Szkole Podstawowej nr 101 i w przedszkolach, prowadziła także koło misyjne dzieci. Przez ostatnie trzydzieści lat w Bieńczycach, wraz z siostrami przełożonymi, pracowały aż 73 siostry ze zgromadzenia Sióstr Służebniczek Dębickich.

Stworzyłeś mnie Boże dla Siebie

Spośród tej całej rzeszy córek bł. Edmunda Bojanowskiego, tą która najbardziej odcisnęła piętno na bieńczyckiej parafii była s. Maria Maurylla Cierniak. Pochodziła z Wielkopolski, ze Strzałkowa koło Września, gdzie urodziła się 29 września 1925 r. Jej ojciec – Leon był szewcem, a mama – Franciszka z Czaszewiczów zajmowała się sześciorgiem dzieci i domem. Łucja, bo takie imię nosiła przed wstąpieniem do zakonu, ukończyła szkołę powszechną w Nowym Dworze. Od wczesnych lat, na ile tylko potrafiła, angażowała się w życie religijne. Po przyjęciu I komunii świętej w parafialnym kościele w Jaktorowie wstąpiła do Żywego Różańca, w którym została zelatorką założonej przez siebie Róży Różańcowej. Później przystąpiła również do Krucjaty Eucharystycznej.

Jak wspominała po latach, zakonnicą zapragnęła zostać po przeczytaniu „Dziejów duszy" św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Niestety wybuch wojny pokrzyżował jej plany. Trudne lata okupacji przeżyła w rodzinnej parafii, pracując w majątku jednego z zamożnych gospodarzy. W tym okresie doświadczyła czym jest brak kościoła i możliwości uczestniczenia we Mszy św. Okupant pozamykał świątynie, zabronił odprawiać Msze święte, a księży w dużej części wywiózł do obozów koncentracyjnych. Jedynym pokarmem duchowym, którym w tych trudnych latach się karmiła, były książki religijne.

Zniszczenia wojenne i pookupacyjna bieda były kolejnymi przeszkodami, które utrudniały Łucji realizację jej powołania. Do klasztoru zgłosiła się 22 kwietnia 1948 r. i po krótkiej próbie została przyjęta do postulatu, a następnie nowicjatu. Wówczas także pisząc swój życiorys, na jego zakończenie, za św. Augustynem napisała: „Stworzyłeś mnie Boże dla Siebie. Niespokojne jest serce moje, dopóki nie spocznie w Tobie, o Boże!". Te słowa stanowiły motto całego jej życia.

Po ukończeniu nowicjatu s. Maurylla pracowała najpierw w Dębicy w domu generalnym (w pracowni hafciarskiej), a później w Krakowie na ul. Biskupiej, gdzie pełniła funkcję przełożonej. W 1970 r. została skierowana przez władze zakonne do Nowej Huty, gdzie pozostała do końca swego życia. Od początku zajmowała się kancelarią parafialną, zwłaszcza sprawami administracyjno-budowlanymi, sprawami związanymi z budową kościoła, rachunkami, korespondencją. Z biegiem lat, dodatkowo, cały swój wolny czas zaczęła poświęcać na pracę z dziećmi i młodzieżą. Prowadziła 6 grup Oazy Dzieci Bożych, w których spotkaniach uczestniczyło ponad 100 dzieci z klas od IV do VI i 11 grup Oazy Nowego Życia, które swą formacją obejmowały kolejnych 120 młodych osób z klas VII i VIII, oraz ze szkół średnich. Z dziećmi i młodzieżą organizowała inscenizacje religijne, jasełka, misteria Męki Pańskiej, a także ogniska, kuligi, kilkudniowe wyjazdy. Wraz z młodzieżą uczestniczyła w procesjach ku czci św. Stanisława z Wawelu na Skałkę i w procesjach Bożego Ciała. Zorganizowała grupę młodzieżową, która opiekowała się chorymi na wózkach inwalidzkich, pomagała im uczestniczyć w procesjach i nabożeństwach fatimskich. „Była zawsze otoczona młodzieżą i dziećmi, dla których miała czas i otwarte serce" – tak wspomina s. Mauryllę jedna z osób należących do prowadzonej przez nią oazy. W tych grupie zrodziły się powołania kapłańskie (min. Jerzego i Andrzeja Bukalskich, Stanisława Wanata, Jerzego Zięby – zmartwychwstańca, Mieczysława Markowicza, Tadeusz Cichonia, Jana Szczepaniaka, Zbigniewa Nowaka, Bogdana Mosura i Krzysztof Kozioła) i szereg powołań zakonnych, a wśród nich 11 do Sióstr Służebniczek Dębickich: s. M. Lilianny Jamki, s. M. Eleny Kozioł, s. M. Ludmiły Błażejewskiej, s. M. Kamiliany Jamki, s. M. Wiktorii Korzeń, s. M. Tycjany Nawrockiej, s. M. Edmundiany Zymród, s. M. Helidoni Murzyn, s. M. Renaty Borodziuk, s. M. Ewy Kitlińskiej, s. M. Iwony Śliwińskiej (w latach późniejszych do Sióstr Służebniczek Dębickich wstąpiły jeszcze s. M. Małgorzata Łatka i s. M. Lucyna Wąs).

Na ostatnie lata życia s. Maurylla otrzymała od Boga, „który stworzył ją dla Siebie", jeszcze jedno zadanie, dźwiganie krzyża choroby. Jak mówiła do odwiedzających ją w szpitalu „przyszedł Chrystus Ukrzyżowany, trzeba Mu się poddać". I poddała się Bogu bez reszty przyjmując chorobę i cierpienia. A Pan Bóg, na koniec, spełnił jeszcze jedno jej pragnienie, pozwolił jej odejść z tego świata w święto Matki Bożej Anielskiej.

Dzisiejsza wspólnota

Na zakończenie chcemy przedstawić dzisiejszą Wspólnotę Sióstr Służebniczek Bogurodzicy Dziewicy Niepokalanie Poczętej – Służebniczek Dębickich, które dalej kontynuują historię sióstr w Nowej Hucie-Bieńczycach:

s. M. Ligia – Lucyna Wlezień – przełożona domu, pracuje jako pielęgniarka na oddziale hematologii w WSS im. Rydygiera. Pochodzi z parafii p.w. św. Michała w Witkowicach, w diecezji rzeszowskiej.

s. M. Floriana – Ewa Ważna – emerytowana pielęgniarka, opiekuje się s. Irminą. Pochodzi z parafii p.w. Nawiedzenia NMP w Brusnie Nowym, w diecezji zamojsko – lubaczowskiej.

s. M. Irmina – Bronisława Noga – emerytka, pochodzi z parafii p.w. Nawiedzenia NMP w Zaborowie, w diecezji tarnowskiej.

s. M. Irena – Maria Herzyk – emerytka, pracowała jako katechetka, obecnie pomaga w nauce dzieciom uczęszczającym na świetlicę parafialną i katechizuje dzieci niepełnosprawne.

Pochodzi z parafii p.w. św. Jana Chrzciciela w Brennej, w diecezji bielsko-żywieckiej.

s. M. Ermina – Władysława Podlecka – opiekuje się chorymi i biednymi w parafii, prowadzi świetlicę parafialną dla dzieci. Pochodzi z parafii p.w. św. Katarzyny w Braniewie, w diecezji olsztyńskiej.

s. M. Eligia – Maria Rudnicka – pracuje jako pielęgniarka na oddziale hematologii w WSS im. Rydygiera. Pochodzi z parafii p.w. Jezusa Chrystusa Odkupiciela w Czechowicach-Dziedzicach, w diecezji bielsko-żywieckiej.

s. M. Giovanna – Małgorzata Wiśniowska – katechetka, pracuje w Szkoła Podstawowa nr 101, w Przedszkolu Samorządowym nr 113 i nr 116, prowadzi także Koło Misyjne PDMD. Pochodzi z parafii św. Trójcy w Łęgu Tarnowskim, w diecezji tarnowskiej.

s. M. Benigna – Jolanta Heller – pracuje jako kucharka na plebani. Pochodzi z parafii św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Koźminie Wielkopolskim, w diecezji kaliskiej.

s. M. Rachela – Barbara Miałszygrosz – katechetka w parafii NSPJ. Pochodzi z parafii Jurków k. Limanowej, w diecezji tarnowskiej.

s. M. Alicja Elżbieta Zielińska – katechetka, pracuje w Szkole Podstawowej nr 86, w Przedszkolu Samorządowym nr 142 i nr 152, prowadzi scholę „Fatimskie Promyki" i Zespół „Lumen". Pochodzi z parafii p.w. MB Królowej Polski w Lublinie, w diecezji lubelskiej.

s. M Dąbrówka Bycio – zakrystianka. Pochodzi z parafii p.w. Św. Jadwigi w Sokołowcu, w diecezji legnickiej.

s. M. Izabela Stępa – pracuje w kancelarii parafialnej p.w. św. Wojciecha w Bnimie, w diecezji poznańskiej.

Ks. Adam Trzaska



Siostry Służebniczki wraz z księdzem i dziećmi przed „Dworkiem" w Bieńczycach, gdzie mieściła się ochronka, lata 40-50. XX w.



Budowniczy Arki Pana

Ks. Józef Gorzelany urodził się w roku 1916 w Krakowie. Święcenia kapłańskie przyjął w czasie II wojny światowej, w roku 1940. Pracował jako wikary w Liszkach, a później w Wieliczce. W roku 1949 został ekspozytem tworzącej się parafii w Filipowicach w ówczesnym dekanacie nowogórskim (powiat chrzanowski). Tam wybudował kościół, a po utworzeniu w roku 1952 parafii został jej pierwszym administratorem. Nowy filipowicki kościół konsekrowano w roku 1953. Młody wówczas ks. Gorzelany nie należał do krytyków nowego ustroju. Więcej, by działaczem Zarządu Wojewódzkiego „Caritas", odebranego w roku 1951 Kościołowi. Wśród duchowieństwa miał opinię „księdza patrioty". Siłą faktu w krakowskiej Kurii traktowany był z nieufnością i pewnym dystansem, chociaż pracując w Filipowicach udowodnił, że jest sprawnym budowniczym i organizatorem życia parafialnego. Jednak prawdziwa przygoda jego życia dopiero miała nadejść. I była związana z budującą się pod Krakowem Nową Hutą.

Po przełomie polskiego października, władze komunistyczne zgodziły się na budowę kościoła w Nowej Hucie. Wyznaczono nawet plac, na którym miała stanąć świątynia. 17 marca 1957 roku arcybiskup Eugeniusz Baziak, w asyście duchowieństwa i tysięcy mieszkańców uroczyście poświęcił plac u zbiegu ówczesnych ulic Marksa i Majakowskiego, nieopodal teatru, , na którym planowano budowę kościoła. Wtedy też wkopano przyniesiona na ramionach krzyż. Gdy władze wycofały się z udzielonej wcześniej zgody i podjęły próbę usunięcia krzyża, w Nowej Hucie 27 kwietnia 1960 roku doszło do walk, które objęły całą dzielnicę. Krzyż został uratowany, ale bieńczycka parafia, po usunięcia ks. Mieczysława Satory z funkcji proboszcza, przez cztery lata nie miała swojego duszpasterza. Trwał impas, bo kandydaci wskazywani przez Kurię byli odrzucani przez komunistyczny Wydział ds. Wyznań, natomiast ci, na których władza zgodziłaby się chętnie, byli nie do zaakceptowania przez Kościół.

Decyzja arcybiskupa Wojtyły

Biskup Wojtyła zapewne doskonale zdawał sobie sprawę, że jedyną szansą na budowę kościoła w Nowej Hucie jest sugerowany przez władze komunistyczne kompromis, sprowadzający się do akceptacji przez hierarchię zmiany pierwotnej lokalizacji świątyni i mianowanie administratorem w Bieńczycach księdza wiarygodnego dla rządzącej krajem partii. Mógł też domniemywać, że partyjno-państwowe władze nie będą zbytnio utrudniać pracy takiemu księdzu, a sam duchowny będzie się starał jak najlepiej wywiązywać z przyjętych na siebie zobowiązań, by ostatecznie nie skompromitować „postępowego" duchowieństwa. I wtedy wybór padł na ks. Józefa Gorzelanego. Do spotkania z biskupem Wojtyłą doszło w lipcu 1963 roku. W trakcie rozmowy, biskup zaproponował mu objęcie parafii w Bieńczycach. Ksiądz Gorzelany, bo wielu wahaniach, zgodził się objąć nową parafię. Decyzja młodego biskupa wywołała konsternację wśród starszych kurialistów, którzy uważali, że Wojtyła poszedł na zbyt daleko idące ustępstwo wobec władz, a mianowanie księdza „caritasowca" i tak nie doprowadzi do uzyskania zgody na budowę kościoła. Dopiero przyszłość miała pokazać jak celną i owocną dla Nowej Huty była decyzja biskupa, który 18 stycznia 1964 roku mianowany został arcybiskupem metropolitą krakowskim.

Ksiądz Gorzelany w Bieńczycach

Oficjalny dokument z nominacją ks. Józefa Gorzelanego nosi datę 1 marca 1965 roku, ale wydany został przez Kurię pół roku wcześniej, bo 10 września 1964 roku. Przyjęcie nominacji przez ks. Gorzelanego stało się przełomem – zarówno w staraniach o budowę nowego kościoła, jak w życiu samego proboszcza. O pierwszym spotkaniu z Nową Hutą ks. Gorzelany pisał w swojej książce „Gdy nadszedł czas budowy Arki": Zabrałem ze sobą figurę Matki Boskiej, którą niedługo przedtem przywiozłem z Fatimy, bo pomyślałem sobie, że bez Matki Boskiej nic nie zdziałam. Wyjeżdżając do Nowej Huty – sam nie wiem dlaczego – objechałem z tą Matką Bożą granice parafii. Bywając co kilka dni u ks. Arcybiskupa Karola Wojtyły wyraziłem pragnienie wprowadzenia do życia parafii pokutnego nabożeństwa fatimskiego. Ks. Arcybiskup zgodził się, a gdy innym razem zapytał mnie, pod jakim wezwaniem będzie przyszły kościół, bez wahania odparłem: pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Polski. Pokutne nabożeństwa fatimskie były odtąd odprawiane każdego 13 dni miesiąca, od maja do października. Bardzo szybko stały się bardzo popularne, nie tylko wśród parafian Bieńczyc.

Budowanie Arki Pana

Bardzo szybko budowa nowego kościoła stała się sprawą, dla której ks. Gorzelany poświęcił wiele lat swojego życia. Bardzo chciał postawić nową świątynię. Taką na miarę Nowej Huty. Początkowo uzyskał zgodę na rozbudowę istniejącej niewielkiej kaplicy i budowę plebanii. Wstępna zgoda Wydziału Budownictwa, Urbanistyki i Architektury Prezydium Rady Narodowej w Krakowie nadeszła 13 września 1965 r. W czasie, gdy załatwiano pierwsze formalności związane z przyszłą budową, gotowy był już wstępny projekt nowego kościoła autorstwa młodego architekta Wojciecha Pietrzyka. Ksiądz Gorzelany prowadził swoją grę z władzą komunistyczną. Z jednej strony na kościelnej tablicy ogłoszeń wywieszał apel o udział w wyborach, z drugiej organizował szeroko zakrojoną zbiórkę pieniędzy – wśród Polaków w kraju, i wśród Polonii za granicą. 11 grudnia 1965 roku ks. Gorzelany pojechał do Watykanu, gdzie na specjalnej audiencji został przyjęty przez papieża Pawła VI, który wręczył mu kamień węgielny wyjęty z Bazyliki Konstantyna, mówiąc po polsku: Zabierz ten kamień ze sobą do Polski, niech będzie on kamieniem węgielnym, na którym stanie kościół Królowej Polski w Nowej Hucie. Papież przekazał wtedy również dar pieniężny na budowę świątyni. Twarda waluta była niezbędna, gdyż władze państwowe zabraniały polskim przedsiębiorstwom sprzedaży materiałów budowlanych na cele kościelne. Na nowohucką Arkę kupowano więc cement i stal za waluty wymienialne. Tymczasem dla ks. Gorzelanego rozpoczął się czas kłopotów: wezwania na milicję, wezwania do prokuratury, splądrowanie biura projektowego i kradzież planów budowy kościoła (na szczęście był drugi komplet dokumentacji), odmowa przyjazdu umówionego wcześniej dźwigu z „Elektromontażu"... Pomimo mnożonych przez władze przeszkód mury Arki rosły, aż nadszedł wyjątkowy dla ks. Gorzelanego dzień 15 maja 1977 roku – dzień konsekracji bieńczyckiego kościoła. Zapewne czuł się szczęśliwy. Nie dlatego, że na uroczystości konsekracji było tylu znakomitych gości. Dlatego, że wybudował kościół. Na miarę Nowej Huty.

W przededniu wolnej Polski

Piękną kartę zapisał ks. Gorzelany na polu chrześcijańskiego miłosierdzia. Był orędownikiem i dobrym duchem idei hospicyjnej. To dzięki jego pomocy udało się doprowadzić do budowy nowohuckiego Hospicjum św. Łazarza. Po koniec lat siedemdziesiątych wspierał działaczy Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy, pierwszej grupy opozycyjnej działającej na terenie Nowej Huty. W sierpniu 1980 roku, gdy na Wybrzeżu trwały strajki, zezwolił pięciu działaczom opozycji na zorganizowanie w Arce głodówki solidarnościowej, która miała budzić nowohuckie społeczeństwo. Po wprowadzeniu stanu wojennego był wśród innych kapłanów w Hucie im. Lenina, gdzie odprawiał dla strajkujących Msze św. Proboszczem w Bieńczycach był do roku 1986. Później został proboszczem honorowym. Nowej Hucie pozostawił kult Matki Boskiej Fatimskiej, Arkę Pana i Hospicjum św. Łazarza.

Jan L. Franczyk



Przed kaplicą w Bieńczycach, maj 1969 r.

Mieć swój kościół

Pod koniec kwietnia 1960 roku w Nowej Hucie rozegrały się dramatyczne wydarzenia – znane pod nazwą obrony Krzyża. Tamto nowohuckie *non possumus* zapisało własną kartę w kalendarium buntów polskiego społeczeństwa przeciw nadużyciom totalitarnej władzy. Niniejszy tekst stanowi krótką rekonstrukcję faktów związanych z tymi wydarzeniami, będącymi w PRL tematem zakazanym w legalnych publikacjach.

Już w pierwszych latach budowy Nowej Huty mieszkańcy tego – z założenia ateistycznego – miasta wielokrotnie zwracali się do Kurii Metropolitalnej w Krakowie z prośbą o utworzenie parafii i pomoc w staraniach o kościół. W 1952 r. liczba stałych mieszkańców Nowej Huty wynosiła 20 tysięcy, a w roku 1960 – już 100 tysięcy.

W czerwcu 1952 r. arcybiskup Eugeniusz Baziak wydał dekret ustanawiający parafię Nowa Huta – Bieńczyce, obejmującą nowo powstające centralne osiedla, gdzie nie było żadnego kościoła. Parafia posiadała jedynie kaplicę, mogącą pomieścić ok. 150 osób. Do jej zewnętrznej ściany przystawiono ołtarz polowy, kościołem był plac. Przez kolejne 4 lata ponawiano prośby o zgodę władz miejskich na budowę kościoła. Szef krakowskiego wydziału wyznań zapewniał: „Kościoła w Nowej Hucie nie będzie". Aresztowanie prymasa Stefana Wyszyńskiego odebrało wiernym resztki nadziei.

Nadszedł przełomowy rok 1956. Parafianie nowohuccy i ich duszpasterze podejmują na nowo starania o kościół. Reaktywowany „Tygodnik Powszechny" zamieszcza artykuł popierający ich żądania. 27 listopada wyjechała do Warszawy 12 – osobowa delegacja nowohuckich robotników. Po rozmowach z Władysławem Gomułką i w Urzędzie ds. Wyznań przywieźli radosną nowinę: jest zgoda!

W styczniu 1957 r. zawiązał się Komitet Budowy Kościoła (zarejestrowany jako stowarzyszenie zrzeszające ponad 10 tys. członków). Urzędy odpowiadały w każdej sprawie pozytywnie i szybko. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej już 14 lutego zawiadomiło Komitet, iż „wyraża zgodę na budowę kościoła rzymskokatolickiego parafialnego na terenie położonym w Krakowie, dzielnica Nowa Huta, między ulicami Majakowskiego i Marksa a budynkiem teatru".

17 marca 1957 r. w obecności tłumów wiernych z Nowej Huty i Krakowa arcybiskup E. Baziak poświęcił plac i krzyż. Uroczystość tę poprzedziła imponująca procesja na trasie z kaplicy do placu (odległość jednego kilometra) z udziałem grup w strojach regionalnych i orkiestry Huty im. Lenina. Polskie Radio zradiofonizowało teren i nagrało przebieg uroczystości, nadany później w audycji „Kraj" wraz z komentarzem o wolności Kościoła w PRL. We wszystkich kościołach archidiecezji odczytana została specjalna odezwa Arcybiskupa, wzywająca wiernych w całej Polsce do wspomagania dzieła budowy świątyni w Nowej Hucie.

W czerwcu 1958 r. wykonano pierwsze wykopy pod fundamenty kościoła. I na tym jego budowa utknęła. Skończył się bowiem niewiele ponad rok trwający okres przychylności władz dla sprawy budowy świątyni w „pierwszym socjalistycznym mieście" Polski Ludowej. W kwietniu 1959 r. przewodniczący Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa, Wiktor Boniecki, zawiadamia Kurię Metropolitalną, że „sprawa ta została zawieszona". Odtąd urzędy wyraźnie lekceważą stronę kościelną. Wykrętnie albo wcale nie odpowiadają na petycje, skargi i memoriały. Najpierw wojewódzki Urząd ds. Wyznań wystąpił przeciwko zaprojektowanym w podziemiach kościoła pomieszczeniom kulturalno-katechetycznym. Autorom projektu zarzucono, że „chcieli tylko zarobić i upiec pieczeń polityczną". Z kolei tenże urząd uzależnił zgodę na „odwieszenie" sprawy budowy kościoła od odwołania proboszcza – księdza Stanisława Kościelnego. Chcąc wszelkimi dostępnymi sposobami ratować zagrożoną budowę świątyni, Kuria dokonała zmiany na stanowisku proboszcza. Nic to jednak nie pomogło. Uchwałą z 14 października 1959 r. Prezydium Rady Narodowej m. Krakowa uchyliło decyzję o lokalizacji kościoła, argumentując, iż plac stanowi własność państwa i zostanie tam zbudowana szkoła. W lutym 1960 r. Urząd Spraw Wewnętrznych Prezydium WRN rozwiązał Komitet Budowy Kościoła. Zdeponowane w banku pieniądze Komitetu oraz zgromadzone materiały budowlane decyzją tegoż urzędu zostały przekazane do dyspozycji Funduszu Budowy Szkół.

19 kwietnia 1960 r. nowy proboszcz, ks. Mieczysław Satora, otrzymał z Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych pismo z żądaniem usunięcia z placu krzyża „w nieprzekraczalnym terminie 26 kwietnia". W przeciwnym razie – pisał dyrektor Bogumił Korombel – krzyż zostanie usunięty „na koszt i ryzyko parafii". „Usuniemy go sami i najwyżej parę babek pokrzyczy" – zapowiedział kilka dni wcześniej kierownik Wydziału Wyznań, gdy proboszcz odmówił usunięcia krzyża przed rozstrzygnięciem odwołania, wniesionego przez Kurię Metropolitalną do Urzędu Rady Ministrów lub przed wyznaczeniem innego placu na budowę kościoła. 27 kwietnia rano zjawiło się na placu 4 mężczyzn, wyraźnie nietrzeźwych, „wyglądających na robotników". Zaczęli kopać wokół

krzyża, przy którym gromadziło się już coraz więcej ludzi. Perswazją usiłowano odwieść robotników od tej akcji; padły okrzyki: „świętokradcy, zostawcie krzyż!". Kiedy robotnicy przechylili krzyż, aby go wydobyć z ziemi, napierający tłum przepędził ich i osadził krzyż z powrotem. Ludzie głośno modlili się i śpiewali pieśni religijne, a wokół krzyża przybywało kwiatów i płonących świec. Nieliczni wtedy jeszcze funkcjonariusze MO i SB nawoływali do rozejścia się, grozili konsekwencjami. Ściągnięte wkrótce posiłki milicyjne próbowały rozpędzić pałkami gromadzących się ludzi. Atakowani odpowiedzieli gwizdami i okrzykami: „My chcemy Boga", „Precz z komunizmem". Doszło do pierwszych potyczek z milicją.

Około południa Nowa Huta została zamknięta, otaczały ją gęsto posterunki milicji. Informacje, że „coś się dzieje w Nowej Hucie", przekazali krakowianom tramwajarze. W godzinach popołudniowych utarczki i potyczki przerodziły się w zacięte starcia. Walki trwały do późna w nocy i objęły w szczególności tereny wokół budynku Prezydium Dzielnicowej Rady Narodowej, obszar placu Centralnego, okolice krzyża oraz łączące te miejsca ulice i skrzyżowania.

O zmierzchu i nocą nadciągały do Nowej Huty z różnych stron południowej Polski (m.in. z Katowic, Kielc, Radomia) sznury milicyjnych samochodów ciężarowych i opancerzonych. Do złamania oporu protestujących mieszkańców Nowej Huty oddziały specjalne użyły petard, granatów z gazem łzawiącym, armatek wodnych, a także psów. Bezwzględność milicji, widok bitych, jęki rannych wzmagały determinację zrozpaczonych i oszukanych ludzi, porywały na ulice dotąd obojętnych lub nie zorientowanych obserwatorów. Z relacji świadka zajść: „Około godziny 19.00 przechodziłem koło »Arkadii«. Widzę, że od strony Krakowa maszeruje uzbrojony kordon milicji z pałami. Leją, kogo popadnie: winny-niewinny. Gdy zobaczyłem, jak pałują kobietę z dzieckiem na ręku, i to dziecko wypadło na ziemię – to mnie poderwało! No, co stoicie – krzyczę do dwóch chłopaków z Czerwonych Beretów – nie widzicie co te sk...syny robią?! Poderwało i tych wojaków..."

O godzinie 21.00 w całej dzielnicy nastała ciemność, wyłączono prąd. Tylko spod bronionego krzyża biła łuna od niezliczonych świec. Pod odsłoną ciemności milicja, ORMO i tzw. milicja robotnicza przygotowywały się do ostatecznej pacyfikacji Nowej Huty. O godzinie 22 ponownie włączono prąd. Milicja ruszyła do ataku. Najpierw rozprawiła się z głównym tłumem zebranym teraz wokół krzyża. „Ostatni obrońcy krzyża, trzymający się go kurczowo, są przemocą odrywani i bici po palcach tak długo, aż przestają je czuć." W nocy funkcjonariusze MO i SB przeszukiwali mieszkania, głównie hotele robotnicze, wyłapując podejrzanych o udział w zamieszkach. Następnego dnia, 28 kwietnia, ludzie znowu gromadzili się przy krzyżu. Rozpędzani, uparcie tam powracali, „modląc się i płacząc od wciąż unoszącego się gazu". W mieście opór stopniowo wygasał. Przez cały dzień trwały aresztowania. Z relacji innego świadka: „Rano 28 kwietnia widziałem skutych kajdankami mężczyzn, prowadzonych do Ruszczy przez pracowników MO. Pochód ten otaczała sfora psów..." 30 kwietnia wyruszyła z Krakowa w kierunku Nowej Huty około 200-osobowa grupa studentów. Na ulicy Mogilskiej pochód rozpędzono pałkami.

Do 1 maja zostały usunięte wszelkie ślady walki. Według oficjalnych danych zatrzymano ponad 500 osób, tymczasowy areszt zastosowano wobec 113, sąd skazał 87 osób na kary więzienia od 6 miesięcy do 5 lat. Kolegia orzekające skazały 119 osób na kary grzywny, a 4 osoby – na kary aresztu. I znów oficjalne dane: 181 poturbowanych funkcjonariuszy MO i SB, w tym 15 ciężko rannych. Trudno ustalić liczbę poszkodowanych mieszkańców Nowej Huty. Źródła oficjalne mówią, że w szpitalach opatrzono 23 rannych. Wiadomo jednak, że wielu rannych nie zgłosiło się do uspołecznionych placówek służby zdrowia z obawy przed oskarżeniem o udział w zajściach. Prasa krakowska podawała enigmatyczne informacje, że w ostatnich dniach kwietnia pogotowie ratunkowe udzieliło pomocy wielu osobom pogryzionym przez psy.

Przez cały maj wyszukiwano „winnych" z pomocą m.in. filmów i zdjęć. W czasie walk ulicznych wielu naiwnych uwierzyło, że ekipa filmowa w battle-dressach to „telewizja amerykańska". Najłagodniejszą formą represji były zwolnienia z pracy. Objęły nie tylko zatrzymanych, lecz nawet wielu tych, których w rejonach walk wylegitymowały patrole milicyjne. Po tych wydarzeniach przez pół roku w prasie polskiej ukazywały się ogłoszenia w sprawie naboru pracowników do nowohuckiego kombinatu.

15 maja zorganizowano w Nowej Hucie „wesołą niedzielę" z okazji „Dnia Hutnika", który tego roku obchodzono wyjątkowo hucznie. Zjechało wielu czołowych dygnitarzy partyjno-rządowych, m.in. Gomułka, Kliszko, Jaroszewicz; wśród gości zagranicznych obecny był wicepremier Chin. Podczas oficjalnej akademii Gomułka powiedział: „W tym mieście dominuje coraz silniej świadomość wielkoprzemysłowych, zdyscyplinowanych, oddanych sprawie socjalizmu robotników. I to jest decydujące dla oblicza Nowej Huty, a nie pozostałe jeszcze resztki antyspołecznych szumowin, które niedawno dały o sobie znać w gorszących, chuligańskich ekscesach. Załoga Huty im. Lenina słusznie potępiła haniebne wyczyny chuliganów podszczutych przez klerykałów i wystąpiła w obronie porządku publicznego w swym mieście. Pora doprowadzić do końca pracę nad zapewnieniem wzorowego ładu

w Nowej Hucie i usunąć poza obręb miasta awanturników i darmozjadów, niczym nie związanych ani z pracą w Hucie Lenina, ani też z funkcjonowaniem gospodarki komunalnej czy rozmaitych usług dla ludności".

„Gazeta Krakowska" z 30 kwietnia w artykule „Przestroga dla wichrzycieli" pisała: „Reakcyjne elementy klerykalne (...) usiłują wnieść w tradycję i oblicze miasta średniowieczne elementy fanatyzmu i obskurantyzmu (...) Brak należytego i energicznego przeciwdziałania władz wykorzystały chuligańskie i kryminalne elementy dla burd i awantur (...) Robotnicy Nowej Huty czynnie dali wyraz swemu oburzeniu, wysyłając na miasto grupy robotniczej milicji".

W sierpniu i wrześniu 1960 r. Urząd Spraw Wewnętrznych WRN w Krakowie rozwiązał szereg stowarzyszeń religijno-społecznych: Arcybractwo Miłosierdzia i Banku Pobożnego, Towarzystwo Naukowego Instytutu Katolickiego w Krakowie, Koło Prelegentów przy Referacie Duszpasterskim w Kurii Metropolitalnej, Komitet Budowy Kościoła w Bronowicach Małych oraz działające w archidiecezji filie Krucjaty Wstrzemięźliwości, założonej 1958 r. przez księdza Blachnickiego. Funkcjonariusze Wydziału Wyznań przeprowadzili kontrole bibliotek w seminariach duchownych, konfiskując część wydawnictw. Przez pięć lat władze nie wyrażały zgody na mianowanie nowego proboszcza w parafii bieńczyckiej (po wymuszonym – już powtórnie – odwołaniu dotychczasowego). Księżom pracującym w Nowej Hucie uniemożliwiano uzyskanie stałego zameldowania („obywatel ksiądz nie jest przydatny w gospodarce na terenie tego miasta").

Trzy lata po tych wydarzeniach publicysta „Życia Literackiego" tak uzasadniał cofnięcie pozwolenia na budowę kościoła w Nowej Hucie: „Istotnie, przed laty, zgodzono się na ufundowanie kościoła w Dzielnicy, lokalizacja jego okazała się jednak błędna. U zbiegu ulic Marksa i Majakowskiego obok Teatru Ludowego?... Architekt dał projekt monumentalny: dwa wysokie, skośne ostrosłupy – ich cień padałby na całą Dzielnicę. Budowano ją dla ludzi, nie dla Boga. Budowano na miarę ludzkich możliwości. Budowano nie we »wszechświecie«, lecz na określonym obszarze ziemi należącej do państwa, w ścisłym czasie historycznym. Cień skośnych ostrosłupów nie powinien padać na aleje mrowiące się skrzętnym tłumem. Powinna tu stanąć szkoła-siedlisko ludzkiej wiedzy i rozumu. Taka jest wola państwa, gospodarza na swojej ziemi. Wola wyrażona prawem, obowiązującą uchwałą... Zgoda na lokalizację z roku 1957 była nonsensem, dziwolągiem, ideologiczną sprzecznością" (Jerzy Lovell: „Twarz ziemi", „Życie Literackie" nr.2/1963; utwór nagrodzony w konkursie Rady Narodowej m. Krakowa).

Krzyż – symbol przyszłego kościoła – pozostał na swoim miejscu. Przez siedem lat ciągnęły się dalej uparte starania o własną świątynię dla największej w Europie parafii (liczącej wtedy blisko 100 tys. wiernych). Szczególne znaczenie dla urzeczywistnienia tych dążeń i pragnień miał fakt mianowania przez władze kościelne na stanowisko proboszcza tej parafii księdza Józefa Gorzelanego. Mogło to nastąpić dopiero w 1965 r., wskutek bowiem szykan administracyjnych przez 5 lat parafia nie miała proboszcza.

To właśnie ks. J. Gorzelany, wspierany autorytetem i czynną troską arcybiskupa Karola Wojtyły, doprowadził do szczęśliwego końca zarówno żmudne wysiłki zmierzające do uzyskania zezwolenia na budowę świątyni, jak również arcytrudne dzieło jej budowy. Mówiąc dokładniej, władze wyraziły zgodę tylko na „rozbudowę kaplicy", przy czym każdy etap owej „rozbudowy" wymagał odrębnego zezwolenia, co miało skutecznie hamować czy wręcz uniemożliwiać powstanie nowego kościoła. Był to zresztą dobrze znany w PRL-u styl działania władz komunistycznych, polegający na oddzielaniu samego aktu wydania zezwolenia (taki gest „zgody" dawał profity propagandowe) od sprawy faktycznych możliwości realizacji tego, co było przedmiotem zezwolenia. Zapewne liczono na to, że operacja taka będzie do przeprowadzenia po raz drugi w Nowej Hucie. Nowy proboszcz potrafił jednak pokrzyżować władzom te plany...

Już nazajutrz po otrzymaniu urzędowej decyzji umożliwiającej rozpoczęcie pierwszego etapu robót budowlanych – tj. 14 października 1967 roku – kardynał Wojtyła dokonał tu symbolicznego wykopu pod fundamenty nowego kościoła. Budowano go przez 10 lat w warunkach różnorakich utrudnień administracyjnych, w nieustannym zagrożeniu, niepewności i obawie o dalsze losy rozpoczętego dzieła. Ksiądz Gorzelany tak wspomina tamte lata: „Stale obawiałem się, że albo mnie zamkną, albo budowę; nigdy nie można było być pewnym, z której strony władze znowu uderzą..."

Pomimo tak ogromnych przeszkód, kościół przybierał realne kształty. Niemożliwe stało się możliwe. W centrum robotniczej dzielnicy stanął nowoczesny kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Polski – Pomnik Tysiąclecia Chrztu Polski, słynna nowohucka Arka Pana, symbolizująca nadzieję ocalenia w środku czerwonego morza.

15 maja 1977 roku, po 25 latach od utworzenia parafii, kardynał Karol Wojtyła w obecności 70 tysięcy wiernych poświęcił ten pierwszy w Nowej Hucie kościół, o którym powie przy innej okazji, iż został przez mieszkańców tego miasta wycierpiany, wyklęczany i wymodlony żarliwą wiarą i niezłomną postawą.

P.S. O dziejach budowy nowohuckiej świątyni opowiada arcyciekawa i solidnie udokumentowana książka ks. Józefa Gorzelanego pt. „Gdy nadszedł czas budowy Arki" (Editions du Dialogue, Paris 1988). W artykule wykorzystano m.in. informacje zawarte w wymienionej pracy.

Stanisław Misiak

Artykuł pierwotnie ukazał się w „Tygodniku Powszechnym" z 29.04.1990 r.



Uroczystość poświęcenia krzyża na placu u zbiegu ulic Marksa i Majakowskiego przez ks. abp Eugeniusza Baziaka, obok niego administrator parafii w Bieńczycach ks. Stanisław Kościelny i opat mogilski Augustyn Ciesielski, drugi z lewej ks. prałat Stanisław Czartoryski, 17 marca 1957 r.



Procesja na os. Teatralnym w dniu poświecenia krzyża i placu pod budowę kościoła w Nowej Hucie. Feretron niosą: Maria Ciepiela i Zofia Salwińska z Bieńczyc.



Zgromadzenie wokół krzyża w Nowej Hucie. Ludzie wówczas modlili się, śpiewali pieśni religijne i palili świeczki, 27 kwietnia 1960 r., fot. Tomasz Bartosik



Obrona krzyża w Nowej Hucie, 27 kwietnia 1960 r., fot. Tomasz Bartosik







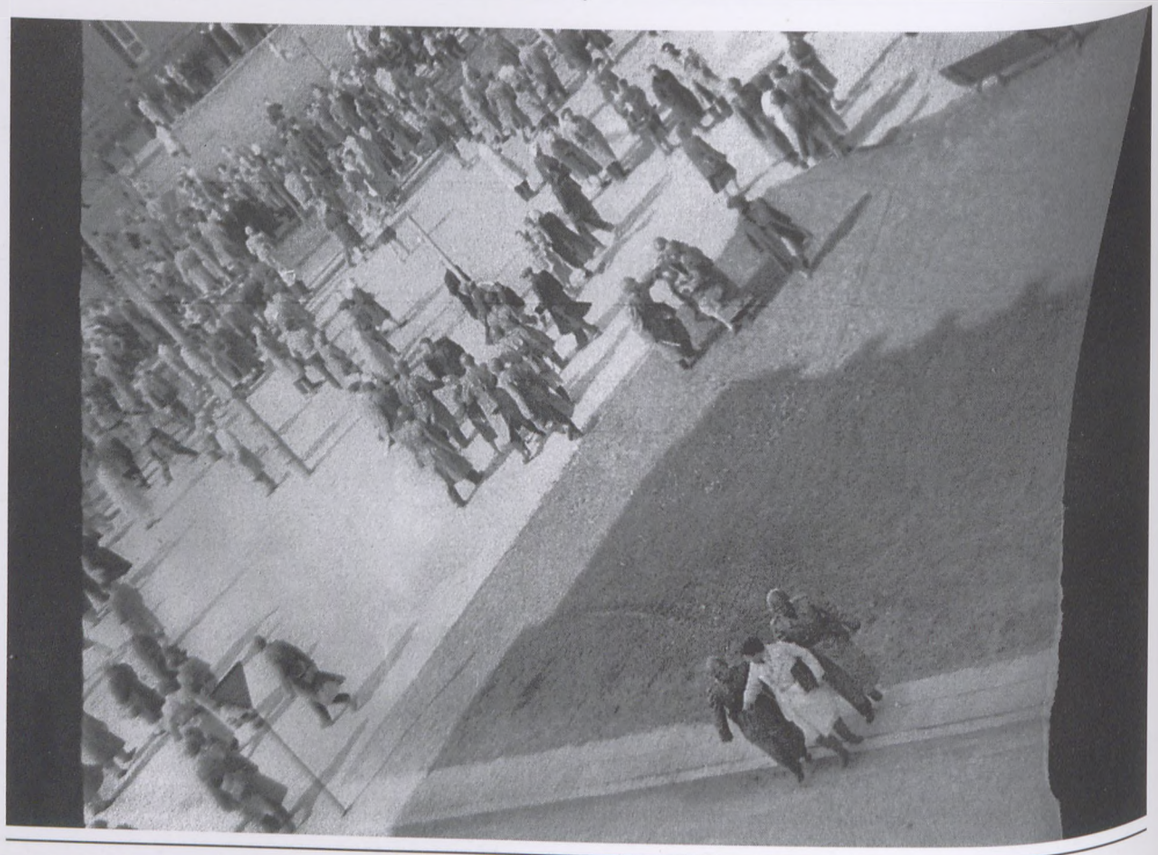








Atak oddziałów ZOMO na tłum broniący krzyża. Zdjęcia zrobione z ona domu przylegającego do budynku Dzielnicowej Rady Narodowej, 27 kwietnia 1960 r., fot. Tomasz Bartosik

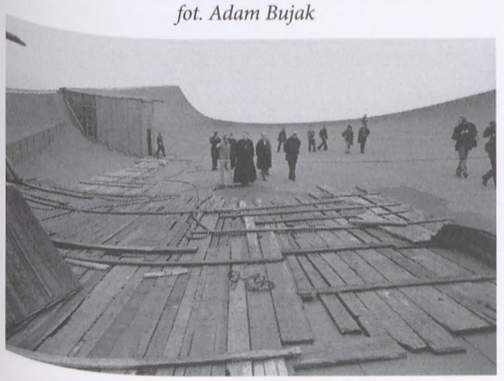




Kardynał Karol Wojtyła podczas uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod kościół – Arkę Pana w Bieńczycach, 18.05.1969 r., fot. Adam Bujak

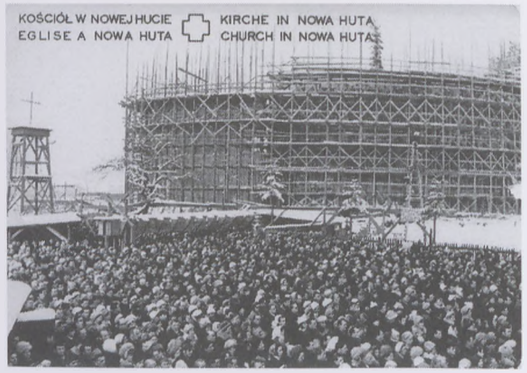


Kardynał Karol Wojtyła na placu budowy Arki Pana, 1975 r., fot. Adam Bujak



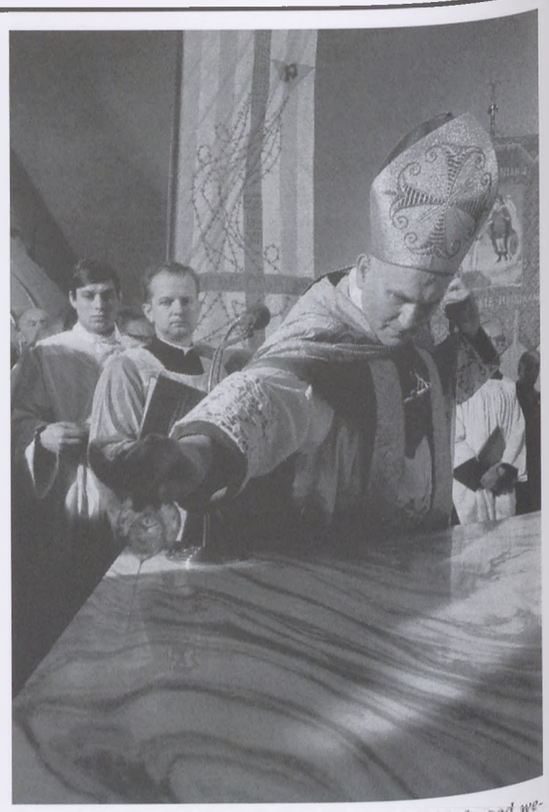


Kardynał Karol Wojtyła na dachu kościoła Arki Pana, 1975 r., fot. Adam Bujak

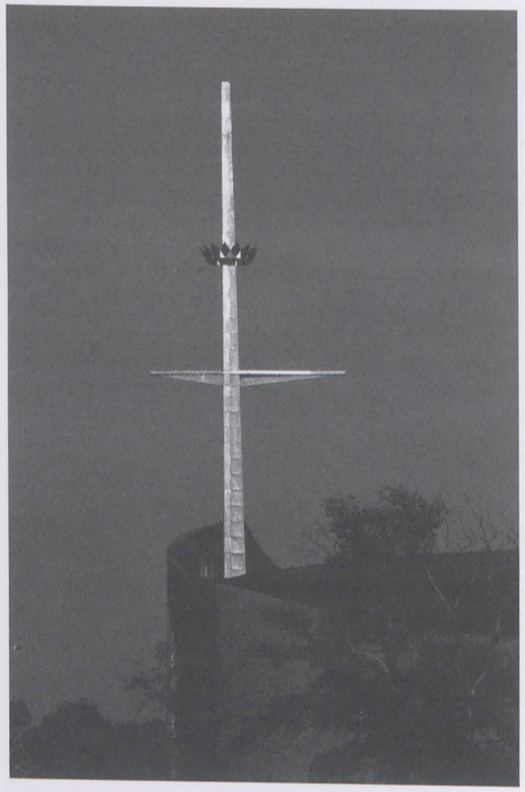




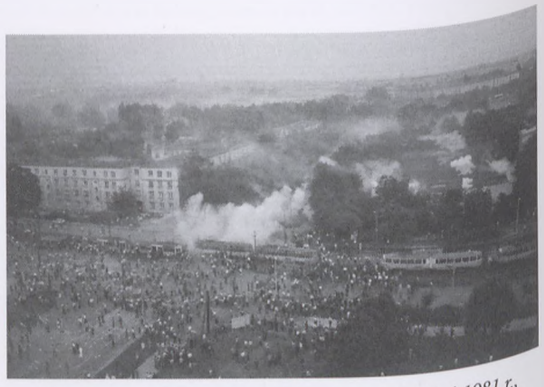
Kartki pamiątkowe z okresu budowy Arki Pana, lata 70. XX w.



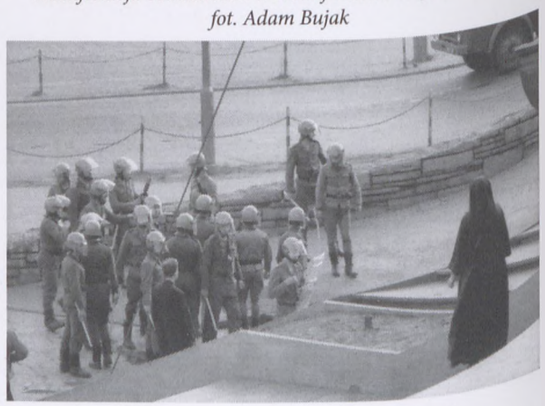
Obrzęd poświęcenia i konsekracji Arki Pana, kościoła pod wezwaniem Maryi Królowej Polski przez kardynała Karola Wojtyłę, 15 maja 1977 r., fot. Adam Bujak



Krzyż na Arce Pana, fot. Jan Zych, 1986 r.



Manifestacja Solidarności w Nowej Hucie, sierpień 1981 r., fot. Adam Bujak



Przed Arką Pana, 1982 r., fot. Adam Bujak



Arka Pana – pierwszy kościół wybudowany w Nowej Hucie, widok z lotu ptaka, 1999 r., fot. Adam Gryczyński



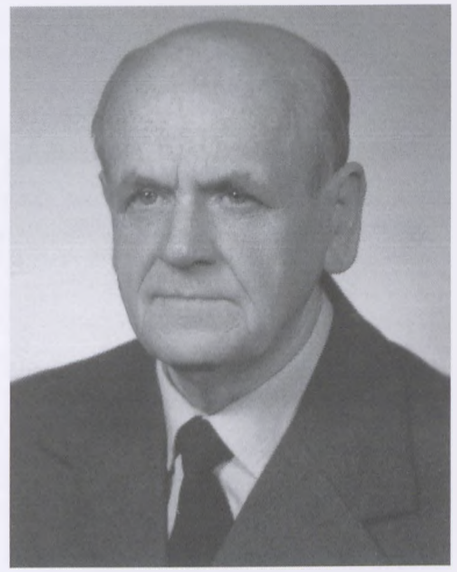
Arka Pana, 2008 r. fot. Adam Gryczyński

Czyżyny



Stanisław Suder

Czyżyny – wieś moich wspomnień



Od dawna nurtowała mnie myśl utrwalenia obrazu dawnej, podkrakowskie wsi o nazwie CZYŻYNY – miejscowości, w której mieszkałem 30 lat do czasu, gdy z powodów ode mnie niezależnych, a jedynie za zrządzeniem losu, dane mi było mieszkać w powstałej po roku 1949 dzielnicy Krakowa, Nowej Hucie. (...) Będę szczęśliwy, jeśli intencja moja, by zachować i ocalić od zapomnienia dawne Czyżyny, przyjęta zostanie jako wspomnienie przeszłości dla zostających tu jeszcze lub rozproszonych po licznych osiedlach Nowej Huty mieszkańców Czyżyn. Im bowiem prace tę dedykuję. Gwoli rzetelności pragnę nadmienić, że odnośnie najdawniejszych dziejów Czyżyn korzystałem z fragmentów publikacji znawcy dziejów Krakowa Klemensa Bąkowskiego p.t. „Przewodnik po okolicach Krakowa" (Kraków 1909), a także z zapisów odręcznej „Kroniki Szkoły jednoklasowej, pospolitej, etatowej w Czyżynach od roku 1876". Zdarzenia lat 30-tych i następnych opieram na moich osobistych spostrzeżeniach pamięciowych i częściowych notatkach, zaręczając o ich wiarygodności. Skromna moja publikacja ukazuje się dzięki znanej mi osobiście od dziecięcych Jej lat Pani dr med. Barbarze Salwińskiej-Ciećkiewicz, która przysporzyła tu szereg informacji istotnych dla dziejów Czyżyn z okresu okupacji i po zakończeniu II wojny światowej oraz udostępniła zdjęcia. Wyciąg z „Kroniki Szkoły" w Czyżynach w odpisie z oryginału użyczył mi przyjaciel mgr Tadeusz Korzeń. Obojgu najserdeczniej dziękuję.

Wstęp

Na współczesnym planie miasta Krakowa, w granicach powstałej po roku 1949 dzielnicy Nowa Huta, widnieje nazwa miejscowości CZYŻYNY. W odróżnieniu od licznych osiedli wzniesionych w miarę rozbudowy dzielnicy i oznaczonych wyraźnie jako „osiedle" np. os. Kolorowe, Teatralne, Wandy, Sportowe, Słoneczne i wiele innych, nazwy Czyżyny nie poprzedza określenie „osiedle", podobnie jak sąsiednich Rakowic, Bieńczyc, Mogiły itd. Są to nazwy podkrakowskich do niedawna wsi, włączonych do obszaru Krakowa w czasie i po II wojnie światowej.

Niniejszy historyczno-monograficzny szkic traktujący o Czyżynach, aktualnie znikających wręcz z mapy terenu, gdy ich substancję wypiera zabudowa nowoczesnych bloków mieszkalnych, układów komunikacyjnych i infrastruktury nowej dzielnicy – ma na celu zachowanie obrazu tej jednostki administracyjnej (gminy i gromady) zwłaszcza do lat 50-tych XX wieku z możliwą do „zatrzymania w kadrze" topografią, mieszkańców, zdarzeń a w pewnym stopniu także folkloru.

Czyżyny, jako miejscowość, nie doczekały się dotąd, poza krótkimi wzmiankami w przewodnikach po ziemi krakowskiej, obszerniejszej publikacji o charakterze rysu historycznego – jest to więc pierwsza próba ukazania dziejów miejscowości leżącej przy jedynym na lewym brzegu Wisły dawnym szlaku z królewskiego Krakowa. Prowadził on na wschód do Mogiły z przedhistorycznym Kopcem Wandy i do klasztoru mogilskiego O. O. Cystersów, do którego jako pątnicy podążali władcy dawnej Polski.

W istocie bowiem nie dysponujemy materiałem historycznym dotyczącym zarania dziejów początkowo zapewne osady, a z czasem wsi o nazwie Czyżyny. Zalewiska pradoliny Wisły, tu i ówdzie osuszone bagna i łąki w wyobraźni dają obraz rozległych włości wokół średniowiecznego Krakowa i ich nadań na rzecz możnych, rycerstwa i Kościoła.

W roku 1222 w Mogile osadzeni zostali Cystersi, dzięki którym powstaje droga łącząca ich siedzibę z Krakowem. Odtąd można mówić o przeobrażeniach okolicy – m.in. o początkach osadnictwa, a „wyborny gościniec" mogilski staje się osnową dziejów Czyżyn.

1. Zacznijmy więc „ab ovo" – od początku

Zapis dziejów najdawniejszych.

Monografie tego typu co niniejsza, zawierają często dzieje najdawniejsze jako pewnego rodzaju „metrykę" czyli rys historyczny dawnej miejscowości a przynajmniej informację dotyczącą najistotniejszych, możliwie pewnych, wiarygodnych notatek, zapisów, podań lub pięknych zawsze w swej fabule legend. Jak w przypadkach setek miejscowości, daremne byłoby dociekanie czasu pojawienia się Czyżyn jako konkretnego punktu geograficznego. Nie znamy etymologii nazwy wsi Czyżyny a także najdawniejszych jej dziejów. Wypada zatem odnieść się do fragmentów publikacji Klemensa Bąkowskiego, autora „Przewodnika po okolicach Krakowa" (1909 r.), który w kontekście dziejów klasztoru mogilskiego m.in. pisze:

„Cały obszar od wschodu Krakowa był w czasach przedhistorycznych niskim brzegiem Wisły, zalewanym, szarpanym, zamulanym jej wodami, a po ustaleniu się jej koryta pokrytym wodami pozostałymi w opuszczonych wiśliskach, dotąd po obu jej brzegach dostrzegalnych i w zagłębieniach tworzących stawy, sadzawki i bagna.

Osadzenie klasztoru Cystersów w roku 1222 w Mogile wywarło znaczny wpływ na całą okolicę…

Od ich siedziby (w Mogile) powstał „wyborny gościniec" do Krakowa, który przeciął tę bagnistą okolicę i ułatwił osadnictwo wzdłuż niego, w tej okolicy spotykamy też „najstarszy w okolicach Krakowa kamienny most"…

Od gościńca mogilskiego, gdzie Dąbie styka się z Czyżynami, rozdziela się droga na lewo ku północy do Bieńczyc, w prostym dalszym kierunku przecinając Czyżyny, biegnie do Mogiły. Na południe od tego gościńca leży wieś Czyżyny. Na południe od niej niska, bagnista równina, ze śladami dawnych zakrętów opuszczonych koryt Wisły… Cała ta mokrzysta nizina należała do uposażenia Cystersów... między Dąbiem od Zachodu, Łęgiem i Wisłą od południa, Mogiłą od wschodu i Bieńczycami od północy, leżą Czyżyny… Co do nazw pól Czyżyńskich spotykamy w dokumencie z roku 1238 wzmiankę, że Henryk, książę krakowski i śląski, darowuje klasztorowi mogilskiemu dział w Czyżynach położony (Codex Mogilaensis XV par. 12)… Aktem z roku 1384 darowuje król Kazimierz Wielki klasztorowi Mogilskiemu dziedzictwo swoje, zwane po polsku Dąbie w sąsiedztwie Krakowa nad rzeką Wisłą leżące z obu brzegami Wisły... zezwalając na założenie karczmy na końcu mostu leżącego na bagnie Czyżyny... Podkomorzy krakowski Spytek z Tarnowa osobiście około roku 1390 zbadał granice Dąbia, że takowe postępują od wielkiego mostu kamiennego, od karczmy w Czyżynach ku Krakowowi, na której to przestrzeni jest spływ wody rowem przez łąki i bagna... W roku 1428 powstał spór o granicę Dąbia, który strony dobrowolną umową załatwiły uznając, że idzie od mostu kamiennego w Czyżynach, gdzie woda szła rowem przed podmost... Dnia 16 czerwca 1787 roku zbliżył się ostatni król Polski Stanisław August Poniatowski do wsi Czyżyny, gdzie był witany od województwa".

Wymienione wyżej zdarzenia i daty są więc wyznacznikami najdawniejszych dziejów wsi i prowadzą do stwierdzenia, że Czyżyny istnieją już co najmniej 700 lat! Sięgają więc czasu sprzed lokacji Krakowa w r. 1257.

2. Kolebka wsi Czyżyny

Początki Czyżyn związane są niewątpliwie z powstaniem „wybornego gościńca" łączącego wieś Mogiłę z Krakowem i ten właśnie gościniec jest punktem odniesienia do pierwocin Czyżyn. W odległości około 6 km na wschód od Krakowa, droga „mogilska" rozdziela się ku północno-wschodowi do Bieńczyc, w dalszym ciągu biegnąc do Mogiły i dalej na wschód.

Od wspomnianego wyżej rozdroża, prostopadle do kierunku drogi mogilskiej bierze początek główna ulica (droga) Czyżyn w kierunku południowym, wyznaczająca oś północ południe i stanowiąca centralną część wsi. W odległości ok. 100 m od jej początku, droga ta zbiega się z wcześniej już istniejącą ulicą Kościelną – obecnie ul. Franciszka Wężyka. U zbiegu tych dróg, za drewnianym płotem osłoniętym krzewami głogu, stały zabudowania dzierżawionego od Kurii Metropolitalnej w Krakowie majątku ziemskiego (dworu).

Obiekt wspomnianego wyżej, istniejącego do lat 50-tych dworu oznaczony był numerem administracyjnym 1 – co sugeruje, że było to pierwsze co do rangi i czasu zabudowanie na terenie wsi. Narastające oznaczenia od numeru 1, a więc dworu, występują w porządku kolejnym dla domów położonych najbliżej, a mianowicie nr 2; 3, 4 i nieco dalej 5-26 w obustronnie zabudowanych, krótkich, ślepych drogach, dla których z czasem przyjęto nazwy Ławników i Woźniców. Ten zakątek uważa się za kolebkę wsi – stąd wywodzą się nazwiska starych rodów czyżyńskich jak: Adamczyk, Baś, Czernek, Gaweł, Malinowski, Sosin, Tynor, Tyrka, Zbroja. Dla odróżnienia rodzin o tym samym nazwisku w linii prostej lub bocznej rodu przydawano niekiedy przydomek np. Adamczyk-Janioł, Baś-Micek, Czernek-Kliniok, Czernek-Bandura, Siwek-Sola, Tynor-Kowal, Wójcik-Copnik.

Najstarszymi reliktami zrębów Czyżyn, po których niestety nie pozostał żaden ślad, były 2 chaty: domy wieśniacze kryte słomą. W pierwszej, oznaczonej prawdopodobnie numerem administracyjnym 9 lub 10 mieściła się pierwsza szkoła elementarna, założona w r. 1876, w samym środku wsi w wynajętej chacie włościanina Franciszka Basia.

Drugim godnym wspomnienia obiektem świadczącym o zabudowie Czyżyn, tym razem na południowym ich krańcu, była wyburzona w r. 1977 chata, kryta również słomą, w której na belce powałowej widniał rzeźbiony napis: „Sciańsc Boze tiem mieskiańcam – R.P. 1826".

Świadkiem pobożności wieśniaczego ludu Czyżyn jest stojąca do dziś w samym środku wsi murowana kapliczka – figura Chrystusa Frasobliwego z rzeźbionym świątkiem i napisem: „ku chwale Chrystusa, Najśw. Maryji Panny, św. Floryana, św.Izydora postawili mieszkańcy Czyżyn – r. 1894". Niestety, rzeźba – świątek po II wojnie zaginęła i los jej jest nieznany. Obok figury, na drewnianym 4-metrowym słupie, nakrytym daszkiem, wisiał mały dzwon – sygnaturka obwieszczająca trzykrotnym biciem w ciągu kolejnych 3 dni zgon mieszkańca Czyżyn lub pożar. Tu też gromadzili się okoliczni mieszkańcy na prywatne nabożeństwa majowe i czerwcowe. Ustne podanie mówi, że kapliczka została wzniesiona w miejscu dokąd sięgała woda powodzi (wylew Wisły) w r. 1888.

W pobliżu kapliczki stał dom oznaczony nr 26 – siedziba dawnego Urzędu Gminy Czyżyny, późniejsze miejsce noclegowe dla bezdomnych żebraków z innych miejscowości.

W sąsiedztwie wspomnianej wyżej figury, w latach 1929/30 zbudowano okazały jak na owe czasy jednopiętrowy budynek siedmioklasowej Publicznej Szkoły Powszechnej (patrz p. 5) i obok w parę lat później tzw. Dom Ludowy – miejsce imprez lokalnych.

Zabudowana obustronnie droga biegnie dalej ku południowi – rozdzielając się w prawo mija 2 stawy gospodarcze i kieruje się ku błoniu, w lewo zaś biegnie obok terenu b. cegielni do budynku drugiej z kolei szkoły z r. 1879, wyburzonej po II wojnie światowej.

Tu ma miejsce kres południowej granicy Czyżyn i tu kończy się oś północ-południe omawianej „drogi przez wieś".

3. Idzie „nowe"

Na przełomie XIX i XX w. wzdłuż północnej rubieży Czyżyn zbudowana została linia kolei żelaznej z Krakowa do odległego o 18 km Kocmyrzowa, miejscowości nadgranicznej zaboru austriackiego i rosyjskiego. Budując ją, władze austriackie powodowały się zapewne względami militarnymi, o czym świadczą rozmieszczone na tym szlaku forty, magazyny i składy amunicji (prochownie).

W czasie I wojny światowej Czyżyny znalazły się w ważnym strategicznie punkcie pomiędzy fortem Pszorna (obecnie park) od zachodu i fortem Mogiła od wschodu, oraz przy moście na Wiśle w Łęgu na przedłużeniu ul. Szafrańców. Plany strategiczne obejmowały nawet wyburzenie Czyżyn na wypadek oblężenia. W trójkącie rozwidlenia dróg do Bieńczyc i Mogiły wybudowano szereg drewnianych baraków dla wojska, które stacjonowało również po domach w Czyżynach i Łęgu, a ćwiczenia odbywało na Błoniach. Z czasem wojsko to, dla którego wójt Malinowski egzekwował obowiązkowe kontygenty żywności, stało się uciążliwością dla wsi.

Tak Czyżyny były zapleczem dla linii frontu. Na okolicznych polach były dwa duże magazyny amunicji, w których zdarzyły się dwa groźne wybuchy. Przy jednym wybuchu w okolicy obecnie usytuowanego Monopolu Tytoniowego popękały tylko ściany okolicznych domów ale nie było ofiar śmiertelnych. Natomiast przy wybuchu prochowni po drugiej stronie drogi zginęło wiele osób, których szczątki zbierano po okolicznych polach i drzewach i pochowano ich we wspólnym grobie na cmentarzu w Mogile.

W latach wojny bitym gościńcem na Kocmyrzów, w kierunku frontu maszerowały liczne regimenty wojsk, natomiast w odwrotnym kierunku szli ze swoim dobytkiem do Płaszowa ewakuowani mieszkańcy wsi Krzesławice , z obawy przed przesunięciem frontu bliżej Krakowa.

Linia kolejowa przebiegała z Krakowa przez stacje Grzegórzki, Dąbie, Wieczysta, Czyżyny, Bieńczyce, Grębałów, Prusy do Kocmyrzowa. Z Czyżyn, jako stacji rozrządowej, pociągi dojeżdżały także do odległej o 3 km Mogiły. Lokalizacja stacji kolejowej miała doniosłe i przełomowe znaczenie dla typowo rolniczego dotąd obszaru nie tylko Czyżyn ale i całej okolicy. Kolej poza dojazdem osób do pracy i z towarem na plac targowy dawała również możliwości dojazdu młodzieży do szkół w Krakowie. Zapoznania się w pociągu młodzieży z okolicznych wsi – młodzieży będącej zaczątkiem przyszłej inteligencji – tzw. „inteligencji tobołkowej", wykształconej za pieniądze uzyskane z handlu produktami z gospodarstw rolnych – niesionych przez kobiety do miasta w tzw. „tobołkach" zawiązanych w białe chusty, niesionych na plecach z przywiązaną od przodu jeszcze bańką mleka.

Do końca XIX w. oprócz drobnego rzemiosła dla potrzeb mieszkańców, jak kowal, cieśla, murarz czy szewc, w Czyżynach nie było przemysłu, a dla miejscowej ludności wystarczał jeden sklep w środku wsi (Michałek) i drugi na jej krańcu na styku z Łęgiem (Atteslander).

Otwarcie linii kolejowej stało się niewątpliwie przyczyną zmiany charakteru wsi dotąd wybitnie rolniczej i powstania osi wschód – zachód. Odtąd będzie to droga główna, wzdłuż której rozwinie się nowsza zabudowa, a z nią rzemiosło, handel i drobny przemysł (młyn, tartak) i od roku 1937 przemysł tytoniowy.

Na zachodnim odcinku północnej granicy Czyżyn, w pobliżu fortu nr 15 – Pszorna zlokalizowane zostaje w r. 1918 lotnisko wojskowe (a w r. 1931 – 32 także cywilne). Za nim nadal wzdłuż szosy obsadzonej kasztanowcem i jesionem powstają nowe domy, drobne gospodarstwa, sady, ogrody i pola uprawne, rozciągające się aż do odległych o 1 km Bieńczyc.

Wspomniane wcześniej rozgałęzienie dróg z Czyżyn do Bieńczyc i Mogiły stanowiło trójkąt, którego przestrzeń wypełniał szereg drewnianych baraków wojskowych z czasów I wojny światowej, wyburzonych w r. 1936. Wierzchołek tego trójkąta zajmowały realności:

1. pokoszarowy dom mieszkalny nr 119, mały sklep spożywczy

2. czasowo skład wyrobów betonowych (rur studziennych) oraz nieukończony obiekt rzemieślniczy. Wzdłuż pozostałej drogi dojazdowej do koszar, zwanej umownie „wojenną", przed drugą wojną zbudowano kilka jednorodzinnych domów.

Opisana pokrótce północna granica Czyżyn wg stanu z r. 1939 i niezmieniona w ciągu następnych 10 lat, czyli do rozpoczęcia budowy Nowej Huty, daje obraz lewej strony kierunku z Krakowa do Czyżyn.

Ta sama droga, lecz w kierunku odwrotnym, czyli do Krakowa, była również zabudowana na całej długości od Zakładów Tytoniowych do fortu, po roku 1950 niefortunnie zagospodarowanego jako Park Wypoczynku.

Na zakupionym od Krakowskiej Kurii Metropolitalnej gruncie w r. 1937 rozpoczęto budowę obiektu przemysłu tytoniowego. Do wybuchu wojny wzniesiono budynek mieszkalno-administracyjny i 2 bloki produkcyjne (uprawa, skup, fermentacja tytoniu) dając zatrudnienie miejscowej ludności. Budowę dalszych bloków (produkcja papierosów) ukończono po wojnie. Na zapleczu do niedawna jeszcze widoczne były wały ziemne otaczające dawną prochownię, która eksplodowała w dniu 30.VIII 1920 r. Dziś nie ma tu ani drewnianych baraków prochowni, ani wałów. Budowa obiektów przemysłu tytoniowego jest pierwszym symptomem wkraczania przemysłu na teren Czyżyn, ale jednocześnie zjawiskiem wydzierania na rzecz przemysłu ziemi, na której dotąd uprawiano zboża i inne płody rolne. Obiekt Monopolu Tytoniowego usytuowany na wschodniej granicy Czyżyn, rozpoczynał lewą stronę zabudowy drogi głównej w kierunku Krakowa. Był to ostatni obiekt stanowiący wschodnią granicę Czyżyn.

Począwszy od wspomnianego wyżej skrzyżowania dróg do Bieńczyc i Mogiły (obecnie Rondo Czyżyńskie) aż do byłego fortu, do r. 1949 stały szeregowo jeden obok drugiego domy prywatnej własności w liczbie ponad 30. U początku tej trasy stał budynek wojskowej rozdzielni telefonicznej i stacji kolejowej Czyżyny, zlikwidowanej w latach 60-tych. Naprzeciw stacji stoi do dziś zabytkowy, lecz zaniedbany budynek dawnej apteki, w którym w czasie wojny miał gabinet dr med. H. Ottenbreit.

Trzeba zwrócić uwagę na fakt, że na tym właśnie odcinku szosy przebiegającej przez Czyżyny skoncentrowany był do roku 1949 handel i rzemiosło. Spotykamy tu 4 sklepy spożywcze, 3 mięsne, 2 wyszynki wódek, 2 składy z opałem, 2 kuźnie, warsztat kołodzieja, szewca, kaflarza, powroźnika i 2 stolarzy (w tym wyrób trumien). Ta sieć usług datuje się w zasadzie od czasu powstania linii kolejowej. Trudno o bardziej skoncentrowany ciąg rzemiosła użytkowego i sklepów. Była to więc najbardziej reprezentacyjna część wsi jeśli idzie o gospodarczy aspekt zmiany spowodowanej skupiskiem nowej nierolniczej warstwy społecznej. Można tu dostrzec pewnego rodzaju ustalenie się podziału wsi na część północną o charakterze rzemieślniczo – handlowym i przemysłowym (tartak, młyn, przemysł tytoniowy) i dość wyraźny obszar mniej więcej od dworu ku południowej granicy wsi, gdzie dominowała ludność rolnicza.

4. Czy to dawne „bagna czyżyńskie"?

W ukształtowaniu pionowym Czyżyn, na południe od szosy głównej biegnącej z Krakowa, na niewielkim odcinku widoczne jest kilkumetrowe (3-6 m) obniżenie terenu, przechodzące w miejscowe błonie, które rozciąga się na zachodniej połaci. To dość rozległe obniżenie terenu kojarzy się ze wspomnianym „spływem wody rowem przez łąki i bagna się ciągnącym w okolicy wielkiego mostu kamiennego i karczmy" z czasów Kazimierza Wielkiego. Dziś, po upływie pięciu wieków, nie można ściśle określić miejsca owej karczmy i rowu, ale można zaryzykować hipotezę, że przytoczony średniowieczny zapis dotyczy tego właśnie miejsca. Stoi tu stary, dość nietypowy, bo na podstawie wydłużonego prostokąta dom przy al. Jana Pawła II nr 156, w którym jeszcze do roku 1958 istniał wyszynk wódek i piwa (obecnie dobudowano budynek sprzedaży i obsługi samochodów Honda). W pobliżu zaś widoczny był naturalny rów (dziś już suchy) ukierunkowany ku Błoniu. Może to miejsce dawnej karczmy? Nie ma jednak śladu „kamiennego mostu", który być może został zlikwidowany w związku z budową szosy i linii kolejowej na przełomie XIX i XX wieku. Nie dla satysfakcji ze wskazania takiej możliwości, ale dla naturalnych warunków terenowych, należy przyjąć jako potwierdzenie wzmianki sprzed wieków o karczmie i jej otoczeniu. Takie uzasadnienie można przyjąć także dla powstania obszernej, niskiej, czarnoglebowej płaszczyzny błonia, zwłaszcza że podobnych warunków terenowych w innym miejscu Czyżyn dostrzec nie można. Obszar ten, własność gminy Czyżyny, został wyprzedany na spłatę długów – powstało tu osiedle działek budowlanych, zamieszkałych przeważnie przez robotników zatrudnionych w krakowskich fabrykach i instytucjach. Nie ma tu gospodarstw rolnych. Wydzielona część błonia stanowiła pastwisko dla bydła spędzanego latem z zagród w środku wsi.

Z naturalnego źródła brał początek mały strumyk przepływający przez południową granicę Czyżyn i uchodzący do Wisły w Łęgu. Dla pobliskich domów źródło było miejscem czerpania wody, gdyż studnie wypełniała tak zwana woda podskórna. Tu wygospodarowano miejsce dla boiska sportowego piłki nożnej – tu również odbywały się w porze letniej zabawy i festyny.

5. Wkracza oświata

Nie kryjąc osobistego sentymentu dla tego obiektu, w którym pobierałem elementarną naukę, uważam, że materiałem o kapitalnym znaczeniu jest szczęśliwie zachowana „Kronika Szkoły 1-np. klasowej, pospolitej, etatowej w Czyżynach od roku 1876". W tym bezcennym i unikalnym wręcz, odręcznie pisanym dokumencie między innymi czytamy: (fragmenty)

- Rok 1876. Szkoła utworzona na mocy Orzeczenia Wysokiej C.K. Rady Szkolnej Krajowej z dnia 2 V 1876 L. 4172.

- Do szkoły należą dzieci z Czyżyn i przysiółka Łęg.

- Na szkołę wynajęto budynek od włościanina Franciszka Basia za kwotę roczną 25 zł. Była to chata stojąca prawie w środku wsi, kryta słomą, bez komina.

- Pierwszy nauczyciel Tadeusz Holcer, mianowany 1 XII 1876 r., przybył do Czyżyn 4 XII. Do 13 XII wpisało się 28 chłopców i 22 dziewczęta tylko z Czyżyn.

- Rok 1877. W tym roku szkolnym z Łęgu nie uczęszczało ani jedno dziecko, mimo kar nakładanych na rodziców. Ogłoszono licytacje na budowę nowej murowanej szkoły na gruncie położonym na granicy między Czyżynami a Łęgiem.

- Rok 1879. Budowę (szkoły) rozpoczęto 29 III 1979 na gruncie zakupionym za 150 zł reńskich. Naukę w ukończonej szkole rozpoczęto 4 XI 1879 r. Cesarz Franciszek Józef zasilił fundusz budowy kwotą 200 zł reńskich.
- Rok 1888. 11 marca wielki wylew Wisły – woda powodzi sięgała do zabudowań Franciszka Basia w Czyżynach.
- Rok 1910. Od dnia 1 VIII nowym kierownikiem szkoły mianowany Jan Dziubek.
- Rok 1928. Od 1 VIII funkcję kierownika szkoły obejmuje wybrany drogą konkursu Franciszek Marszałek. Z jego inicjatywy powstaje idea budowy nowej szkoły na gruncie gminy Czyżyny. Patronat nad budową objął ówczesny metropolita krakowski książę – arcybiskup, Adam Stefan Sapieha, który zasilił fundusz budowy kwotą 10.000 zł.

- Rok 1929. Budowę szkoły rozpoczęto 2 VII 1929 r., 22 VII tego roku przejeżdżał przez Czyżyny, w drodze do Pleszowa, Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Ignacy Mościcki, witany przez dziatwę szkolną Czyżyn.
- Rok 1930. Poświęcenia nowego budynku szkoły w Czyżynach dokonał w dniu 24 IX 1930 r. abp A. S. Sapieha. Naukę w szkole rozpoczęto w dniu 24 IX 1930.

- Rok 1937. Z inicjatywy kierownika szkoły Franciszka Marszałka od 20 VII rozpoczyna działalność przedszkole, prowadzone przez miejscową nauczycielkę, Michalinę Hatt.

- Rok 1956. Od 6 XI – choroba kierownika szkoły, Franciszka Marszałka, który umiera 5 VIII 1961 r. – P.o. kierownika obejmuje Marian Krupa.

- Rok 1967 – 18 VI nadanie szkole w Czyżynach imienia pisarki Marii Dąbrowskiej.

- Rok 1972. Budynek szkoły w Czyżynach zajmuje przedsiębiorstwo budowlane „Oświata".

– Rok 1991. Przywrócenie działalności szkoły w Czyżynach. Długotrwały remont budynku szkolnego.

– Rok 1992. w dniu 24 X poświęcenie wyremontowanej szkoły i nadanie jej imienia ks. Kard. A. S. Sapiehy. Dyrektorem szkoły zostaje mgr Bożena Wiktorowicz-Porosło, poświęcenia szkoły dokonał ks. bp Kazimierz Nycz. W uroczystości wzięły udział krewne ks. kard. A. S. Sapiehy: Elżbieta Wężyk i Helena Deskur, liczni mieszkańcy Czyżyn i Łęgu oraz młodzież szkolna.

6. Dzieło na miarę wieków

Czyżyny nie miały własnego kościoła. Należały do parafii św. Bartłomieja w odległej o 3 km Mogile, gdzie znajdował się również cmentarz parafialny. Znaczna odległość, jaką musieli przebywać mieszkańcy Czyżyn i sąsiedniego Łęgu, aby dotrzeć do kościoła, stała się przedmiotem troski ówczesnego arcybiskupa – metropolity krakowskiego A. S. Sapiehy, z woli którego rozpoczęto budowę kościoła dla tych miejscowości. W sierpniu 1935 r. proboszczem mogilskim został ks. Józef Zastawniak, któremu abp Sapieha w specjalnym piśmie odręcznym powierzył zadanie wzniesienia kościoła w Czyżynach z myślą o utworzeniu odrębnej parafii. Ks. Zastawniak misję tę przyjął i z właściwą mu energią i zmysłem organizacyjnym budowę rozpoczął. Już w dniu 16.X.1936 r. dokonano poświęcenia kamienia węgielnego. W Boże Narodzenie tegoż roku ks. Zastawniak celebrował mszę św. w prezbiterium wznoszonego kościoła p.w. św. Judy Tadeusza. Budowla w stanie surowym gotowa była już w roku 1939. Wybuch II wojny światowej uniemożliwił wykończenie wieży do szczytu – nieprzerwanie jednak trwały prace wykończeniowe wewnątrz świątyni. Wytynkowano ściany wewnętrzne, położono betonową posadzkę, wzniesiono ołtarze i wstawiono witraże. Wyposażenie i wystrój kościoła pokryto z ofiarności parafian – mieszkańców Czyżyn i Łęgu (około 700 rodzin). Kościół konsekrowano w roku 1942 przy ciągłej przynależności Czyżyn do parafii mogilskiej. W styczniu r. 1945, przy wyzwalaniu Krakowa, pociskiem czołgu sowieckiego została uszkodzona zachodnia ściana kościoła – zniszczeniu uległo kilka witraży i mur zakrystii. Po wojnie ułożono nową posadzkę i ufundowano ławki.

W kwietniu 1951 r. na mocy decyzji ks. Kard. Sapiehy, utworzona została nowa parafia obejmująca Czyżyny i Łęg. Odtąd ks. Kan. Józef Zastawniak rezydował w Czyżynach w budynku plebani. Ale rezydował jedynie 9 lat – w dniu 15 V 1960 r. nieoczekiwanie, po krótkiej chorobie, zmarł. Na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarz w Mogile kondukt żałobny prowadził ówczesny bp Karol Wojtyła, późniejszy kardynał i Papież Jan Paweł II. Proboszczem został ks. Stanisław Michałek, a od r. 1986 ks. Zbigniew Gerle. Obaj następcy pierwszego proboszcza i budowniczego kościoła, ks. Zastawniaka, kontynuowali dzieło: położono polichromię, zakupiono organy i dzwony, dokończono budowę wieży. Zbudowano nową obszerną plebanię.[...]

7. Próba bilansu

Przedstawiony dotąd obraz Czyżyn pozwala określić tę miejscowość jako dobrze zapowiadającą się w sferze gospodarczej. [...] Szkoła, kościół, stacja kolejowa, lotnisko, młyn, dom ludowy, duży zakład przemysłowy, stawy gospodarcze, sklepy, składy, warsztaty rzemieślnicze, majątek ziemski (dwór), pola uprawne, sady i ogrody, łąki, gospodarstwa wiejskie, ponad 300 domów mieszkalnych i zagród gospodarskich i około 1600 mieszkańców. Po wykupieniu przez Rząd II Rzeczypospolitej na początku lat 30-tych ziemi pod rozbudowywane lotnisko cywilne, obraz wsi wzbogacił się o kilkanaście ładnych (nawet typu willowego) domów. Pozwoliły na to korzystne warunki kupna – sprzedaży. Dzięki inicjatywie ówczesnego kierownika miejscowej szkoły, Franciszka Marszałka, rozpoczęto obsadzanie głównej szosy drzewami owocowymi. Czyżyny stawały się nie tylko bogatsze, ale i piękniejsze. Oprócz miejscowych , licznych gospodarstw rolnych, zatrudniających członków rodzin ich właścicieli, zbudowany w r. 1937 duży zakład przemysłu tytoniowego oferował miejsca pracy rzeszy robotników niewykwalifikowanych.

Istotne znaczenie miały też inne dotychczasowe źródła dochodu jak dorożkarstwo i przewóz materiałów budowlanych wozami konnymi – tzw. wozacy. Największe przedsiębiorstwo przewozowe zorganizował Jan Czernek z ul. Kościelnej. Mężczyźni chodzili do pracy do piekarni „Ziarno" w Krakowie, do zakładów tytoniowych na Dolnych Młynach, do łuszczarni na Wieczystej. Dzięki tym możliwościom ożywiło się życie wsi. Mieszkańcy Czyżyn reprezentowali liczne zawody rzemieślnicze i usługowe, jak: akuszerka 2, blacharz 5, cieśla 6, dentysta 1, dorożkarz ok.40, dróżnik 2, fryzjer 2, introligator 1, kominiarz 2, kołodziej 1, kowal 6, krawiec 5, monter różnych specjalności ok.10, murarz 5, ogrodnik 2, piekarz 3, rymarz 1, rzeźnik 4, stolarz 11, studniarz 1, szewc 7, ślusarz 2, zdun-kaflarz 1; w ramach migracji, zwłaszcza po uruchomieniu Zakładu Przemysłu Tytoniowego zatrudnionych było kilku elektryków, hydraulików i innych specjalności tej branży.

Instytucje państwowe, zwłaszcza na terenie Krakowa, zatrudniały spośród mieszkańców Czyżyn: kolej 18 osób, poczta 14, policja 7, teatr 1, straż pożarna 2. Marynarkę handlową na morzach świata do 1939 r. reprezentował 1, zaś po II wojnie światowej 2 mieszkańców Czyżyn. W handlu miejscowym zatrudnionych było: sklep spożywczy 12, rzeźnik 3, cukiernia 1, skład z opałem 4, wyszynk wódek 2.

W sferze niematerialnej, do zawodów inteligenckich zaliczyć należy: adwokat 1, lekarz 2, ksiądz 5, inż. rolnik 2, nauczyciel 15 (w tym5 emerytowanych lub nieczynnych zawodowo). Wyjaśnić należy, że nauczyciele w Czyżynach byli przybyszami za pracą. Wyjątek stanowi pochodząca z Czyżyn pani Stanisława (Czopek) Krupowa, ur. w 1910 r., zdała maturę przed wojną w Gimnazjum Królowej Wandy i zaliczyła dwuletnie studium pedagogiczne z historii. Po II wojnie, po ukończeniu Wyższej Szkoły Pedagogicznej, uzyskała tytuł magistra filologii polskiej jako najstarsza z czyżyńskich kobiet. W dziedzinie oświaty, do 1939 r. do krakowskich szkół średnich uczęszczało ok. 30 osób – świadectwo dojrzałości uzyskało ok. 10 spośród nich. (...)

Na terenie Czyżyn przed rokiem 1939 działały takie organizacje jak: Związek Strzelecki, Polska Partia Socjalistyczna, Amatorski Klub Sportowy i bardzo aktywne Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Trzeba dopełnić rzeczywistość Czyżyn o realia, które wypełniają drugą stronę tego bilansu, mianowicie stronę „minus". To grzechy ponad wiekowej porozbiorowej niewoli narodowej i zaniedbań austriackiego zaborcy, ale także zbyt krótkiego okresu XX-lecia Odrodzonej Polski lat 1918 – 1939 i okupacji niemieckiej II wojny światowej.

W Czyżynach nie było dróg – to mankament w skali kraju. Biegnąca z Krakowa szosa była wprawdzie „drogą bitą", czyli mającą nawierzchnie z tłuczonego kamienia, utwardzoną, fragmentami opatrzoną równoległym do niej rowem spływowym, ale w porze deszczowej pokrywało ją błoto, latem zaś kurz. Podobnie było na drogach wewnętrznych wsi.

W sferze łączności dostrzec trzeba brak poczty. Usługi pocztowe świadczył Urząd Pocztowy Kraków 13 (Dąbie) za pośrednictwem mieszkańca Czyżyn Karola Sznajdera, który ... nie znając sztuki pisania i czytania funkcję doręczyciela pełnił wzorowo w ciągu 40 lat! Był jednocześnie swego rodzaju „woźnym" w dyspozycji wójta lub później sołtysa. Agencję Pocztową w Czyżynach założono w czasie okupacji w r.1940.

Nie było prywatnych telefonów – posiadali je jedynie: młyn, stacja kolejowa i majątek ziemski (dwór). Kilkunastu zaledwie mieszkańców posiadało radio (zakazane w czasie wojny) – był to aparat tzw. detektor, o zasięgu lokalnym.

W Czyżynach nie było policji – zainstalowali ją w r. 1940 Niemcy jako „policję granatową" o wydźwięku pejoratywnym.

Listę niech dopełni brak takiej instytucji jak Straż Pożarna.

W sumie – przyjmując opinie, że Czyżyny były miejscowością stosunkowo zamożną, to nie można pominąć prawdy, że nieobce było tu zjawisko niedostatku a nawet biedy i skrajnej nędzy.

8. Obyczaje godne zapisu

Określenie „podkrakowska wieś" w odniesieniu do Czyżyn lat poprzedzających II wojnę światową, nie przystaje do profilu tej miejscowości. Obok elementu stanowiącego istotę wsi, tj. uprawy ziemi, pojawił się handel, rzemiosło i wreszcie przemysł. Taka struktura gospodarcza cechuje Czyżyny do wybuchu wojny. W porównaniu z rolniczymi okolicznymi wsiami, jak Mogiła, Bieńczyce i Łęg, gdzie ruch ludności był raczej stabilny, w Czyżynach zaznacza się proces osiedlania podnajemców czynszowych, znajdujących zatrudnienie w fabrykach i instytucjach Krakowa i miejscowych zakładach tytoniowych, by z czasem na zakupionych tu parcelach zbudować własny dom. Czyżyny zmieniły swe oblicze, ale mieszkańcy nie zarzucili zakorzenionych tu zwyczajów i tradycji przejętych od przodków i kultywowanych aż do czasów powojennych przemian – do czasu powstania nowej dzielnicy Krakowa, Nowej Huty.

Utwierdzone tradycja powszechnie przyjęte w społeczności mieszkańców Czyżyn zwyczaje i imprezy miały na ogół związek z cyklem głównych świąt kościelnych ale także odbywały się z racji innych okoliczności w kręgu grup społecznych, np. święto plonów – „dożynki".

– W Adwencie i Wielkim Poście nie urządzano wesel i zabaw.

– W okresie Bożonarodzeniowym /do 6.stycznia/ trwały zimowe ferie szkolne. W tym czasie zorganizowane małe grupy młodzieży chodziły „z kolędą", obnosząc wykonaną przez siebie szopkę betlejemską lub gwiazdę, by za odśpiewaną kolędę otrzymać datek pieniężny.

– W tym też okresie rodziny katolickie odwiedzał w ramach wizyty duszpasterskiej proboszcz parafii lub wikary.
– W Wielką Sobotę święcono dary stołu wielkanocnego.

– W Poniedziałek Wielkanocny urządzano „śmigus" – lanie wodą zwłaszcza młodych dziewcząt.

– W Zielone Święta przystrajano domy gałązkami zieleni i wyjeżdżano zaprzęgami konnymi do Lasu Wolskiego na Bielanach pod Krakowem – była to tradycja chłopska.

– Wieczorem tego dnia, z dala od zabudowań poza obrębem wsi rozpalano ogniska, tzw. „sobótki" – echo pogańskich uroczystości.

– W maju i czerwcu wieczorem gromadzono się pod figurką w środku wsi i śpiewano pieśni religijne, tzw. „majówka" i „czerwcówka" o charakterze religijnym.

– Przestrzegany był zwyczaj porządkowania obejść gospodarskich i dekorowania emblematami religijnymi domów położonych przy trasie procesji Bożego Ciała.

– W wigilię Bożego Ciała (w środę) powstrzymywano się od prac rolnych.

– Święto plonów czyli „dożynki" zamykały w zasadzie kultywowane nie tylko w Czyżynach, ale i w okolicy.

– Śmierć mieszkańca wsi oznajmiano trzykrotnym biciem dzwonu.

– Zgon stwierdzał osobiście przybyły do domu zmarłego tzw. „fizyk" – człowiek cieszący się zaufaniem i wiarygodnością.

– Pogrzeb odbywał się w trzecim dniu. Przy wynoszeniu zwłok z domu żałoby, trumnę opuszczano trzykrotnie do progu drzwi, co wyrażało pożegnanie z najbliższymi, po czym w kondukcie wieziono na wozie do kościoła parafialnego w Mogile, a następnie na cmentarz. Całą drogę z Czyżyn do Mogiły za trumną szli rodzina i przyjaciele, śpiewając żałobne pieśni, którym przewodził Jan Mars – Cygan, jeden ze starszych mieszkańców. W późniejszym okresie przyjmował się zwyczaj prowadzenia konduktu przez księdza już z domu żałoby, co miało miejsce w przypadku rodzin zamożniejszych. Z czasem – nabożeństwa pogrzebowe odbywały się już w kościele pod wezwaniem św. Tadeusza w Czyżynach.

Należy wspomnieć również

– pielgrzymki piesze, idące gościńcem do klasztoru w Mogile z chorągwiami w okresie odpustu, które idąc z księdzem śpiewały nabożne pieśni (zwyczaj ten trwał jeszcze przez pierwsze lata po II wojnie światowej),

– malowniczą drogę przez kwitnące łąki, którą w lecie chodzono do kościoła w Mogile, mijając po drodze Ośny Dół (obniżenie terenu za Monopolem), a z drugiej strony pozostałości wałów obronnych klasztoru z okresu wojen szwedzkich.

Większym uroczystościom, tak kościelnym jak i świeckim, splendoru nadawał strój regionu krakowskiego. Mężczyźni nakładali czerwoną czapkę „krakuskę", białą sukmanę, niebieski kaftan, białą koszulę z kołnierzem zapiętym na duży „guz" czyli spinkę pod szyję (bez krawatu), spodnie w biało-czerwone paski oraz buty z cholewami.

Kobiety przywdziewały białe koszule-bluzki z szerokimi rękawami z mankietem, barwny gorset ze złocistymi centkami, czerwone korale, spódnicę wzorzystą w kwiaty i wysokie do pół łydek buty. Głowę nakrywały chustą w kwiaty, podobną zarzucały na ramiona okrywając plecy. Do włosów wpinały kwiaty lub nakładały wianuszek. Warto tu nadmienić, że stare pokolenie czyżynian posługiwało się śladowo zachowaną gwarą:

boszcz – barszcz,
dlocego – dlaczego,
dzisioj – dzisiaj,
hań – tam,
hę? – co?,
jo – ja,
kacka – kaczka,
mliko – mleko,
pocirz – pacierz,
prowda – prawda,
psio jucha – psia krew,
tamoj – tam,

teroz – teraz,
warzyć – gotować,
wiecór – wieczór.

Dla określenia lokalizacji czyżyńskich pól posługiwano się tradycyjnie przyjętymi nazwami, jak np. pola w jutrzynach, na grombach, na podgórzach, na szańcach, na skrzynce, na tofli, na świnodze ...

9. Okres okupacji

Już w pierwszym dniu napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę, 1 września 1939 r. około godz. 6 rano samoloty agresora dokonały nalotu na lotnisko rakowicko-czyżyńskie. Od bomb zginęły 3 mieszkanki Czyżyn: Ozdoba..., Łagowska..., Szczupak... i jeden mężczyzna: Walczyk... kilka zaś zostało rannych. Naloty o charakterze terrorystycznym siały strach i zamęt na drogach zapełnionych uciekinierami w kierunku na wschód. Był to czas popłochu i paniki oraz ogólnego zamieszania. W atmosferze całkowitego zamętu, w dniu 4 IX 1939 r. zginął w nieznanych bliżej okolicznościach obywatel Czyżyn, wójt Gminy Mogiła, Kazimierz Cieślewicz.

W dniu 6 września1939 r. do Czyżyn wkroczyły wojska niemieckie – rozpoczęła się trwająca 5 lat okupacja. Zapanowała złowieszcza noc niewoli narodowej, która rychło w dzieje Czyżyn zapisała się czarnymi zgłoskami. Jak na ironię, w zabudowaniu dworu dzierżawionego od Kurii Metropolitalnej w Krakowie, administrowanego przez żonę wspomnianego wyżej Cieślewicza, założył kwaterę oficer żandarmerii niemieckiej Herzig – zapewne dla utrzymania „niemieckiego porządku". Mówił dobrze po polsku (prawdopodobnie był Ślązakiem) i wkrótce stał się bywalcem istniejącego tu wyszynku wódek u Piotra Krupy, gdzie spędzał całe dni. Nie interesowały go sprawy polityczne – działalność swą skupiał głownie na problemach gospodarczych, jak dostawy kontyngentów zboża i bydła. Mówiono, że „przy kielichu" można było z nim załatwić wiele spraw. Nie jemu i podległej mu „granatowej policji" przypisuje się osadzenie i śmierć w obozach koncentracyjnych mieszkańców Czyżyn, niezaangażowanych w działalność konspiracyjną. W obozach tych zginęli: Gaweł Bernard, Gaweł Władysław, Gil Julian, Kulka Franciszka, Mazur Mieczysław, Ptak Tadeusz, Rosenblat..., Samiec... i Wlazło Agata. Kaźnię obozów przeżyli i powrócili do domów: Dąbrowski Paweł, Kulka Maria, Mazur Wojciech i Baś Stanisław. Na stanowisku sołtysa pozostawiono Andrzeja Malinowskiego nakładając na niego nowe niewdzięczne obowiązki jak wystawianie nazwisk ze wsi do kopania rowów, szarwarku i co najgorsze na wysyłkę na przymusowe roboty do Niemiec. Za niedopełnienie tego ostatniego obowiązku został nawet , dla postrachu na jakiś czas aresztowany.

Niemcy szybko zagospodarowali lotnisko, powiększając je kosztem wysiedlenia sąsiednich domów. Za ogrodzeniem widać było umieszczone między dwoma nasypami ziemnymi samoloty i zbiorniki z paliwem (w których w ramach sabotażu wywiercano dziury). Pomiędzy nasypami była rozpostarta maskująca zielona siatka. Monopol tytoniowy zupełnie niezniszczony bombardowaniem kontynuował pracę. Syrena o godzinie 7 rano sygnalizowała rozpoczęcie a o 3 popołudniu zakończenie pracy. Ludzie z okolicznych wsi znaleźli tam zatrudnienie. Część pensji wypłacano w alkoholu i papierosach.

Mieszkańcy w sklepach realizowali swoje kartki na ciemny chleb i buraczaną marmoladę. Był to ciężki okres, szczególnie dla mieszkańców małych domków na Błoniu, którzy nie mieli gospodarstw. Ich dzieci po żniwach zbierały kłoski zbóż na polach, a po wykopkach wygrzebywały z ziemi pozostałe ziemniaki. Pomagały im przetrwać kozy „żywicielki", wypasane po rowach, i hodowane króliki.

Niemcy w 1941r włączyli Czyżyny do Krakowa, stawiając przy drodze za Monopolem po przeciwnej stronie słup z napisem Krakau.

Pociągi do Kocmyrzowa i Mogiły nie woziły już młodzieży do szkół. Jeździli nimi ludzie do pracy, handlarze, a Niemcy wykorzystywali je do przeprowadzania „łapanek".

Odrębny akapit dotyczy hitlerowskiej akcji wyniszczenia ludności pochodzenia żydowskiego. Według krążących informacji śmierci uniknęła Maria Mendel (córka), Wolffeiler... oraz Leon Goldfinger. Zginęli w obozach prawie wszyscy mieszkający w Czyżynach na stałe Żydzi z całymi rodzinami, o nazwisku: Atteslander, Gutt, Wolffeiler, Goldfinger, Mendel (łącznie kilkanaście osób). Przed założeniem przez okupanta wydzielonej dzielnicy – getta, liczne rodziny żydowskie znalazły schronienie w Czyżynach. Przez pewien czas pracowali oni niewolniczo przy robotach ziemnych na poszerzanym przez Niemców lotnisku. W tutejszej fabryce, Monopolu Tytoniowym, wśród licznej załogi znalazło zatrudnienie kilku Żydów, którzy przeżyli wojnę. Nie udało się to sekretarce dyrektora – Niemca, pracującej pod przybranym nazwiskiem Heleny Fabiańskiej. Mieszkała w jednym z czyżyńskich domów – aresztowana zażyła truciznę i zmarła na oczach konwojujących ją Niemców.

Osierociła dwunastoletnią córkę Helenę, którą przechowali do końca wojny dobrzy ludzie, a która obecnie mieszka w Izraelu.

Tragiczną listę śmierci pośród mieszkańców Czyżyn dopełnić trzeba nazwiskiem profesora rolnictwa Edwarda Ralskiego, który zginął z rąk NKWD, zamordowany w obozie polskich oficerów w Starobielsku.

Nie wrócili też z wojny: Wziątek..., Żylski Stanisław. Pod koniec wojny, bohaterską śmiercią „na polu chwały" w lasach Kielecczyzny poległ w akcji partyzanckiej młodociany syn kierownika tutejszej szkoły, Zbigniew Marszałek. W tym samym czasie, a więc w końcowej fazie wojny, od zabłąkanego pocisku lub bomby zgubionej przez samolot niemiecki zginęło małżeństwo, Józef i Wiktoria Miechowiczowie. Zaiste straszliwa to hekatomba ofiar...

Kraków – najpiękniejsze z miast Polski, i jak ktoś napisał miasto „żywych kamieni", świadectwo tysiącletnich dziejów narodu, skarbnica pamiątek, otwarta księga historii minionych wieków – od 25 X 1939 do 16 I 1945 r. był siedzibą hitlerowskiego satrapy Hansa Franka. Ze wzgórza wawelskiego szły rozkazy terroru i zdławienia polskiego Narodu w tragicznych latach okupacji. Mieszkańcy ujarzmionego miasta nie pozostali jednak bierni wobec morderczej polityki wyniszczenia wszystkiego, co polskie. Rychło dał znać o sobie ruch oporu w rozlicznych organizacjach podziemia, tak w samym Krakowie, jak i okolicy, m.in. w Czyżynach, gdzie powstała kilkunastoosobowa grupa konspiracyjna. Organizację podziemną założył dla sąsiedniego Łęgu Wawrzyniec Hudzicki, dla Czyżyn zaś asesor pocztowy Adam Ziemba. Obaj zostali aresztowani i straceni. Działalność konspiracyjną AK kontynuował na terenie Łęgu Stanisław Mars, w Czyżynach Józef Salwiński. Zachowani w pamięci piszącego te słowa (zarazem łącznika tut. grupy AK) uczestnicy konspiracji to: Bartosik Tomasz, Bochenek Kazimierz, (jun.), Czekaj Franciszek, Czopek (Wilczyński) Aleksander, Fliszkiewicz Stanisław, Górecki Karol (jun.), Gurbiel Stanisław, Kawula Władysław, Malinowski Jan, Malinowski Józef, Płonka Tadeusz, bracia Śliwińscy: Franciszek, Michał i Mieczysław, Tyrka Tadeusz, Walczyk Stanisław, Wlazło (Winnicki) Stanisław (s. Wincentego). W działalność konspiracyjną włączył się również pracujący na poczcie Karol Górecki, dzięki któremu sprawowano kontrolę listów adresowanych na Gestapo. W obiekcie Monopolu Tytoniowego istniała grupa konspiracyjna o charakterze działalności sabotażowej i obserwacyjnej – tu bowiem Niemcy magazynowali części do samolotów. Po wojnie powtarzana była wiadomość, że dyrektor obiektu Szubert, z pochodzenia Austriak, wspierał potajemnie zgrupowania partyzanckie w okolicach Kazimierzy Wielkiej (rejon uprawy tytoniu), przesyłając tam papierosy i alkohol, w przeciwieństwie do volksdeutscha Lokotscha, który trzymając w ręku pejcz śledził pracowników – był postrachem załogi. W przemyśle tytoniowym pracownicy otrzymywali oprócz wynagrodzenia w pieniądzach, deputat w postaci papierosów i wódki, które na wsi można było zamienić na żywność. Zatrudnienie w Monopolu chroniło przed wywozem na roboty do Niemiec. Pracująca tam pani inż. Magdalena Ralska pomagała w uzyskaniu pracy młodym ludziom z Czyżyn i okolicy.

W okolicznościach tak trudnych i niebezpiecznych, jakie niosła wojna, społeczeństwo Czyżyn zapisało chlubną kartę. Istniała tu Delegatura Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), której przewodniczył Józef Salwiński przy uczestnictwie proboszcza mogilskiego ks. Józefa Zastawniaka. Była to organizacja o charakterze charytatywnym, akceptowana przez okupanta. W warunkach miejscowych RGO była pewnego rodzaju parasolem dla organizacji konspiracyjnych. Poza wspieraniem najuboższych z Czyżyn i Łęgu udzielano pomocy jeńcom alianckim pracującym na lotnisku oraz ukrywającym się Żydom. Dzięki wsparciu RGO i mieszkańców Czyżyn uniknęło zagłady małżeństwo żydowskie o nazwisku Goldfarb – będące praktykującymi katolikami. Mieszkali w Czyżynach w domu nr 107 u p. Kucielów. W podeszłym już wieku, schorowani zmarli śmiercią naturalną. Z narażeniem życia w warunkach konspiracyjnych Józef Salwiński zorganizował im pogrzeb, a ksiądz Zastawniak dokonał pochówku na cmentarzu w Mogile.

Po upadku Powstania Warszawskiego i karnym wysiedleniu ludności cywilnej z Warszawy miejscowe AK, przy współpracy z kolejarzami, zorganizowało skierowanie jadącego do Kocmyrzowa pociągu, na boczny tor przy Monopolu Tytoniowym w dniu 5 X 1844 r. Korzystając z szyldu RGO otoczono opieką koło 300 rodzin. Ludność Czyżyn i Łęgu stanęła na poziomie obywatelskiego poczucia solidarności przyjmując wysiedlonych do swych domów, zapewniając im do końca wojny wyżywienie i dach nad głową. Duszą tej akcji był znów wspomniany Józef Salwiński z sołtysem Andrzejem Malinowskim. I tak w deszczowy jesienny wieczór, już po ciemku, odjechał z bocznicy pusty pociąg – tylko z maszynistą.

Wspomnieć należy również o tajnym nauczaniu starszej młodzieży w okresie okupacji. Dla dziewcząt prowadziła je prof. Wanda Mirowska w domu swojej siostry pani Ralskiej, a dla chłopców przyjeżdżający z Krakowa prof. Gimnazjum św. Jacka Witold Grzybek oraz piszący te wspomnienia Stanisław Suder.

10. Pierwsze lata powojenne

W dniu 18 stycznia 1945 roku od strony lotniska nadjechały radzieckie czołgi, które strzelały za uciekającymi w kierunku Krakowa Niemcami. Podczas tych działań pociski trafiły w kościół oraz w dom i stajnię sąsiedniego gospodarstwa Katarzyny Czernek-Maskowej, dokonując zniszczeń. Tak razem z oswobodzeniem Krakowa skończyły się w Czyżynach przykre dni okupacji. W następnych dniach po przejściu frontu mieszkańcy wyruszyli do porządkowania lotniska i dróg startowych dla nowej Polski. Przez zimę, aż do wiosny, po domach stacjonowali żołnierze radzieccy, szosą przejeżdżały samochody z wojskiem.

Społecznym wysiłkiem organizowano życie wsi, wyremontowano własnymi siłami szkołę, dom ludowy, z inicjatywy Józefa Salwińskiego powstał Społeczny Komitet Elektryfikacji Wsi, dzięki któremu już w 1945 roku rozbłysło światło elektryczne w domach i zostały oświetlone ulice, zniknęły sprzed stodół kieraty zastąpione energią elektryczną.

Pracownice Monopolu Tytoniowego ufundowały figurę Matki Boskiej Niepokalanej z napisem „Błogosław naszej pracy", którą w 1945 roku uroczyście poświęcił Arcybiskup Metropolita Krakowski Adam Stefan Sapieha. Figura ta ustawiona na skwerku między drzewami wewnątrz Zakładów Tytoniowych przetrwała trudny okres komunistycznych czasów.

Ożywiło swoją działalność Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży. Marian Czernek, Franciszek Zembala i inni młodzi ludzie uczęszczający do szkół pod patronatem Benedykta Matejkiewicza z klasztoru Cystersów z Mogiły organizowali spotkania młodzieży, przedstawienia i jasełka. Powstało Kółko Rolnicze, Koło Gospodyń Wiejskich z przewodniczącą Katarzyną Włodarzową. Józef Salwiński założył Polskie Stronnictwo Ludowe (Mikołajczykowskie), którego prezesem w Czyżynach był Stanisław Tynor, w Łęgu Tomasz Radoszek. Wielce patriotycznym akcentem działalności politycznej i społecznej mieszkańców Czyżyn i Łęgu był zorganizowany przez Józefa Salwińskiego udział w pogrzebie Wincentego Witosa. Posiadający prywatne przedsiębiorstwo przewozowe mieszkaniec Czyżyn Jan Czernek z bratem Józefem i obywatelami Łęgu Stanisławem Marsem i Tomaszem Gawędą przygotowali czterokonny zaprzęg karych koni z odpowiednio przystosowanym i ubranym platonem. Rano 5 listopada 1945 roku wyruszył z Czyżyn do Krakowa ten swoisty „karawan". Powoził nim Józef Czernek, wioząc trumnę z ciałem Wincentego Witosa przez całą trasę z Krakowa aż do Wierzchosławic. Tak miejscowi działacze PSL i chłopi oddali ostatnią posługę swojemu wielkiemu przywódcy.

Wkrótce jednak organizacje, które miały duży wkład w życie wsi, zostały (poza Kółkiem Rolniczym) przez reżimowe władze komunistyczne zawieszone w działalności. Szczególnie brutalnie potraktowano mikołajczykowskie PSL, aresztując Józefa Salwińskiego – członka władz miejskich i wojewódzkich PSL, radnego Miasta Krakowa z ramienia PSL i kandydata na posła w wyborach 1947 roku. Tak smutno kończy się ambitny, pełen inicjatyw społecznych okres, z którym wiązano tyle nadziei na przyszłość. Wkrótce potem – bo od 1949 roku – nastał czas gorzkich doświadczeń, długofalowych w skutkach wydarzeń, wydarcia ziemi pod zakłamaną ideę „socjalistycznego miasta" o nazwie Nowa Huta.

11. Koniec pewnej epoki

W oparciu o dekret z dnia 26 IV 1949 roku o nabywaniu i przekazywaniu nieruchomości niezbędnych dla realizowania narodowych planów gospodarczych rozpoczęła się era wywłaszczeń. Dla ich przeprowadzenia został powołany Specjalny Pełnomocnik Rządu. Orzeczenia wydawane przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej nie podlegały wzruszeniu tj. nie przysługiwało od nich odwołanie. W latach 1951-1952 przystąpiono do wywłaszczeń Czyżyn. Początkowo były to wywłaszczenia zbiorowe z listami wywieszonymi w Prezydium Rady Narodowej i w Urzędzie Gminy w Mogile. Orzeczenia o odszkodowaniu przesyłano indywidualnie na adres domowy i od nich przysługiwało odwołanie. Jednak na pisane niestrudzenie przez adwokata Józefa Salwińskiego odwołania uzyskiwano niezmienne odpowiedzi: „niniejsze orzeczenie należy traktować jako ostateczne".

Wywłaszczeniem objęto setki hektarów gruntu płacąc za 1 m2 powierzchni ziemi 0,47 do 0,98 zł. Dla zilustrowania skandalicznego wyzysku warto nadmienić, że w owym czasie jednorazowy bilet tramwajowy kosztował 0,50 zł.

Trudno opisać smutek i przygnębienie, jakie ogarnęło mieszkańców Czyżyn – niektórzy opłacili to nawet ciężką chorobą. Tym razem nie zazdrościli sobie ludzie wywłaszczeń, jak przed laty przy budowie lotniska, które zapamiętano ze względu na bardzo korzystne warunki wywłaszczeń. Niepodejmowane pieniądze przekazywano do depozytu, co zdarzało się dość często.

I tak rok 1949 zapoczątkował okres długotrwałej agonii wsi o nazwie Czyżyny. W pełni lata na polach sąsiedniej Mogiły pojawiły się koparki i grupy robotników rozpoczynających prace wstępne budowy zakładu

metalurgicznego i nowej, „socjalistycznej" dzielnicy Krakowa Nowej Huty. Wkrótce prace przygotowawcze rozpoczęto również na terenie Pleszowa i Bieńczyc , a następnie przystąpiono do budowy drogi i linii tramwajowej (w miejsce kolei) biegnącej przez Czyżyny. W pobliskim Łęgu zlokalizowano obiekt produkcji pomocniczej – prefabrykatów, czyli elementów betonowych. Mimo protestów mieszkańców, zwłaszcza Mogiły, Bieńczyc i Pleszowa, prace szybko postępowały i obejmowały nowe obszary urodzajnej ziemi, tradycyjnego „zielonego zaplecza" Krakowa. Inwestycje usytuowano na najlepszych gruntach, wbrew twierdzeniom ówczesnych władz państwowych i politycznych, że jest teren nieużytków, ugorów i piasków. Z chwilą rozpoczęcia budowy huty i wznoszenia osiedli mieszkaniowych rękami tysięcy robotników przybyłych z całej Polski – stanęło życia w polskich wsiach. Nastąpił całkowity zastój w rolnictwie i budownictwie indywidualnym. W obszarze tym nie wydawano zezwoleń na budowę nowych, ale i na remont stojących od dziesięcioleci domów – przeciwnie, realności objęto wywłaszczeniami na rzecz budowy „pierwszego, socjalistycznego miasta" w Polsce. Wiele z wywłaszczonych terenów nie zagospodarowano jednak do dziś... W odniesieniu do Czyżyn, obraz wsi do roku 1949 pozostał niezmieniony, tak w sferze materialnej, jak również w życiu mieszkańców i ich obyczajach.

Przełom w rozumieniu zmiany substancji zabudowy nastąpił od chwili, gdy substancję zaczęto wyburzać i niszczyć, realizując w szybkim tempie plan nowego miasta. W ciągu 40 lat, w Czyżynach zniknęło około 1/3 zabudowy, pojawiły się natomiast liczne wielokondygnacyjne bloki mieszkalne i zmieniony został układ komunikacyjny. Całkowicie zniknęło rolnictwo i pokrewne mu warzywnictwo. Ludność znalazła wprawdzie pracę w nowoczesnym przemyśle i budownictwie mieszkaniowym, ale równocześnie z wywłaszczoną ziemią Czyżyny traciły swoją tradycję, urok życia, piękno folkloru, zwyczajów i obrzędów dawnych lat. To początek końca pewnej epoki w dziejach siedmiowiekowej wsi.

Jako symbol wsi Czyżyny pozostał ładnie wyglądający z dobudowaną wieżą kościół pod wezwaniem św. Tadeusza Judy, w którym spotykają się dawni Czyżynianie – obecnie mieszkańcy bloków, przychodzący na nabożeństwa w święta i procesje Bożego Ciała.

12. Wspominam...

...piękne, słoneczne i ciepłe dni wrześniowe, chłodne już noce a nawet poranne przymrozki, biały szron na trawach, pojawiające się tu i ówdzie wśród żywej jeszcze zieleni barwy żółtawe i czerwone. Jesień, polska złota jesień... Dojrzałe owoce krzewów i drzew, paleta barw nasturcji, maciejki mocny zapach, lwiej paszczki jedwab, floksy, ogrodowe malwy tak nieodłączne dla obrazu wsi. Czerwień jarzębiny, spadające żołędzie przydrożnego dębu i orzeszki buku. Dojrzałe kasztany i skrzydlaki klonów. Żółte liście wiązów i bogactwo owoców śliwek, jabłek i grusz. Coraz bardziej opustoszałe pola i czerń żarłocznych kawek i wron na świeżych skibach roli i trzymającego pług rolnika. Cichnący śpiew rodzimego ptactwa. Nie widać już rozdzierających niebo błyskawic, nie słychać niebieskich armat – piorunów, chociaż

jesienne słońce pnie się do góry
po bladym nieba błękicie,
i wiatr jesienny napędza chmury,
co płyną deszczem obficie

Wspominam mroźną, najmroźniejszą w moim życiu, zimę 1928 roku. Mróz sięgał do 40 stopni poniżej zera. Życie jakby zamarło. Masowo ginęło ptactwo, zwłaszcza małe sikorki. Wróble, te najbardziej „nasze" ptaki, trzymały się domostw, podkradając się do stodół. Szare kuropatwy i szukające resztek mierzwy końskiej czubate dzierlatki. Za wsią, na polach, piękne, kolorowe szczygły, uwijające się na ostach. Arcydzieła artysty mrozu na szybach zmarzniętych okien. Zmarznięte postacie odrabiających „szarwark", uchodzący za resztkę staropolskiej pańszczyzny, odgarniają śnieg na zasypanych drogach.

Wspominam budzącą życie wsi wiosnę. Każdy z nas przeżywa ją na swój sposób. Mieszczę tu ośmiowiersz, bo nie sposób opisać jej piękno, gdy

zabrzmi wieś wiosennym śpiewem
okryje ją zielenią świeżą,
zaszumi wiatr wiosennym powiewem,
zza mórz wędrowne ptaki bieżą
skowronek zawisł na błękicie
i pieśń radosną śpiewa,
już wiosna nowe budzi życie,
nadzieję w serca ludzkie wlewa

Wspominam wreszcie poezję natury każdego spośród przeżytych lat mojego dzieciństwa i młodości. Łąki. wspaniały kobierzec zieleni złocącej się kwitnącymi kaczeńcami, wyznaczającymi liczne strumyki i podmokłe zastoje wody. Połać bladoróżowej rzeżuchy, błotnistej niezapominajki, żółtych jaskrów, czerwonych szczawiów, liliowych dzwonków i chabrów łąkowych...

Rozliczne kępy olszyny, świeżą zieleń płaczących wierzb, donośny krzyk czajek, dostojny krok białego bociana, zryw kuropatw i kicanie zająca – to niepowtarzalny obraz nie uprawianej ludzką ręką natury, w którą wkraczał człowiek tylko na sianokosy lub letni spacer.

Wspominam srebrzystą rosę poranną na jaśminie i bzach, na białych i pąsowych piwoniach, żółtawo – liliowych irysach i biało-różowych stokrotkach, jaskrawą czerwień maków, błękit chabrów i purpurowo-liliowy kąkol w łanach zbóż. I pnący się biały i różowy powój. Przebogaty dar przyrody tej ziemi...

Wspominam ścigający lot czarno – białej jaskółki, majestatyczny, jakby leniwy, kolisty, zniżający się ku ziemi lot bociana, rytmiczny, głośny stuk pracowitego, pstrego dzięcioła, głos kukułki. Ciszy wieczoru akompaniujące rechotanie żab i nocne pohukiwanie sowy ukrytej w dziupli wierzby. Szczekanie łańcuchowego czworonoga, stróża zagrody.

Wspominam żółte światła naftowych lamp w oknach domów.

Zabrzmi to jak tren, ale tren najsłuszniej przystoi wsi o nazwie Czyżyny! Całe jej piękno zduszone zostało przez beton i stal. Zasnute zabijającym naturę, czarnym dymem kominów, ziejących nieustannym ogniem martenowskich pieców.

Dostojne wiekiem Czyżyny, wieś mojej młodości, przeszła w otchłań dziejów – pozostała tylko we wspomnieniach.

Stanisław Suder

Te wspomnienia autora odnieść należy nie tylko do wsi Czyżyny i jej mieszkańców, ale do wszystkich sąsiednich, pełnych uroku wsi jak Bieńczyce, Mogiła, Pleszów..., które spotkał taki sam okrutny los. Nie było im dane dokonać przeobrażeń tej bogatej, urodzajnej i pięknej ziemi zgodnie z tradycją ojców, wykorzystując swoją pracowitość i umiejętności poszerzane zdobywanym wykształceniem. Usytuowanie socjalistycznego miasta na tej ziemi, zamieszkałej przez niezależnie myślących ludzi, tak bardzo związanych z ruchem ludowym, a którym równocześnie odebrano możliwość jej przeobrażenia „z duchem czasu" i według ich poglądów, nie było przypadkiem.

Barbara Salwińska-Ciećkiewicz

ANEKS 1

A. Mieszkańcy Czyżyn, poza zajęciami rolniczymi reprezentowali

1. zawody rzemieślnicze i usługowe

akuszerka – M. Krupowa, M. Malinowska

blacharz – F. J. M. M. Śliwińscy (bracia), J. Ciepiela

cieśla – J. Cecuga, A. Figlarz, M. Gil, J. Kaczorowski, I. Kusak, W. Mędrecki, J. Mól

dorożkarstwo (jako dodatkowe źródło dochodu) – A. Biernacik, J. Biernacik, K. Cecuga, F. Ciepiela, F. Czernek, J. Czernek, S. Dudek, S. Figlarz, A. Gałązka, W. Gaweł, W. Gaweł, W. Gaweł, I. Jadownicki, J. Krawczyk, S. Krawczyk, S. Kostecki, J. Malinowski, J. Kulka, S. Mars, T. Misiak, J. Mól, J. Mól, M. Niemiec, F. Ptask, W. Raźny, P. Radoszek, S. Radoszek, W. Radoszek, J. Salwiński, P. Salwiński, J. Sosin, J. Tynor, P. Tynor, P. Tynor, W. Tynor, J. Tyrka, J. Zbroja.

dróżnik – J. Boligłowa, M. Boligłowa

fryzjer – M. Nowak, P. Tynor

introligator – K. Suder

kamieniarz – S. Walczyk

kominiarz – M. Oleksy, D. Szutkowski

kołodziej – J. Miechowicz

kowal – A. Bujak, S. Miechowicz, Z. Miechowicz, P. Nowak, S. Radoszek, W. Radoszek

krawiec – W. Burakowski, J. Lelek, S. Łopatka, J. Połabski, F. Tyrka

monter mechanik – W. Gaweł, B. Grabowski, K. Górecki, K. Janusz, W. Kawula, S. Malinowski, J. Nawrocki, K. Niemiec, S. Olech

murarz – J. Gaweł, W. Hajto, P. Kłyś, S. Wojciechowski, M. Kula

ogrodnik – P. Dobosz, J. Szklarczyk

piekarz – L. Janusz, I. Palus, J. Radwański

rymarz – W. Krysiak

rzeźnik – A. Broda, L. Mucha, J. Zamojski, Wolffeiler

stolarz – J. Baś, K. Baś, J. Gil, H. Gurbiel, S. Mars, S. Moskała, J. Perski, J. Rożek, F. Stolarski, J. Tabor, W. Tynor

studniarz – H. Adamski, A. Figlarz

szewc – F. Burnat, L. Kowalik, J. Mól, P. Król, S. Królikowski, J. Nawrocki, W. Żelasko, J. Żelazny

ślusarz – S. Murdzek, W. Sacha

zdun kaflarz – W. Zieliński

2. zawody inteligenckie

adwokat – J. Salwiński

inż. rolnik – K. Cieślewicz, M. Ralska

ksiądz – A. Boczek, S. Rosenblatt, R. Sławeński, M. Tyrka, T. Wróblewski

dentysta – S. Zamojski

lekarz – Wolffeiler … H. Ottenbreit

nauczyciel – J. Dudek, S. Dudek, Z. Dziubek, M. Knapik, M. Krupa, S. Krupa, K. Maciaszek, F. Marszałek, K. Marszałek, K. Ziemba, M. Miechowicz, po 1945 r.: J. Krupa, F. Tynor, J. Tynor; emeryt lub nieczynny zawodowo: A. Derdelewicz, J. Dziubek, M. Hatt, W. Mierowska, K. Wnęk.

B. zatrudnieni w instytucjach państwowych:

kolej – S. Adamski, S. Adamski, H. Baś, J. Chmura, P. Chmura, K. Ciepiela, S. Ciepiela, W. Ciepiela, H. Dziubek, W. Hajto, J. Książek, R. Makowski, J. Mulka, F. Pietrzyk, W. Płonka, T. Soroczyński, J. Zieliński.

marynarka handlowa – A. Boczek, S. Winnicki (s.Wincentego), do 1939 r. J. Tynor

poczta – E. Góra, M. Nowak, P. Olech, J. Prymula, J. Zwoliński, A Ziemba

poza strukturą poczty: K. Sznajder

czasowo: M. Gałązka, K. Górecki, T. Krupa, S. Kulka, S. Suder

policja – do 1939 r. J. Jamrozik, S. Kulma, A. Kusiba,

„policja granatowa" w czasie wojny: J. Gwóźdź, L. Kowalik, S. Kulka, S. Wlazło (dwaj ostatni zabierając broń zbiegli do ruchu oporu AK, za co represjonowano ich rodziny)

straż pożarna – A. Stefański, S.Tynor

teatr – Manowarda (statysta), H. Mulka (portier)

wojsko zaw. – J. Jarosz

C. zatrudnieni w handlu (sklepy, składy)

skl. spożyw. – L. Atteslander, L. Goldfinger, Z. Janusz, J. Kalinowski, M. Mendel, S. Michałek, W. Łopatka, S. Śliwińska, S. Szot, M. Trzpis, F. Wawrowska, T. Wójcik

skład opału – A. Bębenek, J. Kalinowski, P. Szeląg, S. Zamojska

wyszynk wódek – P. Krupa, L. Palka, M. Kołodziejczyk.

ANEKS 2

1. Młodzież szkół średnich do roku 1939.

Bartosik Tomasz, Biernacki Marian, Dziubek Czesław, Górecki Edward, Górecki Henryk, Knapik Jerzy, Knapik Tadeusz, Królikowski Władysław, Książek Klemens, Kusibab Edward, Lityński …, Marszałek Tadeusz, Marszałek Zbigniew, Palka Eugeniusz, Płonka Tadeusz, Ptak Edward, Suder Stanisław, Tyrka Eugeniusz, Wlazło (Winnicki) Stanisław, Zieliński Eugeniusz, Czopek Stanisława (Krupowa), Tyrka Maria, Kawula Maria, Dobosz Gabriela, Dobosz Helena, Cieślewicz Izabela, Dziubek Maria, Hatt Jadwiga, Hatt Maria, Lityńska Zofia, Palka Halina, Pilzneńska Anna, Płonka Helena.

2. Absolwenci szkół średnich do roku 1939.

Bobrzecki Tadeusz, Bochenek Kazimierz, Boczek Anatol, Boczek Bolesław, Górecki Karol, Rosenblatt Kazimierz, Tyrka Marian.

Czopek Stanisława, Dobosz Gabriela, Kawula Maria, Tyrka Maria.

3. Absolwenci szkół wyższych po roku 1945.

anglistyka – Boczek Bolesław

biologia – Ralska Magdalena, Szklarczyk Celina,

chemia – Salwińska Zofia, Salwiński Józef, Tynor Julian, Tyrka Eugeniusz

ekonomia – Cieślewicz Maria, Marzec Mieczysław, Płonka Tadeusz, Tyrka Zbigniew, Zembala Franciszek

farmacja – Bobrzecki Tadeusz

geografia – Cieślewicz Wincenty

matematyka – Ottenbreit Wanda

medycyna – Salwińska Barbara

stomatologia – Szczupak Maria

plastyka – Ottenbreit Ewa

polonistyka – Krupowa Stanisława

prawo – Boczek Bolesław, Dziubek Czesław, Knapik Jerzy, Tyrka Halina, Krawczyk Marian

rolnictwo – Cieślewicz Izabela, Walczak Maria, Walczyk Zofia

teologia – Sławeński Roman, Wróblewski Tadeusz

studia techniczne – Baś Edward, Krupa Stanisław, Kula Wiesław, Zbroja Jan

architektura – Krzywda (Koraszewski) Tadeusz.

4. Uzyskali stopień doktora po roku 1945.

biologia – Szklarczyk Celina, Ralska-Jasiewicz Magdalena

chemia – Salwińska-Chłobowska Zofia

elektrotechnika – Krupa Stanisław

medycyna – Salwińska-Cieślewicz Barbara

prawo – Boczek Bolesław

rolnictwo – Cieślewicz Izabela

W późniejszych latach po II wojnie światowej naukę w szkołach średnich a następnie wyższych podjęła znaczna ilość młodzieży wywodzącej się z Czyżyn, osoby te pominięto z braku danych.

Wspomnienia Stanisława Sudera ukazały się pierwotnie nakładem Wydawnictwa OPAL PG, Kraków 1993 r.

„CZYŻYNY – WIEŚ MOICH WSPOMNIEŃ"

Fragmenty wiersza Stanisława Sudera

Na kanwie dawnych dziejów i na fali wspomnień
Cofam się do przeszłości i rzucam jej promień
Na wieś moich lat młodych – na ów czas i ludzi
Chcę do sentymentalnej zadumy pobudzić
Nad wsią, która w otchłani przemijania tonie
Rozbijana młotami, topiona w betonie
Odzierana brutalnie z piękna jej natury
Zostawiając lat dawnych żałosne kontury
(...)
Opisując obraz wsi, co po siedmiu wiekach
Na niechlubny koniec swej historii czeka
Opiewam więc uroki tutejszej przyrody
Szumiące zbożem pola, łąki i ogrody
To miejscowej flory i fauny okazy
Co cieszyły me oczy niezliczone razy
Widzę zorzę poranną przy pogodnym wschodzie
Wspominam trwałe dzieła współczesnych mi ludzi
Wspominam też tych, których świt już nie obudzi
Ludziom mojego czasu – dobrych i złych losów
Dedykuję te słowa proste, bez patosu
Tym, którzy tu pomarli i tym, co tu żyją
Co pamięć owych zdarzeń w głębi serc swych kryją
(...)
W czasach klęsk i rozbiorów i mroków niewoli
Wieśniaczy lud czyżyński osiadły na roli
Chodził za radłem z świtem do słońca zachodu
Siał w ziemię złote ziarno, by nie zaznać głodu
Żył tu spokojnie, zbożnie, Bogu tylko wierząc
Oczy swe pięknem życia i natury ciesząc
Czas odmierzał owocem swej pracy do zmroku
Rytmicznej, nieustannej w każdej porze roku
Za czasów dzielnych Piastów, wielkich Jagiellonów
Za elekcyjnych władców monarszego tronu
Rycerstwo polskie znaku Orła i Pogoni
Okryte chwałą zwycięstw, granic kraju broni
Taki był dzień powszedni w dziejach Polski dawnej
Z eposem krwawych zrywów powstańczych tak sławnej
(...)
Bez przesady rzec można , że kolej przyniosła
Pierwociny przemysłu, handlu i rzemiosła
Rzeczywistości jednak nie trzeba się wstydzić
Że te dziedziny życia rozpoczęli... Żydzi!
Oni dają początek przemysłu w Czyżynach
Podejmując budowę parowego młyna
Żyd jest też właścicielem nowego tartaku
Zlokalizowanego w drewnianym baraku
I Żyd zainicjował wypalanie cegły
Wybierając surowiec w terenie przyległym
To znów syn Izraela bliżej nam nieznany
Zamierza budować kościelne organy!

Życie wsi zdawało się powracać ku normie
Komentowano wieści o rolnej reformie
Rolnik wychodził z pługiem orząc rodną rolę
Siał, żął, dorodne zboże gromadząc w stodole
Rzemieślnik stał przy swoim domowym warsztacie
Nikt nie myślał o mienia, dorobku utracie
Młodzież czyżyńska miała aspiracje wyższe
Patrząc perspektywicznie na lata najbliższe
Że jutro będzie lepiej dla każdej rodziny...
Wtem nagle powiew wschodu nawiedza Czyżyny
Od zakończenia wojny pięć lat już minęło
Życie tutaj spokojnie swym rytmem płynęło
Pola i łąki wokół, gdzie nie sięgnąć okiem
A wieś stawała się piękniejsza z każdym rokiem
Na urodzajnych gruntach Mogiły, Pleszowa
W pełni lata zaczęto baraki budować
Aby w morderczym tempie trzech, czterech miesięcy
Urządzić koszary dla „junaków" tysięcy
Jak od kwasu zaczynu rozrasta się ciasto
Tak z niewolniczej pracy powstawało miasto
Liczne bloki mieszkalne, osiedla, ulice
Zmieniły bardzo szybko całą okolicę
Ludność wielu wsi starych z dobytku wyzuto
Na rzecz nowej dzielnicy zwanej „Nową Hutą"
Która zajmując rychło szerokie przestrzenie
Obcym dała pracę, swoich niszcząc mienie
Kłamliwą była bowiem wersja, że na piskach
„Socjalistyczne" miasto i huta wyrasta!
Dzisiaj ziemię zbóż, warzyw, traw i koniczyny
Zatruwają skutecznie dymami kominy!
Prawda jest taka: ziemia dymami zasnuta
Tak ongiś urodzajna – to jest Nowa Huta!
(...)
Czyżyny... od stuleci wieś ojców i dziadów...
W niedalekiej przyszłości nie znajdziesz jej śladu!

Mieszkańcom dawnych Czyżyn ***Stanisław Suder***

„PAMIĘCI MOJEJ MAMY"

Z zachodzącego słońca promieniami
Wsłuchany w niczym niezmąconą ciszę
Idę ku Tobie, pamięci szlakami
Widzę Twą postać, matczyny głos słyszę...
Pamiętam – budził Cię blady jeszcze świt
I ptaków świergot – ten ich pacierz ranny
A Ty zaczynałaś dnia każdego ryt
Śpiewem Godzinek do Najświętszej Panny
Nam czworgu dziecięcym snem jeszcze śpiącym
Kładłaś codziennie ciemny chleb na stole
I ze spojrzeniem zatroskaniem tchnącym
Zdążałaś spiesznie na folwarczne pole

W sukni z perkalu, z nienakrytą głową
W skwarze dni lata jakże często boso
Wchodziłaś w pól dorodnych przestrzeń płową
By wiązać w snopy zboże ścięte kosą

Dziś mam świadomość trudu Twego życia
I smak gorzkiego, bo wdowiego chleba
Dzisiaj rozumiem Twoje łzy z ukrycia
Wszak przeszłaś czyściec na drodze do nieba

Ja, syn Twój, świadek Twojego konania
W nocy ostatniej, tej październikowej
Od lat dziesiątków prochom Twym się kłaniam
Stojąc w zadumie wśród ciszy grobowej

Noc tę wspominam szczególnie boleśnie
W siedemdziesiątym pierwszym życia roku
Kiedy kres nadszedł o wiele za wcześnie...
Zobaczyłem ostatnią łzę w Twym oku

Dzwonek folwarczny ciszy nie rozdziera
Nie przypomina, że pora wyjść z domu
Ani się furta dworu nie otwiera
Bo Ciebie nie ma, a więc nie ma komu...

Z zachodzącego słońca promieniami
Co zapalają horyzont daleki
Jestem przy Tobie z modlitwy słowami
Spoczywaj w Bogu! Spoczywaj na wieki!

Stanisław Suder

Stanisław Suder (1923-2003)

Stanisław Suder mieszkał w Czyżynach przez 30 lat, a w późniejszym okresie w blokach na terenie Nowej Huty. Rodzina Suderów, po przybyciu do Czyżyn, zamieszkała w wynajętym mieszkaniu. Po śmierci ojca pozostała matka z czworgiem małych dzieci, na utrzymanie których ciężko pracowała w dworskim gospodarstwie. Mały Stanisław uczęszczał do szkoły powszechnej w Czyżynach, gdzie dal się poznać jako chłopiec zdolny i pilny, co umożliwiło mu uzyskanie z Gminy stypendium na dalszą naukę w Gimnazjum Św. Jacka w Krakowie, gdzie uzyskał średnie wykształcenie. Podczas okupacji był łącznikiem AK i wraz z przyjeżdżającym profesorem Witoldem Grzybkiem z Gimnazjum Św. Jacka prowadził tajne nauczanie dla chłopców. W 1948 roku ożenił się z Marią Nowak z Czyżyn i wychowali trzech synów. Pracował przez 42 lata w Monopolu Tytoniowym w Czyżynach jako pracownik umysłowy. Współpracownicy pamiętają jego wyjątkowa uczynność. Po przejściu na emeryturę opracowywał zbierane przez całe życie informacje o wsi Czyżyny i jej mieszkańcach. Pisał artykuły i wiersze drukowane w gazecie parafialnej. Pod koniec życia pogorszył mu się znacznie wzrok, ale dzięki wsparciu Rodziny mógł kontynuować swoją pracę, a dzięki pomocy przyjaciół opublikował dwa tomiki wierszy i w 1993 roku ilustrowaną starymi fotografiami książeczkę p.t. „Czyżyny – wieś moich wspomnień". Stanisław Suder jest pochowany na cmentarzu w Grębałowie.

Maria Suder



Mieszkańcy Czyżyn, lata 30. XX w.



Dożynki w Czyżykach w 1937 r. Tuż za wieńcem stoją od lewej: sołtys Andrzej Malinowski, gospodyni Zofia z Czernków Salwińska, gospodarz Jan Zbroja.



Żniwa w majątku dworskim, Czyżyny, l928 r.



Rodzina Moskałów przy zrywaniu liści tytoniu, z przodu Marysia Moskała oraz Basia i Zosia Salwińskie, 1940 r.



Na podworcu przed stodołą na wózku Jakub Mól z żoną i dziećmi, stoi ojciec Jakub Mól, Czyżyny, początek lat 30. XX w.



Zwózka słomy do stodoły w majątku dworskim, Czyżyny, lata 20. XX w.



Żniwa w majątku dworskim, Czyżyny, lata 30. XX w.









Uroczystości dożynkowe w Czyżynach, lata 20-30. XX w.







Zdjęcie z dożynek w 1937 r. od lewej stoją: sołtys Andrzej Malinowski, gospodyni Zofia Salwińska, gospodarz Jan Zbroja



Procesja Bożego Ciała idąca ulicą Kościelną, Czyżyny, lata 50. XX w.



I Komunia Św. dzieci z klasy IIIa SP w Czyżynach, Mogila, lata 30. XX w.



Ślub Jana Tynora i Franciszki z Tynorów, Czyżyny, 1935 r.



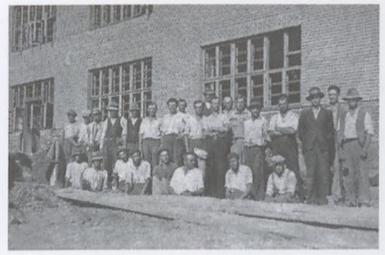






Zdjęcia z rodzinnego albumu Tynorów z Czyżyn, lata 30. XX w.

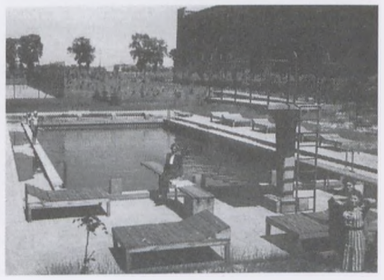












Monopol Tytoniowy w Czyżynach, lata okupacj niemieckiej















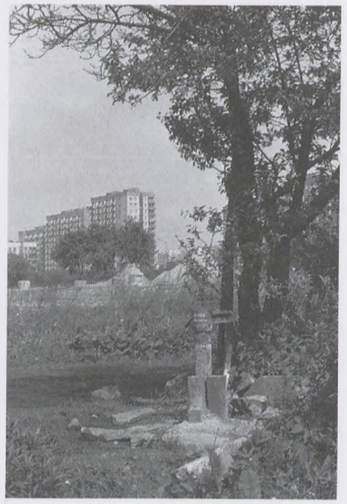








Czyżyny, ulica Sielanka, 1986 r. fot. Jan Zych







Fot. Mieczysław Libront





Antoni Broś – rolnik, wójt gminy Czyżyny, uczestnik Polskiej Pielgrzymki do Ziemi Świętej w 1909 roku

Antoni Broś urodził się 13 września 1867 r. w Czyżynach w rodzinie rolniczej. Miał trzech synów i dwie córki. Zajmował się rolnictwem i częściowo działalnością handlową. Zdobył zaufanie ówczesnych mieszkańców Czyżyn i został wójtem Gminy Czyżyny. Gdy w 1909 roku zaczęto organizować II-ą Polską Pielgrzymkę do Ziemi Świętej, zgłosił w niej swoje uczestnictwo. Z Czyżyn w pielgrzymce uczestniczył tylko on jeden. Pielgrzymkę organizował Zakon Braci Mniejszych– Komisariat Ziemi Świętej przy ul. Reformackiej w Krakowie. Organizowanie pielgrzymki wówczas było bardzo utrudnione; ziemie polskie były pod 3-ma zaborami, czas pielgrzymki był bardzo długi, podróż odbywała się pociągami i okrętami, sytuacja międzynarodowa napięta, dochodziło do tego zamawianie noclegów, wyżywienie etc., nie mówiąc o kosztach. Pomimo tych trudności zebrało się 453 pielgrzymów ze wszystkich dzielnic polskich i z różnych stanów. Trasa przebiegała z Krakowa pociągiem przez Wiedeń do Triestu, a następnie statkiem przez Morze Adriatyckie, Jońskie i Śródziemne do Jaffy w Palestynie, a stamtąd pociągiem do Jerozolimy.

Antoni Broś na tę pielgrzymkę ufundował z własnych środków finansowych sztandar z bardzo wysokim drzewcem i zabrał go ze sobą do Ziemi Świętej, aby go poświęcić. Występował tam w stroju krakowskim, co widać na fotografiach. Ojciec Zygmunt Janicki we wspomnieniach z tej pielgrzymki pisze, że „(...)z dworca kolejowego w Jerozolimie szli procesjonalnie uformowani w czwórkach. Wyglądało to malowniczo, otwierali ją 4 – ej kawasi w malowniczych strojach z buławami w ręku, którymi w takt uderzali, a za nimi chorąży w krakowskim stroju, wójt z Czyżyn z rozwiniętym sztandarem".

Pielgrzymka była podzielona na 5 grup, które robiły sobie pamiątkowe zdjęcia z wójtem z Czyżyn w krakowskim stroju, ze sztandarem w ręku. Cała pielgrzymka trwała od wyjazdu z Krakowa do przyjazdu do Krakowa od 9 do 31 sierpnia 1909 r., zaś w samej Ziemi Świętej od 16 do 23 sierpnia 1909 r.

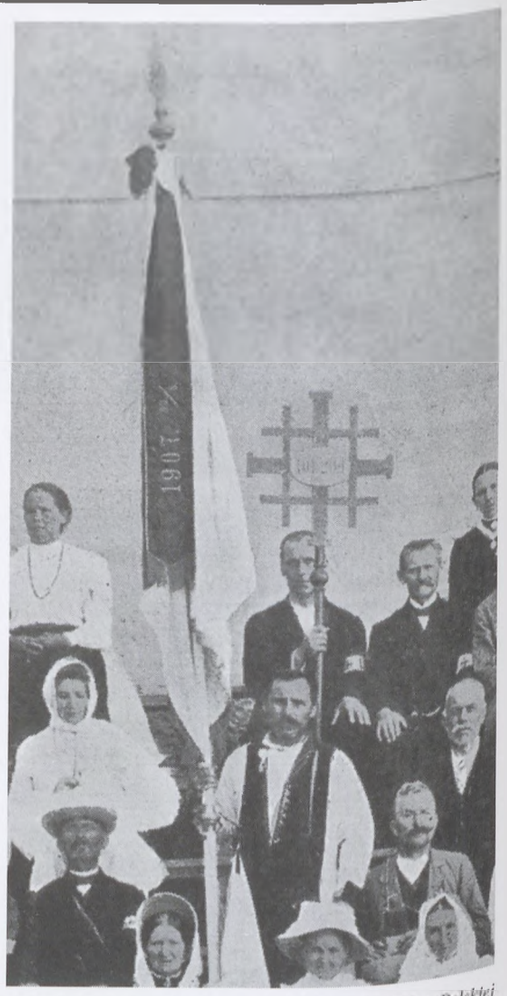
Ponieważ w Czyżynach nie było wtedy jeszcze kościoła (zaczęto go budować dopiero w 1936 r.), Antoni Broś, fundator sztandaru, złożył go w kościele parafialnym p.w. św. Bartłomieja w Mogile, gdzie sztandar przebywał do 1951 r. W tym samym roku przeniesiono go do nowopowstałej parafii p.w. św. Judy Tadeusza w Krakowie – Czyżynach, przy ul. Wężyka, gdzie znajduje się do dziś. Sztandar jest noszony w czasie najważniejszych uroczystości kościelnych przez krewnych rodziny Brosiów.

Antoni Broś zmarł 4.07.1940 r. w domu rodzinnym przy ul. Woźniców w Krakowie – Czyżynach. Pochowany został na cmentarzu w Mogile, wspólnie z Nim w grobie spoczywa żona Maria z domu Cieluch (zmarła 6.01.1956 r.).

Za udostępnienie materiałów archiwalnych, które posłużyły do napisania niniejszego opracowania składam gorące podziękowanie Ojcu Paschalisowi z Komisariatu Ziemi Świętej Braci Mniejszych w Krakowie.

mgr Mieczysław Marzec,
mąż Heleny z domu Broś,
wnuczki Antoniego Brosia – fundatora omawianego sztandaru





Antoni Broś ze sztandarem pośród uczestników Polskiej Pielgrzymki do Ziemi Świętej w 1909 r.







Wykup ziem pod krakowskie lotnisko Rakowice-Czyżyny

Na przełomie lat 20. i 30. lotnisko Rakowice – Czyżyny podjęło intensywny wykup okolicznych ziem. Proces ten jednak nie miał stabilnego przebiegu. Decyzję o zajęciu obszarów przynależnych do gmin Rakowice i Czyżyny podjęto na podstawie orzeczeń wywłaszczeniowych Województwa Krakowskiego dnia 21 lipca 1928 roku. Realizacja tych wywłaszczeń w praktyce rozpoczęła się od roku 1929. Przejmowanie przez skarb państwa tych gruntów zostało potwierdzone przez wyrok Sądu Grodzkiego w Krakowie, oddziału XI cywilnego, 5 października 1929 roku. Zostało również usankcjonowane przez prawomocne orzeczenie Województwa Krakowskiego 26 października tegoż samego roku. Skarb państwa miał przejąć łączny obszar 40 ha 1054 metry kwadratowe. 1 metr kwadratowy ziemi został wyceniony na 4 złote i 50 groszy. Całkowity koszt wykupu zamykał się w kwocie 1.804.743 złotych[1].

Władze wojskowe szybko doszły do przekonania, że cena wykupu ziemi pod rozwój lotniska Rakowice-Czyżyny jest stanowczo za wysoka. Zaczęto robić wszystko, aby zmienić ten stan rzeczy. Rozpoczęła się zacięta batalia, aby obniżyć cenę wykupu. Po trzech latach władze wojskowe osiągnęły sukces. Odszkodowanie za 1 wywłaszczony metr kwadratowy ziemi pod poszerzany teren lotniska spadło w ciągu 3 lat o 1 złoty. Trudno rozstrzygnąć, czy miało to związek z inflacją. O fakcie tym zadecydowały następujące po sobie decyzje. Pierwszą z nich był wyrok Sądu Grodzkiego w Krakowie z dnia 7 lipca 1932 roku. Ustalił on cenę za 1 metr kwadratowy ziemi na 3 złote 60 groszy. Sąd Okręgowy w Krakowie 1 grudnia 1932 roku potwierdził decyzję Sądu Grodzkiego. Decyzje te zostały także potwierdzone przez Najwyższy Sąd w Warszawie. Miało to miejsce 21 kwietnia 1933 roku[2]. Sukcesu strona wojskowa nie mogła być do końca pewna. Za wywłaszczone tereny przejmujący je nie płacili od razu. Tym samym narażali się na naliczanie odsetek za zwłokę. Jak raportowano z okręgowego Urzędu Budownictwa nr V w Krakowie zaległe wobec wywłaszczonych mieszkańców odsetki do dnia 1 marca 1933 roku wynosiły 106080 zł 07 groszy. W piśmie tym informowano, że jeśli wypłata pieniędzy dla wnoszących roszczenia wywłaszczonych mieszkańców nie nastąpi do 2 marca 1933 roku, to odsetki wzrosną i będą wynosić 143 złote 39 groszy za każdy dzień[3]. Jednocześnie do Ministerstwa Skarbu w Warszawie zaczęły napływać listy zdeterminowanych mieszkańców. Autor jednego z nich, w dramatyczny sposób, językiem prostego mieszkańca podkrakowskiej wsi Czyżyny, opisywał swoją ciężką sytuację. Piotr Raźny, mieszkaniec domu nr 11 w Czyżynach, stwierdzał, że od czasu wywłaszczeń w 1929 roku został całkowicie bez środków do życia. W swoim liście zwracał się z apelem o pomoc i odpowiedź[4]. Listy te być może były w pewnej części inspirowane przez krakowskich adwokatów reprezentujących gminę Czyżyny. Byli nimi mecenasi: dr Władysław Kołodziejczyk, dr Józef Woźniakowski oraz dr Ludwik Rattler. Reprezentowali oni Czyżyny nie tylko przed organami wojskowymi, byli także jej pełnomocnikami w sporze z Powiatowym Zarządem Drogowym (dalej skrót PZD)w Krakowie. PZD w Krakowie, rościł sobie niesłuszne, w przekonaniu gminy Czyżyny, pretensje do odszkodowań za drogi gminne, wywłaszczone pod lotnisko w roku 1929. Według gminy Czyżyny to właśnie jej należało się odszkodowanie za te drogi[5]. Wspomniani mecenasi również podkreślali w swoich pismach, że wywłaszczeni mieszkańcy znaleźli się w rozpaczliwym położeniu. Stwierdzali, że największym dramatem dla tych ludzi jest to, że nie mogą niczego uprawiać na przejętej pod lotnisko ziemi. Według adwokatów dzieje się tak, mimo iż na przeważającym obszarze gruntów nie są prowadzone żadne inwestycje. Pisali, że w znaczny sposób frustrację mieszkańców rozwiązałoby zezwolenie na działalność rolniczą na tych terenach. Argumentowali, że niemogący się doczekać wypłat dawni właściciele tychże gruntów znów mogliby normalnie funkcjonować. Reprezentujący mieszkańców prawnicy dowodzili, że na podstawie takiej decyzji mogliby wpłynąć na wywłaszczonych, którzy zredukowaliby swoje żądania i zrzekli się należnych im odsetek. Wedle adwokatów nastąpiłoby to na warunkach tzw. ugody pozasądowej. Mecenasi wyjaśniali, że jeśli wypłata odszkodowania w całości w gotówce byłaby niemożliwa, to staraliby się oni nakłonić wywłaszczonych do przyjęcia odszkodowania częściowo w gotówce, a częściowo w papierach wartościowych[6]. Wnioskujący o ugodę pozasądową dopatrywali się pozytywnych korzyści dla dwóch stron. Powyższe pismo było wynikiem rokowań między wojskowymi władzami budowlanymi a reprezentującą trójką adwokatów. Spotkanie dwóch stron odbyło się 26 stycznia 1933 roku.

Propozycja przedstawicieli mieszkańców wywłaszczonych gruntów spowodowała dość szybką reakcję władz wojskowych. Ówczesny dowódca Okręgu Korpusu Nr V, gen. bryg. Aleksander Narbut-Łuczyński szczegółowo informował o rokowaniach z 26 stycznia 1933 roku szefostwo Departamentu Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie. W swoim piśmie wspominał o korzyściach, jakie mogło dać szybkie załatwienie sprawy odszkodowań za grunty. Pisał, że ustępstwa wywłaszczonych uzależnione są od nieodległego terminu wypłat odszkodowań. Sugerował też, że jeśli rekompensata nastąpi w najbliższym czasie, to ustępstwa wywłaszczonych mogą być jeszcze większe. Gen. A. Narbut–Łuczyński zwracał się również do Szefostwa Departamentu Budownictwa Ministerstwa Spraw

Wojskowych o podanie konkretnych wytycznych w negocjacjach z wywłaszczonymi. Prosił też o określenie granic, do których może się posunąć w negocjacjach szef Budownictwa Okręgu nr V. Nadmieniał, że brak dokładnych wskazówek, a zwłaszcza ścisłej, wiążącej ceny sprawi, że wywłaszczeni również nie sprecyzują swoich warunków. Zdaniem dowódcy Okręgu Korpusu nr V spowoduje to zniweczenie osiągnięć dotychczasowych negocjacji[7].

Decydujący przełom w relacjach wywłaszczający – wywłaszczeni miał miejsce w 1934 roku. Pomiędzy stronami doszło do długo oczekiwanej ugody. Na podstawie tych umów, zawartych 17 marca i 12 kwietnia 1934 roku, obniżono wysokość odszkodowania do kwoty 3 złotych 24 groszy za 1 metr kwadratowy. Władze wojskowe przewłaszczyły na rzecz Skarbu Państwa i opłaciły grunty w gminie Czyżyny o łącznej powierzchni 43 hektarów 6.560 $m_{,}$. Całkowity koszt wykupu wyniósł zaś 1.414.454 złotych i 40 groszy[8]. Dla pozyskujących grunty był to sukces. Po pierwsze, ostatecznie zakupili oni obszar znacznie większy, niż dokonano tego w październiku 1929 roku. Po drugie cenę kupna na przestrzeni blisko 4,5 roku negocjacji udało się obniżyć o 1 złoty i 26 groszy za m^2, (październik 1929 – 4.50 za 1 metr kwadratowy, lipiec, grudzień 1932 – 3.60 za metr kwadratowy, marzec – kwiecień 1934 – 3.24 za metr kwadratowy). W całościowym przeliczeniu dało to wypłacającym blisko 400.000 złotych oszczędności.

26 marca 1934 roku Rada Gminy Czyżyny wyraziła zgodę na przekazanie na rzecz rozszerzanego lotniska dróg gminnych, przy czym gmina chciała uzyskać jak najlepszą stawkę. Zaleciła więc swoim reprezentantom, aby podjęli dalsze starania na rzecz zwiększenia sumy ugodowej. Jednocześnie widać było, że sprzedającym potrzebny jest jak najszybszy zastrzyk finansowy. Radzie Gminy Czyżyny zależało na uzyskaniu od razu cvałej kwoty, planowała bowiem przeznaczyć ją na spłatę długów zaciągniętych w Gromadzkiej Kasie Oszczędności w Krakowie[9]. Drogi Gminy Czyżyny zostały nabyte pod obszar lotniska 4 września 1934 roku. Pół roku później nabyto drogi od Gminy Rakowice. Było to 21 lutego 1935 roku. Odpowiednie kwoty (26.150 zł, 40 gr. dla Gminy Czyżyny i 20142 złote 36 groszy dla Gminy Rakowice z łącznej puli 46.292 złotych i 40 groszy) zostały wypłacone w gotówce[10]. W tym też okresie ostatecznie zostały uregulowane wypłaty odszkodowań dla wszystkich wywłaszczonych, których ziemie wchłonęło lotnisko.

Uregulowanie w 1935 roku odszkodowań na linii wywłaszczający – wywłaszczeni nie przerwało dalszych konfliktów. Po roku 1935 miały miejsce dalsze roszczenia mieszkańców względem wojska. W przeważającej części były to drobne sprawy, nie miały tak strategicznego znaczenia jak poprzednio. Przykładowo w czerwcu 1937 roku krakowskie DOK nr V rozpatrywało sprawę mieszkańca wsi Czyżyny, Wawrzyńca Radoszka. Domagał się on wykupienia skrawka swojego gruntu. Żądanie to wynikało z faktu, iż podczas budowy ogrodzenia z siatki drucianej na lotnisku w Czyżynach, postawiono słupy betonowe na części prywatnych, niewykupionych gruntów W. Radoszka[11]. Sprawę tę załatwiono 21 lipca 1937 roku, kiedy to W. Radoszek aktem notarialnym „sprzedał wojsku" grunty za 388 złotych 80 groszy[12]. 8 marca 1937 roku została również załatwiona ciągnąca się dosyć długo sprawa opłat komunalnych od przywłaszczenia gruntów na lotnisku. Szef krakowskiego okręgowego budownictwa w jednym z pism wysłanych do Warszawy meldował, że zaległa kwota została w całości wyrównana[13]. Do okresu II wojny światowej nie prowadzono już żadnych istotnych wywłaszczeń pod rozwój lotniska Rakowice-Czyżyny. Jednak perspektywy rozszerzenia lotniska, a tym samym wykupu kolejnych gruntów nie przekreślono. Działania takie przewidywano na lata 1939-1940. Planowano nabycie 290 013 hektarów ziemi w gminach Bieńczyce i Czyżyny (tak więc lotnisko miało przesunąć się jeszcze bardziej na północny-wschód). Sporządzający pismo szef Budownictwa DOK V pisał, że wydatek Skarbu Państwa na ten cel miał wynieść łącznie 580.000 złotych (przy założeniu wykupu po 2 zł za 1 metr kwadratowy ziemi)[14]. Plany te przerwał wybuch wojny. Niemniej eksploatujący lotnisko w latach 1939-1945 Niemcy rozszerzyli je właśnie w tym kierunku. Nie było wtedy mowy o jakichkolwiek odszkodowaniach.

Warto również zwrócić uwagę, że sprawy terytorialnego poszerzania lotniska były zupełne niezależne od kompetencji 2. Pułku Lotniczego. Zagadnienia te podlegały DOK nr V.

Dr Remigiusz Kasprzycki

Przypisy:

1 Pismo Okręgowego Urzędu Budownictwa w Krakowie do Izby Skarbowej w Krakowie nr 898–Kr–ZN z dnia 4 lipca 1935 roku dotyczące opłat od obszarów wywłaszczonych i zakupionych przez Skarb Państwa pod lotnisko Rakowice-Czyżyny Centralne Archiwum Wojskowe (dalej skrót CAW), Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

2 Referat dla Pana Wiceministra Spraw Wojskowych Nr 8910/ZN/33/Ter. CAW, Departament Budownictwa

Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

3 Pismo Okręgowego Urzędu Budownictwa Nr V w Krakowie Nr 898/Kr. Czyż. ZN z 24 lutego 1933 roku do Szefa Departamentu Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie CAW, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

4 List Piotra Raźnego do Ministerstwa Skarbu Państwa w Warszawie z 10 marca 1933 roku. CAW, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

5 Protokół posiedzenia Rady Gminnej gminy Czyżyny, odbytego dnia 26 marca 1934 roku w kancelarii urzędu gminnego pod przewodnictwem naczelnika gminy Andrzeja Malinowskiego, Archiwum Państwowe w Krakowie (dalej skrót AP), sygn. arch. Gmina Mogiła Gm. Mo1, Oddział Orzeszkowa.

6 Odpis z pisma o wniosek w sprawie ugody na drodze pozasądowej pomiędzy Skarbem Państwa a wywłaszczonymi mieszkańcami wsi Czyżyny z 26 stycznia 1933 roku, CAW, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

7 Pismo szefa DOK nr V w Krakowie, gen. bryg. Aleksandra Narbut–Łuczyńskiego Nr 898/Kr.Cz.N, z 14 lutego 1933 roku do Szefa Departamentu Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie, CAW, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

8 Pismo Okręgowego Urzędu Budownictwa w Krakowie do Izby Skarbowej..., op. cit.

9 Protokół z posiedzenia Rady Gminnej gminy Czyżyny, odbytego dnia 5 lipca 1934 roku, pod przewodnictwem naczelnika gminy Andrzeja Malinowskiego, AP, sygn. arch. Gmina Mogiła. Gm. Mo.1, Oddział Orzeszkowa

10 Pismo Okręgowego Urzędu Budownictwa w Krakowie do Izby Skarbowej...op. cit. Pismo szefa Budownictwa DOK V w Krakowie z 4 czerwca 1935 roku dot. uregulowania należności skarbowych i komunalnych za grunta wywłaszczone pod lotnisko, skierowane do Szefa Departamentu Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie, CAW, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

11 Pismo DOK nr V w Krakowie z 11 czerwca 1937 roku dot. wykupu skrawka gruntu na lotnisku należącego do Wawrzyńca Radoszka, skierowane do Szefa Departamentu Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych w Warszawie. CAW, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

12 Umowa sprzedaży dokonana 21 lipca 1937 roku w kancelarii notarialnej dr Bolesława Czuchajowskiego w Krakowie, ul. Św. Jana 18 pomiędzy Wawrzyńcem Radoszkiem a kpt. Wacławem Chrz kierownikiem Okręgowego Urzędu Budownictwa nr V w Krakowie, CAW, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

13 Pismo szefa Budownictwa OK V kpt. Wacław Chrz z 11 maja 1937 roku w sprawie wypłat należności, skierowane do Szefa Departamentu Budownictwa Ministerstwa spraw Wojskowych w Warszawie, CAW, Departament Budownictwa Ministerstwa Spraw Wojskowych, sygn. arch. I.300.63.203.

14 Pismo szefa Budownictwa OK V mjr inż. Konarskiego z 27 czerwca 1938 roku, CAW, DOK V, sygn. arch. I 371.5.295.

P.S.

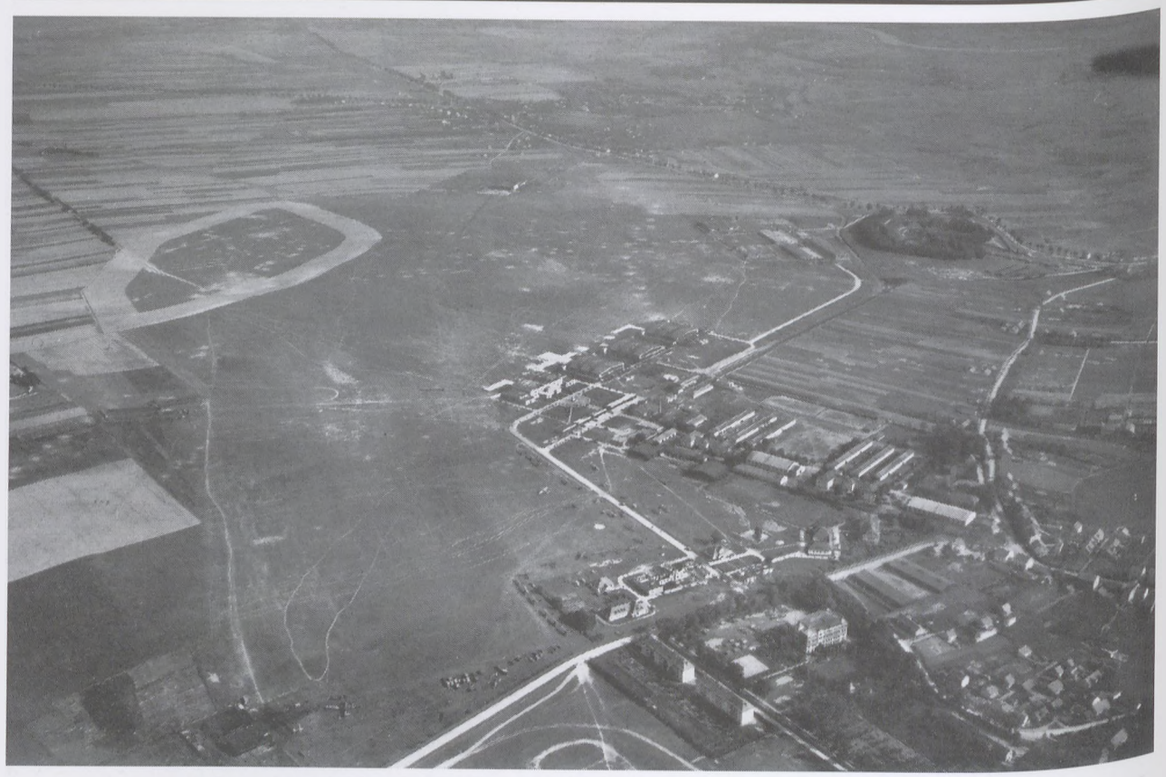
Pod koniec lat dwudziestych stało się jasne, że stary dworzec lotniczy zlokalizowany przy obecnej ulicy Akacjowej nie jest w stanie podołać rozwijającej się komunikacji lotniczej. W 1929 roku rozpoczęto w Czyżynach budowę nowoczesnego portu lotniczego. Po dwóch latach budowy, jesienią 1931 roku lotnisko Rakowice – Czyżyny otrzymało nowy dworzec lotniczy. Jego uroczystego otwarcia dokonał 4 grudnia tegoż roku minister komunikacji, inż. Alfons Kühn. Ceremonii poświęcenia dokonał metropolita krakowski, arcybiskup Adam Sapiecha, przemówienie wygłosił również delegat Wydziału Lotnictwa Cywilnego Ministerstwa Komunikacji. Delegacja towarzysząca ministrowi A. Kühnowi zwiedziła nowy hangar portu lotniczego i lotnisko[1]. Krakowski port lotniczy był czwartym, nowoczesnym dworcem tego typu, po obiektach powstałych w Warszawie, Lwowie i Poznaniu[2]. Koszt jego budowy wyniósł, około 1.300.000 złotych[3]. Użytkowany od 1926 roku stary dworzec lotniczy przekazano na użytek Aeroklubu Krakowskiego. Obiekt dworca lotniczego budowało Ministerstwo Komunikacji, wcześniej uzgodniwszy swoje plany z władzami wojskowymi.

[1] Nowy port lotniczy w Czyżynach, „Ilustrowany Kurier Codzienny", 7 grudnia 1931, nr 338, R. XXII, s. 11. Zob. też: Program uroczystości związanych z pobytem Pana Ministra Komunikacji inż. Alfonsa Kühna, w Krakowie, w dniu 5 grudnia 1931 roku. Kserokopia zaproszenia dołączona do pracy.

[2] Kronika Polska, „Skrzydlata Polska", grudzień 1931, R. II (VIII), nr 12 (86), s. 321.

[3] Nowy port lotniczy w Czyżynach..., op. cit.

Artykuł „Wykup ziem pod krakowskie lotnisko Rakowice-Czyżyny" stanowi fragment obszernej dysertacji dr Remigiusza Kasprzyckiego: „Rakowice – Czyżyny 1921-1955. Krakowskie lotnisko w służbie wojskowej i cywilnej." napisanej pod kierunkiem Prof. dr hab. Andrzeja Chwalby, w Krakowie, w 2007 roku, której autor poszukuje wydawcy. (dop. red.)

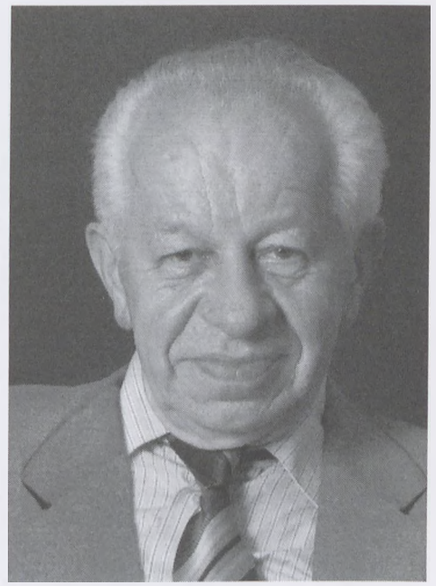


Lotnisko Rakowice-Czyżyny od strony Prądnika Czerwonego, widok z lotu ptaka, ok. 1937 r.



Samolot pasażerski typu Junkers F-13. Cywilny Port Lotniczy Rakowice-Czyżyny, ok. 1925 r. Zbiory Wojciecha Sankowskiego, Wrocław

Lotnisko w Czyżynach i jego najbliższa okolica



Pas startowy o długości 2,5 km budowany był na płycie lotniska przez Niemców w czasie okupacji. W przekroju ma on grubość ok. 100 cm z czego ok. 70 cm to podsypka żwirowa, na której położona jest 30 centymetrow płyta betonowa. Do jego budowy konieczne były duże ilości żwiru i piasku. Dostarczano je kolejką wąskotorową z wyrobiska zwanego Stawem Gutmana na Dąbiu (obecnie przy al. Pokoju, obok galerii Plaza Kraków) oraz z płaszowskich Bagrów. Tory kolejki biegły w linii prostej od Stawu Gutmana, koło fortu nr 15, do Czyżyn. Wagoniki (kolebki) ciągnęła lokomotywa spalinowa ale bywało, że pchali je jeńcy lub internowani z obozu pracy Baudienst.

Obszar zajęty przez lotnisko miał granice sięgające od tzw. drogi wojewódzkiej (dzisiejsza al. Jana Pawła II), ul. Bieńczycką aż po Bieńczyce. Prostopadle do drogi bieńczyckiej wysypane były wały, pomiędzy którymi stały niemieckie samoloty wojskowe. Wały były na tyle wysokie, że w czasie nalotów pomiędzy nimi rozciągana była siatka maskująca, przykrywająca samoloty

Z domów znajdujących się wzdłuż północnej strony drogi wojewódzkiej Niemcy wysiedlili wszystkich mieszkańców i przekazali je jednostkom ochrony lotniska (w większości Ukraińcy). Właściciele odzyskali domy po wojnie w stanie zdewastowanym.

Na obrzeżu lotniska, wzdłuż drogi wojewódzkiej i drogi bieńczyckiej, biegły tory kolejowe. Budynek stacji PKP w Czyżynach usytuowany był na wysokości dzisiejszej stacji benzynowej przed stanowiskami autobusowymi PKS. Stał on pomiędzy drogą a torami kolejowymi. Stacja Czyżyny posiadała dwa perony i bocznicę, przy której była rampa rozładowcza oraz magazyn towarów transportowanych przez PKP. Tory położone były na nasypie. który zniwelowany został dopiero w czasie budowy drugiego pasa drogowego Alei Planu 6-letniego z Nowej Huty w kierunku Krakowa. Wtedy też, w 1951 r., wyburzono budynek stacji kolejowej w Czyżynach. Ponieważ kolej jeszcze funkcjonowała postawiono prowizoryczny barak służący za przystanek PKP. Stanął on po północnej stronie torów, w pasie ul. Jutrzenka.

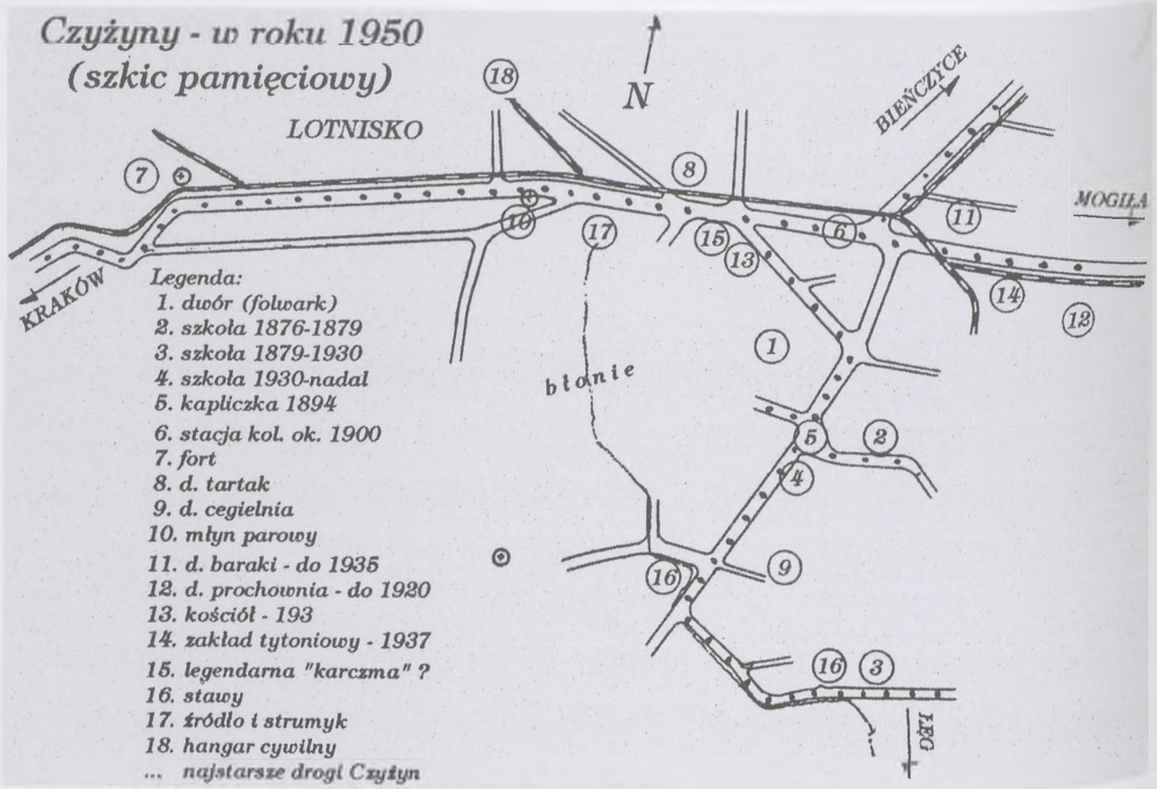
Wzdłuż południowej strony drogi wojewódzkiej usytuowane były budynki mieszczące aptekę, karczmę, skład zboża, kuźnię, a nieco niżej nawet młyn parowy. Po drugiej stronie torów kolejowych, od strony lotniska, równolegle do drogi wojewódzkiej biegła ulica Jutrzenka, której fragment wraz z zabudową kilku domów zachował się do dziś. Na drodze z Czyżyn do Mogiły, na przejeździe kolejowym, ustawione były szlabany. Tory przecinały drogę z lewej na prawą stronę.

Dzisiejsza ul. Dąbrowskiej biegnie po trasie krótkiej uliczki, skierowanej od drogi wojewódzkiej w kierunku płyty lotniska, która zaraz po wojnie nosiła nazwę Radiowa. Przy niej zlokalizowany był tartak, którego resztki zachowały się jeszcze do czasów powojennych. Ulica wzdłuż torów kolejowych, od ul. Radiowej w stronę Krakowa nosiła nazwę Sielanka.

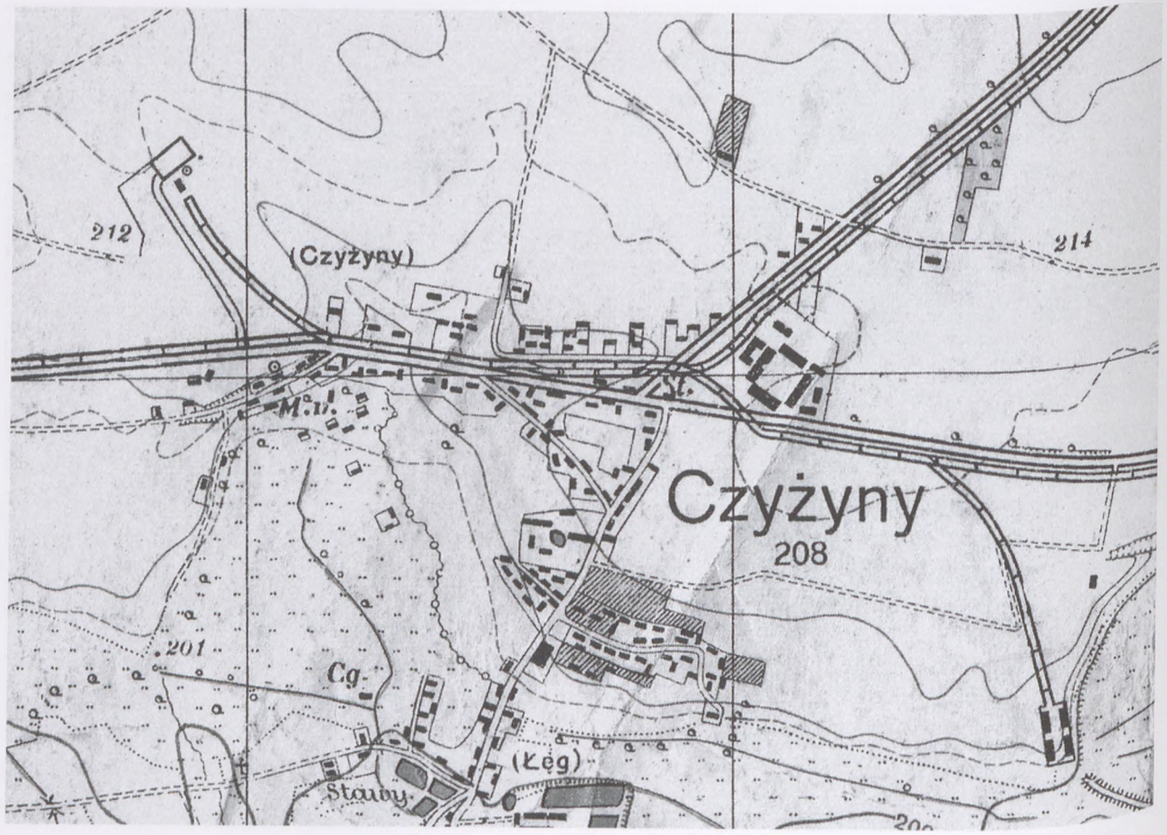
Za budynkiem stacji kolejowej w Czyżynach, a przed zakrętem drogi do Bieńczyc, obok magazynów kolejowych, znajdował się dom państwa Pająków. Po wojnie przeniesiono tu pocztę, która wcześniej była w budynku karczmy Piotra Krupy, po drugiej stronie drogi wojewódzkiej. Po zburzeniu budynku murowanego stacji kolejowej jej funkcję przejął czasowo barak po drugiej stronie peronów, przy ul. Jutrzenka (dziś już też nie istniejący).

Z Krakowa do Kocmyrzowa jeździły 3 pociągi. W czasie zaborów Kocmyrzów był ostatnią miejscowością w Galicji przed granicą zaboru rosyjskiego. Na stacji w Czyżynach zatrzymywały się ok. 5 rano, 10, 14 i 20, natomiast jadąc z Kocmyrzowa do Krakowa odjeżdżały z Czyżyn o godz. 7, 12, 16 i 22. Do Mogiły pociąg jeździł 2 razy dziennie (z Czyżyn odjeżdżał rano i po południu).

Ulica Jutrzenka przecinała drogę do Bieńczyc i biegła dalej, aż do koszarów austriackich, rozlokowanych wzdłuż drogi do Mogiły (w miejscu dzisiejszego osiedla Kolorowego). Budynek z czerwonym dachem na początku ul. Bieńczyckiej, pomalowany dziś na biało, kiedyś był odwachem (wartownią) stojącym przed bramą koszar. W miarę kolejnych etapów rozbiórek baraków koszarowych powstawały w tym miejscu domy mieszkalne, które w większości przetrwały do obecnych czasów.



Szkic pamięciowy dawnej zabudowy Czyżyn wg. Stanisława Sudera



Fragment mapy wojskowej z lat 30. XX w.

Na skraju dawnego lotniska, w miejscu dzisiejszego placu targowego „TOMEX", podczas budowy Nowej Huty była baza Społecznego Przedsiębiorstwa Budowlanego (później przemianowanego na Przedsiębiorstwo Budowy Mieszkań Nowa Huta a następnie na Kombinat Budownictwa Mieszkaniowego). Dostarczano do niej materiały budowlane bocznicą kolejową odchodzącą ze stacji w Czyżynach. Do dziś zachował się fragment nasypu, na którym ułożone były tory. Ciekawe może być to, że wśród materiałów dowożonych w latach 50-tych do SPB były m.in. cegły pochodzące ze zniszczonych domów we Wrocławiu.

kwiecień 2005 r. ***Opr. Antoni Łapajerski***

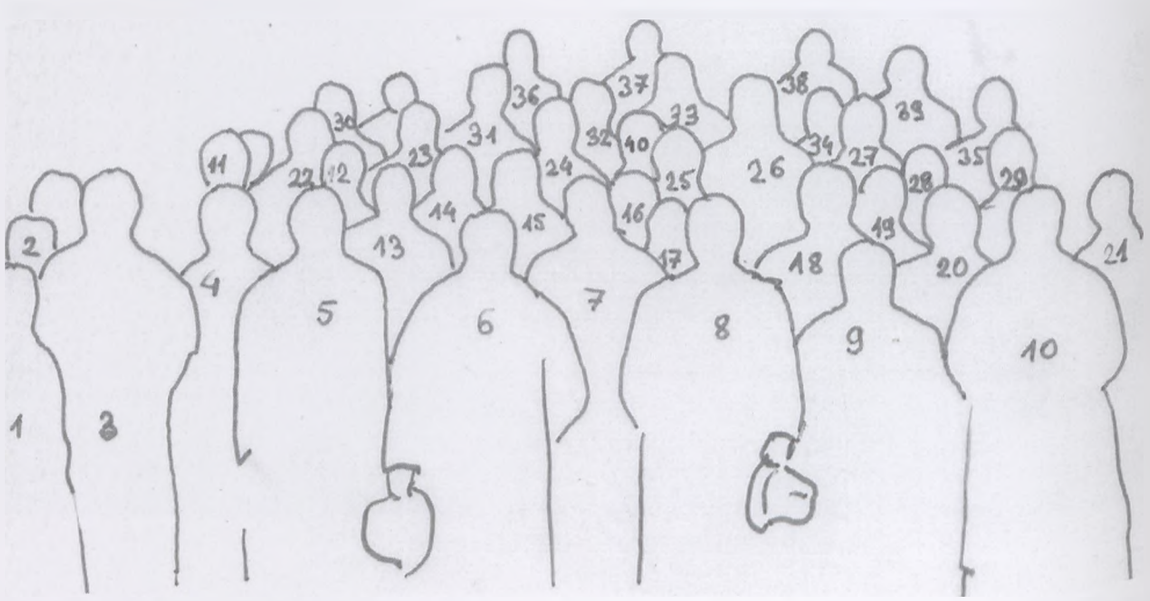
na podstawie wspomnień Józefa Hajto (na zdjęciu)



Czyżyny, widok z lotu ptaka, ok. 1937 r.

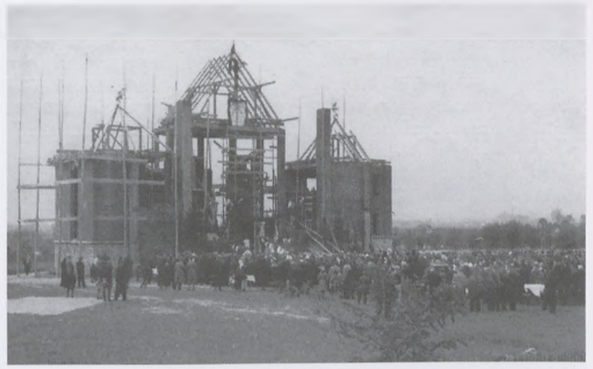
Poświęcenie kamienia węgielnego kościoła Św. Judy Tadeusza w Czyżynach – październik 1936 r.





1. Zofia Broś, 2. Kazimierz Suder, 3. Agnieszka Zbrojowa, 4. Jan Szklarczyk, 5. inż. Ignacy Styrski, 6. Ks. ?, 7. Ks. Józef Zastawniak, 8. Tadeusz Polaczek-Kornecki, 9. ?, 10. Maria Szklarczyk, 11. Józef Salwiński, 12. ?, 13.?, 14. Zofia Broś, 15. Anna Taborowa, 16. Franciszka Boligłowa, 17. Małgorzata Czernek, 18. Kazimierz Cieślewicz, 19. Franciszka Hajto, 20. Jan Suder, 21. J. Tabor, 22. Jan Zbroja, 23. Agnieszka Malinowska, 24. Andrzej Malinowski, 25. Jan Malinowski, 26. Piotr Krupa, 27. Jan Książek, 28. Jan Tynor, 29. Władysław Hajto, 30. Jan Czernek, 31. Wawrzyniec Radoszek, 32. Kazimierz Tynor, 33. Franciszek Marszałek, 34. Stanisław Tynor, 35. Wojciech Tyrka, 36. Piotr Pitra, 37. Stanisław Boligłowa, 38. Antoni Broś, 39. Władysław Gaweł, 40. Jakub Tyrka.



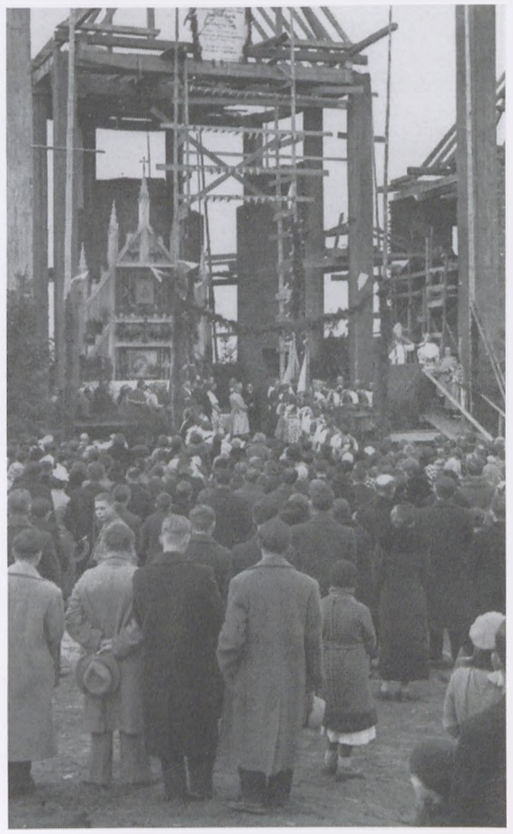




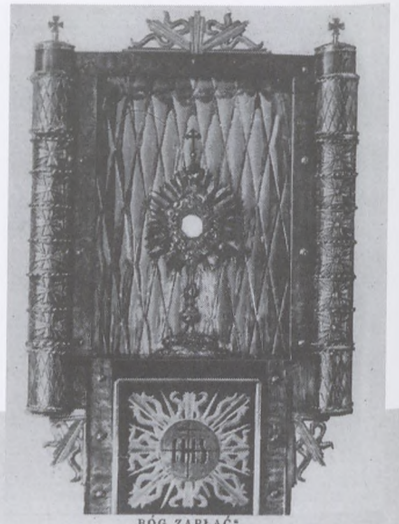
Ks. Arcybiskup Metropolita Krakowski Adam Stefan Sapieha podczas uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego w kościele Św. Judy Tadeusza w Czyżynach, 11 października 1936 r.



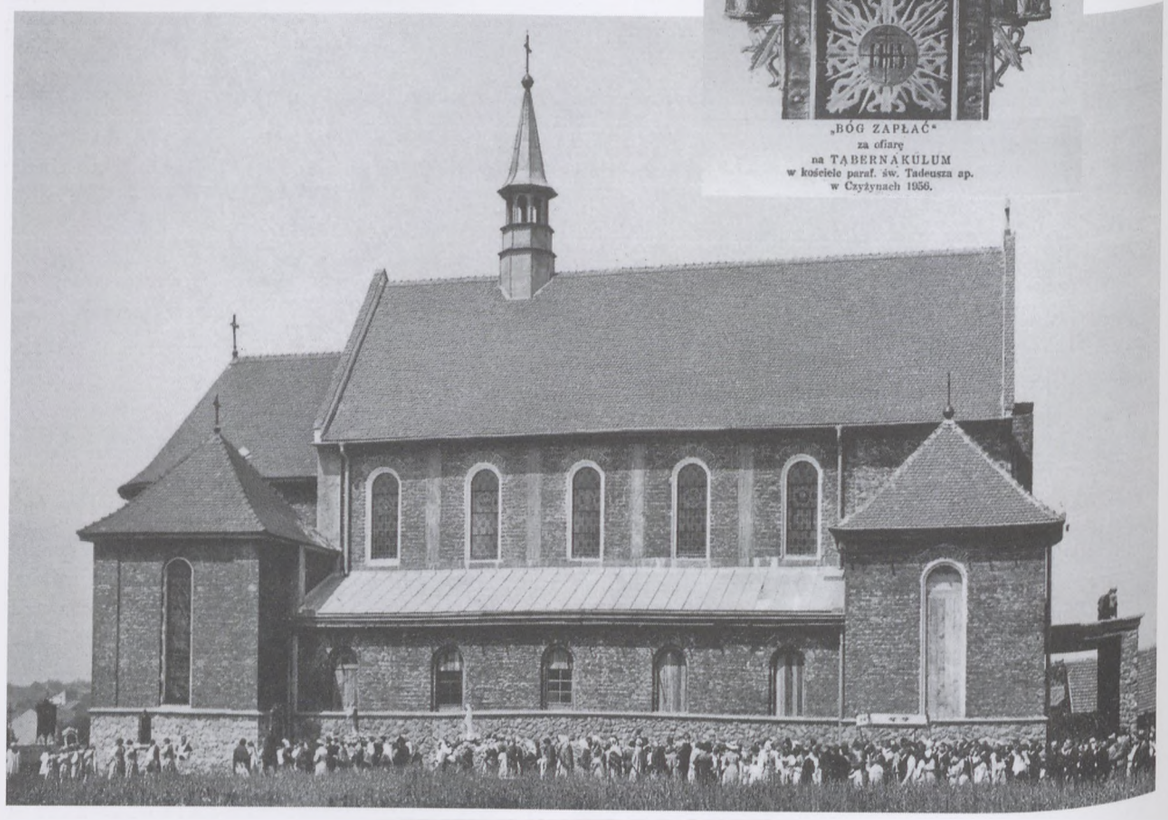




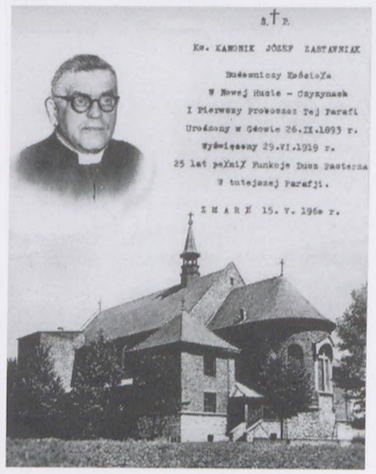




„BÓG ZAPŁAĆ"
za ofiarę
na TABERNAKULUM
w kościele paraf. św. Tadeusza ap.
w Czyżynach 1956.



Kościół p.w. Św. Judy Tadeusza w Czyżynach



S.† P.

Ks. KANONIK JÓZEF ZARZAWNIAK

Budowniczy Kościoła
W Nowej Hucie - Czyżynach
I Pierwszy Proboszcz Tej Parafii
Urodzony w Głowie 26.IX.1893 r.
Wyświęcony 29.VI.1919 r.
25 lat pełnił Funkcje Dusz Pasterza
W tutejszej Parafji.

ZMARŁ 15. V. 1964 r.



Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej

Oddział w Czyżynach

Młodzież katolicka w Czyżynach w okresie międzywojennym aktywnie uczestniczyła w życiu wsi. Zorganizowana w Żywym Różańcu Dziewcząt i Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej i Żeńskiej prowadziła działalność kulturalną przygotowując inscenizacje przedstawień – spektakl „Kościuszko pod Racławicami" był wspominany jeszcze po wojnie – uczestniczyła w pielgrzymkach i uroczystościach religijnych, czego dowodem może być tłumny udział udokumentowany fotografią umieszczoną na str. 143 pierwszego wydania „CZASU ZATRZYMANEGO".

Oddział KSMM i Żywy Różaniec Dziewcząt odrodziły się po wojnie w Czyżynach w 1947 roku. Centrala KSMM Archidiecezji Krakowskiej pod patronatem arcybiskupa księcia Adama Stefana Sapiehy i sprawnym kierownictwem prezesa Jana Kotyzy z Bieńczyc oraz sekretarza generalnego księdza Noworyty – mieściła się w Domu Katolickim „Świt" przy ulicy Straszewskiego – obecny budynek filharmonii.

Nasz oddział należał do Okręgu Mogiła – asystentem był Ojciec Benedykt Matejkiewicz z zakonu ojców Cystersów – wraz z oddziałami w Mogile, Bieńczycach i Raciborowicach. Jednym z pierwszych przedsięwzięć było zorganizowanie kolędniczego zespołu, „przebieranki" jak się wtedy mówiło, który dał kilkanaście przedstawień w zaprzyjaźnionych domach. Taka przebieranka w starannie dobranych strojach, przygotowana aktorsko z dobrym literackim tekstem to była nowość – dotychczas znano tylko dziecięce improwizowane grupy kolędnicze.



Zachowało się zdjęcie członków oddziału KSMM w Czyżynach z 1948 roku.

Na zdjęciu – na dole w pierwszym rzędzie od lewej: Zbigniew Jarząbek, Józef Hajto, Czesław Tyrka; drugi rząd: Kazimierz Stefański, Franciszek Zembala, Kazimierz Mędrecki, ksiądz Benedykt Matejkiewicz, Marian Czernek, Tadeusz Baś; w trzecim rzędzie: Edward Tyrka, Władysław Gil, Jerzy Jarosz, Józef Adamczyk, Franciszek Gawel, Jan Maniecki, Władysław Adamski, Tadeusz Tynor, Mieczysław Czernek, Andrzej Świerczewski z Bieńczyc – przedstawiciel zarządu okręgu, Tadeusz Koraszewski-Krzywda ; w czwartym rzędzie: Henryk Dzióbek, Józef Broś, Julian Raźny, Jan Cygan, Franciszek Tynor i Józef Urban.

Zarząd oddziału tworzyli widoczni na zdjęciu z 1948 roku:



W pierwszym rzędzie od lewej: Franciszek Zembala skarbnik, Kazimierz Mędrecki sekretarz, Marian Czernek prezes, Tadeusz Baś, Edward Tyrka; u góry od lewej: Józef Hajto, Kazimierz Stefański, Władysław Gil, Tadeusz Tynor – członkowie zarządu.

Oddział rozwinął ożywioną działalność sportową trenując i organizując mecze z sąsiednimi oddziałami w szachy, tenis stołowy wtedy nazywany ping-pongiem, piłkę nożną, siatkówkę i chyba po raz pierwszy w Czyżynach konkurencje lekkoatletyczne: biegi na 100, 1500 i 3000 metrów, skok w dal i wzwyż , pchnięcie kulą, rzut dyskiem i oszczepem.

Marian Czernek należał do czołowych sprinterów okręgu, Zbigniew Janusz który był organizatorem wielu zawodów brylował w siatkówce i biegach średnich, Zdzisław „Tatu" Soroczyński był wszechstronnym lekkoatletą i siatkarzem.



Piłkarze KSSM Czyżyny przed meczem z KSSM Mogiła – od lewej Jan Maniecki, Mieczysław Czernek, Edward Tyrka, Tadeusz Tynor, Zbigniew Jarząbek, Marian Czernek, Zdzisław Soroczyński, Józef Urban, bramkarz Marian Olech.

Ważną dziedziną działalności była turystyka łącząca poznawcze wartości krajoznawcze z religijnym nawiedzaniem miejsc kultu religijnego.



Celem jednej z pierwszych wycieczek były w 1948 Tatry – na zdjęciu uczestnicy na stokach Kasprowego Wierchu.



Członkowie KSMM Oddział Czyżyny uczestniczyli jako delegaci Okręgu KSMM Mogiła w pogrzebie Prymasa Polski kardynała Augusta Hlonda 26 października 1948 r w Warszawie. Delegację w strojach krakowskich prowadzi Józef Hajto, za nim sztandar niesie Jan Cebula z Bieńczyc mając po prawej ręce Zdzisława Soroczyńskiego z Czyżyn, po lewej Władysława Bieronia z Bieńczyc.

W 1948 roku zorganizowano zespół taneczny 8 par, które z programem „Dożynki" wielokrotnie występowały w Czyżynach i na wyjazdach do sąsiednich wsi i imprezach centrali.





Na zdjęciach Danuta Szymczyk z Józefem Hajto i Maria Cieślewicz z Zbigniewem Jarząbkiem.



Zespół taneczny, od lewej: Danka Szymczykówna i Józek Hajto, Olga Gawłówna i Mietek Czernek, Władka Stefańska i Władek Adamski, Janka Zielińska i Władek Czernek, Kasia Walczyk i Edek Tyrka, Marysia Walczak i Kazek Stefański, Maria Cieślewicz i Zbyszek Jarząbek, siedzą: Jadźka Szymczyk i Marian Czernek.

Druhowie z KSMM czynnie uczestniczyli w życiu religijnym parafii, działali w kółku ministrantów, nosili feretrony w procesjach, uczestniczyli w pielgrzymkach i rekolekcjach w tym organizowanych dla młodzieży katolickiej w „Domu Orłów" w Poroninie, przygotowywali doroczne akademie na Święto Chrystusa Króla.



Feretron niosą: Franciszek Zembala, Józef Adamczyk, Marian Czernek i Józef Hajto



W procesji sztandar niesie Józef Hajto, po prawej Czesław Fudała, z lewej Władysław Adamski

Wielką popularnością – ale związaną z bardzo dużym nakładem pracy – cieszyły się przygotowywane wspólnie z druhnami Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej inscenizacje sztuk teatralnych. Starannie przygotowano i wystawiono: „Damy i huzary", „Zemstę", „Wóz Drzymały" i „Jasełka". Spektakle odbywały się w sali Domu Ludowego oraz w sąsiednich Bieńczycach, Raciborowicach, Mogile i Pleszowie. Przedstawienia cieszyły się olbrzymim powodzeniem – dziś w dobie telewizji trudnym do wyobrażenia – a amatorzy aktorzy dużą popularnością. Widzowie do dziś dyskutują nad kreacjami aktorskimi Mariana Czernka w roli Cześnika i zastanawiają się, czy Papkin był lepszy w wykonaniu Józka Hajty czy Franka Zembali?

Organizowano zabawy karnawałowe, spotkania opłatkowe, zorganizowano i prowadzono bibliotekę. W przygotowaniu tych imprez duży udział miały: Anna Pilzneńska i Krystyna Górecka, która zorganizowała i prowadziła zespół taneczny, zaś w przygotowaniach inscenizacji uczestniczył popularny w krakowskich teatrach statysta Słodziu Manowarda.



Na zdjęciu z 1952 roku od lewej przed kościołem pod wezwaniem Świętego Judy Tadeusza stoją: Wincenty Cieślewicz, Zbigniew Jarząbek, Sławomir Maria Dejana Manowarda, Franciszek Tynor, w dolnym rzędzie: Tadeusz Baś, Franciszek Zembala, Tadeusz Tynor, Zdzisław Soroczyński, Jan Cygan.

Zachowały się kilka fotografii z licznych wycieczek:



Wycieczka do Ojcowa 1949 r od lewej: Władek Adamski, Iza Cieślewicz, Józek Hajto



Ojców 1949 r., u dołu od lewej: Władysław Adamski, Teresa Mars, Izabella Cieślewicz, Józef Hajto, wyżej: Zbigniew Jarząbek, Jadwiga Szymczyk, Władysław Czernek, Danuta Szymczyk, Franciszek Zembala, Katarzyna Marzec.



Ojców 1949 r od lewej na dole: Franciszek Tyrka, Marian Czernek, Mieczysław Czernek, Józef Adamczyk, Zofia Stefańska, Izabella Cieślewicz, Jan Szklarczyk, wyżej: Władysława Stefańska, Kazimierz Stefański, Celina Zembala, Władysław Adamski, nn, Józef Hajto, Jadwiga Szymczyk, nn, pani Tyrkowa, Franciszek Jaskuła, Anna Mikuła, Maria Biernacik, Ryszard Musiał, Stanisława Stefańska, pani Marsowa, Danuta Szymczyk, Władysław Czernek, Julian Rażny, Teresa Mars, Zofia Cygan, Baś-Karowczyk, Marian Wcisło, Stanisława Stolarska, Krystyna Krzywda, Genowefa Figlarz, Mieczysław Fudała, Franciszek Zembala, Zofia Mars, Stanisław Baś, Tadeusz Tynor, Janina Baś, Tadeusz Zembala.



Ojców 1949 r., od dołu od prawej: Zofia Stefańska, Zofia Mars, Celina Zembala, Władysława Stefańska, Jan Szklarczyk.

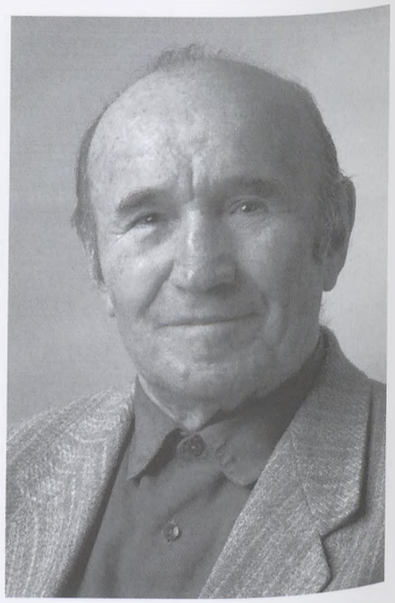
Działalność KSMM w Czyżynach cieszyła się poparciem proboszcza parafii, księdza kanonika Józefa Zastawniaka, była wspierana przez Franciszka Tyrkę i Stanisława Sudera z Czyżyn oraz Stanisława Marsa z Łęgu.

Działalność ta była jednak solą w oku władz bezpieczeństwa, które doprowadziły do delegalizacji stowarzyszenia 7 lutego 1953 r. Działacze KSMM byli nękani przesłuchaniami na MO i UB. Ślady tych przesłuchań do dziś znajdują się w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej w Krakowie.

Czyżyny – styczeń 2008 r.

Józef Hajto
Wincenty Cieślewicz

Wspomnienie o Kółku Ministrantów przy kościele św. Judy Tadeusza w Czyżynach w latach 1936-1944



Naukę w szkole podstawowej w Czyżynach rozpocząłem we wrześniu 1933 r. Religii uczył moją klasę, przez pierwsze trzy lata Ojciec Józef Vraćko – Cysters z klasztoru w Mogile z pochodzenia Słoweniec, który wrócił do Słowenii w 1938 r. On też przygotował naszą klasę do I-szej Komunii Św., którą przyjęliśmy 18 czerwca 1936 r. w kościele parafialnym Św. Bartłomieja w Mogile. Należy podkreślić, że była to ostatnia komunia święta ze szkoły czyżyńskiej w Mogile. Pierwsza komunia dzieci w 1937 r. odbyła się już w prezbiterium nowo wybudowanego kościoła w Czyżynach. Naukę religii od września 1936 r. zaczął prowadzić już nowy proboszcz parafii w Mogile ks. Józef Zastawniak – budowniczy kościoła św. Judy Tadeusza w Czyżynach. Od czasu poświęcenia placu pod budowę w lipcu 1936 roku – prace postępowały bardzo szybko. Do Świąt Bożego Narodzenia wybudowano prezbiterium. W dzień Bożego Narodzenia 1936 r. odbyła się pierwsza msza św. w której uczestniczyłem przy stopniach prowizorycznego, drewnianego ołtarza. Ministrantami służącymi do tej mszy św. byli: Eugeniusz Tyrka i i Stanisław Suder. Ks. Kanonik J. Zastawniak wyznaczył z poszczególnych klas uczniów na ministrantów Ja byłem wówczas w klasie 4-ej. W dniu 16 stycznia 1937 r. odbyło się pierwsze zebranie założycielskie Kółka Ministrantów w domu pana Piotra Krupy, bardzo zasłużonego dla parafii Czyżyńskiej. Następnie zebrania odbywały się już w pomieszczeniu na I piętrze (nad zakrystią), które nazywaliśmy „skarbcem". Pierwszym Prezesem nowo powstałego Kółka Ministrantów został wybrany Marian Tyrka, wówczas już uczeń 7-ej klasy gimnazjum, który w następnym 1938 r. po zdaniu matury został klerykiem Krakowskiego Seminarium Duchownego. Mszę św. prymicyjną miał w kościele św. Judy Tadeusza 1 stycznia 1944 r. To on nas uczył ministrantury w języku łacińskim i liturgiki. Jego brat Eugeniusz został wiceprezesem a Stanisław Suder – sekretarzem.

Załączam zdjęcie Kółka Ministrantów z czerwca 1937 r. Zdjęcie to zrobione zostało na tle kaplicy poświęconej pamięci św. Joanny z Wąsikowskich Polaczek-Korneckiej. Wówczas wybudowane było tylko prezbiterium kościoła. Na zdjęciu tym figuruje 20-tu ministrantów w otoczeniu, pośrodku Ks. Kanonika J. Zastawniaka oraz opiekuna, wspomnianego już pana Piotra Krupy. Najwyższy w stojącym rzędzie to właśnie 1-szy Prezes, późniejszy ksiądz, Marian Tyrka. Ja jestem w rzędzie stojącym, czwarty od prawej. Pierwszy w rzędzie stojącym z lewej strony jest Tadeusz Baś, który przez 52 lata był kościelnym w parafii św. Judy Tadeusza.

Marian Tyrka licząc się z tym, że w ciągu roku 1938 pójdzie już do Seminarium Duchownego, został tylko Honorowym Prezesem, natomiast Prezesem na rok 1938, a drugim w kolejności został Stanisław Suder. Trzecim w kolejności Prezesem Kółka Ministrantów został Eugeniusz Tyrka, brat Mariana. Był Prezesem w roku 1939 –1940. Czwartym w kolejności Prezesem kółka byłem ja, pełniąc prezesurę w latach 1941-1943. Następnym po mnie, piątym w kolejności Prezesem, został Zdzisław Olech. Kto po nim nie wiem, ponieważ od 1944 r. nie należałem już do Kółka Ministrantów. Ponieważ było nas dużo chętnych do służenia do Mszy św. i innych nabożeństw – były ustalone terminy, kto w daną niedzielę na jakiej Mszy św. czy nabożeństwie będzie służył. Wyznaczenia dotyczyły tego, kto będzie do przenoszenia mszału, kto do podawania wina i wody, do kadzidła lub tylko do asysty. Ważnym wydarzeniem w tym czasie było uzyskanie przez Kółko świetlicy. Mianowicie państwo Czernkowie użyczyli dla Kółka pomieszczenie w swoim, nie istniejącym już, domu przy ul. Wężyka na świetlicę. Syn ich Józef też był ministrantem. Ks. Kanonik J. Zastawniak w lecie 1937 r. dokonał poświęcenia tejże świetlicy. Odbywały się tam zebrania, odpytywania ministrantury, liturgiki. Były też różne gry takie jak szachy, warcaby oraz prasa i literatura katolicka. Każdy ministrant własnym sumptem kupował sobie komeżkę. Płaciliśmy regularnie miesięczne składki członkowskie. Zarząd Kółka przedstawiał rozliczenia finansowe na dany rok. Ministranci sprzedawali w każdą niedziele i święta „Dzwon Niedzielny" i „Rycerza Niepokalanej". Część z tej sprzedaży była przekazywana dla Kółka. W latach 1937-1939 w sali Domu Ludowego, który dziś należy do szkoły, urządzaliśmy wspólny opłatek oraz święcone. Rodzice nasi dokonywali stosownych zakupów – wypiekali różne ciasta i wspólnie z Ks. J. Zastawniakiem, który specjalnie na te uroczystości przyjeżdżał z Mogiły łamaliśmy się opłatkiem, dzielili święconym i śpiewali kolędy lub też pieśni wielkanocne. W latach

1937-1939 w Domu Ludowym urządzaliśmy też przedstawienia, z których dochód przeznaczaliśmy na potrzeby Kółka. Kółko Ministrantów w tym czasie dokonało zakupu 2-ch chorągwi, które razem z Krzyżem otwierały każdorazowe procesje. Kółko ufundowało też sztandar, który noszony był przy różnych uroczystościach kościelnych przez każdorazowego Prezesa w asyście dwóch członków Kółka przepasanych niebieskimi szarfami. Ja też nosiłem ten sztandar w okresie swej prezesury. Kółko rozegrało w tym czasie kilka meczy piłki nożnej z Kółkiem Ministrantów w Mogile, w którymi zwyciężaliśmy. Ku naszej niezmiernej radości przez część jednego meczu zagrał Ks. Kanonik J. Zastawniak, co wówczas, ponad 60 lat temu było rzeczą niezwykłą. Nadmienić przy końcu pragnę, że my, członkowie kółka w latach 1937-1939 woziliśmy cegły na budowę kościoła z cegielni „Bonarka" w Krakowie-Podgórzu (załadunek i wyładunek) samochodami Miejskiej Kolei Elektrycznej, czyli jak to się wówczas mówiło „tramwajowymi", którego to przedsiębiorstwa dyrektorem był wielce zasłużony dla budowy kościoła św. Judy Tadeusza inż. Tadeusz Polaczek-Kornecki, który często przyjeżdżał do budującego się kościoła wraz ze swoim synem. Wielka szkoda, że został zamordowany przez hitlerowców.

Mimo, że od czasów, które opisuję, upłynęło ponad 60 lat i od 43 lat nie jestem już parafianinem tejże parafii lecz sąsiedniej na os. Szklane Domy – to zawsze myślami i z wielkim rozrzewnieniem przenoszę się do tych lat tak bardzo ze mną związanych z kościołem św. Judy Tadeusza w Krakowie-Czyżynach. Przejeżdżając al. Jana Pawła II zawsze kieruję wzrok ku tej świątyni. Od czasu do czasu, chociaż stosunkowo rzadko, odwiedzam ją i cieszę się, jak jest upiększana staraniem obecnego księdza proboszcza Jana Gwizdonia i parafian, widzę, że pięknie została urządzona kaplica Bożego Miłosierdzia. Czytam też „Apostoła Czyżyńskiego", aby być zorientowanym, co się dzieje w tej parafii tak bliskiej mojemu sercu.

mgr Mieczysław Marzec

Artykuł ukazał się pierwotnie w „Apostole Czyżyńskim" Nr 6,7,8 czerwiec 2001



Kółko ministrantów przy kościele Św. Judy Tadeusza w Czyzynach, w środku ks. Józef Zastawniak – budowniczy kościoła i Piotr Krupa – restaurator, darczyńca kościoła, 1937 r.



Uroczystość poświęcenia sztandaru kółka ministrantów przy kościele Św. Judy Tadeusza w Czyżynach, 1941 r. W środkowym rzędzie od lewej m.in.: Marian Tyrka, kleryk NN., ks. Józef Zastawniak, kleryk Anatol Boczek



Chłopcy z kółka ministrantów na stopniach kościoła w Czyżynach, stoją od lewej: Marian Olech, Mieczysław Marzec, Marian Tyrka (późniejszy ksiądz), Jan Szklarczyk, Jan Czarnecki, czerwiec 1937 r.

Pierwszy ślub w kościele św. Judy Tadeusza w Czyżynach, w 1937 r.

Przy budowie kościoła w Czyżynach pomagał również Stanisław Walczyk, z zawodu kamieniarz, który nie pochodził z Czyżyn, ale mieszkał u swojej krewnej Agnieszki Szczupak. Tutaj też poznał swoją przyszłą żonę Helenę z Kawulów. Ksiądz Józef Zastawniak, budowniczy kościoła w Czyżynach chcąc wyrazić swoją wdzięczność za pomoc przy wznoszeniu świątyni zaproponował, aby ich ślub odbył się w częściowo już wybudowanym kościele dnia 20.09.1937 r. Był to ślub dwóch sióstr: Heleny Kawula ze Stanisławem Walczykiem, oraz Małgorzaty Kawula z Mieczysławem Kulą. Mieczysław Kula był murarzem i również uczestniczył w budowie czyżyńskiego kościoła.



Małgorzata Kawula i Mieczysław Kula z drużbami, 20 września1937 r.



Helena Kawula i Stanisław Walczyk z drużbami, 20 września 1937 r.

Pierwsza Komunia Święta w kościele w Czyżynach, w 1943 r.



Ojciec Gerard Matuła – Cysters z Mogiły – katecheta, Pani Mitana – wychowawczyni III klasy, (?) Szliwiński, Edmund Żwirek, Jan Wilk, Bolesław Szklarczyk, Janusz Malinowski, Wicek Cieślewicz, Olek Białkowski, Jan Wójcik, Władysław Kudyna (?), Marian Zybura, Józek Jarosz, Stanisław Zieliński, Marian Pietryka, ?, Józef Maniecki, Józef Broś, Kazimierz Kęsek, Franciszek Gaweł, Marian Szewczyk, ?, 22a. Jan Siwek, Leszek Sroka, Misiak?, 24a. Jerzy Kowalik, 25. ?, 26. Stanisław Bańdo, 27. Figiel, 28. ?, 29. ?, Eugeniusz Mól, Marian Gaweł, Julian Mazur, Józef Salwiński, Kazek Urban.



I Komunia Św. dziewczynek z Czyżyn, 1945 r. W środku w pierwszym rzędzie siedzą od prawej: wychowawczyni Stanisława Krupowa, kierownik szkoły Franciszek Marszałek, ks. Józef Zastawniak, Apolonia Marcinkówna

Figura Matki Boskiej na terenie zakładów tytoniowych w Czyżynach

Zakłady Monopolu Tytoniowego w Czyżynach nie uległy zniszczeniu podczas wojny i zaraz po zakończeniu okupacji można było uruchomić w nich produkcję. Wtedy też pracownice Monopolu ufundowały jako swoje votum figurę Matki Boskiej Niepokalanej, umieszczoną na postumencie z napisem: „Błogosław naszej pracy". Jeszcze w 1945 roku Arcybiskup Metropolita Krakowski Adam Stefan Sapieha dokonał jej poświęcenia. W uroczystości wzięli tłumny udział nie tylko pracownicy, ale i mieszkańcy Czyżyn ze swoim proboszczem Ks. Józefem Zastawniakiem.

Wkrótce jednak władza ludowa okrzepła i wezwała pracownice do usunięcia figury. I tak sekretarz Partii wezwał Marię Zatońską, będącą jedną z aktywniejszych organizatorek budowy i wydał jej polecenie usunięcia rzeźby, ale uzyskał odpowiedź odmowną. W konsekwencji osoba ta została zdjęta z zajmowanego stanowiska kierownika oddziału fermentacji tytoniu z równoczesnym obniżeniem jej uposażenia. Był to początek następnych degradacji i Pani Maria Zatońska, która była wykwalifikowanym pracownikiem i jeszcze przed wojną pracowała w fabryce papierosów przy Dolnych Młynach w Krakowie, odeszła na emeryturę ze stanowiska sprzątającej. Podobnie postąpiono z innymi znanymi Dyrekcji pracownicami, które również były zaangażowane w postawienie figury, obniżając im wynagrodzenia. Dyrekcja nie odważała się jednak usunąć figury, a pracownicy nie chcieli się tego podjąć i rokrocznie sadzili przed nią świeże kwiaty. I tak Matka Boska Niepokalana przetrwała okres PRL-u i stoi do dziś na wysokim postumencie witając przychodzących do pracy.

Opracowała Barbara Salwińska-Ciećkiewicz
na podstawie informacji uzyskanych od Jerzego Zatońskiego, syna Marii





Uroczystość poświęcenia figury Matki Boskiej Niepokalanej przez Ks. Arcybiskupa Metropolitę Krakowskiego, Adama Stefana Sapiehę, Czyżyny, 1945 r.

Dzieje Klubu Sportowego w Czyżynach w latach 1921-1948

Po zakończeniu I-szej Wojny Światowej i wojny polsko-bolszewickiej młodzi chłopcy, mieszkańcy ówczesnych Czyżyn, zaczęli interesować się sportem, a szczególnie piłką nożną. Założono Amatorski Klub Sportowy „Czyżyny".

W sierpniu 1948 r. zostałem przewodniczącym komitetu organizacyjnego obchodów jubileuszu dziesięciolecia istnienia tego klubu. Postanowiłem ustalić faktyczną datę powstania klubu. Przeprowadziłem wiele rozmów z osobami, które działały w nim w pierwszych latach jego istnienia. Wszyscy moi rozmówcy zgodnie twierdzili, że myśl o zorganizowaniu w Czyżynach klubu sportowego zrodziła się w roku 1921. Wśród inicjatorów powstania były osoby osobiście mi znane: Stanisław Mars, Piotr Mars, Leopold Janusz, Andrzej Sosin i Stanisław Miechowicz. W miarę upływu czasu zgłaszali się następni młodzi chłopcy i wkrótce było ich tylu, że można było skompletować drużynę piłkarską wraz z rezerwowymi zawodnikami.

Klub nie został zgłoszony i zarejestrowany w Krakowskim Okręgowym Związku Piłki Nożnej, zatem nie mógł występować w żadnych oficjalnych rozgrywkach. Drużyna nie miała trenera ani żadnego sponsora. Zawodnicy kupowali za własne pieniądze koszulki, spodenki i buty. W związku z brakiem rejestracji klub rozgrywał wyłącznie zawody towarzyskie (np. z drużynami z okolicznych wsi: Mogiła, Bieńczyce i Kujawy), czasem zaś rozgrywano mecze z udziałem dwóch drużyn skompletowanych z zawodników klubu.

Pod koniec lat 20. ubiegłego wieku klub wciąż nie był zarejestrowany w Krakowskim Okręgowym Zwiazku Piłki Nożnej. Z tego okresu nie zachowały się niestety żadne fotografie, ani też kronika klubu. Na początku lat 30. nastąpiły zmiany organizacyjne. Stworzono dwie drużyny, jedną w ramach Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Męskiej, a drugą w ramach stowarzyszenia „Strzelec". Występowały one oddzielnie, ale rozgrywały nadal tylko mecze towarzyskie. Po pewnym czasie połączyły się tworząc Klub Sportowy „Czyżynianka". W tych latach w klubie tym grali między innymi (również znani mi osobiście): Stanisław Czernek, Władysław Gaweł, Kazimierz Kulka, Kazimierz Piekarczyk, Mieczysław Kula, Stanisław Adamski i Rumian (nie pamiętam imienia). Z tego okresu pochodzi zdjęcie drużyny, które przekazałem. Dodam, że i ten klub nie został zarejestrowany nigdy zgłoszony do Związku Piłki Nożnej.

I wreszcie w roku 1938 powstał klub, który przyjął nazwę „Amatorski Klub Sportowy (AKS), został zarejestrowany w Krakowskim Okręgowym Związku Piłki Nożnej i zgłoszony do rozgrywek w klasie „C". Prezesem klubu został Józef Radwański, właściciel piekarni, a kierownikiem klubu dentysta, Zygmunt Furman. W skład pierwszej drużyny wchodzili: Karol Wyjaśniał, Władysław Bujak (kapitan), Władysław Krawczyk, Kazimierz Ciepiela, Andrzej Radoszek, Stanisław Siwek, Jan Gil, Karol Niemiec, Stanisław Kulka i Stanisław Malinowski. Zawodnicy mieli koszulki w pasy biało-czerwone (podobnie jak „Cracovia"), a boisko znajdowało się wzdłuż dzisiejszej ul. Narciarskiej.

Jak powszechnie wiadomo, w czasie okupacji Niemcy zabronili działalności sportowej, oficjalnie mecze nie mogły być rozgrywane. Sprzęt sportowy został ukryty, a boisko zniszczone. Mimo to grupa młodych chłopaków zaczęła się konspiracyjnie organizować i rozgrywać mecze, nie w Czyżynach, gdzie było niebezpiecznie z uwagi na bliskość lotniska i Niemców, lecz w Mogile, Kujawach, Bieńczycach, Skawinie, Luborzycy oraz w innych miejscach, np. na Wieczystej i w Łagiewnikach. Grano bez kostiumów sportowych, najczęściej w zwykłych butach. Ilustrują to najlepiej dołączone do moich wspomnień zdjęcia z tego okresu. Osoby na zdjęciach to między innymi: Marian Olech, Edmund Sosin, Bronisław Żylski, Kazimierz Mędrecki, Tadeusz Marzec, Mieczysław Marzec (piszący te wspomnienia), Władysław Węgrzyn, Eugeniusz Zieliński, Edward Kucharski i Marian Ostrowski. Wszystkich uczestników tych niezwykłych rozgrywek trudno wymienić, ponieważ następowały częste zmiany: jedni z różnych powodów zaprzestawali gry, a inni przychodzili.

W drugiej połowie 1944 roku, kiedy wojska niemieckie zaczęły się cofać i front zatrzymał się za Tarnowem na linii Dunajca, co potrwało aż do ofensywy w styczniu 1945 roku, zaczęliśmy równać błonia w okolicy dzisiejszej ul. Nowohuckiej (i dzisiejszej siedziby MPO), aby przygotować teren pod nowe boisko. Pracowaliśmy, a jednocześnie, na niedokończonym jeszcze boisku, zaczęliśmy grać między sobą formując drużyny o rozmaitych składach. Sporadycznie rozgrywaliśmy też zawody towarzyskie w różnych miejscowościach, o których pisałem poprzednio. Wyniki meczów nie były rzecz jasna ważne, chcieliśmy po prostu grać w piłkę. Tak było aż do jesieni 1944 roku.

Po zakończeniu okupacji niemieckiej, jeszcze w pierwszym kwartale 1945 roku, reaktywowano działalność klubu piłkarskiego. Został ponownie zarejestrowany w KOZPN i zakwalifikowany jako wicemistrz sezonu 1938/39 do klasy „C". Odbyło się Walne Zgromadzenie członków i wybór zarządu Klubu. Pierwszy zarząd był

tymczasowy, bo ciągle jeszcze wracali z działań wojennych członkowie klubu. W pierwszym kwartale roku 1946 ponownie odbyło się Walne Zgromadzenie, na którym dokonano wyboru nowego zarządu. Prezesem został Piotr Krupa (restaurator), wiceprezesami: Leopold Janusz (właściciel piekarni), Kazimierz Kołodziejczyk (również restaurator), skarbnikiem Marian Krupa (nauczyciel, późniejszy dyrektor szkoły). Ja zostałem wybrany sekretarzem klubu. Kontynuowano prace, aby przygotować boisko do rozgrywek (w opisanym już wcześniej miejscu). Boisko nie było ogrodzone, nie było też szatni dla zawodników. Bramki były wkopane w ziemię, siatki zawieszano na czas zawodów. Przed rozpoczęciem meczu malowano wapnem linie. Klub nie posiadał żadnego sponsora. Biletów wstępu nie sprzedawano, wstęp na mecz był wolny, natomiast zbierano od widzów dobrowolne datki na utrzymanie klubu.

Dla uzyskania funduszy na zakup i konserwację sprzętu sportowego, w lecie organizowano festyny w kilku miejscach: w okolicy przyszłej ul. Narciarskiej, w miejscu dzisiejszego Ośrodka Zdrowia na Os. Kolorowym oraz na łące Wojciecha Gawła na końcu ul. Woźniców. W zimie natomiast odbywały się, przynoszące jakiś dochód, zabawy taneczne i przedstawienia w sali Domu Ludowego, który stoi do dziś przy ul. Centralnej (połączony z budynkiem Szkoły Podstawowej nr 156). W czasie festynów i zabaw członkowie klubu wraz ze swoimi koleżankami sprzedawali bilety wstępu i prowadzili bufet. Cały dochód, uzyskiwany z organizacji festynów, zabaw i przedstawień, przeznaczony był na potrzeby klubu. Wśród zawodników panował ogromny zapał do gry, chcieli bardzo awansować do klasy „B". I mimo, że klub nie miał nawet trenera (przez pewien czas bezinteresownie trenował Władysław Giergiel, zawodnik pierwszej drużyny Wisły Kraków, pracujący wówczas w Zakładach Tytoniowych), udało się upragniony awans wywalczyć.

Wspomniałem już o odbywającym się w roku 1948 jubileuszu dziesięciolecia klubu. Uroczystości odbywały się pod patronatem ówczesnego Prezydenta Miasta Krakowa, dr Henryka Dobrowolskiego, ówczesnego wojewody Krakowskiego, dr Kazimierza Pasenkiewicza oraz ówczesnego Dowódcy Dolnośląskiego Okręgu Wojskowego, gen. Stefana Mossora.

Zakończę moje wspomnienia opisem programu obchodów, które miały miejsce w niedzielę 4 września 1948 roku. O godz. 10.30 rozpoczęła się Msza Święta w kościele parafialnym św. Tadeusza Judy w Czyżynach, w czasie której budowniczy tego kościoła, ksiądz kanonik Józef Zastawniak, dokonał poświęcenia tablicy pamiątkowej. (Do swoim wspomnień dołączyłem zdjęcie, na którym widać, jak zawodnicy i członkowie klubu idą obecną al. Jana Pawła II do kościoła, a tablicę niesie środkowy napastnik pierwszej drużyny, Karol Niemiec. Za nim widać prezesa klubu, Piotra Krupę, a ja idę obok prezesa). Główna część uroczystości odbyła się po południu na tzw. „Małym Błoniu", przy obecnej ul. Narciarskiej. Wbito gwoździe pod pamiątkową tablicę. Każdy gwóźdź miał nazwisko wbijającego. Przemówienie powitalne wygłosił prezes Piotr Krupa, ja natomiast, jako sekretarz klubu i zarazem przewodniczący komitetu organizacyjnego, miałem zaszczyt wygłosić przemówienie, w którym między innymi podkreśliłem, że świętując uroczystość dziesięciolecia istnienia klubu musimy pamiętać o jego wcześniejszej historii, sięgającej roku 1921. W czasie tej części uroczystości były wykonywane zdjęcia zawodników i działaczy klubu (część z nich również dołączyłem do swoich wspomnień). Po części oficjalnej odbył się mecz naszej drużyny z zespołem z Dąbia (KS „Dąbski"). Wygraliśmy go – ku wielkiej naszej radości – 2:1, mimo że drużyna naszych przeciwników była wówczas na wysokiej pozycji w klasie „A". A potem, aż do późnych godzin wieczornych, trwała wspaniała zabawa.

mgr Mieczysław Marzec



Zawodnicy i działacze Amatorskiego Klubu Sportowego „Czyżyny", 1948 r.



AKS w Czyżynach, lata 30-40, od lewej: Stanisław Czernek, Władysław Gaweł, Kazimierz Kulka, Stanisław Piekarczyk, p. Rumian z dziećmi, p. Piekarczyk, Stanisław Adamski, Mieczysław Kula, leżą: Stanisław Malinowski, Olek Czopek, p. Boczek



Jubileusz 10-lecia AKS „Czyżyny", przemawia Mieczysław Marzec, 4 września 1948 r.



Pochód klubowy z tablicą pamiątkową do kościoła parafialnego Św. Judy Tadeusza w Czyżynach, 4 września 1948 r.







Zawodnicy działacze AKS „Czyżyny", lata 40. XX w.

Wspomnienie o Franciszku Marszałku, kierowniku Szkoły Powszechnej (Podstawowej) w Czyżynach, w latach 1928-1960



Franciszek Marszałek urodził się 27.11.1893 r. w Zalesiu, w powiecie rzeszowskim, jako syn Szymona i Wiktorii z domu Piekarz. Po ukończeniu Szkoły Ludowej chodził do C.K. Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Rzeszowie, gdzie 20.06.1913 r. otrzymał Świadectwo Dojrzałości do pełnienia obowiązku tymczasowego nauczyciela w Szkołach Ludowych Pospolitych z językiem wykładowym polskim. W latach 1913-1918 odbył wymagane praktyki szkolne w Szkołach Ludowych w Tyczynie, Grzegorzówce i Hucisku, a w lutym 1918 r. przed C.K. Komisją Egzaminacyjną dla nauczycieli Szkół Pospolitych w Rzeszowie zdał egzamin, uzyskując również prawo do nauczania w języku niemieckim, i prawo zastępowania nauczycieli religii. W 1918 r. uzyskał prawo (Patent L.8) sprawowania samodzielnie urzędu nauczycielskiego w szkołach ludowych pospolitych z językiem wykładowym polskim.

W okresie 5.05.1915-31.10.1918 r. służył w armii austriackiej, a w okresie 1.09.1918-30.11.1918 r. służył w armii polskiej, uzyskując w niej stopień sierżanta. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, Franciszek Marszałek w 1919 r. przeniósł się z Ziemi Rzeszowskiej w okolice Krakowa, gdzie będąc już dyplomowanym, samodzielnym nauczycielem rozpoczął nauczanie w szkołach: w Bolechowicach, Olszanicy i Zabierzowie – w 1919 r., w Kryspinowie – w latach , 1920-1926, a jako kierownik szkoły – w latach 1926-1928. 1.08.1928 r., po wygraniu konkursu, Franciszek Marszałek został przez Kuratorium Okręgu Szkolnego Krakowskiego mianowany kierownikiem Szkoły w Czyżynach, na którym to stanowisku pozostawał nieprzerwanie przez okres 32 lat.

Zastał budynek starej, 2-klasowej szkoły, zlokalizowanej na pograniczu Czyżyn i Łęgu – jak sam napisał w kronice szkoły – w bardzo opłakanym stanie. Akta szkolne zrujnowane, pogryzione przez myszy, brak było nawet najprostszych środków do nauki, oprócz globusa i mapy. Po zbadaniu sytuacji, kierownik Fr. Marszałek doszedł do wniosku, że trzeba będzie wybudować nową szkołę, bo nie dość, że stary i mały budynek nie tylko nie nadawał się do nauczania, to jeszcze w latach po I-szej Wojnie Światowej zwiększyła się znacznie liczba dzieci. Kierownik szkoły działał szybko, i już w dniu 20.09.1928 r. odbyła się narada z udziałem wójtów Czyżyn i Łęgu oraz dzierżawcy dworu w Czyżynach – inż. Kazimierza Cieślewicza. Na naradzie tej Fr. Marszałek zreferował sprawę budowy nowej szkoły i wkrótce odbyło się posiedzenie 15-tu radnych gmin Czyżyn i Łęgu, w którym uczestniczył również inż. Kazimierz Cieślewicz. Sprawę budowy nowej szkoły referował tam ponownie kierownik Fr. Marszałek. Po dyskusji obydwie rady gminne podjęły jednogłośnie uchwałę o wybudowanie nowej, 7-klasowej szkoły powszechnej na gruncie gminy w Czyżynach, przy obecnej ulicy Centralnej; w tym samym miejscu, gdzie działa do dzisiaj. Przewodniczącym komitetu budowy szkoły został inż. K. Cieślewicz, a protektorat nad nią przyjął Książę Arcybiskup Metropolita Adam Stefan Sapieha, który ofiarował na ten cel kwotę 10.000 zł., która stanowiła wówczas znaczącą sumę. Budowa szkoły przebiegała bardzo szybko, bo zaledwie 14 miesięcy, a budynek powstał okazały, piętrowy, podpiwniczony, posiadający 8 dużych, jasnych sal szkolnych, miał także wodociągi. Znajdowała się w nim kancelaria kierownika szkoły, jego mieszkanie służbowe oraz służbówka tercjana. Osobny był budyneczek ubikacji, oddzielny dla dziewcząt i chłopców. W dniu 22.09.1930 r. odbyło się uroczyste otwarcie i poświęcenie nowej szkoły. Poświęcenia dokonał Książę Arcybp. A. St. Sapieha w obecności Wojewody Krakowskiego, p. Kwaśniewskiego, Starosty Powiatowego Krakowskiego, p. Orłowskiego oraz całego szeregu różnych władz i instytucji, członków komitetu budowy szkoły, władz lokalnych i licznie przybyłych mieszkańców Czyżyn i Łęgu.

Pan kierownik Fr. Marszałek był wysokiego wzrostu, szczupły, pod nosem miał mały wąsik. Był bardzo dobrym nauczycielem, kierownikiem oraz organizatorem. Był moim nauczycielem, a w klasie 6 i 7-ej także wychowawcą. Uczniów oceniał sprawiedliwie, nikogo nie faworyzował. Był bardzo elokwentny, co uwidaczniało się zarówno w czasie lekcji, jak i podczas różnego rodzaju uroczystości (w szkole i poza nią), akademii, poranków etc. Świetnie dbał o szkołę i jej wyposażenie, sala na parterze zwana „gabinetem" wzbogacała się wciąż o nowe pomoce dydaktyczne, jak: globusy, cyrkle, kątomierze, mapy fizyczne i polityczne, obrazy o treści religijnej i wiele innych rzeczy.

Fr. Marszałek był gorącym patriotą. W ciągu każdego roku szkolnego odbywały się zawsze tzw. poranki i akademie z okazji Święta Konstytucji 3-go Maja, Święta Niepodległości 11-go Listopada, imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego, Prezydenta RP Ignacego Mościckiego, rocznicy Powstania Styczniowego, na których to uroczystościach zawsze wspaniale przemawiał. Na szkolnych korytarzach wisiały różne obrazy o treści historycznej, np. kompletny cykl rysunków „Lithuania" Artura Grottgera dot. Powstania Styczniowego. Kierownik Fr. Marszałek ciągle podejmował nowe inicjatywy dot. działalności szkolnej, a mianowicie:

– 29.07.1937 r. zorganizował w budynku Domu Ludowego obok szkoły (obecnie zajmowanego przez szkołę), przedszkole dla dzieci w wieku od 3 do 6 lat, które prowadziła nauczycielka – p. Michalina Hatt. To przedszkole działało do wybuchu II Wojny Światowej,

– w latach 1937 – 1939 dla biednych dzieci organizowano ciepłe posiłki, kawę, pieczywo, do wykonania tego zadania kierownik powołał komitet złożony z matek dzieci, które korzystały z tych posiłków,

– z inicjatywy kierownika w połowie lat 30. uruchomiono sklepik szkolny, w którym sprzedawali w czasie przerw najlepsi uczniowie z klas najstarszych. Można tam było kupić przybory szkolne, takie jak: zeszyty, bloki rysunkowe, farbki, gumki do wycierania, stalówki itp. Utarg oddawano kierownikowi szkoły, który prowadził staranne rozliczenie,

– w latach 1938-1939, również z jego inicjatywy, była prowadzona w szkole wypożyczalnia książek, którą zajmował się osobiście,

– zainicjował oszczędzanie przez dzieci pieniędzy poprzez skarbonki S.K.O.,

– w styczniu 1939 r. zakupiono do użytku szkoły radioodbiornik sfinansowany z funduszu pochodzącym z zabawy,

– był organizatorem wycieczek połączonych ze zwiedzaniem: do Krakowa, Wieliczki i Ojcowa.

Kierownik Franciszek Marszałek za swe zasługi otrzymał wiele odznaczeń m.in.:

Medal 10– lecia Odzyskania Niepodległości – w 1929 r.

Srebrny Medal Zasługi – w 1938 r.

Srebrny Krzyż Zasługi – w 1955 r.

Złotą Odznakę za pracę społeczną dla Miasta Krakowa – w 1958 r.

26.11.1960 r. za długoletnią pracę na stanowisku kierownika szkoły w Czyżynach został udekorowany Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Przez cały 32-letni okres swojej pracy – na stanowisku kierownika szkoły – Franciszek Marszałek cieszył się powszechnym szacunkiem i wielkim autorytetem, z tego też względu przewodniczył zawsze Walnemu Zgromadzeniu Amatorskiego Klubu Sportowego „Czyżyny", a w czasie procesji kościelnych prowadził i podtrzymywał księdza celebransa pod baldachimem.

Pan Franciszek Marszałek był żonaty z Panią Kazimierą Ludmiłą z domu Kontecką, z zawodu również nauczycielką, która uczyła w tej samej szkole w Czyżynach. Był ojcem 2-ch synów; starszego Tadeusza (ur. w 1921 r.), ekonomisty, absolwenta Akademii Handlowej w Krakowie oraz młodszego Zbigniewa (ur. w 1924 r.), który w wieku 20 lat, jako żołnierz słynnego Batalionu „Skała", wchodzącego w skład Armii Krajowej, zginął w walce z Niemcami.

Franciszek Marszałek zmarł dnia 5.08.1961 r., pochowany został na Cmentarzu Rakowickim w części wojskowej (ul. Prandoty, kwatera LXXX IX rząd 26., grób 4).

mgr Mieczysław Marzec,
uczeń Szkoły Powszechnej w Czyżynach w latach: 1933–1940

P.S.

Dane, dotyczące wykształcenia i pierwszych lat pracy zawodowej, uzyskałem z prywatnego archiwum domowego synowej i wnuczki Pana Kierownika Franciszka Marszałka.



Przed szkołą w Czyżynach, 1934-35 r. Nauczycielka Kazimiera Marszałek (żona kierownika szkoły) w otoczeniu uczniów: I rząd: od lewej: Radoszek, Sosin, Płonka, Pałka, Kwiatkowski, Tomasz Bartosik, Zbigniew Marszałek (chłopiec z pieskiem, syn kierownika szkoły, pod koniec wojny zginął w partyzantce), Mieczysław Marzec, Siwek, II rząd: Tynor, Stręk, Stanisław Suder, Tyrka, Gaweł, Fima, Bugajski, Wójcik, Adamczyk, III rząd: Baś, Malik, Gil, Górecki, Krawczyk i in.



Przed szkołą w Czyżynach, w środku m.in. ks. Józef Zastawniak i Franciszek Marszałek – kierownik szkoły, lata 30.

Wspomnienie byłej uczennicy Szkoły Powszechnej w Czyżynach



Pan Franciszek Marszałek, będąc Kierownikiem Szkoły Powszechnej (Podstawowej) w Czyżynach w latach 1928-1960, wykazał duże zaangażowanie i zdolności organizacyjne, nie tylko przy budowie szkoły, ale i, przez lata następne, w zaopatrzeniu jej w pomoce dydaktyczne oraz właściwy dobór i podnoszenie kwalifikacji nauczycieli, co skutkowało systematycznym wzrostem poziomu nauczania. Wśród nauczycieli cieszył się dużym szacunkiem. Dawni uczniowie wspominają jego częste wizytacje w klasach, kiedy przysłuchiwał się lekcjom, a także jego obecność na przerwach, kiedy czuwał nad zachowaniem spokoju i porządku. W ważnych momentach życia dzieci był razem z nimi, co potwierdzają zachowane grupowe zdjęcia z Panem Kierownikiem. Wysoki, szczupły, godny Pan, zawsze w garniturze, był przyjacielem dzieci i ich rodziców i służył im radą nie tylko w okresie nauki szkolnej, ale również kiedy ją opuszczali. Doradzał im bowiem wybór szkoły i zawodu. Brał żywy udział w życiu wsi, uczestnicząc we wszystkich ważnych przedsięwzięciach. Był członkiem komitetu budowy kościoła Św. Judy Tadeusza. Dzięki swojej inteligencji pozytywną pracę kontynuował przez 32 lata w różnych ustrojach i warunkach. Przed 1939 rokiem wybudował i zorganizował szkołę powszechną, z której duża liczba młodzieży uczęszczała potem do szkół średnich w Krakowie. W okresie okupacji niemieckiej zapewnił w szkole spokój i ciągłość nauczania, pomimo iż jej część była okresowo zajmowana przez Niemców. Nie wpłynęła też na jego działalność osobista tragedia, kiedy to jego syn, Zbyszek Marszałek, zginął jako partyzant w lasach Kielecczyzny. Udział wielu mieszkańców wsi w pogrzebie syna był wyrazem ich sympatii i współczucia. Przez ostatnie 15 lat jego pracy w PRL, w latach skrytej walki o świadomość narodową, zachował swoją twarz i godność. Kontynuował swoją pedagogiczną działalność będąc nadal przyjacielem dzieci i ich rodziców. W okresie budowy Nowej Huty, kiedy wielu mieszkańcom Czyżyn i Łęgu załamywały się dotychczasowe podstawy egzystencji, doradzał im zdobywanie niezależności przez zdobywanie wykształcenia i zawodów. Takim zapamiętali go żyjący jeszcze, choć mocno już starsi, ale zawsze wdzięczni jego uczniowie.

Barbara Salwińska-Ciećkiewicz



Szkoła Powszechna w Czyżynach, lata 30. XX w.

Józef Salwiński (1908-1976)



Józef Salwiński, syn Józefa i Magdaleny z Ziębów, urodził się 5 września 1908 roku we wsi Bieńczyce koło Krakowa, obecnie osiedla w krakowskiej dzielnicy Nowa Huta, jako jedno z ośmiorga dzieci. Rodzice posiadali czternaście morgów ziemi. Dzięki zachęcie kierownika miejscowej szkoły, P. Łowczowskiego, został zapisany do Gimnazjum Króla Jana III Sobieskiego w Krakowie, które ukończył w 1930 roku. W tym też roku rozpoczął służbę wojskową w Szkole Oficerów Rezerwy Piechoty w Cieszynie. Po promocji w 1931 roku wstąpił na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie uzyskał w 1937 roku magisterium. W 1932 r. ożenił się z Zofią Czernek z Czyżyn i tam zamieszkał, prowadząc małe gospodarstwo rolne. Z tego małżeństwa miał dwie córki: Zofię i Barbarę. Pracował społecznie przy budowie kościoła, szkoły i domu ludowego. W maju 1939 rozpoczął bezpłatną aplikację sądową. Kampanię wrześniową odbył jako porucznik rezerwy – dowódca plutonu w 18 p.p. Brał udział w walkach pod Nowym Sączem, Tuchowem, Pilznem i Lwowem. Uniknął niewoli i powrócił do domu, utrzymując się z gospodarstwa i dorożki. Aby uniknąć wywozu na roboty do Niemiec podjął w 1943 roku ponownie aplikację sądową, którą jednak porzucił w lecie 1944, kiedy to pracowników sądu zmuszano do kopania rowów przeciwczołgowych. Do zakończenia wojny pracował jako robotnik w Monopolu Tytoniowym w Czyżynach. Podczas okupacji niemieckiej wcześnie wstąpił do ZWZ., a następnie do końca wojny, jako oficer AK ps. „Skała", był dowódcą plutonu AK Kraków-Południe w Czyżynach i Łęgu. Zgodnie ze swoimi przekonaniami nawiązał też kontakt z przewodniczącym trójki politycznej „Rocha" Janem Gajochem. Powierzono mu wówczas funkcję przewodniczącego Komisji Administracyjno-Samorządowej, której zadaniem było organizowanie aparatu administracji dla Delegatury Rządu i przygotowanie kandydatów na objęcie po odzyskaniu niepodległości stanowisk w powiecie, gminach i gromadach. Utrzymywał ścisły kontakt z działającym na terenie gminy Mogiła oddziałem Batalionów Chłopskich, których komendantem powiatowym był Walenty Adamczyk ps. „Topola", a od 1943 roku kolega gimnazjalny Jan Kotyza ps. „Wiktor". Niezależnie od pracy konspiracyjnej prowadził działalność legalną, będąc delegatem Rady Głównej Opiekuńczej na terenie Czyżyn i Łęgu. Tą drogą, poza organizowaniem opieki dla najuboższych, udzielał również pomocy jeńcom alianckim pracującym na lotnisku oraz zaopatrywał w dokumenty ukrywających się Żydów. Po upadku Powstania Warszawskiego zorganizował opiekę nad 310 przesiedlonymi stamtąd rodzinami. Po zakończeniu okupacji niemieckiej wraz z wójtem Andrzejem Malinowskim i innymi prawymi mieszkańcami Czyżyn zabezpieczał przed grabieżą młyn, Monopol Tytoniowy i lotnisko.

Od 1946 roku Józef Salwiński był aktywnym działaczem Polskiego Stronnictwa Ludowego, a dzięki dużemu zaangażowaniu i zdolnościom organizacyjnym wszedł do władz miejskich i wojewódzkich Stronnictwa. Z jego ramienia był radnym Rady Miejskiej Krakowa, skąd jednak w 1947 roku został odwołany pod zarzutem działalności antyradzieckiej. Pretekstem była wypowiedź, że „wiatr ze wschodu zasypuje śmieciami Czyżyny". W tym czasie brał często udział w wiecach chłopskich, poświęceniach sztandarów PSL i szkoleniu aktywistów. W okresie nasilonego terroru w stosunku do działaczy Stronnictwa organizował w Rzeszotarach pogrzeb jednego z nich, zamordowanego skrytobójczo przez UB w październiku 1946. Wymagało to chodzenia od domu do domu, by skłonić zastraszonych ludzi do wyjścia na pogrzeb sąsiada. Będący tam wtedy z nim Józef Gajoch po latach wspominał, że wołał nad trumną: „Kainie, gdzie jest twój brat Abel?". Miejscowi chłopi przeprowadzili ich po pogrzebie bocznymi ścieżkami do drogi zakopiańskiej, aby ominąć czekających pod lasem podejrzanych „obcych". Był też jednym z organizatorów manifestacyjnego pogrzebu Wincentego Witosa. W wyborach w 1947 roku był z listy PSL kandydatem na posła do Sejmu R.P. W listopadzie 1948 został aresztowany i przetrzymywany, bez sądu, w Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego do 31 grudnia 1948. Ze zmienionym, po wyjeździe z Polski Prezesa PSL, Stanisława Mikołajczyka, pro-pepeerowskim stronnictwem ludowym nie chciał już mieć nic do czynienia. Kiedy po śmierci Posła Zygmunta Żuławskiego, we wrześniu 1949 r., winien zająć jego miejsce w Sejmie, jako następny z listy, nie został już do funkcji poselskiej powołany. W grudniu 1956 r. grupa działaczy PSL z Janem Gajochem, Józefem Marcinkowskim i Stanisławem Mierzwą, podjęła próbę dalszej działalności tworząc Chłopskie Towarzystwo Oświaty i Kultury. Jego celem było: „kształtowanie samodzielnej

postawy człowieka wobec otaczających go przejawów życia". Józef Salwiński został w nim Przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego. Ponieważ jednak cele Towarzystwa nie pokrywały się z celami władz, zostało ono decyzją Ministerstwa Spraw Wewnętrznych rozwiązane w 1958 r. W Wojsku zweryfikowano Józefa Salwińskiego bez stopnia oficerskiego, co odczuł jako osobistą krzywdę. Prawa oficerskie przywrócono mu dopiero w 1965 roku, kiedy też został za działalność podczas okupacji niemieckiej odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Odznaczenia tego nigdy nie odebrał. Z akt SB wynika, że od stycznia 1946 roku był poddany inwigilacji pod kryptonimem „Rylak". Do końca życia odczuwał tą stałą „opiekę". Pomimo zdania w 1947 roku egzaminu sędziowskiego nie otrzymał tego stanowiska w Krakowie, skąd ze względów rodzinnych nie chciał się przenosić. W sierpniu 1947 roku podjął więc aplikację adwokacką i w 1949 roku został wpisany na listę adwokatów w Krakowie. Zawsze związany ze środowiskiem, z którego się wywodził, był wybitnym specjalistą od spraw gruntowych. Występował w imieniu wywłaszczonych na niesprawiedliwych warunkach rolników w okresie budowy Nowej Huty. Był też ostatnim adwokatem w Krakowie, zmuszonym do zamknięcia prywatnej kancelarii i przystąpienia do tzw. zespołu adwokackiego.

Mecenas Józef Salwiński był człowiekiem pracowitym, uczynnym, wrażliwym na ludzkie cierpienie, chętnie służącym innym radą i swoim bogatym doświadczeniem, a w życiu prywatnym wzorowym mężem i ojcem. Zmarł nagle 3 lipca 1976 roku. Spoczął w Krakowie, na Cmentarzu Salwatorskim, żegnany przez rzeszę chłopów, którzy przybyli ze starymi sztandarami PSL.

Kraków, 30 grudnia 2006 r., *Opr. córki Józefa Salwińskiego:*
Dr Zofia Chłobowska, Dr med. Barbara Salwińska-Ciećkiewicz



Józef Salwiński (z prawej) i Jan Kotyza przed kościołem w Raciborowicach, lata 30.



Józef Salwiński podczas uroczystości poświęcenia kościoła Św. Judy Tadeusza w Czyżynach, 11 października 1936 r.

Piotr Krupa, (1885-1958)



Urodzony w 1885 r. mieszkaniec Czyżyn, Piotr Krupa, po sprzedaniu gospodarstwa rolnego, zakupił posiadłość ze stojącym dotychczas domem na al. Jana Pawła II 156, na rogu ul. Narciarskiej. W tym domu założył sklep spożywczy z wyszynkiem, prowadzony głównie przez jego siostrzenicę Helenę z jej mężem Romanem Gorczycą.

Miał on jedynego syna Tadeusza, który zmarł w 24. roku życia. Piotr Krupa był człowiekiem o dużej godności osobistej, znanym z uczciwości i powszechnie szanowanym. Był też bardzo dobrym organizatorem. Dlatego brał aktywny udział w życiu wsi. W jego mieszkaniu na zapleczu sklepu spotykali się w celu przedyskutowania ważnych spraw przedstawiciele wsi. Szczególnym polem działalności Piotra Krupy była budowa kościoła pod wezwaniem Św. Judy Tadeusza. Działając w Komitecie budowy był o każdej porze do dyspozycji jako „prawa ręka" Ks. Józefa Zastawnika, przebywającego w tym czasie na parafii w Mogile. Budowę kościoła wspierał nie tylko swoją pracą, ale i finansowo. Po jego wybudowaniu był przez lata pierwszym „honorowym kościelnym", przygotowywał nabożeństwa, procesje, organizował uroczystości i opiekował się ministrantami. Aż do kwietnia 1951 r., tj. do utworzenia parafii obejmującej Czyżyny i Łęg, kiedy Ks. Zastawniak zamieszkał w Czyżynach, klucze do kościoła miał Piotr Krupa.

W pamięci wielu mieszkańców starych Czyżyn pozostał jako przyjazny i życzliwy ludziom, zwłaszcza potrzebującym, których niejednokrotnie w różnoraki sposób wspierał. Należy wspomnieć syna jednego z lokatorów mieszkających w jego domu, któremu zapewnił edukację w Gimnazjum Św. Jacka w Krakowie.

Piotr Krupa zmarł w 1958 r. i spoczywa w rodzinnym grobie na Cmentarzu Mogilskim.

Barbara Salwińska-Ciećkiewicz



Ks. Józef Zastawniak z Piotrem Krupą przed kościołem w Czyżynach, ok. 1950 r.



Grób Piotra Krupy na cmentarzu Mogile, 2008 r.



Wspomnienie o Janie Dąbrowskim z Łęgu

Jan Dąbrowski urodził się w 1882 roku ,w Łęgu. Był synem Marcina i Anny (nazwiska panieńskiego nie znam). Posiadał czworo rodzeństwa: dwóch braci i dwie siostry. W1906 r. ożenił się z Małgorzatą Adamczyk, a w 1910 r. wprowadzili się do własnego domu w Łęgu.

Podczas I Wojny Światowej walczył w armii austriackiej na froncie wraz ze swoim bratem Wawrzyńcem. Jan Dąbrowski był ranny (przebywał w szpitalu na Węgrzech), a jego brat zginął. Po wojnie starał się o odszkodowanie, ale brak dokumentów uniemożliwił mu pobieranie tych świadczeń. W czasie jego pobytu na wojnie w pracach domowych pomagała siostra żony. Ojciec, gdy wrócił z wojny, pracował na roli, gdyż posiadał sporo pola odziedziczonego po swych rodzicach i teściach. Nie brał udziału w II Wojnie Światowej. Po wyzwoleniu dorabiał pracując w Krakowie w przydomowych ogródkach. Ze związku z Małgorzatą miał sześcioro dzieci: cztery córki i 2 synów, którzy zmarli we wczesnym dzieciństwie. Wcześnie zmarła też jedna z córek, a obecnie żyje tylko jego najmłodsza córka, Anna. O swoim ojcu zachowałam bardzo miłe wspomnienia i zawsze mówiąc o nim wyrażam się – „Tatuś". Pamiętam, że jeszcze przed wojną cała rodziną chodziliśmy co niedzielę do klasztoru Cystersów na Msze Święte. Z tamtego okresu zapamiętałam również dożynki, które odbywały się w domach prywatnych. W pamięci bardzo mi utkwił wybuch II Wojny Światowej, kiedy wraz z cała rodziną i naprędce spakowanym dobytkiem zaczęliśmy uciekać furmanką. Jednak w pobliżu klasztoru oo. Cystersów w Mogile patrol wojskowy, w którym był pewien znajomy ojca z czasów walk na Węgrzech, powiedział nam, abyśmy wracali do domu. W czasie okupacji nasza rodzina nie doznała większych prześladowań, lecz kilka razy dom nasz był przeszukiwany przez Niemców. Po wojnie Jan Dąbrowski utrzymywał swoją rodzinę z pracy na roli i prac dorywczych, które podejmował w Krakowie. Zmarł w 1956 r. i został pochowany w rodzinnym grobie na cmentarzu w Mogile wraz ze swoją żoną Małgorzatą.

Anna Majewska – córka

Wspomnienia Jolanty Samek

Urodziłam się w Czyżynach, w latach, kiedy my – rodowici Czyżynianie z Nową Hutą nie chcieliśmy mieć nic wspólnego. Posiadaliśmy własną szkołę, kościół, a i Zakłady Tytoniowe też były nasze, bo jeszcze przedwojenne, i nikt ich nam na siłę nie budował. W „monopolu" – jak się je potocznie nazywało – pracowała moja mama. Pamiętam jej powroty z pracy, kiedy z niecierpliwością czekałyśmy na batony przynoszone „od Krupy". Tak nazywano sklep spożywczy, jedyny w całych Czyżynach. Była jeszcze masarnia, ale jakoś krótko i nieszczególną rolę odegrała w życiu małej czyżynianki. Gdzieś w zakamarkach mojej pamięci głęboko schowane są tory kolejowe i mała zielona stacyjka. Poczty i baru „Pod Blachą" nie pamiętam. Znam je jedynie z opowiadań. Doskonale natomiast znałam panią Wąsikowską, która w swoim ogrodzie, istniejącym do dzisiaj, hodowała przepiękne kwiaty i rzodkiewki. I tylko pani Wąsikowskiej już nie ma. Kiedy dzisiaj przechadzam się starymi uliczkami Czyżyn, przypominają mi się całe rodziny, które swoje życie związały z tym miejscem: Hankę Miechowiczówną, starszą i bardzo surową koleżankę, która jednak pozwoliła nam biegać po swoim ogrodzie, panią Czyszczoniową, niemal stuletnią dzisiaj Gomółkową (chyba tylko w Czyżynach były osoby, o których mówiło się pan, pani albo używało tylko samego nazwiska – do dzisiaj nie rozwikłałam tej zagadki). Pamiętam sad Żelazków, „Malinki"

Z groźnym tatą Antonim. Szkoła – takich dzisiaj już nie ma. Kaflowe piece, przy których zimą na przerwach zbierała się „śmietanka towarzyska" młodzieży, marmurowe schody świetnie pełniące rolę zjeżdżalni (zwłaszcza na metalowych wycieraczkach), czarne, zapuszczane żywokostem podłogi i cudowną panią Pasternak. Kiedy pod kołami tramwaju zostawiła swoje rączki mała dziewczynka, skończyła się nasza swoboda i wolność. Później

wjechały maszyny, wybudowano rondo, obiekty Akademii Wychowania Fizycznego, a moje ukochane Czyżyny zaczęto otaczać „blokowiskami", pozbawionych duszy, bez przeszłości i wspomnień. Pomału umierały Czyżyny mojego dzieciństwa, i tylko stare fotografie przenoszą mnie w czasy, kiedy nie było biurowców MPO, tylko nasz mały stadion sportowy, a w miejscu gdzie dzisiaj dumnie stoi AWF, pani Bębenkowa pasła swoją kozę. Był w tamtych czasach nieodżałowanej pamięci proboszcz Michałek, z zadziwiającą pamięcią do nazwisk, nigdy nie zdarzyło mu się pomylić Mazurówny z Miechowiczówną. Jego pierwszą mszą odprawioną w naszym kościele była msza pogrzebowa mojej babci Zofii Mazur, która zmarła w 1962 roku. Wtedy – jak opowiadała moja mama – procesja szła z kościoła w Czyżynach, aż do Mogiły, gdzie znajdował się nasz cmentarz parafialny. Tam też spoczywa mój tato. To właśnie w 1964 roku, na długie lata, zaprzestano grzebania zmarłych na tym miejscu. Na mojej ulicy żyło się kiedyś inaczej, ciekawiej. Były ogrody i sady, zniszczone później przez budowę magistrali ciepłowniczej, poprowadzonej tu na potrzeby nowo powstających osiedli. Był piętrowy, wielorodzinny dom drewniany, pamiętam panią Marcinkową, która na końcu ogrodu miała nawet coś w rodzaju kurnika, z którego oddawano skoki, aby udowodnić odwagę. Chciałabym też wspomnieć pana Basia. Zresztą Basiów w Czyżynach było wielu, ale „nasz" był niepowtarzalny. To on potrafił załatwić każdą, nawet najtrudniejszą sprawę, zawsze chętnie pomagał wszystkim, którzy się zwrócili o pomoc. Pan Baś, dzisiaj bardzo chory człowiek, był postacią niezwykle barwną. Zamknięcie jego historii w dwóch linijkach tekstu jest niemal świętokradztwem. Od czasu do czasu pojawiał się pan Śliwiński. Nie pamiętam skąd pochodził, ale widok jego wozu zaprzęgniętego w dwa ogromne konie był zapowiedzią zbliżającej się zimy, ponieważ zaopatrywał nas w węgiel. Moje wspomnienia dotyczą lat 70. ubiegłego wieku – to były najpiękniejsze lata mojego dzieciństwa. Wówczas jeszcze nikt nie odgradzał się od innych metalowymi siatkami, te pojawiły się później. Największą „aferą" była kradzież pietruszki. Nawet znane wszystkim wypady do cudzego sadu odbywały się z cichym przyzwoleniem właścicieli. Ulica Stanisławy Wysockiej pełniła niezliczone funkcje. Stawała się wedle potrzeb: polem do gry w klasy, boiskiem piłkarskim lub torem wyścigowym. Zimą zjeżdżało się z górki – dzisiaj zrównanej z ziemią – na prawdziwych, drewnianych sankach. A kiedy spłonął drewniany dom i jego mieszkańcy zostali przesiedleni w inne miejsca, to jego ruiny – właściwie to pozostałe po nim piwnice, zostały przez nas – czyżyńskie dzieci zaadaptowane jako miejsce do zabawy w „Czterech pancernych", brakowało nam tylko psa.

Jolanta Samek



Julian Mazur z żoną Janiną i córką Anną, Czyżyny, 1961 r.



Jolanta i Danuta Mazur z mamą, Czyżyny, 1967 r.

Wspomnienia Wincentego Cieślewicza



Urodziłem się w 1934 roku – pamiętam parę zdarzeń z okresu przed wojną 1939 roku – nasz dom z tarasem, staw z pływającymi kaczkami, koty z którymi się bawiłem, psa Reksa który potrafił ciągnąć mały wózek lub sanki w których siedziałem, Ojca przy pracach polowych, dojazdy w pole samochodem z ojcem lub kierowcą Pietrkiem Kotem, odwiedziny u rodziny w sąsiednich Bieńczycach i tam zabawy w podróż powozem z Busią (stryjeczną babcią Marią z Miklaszewskich Cieślewiczową – zmarła we wrześniu 1938 r., więc musiało to być wcześniej), odwiedziny znajomych; Franciszka Potocznika, jugosłowianina, zarządcę majątku Cystersów w Mogile czy księdza kanclerza kurii krakowskiej, Stefana Mazanka, który jeździł odkrytym samochodem Citroen, jakieś duże zgromadzenie gości na zakończenie polowania, ale także zabawy z siostrami, jazdę na trzykołowym rowerku po lodzie. Pamiętam, jak pełen zachwytu oglądałem wspaniały rower, który starszy o 11 lat kuzyn Jędrek dostał za świadectwo w 1938 r. Są to luźne obrazy dość niewyraźne. Natomiast bardzo wyraźnie pamiętam ranek pierwszego września 1939 roku, kiedy obudził mnie huk motoru samolotu i przez okno zobaczyłem olbrzymi samolot z niemieckim krzyżem – samolot ten leciał bombardować lotnisko w Rakowicach. Szybko schowaliśmy się do wykopanego w sadzie schronu – był to dół przykryty od góry półkolistymi kręgami blachy i warstwą ziemi. Wiedziałem, że od skutków bombardowania nas nie uchroni ale przed odłamkami tak. Tego samego dnia z mamą – ojciec, jako wójt i pełnomocnik do spraw zaopatrzenia wojska, był w pracy – pojechaliśmy końmi do Pleszowa, byle dalej od bombardowanego lotniska, gdzie dobry znajomy ojca, pan Rosiewicz, udzielił nam gościny. Dom stał przy drodze, którą ciągnął nieprzerwany sznur wycofujących się na wschód oddziałów wojskowych i tłum cywilnych uciekinierów. My także włączyliśmy się wozem z parą koni w tę „uciekinierkę". Dojechaliśmy do miejscowości Gruszów, gdzie przenocowaliśmy w stodole i gdzie ukradli nam duże futro z lisów, na którym spaliśmy. Tam też dogoniły nas pierwsze oddziały niemieckie i od razu zabrali nam jednego konia – zgrabną klacz, która była łagodna, pozwalała się głaskać i nazywała się „Kara" (od karej czyli czarnej maści.) Nie było sensu dalej jechać – wróciliśmy do Czyżyn. Wnętrze domu było splądrowane i zdewastowane, zapamiętałem porozrzucane stare rodzinne fotografie, listy, książki ze śladami ćwieków podkutych butów, a przy studni mały fortepianik – zabawkę mojej siostry. Sąsiedzi mówili, że kwaterujący w naszym domu Niemcy grali na tej zabawce popijając jakieś „sznapsy" i śpiewając.

Mama podjęła trud prowadzenia gospodarstwa po śmierci ojca – ja pięcioletnie dziecko długo nie zdawałem sobie sprawy ze śmierci ojca. Ojciec często przebywał poza domem zajęty prowadzeniem dwóch dużych gospodarstw, obowiązkami wójta gminy Mogiła, prezesa spółdzielni rolniczej „Jedność" w Krakowie, członka zarządu powiatowego banku, a w ostatnim okresie przed wojną pełnomocnika zaopatrzenia żywnościowego wojska – byłem więc przyzwyczajony do jego nieobecności.

Pierwszą zimę wojenną 1939/40 zapamiętałem jako niezwykle mroźną i z olbrzymimi opadami śniegu. Drzwi do domu uszczelnione warkoczami ze słomy i przesłonięte kocem były całe oblodzone i oszronione, okna uszczelnione wałkami waty przyklejonymi klajstrem zrobionym z mąki i wody były cały czas pokryte pięknymi wzorami lodu, w którym wychuchiwałem otworki do wyglądania. Drogi – na przykład do babci w Bieńczycach – prowadziły wśród kilkumetrowych zasp, przez które z trudem przebijały się nasze sanki i my okryci grubymi baranicami. Moje starsze siostry spędziły tę zimę w internacie Sióstr Urszulanek w Krakowie.

Następny rok to zajęcie części domu na kwaterę dla Niemców, a także przybycie rodziny wujostwa Larków z 3 dzieci, wysiedlonych przez Niemców z miejscowości Śmigiel koło Poznania, gdzie mieli młyn. Niemcy dali im pół godziny na spakowanie się przed opuszczeniem domu. Ciocia opowiadała, jak w pośpiechu pakowała rzeczy, które wydawały się jej potrzebne w czasie przymusowej wędrówki i denerwowała się na wujka, że zamiast jej pomagać wyjmuje z klaserów i pakuje znaczki pocztowe – był zamiłowanym filatelistą. Ja wiedziałem, że zbiera się znaczki pocztowe, ale uważałem to za zabawę – dopiero jak wujek pokazał mi serię znaczków i powiedział, że za tę serię przed wojną można było kupić samochód, zrozumiałem dlaczego wuj zabierał znaczki, a nie jeszcze jedną pierzynę. Do naszego domu coraz częściej zaglądali bliżsi i dalsi znajomi z Krakowa którzy zawsze wychodzili z paczkami żywności. W naszym domu żyliśmy skromnie ale na wsi naszej mamie zawsze było łatwiej o produkty z gospodarstwa, niż często niezaradnym inteligen-

tom z Krakowa. Nie były to jakieś frykasy, ale bochenek wiejskiego chleba upieczonego w naszym domowym piecu chlebowym, kilogram mąki, kaszy, worek ziemniaków, marchew, buraki czy kapusta nie mówiąc już o cebuli, pomidorach czy owocach z sadu stanowiły nieraz ważną pomoc dla miejskich spiżarni. Z mięsem – w związku z kolczykowaniem świń i krów oraz obowiązkowymi kontyngentami czyli dostawami – był problem. Ale w tamtych latach nie jadało się dużo mięsa. Obowiązek kolczykowania polegał na tym, że wolno było mieć tylko zwierzęta, które do ucha miały wszczepioną blaszkę spiętą nitem i posiadającą wytłoczony numer ewidencyjny. Te kontyngenty-dostawy obowiązkowe i kolczyki zwierząt były często kontrolowane przez urzędników niemieckich. Oczywiście ludzie wymyślili sposób, aby jednak mieć co jeść. W Czyżynach był świetny rzeźnik-masarz Zamojski, który wraz z 2 synami i naszym kowalem Ignacym Janeckim opracowali sposób na rozbieranie i ponowne składanie kolczyków. Dzięki temu można było przepiąć kolczyk na przykład z odchowanej 120 kg świni na 20 kg prosiaka.

Dla dziecka, które nie pamiętało czasów przedwojennych, życie pod okupacją wydawało się normalną codziennością. Oczywistością była pomoc potrzebującym członkom rodziny i znajomym, fakt, że obok gadzinowego „Steru", uczymy się z przedwojennych książek „Mówią wieki" i innych podręczników historii i geografii Polski, że za szafą jest przedwojenna mapa Polski i Europy a przyjeżdżający do czyżyńskiej szkoły nauczyciel pan Towpasz uczy moje siostry i mnie czytania mapy topograficznej w skali 1:100 000, że nie należy pytać, kim są nieznane nam osoby, które na parę dni lub tygodni pojawiają się w naszym domu, że nie wolno opowiadać o odbywających się w domu lub u babci w Bieńczycach „kompletach" tajnego nauczania i „gazetkach" (czyli nielegalnej prasie, przepisywanej przez ciocię w Bieńczycach a przechowywanej i czytanej w naszym domu), o tym, że kuzyn Jędrek Świerczewski należy do podziemnej organizacji i nie można się tym chwalić (chociaż język świerzbi), że dla tej organizacji siostry pracowicie uszyły biało-czerwony proporzec, wyhaftowały prawdziwego białego orła w koronie i napis „Bóg, Honor i Ojczyzna". Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że mieszkający u babci w Bieńczycach państwo Kellerowie z córką i mała Jasia Rutkowska byli Żydami. O fakcie przechowywania Żydów przez moją rodzinę w Bieńczycach wiedziała prawie cała wieś – nikt nie doniósł Niemcom. Przed wojną w Czyżynach mieszkał Żyd, doktor – „doktór" jak się wtedy mówiło – Wolfajer, którego nie znałem i rodzina Kwadratów, którzy mieli skład materiałów budowlanych mniej więcej na miejscu obecnego Ronda Czyżyńskiego. W tym składzie kupowaliśmy materiały, pamiętam betonowe kręgi studzienne. Po wojnie moja mama wspominała, że pan Kwadrat proponował, aby przechowała go wraz z rodziną. Mama – z uwagi na stale kwaterujących w naszym domu Niemców – musiała odmówić. Pan Kwadrat to rozumiał, ale kiedy szedł do getta, prosił o przechowanie mebli – do końca wojny stały schowane w budynku spichlerza. Po wojnie odebrał je syn Kwadratów, który przeżył wojnę w Związku Radzieckim – potem z Izraela przysłał list z podziękowaniem, w którym użył słów, że postępowanie naszej rodziny dowiodło iż „są jeszcze wśród Polaków uczciwi ludzie". Bardzo mnie to zdziwiło, bo żyłem w przekonaniu o uczciwości Polaków, wśród których nieuczciwi byli wyjątkami. Mama słusznie przewidywała – oprócz stałego kwaterowania żołnierzy niemieckich zdarzały się rewizje. Pamiętam, kiedy oddział niemiecki otoczył nasz dom, na rogach ustawili dwa karabiny maszynowe na wypadek, gdyby ktoś z domu uciekał i przeszukali dom od piwnic aż po strych. Przeszukiwali szafy, przeglądali książki w biblioteczce, ale nie zauważyli ani map za szafą, ani nielegalnych gazetek na nakastliku (jak wtedy nazywało się nocną szafkę stojącą przy łóżku), no i najważniejsze; nie zwrócili uwagi na kartonowe pudełko stojące za nogą szafy. W tym pudełku, w wyjątkowo bezmyślny i idiotyczny sposób, schowałem 30 naboi karabinowych i dwa pociski do działka przeciwlotniczego. Naboje te znajdowałem w czasie kąpieli w naszym stawie, gdzie niemieccy żołnierze pławili czyli kąpali i poili konie, widocznie nie chciało im się wyprzęgać wozów i wjechali do wody wozem, z którego wypadły kartony z nabojami. To, czego im nie chciało się wyciągać z mulistego dna, ja wraz z kolegami pracowicie wydobywałem. Łącznie wyłowiliśmy około 200 sztuk, które przekazywałem mojemu kuzynowi członkowi Armii Krajowej. Z przejęciem powtarzałem kolegom jego słowa, że każdy taki pocisk, dobrze wycelowany, to jeden Niemiec wyeliminowany z wojny. Tych naboi nie zdążyłem jeszcze mu przekazać, a sam fakt i sposób ich przechowywania w domu świadczył o skrajnej głupocie i lekkomyślności. Mama ani siostry o tych moich skarbach oczywiście nic nie wiedziały, a ja miałem wyjątkowe szczęście, że Niemcy tego nie znaleźli.

Rok 1944 przyniósł nowe wydarzenia – do Czyżyn przyjechało parę rodzin uciekających z okolic Stanisławowa przed mordami ukraińskimi. U nas w suterenie zamieszkała rodzina, z której zostały tylko kobiety i dzieci – mężczyźni zostali zamordowani. To, co przeżyli i co opowiadali, po prostu nie mieściło się w głowie. W ich opowieściach znalazłem potwierdzenie okrucieństwa ukraińskich hajdamaków walczących z naszymi Orlętami we Lwowie. Kobiety i najstarszy 16-letni chłopak pracowali w naszym gospodarstwie, z dziećmi chodziliśmy razem do szkoły.

W październiku, po upadku Powstania Warszawskiego, przyjechała siostra mojej mamy z mężem i małą córeczką oraz szkolna koleżanka mamy z rodziną. Musieliśmy pomieścić się w kilkanaście osób – spaliśmy na stołach, pod stołami, na zestawionych fotelach – dla na dzieci była to atrakcja. Tak licznie nigdy nie siedzieliśmy przy wigilijnym stole – nawet nakrycie dla niespodziewanego gościa trzeba było postawić na komodzie, bo w żaden sposób nie mieściło się na zestawionych stołach. Zobaczyłem też po raz pierwszy w życiu odmienny od naszego sposób wieszania u sufitu

choinki, „do góry nogami" czyli podłaźniczki u naszych lokatorów ze Stanisławowa, inne ozdoby choinkowe, na przykład światy czyli kule robione z kolorowych opłatków i zawieszone na choince. Także duża ilość siana pod obrusem tworząca rodzaj poduszki była dla mnie zaskoczeniem.

Na temat zabaw, wesel, muzyki – niewiele mogę powiedzieć, byłem dzieckiem. Pamiętam natomiast, że w Czyżynach przy głównej drodze była karczma, której właścicielem był Piotr Krupa – człowiek potężnej postaci i wyjątkowej dobroci. Sprawował bardzo ważną społeczną funkcję, pełniąc obowiązki społecznego administratora naszego czyżyńskiego kościoła. Był prawą ręką proboszcza, księdza kanonika Józefa Zastawniaka, który mawiał iż „pan Krupa, co zabierze pijakom – to daje na kościół". Byłem ministrantem i pamiętam napisy „Fundacja Piotra Krupy" na licznych przedmiotach wyposażenia kościelnego: kielichach, patenach, monstrancji, lichtarzach, dzwonkach a także witrażach i szatach liturgicznych. Był także mecenasem czyli dzisiejszym sponsorem Amatorskiego Klubu Sportowego w Czyżynach. Pewnego dnia pracująca u nas dziewczyna poszła coś załatwić do karczmy i bardzo zdziwiona pytała mojej mamy, czy wie jak się robi grzane piwo? Jak to jak, wlewa się piwo do garnka i stawia na piecu. Ależ nie – wyjaśniła dziewczyna – wlewa się pół garnka piwa i dolewa do pełna gorącej wody.

Odpusty w naszym czyżyńskim kościele były dla dzieci mało atrakcyjne, bo wartości duchowych nie docenialiśmy, a barwnych kramów było niewiele. Natomiast wrześniowe, całotygodniowe odpusty w Klasztorze Cystersów w Mogile były celem pielgrzymek rodzinnych, a później koleżeńskich. Duża ilość straganów, gdzie koniecznie trzeba było kupić różaniec z ciasta, piłeczkę na gumce, cukierki – a jak się uskładało trochę pieniędzy – to wspaniały pistolet na kapiszony albo nawet szczyt marzeń – korkowiec. Dziewczynki kupowały pierścionki, zegarki na gumce, spinki do włosów i kolczyki. Chłopcy próbowali swych sił w strzelnicach, starsi walili młotem ze wskaźnikiem siły, były karuzele z końmi i łabędziami dla dzieci oraz motorowe z siedzeniami na łańcuchach dla starszych. Jak pozwolili ci jechać na takiej karuzeli, to był awans do grupy starszych. Czasem udało się dopchać na podest, gdzie chodząc w kółko pchało się karuzelę dla dzieci – za to dostawało się cukierki, ale małym trudno się było dostać, bo więksi odpychali.

Na co dzień bawiliśmy się z kolegami najpierw w chowanego a jak podrośliśmy – od czwartej klasy – w odbijanego. Tworzyły się tak zwane paki po 6 chłopców, dzieliliśmy się 2 na 4 – dwóch goniło, czterech uciekało. Złapany musiał stać nieruchomo, aż został „wybawiony" dotknięciem ręki innego uciekającego lub stał do końca zabawy. Była cała strategia zabawy, łapania w odpowiednim miejscu, różne taktyki na przykład „przecinanie" przez zmianę miejsc. Najlepsi byli Leszek Sroka, Jasiek Siwek i Gienek Mól, a najlepsze „wykrętasy" czyli zwody robił Józek Jarosz i Jasiek Wilk. Gdy mieliśmy piłkę na szkolny boisku graliśmy w „walkę narodów" później znaną jako „dwa ognie". Drużyny tworzyło się przez wybieranie przez najlepszych takich jak Józek Nędza, Olek Marszałek czy Leszek Sroka. W domu wśród chłopaków z sąsiedztwa graliśmy w piłkę – czasem była to piłka Kaja Kalinowskiego, syna właściciela sklepu, który miał chorą nogę, używał aparatu ortopedycznego, ale dzielnie stawał na bramce. Czasem przychodził z piłką doskonały technik piłkarski Edek Petek, a czasem graliśmy moją piłką, miałem tak zwany „płaszcz" bez dętki ale wypełnialiśmy skórę sianem i specjalnie nam to nie przeszkadzało. Grali sąsiedzi; bracia Fudałowie: Mietek, Cesiek i Staszek (z przerwami bo na zmianę opiekowali się najmłodszym małym Leszkiem), Olek Marszałek, Marian Perski, Kazek Palus czasem przychodzili inni koledzy. W zimie jeździliśmy na sankach i łyżwach – graliśmy w hokeja kijami wyciętymi w krzakach koło nasze stawu. Kto miał łyżwy, to na łyżwach, a kto nie miał, to w normalnych butach – często były to dostępne na kartki wojenne buty na drewnianych podeszwach. Starsi koledzy grywali na stawach gromadzkich. Organizowaliśmy też biegi na łyżwach, w których najlepszy był Olek Marszałek a drugie miejsce zajmowałem na zmianę ze Zbyszkiem Jarząbkiem. Po wojnie, na przełomie lat 40 i 50, grywaliśmy w siatkówkę na boisku zrobionym przez członków KSMM koło naszej stodoły. Grali koledzy z KSMM: Dzidek Soroczyński, jego kuzyn, Zbyszek Soroczyński, Jasiek Cygan, Władek Gil, Kazek Urban, Franek Zębala, przychodził Zbyszek Fotij, dziewczyny: Marysie Soroczyńska i Moskałówna, Hanka Mikuła, przyjeżdżały z Krakowa koleżanki Marysi Soroczyńskiej z gimnazjum imienia Jozefy Joteyko – Krysia Cygan, Hela Bomba, Marysia Birczyńska i Ewa Dadak. Czasem grywały moje siostry. Graliśmy starą piłką, którą prawie codziennie pracowicie cerowałem.

Po krótkim okresie 1952/3, kiedy pracowałem jako zbrojarz w Zjednoczeniu Robót Inżynieryjnych i zdawałem maturę w I Liceum dla Pracujących w Nowej Hucie, moje związki z Nową Hutą stawały się coraz luźniejsze. Studia na UJ, praca, ślub w 1958 r. i przeniesienie się do Krakowa, potem do Myślenic, w Tatry i na Orawę odsunęły mnie od problemów rodzinnej miejscowości.

Na emeryturze w 2003 roku zamieszkałem w Krakowie. Czuję się związany z Czyżynami, jestem dumny, że pochodzę z tej wsi – ale dziś moich Czyżyn już nie ma. Rodzinny dom, przebudowany, zamieszkują obcy, na stawie, w obejściu na terenie inspektów, szklarni, sadu stoi kilkanaście willi, wieś poprzecinana ulicami, podzielona na kawałki. To już inne Czyżyny zamieszkałe przez nowych innych mieszkańców.

Wincenty Cieślewicz



Kazimierz Cieślewicz – dzierżawca majątku w Czyżynach i Bieńczycach – z żoną Zofią i dziećmi: Izabellą, Marią (trzyma ją za rączkę) i Wincentym (w wózeczku). Zdjęcie wykonano przed dworem w Czyżynach w 1935 r.



Dwór w Czyżynach, lata 20. XX w.



Dożynki, lata 20. XX w.



Izabella i Maria Cieślewiczówny, Czyżyny lata 30. XX w.



Zofia Cieślewicz z córkami, lata 30. XX w.





Dwór i staw z kaczkami w Czyżynach, lata 30. XX w.



Zimą na stawie w Czyżynach, od lewej: Maria i Izabella Cieslewiczówny, w głębi zabudowania dworskie, lata 40. XX w.



Wincenty Cieślewicz, syn Kazimierza, 1939 r.



Na podwórku, od lewe:j Maria Cieślewiczówna, Hania, Jasia Rutkowska, 1944 r.



Izabella i Maria Cieślewiczówny zimą na stawie, Czyżyny, lata 40. XX w.



Wincenty Cieślewicz jedzie na rowerku po zamarzniętym stawie, w głębi fragment zabudowań dworskich i kościół Czyżynach, lata 40. XX w.

Wywiad przeprowadzony z panem Mieczysławem Marcem

Jakie są Pana najwcześniejsze wspomnienia związane z Czyżynami?

Datują się na początkowe lata 30-te, od 1933 roku. Czyżyny były wówczas podmiejską wsią, bo do Krakowa zostały włączone dopiero w 1941 r. oczywiście w tych czasach, począwszy od Wieczystej nie było zabudowań. Przy obecnej alei Jana Pawła II, idąc od strony Krakowa, w latach od 1935-1939 wybudowano kilka domów, z których cztery jeszcze dziś stoją. Jeden, pierwszy, od strony Akademii Wychowania Fizycznego, a kolejne bliżej ronda, za ekranami. Wzdłuż obecnej alei Jana Pawła II były domy mieszkalne i inne zabudowania. Nie wszyscy mieszkańcy Czyżyn zajmowali się rolnictwem czy sadownictwem, bo byli tacy, którzy pracowali w fabrykach, względnie prowadzili działalność usługową, np. szewcy, krawcy, piekarze, itd. Wzdłuż tej Alei po prawej stronie były cały czas domy mieszkalne, a po drugiej stronie to były tereny lotniska. Pierwsze hangary były od strony Rakowic, a później dopiero hangar, który był portem cywilnym, on nawet stoi nadal. Nie śniło się o żadnych Balicach, bo tutaj do 1966 r. było czynne lotnisko. Domy za tymi terenami hangarów i lotniska to znowu były zabudowania mieszkalne, które zostały wyburzone dopiero w latach budowy os. II Pułku Lotniczego. Od tej głównej arterii, która wówczas nazywała się ul. Wojewódzką, odchodziły ulice: Wężyka, Centralna, Wysockiej, Boguszówka, Dolna, itd. Oczywiście w tych czasach nie było prądu elektrycznego. Wieś została zelektryfikowana w 1945 r. Na czele komitetu elektryfikacji stał m.in. Józef Salwiński, ojciec dr Barbary Salwińskiej-Ciećkiewicz. On był przewodniczącym. Była linia kolejowa, która biegła na trasie Kraków Główny przez Grzegórzki, Dąbie, Czyżyny. W Czyżynach było rozgałęzienie tej linii kolejowej na lewo – obecną ul. Bieńczycką do Kocmyrzowa, z przystankami w Bieńczycach, Grębałowie, Prusach. Dalej nie, bo tereny poza Kocmyrzowem należały do zaboru rosyjskiego i w stronę Proszowic już była wąskotorówka. W Czyżynach prosto biegła linia kolejowa do Mogiły. Ludzie dojeżdżali do pracy, młodzież do szkół. Nie było autobusów specjalnych, natomiast sporadycznie zatrzymywały się autobusy jadące w stronę Nowego Brzeska. Okresowo jeździła „motorówka", czyli dwuosiowy wagon motorowy.

W 1935 i 1936 r. wybudowano Zakłady Uprawy Tytoniu, popularnie zwane Monopolem. Bardzo dużo mieszkańców Czyżyn podjęło tam pracę. Było to bardzo duże udogodnienie, bo nie musieli nigdzie dojeżdżać czy dochodzić.

Na terenie dzisiejszego os. Kolorowego były tzw. baraki wojskowe, które wybudowali Austriacy, jeszcze przed I wojną światową. One stały bezużyteczne i wojsko je rozburzało i sprzedawało, a ludzie kupowali; cegłę, dachówki, drewno.

W latach 20-tych, po I wojnie światowej zaczęła grać w piłkę ówczesna młodzież. Wiem to, ponieważ zbierałem w 1948 r. materiały przy okazji jubileuszu klubu i rozmawiałem osobiście z tymi panami, którzy wówczas w tych latach grali. Obecnie nikt z nich oczywiście nie żyje. To nie było jeszcze zrzeszone w żadnym okręgowym związku piłki nożnej. W latach 30-tych już była to bardziej zorganizowana grupa, ale nadal nie zrzeszona. W 1938 r. powstał AKS Czyżyny – Amatorski Klub Sportowy, który zaczął od najniższej klasy – C. To było już zarejestrowane i tak trwało do wybuchu wojny. W lecie organizowane były festyny, żeby kupić buty, koszulki. Każdy miał jakieś zajęcie, jeden sprzedawał bilety, drugi roznosił piwo, itd. Ciężko było wtedy ze sprzętem. Przed wojną sponsorem był dzierżawca piekarni, Radwański, a po wojnie właściciel restauracji, Piotr Krupa, został szefem Klubu Sportowego. Boisko nie było ogrodzone, nie było budynku. A nawet to co było, to w czasie wojny zostało zniszczone. Ale jeszcze w trakcie wojny myśmy równali kretowiska. Tam gdzie są teraz przy ul. Nowohuckiej zabudowania MPO, tam było boisko. Przedwojenne było przy obecnej ul. Narciarskiej. Czyżyny zostały do Krakowa włączone nie w związku z budową Nowej Huty, tylko w 1941 r. Za okupacji Niemcy włączyli 28 podmiejskich wsi. Za Monopolem kończył się Kraków, stały słupy oznaczające koniec Krakowa.

Jak wyglądało Pana dzieciństwo, młodość i szkoła?

Było Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej, Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Żeńskiej oraz Organizacja Strzelców. Organizowane były przedstawienia w Domu Ludowym, który został wybudowany w 1935 r. Odbywały się tam imprezy szkolne, przedstawienia członków Klubu Sportowego (AKS Czyżyny), tam też odbywały się zabawy.

Jakie są Pana wspomnienia związane z zabawą? Odpustami, weselami, muzykami, karczmą?

Na zabawach była orkiestra, bufet był. Odbywały się one w budynku, bo sala była duża. Każdy mógł tam przyjść. Były także dożynki, po zakończeniu żniw w poszczególnych latach. Byli wybierani starostowie dożynek, któregoś roku była nią moja teściowa. Jak przy zabawach, obecne były tańce, przyśpiewki. Nie było zawodowej orkiestry, ludzie się zbierali do grania przy różnych okazjach. Każdy miał swój zawód, a jak trzeba

było przychodził i grał. Z czasów dziecięcych pamiętam obchodzenie Zielonych Świątków. Wtedy wszystkie domy były majone zielenią. Każdy we własnym zakresie, nawet z kasztanów się ucinało gałęzie i inne. Paliło się sobótki, śpiewało się. Głównie brała w nich udział młodzież. Wtedy bawiliśmy się tzw. macharkami. Na drucie zawiązywało się szmaty zbite i powiązane drutami, maczało się w oliwie, podpalało i rzucało – była uciecha, kto dalej rzuci. To było takie sielskie, anielskie. Nie było takiej zawiści, ludzie utrzymywali kontakty ze sobą, sąsiedzi. A dzisiaj każdy zamknięty u siebie. To była taka specjalna atmosfera pomocy. Te wszystkie święta naprawdę to tak miło było. Teraz to się zatraciło, nie ma takiej więzi. Chodzenie po kolędzie od Szczepana z szopką, ale potem też się chodziło z gwiazdą.

Czy we wsi mieszkali Żydzi? Jaki był do nich stosunek mieszkańców? Czym się zajmowali? Jakie były ich późniejsze losy?

Mieszkało ich trochę, rzeźnik, młynarze, dentysta, sklepikarze, gdzieś około dwudziestu osób. Nie było jakiś rozdźwięków. Następowała asymilacja katolików i Żydów. Do jednej klasy chodziłem z żydowskim chłopakiem. Oni sami się też nie odcinali. Jak Niemcy weszli do Krakowa, to od dwunastego roku życia musieli nosić na ręce gwiazdy Dawida. Tramwajami nie wolno im było jeździć. Polacy natomiast mieli swoje wyznaczone miejsce w wozie, połowa, odgrodzona, była „nur fur Deutche". Był duży młyn parowy, własność żydowskiej rodziny, Guttów, ojcem był Mayer. W młynie dokonywano przemiału gospodarczego, tzn. rolnicy przywozili zboże, a zabierali mąkę i otręby. Ale też skupował zboże i handlował. Mój dom rodzinny był w pobliżu tego młyna. Gutt miał trzech synów i jedną córkę. Jeden syn jeszcze przed wojną skończył studia i wyjechał do Australii. Ojciec z matką, syn z żoną i córka zginęli tutaj. W młynie zatrudniona była duża liczba osób. Był tartak, też własność żydowska rodziny Perlberger. Sklepy prowadzone były przez katolików oraz przez Żydów. Przez Żydów trzy, a wszystkich było osiem. Trzy masarnie prowadzone przez katolików a jedna przez Żydów. Ze mną chodził do szkoły podstawowej syn tych rzeźników. Jego matka i brat zginęli, a ten młodszy przetrwał, ukrywał się. Początkowo chodził i prosił, to dawali mu chleb i to wszystko. Po wojnie jeden tylko wrócił, ale w ogóle do Żyda był niepodobny. Teraz już nie ma ich wcale tutaj.

Czy był we wsi dwór? Jak on wyglądał? Jak wyglądało w nim życie? Co go łączyło z życiem ludzi we wsi?

Dwór był w Czyżynach i w Bieńczycach. Cieślewicze nie byli właścicielami, tylko dzierżawcami. Właścicielem była kuria biskupia w Krakowie. Zarządzał nim inż. Kazimierz Cieślewicz, ojciec Izabeli, Wincentego i Marii. Dzierżawca dworu był równocześnie wójtem gminy zbiorowej Mogiła. Do 1934 r. każda wieś miała swojego wójta. Jednak reforma z lat 30-tych wprowadzała gminy zbiorowe, składające się z kilku lub kilkunastu wsi. We wsiach byli sołtysi. Inż. Kazimierz Cieślewicz zasłużył się dla Czyżyn, bo był przewodniczącym Komitetu Budowy Szkoły, w 1930 r. ją uruchomiono. Również był w Komitecie budowy kościoła. Jako pierwszy miał samochód. Były tam zabudowania gospodarcze, zatrudniano wielu pracowników. Kontakt z dworem mieli ci, co tam pracowali. Cieślewicze byli bardzo szanowani, brali czynny udział w życiu wsi, zawsze mieli na uwadze dobro wspólne.

Czy miasto było ważne w życiu wsi? Jak wyglądały kontakty z miastem? Po co jechano do miasta?

Ci co pracowali w Krakowie, to jechali do miasta. Ludzie jeździli handlować; sprzedawali jarzyny, mleko, ser, jajka. Z ciekawostek można powiedzieć, że w ówczesnych Czyżynach było 40 właścicieli dorożek konnych, a w całym Krakowie było ich 300. Zarobkowo jeździli dorożkami, karetami krytymi, sankami. Jak się zaczęła budowa Huty po wojnie, to musieli tą pracę łączyć z nowymi obowiązkami. Jeżdżono też na targi, na Kleparz, Plac Szczepański, z warzywami, mlekiem, jajkami. Wspominam z rozrzewnieniem te czasy. Idąc po prawej stronę od Dąbia w stronę Czyżyn to łąki były, pełne kwiatów polnych, pamiętam jak biegaliśmy po tych łąkach i zbieraliśmy kwiaty. Wierzby stały koło obecnej wytwórni filmów telewizyjnych. Mówię to z perspektywy. Widzę, odtwarzam sobie to wszystko. To są wszystko miejsca, których praktycznie nie ma. Widać z Alei Jana Pawła II kawałek młyna jedynie.

W jaki sposób II wojna światowa wpłynęła na życie we wsi? Pamięta Pan jakieś konkretne zdarzenia, historie z tego czasu?

II wojna dla wielu tutaj mieszkańców Czyżyn dała się we znaki. Ponieważ lotnisko było tutaj w Czyżynach, to pierwsze bombardowania 1 września były tutaj. Hangary bombardowali i pas startowy, ale jak myśmy powychodzili z domu, to Niemcy z samolotów strzelali do nas. Patrzymy, a tu biały krzyż i czarna obwódka. Myśleliśmy, że to próbne naloty. Wielu ludzi zostało wtedy zabitych, między innym mój chrzestny wujek, brat był też ranny w czasie nalotów, odłamki nosił do końca życia, zmarł mając 82 lata. Kilka domów na błoniu zostało zburzonych i zabito tam kilka osób. Potem to już co jakiś czas były aresztowania, ludzie byli wywożeni, bardzo mało wróciło. Było bardzo ciężko, jak sobie przypominam to wszystko to nawet nie chcę myśleć. Te łapanki, strach, godzina policyjna, kupić nie można było nic.

Czy były jakieś miejsca, o których Pan pamięta, a których już nie ma?

Była cegielnia, która upadła. Przy ulicy Centralnej były stawy. To były jeszcze pozostałości po starym korycie Wisły. Może w czterech stawach się dzieci kąpały, a w zimie ślizgały się na lodowiskach. Były tutaj dwie piekarnie, kilka składów węgla, kuźnie, zakłady krawieckie, zakład trumien – tego wszystkiego już nie ma.

Jakie miejsca uznał by Pan za niebezpieczne? Przed budową Nowej Huty i obecnie?

Nie kojarzę takich miejsc w ogóle. Mało chodzę, bo ani na mecze, bo to się nie da teraz chodzić. Jak kopałem piłkę, to za darmo, piana z ust szła i nikt nic nie dał. A teraz?

O jakich miejscach świętych Pan wie? Wtedy i teraz. (krzyże, kapliczki)

Najbliżej to Mogiła, cudowny Pan Jezus, do którego przez setki lat ludzie pielgrzymowali, od królów naszych począwszy. Odpust to było wydarzenie, na które się czekało. Dzieci to bardziej myślały o karuzelach niż modlitwie. Ciągnęły tu z różnych okoli Krakowa, i nie tylko, pielgrzymki ze śpiewem i orkiestrą. Tutaj to było miejsce święte od wieków i z tym to było kojarzone. Jeszcze ewentualnie do Kalwarii Zebrzydowskiej. Ale do Częstochowy nikt stąd nie chodził. Nie było jeszcze kościoła do 1936 r., to na przykład majówki, odbywały się pod figurkami. Bo jest ich dużo jeszcze. Z mężczyzn to mało chodziło i śpiewało, ale matki i dzieci to tak. W kilku miejscach śpiewane były litanie i pieśni majowe. Ja w dzieciństwie śpiewałem pod figurą, która stoi do dziś przy obecnej alei Jana Pawła II.

Czy dobrze Pan czuje się w Hucie?

Czuję się tutaj dobrze. Z tym, że ja byłem związany więcej ze Starym Krakowem niż z Hutą. Bo co prawda tutaj szkoła podstawowa, ale już kolejne szkoły to w Krakowie. W czasie wojny skończyłem szkołę handlową, gdzie profesorami byli doktorzy z UJ-u. Potem pracowałem, za robotnika, ale nie na kombinacie. Posiadam średnie wykształcenie ekonomiczne. Na Uniwersytecie Jagiellońskim studiowałem administrację, praca magisterska z prawa finansowego. Mieszkam w Nowej Hucie od przeszło 50 lat i czuję się tutaj dobrze.

Notowała Justyna Żurek





Dzieci ze Szkoły Powszechnej w Czyżynach na wycieczce do Ojcowa, powozi Jan Malinowski, lata 30. XX w.



I Komunia Św. uczniów III klasy SP w Czyżynach w kościele Św. Bartłomieja w Mogile, siedzą z przodu od lewej: ks. Vracko (Słoweniec), ks. Józef Zastawniak i Franciszek Marszałek, w 2 rzędzie 2 od prawej Mieczysław Marzec, 18 czerwca 1936 r.



Procesja Bożego Ciała w Czyżynach, 1946 r.



Uczniowie za SP w Czyżynach, 1940 r.

Wywiad przeprowadzony z Barbarą Salwińską-Ciećkiewicz

Jakie są Pani najwcześniejsze wspomnienia związane z miejscowością urodzenia, z Czyżynami?

Pierwsze co zapamiętałam, to naloty samolotów niemieckich i bombardowanie lotniska, w pobliżu którego mieszkaliśmy w 1939 r. Ojciec nasz był wtedy w wojsku. Przerażeni ludzie zabierali dobytek i uciekali do wsi położonych dalej od lotniska. Nas z mamą i siostrą wujek zawiózł do Branic, skąd po kilku dniach, jak się sytuacja uspokoiła, przyjechałyśmy do domu. Wkrótce też wrócił z wojny nasz ojciec.

Potem w czasie okupacji Niemcy powiększali lotnisko i z domów stojących na tym terenie wyrzucali całe rodziny, które nie miały się gdzie podziać. Przyjmowali je pod swój dach ich krewni i przyjaciele. Teren lotniska szybko został ogrodzony i rozpoczęto budowę dróg startowych. Pracowali tam poza Polakami, Żydzi, a w późniejszym okresie jeńcy francuscy i rosyjscy. Zatrudnieni tam byli również współpracujący z Niemcami Ukraińcy – mężczyźni i kobiety.

Wkrótce za ogrodzeniem stanęły samoloty i duże zbiorniki z paliwem, otoczone z dwu stron nasypami ziemnymi i przykryte maskującą zieloną siatką. Od strony drogi była brama wjazdowa z budką strażniczą. Pomimo takich zabezpieczeń ludziom z Armii Krajowej udawało się od czasu do czasu coś zrobić na złość Niemcom – jak np. podkopać się pod ogrodzenie, wywiercić dziurę w zbiorniku z paliwem i wypuścić benzynę.

Życie na wsi organizowali sobie ludzie jak mogli, trudniej było tym biednym, nie mającym gospodarstw, z małych domków na Błoniu. Realizowane przez nich kartki na ciemny chleb i buraczaną marmoladę to było za mało, żeby wyżyć. Dużym wsparciem dla nich były wypasane po rowach „kozy żywicielki" i hodowane króliki. Po żniwach i wykopkach widać było na polach dzieci zbierające pozostawione kłosy zbóż i wygrzebujące z ziemi ziemniaki. Ludzie sobie nawzajem pomagali jak mogli.

Dla najbiedniejszych z Czyżyn i Łęgu nasz ojciec, Józef Salwiński, zorganizował tolerowaną przez Niemców pomoc z Rady Głównej Opiekuńczej – RGO.

Porządku na wsi pilnowała granatowa policja i przysłany przez Niemców żandarm, Ślązak mówiący po polsku o nazwisku Herzig, który wcześnie rano stał na gościńcu przed stojącym do dziś domem – sklepem Jana Zamojskiego, u wylotu ul. Franciszka Wężyka i kontrolował jadące do miasta furmanki i kobiety z tobołkami pytając o „szpek". Był on bardzo krzykliwy ale nie bardzo szkodliwy.

Niemcy szybko uruchomili produkcję papierosów w niezniszczonym podczas działań wojennych Monopolu Tytoniowym. Ze względu na duże zapotrzebowania na papierosy dla wojska nałożono na rolników, nawet z odległych wsi, kontyngent na obowiązkowe dostawy tytoniu. Zatrudniona w Monopolu mieszkanka Czyżyn, inż. Magdalena Ralska, biegle mówiąca po niemiecku, pomagała młodym ludziom w uzyskaniu pracy, a praca ta chroniła ich przed wywózką na przymusowe roboty do Niemiec. Pracownicy byli zatrudniani na stałe i sezonowo. Za prace częściowo otrzymywali wynagrodzenie w gotówce a resztę w postaci papierosów i alkoholu. W jesieni odbywał się skup tytoniu od plantatorów.

Nadszedł koniec okupacji. Dyrekcja niemiecka opuściła Monopol, pozostawiając całe jego wyposażenie w stanie użyteczności. Wycofało się wojsko niemieckie, przyszła zmiana frontu, nadjechały 2 czołgi rosyjskie od strony Kocmyrzowa , które ustawiły się na gościńcu w stronę Krakowa przed Monopolem i te nie zrobiły żadnej szkody. Od strony Rakowic wjechały następne 2 czołgi, zajęły pozycję w bramie lotniska i strzelały za uciekającymi Niemcami, uszkadzając przy tym mury kościoła, witraże i dom stojący w pobliżu. Jeden z Akowców, którzy patrolowali wieś w czasie zmiany frontu – Stanisław Mars z Łęgu – widział, że tę kanonadę czołgów przerwał jeden z ostatnich Niemców stojący w pobliżu, za rogiem domu, który z pięści pancernej trafił w nie powodując ich zapalenie. Po kilku godzinach wszystko ucichło, ludzie wyszli z piwnic zadowoleni, że wojna się skończyła. Dwaj radzieccy czołgiści zostali pochowani przed ogrodzeniem lotniska, a potem przeniesieni do grobu koło Barbakanu.

Do wsi weszło wojsko radzieckie i zostało rozmieszczone po domach. Na drugi dzień dowództwo radzieckie poprosiło na spotkanie przedstawicieli wsi. Poszli między innymi: sołtys Andrzej Malinowski, Józef Salwiński, Władysław Zbroja. Na szczęście, po wypiciu kilku kieliszków wódki i rozmowie z oswobodzicielami, wszyscy wrócili do domu. Pierwsi wkraczający czerwonoarmiści zachowywali się poprawnie, czego nie można powiedzieć o nawiedzających później Czyżyny, wędrujących za frontem maruderach.

Zaraz po przejściu frontu zabrano się do życia. Ustawiono straże przy Monopolu i przy młynie dla zabezpieczenia przed ich zniszczeniem i grabieżą. Mężczyźni porządkowali drogi startowe na lotnisku. Założono

komitet elektryfikacji wsi, co zakończyło się sukcesem. Młodzież uczęszczająca dotychczas na tajne nauczanie ruszyła do Krakowa, do organizujących się szkół średnich i wyższych. W Zakładach Tytoniowych uruchomiono produkcję, pracownicy zgłaszali się do pracy – szczęśliwi, że będą mieli za co żyć i posyłać dzieci do szkół. Z wdzięczności ufundowali jako wotum, stojącą tam do dziś, figurę Matki Bożej z napisem „Błogosław naszej pracy". Wznowiło działalność Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży, założono koło Polskiego Stronnictwa Ludowego i Koło Gospodyń Wiejskich.

Wszyscy myśleli, że będą sobie budować nową Polskę na swój sposób, aż przyszedł okres referendum, na dworskim płocie pojawił się napis „3 x TAK POLAKA ZNAK". Ani znany wszystkim jego wynik, ani sposób głosowania w wyborach, nie satysfakcjonowały władzy ludowej. Wkrótce nadeszły przerażające wieści, że w gminie w Mogile wisi jakaś lista osób wywłaszczonych – nikt nie rozumiał co to ma znaczyć. Potem ludzie dostali do domów imienne zawiadomienia z „korzystną" ceną wywłaszczeniową za 1 m2 ziemi wynoszącą kwotę równą mniej więcej cenie biletu tramwajowego.

Co pamięta Pani o domu, rodzicach, rodzeństwie, bliższej i dalszej rodzinie?

Moi rodzice pochodzili z rodzin chłopskich, mama Zofia z Czernków z Czyżyn, ojciec Józef Salwiński z Bieńczyc. Ojciec jako pierwszy w rodzinie uzyskał wyższe wykształcenie i tytuł magistra praw tuż przed wojną. W Czyżynach na terenie obecnego Osiedla Na Lotnisku mieli oni dom z zabudowaniami gospodarczymi i 3 morgi pola. Początkowo utrzymywali się z tego gospodarstwa. Było tam ładnie i wesoło, wokół sady owocowe, dobrzy sąsiedzi Śliwińscy i Hajty, z którymi rodzice się przyjaźnili, a my dzieci bawiliśmy się z ich dziećmi. Wiosną nawiedzała nas „powódź" – z terenów wyżej położonych w okresie roztopów spływała woda, poprzez gościniec w kierunku jeszcze niżej płożonego Błonia. Podobno w dawnych czasach był tam nawet most.

Kiedy zostaliśmy wyrzuceni z tego domu przez Niemców, przygarnął nas dobry wujek, Franciszek Czernek z ulicy Kościelnej (obecnie ul. Franciszka Wężyka). Niemcy zgodzili się na rozebranie drewnianych zabudowań i udało się jeszcze w czasie okupacji postawić dom na oddanym nam przez babcię kawałku ziemi przy ul. Centralnej, przed Zakładami Tytoniowymi. Wkrótce rodzice założyli ogród z kwiatami przed domem, za płotem były pola dworskie schodzące do łąk. Było tam też ładnie, ale krótko, bo teren ten został objęty wywłaszczeniem w pierwszej turze. Przez kolejne lata parcela była okrawana pod budowę drogi i bloku. Pozostawał dom, którego nie wolno było remontować, podłączyć kanalizacji i wody. Pozostawiono naszą studnię w granicy chodnika przed blokiem, żeby nie musieć podłączyć nas do wodociągu. W końcu w róg domu wchodzący w chodnik ruchliwej ul. Centralnej uderzył przejeżdżający samochód i uszkodził go. Nie decydowano się jednak na wyburzenie tego domu jak długo mieszkała tam cała rodzina, której należałoby dać mieszkania. Podjęto taką decyzję dopiero po wyprowadzeniu się nas z siostrą z rodzinami na zakupione przy wsparciu ojca mieszkania. Zaraz po śmierci naszego ojca, kiedy pozostała w domu tylko matka, przesłano jej decyzję z zaleceniem opuszczenia domu, przydzielając jej dopiero po interwencji małe mieszkanie.

Prawie wszyscy krewni z wywłaszczonych gospodarstw musieli opuścić Czyżyny. Liczna rodzina naszej mamy miała gospodarstwa w rejonie obecnej ulicy Franciszka Wężyka. Jeden z wujków, Jan Czernek, prowadził od przed wojny przedsiębiorstwo przewozowe. Miał on silne konie – perszerony i duże wozy – „platony", którymi rozwoził towary z rozładowywanych wagonów na stacjach kolejowych, do różnych miejsc ich przeznaczenia (transport w tamtych czasach był głównie kolejowy i konny).

Babcia Katarzyna Czernek– Maskowa oddała ze swojego gospodarstwa przy domu teren pod budowę kościoła w Czyżynach, który metropolita krakowski Adam Stefan Sapieha obrał jako najlepsze miejsce na usytuowanie kościoła, oddając jej w zamian pole z terenu dworskiego w okolicy Monopolu.

Jak wyglądało Pani dzieciństwo, młodość i szkoła?

Szkołę powszechną rozpoczęłyśmy z siostrą w Czyżynach jeszcze podczas okupacji. Mieliśmy podręczniki w formie zeszytów, tzw. Stery – wydane po polsku. Do starszych klas chodziłyśmy do szkoły w Krakowie a następnie do Liceum Ogólnokształcącego im. Józefy Joteyko, a po zdaniu matury poszłyśmy na studia. Moja siostra Zofia na chemię na UJ, a ja na medycynę. Muszę przyznać, że nie wszyscy rodzice, nawet zdolnych i chętnych do nauki dzieci, mogli im w tych trudnych czasach wywłaszczeń zapewnić taką edukację. Dużo dzieci musiało iść do szkół zawodowych a nawet wieczorowych dla pracujących.

W czasie okupacji w naszym domu była wydawana żywność dla najuboższych w ramach RGO z prowadzoną dokumentacją potwierdzającą podpisem ich odbiór. Dokumentację z tej działalności przekazałam do archiwum. Opieką RGO zostali też objęci uchodźcy z Powstania Warszawskiego, których w październiku 1944 r., z pociągu zatrzymanego przez kolejarzy przy Monopolu zabrali do swoich domów mieszkańcy Czyżyn. Nasz dom był domem otwartym dla ludzi ze względu na dużą aktywność społeczną naszego ojca, przez co miałyśmy

możliwość spotykać różne osoby, będące w rozmaitych sytuacjach życiowych. W czasie okupacji powiązanych z AK i BCH, a po wojnie przychodzili młodzi ludzie z WICI i starsi związani z mikołajczykowskim PSL. Po śmierci posła na sejm Zygmunta Żuławskiego w 1948 r. ojciec winien zostać powołany do sejmu jako następny kandydat z listy wyborczej PSL w 1947 r. Zamiast tego został aresztowany na UB. W tamtych czasach nie wiadomo było jaki go może spotkać los i o co zostanie oskarżony. Pozostawiona sama z nami mama musiała sobie radzić, a nie tylko się martwić. Na szczęście po kilku miesiącach ojciec wyszedł na wolność, ale UB nie przestało się nim interesować i zawsze koło naszego domu kręcił się jakiś „obcy", a ojciec często był wzywany na rozmowy. Od czasu do czasu UB zjawiało się w domu na rewizje, szukając nie wiadomo czego. Takie to były czasy utrzymywania ludzi niewygodnych władzy w stałym niepokoju – co odbijało się na życiu całej rodziny. Rozumieją to dzieci z podobnych rodzin, a później z czasów Solidarności. Tak nasz ojciec został uleczony przez UB z działalności w opozycji, pozostając ciągle pod ich nadzorem. Dalej zajmował się swoją pracą w adwokaturze, służąc nadal ludziom radą i pisząc niestrudzenie odwołania wywłaszczanym z Czyżyn i okolicznych wsi, na które przychodziła niezmiennie odpowiedź „niniejsze orzeczenie należy traktować jako ostateczne". W takich czasach i warunkach spędziłyśmy nasze dzieciństwo i młodość.

Jakie Pani ma wspomnienia związane z zabawą, odpustami, weselami, muzykami i karczmą?

Najważniejszy odpust był we wrześniu w klasztorze w Mogile, na święto Podwyższenia Krzyża Świętego, i w kościele pod wezwaniem Świętego Tadeusza Judy w Czyżynach. Odpusty te odbywają się i obecnie. W domu ludowym organizowane były zabawy karnawałowe, sylwestrowe, przedstawienia organizowane przez młodzież z KSM. Opłatki i dożynki organizowano zwykle łącznie dla Czyżyn i Łęgu. Śluby były zawierane w latach dawniejszych w kościele św. Bartłomieja w Mogile, potem w parafialnym kościele w Czyżynach. Przyjęcia weselne odbywały się zwykle w domach, a do tańca grali miejscowi muzykanci: Wojciech Gaweł, Perski, Szafraniec. W czasie okupacji na weselach i zabawach ludzie bawili się zwykle w domach do rana, ale przy zasłoniętych oknach, aż minęła godzina policyjna. Rolę karczmy w Czyżynach pełnił sklep z wyszynkiem wódek i piwa u Piotra Krupy – nie była to jednak taka typowa karczma.

Jak wyglądała praca w gospodarstwie?

Praca w gospodarstwie oparta była głównie o siłę pociągową koni i pracę rąk ludzkich. Podstawowe narzędzia pracy to pługi, brony, łopaty grabie itp. oraz bardzo użyteczny kierat tj. urządzenie do napędu młockarni, sieczkarni przy pomocy konia chodzącego w koło w zaprzęgu. Prace w polu wykonywano zgodnie ze zwykłym harmonogramem. W jesieni oranie i sianie, na wiosnę sadzenie ziemniaków, sianie, w lecie uciążliwe plewienie chwastów, w końcu lata żniwa i kopanie ziemniaków. W całej okolicy było wysoko rozwinięte sadownictwo i ogrodnictwo. Przy obecnej ulicy Kocmyrzowskiej ciągnęły się rzędy pięknych sadów, należące do mieszkańców Bieńczyc. W Czyżynach przy każdym domu był sad. Ludzie dbali o swoje ogrody, bowiem z nich był poważnie liczący się dochód. Zwykle kobiety wieczorem przygotowywały „targ" tj. jarzyny, owoce, kwiaty i zabierając jeszcze mleko i nabiał ruszały wcześnie, około godziny 3 rano wózkiem konnym lub pieszo, z tobołkiem na plecach, na targ do miasta. Tobołek niesiony na plecach – był to koszyk z produktami zawinięty w mocną białą płachtę, zawiązany pod brodą a od przodu przywiązana była jeszcze bańka z mlekiem. Za tak zarobione pieniądze kobiety utrzymywały dom i mogły kształcić zdolniejsze dzieci – stąd też nazwa „tobołkowa inteligencja".

Czy we wsi mieszkali Żydzi?, Jaki był do nich stosunek mieszkańców?, Czym, się zajmowali?, Jakie były ich późniejsze losy?

W Czyżynach mieszkali Żydzi o nazwiskach – Golfinger, Atteslander, Wolffeiler, Gut, Mendel... Prowadzili 2 sklepy, tartak, młyn, parkieciarnię. Oni byli zżyci z miejscowa ludnością. Jedna z żyjących kobiet opowiedziała mi, że jej ojciec zbierając na budowę kościoła w Czyżynach w 1936 r przechodził koło stojącego przed swoim sklepem Stefana Atteslandera. Nie miał odwagi do niego podejść, ale on sam się odezwał: „a do mnie nie przyjdziecie?, co to ja nie mam numeru?" – wyjął z kasy pieniądze i im dał.

W czasie okupacji prawie wszyscy Żydzi z Czyżyn zginęli, przeżyły prawdopodobnie tylko 2 osoby. Do Czyżyn, w czasie okupacji nie wiadomo skąd, przywędrowało starsze małżeństwo Goldfarbów, którzy zamieszkali w małym domu Kucielów. Wszyscy wiedzieli, że to są Żydzi; dożyli oni spokojnie do śmierci wspierani przez ludność miejscową i RGO. Najpierw zmarł mężczyzna, pozostała żona, którą dobrze pamiętam – osoba dosyć tęga, w czarnym płaszczu, chodząca do kościoła i przystępująca do komunii świętej. Nasza mama posyła nas do niej z obiadami, Dr Ottenbreit ją leczył, przyuczona przez niego młoda dziewczyna, Halina Tenor, robiła jej opatrunki niegojących się czyraków na szyi. Ich pogrzeby organizował nasz ojciec, a Ks. Józef Zastawniak je odprawiał staruszkom na cmentarzu w Mogile – na szczęście nie dowiedzieli się o tym Niemcy. W Czyżynach

miało też miejsce takie tragiczne wydarzenie. Sekretarka jednego z dyrektorów Monopolu Tytoniowego, Helena Fabiańska, mieszkająca razem z małą córeczką u Pani Krupowej przy ul. Franciszka Wężyka, została rozpoznana przez Niemców jako Żydówka. Do domu przyszło po nią dwóch Niemców. Ona zapytała, czy może iść do ustępu i po drodze szepnęła do córki gospodyni, żeby zaopiekowała się małą Helą. Po wyjściu z domu upadła, Niemcy, którzy ją mieli aresztować, z zaskoczeniem stwierdzili, że ona nie żyje. Pani Krysia – córka gospodyni odprowadziła dziewczynkę do innych zaufanych ludzi, którzy się nią zaopiekowali. Po zakończeniu wojny dała znać z Izraela, że przeżyła.

Czy był u Pani we wsi dwór, jak on wyglądał? Co go łączyło z życiem ludzi we wsi?

Dwór w Czyżynach był własnością Kurii Metropolitalnej, dzierżawiony przez rodzinę Cieślewiczów. Pomimo tragicznej śmierci inż. Kazimierza Cieślewicza w 1939 r. praca we dworze była kontynuowana. Budynek mieszkalny dworu wraz zabudowaniami gospodarczymi i stawem był w środku wsi, przy końcu ul. Franciszka Wężyka, ogrodzony wysokim płotem z szeroką bramą wjazdową. Pola uprawne należące do dworu były usytuowane po prawej stronie drogi do Mogiły i sięgały aż za teren Monopolu. We dworze byli pracownicy zatrudnieni na stałe, którzy mieszkali tam lub w czworakach przy ul. Centralnej. Inni byli zatrudniani sezonowo, zwykle biedniejsi ludzie ze wsi, nie mający własnych gospodarstw. Nigdy nie słyszałam żadnych skarg na ich sposób traktowania czy wynagradzania. W czasie okupacji umieszczono we dworze żandarma, wspomnianego już Herziga, który dokonywał przeglądu i kolczykowania zwierząt oraz nadzorował oddawanie kontyngentów. W okresie PRL-u, po reformie rolnej, z dworu pozostał tylko dom mieszkalny, a przyległy teren został podzielony na parcele budowlane, które przydzielono pracownikom z Nowej Huty i tam powstało dość duże osiedle domków jednorodzinnych.

Czy miasto było ważne w życiu wsi? Jak wyglądały kontakty z miastem? Po co jechano do miasta? Czy często to robiono i przy jakich okazjach?

Usytuowanie Czyżyn w bliskości Krakowa, z możliwością łatwego dojazdu koleją do miasta, wpłynęło już w dwudziestoleciu międzywojennym na systematyczną zmianę charakteru wsi w miejscowość podmiejską. Codziennie jeździli do pracy do Krakowa kolejarze, piekarze, rzemieślnicy, dziewczęta do zakładów krawieckich, na zarobek do miasta wyjeżdżało co rano wiele dorożek. Ci ludzie żyli z miasta. Kobiety o świcie jechały z targiem na plac. Pociągiem ruszała młodzież szkolna jadąc do szkół i warsztatów dla uczenia zawodów. Już przed wojną ludzie przekonali się, co to jest wiedza, nawet dziewczęta zdobywały wykształcenie i zdawały maturę. Kobiety, dostarczające do krakowskich domów mleko i inne produkty, często zaprzyjaźniały się z ich mieszkańcami, korzystając z ich rad i pomocy.

Dwudziestolecie międzywojenne było dla Czyżyn dobrym okresem. Za ziemię pod budowę lotniska pasażerskiego, wykupioną na bardzo korzystnych warunkach, zostało wybudowanych kilka murowanych domów. Uzyskane pieniądze były znaczącym wsparciem przy budowie kościoła i szkoły. Były też nowe możliwości zarobkowania na lotnisku i w Monopolu Tytoniowym.

Czy były miejsca o których Pani pamięta, a których już nie ma?

Nie ma stacji kolejowej, nie ma Błoń z boiskiem sportowym, nie ma dworu – pozostał tylko budynek mieszkalny. Były 2 stawy rybne, była cegielnia, młyn, tartak w którym była parkieciarnia. Na granicy z Łęgiem była stara szkoła, po której nie ma nawet śladu. Było lotnisko, po którym został tylko stary hangar, był fort Pszorna, który został zburzony i na jego miejscu jest założony park. Nie ma już typowych gospodarstw z pięknymi ogrodami. Na Błoniu bliżej gościńca było źródełko, z którego czerpano wodę do picia i wypływała mała rzeczka. Dalej na Błoniu starsi ludzie pamiętali, że był cmentarzyk choleryczny po epidemii w XIX wieku. Przy drodze do Mogiły, po przeciwnej stronie Monopolu, stał słup graniczny z napisem KRAKAU wystawiony przez Niemców w 1941 r. po włączeniu Czyżyn do Krakowa.

Jakie miejsca uznała by Pani za niebezpieczne? Przed budową Nowej Huty i obecnie?

W zasadzie nie było takich miejsc. Groźne były powodzie nad Wisłą w Łęgu. O tym, że straszyło przy „ośnym dole", ludzie opowiadali i bali się tam w nocy chodzić. Ośne doły to miejsce za obecnymi Zakładami Tytoniowymi, bliżej Placu Centralnego, gdzie jest dość duże obniżenie terenu w kierunku łąk. Był tam teren bagnisty sięgający nawet do drogi, po której jadącym wozom pękały osie i psuły się koła. Możliwe, że w tym bagnistym terenie w nocy unosiły się z błota światełka-ogniki metanu, których ludzie mogli się bać. O obecnych niebezpiecznych miejscach nie wiem, bo już tam nie mieszkam.

O jakich miejscach świętych Pani wie? Wtedy i teraz (krzyże i kapliczki)

Oczywiście kościół pod wezwaniem Świętego Tadeusza Judy i najstarsza kapliczka w środku wsi, przy szkole,

wzniesiona podobno w miejscu, do którego doszła powódź w 1888 r. Przy niej gromadzili się ludzie na nabożeństwa majowe i czerwcowe, kiedy jeszcze nie było kościoła w Czyżynach.

Do dziś stoją kapliczki: przy wjeździe od strony Krakowa, jedna po stronie prawej a druga po lewej na Osiedlu Na Lotnisku – figura Pana Jezusa wystawiona tam została przez mieszkającą tam dawniej rodzinę Hajtów, na pamiątkę odzyskania przez Polskę wolności. Jest też kapliczka przed domem na początku ul. Franciszka Wężyka, a przy drodze do Bieńczyc na granicy Czyżyn stał Krzyż.

Jakie elementy z czasów sprzed budowy Nowej Huty Pani pamięta, a które są nadal obecne w mieście?

Pozostał Kościół i Szkoła. Przy al. Jana Pawła II, tuż przed Rodem Czyżyńskim, stoi stary, zabytkowy, zaniedbany dom starej apteki, w którym w czasie wojny miał gabinet dr med. Henryk Ottenbreit. Pozostało jeszcze parę domów, już bez gospodarstw. Na uwagę zasługuje, pozostała w całości w centrum wsi, odchodząca od figury mała uliczka Woźniców, zamieszkała przez rodziny dawnych Czyżynian, którzy unowocześnili swoje domy z ukwieconymi ogródkami i szyldami małych inicjatyw, świadczących o ich przedsiębiorczości, której ich przodkom nie było dane rozwinąć.

Jak wyglądały kontakty między wsiami? Czy odwiedzano się często? Przy okazji odpustów, jarmarków i pielgrzymek?

Najściślejsze kontakty były z sąsiednim Łęgiem. Wsie te miały osobnych sołtysów, ale wszystkie większe przedsięwzięcia , takie jak budowa kościoła, szkoły na wspólny użytek, podejmowali razem. Kontakty między wsiami wynikały ze związków rodzinnych, bo w dawnych czasach ludzie się mało przemieszczali i zawierali małżeństwa w obrębie pobliskich wsi. Łączyły ich również organizacje polityczne, a w czasie okupacji konspiracja.

Łączyła ludzi z okolicznych wsi także kolej z Kocmyrzowa do Krakowa, w której spotykali się systematycznie jeżdżący do pracy, do szkoły czy z handlem do miasta.

Czy są jakieś niezwykłe postacie związane z Pani miejscowością?

Należą do nich: pierwszy proboszcz i budowniczy kościoła w Czyżynach, Ksiądz Kanonik Józef Zastawniak, kierownik szkoły Franciszek Marszałek, ostatni wójt Jan Malinowski, sołtys Andrzej Malinowski, Piotr Krupa, Józef Salwiński, Jan Czernek, a z kobiet dyplomowana akuszerka Magdalena Krupowa, czynna w życiu wsi Katarzyna Włodarzowa. Z Łęgu sołtys Tomasz Radoszek, Stanisław Mars.

Czy dobrze się Pani czuje w Nowej Hucie? Czy miejscowi pogodzili się z budową nowej Huty? Czy to jest ich miasto? Jak zapatrywali się na sprawę Arki Pana, walki o Krzyż Nowohucki, strajki w Nowej Hucie w stanie wojennym?

Ja czułam się w Nowej Hucie dobrze. Po wyprowadzeniu się z rodziną z Czyżyn do Krakowa pracowałam przez prawie 40 lat jako lekarz w służbie zdrowia Kombinatu. W tej pracy miałam dobry kontakt z pacjentami, odnosząc się z szacunkiem do ich ciężkiej pracy, wykonywanej w trudnych warunkach, starałam się rozumieć ich problemy nie tylko zdrowotne ale i trudności życiowe, i nigdy nie odczułam z ich strony braku akceptacji czy też obcości.

Niewątpliwie pokrzywdzeni mieszkańcy Czyżyn nie mieli wyjścia i musieli się pogodzić z budową Nowej Huty. Są sytuacje w życiu, w których żaden bunt nie pomoże i to była właśnie jedna z nich. Trudno powiedzieć, czy to jest ich miasto. Dla mnie moje miasto to Kraków a Nowa Huta to tylko jego nowa dzielnica i myślę, że inne osoby mają podobne odczucia. Nie można też wymagać od miejscowej ludności zapomnienia krzywd jakie ją spotkały.

Niech obecni mieszkańcy Nowej Huty wczują się w sytuację, kiedy to wielu z nich, ze swojej ciężkiej pracy, ma wybudowane domy czy mieszkania własnościowe, jeżeli dostaliby nagle wiadomość, że mają to oddać na rzecz państwa za odpłatnością równą cenie biletu tramwajowego za 1 m2. Czy nie mieliby poczucia krzywdy i łatwo by im było to zaakceptować, a potem o tym zapomnieć? Ludność wsi tracąc ziemię, traciła zarazem podstawy swojego bytu. Powszechnie panujący stan przygnębienia nie sprzyjał kontynuowaniu tradycji i zwyczajów, które wraz z utratą ziemi straciły również swój sens. Władza robiła wszystko, aby zniszczyć ich społeczną pozycję. Szanowani gospodarze, mający silne konie i wozy, stawali się wozakami na budowach. Pozostali, starsi, bez zawodów, zostawali co najwyżej dozorcami mienia na budowach, a młodsi pracowali jako robotnicy budowlani. Tym, co mieli jakieś kwalifikacje, łatwiej było o pracę, nawet w Krakowie. Komunistyczna propaganda dla pozyskania sobie zwożonych do pracy ludzi dewaluowała miejscową ludność, nazywając ich wrogami ludu, kułakami, a tutejszą ziemię nieużytkami, w co jeszcze może niektórzy mieszkańcy Nowej Huty wierzą. Parcele budowlane w środku wsi, na ziemiach dawnego dworu, wszystkie przydzielono ludziom z Nowej Huty, a żadnej

nie dostał wywłaszczony człowiek z Czyżyn. Wybudowaną tuż przed wojną szkołę w Czyżynach zamknięto w 1972 r., przekazując ją do użytku Zespołu Ekonomiczno-Administracyjnego Szkół „Oświata" na biura i magazyny dla materiałów budowlanych do remontu szkół i przedszkoli. Dzieci z Czyżyn musiały chodzić do szkoły na osiedle Kolorowe aż do 1991 r., kiedy to, po staraniach i przeprowadzonym generalnym remoncie zdewastowanej szkoły, przywrócono jej działalność. I tak władzy ludowej udało się prawie całkowicie zniszczyć strukturę wsi, z której pozostała tylko nazwa osiedle Czyżyny w dzielnicy Krakowa Nowej Hucie. Mieszkańcy z systematycznie wywłaszczanych domów przechodzili do mieszkań w blokach, asymilując się wśród nowej społeczności i w nowych warunkach otoczenia. Wybudowany w Czyżynach tuż przed wojną kościół, który wtedy wydawał się zbyt duży, gościnnie przyjął nowych parafian, a byli mieszkańcy przychodzą do niego czasem w święta i na procesje Bożego Ciała. Stopniowo zacierają się różnice między tymi dwoma społecznościami, które, mieszkając wspólnie w blokach w Nowej Hucie, muszą też wspólnie rozwiązywać bieżące problemy dnia codziennego i wychowywać swoje dzieci w nowych warunkach.

Komunistyczne władze zawiodły się jednak, myśląc że ci zwiezieni z różnych stron Polski młodzi ludzie zbudują im ateistyczne miasto i będą im ślepo posłuszni. Nie przyjmowały do wiadomości, że ta nowa społeczność Nowej Huty będzie chciała budować sobie kościół, którego nie przewidziano w pierwotnych planach. Kiedy nastąpiły czasy sprzeciwiania się komunistycznej władzy, co w dużym stopniu przyczyniło się do zjednoczenia w działaniu mieszkańców okolicznych wsi i mieszkańców Nowej Huty, dotyczyło to już następnego pokolenia, które nabyło już nowych doświadczeń i przeobrażenia podczas pracy zawodowej.

Mieszkańcy Czyżyn i okolicznych wsi zdają sobie sprawę, że to nie ci przywożeni do tej ciężkiej pracy młodzi ludzie z odległych stron Kraju, tylko perfidna komunistyczne władza jest winna tak krzywdzącego wobec nich postępowania.

W sprawę budowy kościoła Arki Pana czynnie włączyli się mieszkańcy wsi Bieńczyce, działając aktywnie w Komitecie Budowy Kościoła i pomagając przy budowie. Pierwszy drewniany Krzyż, zrobiony przez mieszkańca Bieńczyc, Jana Biernacika, i przeniesiony w procesji sprzed Kaplicy w Bieńczycach w dniu 17.03.1957 r., został wkopany na terenie, gdzie miał stanąć kościół. W dniu 27.04.1960 r. .w obronie Nowohuckiego Krzyża stanęli obok dzielnych kobiet i robotników Huty również mieszkańcy okolicznych wsi, czego dowodem są ich aresztowania i skazujące wyroki sądowe; Wojciech Ciepiela z Bieńczyc – 6 miesięcy, bracia Marian i Władysław Magdziarz z Czyżyn, nie dość, że zostali dotkliwie pobici, dostali wyroki 5 i 4 lata, które zmniejszono później do 2 lat.

Masowy udział w strajkach i manifestacjach w latach „Solidarności", co obserwowałam jako lekarz z Kliniki Chorób Zawodowych AM, mieszczącej się w przychodni graniczącej z Kombinatem, budził zarówno u mnie, jak i moich kolegów, rosnący szacunek dla odwagi i determinacji ich uczestników. Podobnie odnosili się do nich moi znajomi z Czyżyn. W czasach Solidarności i strajków w Hucie to drugie pokolenie byłych mieszkańców okolicznych wsi było już przeważnie mieszkańcami bloków i pracownikami Huty i wspólnie domagali się od władzy swoich praw, bez rozpamiętywania krzywd doznanych przez ich ojców przed laty.

Notowała Justyna Żurek



Katarzyna z Tynorów Czernek Maskowa z Czyżyn (1874-1954)



J. Salwiński z córeczkami Basią i Zosią za domem przy lotnisku, Czyżyny, lata 30. XX w.



Zdjęcie z I Komunii Św. Zofii Salwińskiej (córki Józefa) i Józefa Salwińskiego (syna Piotra) z Babcią Magdaleną Salwińską, Czyżyny, 1943 r.



Zofia Chłobowska (z domu Salwińska) i Barbara Salwińska-Ciećkiewicz z córką Zosią, na uroczystości wmurowania tablicy pamiątkowej BCh w Bazylice Św. Krzyża w Mogile,1982 r.



Barbara Salwińska (pierwsza z prawej) z dziećmi i rodziną Czernków na podwórku domu przy ul. Franciszka Wężyka przy jednym z ostatnich koni w Czyżynach, 1986 r.

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne 5

MOGIŁA 15

W Mogile pod Krakowem 17
Charitas sine modo 22
Mogilskie odpusty 25
Spotkanie Norwida z Mogiłą 29
Moja ojczyzna, Moja piosnka II, Cytaty 32
Ulica Bardosa 36
Mogilski „Pan Tadeusz" 40
O mogilskich młynach 42
Laudetur Jesus Christus Amen 49
Nagrobki młynarzy podklasztornych 50
Szlak Twierdzy Kraków 52
Stacja kolejowa Mogiła 55
Ks. Wojciech Siedlecki 56
Gazeta na dziś i dla przyszłych pokoleń 61
Wspomnienia Leo Bacha 62
Moi sąsiedzi sprzed lat 68
Wspomnienia o Rodzinie Rosenwaldów 69
Wspomnienia Zofii Kopras 72
Wspomnienie o ojcu 80
Wspomnienia o rodzinie Feretów 82
Rodzina Rosołków 84
Mieliśmy beztroskie dzieciństwo 90
Wspomnienia Stefana Tejkowskiego 93
Gmina Mogiła w okresie II Wojny Światowej 107
Wspomnienia Antoniego Rosołka 109
Anonimowe wspomnienia z Mogiły (I) 113
Anonimowe wspomnienia z Mogiły (II) 116
Z Krakowa do Mogiły. 119
Historia kapliczki św. Jana Nepomucena 121
„Tam gdzie piaski i ugory" 122
„Cios w gniazdo reakcji" 124

BIEŃCZYCE 127

Między staropolskim Krakowem a parafią w Raciborowicach 129
Jan Kotyza – „Moje Bieńczyce" 134
Franciszek Ptak z Bieńczyc 189
Wspomnienia Andrzeja Ptaka 194
Dziadek Władek i babcia Stasia 200
Wspomnienia Andrzeja Świerczewskiego 203
Wspomnienia Eugeniusza Hajty 216
Józef Celiński 217
Wspomnienia Wiesława Pyczka 220
Wspomnienia Romana Dońca 227
Garść wspomnień i refleksji 233
Kuźnia Norberta Rojka i kapliczka św. Floriana 236
Rodzina Krawczyków 240
Wspomnienia Bronisława Biernacika 242
Stefania Sadzikowska z domu Zamojska 244
Wspomnienie o Mariannie Woźnicy 245
Nasz stary dom 246
Pani Elżbieta od przenoszonego domu 251
Wspomnienia Władysława Bochenka 254

Wspomnienia Zofii Bochenek z domu Zybura 256
Przyśpiewki weselne 260
Rozmowa o Bieńczycach, których już nie ma 294
60-lecie Sióstr Służebniczek Dębickich 299
Budowniczy Arki Pana 305
Mieć swój kościół 307

CZYŻYNY 317

Czyżyny – wieś moich wspomnień 319
Stanisław Suder 336
Antoni Broś, rolnik, wójt gminy Czyżyny 343
Wykup ziem pod krakowskie lotnisko Rakowice-Czyżyny 345
Lotnisko w Czyżynach i jego najbliższa okolica 349
Poświęcenie kamienia węgielnego 352
Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej 355
Wspomnienie o Kółku Ministrantów 362
Pierwszy ślub w kościele św. Judy Tadeusza 365
Pierwsza Komunia Św. w kościele w Czyżynach 366
Figura Matki Boskiej 367
Dzieje Klubu Sportowego 368
Wspomnienie o Franciszku Marszałku 372
Wspomnienie byłej uczennicy 375
Józef Salwński 376
Piotr Krupa 378
Wspomnienie o Janie Dąbrowskim z Łęgu 379
Wspomnienia Jolanty Samek 379
Wspomnienia Wincentego Cieślewicza 381
Wywiad z Mieczysławem Marcem 386
Wywiad z Barbarą Salwińską-Ciećkiewicz 390

Redakcja:
Adam Gryczyński

Współpraca:
Anna Bubula,
Grzegorz Boniowski,

Opracowanie komputerowe zdjęć:
Adam Gryczyński

Projekt katalogu:
Grzegorz Boniowski,
Adam Gryczyński

Skład i przygotowanie do druku:
Grzegorz Boniowski

Druk:
PremiumPartner
ul. Kraszewskiego 27
30-108 Kraków
www.premiumpartner.pl

Wydawca:
Nowohuckie Centrum Kultury ©
Al. Jana Pawła II 232
31-913 Kraków
0 12 644 02 66
www.nck.krakow.pl

Wydanie I; grudzień 2008

Nakład 1000 egz.

ISBN 978-83-88832-56-7

Zamieszczone zdjęcia pochodzą głównie z archiwów rodzinnych mieszkańców terenów, na których zbudowano Nową Hutę i kombinat metalurgiczny.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także skanowanie lub kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Na okładce „Piękna Zośka" (Zofia z Franczaków Paluchowa), mal. Piotr Stachiewicz.



W książce „Czas zatrzymany 2" znalazły się teksty i fotografie w większości opublikowane po raz pierwszy. Są one plonem trzech lat gromadzenia zdjęć, opisów, opracowań, wywiadów terenowych i wspomnień, jakie napłynęły w odpowiedzi na apel skierowany w styczniu 2006 r. do dawnych i obecnych mieszkańców Nowej Huty. Potomkowie rodzin pochodzących z Mogiły, Bieńczyc, Czyżyn, Pleszowa, Krzesławic, Grębałowa, Luboczy, Wadowa, Łuczanowic, Ruszczy i Kościelnik, podejmując solidarną inicjatywę wskrzeszenia własnej godności, dumy i barw lokalnej przeszłości, zademonstrowali ofiarność w rekonstruowaniu wizerunku świata swoich przodków. Dzięki temu, ukazując indywidualne losy wpisane w dzieje narodu, poznajemy głębszy wymiar życia, widzimy znacznie więcej a syntezując dawne wydarzenia wpływamy na zachowanie pamięci i własnej tożsamości. W sytuacji wynikającej z integracji europejskiej, stojąc wobec nowych szans, a zarazem wyzwań – warto czerpać z dobrych, sprawdzonych wzorców i wartości, ale i z uwagą spoglądać w nadchodzącą przyszłość.

Niech zatem doświadczenia pokoleń i wyciągnięte wnioski będą dla nas – cieszących się życiem – lekcją rozwagi i zadumy. Zapytajmy kim byli nasi przodkowie, jak żyli, w jakim duchu wychowali potomstwo. Poodd-ychajmy nieco innym światem, w którym mimo siermiężnych warunków wszystko miało jednak pewien swój ład i porządek. Niech stare pamiątki „przeniosą naszą duszę utęsknioną do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych"... Są w nich bowiem treści radosne, wzniosłe i piękne, ale też bolesne chwile zapisane na pożółkłych kartkach papieru i wyblakłych zdjęciach. Można je także odkryć w naszych sercach, duszy i umyśle. Razem wzięte potrafią mocno przemówić.

Nowa Huta, listopad 2008 r. ***Adam Gryczyński***

ISBN 978-83-88832-56-7